

Zaulek mroków

Tadeusz KostECKI



calibre 0.9.27

Tadeusz Kosteczki

Zaulek mroków

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Morderstwo

Kąpiel była gorąca, niemal parzyła. Siedział w wannie kilkanaście minut, czując jak zmęczenie rozpuszcza się powoli w parującej wodzie - dzień był ciężki i trudny.

Pocierana ostrym ręcznikiem skóra podbiegła czerwienią. Gdy opuścił łazienkę, odpoczynek właściwie dobiegł końca. Miał wprawdzie zamiar wypić jeszcze spokojnie herbatę, ale spiętrzony na biurku stos korespondencji przyciągał nieodparcie. Postawił szklankę obok kałamarza. Popijał drobnymi łykami, potem zapomniał. Gdy po upływie dłuższego czasu sięgnął znowu po szklankę, płyn był już niemal zupełnie zimny.

Koperty: cienkie, grube, różnych kształtów i kolorów. Otwierał jedną po drugiej.

Nazwy miejscowości znaczyły niewidzialne punkciki na mapie całego kraju. Wiele ludzi pragnęło z nim porozmawiać listownie. Prośby o radę, o interwencje - tych może było najwięcej. Wyrazy uznania. Projekty. Nie brakło również wymyślań. Niektóre utrzymane w granicach przyzwoitości, inne otwarcie ordynarne w swej napastliwej, niekiedy wprost prowokacyjnej formie. Były też groźby.

Każdy list czytał z uwagą. Ostrze automatycznego ołówka znaczyło drobne literki na marginesach. Wymysły nie zawsze musiały oznaczać wroga.

Rozżalenie to jeszcze nie tamta strona barykady. Często, zbyt często rozżalenie było w pełni uzasadnione.

Niekiedy zresztą przyczyna sprawiała wrażenie słusznej. Tego rodzaju listy badał ze szczególną starannością. Może da się coś naprawić, wyprostować, ułatwić.

Droga pod górę zawsze jest ciężka.

Segregował kartki w teczkach. Nie dla wszystkich jednak zagadnień ich starczyło. Na blacie wyrastały coraz to nowe sterty. Trzeba będzie to jakoś uporządkować - palił papierosa za papierosem.

Koperta taka jak inne. To, że nie było adresu nadawcy, nie miało żadnego znaczenia. Wiele przychodziło właśnie takich. Nie każdy miał odwagę występować z otwartą przyłbicą. Ale wystarczyło przeczytać parę pierwszych słów, by od razu wiedział, o co chodzi. To nie był pierwszy list z tej serii. Wyrok?! Usta drgnęły w nikłym uśmiechu. Przez chwilę patrzył w zadumie na równe rzędy maszynowego pisma.

Zmiętosił kartkę. Kulka papieru trafiła prosto w otwarte drzwiczki pieca... W ten sposób wietrzył pokój. Przez okna wpływałoby zbyt wiele hałasu.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Rozbłysnął żółtawy ogień. Papier szerniał. Jego pomarszczona powierzchnia przypominała teraz strącone gniazdo os.

Oderwał oczy od ognia.

Może nie powinien był tego niszczyć - potrząsnął głową - pewno, że nie. To tak samo, jakby zniszczył ślad wroga. Ale dochodzenie nie dałoby z pewnością rezultatów i pochłonęłoby masę czasu. Mimowolnym ruchem otarł palce o marynarkę.

Miał wrażenie, że przyłgnęło do nich coś ohydnie lepkiego.

Po chwili studiował już następny list. Wspomnienie spalonej kartki bladło coraz bardziej, aż w końcu rozwiało się bez śladu.

W pokoju robiło się coraz gęściej od dymu. Machinalnie przytykał do ust od dawna już opróżnioną do ostatniej kropelki szklanekę. Powieki zaczynały ciężać

ołowiem. Przespać się choć przez parę godzin? Z samego rana zapowiedziało się kilku interesantów. A potem... Przesunął wzrokiem po upstrzonej gęsto notatkami kartce kalendarza. Nie, ani mowy o wykrajaniu choćby godziny dla siebie. I tak niełatwo będzie załatwić wszystko, co zaplanował. Szalony dzień. Tak się jakoś nazbierało... Był piekielnie zmęczony. Cały ten tydzień był łańcuchem takich wypełnionych pracą do granic możliwości dni. A właściwie poprzedni też nie bardzo się różnił. Przeciągnął odrętwiałe ramiona. Wstał zza biurka. Przeszedł się kilka razy po pokoju. Potrącił o jakieś sprzęty. Nawet nie poczuł. W gardle zaschło. To wszystko przez te papierosy. Kopiasty stożek niedopałków wypływał szeroką falą z popielniczki. Zgarnął je i wrzucił do pieca. Zastanowiła go mroczna czeluść.

Kiedy ten ogień zdążył wygasnąć? - znowu się przeciągnął. - Spać. Ostatecznie organizm ludzki ma też granice swej wytrzymałości. A te listy? Sporo kopert pozostało jeszcze nie odpieczętowanych. Może któraś zawiera wołanie o natychmiastowy ratunek?

Po chwili siedział z powrotem przy biurku.

Granatowy mrok leżący na szybach zaczął powoli rzednąć, nasiąkając szarością przedświt. Ciężkie koła zadudniły na jezdni. W pokoju robiło się coraz zimniej.

Nie zdawał sobie sprawy, ile czasu upłynęło do chwili, gdy ostry dźwięk dzwonka zmącił ciszę. Podniósł ociężale głowę znad biurka. Już?

Wizyta oznajmiała zakończenie jednego etapu pracy i rozpoczęcie następnego.

Znowu zaterkotał dzwonek. Natarczywie, alarmująco. Uśmiechnął się z pobłażaniem. Ależ mu pilno.

Idąc w kierunku przedpokoju przeciągnął się. Mięśnie odrętwiały w całym

ciele.

Przekręcił klucz w zamku. Pchnięte gwałtownie drzwi stanęły otworem. Do przedpokoju wpadło dwóch mężczyzn. Spojrzał na nich ze zdziwieniem. Oczekiwał kogo innego.

Kapelusze nisko nasunięte na czoło. Ręce w kieszeniach. W wyglądzie ich było coś, co nasunęło skojarzenie z treścią listu, który spłonął przed paroma godzinami.

Czyżby... - odrzucił jednak myśl natychmiast. Bzdura!

- Redaktor Józef Lebioda? - głos przytłumiony, jakby ochrypnięty.

- Tak. Czym mogę służyć?

- Jesteśmy ze Związku... - nazwy nie dosłyszał, ale nie zastanawiał się nad nią.

Przyszli do niego przecież ludzie, a nie organizacja.

Zamknął drzwi. Ze schodów wiało przejmującym zimnem. Może zresztą mu się tak wydawało z niewyspania?

- Proszę dalej - zachęcającym gestem wskazał pokój.

Nie weszli jednak. Wyższy zasłonił sobą drzwi wejściowe. W postawie ich nagle zaszła jakaś zmiana. Raczej ją wyczuł, niż dostrzegł. I znowu fala gwałtownego niepokoju zatargała nerwami.

- Co...

Nie skończył. Głos ugrzązł mu w gardle. Wyszarpnęli niemal jednocześnie ręce z kieszeni. Wycelowane pistolety nie pozostawiały już miejsca na najmniejsze wątpliwości.

Wyciągnął przed siebie instynktownym ruchem dłonie. Chciał uciekać do pokoju. Chciał wołać o pomoc. Myśli splątały się w wirujący kłęb, z którego do świadomości docierały jedynie strzępy: Koniec! Dlaczego?!... Za co... W połowie

drogi...

- Giń, kundlu! - słowa zlały się z hukiem wystrzałów. Błysnął ogień. Rozrósł się w pożogę przesłaniającą cały świat. Przeogromny ból zdawał się rozsadzać całe ciało. Potem wszystko zgasło w czymś, co nie ma nazwy.

Następna kula uderzyła już w martwe ciało.

W ciszy, jaka teraz zapanowała w małym mieszkanku, zaszemrał oślizły szept:

- Nawet nie myślałem, że tak łatwo pójdzie. Wyższy wzruszył ramionami.

- Jazda!

Przełożyli klucz na drugą stronę. Nadsluchiwali, gotowi za najmniejszym szmerem skoczyć z powrotem do wnętrza.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Na schodach jednak panowała niczym nie zmacona cisza. Wyższy przekręcił dwukrotnie klucz w zamku i wsadził go do kieszeni.

Ostry dźwięk fabrycznej syreny zawibrował wysokim, czystym trelem w przesiąkniętym wilgocią porannym powietrzu. Po chwili zawtórowały inne. Miasto budziło się do nowego dnia...

II. Ślady, które prowadzą w przepaść

- To było do przewidzenia.

Słowa te zabrzmiały niemal jak wyrzut. Pułkownik Kociuba podniósł powoli głowę.

- Do przewidzenia? - popatrzył przeciągle na Kaweckiego. - Hm... - podszedł ku oknu otwierając je na oścież. Przez chwilę wdychał łapczywie powietrze. W gabinecie było aż szaro od dymu.

Wreszcie odwrócił się. Twarz jego w niewyraźnym świetle zmierzchu

wydawała się jeszcze bardziej zmięta niż przed chwilą.

- Właściwie... - opadł z powrotem na fotel.

- Wystarczyło przeczytać wypowiedzi speców od bryzganina jadowitą śliną na jego temat - ciągnął dalej Kawecki - albo posłuchać ich oracji przez radio. Zalażł im głęboko za skórę.

- To prawda - dorzucił Suski - jego wystąpienia były bardzo celne. Potrafił wyłuskiwać prawdę. Wielu po tamtej stronie mu wierzyło. Wielu wracało. To w niektórych oczach zbrodnia nie do wybaczenia. Nie mogli tego znosić na dłuższą metę.

- Toteż nie znieśli - powiedział głucho Kawecki. - A my... - machnął ręką.

- Nie było żadnych pogroźek czy „wyroków” - powiedział w zamyśleniu porucznik Kornacki. Był najmłodszy z nich wszystkich i najkrócej pracował w urzędzie. Może właśnie dlatego wystrzegał się wysuwania zbyt pochopnych wniosków. - I wobec tego...

- Nie było? - przerwał mu Kawecki. - A skąd niby wiadomo?

- Nie wpłynął żaden meldunek ani do nas, ani do... Kawecki znowu mu przerwał:

- Meldunek? - wydał wargi. - Trzeba było znać Lebiodę. Ja go znałem. Dobrze go znałem. Listy, wyroki. Gdyby mu nawet przystawili rewolwer do piersi... - zapatrzył się niewidzącymi oczyma w kąt pokoju. - Zupełnie nie myślał o sobie. Nie zameldowałby w żadnym wypadku - powiedział z przekonaniem.

- To jest możliwe - potwierdził ostrożnie Kociuba - chociaż...

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Zresztą - zabrał znowu głos Kornacki - nie mamy dotąd przekonujących dowodów, że morderstwo zostało dokonane właśnie z tego powodu.

- Nie mamy żadnych dowodów - sprecyzował Kociuba. Kornacki potrząsnął uparcie głową.

- Były już przecież precedensy, jeżeli chodzi o ludzi związanych z tą właśnie akcją.

- Były - potwierdził Kociuba - toteż możemy przyjąć słuszność hipotezy, że morderstwo ma bezpośredni związek z tą działalnością Lebiody w osiemdziesięciu, no niechby nawet dziewięćdziesięciu procentach. Ale pozostałych ewentualności nie wolno nam również w żadnym wypadku zlekceważyć.

- Jasne - zgodził się od razu Kawecki.

Pułkownik szkicował coś na kartce leżącego na biurku bloku.

- Proponuję następujący plan wstępnego śledztwa... - zaczął metodycznie wyliczać punkt po punkcie.

Słuchali bez większego zainteresowania. Wszystko to było stereotypowe i znane na pamięć.

- Macie jakieś propozycje? - Kociuba zakończył czytanie.

Kawecki gryzł przez chwilę ustnik pustej cygarniczki.

- Owszem. Proponuję powierzyć dochodzenie w terenie Sierakowskiemu.

- Chodzi wam o włączenie go do zespołu, wyznaczonego do prowadzenia śledztwa?

- Nie. Miałem na myśli pozostawienie mu wolnej ręki. To znaczy, by mógł pracować niezależnie od zespołu.

Pułkownik obracał z zastanowieniem ołówki w palcach.

- Cóż... gdy zbadamy wstępny materiał...

- Nie - Kawecki wyraźnie zapalił się do swego pomysłu. - Sądzę, że o wiele

bardziej celowe będzie oddanie mu tej sprawy już w tym momencie.

Suski pokiwał aprobowująco głową.

- To wyjątkowy węch śledczy, pułkownika.

- Ale... niezależnie...

- Powiedzmy raczej: „równoległe” - Suski miał dar dobierania dyplomatycznych wyrażeń.

Kociuba oczekiwał zaskoczenia. Sierakowski nie należał przecież do asów.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Twarz młodego oficera śledczego nie zmieniła jednak ani na jotę poprzedniego wyrazu. „Mumia - pomyślał Kociuba - i Kawecki traktuje go jako anty-schemat?”.

Przystąpił do skrupulatnego omawiania sprawy.

Sierakowski słuchał uważnie, ale widać było, że raczej analizował słowa pułkownika, niż wbijał je w pamięć.

Z dowodami i śladami zdoła się zapoznać na miejscu zbrodni oraz z akt.

Wnioski zaś i przypuszczenia... Jego zdaniem im bardziej były własne, tym lepiej.

- Nie ma żadnych pytań? - zakończył Kociuba.

- Nie. Tymczasem nie.

- No, więc życzę powodzenia. I pamiętajcie, że ze względu na rodzaj sprawy konieczne jest jak najszybsze jej wyświeślenie.

- Tak jest.

- Nie znaczy to - dodał szybko Kociuba - bym miał was ponaglać.

- Zrobię, co się da - odpowiedział z prostotą Sierakowski.

Po opuszczeniu gabinetu szczegółowo przeanalizował zaproponowany przez

Kociubę plan śledztwa. Pokiwał z uznaniem głową, po czym przystąpił bezpośrednio

do układania własnego, który w wielu punktach daleko odbiegał od tego, co proponował pułkownik.

Pierwszą sprawą było gruntowne przestudiowanie materiałów. Technicy śledczy właściwie już zakończyli swoją robotę.

Zebrało się tego sporo: fotografia terenu morderstwa, fotografia zwłok, powiększone fotografie ran, szkice sytuacyjne, protokoły oględzin i sekcji zwłok, odbitki zdjęć daktyloskopijnych...

Na tych ostatnich utknął beznadziejnie. Powędrował do laboratorium.

W krótkich słowach wyjaśnił magistrowi Rzęckiemu, o co chodzi.

- Może te, co pozostawiliście sobie, są lepsze? Rzecki uśmiechnął się.

- Służę - rozłożył przed nim prostokąty lśniącego kartonu. - I lupa.

Sierakowski długo wpatrywał się w ciemne, zamazane smugi. Machinalnym ruchem przetarł soczewkę. Wszystko w dalszym ciągu pozostawało mętne i nieczytelne.

- Uff - sapnął odkładając lupę.

Obraz na odbitce przypominał wszystko, tylko nie zdjęcie linii papilarnych.

Raczej już jakąś astronomiczną fotografię mgławicy.

Spojrzał z ukosa na magistra Rzęckiego.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Niewiele da się z tego wykombinować.

Rzecki wzruszył niechętnie ramionami. W głębi ducha każde niepowodzenie przy zbieraniu materiału daktyloskopijnego traktował jako osobistą porażkę.

- Niewiele? - sarknął z hamowanym rozdrażnieniem - jeszcze mniej niż nic!

Klamek nie czyszczono chyba od całych tygodni. Dotykały ich dziesiątki osób.

Dziesiątki - powtórzył, zakreślając palcem zawile zygzaki nad lśniąca powierzchnią odbitek. - Możecie mi wierzyć na słowo. I wiele z tych osób myło ręce niezmiernie rzadko. Rozłożył odbitki szerokim wachlarzem.

- Na innych ta sama abrakadabra.

Sierakowski jednak znowu sięgnął po lupę, przeglądając skrupulatnie każdą z odbitek po kolei. Bo może coś... Znał się przecież na tym całkiem nieźle.

Ale nadzieja wygasła. Nic, poza smugami zamazanych plam.

- Tak - westchnął wreszcie z rezygnacją - z tej mąki trudno by upiec jakiś chleb...

- Może Salomon zdołałby coś wykombinować - daktyloskop wytarł hałaśliwie nos, co stanowiło u niego oznakę najwyższego wzburzenia - ja się nie podejmuję.

Sierakowski pokiwał z ubolewaniem głową. Salomonowi też by się nie udało.

Rzecki uchodził za jednego z najlepszych specjalistów w tej trudnej dziedzinie.

Potem długie godziny Sierakowski nie odrywał oczu od protokołów, wbijając w pamięć zawarte w nich szczegóły. Dopiero gdy nie pozostało już najmniejsze słówko, którego, obudzony w nocy, nie potrafiłby wyrecytować bezbłędnie, zamknął powolnym, niemal pieszczotliwym ruchem obwolotę. Z tego nie dało się już nic więcej wycisnąć. A tego, co wycisnął, było tyle, co kot napłakał.

Luśniak ożywił się na jego widok. Nudził się piekielnie; na dyżurze, w czasie którego nic się nie działo. Bo cóż mogło się dziać w mieszkaniu, z którego już wyniesiono zwłoki zamordowanego? Na dziesiątej ulicy wiedziano, że gospodaruje tu Urząd Bezpieczeństwa. Kto by się tam pchał? szczególnie jeśli chodziło o kogoś mającego jakiś związek ze sprawą? Nie sarkał jednak, choć ataki ziewania rozdzierały mu usta. Mimo wszystko mogło się przecież zdarzyć; rozmaicie. Bywały wypadki, że

całkiem niezła zwierzyzna wpadała na oślep do pułapki, którą właściwie trudno by nazwać zamaskowaną.

- Więc tobie powierzono sprawę? Sierakowski tarł z zapałem czubek nosa.

- Hm... tak jakby...

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Bardzo się cieszę - to było zupełnie szczere.

Mało kto w urzędzie nie lubił Sierakowskiego. Poza tym sposób, w jaki rozwikłał ostatnią sprawę, wzbudził niekłamany podziw nawet wśród starych speców.

Wypadało coś odpowiedzieć na te życzliwe słowa. Sierakowski jednak nie odpowiedział.

Ale nie stało się to bynajmniej z braku uprzejmości. Po prostu był już bez reszty pogrążony w rozmyślaniach.

Po chwili ukląkł i posuwając się na kolanach zaczął badać cal po calu zakurzoną podłogę małego przedpokoiku.

Ciemna plama wskazywała dokładnie miejsce, w którym padł zamordowany.

Przypomniał sobie dane z akt. „Oba strzały oddane z odległości 20-30 centymetrów”?

Hm... - przykładał niemal lufę do tafli posadzki. „Kierunek strzałów ukośny”?

Próbował odtworzyć w wyobraźni scenę mordu. Musieli strzelać bezpośrednio po wejściu. Stali gdzieś po obu stronach drzwi wejściowych. Przemierzył odległość za pomocą składanej miarki. Pokręcił w zamyśleniu głową. Raczej dwadzieścia niż trzydzieści. W przeciwnym wypadku musieliby stać za drzwiami. Albo na progu. A strzelanie przy otwartych drzwiach... Choćby nawet użyli tłumików. Nie, to było zbyt ryzykowne. Raczej je zamknęli, a potem... To znaczyłoby, że albo Lebioda znał przybyszów, albo też zdołali w jakiś sensowny sposób upozorować przyjęcie.

Przebiegł w myśli wszystko, co wiedział o zamordowanym. No, tak. U niego

nie było o to trudno. Zamknęli drzwi i stanęli... Gdzie?

Opuścił się na czworaki. Jeśli chodziło o ślady stóp, sytuacja wyglądała

beznadziejnie. Wprawdzie pokój był chyba od kilku dni nie sprząwany, ale podłogę deptały liczne podeszwy już po morderstwie. Przeszukiwał centymetr po centymetrze.

Zatrzymał się nagle. Jak wynikało z kierunku otworów wlotowych kul, jeden z morderców powinien stać gdzieś tutaj? Zdmuchnął ostrożnie kurz. Cieniutka kreska odcinała się jaśniejszą barwą na drewnianej tafli.

Po chwili nie pozostawało już miejsca na żadne wątpliwości. Posadzka była w tym miejscu lekko zarysowana. I to zupełnie niedawno.

Błaszka na obcasie? - przyglądał się w skupieniu. Nie. Kształt rysy nie pasował.

Raczej na czubku podeszwy. Krawędź musiała być lekko odgięta. Ale w takim razie...

- przesunął się na to miejsce. Wycelował metalową miarkę w kierunku ciemnej plamy.

Jeżeli bieg pocisku... Potarł czubek nosa. Coś tu było nie tak...

Wstał stawiając stopę w taki sposób, by nie istniejąca blaszka nakryła dokładnie

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

rybę. Podniósł rękę. Przeprowadził w myśli linię od wyimaginowanej lufy do ciemnej

plamy. Przypomniał sobie szczegóły protokołu obdukcji zwłok. Potrząsnął z

zakłopotaniem głową. Kanał przelotu kuli był zupełnie nie taki, jaki być powinien.

Tego nie potrafił zrozumieć. Czyżby lekarz się pomylił? To było przecież niemożliwe.

- Zygmun! - zawołał dyżurującego wywiadowcę - stań no tutaj! - wskazał

plamę.

Luśniak przymrużył porozumiewawczo oko.

- Chcesz odtworzyć scenę morderstwa?

- Uhum...

- Dobra - usłuchał ochoczo - tylko bez zbytniego realizmu - roześmiał się - nie chciałbym, żeby i moja obdukcja figurowała z kolei w aktach.

Sierakowski nie odpowiedział. Wyglądało, jakby w ogóle nie dosłyszał ostatnich słów.

- Trochę w lewo - poprawił Luśniaka - tak... teraz dobrze. - Odszedł ku zadrapaniu posadzki. Wycelował. Zagwizdał przez zęby. Nie, wciąż nie to.

- Co cię gnębi? - zapytał Luśniak.

- Kierunek strzału nie klapuje.

- Może stał w innym miejscu?

- Nie, właśnie tutaj - opowiedział o odkrytej rysie.

Luśniak pokiwał głową z niekłamanym podziwem.

- Blaszką na czubku podeszwy? To już, bracie, coś. Tylu przed tobą szperało i żaden tego nie odkrył.

Sierakowski wzruszył ramionami.

- Dużo z tego przyjdzie... Dziesiątki tysięcy ludzi używają takich blaszek.

- Dziesiątki tysięcy, to już i tak nie wszyscy...

Sierakowski znowu podniósł ramię, jakby strzelał, i znowu opuścił. Nagle klepnął się z rozmachem w czoło, aż plasnęło rozgłośnie. Tym razem podniósł lewą rękę.

Luśniak w pierwszej chwili wytrzeszczył ze zdumienia oczy. Zaraz jednak zrozumiał.

- Mańkut?

- Hm... - linia teraz odpowiadała wlotowemu kanałowi - coś na to wygląda.

- No, wiesz! - Luśniaka ogarnął prawdziwy entuzjazm. - Nie darmo ludzie

zazdroszczą ci nosa. Mańkut z blaszką na czubku podeszwy. Czy i teraz powiesz, że

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

to nic takiego?

Sierakowski również się ożywił.

- Tak... to byłoby... - nagle przygasł. - Strzał z lewej ręki nie dowodzi jeszcze

mańkuta - mruknął smętnie - oni nie takie rzeczy umieją wyczyniać dla powikłania

tropu, nie takie - powtórzył. Pogrążył się w milczeniu przeszukując resztę małego

mieszkanka.

Ledwo dostrzegalny odprysk kleju na blacie biurka zadał mu sporo roboty. Klej

był roślinny, taki, jakiego się używa do papieru. Z którejś koperty? Przejrzał

skrupulatnie wszystkie. Żadna jednak nie nosiła śladów dodatkowego klejenia.

Piec? Ba...

Otworzył machinalnie drzwiczki, choć z akt wiedział, że popiół został

wygarnięty i że nie zdołano odcyfrować treści jakiegoś niedawno spalonego papieru.

Piec ział pustką. Opróżniono go z całą dokładnością. Zamyślił się wpatrzony w

ciemny otwór.

Co zostało w tym piecu spalone i kto spalił?

Ale na to pytanie nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Minęły dobre dwie godziny

zanim zdecydował się wreszcie opuścić mieszkanie.

- No i co? - zagadnął go Luśniak przy wyjściu. Od chwili dokonanych przez

Sierakowskiego odkryć wciąż oczekiwał dalszych sensacji.

Sierakowski wpatrywał się ze zrezygnowaną miną w prostokąt wycieraczki

leżącej przed drzwiami.

- Kiepsko, bracie - uśmiechnął się smętnie. Luśniak obruszył się. Zniżył głos do

szeptu:

- Blaszką, mańkut, to przecież...

Sierakowski nie słuchał dalszego ciągu. Pożegnał go przyjaznym gestem.

Mańkut, blaszka? Tak... W sprzyjających okolicznościach to mogło dać coś, ale mogło również skończyć się kompletnym fiaskiem.

Po drugiej stronie podestu mieściły się biura zespołu adwokackiego.

Sierakowski pokręcił głową. Przyjęcia dopiero od dziewiątej. Orzeczenie lekarskie wskazywało, że morderstwa dokonano o wczesnym świcie. Puste mieszkanie? To mogłoby zmienić nieco scenę mordu. Nie potrzebowaliby się w takim wypadku zbytnio krępować. Jeden stał w miejscu zadrapania posadzki. Tego był pewien. Ale drugi?

Na następnym piętrze również tylko dwoje drzwi. Mała tabliczka z

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

oksydowanego brązu: „Dr Paweł Białkowski”. Ani specjalności, ani godzin przyjęć, nic. Ale nazwisko nie było obce. O operacjach przeprowadzanych przez

Białkowskiego szeroko rozpisywano się w prasie. Na pewno ten sam: Paweł. Pamiętał dokładnie.

Po drugiej stronie wielka porcelanowa tablica. Jaskrawe złoto wymyślnie powykręcanych liter: „Eustachy Zenobiusz Kruszyński”.

Zszedł na podest pierwszego piętra. Mieszkanie znanego aktora. Często spotykał jego nazwisko na afiszach. Po przeciwnej stronie literat.

Słyszał coś o nim. Ale nie umiał sobie przypomnieć, przy jakiej okazji.

Na górze trzasnęły drzwi. Sierakowski zaczął odruchowo nasłuchiwać.

Oczywiście biuro zespołu. Bo przecież nie mieszkanie Lebiody.

Szybki, energiczny krok. Sierakowski zerknął przez ramię. Dość wysoki, postawny mężczyzna. Eleganckie ubranie. Niewątpliwie robione na miarę. I to u pierwszorzędnego krawca. Na obuwie spojrzął raczej dla spokoju sumienia. Taki nie będzie nosił blaszek. Gładko wygolona twarz utrudniała określenie wieku. Pewnie w pobliżu pięćdziesiątki. Wszystko razem zdawało się wskazywać na adwokata. Musiało mu się dobrze powodzić.

Na ułamek sekundy zetknął się ich wzrok. Spojrzenie źrenic ołowianego koloru było natarczywe, niemal kłujące.

Więcej pasuje na prokuratora niż na obrońcę - skonstatował w duchu. - Albo nawet hm... - wyraz oczu nieznanego wydał mu się wyjątkowo nieprzyjemny. Rozmowę z dozorcą zostawił sobie na sam koniec. Wolał już być zorientowany w topografii terenu.

Dyżurka znajdowała się na parterze. Nadspodziewanie obszerny lokal. Oprócz niej i zejścia do piwnicy żadnych innych drzwi.

Wchodząc do dyżurki Sierakowski nie spodziewał się bynajmniej entuzjastycznego przyjęcia. Fijka musiano już wymaglować porządnie. Czytał zresztą jego zeznania.

Ale zachowanie dozorczy zaskoczyło go jednak. To już była ledwo maskowana wrogość. I te czujne, rozbiegane oczy. Jakby się czegoś obawiał. Czego? Czyżby miał coś na sumieniu?

Sierakowski wyrobił sobie własny sposób przesłuchiwania. Ani krzty groźnej oficjalności. Ot, po prostu pogawędka prowadzona jak najbardziej zdawkowym tonem. W ten sposób ludziom łatwiej było można rozwiązać języki.

Tutaj jednak ten system całkowicie zawiódł. Fijek odpowiadał powściągliwie, cedząc skąpe słówka przez zęby. Wyglądało, jakby zastanawiał się nad każdym oddzielnie.

Na pytanie o doktora Białkowskiego jakiś przelotny cień przesunął się przez jego źrenice. Trwało to ułamek sekundy, nie tak jednak krótko, by Sierakowski nie zdążył zauważyć.

Tak, to właśnie ten sam sławny chirurg, o którym rozpisują się w gazetach.

Profesor. Nie... Teraz już nie wykłada... Przestał od zeszłego roku, chociaż bardzo go podobno prosili, żeby nie odchodził. Skąd ma wiedzieć, dlaczego? Może ze względu na zdrowie, może z powodu nawału pracy w szpitalu. Przesiaduje tam od rana do późnej nieraz nocy. Ludziska pchają się jak muchy do miodu. Na kolanach błagają, żeby ich operował.

To brzmiało niemal jak uwielbienie. Fijek opanował się po chwili. Jakby się nawet przestraszył swej szczerości.

- Tak wszyscy mówią - dorzucił w formie komentarza. - Poza tym bardzo spokojny lokator - zakończył oschle. Jeszcze raz ożywił się, gdy rozmowa zeszła na temat Kruszyńskiego.

Ale tym razem było to ożywienie całkiem odmiennego rodzaju.

- Och... Ten to rzeczywiście ciekawy typ, obywatelu śledczy. Prywatna inicjatywa. Spekulant, jednym słowem. Jeden sklep za coś tam mu zlikwidowali, to w try miga otwiera następny. I to jaki. Musi mieć ciężką forszę. To, wiecie, z tych, co jak ich wrzucić w przerębel, natychmiast drugim wyłażą i jeszcze kopę najlepszych ryb w pysku wynoszą. W ogóle... - umilkł, zapalając papierosa.

- Jak się nazywa ten adwokat? - zapytał po chwili Sierakowski opisując

mężczyznę spotkanego na schodach.

- Ach ten... - Fijek uśmiechnął się lekceważąco. - Taki to i adwokat, choć że niektórym udziela porad na boczkach, to fakt. No, prawnikiem to jest, tego mu nikt nie zaprzecza. Ale do adwokata daleko. Kierownik kancelarii zespołu, ot co.

Sierakowski zapatrzył się w okno. Musieli płacić jakieś niezwykle wysokie wynagrodzenia w tym zespole. Ubrany był wyjątkowo elegancko. To kosztowało spory kawał grosza.

Reszta rozmowy niewiele dała. Niemal dokładnie to, co w protokole poprzedniego przesłuchania.

- Tak, redaktora Lebiodę odwiedzali dziwni ludzie. Chuligani, nie chuligani...

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Diabli wiedzą... Niektórzy to tak wyglądali, jakby dopiero co wyszli z ciężkiego kryminału. Co dla takiego wyciągnąć nóż z zanadrza? Bo to raz mówiłem redaktorowi: Trzeba uważać. Diabli wiedzą, co komu może strzelić do łba. Śmiał się: „Mnie tam żaden krzywdy nie zrobi”. No... nie zrobił... - westchnął ciężko. I westchnienie to bynajmniej nie sprawiało wrażenia udanego. - Ale on już taki był - podjął po chwili. - Nie obchodziło go, czym człowiek jest, tylko to, co z niego można zrobić. Lubił wyciągać ludzi z błota za uszy. Co tam „lubił”... Mówił, że to jest jeden z celów jego życia.

- Znaliście dobrze redaktora?

Znowu jakby wyraz czujności. Zgasł zresztą natychmiast.

- I jak jeszcze. Nieraz to i godzinę przegadał, choć zawsze był taki załatany.

Siadywał na tym samym stołku, na którym teraz wy siedzicie. Mogliście poradzić się go w każdej sprawie. Nigdy nie wyśmiał, że głupstwo... Nawet z moim chłopakiem

gadał jak z równym. To był taki człowiek, że... - urwał zaciągając się głęboko dymem papierosa.

Twarz pomroczyła. Oczy zaczęły patrzeć szklisko. Żal był głęboki. I wyglądał na szczery.

W pewnym momencie do dyżurki zajrzał chłopak. Na oko jakieś trzynaście lat.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by nie mieć wątpliwości, że to rodzony syn Fijka. Jakby zmniejszona odbitka z tej samej fotografii. Reakcja dozorczy była dziwnie gwałtowna.

Zamachał na niego rękoma.

- Wynoś się! Nie przeszkadzaj! Nie widzisz, że jestem zajęty?!

Ruchy jego rąk jakby wypychały chłopaka z dyżurki.

Brzmienie głosu zastanowiło Sierakowskiego. To nie było tylko

zniecierpliwienie. Akcenty trwogi? Wywiadowca wydawał się w tej chwili zajęty bez reszty obserwowaniem papierosa, którego ugniatał palcami. Jego oczom nie uszedł jednak najmniejszy szczegół zachowania się ich obydwu.

Gdy chłopak ociągał się z wyjściem, Fijek niemal wrzasnął. Wyszedł wreszcie.

Ale jego odejście kryło w sobie powstrzymany bunt.

To było bardzo wygodne, że restauracja znajdowała się akurat na wprost bramy numer osiem. Tym numerem był bowiem oznaczony dom, w którym zamordowano Lebiodę.

Sierakowski nie budował zresztą zbyt wiele nadziei na obserwacji. Możliwość jednak zerknięcia od czasu do czasu na teren zbrodni bez zwracania uwagi była nie do

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)
pogardzenia.

Firanka zasłaniała go dokładnie od strony ulicy. Szerokie zaś jej oczka nie

przeszkadzały zbytnio w obserwowaniu bramy i jej najbliższej okolicy.

Popijając oszczędnymi łykami piwo zastanawiał się nad wynikami dzisiejszego dnia. Blaszką i mańkut albo w każdym razie ktoś, kto potrafi się równie sprawnie posługiwać lewą ręką, jak i prawą. To były oczywiście zaledwie drobne ziarnka piasku. Ale przy sprzyjających okolicznościach mogły rozrósć się w górę, która zmiążdży zbrodniarzy.

Tylko te sprzyjające okoliczności... Otóż to...

Na dworze było już prawie ciemno. We wnęce przeciwległej bramy zapłonęła żarówka. Właśnie dzięki niej rozpoznał twarz Fijka. Dozorca postął chwilę, potem ociągającym krokiem wyszedł na ulicę.

Obejrzał się w jedną stronę. Następnie popatrzył w drugą. Wyglądało, jakby to wszystko czynił od niechcienia.

Sierakowski podniósł leniwie kufel do ust. Wyglądało...! Nie dla niego taka gra. Ten człowiek był w strachu. Jasne. Może chciał sprawdzić, czy dom znajduje się pod obserwacją, może co innego? Ale raczej właśnie to pierwsze.

Dlaczego go to obchodziło? Dlaczego się tego obawiał? Obydwaj Fijkowie stanowili jakąś zagadkę, to było widoczne. Czy miała związek z morderstwem? Pozory zdawały się na to wskazywać. Pozory jednak nie wystarczały. Musi zdobyć pewność. I rozgryźć, co w trawie piszczy.

Fijek zniknął. Powoli myśli Sierakowskiego zmieniły kierunek. Gdy późnym wieczorem wracał do domu, w głowie rysował się już pewien plan. Był jeszcze bardzo mglisty, z każdą chwilą przybierał jednak coraz bardziej konkretne kształty.

Pułkownik Kociuba słuchał uważnie, po czym zamyślił się.

- Cóż - przerwał wreszcie milczenie - oczywiście, nie można wykluczyć, że te

dwie sprawy mają ze sobą jakiś związek. Ale...

- Sposób dokonania morderstwa wskazuje, że nie mogli go dokonać

nowicjusze w tym „fachu” - podsunął Sierakowski.

Pułkownik pokiwał potakująco głową.

- Słusznie. Muszę was jednak uprzedzić, że jak dotąd materiał tamtego

dochodzenia widłami na wodzie pisany. Ale nie mam nic przeciwko temu, żebyście

spróbowali. Nie - potrząsnął głową - wręcz przeciwnie. Może...

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Podniósł słuchawkę, rzucając do mikrofonu kilka słów.

- Szczęśliwie się składa, że Kuraś akurat jest w urzędzie - odwrócił się do

Sierakowskiego. - Powiadomiłem go o wszystkim. Czeka na was. Powodzenia.

Kuraś rzeczywiście czekał. Nastrojony był całkiem sceptycznie.

- Istnieje gdzieś komórka terrorystyczna, spełniająca mokrą robotę na zlecenie

mocodawców z zagranicy. To fakt prawie pewny. Istnieje facet, któremu deptają po

piętach. To również fakt. Ale czy gość ma coś wspólnego z komórką... - wzruszył

ramionami. - Nawet nie nić, tylko pajęczyna. Albo i jeszcze mniej. Diabli wiedzą, czy

coś się z tego w ogóle wykluje. Ano, bardzo jestem rad ze spółki. We dwóch zawsze

rażniej.

*

Raz luksusowa kawiarnia, kiedy indziej obskurna spelunka na peryferiach

miasta. Gość w każdym razie miał dziwaczne upodobania.

Sierakowski obejrzał go na wszystkie strony: ani blaszek, ani mańkut. Nie

rozczarowało go to zbytnio. Wcale na to nie liczył, by od razu, za pierwszym

zamachem, miał trafić.

Ale jeżeliby naprowadził na ślad komórki?!

Tymczasem jednak nie zanosilo się na to.

Kuraś zaciskał zęby, klnąc na czym świat stoi. Niemal zaczynał już tracić nadzieję. Gość, owszem, spotykał się z wieloma osobami, z którymi o czymś ugwarzał ściszym głosem. Większość z nich udało się zidentyfikować. Niektórzy okazali się dość niewyraźnymi typami. Nie zarejestrowane pośrednictwo, spekulacja i tym podobne. Może nawet handel walutą. A nie o to przecież w tym wypadku chodziło. Sporządzono raporty, ptaszków zaś chwilowo nie ruszano. Nie należało płoszyć zwierzyny.

Sam Bielicki - tak się bowiem nazywał obserwowany - sprawiał wrażenie postaci najzupełniej praworządnej. Pracował w jednej z instytucji spółdzielczych na pracach zleconych. Zameldowany. Dowód osobisty jak złoto. Nawet przydział na kawalerkę, w której zamieszkiwał - w całkowitym porządku. Po posiedzeniach w zakładach gastronomicznych najrozmaitszego typu - teatr albo skromny powrót do domu. To było wszystko.

Esencjonalność poszlak, na podstawie których Kuraś wpadł na trop, zdawała się wietrzeć z każdym dniem.

Czyżby ślad był fałszywy i cała sprawa polegała jedynie na wykroczeniach

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

przeciwko przepisom natury gospodarczej? Kuraś nie rezygnował jednak. Bo jeżeli pod pokrywką handlowych rozmów kryło się całkiem co innego? Tacy potrafią puszczać pył w oczy. Do tego rodzaju roboty nie biorą przecież nieopierzonych żółtodziobów. Nie rezygnował również Sierakowski. Może kiedyś w końcu... Zresztą nie widział chwilowo żadnej innej drogi. Obserwacja Fijka, któremu przydzielono

„anioła stróża”, nie dawała absolutnie żadnych rezultatów. Tak samo obserwacja domu i pozostałych lokatorów.

Bielicki stanowił w tej chwili jedyną nadzieję popchnięcia sprawy naprzód.

Trzymał się go więc kurczowo, choć tropienie było uciążliwe i sprawiało masę kłopotów.

Najwięcej złościła konieczność ustawicznego przebierania się i charakteryzacji.

„W końcu stanę się czymś w rodzaju powieściowego Nata Pinkertona albo w najlepszym razie zyskam kwalifikacje podrzędnego aktora”.

Kuraś jednak pod tym względem pozostał nieubłagany. „Niech tylko zauważy, że mu ktoś łazi po piętach, cała sprawa od razu leży na obie łopatki. Już i tak się rozgląda na wszystkie strony. Wystarczy, żeby sobie przyuważył dwa razy tę samą twarz i adieu Fruziu”.

Trzeba było ustępować. Zresztą w głębi duszy przyznawał mu rację. Taka nieostrożność była niedopuszczalna. Siedział więc długie kwadranse przed lustrem, zmieniając swą powierzchowność.

Aż wreszcie któregoś dnia...

Nie, jegomość, który przysiadł się do stolika Bielickiego, nie odznaczał się niczym szczególnym. Mógł być równie dobrze, jak i inni jego kontrahenci, pośrednikiem zajmującym się sprzedażą miejskich nieruchomości. Albo handlarzem walut czy kimś w tym rodzaju. I ubranie, i sposób bycia najzupełniej by to przypuszczenie utwierdzały. Tylko gdy założył nogę na nogę i pokazał podeszwy...

Sierakowski stężał. „Głupstwo - mitygował się w duchu - dziesiątki tysięcy ludzi używa blaszek do obuwia”.

Ani na chwilę jednak nie spuszczał już z nieznanego oczu, choć niezmiernie

trudno byłoby to zauważyć.

Ujmuje filizankę - Sierakowski z trudem stłumił odruch rozczarowania.

Filizanka tkwiła w prawym ręku. Minęła dłuższa chwila. Teraz sięga po papierosy.

Uczył to lewą ręką. Może tylko dlatego, że pudełko znajdowało się w kieszeni po

lewej stronie marynarki? Ale dlaczego znajdowało się akurat tam? W czasie

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

manipulacji przy zapalaniu papierosa nadzieja znowu zaczęła krzepnąć.

Nieznajomy nie był mańkutom w ścisłym tego słowa znaczeniu. Ale w każdym

razie posługiwał się lewą ręką równie chętnie jak i prawą.

Jeżeli do tego dodać blaszki na podszwach...

Oczywiście mógł to być przypadkowy zbieg okoliczności. Należało jednak

zbadać sprawę do końca.

- Pójdę za tym drugim - rzucił z taką miną, jakby opowiadał doskonały kawał.

Kuraś roześmiał się na całe gardło.

- Świetnie - walił się po kolanie. - Muszę to puścić w kurs. Myślisz, że to twój

człowiek? - zapytał cicho.

- Czy ja wiem? To się okaże przy zamiataniu.

Pożegnali się ostentacyjnie. Sierakowski ruszył ku wyjściu. Korzystając z tłoku

skręcił niepostrzeżenie ku garderobie.

Kiedy opuszczał kabinę toaletową nikomu nie przyszłoby na myśl utożsamiać

go z mężczyzną, który wszedł do niej przed pięcioma zaledwie minutami. W kawiarni

było tłoczno. Sierakowski rzucił przelotne spojrzenie. Tamten jeszcze siedział. W

porządku.

Po wyjściu na ulicę przystanął w ciemnej wnęce sąsiedniej bramy. Drzwi

kawiarni trzaskały niemal ustawicznie. Nie podnosząc głowy strzelał uważnym spojrzeniem. Alarmy okazywały się fałszywe. Tamten wciąż jeszcze tkwił we wnętrzu. Czyżby zamierzał przesiedzieć do zamknięcia lokalu? Z trudem tłumiał rosnące zniecierpliwienie.

Po upływie kwadransa nieznajomy stanął w drzwiach kawiarni. Sierakowski przyłgął ciasno do muru, stając się niewidoczny w mroku wypełniającym wnękę. Potem ruszył za nim, zachowując bezpieczną odległość. Dość liczni przechodnie spełniali rolę mimowolnych parawanów. Kto wie, czy się nie obejrzy. Obejrzał się rzeczywiście. Potem powtórzyło się to kilkakrotnie. Ale nic nie wskazywało, że zauważył. Nie tak łatwo zresztą byłoby zauważyć Sierakowskiego, gdy pragnął tego uniknąć.

Minęli jedną ulicę, drugą.

Nagle zatrzymał się. Jeszcze jedno podejrzliwe zerknięcie dookoła. Wszedł do oświetlonych drzwi. Znowu lokal gastronomiczny. Tym razem znacznie podrzędniejszej kategorii. Coś pośredniego pomiędzy jadłodajnią a barem.

Sierakowski przeczekał chwilę i wszedł również. Nie było niebezpieczeństwa,

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

by tamten mógł go poznać. Zresztą wątpliwe, czy w ogóle zwrócił na niego w poprzednim lokalu specjalną uwagę.

Swobodnym krokiem ruszył w kierunku barowego kontuaru. Nie rozglądał się bardziej, niż uczyniłby to każdy gość wchodzący na kufel piwa.

Nieznajomy dosiadł się do stolika zajętego przez znacznie młodszego od siebie mężczyznę. Umówione spotkanie? Oczywiście, że tak.

Sierakowski wdrapał się na wysoki stołek. Stąd miał bardzo wygodne pole

obserwacji.

Nachyleni ku sobie rozmawiali o czymś z ożywieniem. Dałby wiele, by móc dosłyszeć choć parę słów. Ale podchodząc bliżej naraziłby się na zbyt wielkie ryzyko.

Zamówił piwo płacąc od razu. W ten sposób zachował swobodę ruchów. W pewnych sytuacjach nawet ułamki minut miały swoje znaczenie.

Powoli sączył ciepławy napój. Kto wie, jak długo przeciągnie się to posiedzenie.

Nie przeciągnęło się jednak. Zaczęli się rozglądać. Chcą przywołać kelnera?

Jednym haustem przełknął resztkę piwa, odstawiając niedbałym ruchem opróżniony kufel.

Leniwie zaczął lawirować pomiędzy ciasno sfłoczonymi stolikami. Wzrok tego z blaszkami przelotnie musnął jego twarz. Oczy patrzyły czujnie i badawczo. Ale nie było w nich błysku poznania czy choćby zastanowienia. Patrzył tak jak i na wszystkich innych.

W momencie, gdy za plecami opadła kotara zasłaniająca wejście, dotychczasowa ospałość ruchów Sierakowskiego zniknęła bez śladu. Jednym skokiem znalazł się w pobliskiej bramie. Jakaś pachnąca kotami klatka schodowa. Przewrócił płaszcz na ciemną stronę. Kapelusz zmienił na beret. Oczy skryły się za okularami.

Półmrok panujący na ulicach zastąpi resztę charakteryzacji. Wszystko razem trwało niespełna minutę. Wyjrzał z bramy. Właśnie wychodzili. Gdy mijali go, padło słowo „doktor”. Nastawił uszu. Doktor? To mogło być ciekawe! Nic więcej jednak usłyszeć nie zdołał. Szli szybko.

Ulice stawały się coraz bardziej bezludne. To komplikowało zadanie. Na szczęście latarnie były znacznie rzadsze, zaś niemal czarny płaszcz ułatwiał krycie się w

mroku. Gumowe podeszwy zapobiegały powstawaniu jakichkolwiek odgłosów.

Sierakowski od dawna już przestał być nowicjuszem w służbie. Oglądali się nieraz.

Niekiedy nawet przystawali. W pewnym momencie dojrzał błysk lusterka. Wydał

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

lekceważąco wargi. Stary trick. Ale to dowodziło, że nie było dla nich obojętne, kto

idzie z tyłu. Gorączka myśliwska rosła. Trop nabierał z każdą chwilą atrakcyjności.

Jakieś lepsze ptaszki. Czyż ludzie nie mający poważnych podstaw do obawy

zachowaliby się w ten sposób?

Ośmielony powodzeniem, przybliżał się coraz bardziej. Żeby tak ułowić jeszcze

kilka słów.

O mały włos nie skończyło się katastrofą. Stanęli raptownie, w momencie, gdy

tego zupełnie nie oczekiwał. Ledwo zdążył przywrzeć do muru mijanego domu. Stał

bez ruchu, wstrzymując oddech. Miał nadzieję, że zagęszczona pod wysoką ścianą

ciemność skryła go przed ich widokiem. Pewny jednak nie był. Przeżył bardzo przykre

chwile. Tamci zachowywali się swobodnie robiąc wrażenie dwóch znajomych, którzy

zamieniają ostatnie słowa przed pożegnaniem. Błysnęła zapalka. W ciemności

rozjarzyły się ogniki papierosów. W istocie rozglądali się długo i bardzo uważnie.

Dostrzegł lśnienie wysilających się oczu. Przesłonił swoje powiekami. Fosforyczny

błysk oczu w mroku, to bardzo zdradliwa rzecz.

- Zdaje się, że powietrze czyste - mruknął wreszcie chropowaty głos.

- Hm... wygląda, że nikogo nie ma - odpowiedział drugi. - Ale trzeba uważać...

Szczególnie jak się idzie do punktu. Szef mówił, że nam depczą po piętach. No, ale

chodźmy... Nie miejsce na przemówienia.

Sierakowski był napięty jak struna. „Szef”, „punkt”, „depczą po piętach”?

Czegóż mógł jeszcze żądać więcej?

Ogarnęła go nagle chęć natychmiastowego zatrzymania obydwu. To, że tamtych było dwóch i niewątpliwie gotowych na wszystko, nie powinno mieć żadnego wpływu na podjęcie decyzji. Pistolet tkwił już pod ręką w kieszeni płaszcza.

Po krótkim wahaniu zrezygnował jednak z zamiaru. Aresztowanie w momencie, gdy mieli zaprowadzić do meliny, w której na pewno siedzi cała szajka, stanowiłoby niedopuszczalny błąd.

Najgorsze, że nie miał żadnej możliwości porozumienia się z urzędem. Gdyby go sprzątnęli, nie, którą udało mu się wyłowić, zatonełaby z powrotem. A taki wypadek nie należałby do rzędu wyjątkowych. Ruszyli dalej, przyspieszając tempa z każdym niemal krokiem. Teraz nagle zaczęło się im spieszyć.

A w odległości kilkunastu metrów za nimi sunął, kryjąc się w mroku, Sierakowski.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Pułkownik Kociuba przetarł z namysłem szkła okularów.

- Dobrze, żeście nie czekali do jutra. Kuraś potrząsnął głową.

- Wyraźnie zapowiedział mi, żebym natychmiast zameldował, gdy tylko mój pójdzie spać.

- I poszedł? - uśmiechnął się lekko pułkownik.

- W każdym razie odstawiłem go do domu. Tam już opiekę przejął ode mnie towarzysz Buzek.

- Zauważyliście coś ciekawego?

- Niestety niewiele. Dziś jeszcze mniej niż zawsze. Przesiedział w kawiarni do dwudziestej pierwszej, oczywiście konferując z tego samego rodzaju typkami. Nic

konkretnego nie dało się z tego wszystkiego wyłowić. Z kawiarni zaś, wbrew swemu zwyczajowi, pomaszerował prosto do domu.

- A... - pukanie przerwało dalsze słowa. Kociuba zerknął pytająco na drzwi. -

Proszę - rzucił niezbyt zachęcająco.

Na progu stanął kapitan Kawecki. Był już w płaszczu.

- Dowiedziałem się, że podobno Kuraś coś przyniósł.

- Dobrzeście trafili - wskazał wzrokiem siedzącego wywiadowcę - włączcie i zamykajcie drzwi. Są nowiny. Prawie mańkut... i blaszka na podeszwie - streścił raport Kurasia. - Na pierwszy rzut oka pasuje. Gratuluję pomysłu.

Kawecki jednak nie miał miny triumfatora. Przeciwnie, zafrasował się.

- I poszedł za nim sam? - masował gładko ogolony podbródek. - Jeżeli nasze podejrzenia odpowiadają prawdzie, ludzie ci nie działają w pojedynkę. I w tej sytuacji taka eskapada jest co najmniej ryzykowna. Dlaczego nie zawiadomił urzędu o zamiarze śledzenia?

- Nie było żadnej możliwości - wyjaśnił Kuraś. - W kawiarni tej nie ma telefonu... ja zaś...

- Kuraś nie mógł spuszczać oczu ze swego typu - uzupełnił pułkownik.

- Tak - Kawecki miał coraz bardziej ponurą minę. - O której za nim wyruszył?

- O dziewiętnastej czterdzieści sześć - odpowiedział z pedantyczną dokładnością Kuraś.

- To znaczy, przeszło dwie godziny temu - kapitan zerknął na wysunięty spod mankieta zegarek - a przez dwie godziny mogą być Bóg wie gdzie.

- Powinniśmy mieć wiadomość - pocieszył go pułkownik - Sierakowski zapowiedział bowiem, że najpóźniej do dwudziestej czwartej skomunikuje się z nami

bez względu na to, co by zaszło.

- Bez względu na to, co by zaszło - powtórzył Kawecki, zapalając powolnymi ruchami papierosa. - To jednak nie jest takie ścisłe.

Ściągnął płaszcz, podchodząc ku stojącym w rogu gabinetu szaragom. -

Pozwolicie, towarzyszu pułkowniku?

- Zostajecie?

Spojrzał na niego ze zdumieniem.

- A jakżeby inaczej?

III. Ludzie po tamtej stronie zasłony

Skrupulatnie dosunięte story zasłaniały na głucho zamknięte okno. To oczywiście nie mogło budzić podejrzeń. Nikt nie lubi, gdy mu się zagląda do wnętrza mieszkania, szczególnie po zapaleniu świateł.

W niewielkim pokoju stało stęchłe, na wskroś przepojone mdłym odorem nikotyny powietrze. Było gorąco i duszno.

Rozparty w fotelu rysy człowiek coraz niespokojniej zerkał na wskazówki zegara. Usiłował to czynić w sposób niedostrzegalny dla otoczenia. Niedobrze okazywać podwładnym niepokój.

W tym mieszkaniu nazywano łysego człowieka krótko „szefem”. Byli tu tacy, którzy znali jedno z jego nazwisk. Ale prawdziwe znał tylko jeden człowiek i bynajmniej się nie kwapił z ujawnianiem. Szef tym razem spojrzał na zegarek całkiem otwarcie.

- Powinni już być - powiedział gniewnie.

Kobieta ziewnęła, przesłaniając niedbałym ruchem dłoni jaskrawo umalowane

usta.

- Te kilka minut...

- Minuty w naszych sprawach mogą decydować o wszystkim - popatrzył na nią złym wzrokiem. - Po tym zaś, jak szpicle zaczęli głęboko wsadzać nosy w tamtą sprawę tym bardziej.

- Tak - potwierdził szybko przysadzisty mężczyzna o rzadkich, niemal bezbarwnych rzęsach i brwiach, zwany tutaj „Czarnym”. - Jeśli ich przyskrzynili, leżymy wszyscy.

- Trzeba będzie sprawdzić, co się dzieje - zdecydował po krótkim namyśle szef.

W kącie pokoju siedział szpakowaty, wytwornie ubrany mężczyzna. Wzrok jego, ni to znudzony, ni to senny błędził gdzieś po suficie. Sprawiało wrażenie, jakby

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

cała ta rozmowa nie interesowała go.

- Jak pan uważa, doktorze? - zagadnął go szef. Wzruszył leniwie ramionami.

- Czy ja wiem... Może i rzeczywiście nie zaszkodziłoby sprawdzić -

odpowiedział leniwie, poprawiając kant nienagannie zaprasowanych spodni.

- Pójdzie więc... - szef zawahał się. Czarny raczej nie nadawał się do tego

rodzaju poleceń. Doktor zaś... Nie, doktor w tym wypadku w ogóle nie wchodzi w rachubę -...pani, Zoju!

- Dobrze - wstała bez pośpiechu, ale też bez specjalnego ociągania się.

Otworzyła lśniąca torebkę z plastyku. Cicho szcęknęła sprężyna repetowanej broni.

Mały oksydowany pistolet przypominał raczej zabawkę. Ale na bliską odległość działał skutecznie.

- Nadejdą od strony śródmieścia? - zatrzasnęła torebkę.

- Oczywiście. Po cóż mieliby nakładać drogi? Chyba - palce zacisnęły się na poręczu fotela - że ktoś deptałby im po piętach.

- Rozumiem. Jak długo mam obserwować?

- Powiedzmy, jakieś pół godziny.

Wyszła bez słowa. Ruchy miała wężowo gibkie. Szef wiódł za nią oczyma, dopóki nie zniknęła za drzwiami. Doktor postukiwał papierosem o pokrywę pudełka.

- Dobry członek organizacji powinien być dobrym członkiem organizacji... i

niczym więcej - powiedział oschle takim tonem, jakby po prostu rozważał na głos.

Pocisk jednak trafił pod właściwy adres. Szef zeszywniał w swym fotelu, zaciskając wargi.

Teraz ten zaczyna mu dawać nauczki. Istniały wprawdzie poważne względy, by traktować doktora zupełnie odmiennie niż innych podwładnych, pomimo wszystko nie powinien jednak nadużywać swej sytuacji.

Zamierzał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Nie było czasu na głupstwa.

Zoja dopiero na schodach pozwoliła sobie na pogardliwy uśmiech. Rozwój wypadków biegł tak, jak tego pragnęła. Miała nadzieję, że jeśli tak pójdzie dalej, to wkrótce będzie mu mogła pokazać, co o nim myśli. Ale nadzieja to jeszcze nie pewność. Na razie trzeba było się hamować. Już i tak zdarzały się momenty, gdy podejrzewała, że przejrzał jej grę.

Na tej długiej ulicy pozostało zaledwie parę nie zburzonych domów.

Oświetlone okna lśniły jak rzadkie gwiazdy. Postrzępione kontury ruin zdawały się

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

biec w nieskończoność po obu stronach szerokiej jezdni.

Tamci wciąż szli szybko i pewnie. Odgłos ich kroków rozlegał się głuchym

echem w otaczającej ciszy.

Teraz nie oglądali się niemal za siebie. Sierakowski jednak zachowywał bezpieczną odległość. Nie miał zwyczaju ufać pozorom, poza tym zaś pustka panująca na ulicy zmuszała do tym większej ostrożności. Za żadną cenę nie wolno spłoszyć zwierzyny, szczególnie w momencie, gdy wszystko zdaje się wskazywać, że naprowadza na cel.

Niekiedy uszu jego dobiegał szmer głosu. Odległość nie pozwalała na zrozumienie słów. Wysiłkiem woli powstrzymywał się, aby nie podejść bliżej.

Minęli zupełnie ciemną przecznicę. Tu nie było chyba ani jednego zamieszkałego domu.

Nagle drgnął. Ręka instynktownym ruchem wsunęła się do kieszeni płaszcza.

Palec namacał cyngiel.

Zza narożnika wypalonego domu wychynęła ludzka sylwetka.

Zbliżała się szybko, przecinając mu drogę.

Kobieta? Po chwili nie miał już żadnych wątpliwości. Smukła, o ruchach energicznych. Należało przypuszczać, że raczej młoda. Twarzy nie zdołał dojrzeć w mroku.

Dłoń nie cofała się od broni. Kobieta, mężczyzna, to nie miało znaczenia. W tej grze zdarzało się rozmaicie.

Przeszła tak blisko, że nieomal otarła się o niego ramieniem. Na krótki moment błysnęły oczy. Ruch głowy był zastanawiająco szybki. Potem znowu twarz stała się niewidoczna.

W nozdrza uderzył intensywny zapach perfum. Fiołki? Hiacynt? Raczej chyba jakaś kompozycja, i to - jak odniósł wrażenie - zagraniczna. Starał się utrwalić zapach

w pamięci. Kobieta mniej chętnie zmienia ulubione perfumy niż swój wygląd.

Szła dalej tym samym równym krokiem. Przecięła na ukos jezdnię zagłębiając się w ciemności przecznicy po tamtej stronie.

Sierakowski zwolnił nieco kroku, nie zaryzykował jednak zatrzymania się. Nie mógł wypuścić tamtych z zasięgu wzroku. Już i tak odległość niebezpiecznie zwiększyła się. Gdyby teraz nagle zniknęli w labiryncie ruin, mógłby szukać wiatru w polu.

Nie przestawał jednak nasłuchiwać odgłosu kroków kobiety. Bywają różne

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

tricki.

Jeszcze przez pewien czas dobiegał go słabnący coraz bardziej stukot wysokich obcasów, wreszcie ucichł w oddali.

Analizował w myśli przebieg nieoczekiwanego spotkania. Wyglądałoby na zupełnie przypadkowe, gdyby nie to, że nie słyszał, jak nadchodziła. Szczegół ten był zastanawiający. Na krótką chwilę przedtem, nim ją zobaczył, musiała stać nieruchomo gdzieś za węglem. Co tam robiła? Mało było prawdopodobnych powodów, mogących skłonić młodą i elegancką kobietę do zatrzymania się na tym odludziu.

Niespodziewana katastrofa z podwiązką? Ale po co miałyby się chować na ciemnej i pustej ulicy?

Obstawa pobliskiej meliny? Zaczerpnął głęboko powietrza. To było bardzo prawdopodobne. Tłumaczyłoby również wszystkie zagadkowe zjawiska, które by trudno inaczej wytłumaczyć. I nagłe wynurzenie się, i uparte odwracanie głowy, i błysk badawczego spojrzenia. Jeśli się nie mylił, to znajdujący się w melinie przestępcy zostaną w ciągu najbliższych minut ostrzeżeni o niepokojącej obecności kogoś obcego.

I prawdopodobnie o roli tego obcego również. Nie wysłała się przecież na obstawę żółtodziobów.

Zaklął w duchu. Ta możliwość diabelnie skomplikowała sytuację. Od tego momentu niebezpieczeństwo mogło nadejść z każdej strony. Nie będą przecież czekać z beczynnymi założonymi rękoma na dekonspirację.

Przez krótką chwilę zamigotała myśl o odwrocie. Odrzucił ją jednak zdecydowanie. Powracać z pustymi rękoma? Melina mogła być równie dobrze na tej ulicy jak i na dziesiątej. A człowieka z blaszką na podeszwie i zadziwiająco sprawną lewą ręką może już nie spotkać nigdy.

Przyspieszył tempa, by doprowadzić do poprzedniej odległości. Trudno. Może jakoś się uda. Zresztą czyż nie powinien być z góry przygotowany na podobne powikłania, wyruszając za domniemanym mordercą? Przecież od pierwszej chwili nie wierzył, by morderca ten działał w pojedynkę.

Dopóki mógł dosłyszeć, utrzymywała jednostajne tempo. Dopiero gdy skręciła za węgiel następnej przecznicy, zaczęła biec. Teraz już nie bała się, że ściągnie na siebie uwagę.

Pies gończy. Widziała go tylko przelotnie, ale to jej wystarczyło.

Skręciła ostro, wpadając w resztki zrujnowanej bramy. Niewidoczne w mroku

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

zwaliska i dziury, podstępnie ziejące w stropach piwnicznych, groziły co najmniej skruceniem nogi. Nie zwalniała jednak kroku ani na chwilę.

Znała tę drogę, że trudno lepiej. Mogłaby ją przebyć z zamkniętymi oczyma.

Jeszcze jedna brama. Ta trzymała się na włosku. Wyglądało, jakby każdej chwili miała runąć.

Znowu resztki rozwalonego budynku. Potem wypalona sień. Wreszcie wysoki sześcian ocalałego domu. Plamy oświetlonych okien ożywiały ciałną muru.

W kilku susach przebyła wąskie podwórko. Wpadła w tylne drzwi.

Przeskakiwała po parę stopni naraz. Gdy stanęła przed drzwiami, z trudem chwyciła oddech. Naciskając taster dzwonka w umownym rytmie zerknęła niespokojnie na zegarek osadzony w złotej bransoletce. Odetchnęła z ulgą. Nie było ostatecznie tak źle.

Pospali się tam wszyscy, czy co? - ogarniała ją coraz większa złość.

Wreszcie zgrzytnęły rygle, brzęknął opadający łańcuch. Czarny spojrzał na nią z wyraźnym zaniepokojeniem.

- Co się stało? - dopiero teraz wyjął rękę z kieszeni. Nie odpowiadając odsunęła go niecierpliwym ruchem ręki. Mogła sobie na to pozwolić. Ona, tak... I Czarny doskonale o tym wiedział.

Drzwi na końcu korytarza były jak zawsze zamknięte na głucho. Nacisnęła klamkę bez podania hasła pukaniem. To było niedozwolone.

Zerwali się gwałtownie z krzeseł. Brzęknął wywrócony przez kogoś kieliszek.

Dłonie jak na komendę szarpnęły się w kierunku obciążonych kieszeni.

Na jej widok ręce opadły. Wyraz niepokoju nie ustąpił jednak z twarzy.

Szef zmarszczył brwi.

- Co znowu za nowa moda - twarz nabiegła mu krwią.

- Wracają Grom i Dandy - wypaliła jednym tchem. - A tuż za nimi ciągnie szpicel - głos przerywała jeszcze resztką zadyszki.

Opadła ciężko na krzesło. Forsowanie ruin w tym diabelskim tempie wymagało nie byle jakiego wysiłku. W pokoju zapanowała nagle konsternacja. Czarny, który

wsunął się za nią, zamarł na progu.

- Szpicel?

Szef wyraźnie pobladł.

- Szpicel? - powtórzył. - Skąd pewność?

Tylko siedzący przy oknie mężczyzna nie zmienił sennego wyrazu twarzy.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Sprawiało wrażenie, jakby wiadomość nie dotyczyła go w ogóle.

Zoja wzruszyła ramionami.

- Nie urodziłam się dopiero wczoraj. Sunie na wszystkich żaglach - wparła

plecy w miękkie oparcie fotela. - Nasi holują go prosto tutaj.

Szef przesunął dłonią po łysinie.

- Gdzie... pani ich spotkała?

- Na rogu Fabrycznej i Dalekiej.

- Kiedy? - widać było, że już zdołał się opanować. Spojrzała na zegarek.

- Dokładnie sześć i pół minuty temu.

- Sześć i pół minuty? - obliczał w myśli odległość. - To przecież niemożliwe.

Chyba znacznie więcej.

- Nie. Biegłam skrótem.

- Hm... - sięgnął znowu ku łysinie, spostrzegł się jednak i ręka mu opadła w

połowie drogi. - Czy oni szybko idą?

- O wiele szybciej, niżby można było sobie tego życzyć, i

- Kiedy mniej więcej mogą dotrzeć przed dom?

- Czy ja wiem - zastanowiła się. - Jeżeli utrzymają dotychczasowe tempo,

prawdopodobnie za jakieś osiem minut. Najwyżej za dziesięć.

- Dziesięć minut - odsapnął z wyraźną ulgą Czarny. - W tym czasie zdążymy go gładko wyprawić na tamten świat.

Szef spojrział na niego ostro.

- Nie pytałem pana o zdanie. Czarny zeszywniał.

- Ja tylko tak... - wybąkał.

Szef spojrział wyczekująco w kierunku mężczyzny pod oknem.

- Jak pan uważa, doktorze?

Zapytany odwrócił powoli ku niemu twarz. Była w dalszym ciągu pozbawiona wyrazu.

- Cóż, w tej sytuacji, moim zdaniem, istnieją jedynie dwa wyjścia: albo uznać lokal za spalony i wycofać się jak najprędzej, albo też... - urwał wpatrując się znowu w sufit.

- Albo też?... - ponaglił szef. Istniały powody, dla których uważał jego wypowiedź za konieczną.

- No, w każdym razie tego rodzaju hm... nienormalna sytuacja musi ulec jak najszybciej likwidacji.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Innymi słowy: albo ucieczka, albo wykończenie szpicla? - sprecyzował szef.

Doktor milczał, przesuując ręką po czole takim ruchem, jakby masował nagle rozboleła głowę.

Ale szef już wiedział, co pragnął wiedzieć.

- A więc zostanie zlikwidowany.

Zoja ostentacyjnie spojrziała na zegarek. Małe wskazówki wędrowały naprzód z nieubłaganą dokładnością. Czarny wyprostował się.

- Załatwić to, szefie? - zapytał z gotowością, macając się znacząco po kieszeni.

Tego rodzaju zadanie pachniało zawsze grubszą premią.

- Nie - szef potrząsnął głową - użycie pistoletu tu w ogóle nie może wchodzić w rachubę. Śmierć musi robić wrażenie naturalnej.

Czarny rozmyślał z wysileniem. Nie lubił, gdy premia przemykała tuż koło nosa.

- Cegła? - powiedział wreszcie.

- Cegła, hm? - zastanowił się szef.

- Cegły nie spadają same z nieba - zauważył doktor.

- Ale, powiedzmy, silniejszy podmuch wiatru... - obstawał przy swym pomysle Czarny.

- Dziś nie ma wiatru - stwierdziła ponuro Zoja. - Już pozostało tylko siedem minut - dodała.

- Jeżeliby go ogłuszyć i do Wisły? - Czarny wysunął nową koncepcję.

Szef spojrział na niego lekceważąco.

- Myśli pan, że oni mają trociny we łbach? Nikt nie uwierzy, że z własnej ochoty poszedł się kąpać do rzeki. I do tego w ubraniu.

- Dziura w ruinach - powiedziała Zoja. - Są tu taki(piwnice, że mogą szukać do sądnego dnia.

- Hm... - szef zastanowił się. - To byłoby...

- On nie może zniknąć - oświadczył głos spod okna. Zoja odwróciła się zdziwiona.

- Musi zostać zlikwidowany i nie może zniknąć?

- Tak - głos był bezbarwny i jakby zmęczony - i jednocześnie żadne nici nie

mogą prowadzić w naszym kierunku.

Szef nagle wyprostował się na swym fotelu.

- Pan przecież przyjechał swoim wozem, doktorze?

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Tak - kąciki ust opadły nagle. Muskuly twarzy rozluźniły się. Potem wszystko wróciło do poprzedniego wyglądu.

- W takim razie... Do wypadku samochodowego nie potrzeba przecież współdziałania sił przyrody. A pod samochód wpadają nawet najprzyzwoitsi ludzie.

- Pięć minut - uprzedzała Zoja. - A może nawet cztery-

- Wazon - przypomniał doktor.

Zoja zerwała się i wybiegła do frontowego pokoju. Doktor bez pośpiechu wyciągnął płaszcz.

- A ja co? - stęknął Czarny. - Mam siedzieć z założonymi rękoma?

- Będzie pan ubezpieczać tyły. Szpik może w ostatniej chwili zawrócić.

- Wtedy cegła?

- Tak. Poza tym - rozwijał dalej myśl - wypadki nie zawsze bywają śmiertelne.

- Rozumiem. Będzie załatwione.

Zbliżali się do wielkiej kamienicy, sterczącej samotnie wśród gruzów.

Sierakowski naliczył pięć pięter. Większość okien szklila się martwo ciemnymi szybami. W niektórych jednak połyskiwał żółtawy odblask światła.

W jednym z okien pierwszego piętra stał jaskrawy wazon z jakimiś kwiatami.

Nie byłoby w tym ostatecznie nic zastanawiającego, gdyby nie to, że poza wazonem wisiała nieprzezroczyta firanka.

Dałby wiele, by wiedzieć, czy spojrzeli ku temu oknu. Głównie w każdym razie

nie odwrócili. Ale na to, by rzucić okiem, ruch głowy nie jest konieczny.

Poszukiwana melina, skąd sygnalizowano wystawianiem wazonu? Może. Ale z równie dobrym skutkiem mógł ktoś postawić wazon na parapecie okiennym, bo gdzie indziej zawadzał.

Nie przeszli na drugą stronę ulicy, nie zatrzymali się, nie zwolnili nawet kroku.

Chociaż w pewnej chwili wydało mu się, że zauważył coś jakby ledwo uchwytny moment wahania. Ale to mogło być złudzenie.

Na wszelki wypadek zapamiętał sobie dokładnie numer domu i położenie okna.

Trzeba będzie sprawdzić, co i jak.

Nagle drgnął. Dłoń jeszcze mocniej zacisnęła się na pistolecie. Z wnęki bramy zrujnowanego domu, obok którego właśnie przechodzili śledzeni, wyszedł przysadzisty mężczyzna.

Sierakowski mimo woli zwolnił kroku. To była zaskakująca niespodzianka. Dla

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

tamtych zresztą również. Stanęli jak wryci.

Co to wszystko mogło znaczyć?

Zaskoczenie tamtych trwało tylko chwilę. Już szli wszyscy trzej razem, przechylając ku sobie głowy. Dałby wiele, by usłyszeć, o czym mówili. Ale to było niemożliwe.

Jeszcze kilkanaście metrów i nowo przybyły odłączył się, przechodząc na drugą stronę ulicy. Potem ruszył w odwrotnym kierunku.

Sierakowski zjeżył się wewnątrz. Zamierza zejść z tyłu?! Nic jednak nie potwierdzało słuszności tego przypuszczenia. Odgłos samotnych kroków oddalał się słabnąc równomiernie. Wyglądało, że szedł, nie zatrzymując się. Takie samo jednak

wrażenie można wywołać tupiąc umiejętnie w miejscu.

Spojrzał przez ramię. Nie było go widać. No tak, w tych ciemnościach... W

każdym razie nie powrócił na ten chodnik. Chyba nie. Pewności jednak nie miał żadnej.

Sprawa mogła wyglądać bardzo paskudnie. Kocioł... Ale mogła też być całkiem

zwyyczajna. Ileż razy zwyyczajny zbieg okoliczności wprowadza człowieka w błąd.

Czarny wyskoczył z na wpół zawalonej wnęki całkiem otwarcie. Szpicel

zauważy, tak czy owak. A zresztą teraz to i tak nie robiło większej różnicy. Sprawa

została postanowiona i można było ją uważać niemal za załatwioną. Sposobu zaś

komunikowania się z tamtym światem jeszcze dotychczas nie wynaleziono.

Zresztą wystąpienie na widowni bez żadnych sztuczek należało do

bezpieczniejszych także z innego względu. Wszyscy w komórce wiedzieli, jak łatwo

Grom wyciąga pistolet. Gotów człowieka naszpikować kulami, zanim się zdąży

otworzyć usta. Szczególnie po zauważeniu wazonu.

- To ja - powiedział niezbyt mądrze, zezując na rękę Groma, która zagłębiła się szybko w kieszeni płaszcza.

- Smród? - Grom zrobił zwrot i stanął na moment.

- Nie zatrzymujcie się - syknął Czarny. - Idziemy dalej, jakby nic.

Usłuchali.

- Co śmierdzi w punkcie? - zapytał znowu Grom po przejściu paru kroków.

- W punkcie? To wyście naprowadzili morowe powietrze. Za wami szpicel. Nie oglądać się! - uprzedził szybko.

- Szpicel? - zachnął się. - Ausgekluczt.

- Lezie - potwierdził. - I gdyby nie Zoja, która to wywąchała, byłaby wsypa na

całego.

- Uważaliśmy - stęknął Dandy. Jego rozlazły głos w tej chwili wyraźnie

dygotał. - I...

- Gęba w kubel! - przerwał ostro Grom. - Też okazja, żeby mowę wstawić.

Czarny kiwnął głową. „Trzęsie portkami - pomyślał - I i żeby to pierwszy raz.

Skąd właściwie ten mięczak do takiej roboty? Grom to całkiem co innego. Niekiedy aż zazdrość brała: fachowiec”. - No i co dalej? - zapytał Grom.

W kilku zwięzłych zdaniach przedstawił plan działania. Grom odchrząknął z powątpiewaniem.

- Hm... samochód... A jeżeli w ostatniej chwili poczuje pismo nosem?

- Ja będę z tyłu.

- Aha - Grom uspokoił się. - Gdyby jakieś trudności, chętnie pomogę.

- Nie będzie żadnych. Pilnujcie tylko, żeby wasza część interesu wypadła na sto dwa. O resztę nie ma was co głowa boleć.

Odszedł w kierunku przeciwnego chodnika. Nie oglądając się rzucił w bok krótkie spojrzenie spod na wpół przymkniętych oczu: cień sunął bezszelestnie pod ścianami wypalonych domów. Wargi Czarnego wykrzywił grymas zjadliwego uśmiechu. Gdyby wiedział, dokąd żeglują, wziąłby nogi za pas. W tym właśnie sęk, że nie wie. I nie dowie się do samego końca.

Szedł jeszcze parę chwil, po czym skręcił raptownie za węgiel jakichś zwalisk.

Rozejrzał się, o ile na to pozwalały ciemności. Doskonałe miejsce na wypad.

Przystanął w miejscu nie przestając tupać.

Cegła?

To, co znalazł, było znacznie lepsze od cegły. Cały odłamek muru mocno

zespólny cementem. Zważył w rękę. Ani zipnie. I wyjdzie jak najbardziej naturalnie. Mógł przecież mu spaść na łeb z wysokości którejś ze ścian, trzymających się kupy licho wie jakim cudem. Gdzieś niezbyt daleko warknął nagle motor. Czarny nadstawił niespokojnie uszu. Już? Co znowu za historia? To byłoby przecież o wiele za wcześnie. Odgłos umilkł. Czarny uśmiechnął się aprobująco. W porządku. Trzyma motor na gazie. Dobrze pomyślane. Takiego nie trzeba uczyć.

*

Jakiś szelest za plecami? Sierakowski obejrzał się nad słuchując z napięciem. Nie widział nikogo. Wzrok jednak niewiele dawał w tych warunkach. Bardziej można było zaufać uszom. Szelest ustał. W każdym razie nie był to odgłos kroków. Wyglądało na to, że z tyłu nie zagrażało w tej chwili niebezpieczeństwo. Tu już nie było żadnych zamieszkałych domów. Nie wierzył, by melina znajdowała się w piwnicy, To pasowałoby raczej do początkujących rzezimieszków. Lepiej zaprawieni wiedzą doskonale, że najłatwiej się ukryć w gęsto zaludnionym domu. Pomyślał o telefonie. W razie jakiejś grubszej historii trudno będzie coś zdziałać w pojedynkę. Ale to było marzenie ściętej głowy. A jeśli by z nim coś... Taka ewentualność zawsze przecież wchodziła w rachubę. Cholera, żeby choć jakaś skrzynka pocztowa. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie mogło być o tym mowy. Kto by tutaj zawieszał skrzynki? Uświadomił sobie teraz, że musi zostawić za sobą jakiś ślad. Gwałtownie wysiłał teraz umysł. W zabawach dziecięcych często rysuje się strzałki na murze, by wskazać miejsce ukrycia jakiejś „okropnej” tajemnicy. Uśmiechnął się mimo woli. To zakrawało na sytuację z kiepskiej książki kryminalnej

dla starszej młodzieży. Powoli zaczął się kształtować pomysł. Jeżeliby na przykład pozostawić jakąś kartkę, na wszelki wypadek...

O ile wszystko minie gładko, za żadne skarby nie przyzna się nikomu do podobnie fantastycznego pomysłu.

Wyciągnął notes. Zatrzymał się. Szybko skreślił kilka słów. Wsunął kartkę pod jakąś luźną cegłę. Wypisał kawałkiem cegły na sterczącym ułamku ściany numer swego służbowego rejestru. Niewtajemniczonemu nie powie nic, gdy zaś spojrzy któryś z kolegów... Dopiero teraz opadły go wątpliwości. Mogą minąć całe lata i nikt nie zwróci na to wszystko najmniejszej uwagi. Ale ostatecznie nic nie tracił.

Spojrzał w kierunku idących przed nim sylwetek. Odległość wzrosła tymczasem niepokojąco. Przyśpieszył kroku. W mózgu tkwiła dokuczliwa myśl: w jaki sposób można by zwrócić uwagę na kartkę i miejsce jej ukrycia?. Nagle wpadł na pomysł.

Wydobył legitymację i skreślił na odwrocie celofanowej osłony dwie małe literki. Resztę musieli sobie dośpiewać. Po przebyciu paru dalszych kroków wątpliwości odezwały się z poprzednią siłą. Gdyby nawet sobie dośpiewali, to i co z tego? Ruin przecież w najbliższej okolicy całe setki. Znowu sięgnął po legitymację i zrobił lekką kreskę pod numerem.

Przekręcił kluczyk starteru. Motor zagrał. Trudno się było domyślić tej potężnej siły w tak niepozornym wozie. Ale w pewnych wypadkach właśnie ta ukryta

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

moc motoru oddawała nieocenione usługi. Zapуścił wzrok w ciemny wąwóz ulicy.

Jeszcze czas - przesunął końcem języka po nagle zaschłych wargach. Jakby się

wszystko w nim zaczęło rozpręgać - to było paskudne uczucie. Doznawał go zresztą

nie po raz pierwszy w podobnych sytuacjach.

Zaklął bezgłośnie. Palce wyłuskały z wewnętrznej kieszeni małe, płaskie pudełko ze srebra. Kiedyś służyło jakiemuś elegantowi za tabakierkę. Teraz miało całkiem inne przeznaczenie.

Nabrał końcami paznokci szczyptę delikatnego pyłu i podniósł do nosa. Przez krótką chwilę miał przykre, aż bolesne wrażenie zamarzania w nozdrzach. Potem cały świat nagle zaczął się rozjaśniać. Zniknęły ciemne kontury. Wszystko stało się przejrzyste i nie budzące żadnych wątpliwości.

Suchy śnieg - pomyślał niemal tkliwie. Bez niego byłoby niekiedy bardzo trudno.

Patrzył teraz w szybę bez zmrużenia powiek. Dlaczego by nie?

Nafosforyzowana strzałka sekundnika zakreślała rytmicznymi skokami krąg wokół czarnej tarczy osadzonego w tablicy rozdzielczej zegara.

W pewnej odległości przed maską samochodu światło samotnej lampy spływało nikłą poświatą na skrzyżowanie dwóch ulic. Popękany asfalt wyglądał jakby go polane wodą. To właśnie tam. Na oświetloną przestrzeń wstąpił sylwetki dwóch ludzi.

Pochylił się nad kierownicą. Jeszcze parę sekund...

Sierakowski patrzył przymrużonymi oczyma w głąb ulicy. Istnienie meliny na Fabrycznej było raczej nieprawdopodobne. Ulica w zupełności odpowiadała swojej nazwie. Po obu stronach ciągnęły się budki warsztatów i wysokie płoty kryjące najrozmaitsze składy. I prawie na każdym placu wartownik albo co najmniej nocny dozorca.

Przebiegł w myśli topografię najbliższych ulic. Hm... Coś tu nie pasowało. Albo wszystkie domysły o bliskości meliny były z gruntu fałszywe, albo też starali się go

odciągając jak najdalej od tej, obok której już przeszli.

Zacisnął zęby. To byłoby fatalne. Jeżeli są ostrzeżeni, będą mieli dość czasu, by uprzątnąć wszystko do czystaj Niech to wszyscy diabli! I tak źle, i tak niedobrze. Na Fabrycznej z pewnością można znaleźć telefon. Jeśli jednak skorzysta z tej okazji, będzie to równoznaczne z wypuszczeniem tych ptaszków z garści. Żeby choć miał pewność że wazon w oknie oznacza w rzeczywistości melinę...

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Machnął z rezygnacją ręką. Nie ma mowy, by udało się złapać obie sroki za ogon. W tych warunkach nie pozostawało nic innego, jak brnąć dalej tropem, który trzyma w garści.

Wędrówka trwała. Szli i szli. Nie rozmawiali teraz ani nie oglądali się. Licho wie, co mogła oznaczać ta niezrozumiała zmiana. Ten trzeci przecież dostrzegł go z całą pewnością. I nie zawrócił, by ostrzec kumpli? Może uczynił to przedtem. Ale w takim razie...

Wszystko zaczęło się plątać w jakiś niemożliwy galimatias.

Od podejrzanego domu odeszli co najmniej półtora kilo metra. Dokąd go mają zawlec w rezultacie? No cóż. Każda droga musi mieć swój kres. Wtedy zobaczy się, jak przyjdzie postąpić dalej.

Przechodzą na drugą stronę ulicy. Żeby choć któryś zerknął w tył! Przedtem przecież wyczyniali najbardziej ryzykowne sztuczki, by mieć zaplecze na oku.

Dziwne...

Lampa wisiała wysoko i nie dawała silnego światła. Gdy się jednak znalazł w zasięgu jej promieni, musiał przymrużyć nieco oczy.

Powietrze w pokoju było aż gęste od dymu. Nic zresztą dziwnego. Obydwaj

palili niemal nie wyjmując papierosa z ust.

Kociuba zamieszał odrobinę fusów pozostałą na dnie szklanki i podniósł ją do ust, filtrując napój przez zęby.

To już w niczym nie przypominało smaku kawy. Ale nie chciał znowu wzywać dyżurnego. I tak chyba przynosił mu z dziesięć razy. Ostatecznie każdy człowiek ma prawo do odrobiny spokoju w nocy. Chociażby mu akurat wypadła służba.

Kawecki poruszył się ociężale na fotelu.

- Druga - wpatrzył się niewidzącym wzrokiem w papierosa, którego od kilku minut obracał w palcach.

- Tak - potwierdził Kociuba - druga. - Musnął niemal wrogim spojrzeniem milczący telefon na biurku. - Nawet trzy po drugiej - dodał, patrząc na wskazówki zegara. - I... nic.

Wreszcie zdecydował się zapalić.

- Jeżeli Sierakowski natrafił na człowieka, którego szukał... - zaczął, zaciągając się głęboko

- Wszystkie okoliczności zdają się na to wskazywać - wpadł mu w słowo

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

pułkownik. - Wszystkie! - powtórzył z naciskiem.

- To, że dotychczas Sierakowski nie dał znaku życia, również?

Kociuba pokiwał powoli głową.

- Pragnąłbym okazać się fałszywym prorokiem. Zapukano do drzwi.

- Proszę!

Obydwaj wlepili wyczekujący wzrok. Na progu jednak stanął Kuraś:

- Ja bardzo przepraszam, ale chciałem się dowiedzieć...

- My także - sarknął Kociuba. Przyjrzał się wywiadowcy, którego zmięta twarz świadczyła, że nie spał ani chwili. - Dlaczego nie poszłście do domu? - zapytał o wiele cieplejszym tonem. - Przecież nie macie dziś służby?

- Nie - zmieszał się - ale że to z tym Sierakowskim.. Jestem w pokoju dyżurnych i gdyby coś, jeśliby można pro sić, towarzyszu pułkowniku...

- Jasne, że was natychmiast zawiadomię. Ale powinniście się trochę przespać. Organizm ludzki to nie maszyna.

Kociuba patrzył w zamyśleniu na drzwi, które zamknęły się za wywiadowcą.

W tej samej chwili zaterkotał telefon. Kociuba gwałtownie sięgnął po słuchawkę. Kawecki zerwał się z fotela.

- Wasza pani - oznajmił zgaszonym tonem Kociuba podając mu słuchawkę. - Jest wyraźnie niespokojna - do dał ciszej.

Kawecki szybko rzucał do mikrofonu.

- Tak, to ja. No cóż, trochę roboty. Powinnaś się chybi już do tego przyzwyczać. Nie, wcale nie jestem zdenerwowany. Wszystko w porządku. Wracam wkrótce - odłoży słuchawkę na widełki. - Wszystko w porządku... - powie dział z goryczą jakby do siebie.

- Los naszych żon jest stanowczo nie do pozazdroszczenia - skomentował Kociuba, któremu widocznie ciążył milczenie.

- Sierakowski, zdaje się, nie jest żonaty? - zapytał Kawecki w taki sposób, jakby to pytanie wynikało z poprzedniej rozmowy.

- Wdowiec. Od kilku lat.. Gdzieś za ścianą rozległ się blaszany dźwięk bijącego zegara. Wskazówki stojącego na biurku wskazywały wpół do trzeciej. Kociuba dźwignął się ciężko.

- Chyba już nie ma na co czekać. Pójdziemy? W razie czego dyżurni dadzą nam znać przez telefon.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Przeczekał chwilę kryjąc się w załomie muru narożnej ruiny. Przechodzenie jezdni wymagało szczególnej ostrożności. Gdyby się któryś akurat odwrócił, byłby zdemaskowany. Jezdnia w tym miejscu miała dobrych kilkanaście metrów szerokości. Zszedł z chodnika, zamierzając przebyć ją jak najszybciej. Nagle w ciszę wdarł się ostry warkot motoru. Ależ gazuje - spojrzał w tym kierunku, z którego, jak sądził, dobiega odgłos. Nie dostrzegł jednak nic. Mrok poza granicami światła latarni zgęszczał się w niemal zupełną czerń. Wzrok natrafił na biało-czerwona tarczę oznajmiającą o zamknięciu Semaforowej dla ruchu pojazdów. Prawda - przypomniał sobie rozkopaną przez całą szerokość jezdnię. Swoją drogą, jak to słuch w tych ruinach myli. Byłby niemal przysiągł, że to właśnie stamtąd. Przestał się zajmować niewidzialnym samochodem. Nie należało się rozpraszać.

Znajdował się mniej więcej na środku jezdni, gdy znów uświadomił sobie, że warkot narastał z piorunującą szybkością. Nie mógł się tylko zorientować, z której strony. Co u licha? To przecież nie mogło być daleko. Wreszcie nie pozostawało już miejsca na żadne wątpliwości. Gwałtownie odwrócił głowę w kierunku Semaforowej. Odblask światła z lampy ulicznej odbił się od niklowanej powierzchni samochodowego zderzaka, który znajdował się przeraźliwie blisko. Rozpaczliwym zrywem szarpnął się w tył. Zdążył. Ale jednocześnie w ułamku sekundy dojrzał, że zderzak wykręca w ślad za nim. Nagłe olśnienie przeszło mózg: więc chcieli w ten sposób? Jeszcze raz porwał się do skoku. Wszystko to odbywało się w tak błyskawicznym tempie, że ruchami jego kierował raczej instynkt niż świadomość.

Pół kroku i będzie ocalony. Ale w tej samej chwili strumień oślepiającej jasności uderzył w oczy i nagle lewa część ciała stała się wielkim ogniskiem niemożliwego do zniesienia bólu. Ostatnim rozbłyskiem świadomości poczuł, że jakaś przemożna siła porywa go w powietrze. Po krótkiej chwili nie czuł już nic.

Grom dotknął nieznacznym ruchem łokcia Dandego.

- Starczy - syknął. - Do samego Wilanowa zamierz hrabia gazować?

Dandy zatrzymał się bez słowa. Grom miał rację. Dalszy marsz był już niepotrzebny.

- Czego stoisz jak słup? Myślisz, że tamten ślepy? - popchnął go za występ muru, przywierając obok niego do ściany. - Nie wychylaj się!

Nie trzeba było się wychylać, by widzieć. Wszystko, co zaszło następnie,

trwało zaledwie sekundy: warkot pracującego na maksymalnych obrotach silnika,

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

sylwetka miotająca się na jezdni w oślepiających strumieniach światła które lunęły z nienacką z potężnych reflektorów, i wreszcie samochód wpadający na człowieka.

Dandy oparł się o mur przełykając głośno ślinę. Widać było, że całym

wysiłkiem woli zwalcza postępujący ku gar dłu atak torsji.

- Gnida zapowietrzona - powiedział półgłosem Grom. Warkot motoru cichł.

Przy tej szybkości samochód mu siał już być daleko.

Ostry gwizd przeszył powietrze.

- Chodźmy! - Grom opuścił kryjówkę. - To Czarny. Podeszli bliżej. Ruchy

Dandego były automatyczne i niemrawe. Sprawiał wrażenie na pół przytomnego..

- Oglądajcie sobie to padło - Czarny skąpym ruchem głowy wskazał skurczone

ciało leżącego. - I gdyby trzeb było coś poprawić... - palce jego wykonały w powietrz

charakterystyczny gest. - Ja tymczasem przyuważę, czy powietrze czyste...

- Poprawić? - zarechotał Grom. - Oczywiście. Dandy do takich operacyjek wprost się pali.

Dandy zrobił ruch, jakby się chciał cofnąć. Grom jednak pociągnął go niemal siłą.

- Znamy takich facetów, którzy by zawsze chcieli odstawić „świece” i inne duperełki, a forsiaki zbierać. Tym razem nie, panie „De” - aż parsknął z zachwyty nad swym powiedzonkiem. - Starczy Czarny na nasze potrzeby.

Zmusił go do nachylenia się nad leżącym.

- Sprawdzaj, czy nie zipnie!

Sprawdzać jednak musiał wszystko sam. Dandy był ni żywy, ni martwy.

- Szafa gra - oznajmił po pewnym czasie - gość usztywniony na sto dwa.

- Ba... - pokiwał głową Czarny - kiedy taki spec jak doktor zakręci korbą... Co ma w kieszeniach? - dodał nagłaco. Grom naciągnąwszy rękawiczki zaczął przetrząsać kieszenie zabitego.

- Spluwa - wyłuskał pistolet, odciągając ostrożnie lufę. - Kula na widelcu i szperklapa do góry - raportował dalej - żeby nie doktor, moglibyśmy beknać.

- Ładuj z powrotem. Grom nagle się nastroszył:

- Ty, bracie, odrobinę przyhamuj, dobrze? Rozkazywać sobie możesz swojej cioci, kape?

Czarny milczał.

Grom szperając po kieszeniach znalazł mały kartonik w przezroczystej okładce z celofanu. Podniósł do oczu i zagwizdał cicho przez zęby.

- Ubek jak jasny gwint, pieska jego niebieska.

- A tyś myślał, że co? Kurator dla nieletnich? - nie mógł się powstrzymać

Czarny. I widząc, że Grom otwiera usta, by zareplikować, dodał szybko: - Szeff kazał, żeby nie tracić czasu.

Samochodem zarzuciło. Doktor przez chwilę szarpał się za kierownicą. Coś zadzwoniło brzękliwie o błotnik. Co: historia? - aż się obejrzał. Widok zwalonego na asfalt znaku drogowego wyjaśnił mu przyczynę niepokojącego odgłosu.

Przyhamował, potem dodał znowu gazu. Motor pracował bez zarzutu.

Zatrzymał się dopiero na trzeciej ulicy. Wsiadł z przetruszczonej szmatą w rękach.

Roboty było dużo. Błotnik, zderzak, a nawet maska. Przyjrzał się krytycznie samochodowi.

- Na nic - potrząsnął głową. - W tym stanie nie można prowadzić wozu przez miasto. Błotnik pomiętoszony oprócz tego twardy kant metalowej tarczy znaku drogowego go poodbijał w kilku miejscach emalię. Zasiadł za kierownicą zamyślając się. Mózg pracował coraz ospalej. Narkotyk przestawał działać i przychodziła niemal z reguły na stępująca po jego użyciu ociężałość.

- Psiakrew! Skutkuje na coraz krótszy czas - skonstatował ze złością. Zwolnił hamulec. Był pewien warsztat, do którego można wstawić samochód o każdej porze dnia i nocy. Właściciel nie odznaczał się zbytnią ciekawością, aby mu tylko dobrze zapłacić i nie żądać pokwitowania.

Ruszył wolno.

Telefon odezwał się dopiero nad ranem. Kociuba wysłuchał w ponurym milczeniu raportu, po czym zadzwonił do mieszkania Kaweckiego. Był pewien, że go obudzi. Okazało się jednak, że kapitan był gotowy do wyjazdu i tylko czekał na

polecenie. Widocznie ktoś musiał go zawiadomić. Rozmowa trwała krótko. Kawecki sam wiedział doskonale, co ma robić w tego rodzaju wypadkach.

Pierwsze zresztą, co zrobił w rzeczywistości, to było ustawiczne namawianie kierowcy urzędowego wozu do przekraczania dozwolonej szybkości.

- Prędej, kolego; prędzej! Bo jak nam miejscowy korni sari al zreferuje sprawę, potem sam czort jej nie rozgryzie.

Po przybyciu na miejsce długą chwilę stał nieruchomy milczący nad ciałem Sierakowskiego.

Potem nagle nabrał życia i zaczął brać wszystkich członów ekipy śledczej do

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>) ostrego galopu.

Sporządził swój własny szkic terenu i ruszył w kierunku Semaforowej.

- Przecież tam ruch kołowy zamknięty - uprzedził go funkcjonariusz.

- Hm? - kapitan popatrzał znacząco na białą-czerwoną tarczę. - Tego można się od biedy domyślić.

Długo oglądał jezdnię.

- Dziwne - mrucał cicho. - Czyżby tu w ogóle ludzie nie chodzili?

W gabinecie Kociuby została zwołana narada. Kawecki z hałasem rozkładał protokoły i szkice. Wyczuwało się, że rozrzutną energią ruchów usiłuje pokryć zdenerwowanie, nikogo to nie zdziwiło. Panował nastrój powagi, niemal przygnębienia.

- To mi coś nie gra - Kawecki tknął końcem ołówka i kreskę, oznaczającą położenie zwłok Sierakowskiego. - Gdyby samochód uderzył Sierakowskiego z tej strony - ołówek ilustrował w powietrzu sytuację - ciało powinno leżeć w takiej pozycji

- znowu zaznaczył ponad szkicem. - Gdyby stąd, w takiej. Ale tak, jak leżało w rzeczywistości... - wzruszył ramionami.

- A wy jakiego jesteście zdania? - Kociuba spojrział na Suskiego, który był najlepszym na terenie całego urzędu specjalistą od zagadnień samochodowych.

Suski w skupieniu studiował szkic.

- Ciało znalezione w tej pozycji? - zapytał wreszcie.

- Tak - potwierdził Kawecki. - Wymierzyłem co do centymetra.

- Hm... - Suski pomacał się po kieszeniach, pożyczając wreszcie ołówek od Kaweckiego. Widać było, że sprawdza rozumowanie kapitana. - To istotnie dziwne.

Kornacki od dłuższej już chwili zastanawiał się ni czymś.

- Ale przecież przy dużej szybkości samochodu uderzone ciało może padając przybrać najrozmaitsze pozycje.

- Tak - zgodził się Suski - ale nie wszystkie, jakie można sobie wyobrazić.

Prawa fizyczne nie przestają i tu działać. I właśnie jeżeli chodzi o tego rodzaju sytuację

- wskazał na szkic - jest ona z tymi prawami sprzeczna.

Kornacki wziął z podstawki gumę do ołówków.

- Powiedzmy, że to jest człowiek - postawił ją pionowo na biurku. - Nadjeżdża

pędzący z najwyższą prędkości samochód. Jezdnie w nocy sprzyjają tego rodzaju

wyczynom. Szczególnie w tamtej dzielnicy. Uderza - uderzona szybkim przytknięciem

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

palców gumka podskoczyła, przekręciła się w powietrzu i miękko plasnęła o podłogę.

- No? - patrzył na nią znacząco.

Kociuba nachylił się również.

- Macie na myśli, że ciało mogło wykonać również ten rodzaj salto?

- Właśnie.

- Ciało ludzkie nie jest elastyczne - powiedział z namysłem Suski.

- Wiem o tym - upierał się przy swojej koncepcji Kornacki - ale przy bardzo gwałtownym uderzeniu... Czy to jest w ogóle niemożliwe?

Suski podniósł gumkę, położył na biurku i powtórzył doświadczenie

przeprowadzone przed chwilą przez Kornackiego, obserwując uważnie jego przebieg.

- Niemożliwe nie. Ale to mogłoby się zdarzyć raz na tysiąc wypadków.

- Mnie to nie przemawia do przekonania - oświadczył Kawecki.

- W takim razie wyjaśnijcie tę pozycję - Kornacki zaperzył się.

Kociuba machinalnym ruchem dotknął oprawy swych okularów.

- Czy nie znaleźliście żadnych śladów wskazujących, że ciało zostało przeniesione już po śmierci? - zwrócił się do Kaweckiego.

- Nie. Mnie to również przyszło na myśl..

- Czy na miejscu, gdzie znaleziono zwłoki, są plamy krwi?

- Nie ma. Ale lekarz twierdzi, że przy tego rodzaju obrażeniach wewnętrznych, które w tym przypadku stanowiły przyczynę śmierci, wylewy na zewnątrz bywają niezmiernie rzadko.

- Uhum... - Kociuba znowu pochylił głowę nad szkicem. - Jak wygląda sprawa odcisków opon?

- Odkryliśmy ich całą masę. Pomimo wysiłków jednak nie zdołaliśmy ustalić, które z nich miałyby w tym wypadku znaczenie.

- Nawet w przybliżeniu? Kawecki westchnął.

- Niestety.

Pułkownik pomyślał przez chwilę.

- A jeżeli chodzi o Semaforową?

- Zbadałem tam również jezdnię. Nie dostrzegłem żadnych śladów. Ani opon, ani nawet stóp ludzkich. Zupełnie jakby asfalt został zmyty.

- Zmyty - pułkownik wyprostował się nagle. - A przecież dziś w nocy nie padał deszcz.

- Nie było deszczu, ale nad ranem mieliśmy dość silny wiatr. Tamtejsze ruiny

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

stanowią zaś prawdziwą zbiornicę pyłu i wszelakich śmieci. W ciągu tych kilku godzin, które dzieliły śmierć Sierakowskiego od znalezienia jego ciała, ten odcinek jezdni upodobił się do reszty.

Zapadła przeciągła cisza.

- Żeby człowiek, który jest na najlepszej drodze do odkrycia, akurat poniósł śmierć - przerwał ją Kornacki.

- He? - Kawecki spojrzał na niego z ukosa. - Dlatego właśnie poniósł, że był na tej drodze.

Suski pogładził podbródek.

- To bardzo możliwe.

- Pewne - poprawił Kawecki. - Dla mnie to nie budzi najmniejszych wątpliwości.

Widać było, że Kornacki nie wierzy.

- Morderstwo przy użyciu samochodu? - w głosie brzmiało wyraźne powątpiewanie.

- Zdarza się - zabrał głos Kociuba. - I nawet niekoniecznie musi świadczyć o jakiejś specjalnej i wysokiej klasie przestępczej. Wystarczy, by akurat mieli samochód

pod ręką. Wrzucenie do wody, zepchnięcie pod pociąg. Znam sporo sposobów popełniania morderstw z intencją nadam im pozorów przypadku.

- Ale przecież od samochodu można uciec. Suski uśmiechnął się blado.

- Przy rzeczywistych wypadkach, gdy zarówno kierowcy jak i ofierze zależy na uniknięciu najechania, nie zawsze się to udaje. Wystarczy zajrzeć do statystyki. Gdy zaś kierowca specjalnie dąży do tego... Nie - potrząsnął głową. - To wcale nie takie proste.

Kociuba przysunął sobie bloczek.

- Milicja - zaczął sobie notować - będzie prowadził dochodzenie jak przy wypadku. My zaś nastawimy się ni rozmyślne morderstwo.

- Cóż - Kornacki trochę niezdecydowanie kiwnął głową - to jest zupełnie słuszne postawienie sprawy i jeden z tych kierunków musi w końcu doprowadzić do celu. A który....

- Zobaczymy - Kociuba nie przestawał pstryć bloczku ciasnymi rzędami drobnych literek. - Przy koncepcji zbrodni nasuwa się natomiast pytanie: jaki był bezpośredni jen powód?

- Skoro przyjmujemy, że Sierakowski był na tropie morderców... - zaczął

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Kornacki.

Ołówek pułkownika zatrzymał się.

- To nie byłby wystarczający powód. Wbrew powszechnemu mniemaniu, przestępcy traktują zabójstwo członka aparatu śledczego za ostateczność. To przecież wielkie ryzyko. Jeżeli był na tropie i nie usiłował ich zatrzymać, to dowodziłoby, że miał nadzieję, iż doprowadzą go do czegoś konkretnego. W tym przypadku mieliby

setki innych, znacznie mniej ryzykownych sposobów, by go zmylić i w końcu ulotnić się.

- Musiał widocznie już być bliski jakiegoś odkrycia - wtrącił Suski.

- Sądzę raczej, że już tego odkrycia dokonał - powiedział Kawecki. - Albo przestępcy byli pewni, że go dokonał - dorzucił po chwili.

- Musieli się dowiedzieć o tym na pewien czas przed morderstwem - rozważał na głos Kociuba - inaczej użycie samochodu nie byłoby możliwe.

- Ale jeżeli odkrył jakąś rzecz o pierwszorzędym znaczeniu dla sprawy, dlaczego nie dał o tym znać? - zapytał Kornacki. - Na Fabrycznej przecież od biedy można znaleźć telefon.

- Tak - Kociuba znowu coś zapisał na bloczku - niewątpliwie... Ale decyzja wypuszczenia z rąk kogoś, kogo się uważa za mordercę, wcale nie należy do tak łatwych. Szukanie zaś telefonu byłoby w tych warunkach jednoznaczne z zaniechaniem dalszego śledzenia człowieka z blaszką.

- Otóż to - mruknął Kawecki. Kociuba podniósł wzrok.

- Jak uważacie - spojrzał pytająco na Suskiego - czy tego rodzaju... hm... zderzenie mogło pozostawić na samochodzie jakieś trwałe ślady?

- Mogło pozostawić.

- Jakie?

- To trudno określić dokładnie. Powiedzmy: pocięcie błotnika. Zdarza się również, że ciało podciętej w nogach ofiary uderza górną połową o maskę. To mogłoby dać pewne wgniecenie. Miałem już do czynienia z takimi wypadkami.

- A jeżeli chodzi o zderzak? Suski zastanowił się.

- Hm... Zależy od konstrukcji wozu. W każdym razie uszkodzenie zderzaka

zdarza się o wiele rzadziej. Zresztą - dodał ostrożnie - należy wziąć w rachubę również możliwość, że wóz nie doznał absolutnie żadnych uszkodzeń.

- Jednym słowem na dwoje babka wróżyła. W każdym razie musimy sprawdzić we wszystkich warsztatach zajmujących się naprawami samochodów, czy nie

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

wstawiono wozu z uszkodzeniami pasującymi do naszej sprawy - powiedział pułkownik.

- Jest cała masa pokątnych - zauważył Suski. Kociuba uśmiechnął się po raz pierwszy w ciągu dzisiejszego dnia.

- Od nich właśnie zaczniemy. Mało prawdopodobne, by o ile jest tak, jak przypuszczamy, właściciel wozu ryzykował utrwalanie opisu uszkodzeń w książce warsztatowej. Pokątni zaś tego rodzaju ksiąg nie prowadzą.

Podniósł słuchawkę, wyjaśniając w krótkich słowach zadanie:

- W grę wchodzi wszystkie samochody oddane do naprawy dzisiejszej nocy, od godziny dwudziestej czwartej. Osobowe, ciężarowe, wszystkie. Nie, wcale nie należy ograniczać się do warsztatów, które są nastawione na reperacje samochodowe.

Ślusarskie również. Blacharskie tak samo. Nie wolno pominąć żadnego, w którym dałoby się przeprowadzić naprawę.

- Ale - popatrzył na odłożoną słuchawkę - zbyt wiele po tym wszystkim obiecywać sobie nie możemy. Mogło nie być żadnych uszkodzeń. Jeżeli były niewielkie, sprawca mógł je usunąć sam.

Kornacki poruszył się niespokojnie.

- Sierakowski przecież zdawał sobie sprawę z ryzyka swej wyprawy.

- No więc? - spojrzał na niego z nagłym zainteresowaniem Kociuba.

- Jeżeli na wszelki wypadek pozostawiał jakieś znaki na murach, pozwalające odtworzyć trasę jego wędrówki?

Kawecki przetarł oczy. Niewiele spał tej nocy.

Suski wsadził ołówek do kieszeni, zorientował się jednak i oddał go Kaweckiemu.

- Znaki na murach? - powtórzył pułkownik. - To, szczerze mówiąc, mało prawdopodobne. Ale... - znów sięgnął po słuchawkę telefoniczną.

Akcję przeprowadzono z drobiazgową pedantycznością. Wywiadowcy wkładali w nią wiele serca. Chodziło przecież o kolegę. Chyba na terenie całego miasta nie pozostał ani jeden, choćby najmniejszy i najbardziej prymitywnie urządzony warsztat, do którego by nie zajrzano. Obejrzano skrupulatnie dziesiątki samochodów, które znajdowały się akurat w remoncie. Kontrolowano na wszelki wypadek książki zleceń. Badano kierowników, właścicieli i personel. Ale wszystko okazało się nie to.

Karoserie do lakierowania. Stare cylindry. Rozchwiane bloki. Ani rusz dopasować do tego, czego szukano. Tylko w jednym wypadku zrodził się cień nadziei. Oderwany

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

zderzak i pogięty przód maski. Ale i ten cień musiał się rozchwiać po konfrontacji z autentycznym protokołem milicyjnym opisującym przyczynę uszkodzeń: uderzenie w tył przyczepnego tramwaju. Dziesiątki świadków. Tramwaj też zresztą został uszkodzony. Nie było się nad czym zastanawiać. Zupełne fiasko.

Przepracowanie zakreślonej ołówkiem pułkownika Kociuby dzielnicy również nie dało najmniejszego punktu zaczepienia. Wszystkie ulice w pobliżu wypadku zostały obstawione wywiadowcami. Wędrowano całymi godzinami po ruinach. Zaglądano do ocalałych piwnic. Nie przepuszczono najmniejszej dziurze. Nie znaleziono nic.

Na murach domów nie zauważono żadnych znaków, których spodziewał się Kornacki.

Zaczęły opadać ręce. Co można było jeszcze uczynić więcej?!

Obserwacja domu, w którym zamordowano Lebiodę, była w dalszym ciągu najzupełniej jałowa. Wywiadowcy wydelegowani na dyżur w mieszkaniu Lebiody umierali z nudów. Telefon milczał jak zaklęty. Przez tyle dni tylko jeden gość nacisnął guzik dzwonka.

Widocznie nie czytał gazet.

Przeszłość miał mocno niewyraźną, ale przedstawił tak murowane i nie budzące wątpliwości alibi, że musiano mu dać spokój. Jakby dla ukoronowania serii nic, której się trzymał Kuraś, zdawała się również urywać.

Zameldował się do pułkownika.

- Mój gość wyjeżdża do Krynicy - oznajmił lakonicznie.

Kociuba spojrział na niego ze zdumieniem.

- Skąd o tym wiecie?

- Wykupił wczasy pełnopłatne. Kuracja. Cały miesiąc. Początek za trzy dni - raportował stylem telegraficznym.

- Hm... Więc wyjeżdża oficjalnie?

- Jak najzupełniej. Ostatnio przesiaduje przeważnie w domu. Wygląda, jakby zamierzał zlikwidować swe... hm... interesy.

Kociuba polecił wystawić Kurasiowi delegację. Tak czy inaczej, nie można gościa spuszczać z oczu. Ostatecznie spotkał się przecież wtedy z tym podkutym mańkutem. I jeżeli wszystkie inne drogi zawiodą... Nie, aresztowanie go nie dawało żadnych szans wyświeatlenia zagadki obu morderstw. Powie po prostu, że jakiś

przypadkowy kontrahent, którego nazwiska ani adresu nie zna. I co gorzej, nie będzie

można mu udowodnić, że to nieprawda. Przy tego rodzaju pachnących kryminałem

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

transakcjach nie ma zwyczaju ujawniania swych personaliów. A jeżeli się je kiedy

podaje, to niemal z reguły fałszywe.

Na następnej konferencji miny były ponure.

Kociuba nawet nie otwierał teczek akt. Znał niemal na pamięć treść zawartych

w sztywnej okładce dokumentów.

- Nic - potwierdził z rezygnacją Suski. - Diabli wiedzą, co takiego.

Zamordowano dwóch ludzi, cała maszyna w pełnym ruchu, i choćby jakaś pajęcza

nić...

Reszta trwała w milczeniu. Kociuba długo żuł nie zapalonego papierosa.

- Zabrnęliśmy w jakiś, psiakrew, zaułek bez wyjścia - mruknął, miętosząc brzeg

okładki akt.

- Nie ma sytuacji bez wyjścia - zaprotestował bez przekonania Kawecki.

- Pewno - pułkownik przeciągnął się w fotelu, aż w stawach zatrzeszczało. -

Tylko trzeba je widzieć.

Wyjął z ust rozmiękłego papierosa, odrzucił go z niesmakiem i sięgnął po

nowego. Nagle oczy mu rozbłysły:

- Kostrzewa... - powiedział niespodziewanie takim tonem, jakby to słowo

tłumaczyło wszystko. W pierwszej chwili nazwisko to nie wywołało żadnego

oddźwięku.

- Kostrzewa? - powtórzył ze zdumieniem Kornacki. - Kto to taki?

- Ten z gdyńskiego urzędu? - zapytał Suski, który odznaczał się lepszą

pamięcią.

- Tak - potwierdził Kociuba - właśnie ten. Człowiek, który potrafił rozwiązać zagadkę „cienia na pokładzie”...

Nie potrzebował wyjaśniać dalej. Teraz przypomnieli sobie już wszyscy.

IV. Ślady, które prowadzą w wielu kierunkach

Doktor Paweł Białkowski długo nie mógł zasnąć tej nocy. Przewracał się nerwowo z boku na bok. Dławił go brak powietrza. Duszno. I ta rozprazona pościel. Zupełnie jakby się człowiek smażył na gorącej patelni. Wreszcie męka zaczynała przekraczać granice wytrzymałości. Odrzucił kołdrę, wstał. Ociężałym krokiem szedł ku oknu. Otworzył je gwałtownie.

Do pokoju wtargnął chłodny powiew.

Rozchełstał szeroko pidżamę na piersiach, trwając dłuższą chwilę bez ruchu.

Febryczny dreszcz zaczął biegać nieprzyjemnymi falami po skórze. No, tak. Jesień.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Powrócił do łóżka. Może teraz przy otwartym na oścież oknie będzie mógł zasnąć. Nic jednak nie pomogło. Puchowa poduszka uwierała twardością kamienia. Sen nie nadchodził. Zaciskał rozpaczliwie powieki. Spać... Zasnąć... Nie myśleć. Ale właśnie wtedy przychodziło najgorsze. W zagęszczonym pod przesłoną powiek mroku zaczynały rodzić się obrazy.

Twarz człowieka, który był jego przyjacielem. Zapadające się w głąb oczy.

Zaostrzające się rysy twarzy. Charakterystyczny skurcz warg. *Risus sardonicus*. Potem już nic. *Exitus*. Śmierć. Zejście. Czyż nazwa ma tu jakiegokolwiek znaczenie? Życie ludzkie zgaszone rękoma przyjaciela. Jego własnymi rękoma. Dłonie całe we krwi.

Zdążyła zaschnąć, zanim ją zaczął obmywać. Obmywać? Śmieszne. Czyż do tego

wystarczyłoby wód całego świata?

Żachnął się. Usiadł raptownie na łóżku. Dostyc już tego. Zapalił papierosa.

Krew, więc cóż? Choćby i śmierć... Bo to się nie zdarzało i przedtem? Czyż śmierć stanowiła dla niego coś niezwykłego? Czyż mogło być zresztą inaczej w zawodzie, któremu się poświęcił?

Potrząsnął głową. Nie... Tamto wszystko było czymś zupełnie innym...

A to?... - zaciągnął się łapczywie.

Myśli znowu zaczęły się kłębić. Cała ta męka, która nastąpiła potem. Dzień po dniu, godzina po godzinie, trwało to chyba całe wieki. Męka tym gorsza, że nie wolno było dopuścić, by coś z niej przedostało się na zewnątrz. Nieruchoma maska twarzy. Ale trzeba się było przecież niekiedy uśmiechać, nawet śmiać. Napięcie kontroli nad każdym ruchem, nad każdym słowem. Nikt nie powinien poznać, że coś jest z nim nie w porządku, bo wtedy...

Chyba nie poznano. Na pewno nie... W przeciwnym bowiem razie... Ale sam jeden tylko wiedział, co go to kosztowało. To jakby cały organizm spalał się w powolnym ogniu.

A potem jeszcze ta noc... chrzęst ludzkiego ciała pod zderzakiem. Krzyk... Nie, chyba nie było żadnego krzyku. A może i był. Wtedy nie umiał sobie zdać sprawy z tego, co się działo. Jedna chwila i...

Ta krew, którą ścierał z niklowanego zderzaka. Ona przecież istniała ponad wszelką wątpliwość. Ludzka krew. Dużo jej było... Ścierka usunęła ją bez śladu.

Gdyby tak znaleźć sposób, który by mógł usunąć również jej obraz utrwalony w mózgu.

Łykał przez chwilę cierpki dym. No cóż... Jedno wynikało z drugiego. Tamta

śmierć pociągnęła za sobą tę... Jak przez niewiadomą siłę połączone ogniwa tego samego łańcucha. Łańcuch? - wargi drgnęły w pełnym goryczy uśmiechu. - Właśnie. Sięgnął po szklankę. Chłęptał drobnymi łyżkami. Woda jednak nie przyniosła orzeźwienia. Ciepławe krople spływały do przełyku, przesycając go mdłym niesmakiem. Jakby całe gardło oblepiał jakiś trudny do ścierpienia osad. To jeszcze bardziej pogarszało samopoczucie.

Miał za sobą ciężki, męczący dzień. Czyż istnieją ludzie o nerwach ze stali? Gdy przed paroma godzinami wkładał klucz do zatrzasku, jedna jedyna myśl dominowała nad wszystkimi innymi: spać. Za wszelką cenę spać. Nie myśleć, nie rozważać, nie przypominać sobie. Zapomnieć, co było, nie przewidywać tego, co może nadejść. Co nadejdzie zresztą na pewno, prędzej czy później.

Teraz też marzył o tym samym.

Zdecydowanym ruchem odłożył papierosa. W ten sposób gotów przemęczyć się do samego rana. A dzisiaj też czekały niełatwe sprawy.

To nie ma najmniejszego sensu - ponownie wyskoczył z łóżka. Parę godzin niebytu stanowiło w tym stanie ducha bezwzględną konieczność. Podszedł do baru. Ręka jednak opadła w połowie drogi. Otrząsnął się ze wstrętem. Dziś by chyba nie przełknął. Dziś nie. Pomyślał przez chwilę.

Wahał się jeszcze - to nie stanowiło bynajmniej najlepszego wyjścia.

Przynajmniej jeżeli chodziło o skutki. Myśli jakby spowite w gazę... Drzenie ręki? O... to może być w pewnych momentach wprost tragiczne...

Wzruszył ramionami. Skoro nic innego nie pomaga?

Przeszedł do łazienki. Długo szperał po półkach podręcznej apteczki... Palce

odsuwały na bok jedną szklaną fiolkę po drugiej. Wreszcie wyciągnął. Oczy przywarły do zielonej etykiety, chociaż treść znał na pamięć. Czyż po raz pierwszy szukał tu pomocy? Tak... To poskutkuje w każdym razie.

Przełknął tabletkę. Popił wodą. Potem włożył do ust drugą. To był bardzo silny narkotyk. Ale musiał używać ich coraz więcej, by wywołać skutek. Choćby tylko parę czarnych godzin, które oderwane od obrazów rzeczywistości nie oznaczałyby nic.

Gdy z powrotem przytknął głowę do poduszki, pod czaszką zaczął wzbierać szum zatapiający świadomość.

Ostatnie spojrzenie w kierunku budzika. Czy aby nie zapomniał go nastawić na właściwą godzinę?

Zasnął wreszcie. Wywołany silnym narkotykiem sen był mglisty i bezbarwny. A

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

przecież i teraz przez mgłę przedzierały się strzępki wizji, których pragnął pozbyć się za wszelką cenę.

- Zaniósłeś ten list? - Fijek patrzył gniewnie na syna.

- Tak.

- A czegoś tak długo tu sterczał, gdy rozmawiałem z tym panem?

- Szukałem legitymacji tramwajowej.

To nie była prawda. Ale tego ojciec nie mógł sprawdzić.

- To był z milicji? - zapytał po chwili.

Stary zachnął się.

- Z milicji, z ube, co cię to obchodzi. Do ciebie przyszedł?

- Nie... Ja tylko tak.

- Tylko tak? - położył mu obie ręce na ramionach i przyciągnął ku sobie. -

Słuchaj, Zdobek - zjrzał mu głęboko w oczy - przez cały czas miałaś taką minę, jakbyś chciał powiedzieć.

Chłopak przesunął językiem po wargach.

- Ale przecież nie powiedziałem - spuścił wzrok - chociaż...

- Co „chociaż”?

Niespodziewanym ruchem szarpnął się, odstępując w tył. Ręce ojca opadły.

Postąpił za nim.

- Chciałbyś powiedzieć?! Gadaj! Chciałbyś?! - oczy patrzyły groźnie.

Zdobek targnął buntowniczo głową.

- Pewno, że chciałbym - prawie jęknął. - Czyż można milczeć, wiedząc o takiej rzeczy? Przecież... - w głosie nabrzmiewał powstrzymywany szloch.

Fijek złapał go za wyłogi kurtki.

- Gdybyś choć słówko... to ja bym... syn, nie syn... - słowa padały urywanymi strzępkami. - Czyż nie pamiętasz? - bezskutecznie usiłował zajrzeć w umykające uparcie oczy. - To byłoby... Nawet zwierzę nie zapomina o takich rzeczach, a ty...

Głowa chłopca opadła ciężko.

- Pamiętam - powiedział zduszonym głosem - pamiętam - powtórzył. - Jakże...

Ale... - zapanowało milczenie.

Wreszcie Fijek puścił go.

- Będziesz milczał, choćby cały świat walił się w gruzy Rozumiesz? I żebyś się nie pętał, gdy któryś z nich przychodzi. Jeszcze mogłoby coś podpaść.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Jakie dziś mamy operacje?

Asystentka z trudem opanowała zdziwienie. Co mu się dzisiaj stało? Zawsze

pamiętał każdy najdrobniejszy szczegół. Na słowach doktora Białkowskiego można było pole gać z większą pewnością niż na kartach choroby. Cały personel o tym wiedział. I nagle takie pytanie. To już poraz drugi w ciągu ostatnich paru dni. Czyżby był chory? Prze sunęła zatroskanym spojrzeniem po jego twarzy. Wygląda rzeczywiście bardzo źle. Źrenice jakby powleczone matów mgiełką.

Jakżeż w tym stanie będzie operować? To przecież bardzo ciężki przypadek...

- W pierwszej kolejności z separatki trzeciej „a”. *Gravitudo extra uterini*. I komplikacje z sercem.

Podsunęła połyskliwą kliszę rentgenowskiego zdjęcia. Przez chwilę patrzył bezmyślnie, jakby nie rozumieją co oznaczają smugi na jej powierzchni. Powoli twarz odzyskała normalny wyraz. Podniósł kliszę i przyłożył do świetlnego ekranu. Brwi zbiegły się w znany od dawna całemu otoczeniu sposób. Pokiwał głową.

- Ach tak... - wodził palcem po szklistej powierzchni. - Elektrokardiogram - wyciągnął rękę nie odrywając ocz od zdjęcia.

Ucieszyła się. Po prostu przemęczenie. Ostatnio zwaliło się tyle skomplikowanych przypadków. Ale jeszcze trzymając gumowe rękawiczki pod strumieniem spływającej z kranu wody nie potrafił się skupić.

Zwarł kurczowo szczęki. Operacja. Trudna operacja. Nie wolno pozwolić na rozproszenie myśli. Chodzi o wiszące na cienkim włosku życie ludzkie.

I znowu zdradziecka refleksja. Życie. A tam?

Dopiero wchodząc na salę operacyjną, z przysłoniętą kilkoma warstwami gazy twarzą, zdołał wyłączyć z mózgu wszystko, co nie dotyczyło rozciągniętego na metalowym blacie stołu ciała.

Operacja przeszła pomyślnie.

Gdy wychodził ze szpitala, lampy już płonęły na ulicach. Napięcie osłabło.

Był nieludzko zmęczony. Ale nawet to zmęczenie nie było w stanie stępić ostrza myśli, które przytłumione na kilka godzin, teraz zaczęły odżywać z poprzednią siłą.

Ociężale opadł na siedzenie swego samochodu. Przy włączeniu starteru palce zadrżały. Tak jak wtedy... Przyciął zębami wargi. Trzeba się wreszcie wziąć w garść.

Dodał gazu. Jak najprędzej znaleźć się w zaciszu czterech ścian własnego

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

mieszkania. Sam... Nie narażony na obmacujące spojrzenia otaczających ludzi.

Wreszcie będzie mógł zdjąć maskę i stać się samym sobą.

Dwadzieścia lat stanowi wiek, którego przecież żadną miarą nie można uznać

za poważny. Jeszcze całkiem niedawno Felek Wypiór zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Teraz jednak przychodziły chwile, w których czuł się kompletnym starcem.

- Psiakrew! Jakie jednak to życie zafajdane... - odrzucił zniechęconym ruchem

niedopałek. Przez chwilę obserwował rubinowy punkcik żaru, migocący na tle dawno oblazłych z farby desek podłogi. Zapali się, to się zapali. Choćby nawet pożar. Takie to wszystko...

Żar tłącego tytoniu pokrywał się coraz gęściej szarymi żyłkami popiołu, aż w końcu zgasł zupełnie.

Potrząsnął ponuro głową. Z podniesionej do ust szklanki wionął mdły odór alkoholu.

Pił jak wodę. Cierpki ogień parzył przełyk. Ciepło rozlewało się powoli po

żyłach. Ale oszołomienia ani śladu A przecież o nie jedynie mu chodziło. Odstawił

szklankę, aż zabręczała przeciągle. Żeby to wszyscy diabli!...

Od tamtego dnia tkwił kamieniem w domu. Może i źle robił. Może raczej powinien...

Splunął. Pies im razem do kupy mordę lizał. Tak postąpi czy inaczej, co za różnica? I tak nie ma sensu, i tak...

Przycisnął rozpalone czoło do wilgotnej szyby. Trwał tal bez ruchu. Od szkła szedł kojący chłód.

Nudna, senna ulica. Z rzadka tylko snuły się pojedyncze sylwetki przechodniów. Ileż razy oglądał ten beznadziejny widok, od momentu, gdy tamtego dnia powrócił do domu.

Zza rogu wychodzi jakiś mężczyzna. Wysoko podniesiony kołnierz palta. No cóż, na dworze przejmujący ziąb. A może... łapacz? Czyż to takie niemożliwe? Fijek nie powie. Bo wtedy doktor Białkowski... Doktor też nie. To samo przez się zrozumiałe. Ale Zdobek... Mogą być zresztą i inni.

Mężczyzna z podniesionym kołnierzem przeszedł.

Cóż z tego? Prędzej czy później...

Z trudem oderwał się od okna. Ociągłiwie podszedł do szafy. Długo grzebał w skołtunionych na dnie szmatach. Miał to zrobić już tamtego dnia. Bo gdyby ktoś

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>) znalazł! Zawsze jednak jakoś odkładał.

Jest! W palcach załśniło pozłociste wieczne pióro. Na metalu wyryte:

„Towarzyszowi Józefowi Lebiodzie”. Było coś jeszcze. Wystarczyły jednak te trzy słowa... Niechby jaki hint choć okiem rzucił.

Obejrzał z żalem. Szkoda. Ładne pióro.

Ileż go zdrowia kosztowało. Wziął, bo akurat leżało pod ręką. Wtedy jeszcze

nie potrafił marnować podobnych okazji.

Zamierzał sprzedać. Niezły kawałek grosza można by dostać. Potem już nie było mowy o sprzedaży. Ani tak, ani tak...

Ubikacja była na końcu korytarza.

Dźwignia zbiornika zacinała się. Spuszczał kilkakrotnie wodę. Popłynęło.

Dopiero się zdziwi kanalarz znajdując zamiast gówna taki kosztowny kawałek. No cóż. Niech sobie znajduje.

Wrócił znowu do szafy. Wygarniał coś spod niej kijem od szczotki. Niełatwo szło, wpychał wtedy siłą. Na czoło wystąpiły kropelki potu. I w głowie trochę się kręciło. Nie był wstawiony. Ale tyle wódki na pusty żołądek... Nie mógł jeść. Kęsy rosły w ustach jak nasiąkająca wodą gąbka. Aż się niedobrze robiło. Tępo patrzył na podarty papier, którego załamania wyraźnie znaczyły kształt teczki. Machnął obojętnie ręką. To nie miało znaczenia. Wyrzuci i po krzyku. A teczka? - obejrzał na wszystkie strony. Teczka, jak teczka. Tysiące podobnych. Tylko monogram. Pracowicie odginał metalowe łapki poszczerbionym ostrzem noża. Potem uklepywał skórę trzonkiem.

Małe otworki stały się niewidoczne. Położył na półce. Nie przyglądają się specjalnie temu, co leży na wierzchu. A monogram? - Długo miętosił go w palcach. Posłać w ślad za piórem? Szkoda by było. Srebro. Zresztą gdyby nawet znaleziono. Czy mało ludzi ma te same litery? Miękki metal giął się bez trudu. W jedną stronę, w drugą.

Teraz będzie wyglądało, jakby odpadł przypadkowo. Rzucił niedbale w szmaty. Ani na widoku, ani specjalnie schowane. Tak właśnie, jak potrzeba.

Była taka mała komórka pod schodami wypełniona najrozmaitszymi rupieciami, do której prawie nigdy nikt nie zaglądał. Jedyne miejsce na świecie, gdzie można być samemu ze swymi myślami. W szkole koledzy. A w domu... Zdobek miał wrażenie, że

badawczy wzrok ojca śledził bez przerwy każdy jego ruch. Ojcu też chyba było

nielekko. Ba, w takiej sytuacji?

Ukrył twarz w dłoniach. Nie płakał. Za duży był już na łzy. Ale tak okropnie

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

ciężko mu było na duszy.

Przed oczyma wstawała wizja rozjaśnionej przyjazna uśmiechem twarzy...

Niemal czuł dotknięcie gładzącej włosy dłoni. „- No cóż, »kolego« Zdobysławie?

Opowiadajcie, jak tam u was...”

To nie były zdawkowe pytania, zadawane zazwyczaj przez dorosłych.

Naprawdę interesowało go wszystko. Jak płynie życie w szkole, jak spędzają czas

poza lekcjami, jakie mają zainteresowania. Niekiedy tłumaczył, czasami wdawał się

nawet w dyskusje. Ani cienia pobłażliwego tonu człowieka zadufanego w przewagę

swej mądrości. Jak równy z równym. Kłopotami przejmował się niczym własnymi. Kto

wtedy załatwił sprawę dodatkowego lokalu dla ciasnej świetlicy? A przecież to nie

było łatwe nawet dla niego. Ileż się nabiegał po rozmaitych instytucjach po

stwierdzeniu, że korespondencja nie odnosi żadnego skutku...

A to zadanie, którego nikt w klasie nie potrafił rozwiązać? Na pewno miał całą

masę pilnych spraw. Nigdy mu ich nie brakło. Usiadł przy stole, jakby to było akurat

najpilniejsze ze wszystkiego. „Jeżeli tylko potrafię”. Widać było, że nie przychodzi mu

to gładko. Uśmiechał się niemal przeprasząco. „Człowiek wyszedł już z wprawy; tyle

lat nie miałem nic wspólnego z matematyką”. Potem tłumaczył, aż wszystko stało się

zupełnie jasne i przejrzyste. „Ale pamiętaj o kolegach - uścisnął mu na pożegnanie

dłoń. - Tylko niech nie zrzynają. To nie przynosi żadnego pożytku. Musisz im dotąd

wyjaśniać, dopóki nie zrozumieją dokładnie. Zrobisz to?” Obiecał i solennie dotrzymał.

A potem skurczona na podłodze, nieruchoma postać i ciemna plama o nieforemnych brzegach. To wszystko, co z niego zostało. Pod powiekami coś drażniąco zapiekło. Ale to nie mogły być łzy. Skądże by. Trzynastoletni harcerze nie płaczą. I znowu powróciła tamta myśl.

Czyż mordercy mają ujść bezkarnie dlatego, że doktor Białkowski...

To wszystko stało się już nie do wytrzymania.

Wciągnął głęboko powietrze. Po wnętrzu dłoni pociekły ciężkie krople.

Opanowało go gwałtowne uczucie opuszczenia. Jakby był sam jeden na całym świecie.

Do kogo miał się zwrócić o pomoc?

V. Do gry wchodzi nowy partner

Kostrzewa stał na korytarzu wagonu i wpatrując się niewidzącymi oczyma w żółtawe plamy światełek przesuwane za pokrytą mgiełką szybą palił papierosa za papierosem. Trzy dni stały się czterema, ale to wszystko tak przeraźliwie mało. Kiedy się zobaczą znowu?

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

M/s „Jedność”, na którym Lena pełniła funkcje radiotelegrafistki, wychodzi wkrótce w morze. On zaś... ba, któż to jest w stanie przewidzieć? - przyduśił niedopałek w popielniczkę.

W przedziale było duszno i tłoczno.

Korpulentna jejmość, raz po raz przesuwaną czujnym okiem po swych węzełkach, zajmujących całą półkę, an: chciała słyszeć o opuszczeniu okna.

- Panienko Najświętsza - jęczała w popłochu, łapiąc się za mięsisty policzek -

tylko nie to. Wystarczy, żeby trochę zawiało i zaraz fluksja jak bania. Potem rwie, że choć umieraj.

Kostrzewa wcisnął się w swój kąć i przytuliwszy głowę do przesiąkniętego zapachem kurzu welwetu próbował zasnąć. Potrafił przecież spać jak kamień, w najnieprawdopodobniejszych wprost warunkach. Tym razem jednak sen długo nie nadchodził.

Pociąg spóźnił się o przeszło dwie godziny.

- Mgła - ziewał konduktor - zupełnie jakbyśmy jechali w mleku. Lepiej dojechać późno niż wcale.

- Trudno było temu rozumowaniu odmówić słuszności. W rezultacie jednak Kostrzewa prosto z dworca pojechał do urzędu.

W taksówce przesuwał z dezaprobatą ręką po policzkach. Może by się wypadało przedtem ogolić? Odłożył to na później.

I tak spóźnił się o dwadzieścia cztery godziny, pułkownik Kociuba podniósł się pośpiesznie na jego powitanie.

- Nie mogliśmy się was doczekać, doktorze - widać było, że mówi szczerą prawdę.

Parę minut nie zobowiązującej pogawędki, jak się to zawsze w tego rodzaju wypadkach praktykuje. Okazało się, że przyjaciel Kostrzewy, oficer śledczy gdyńskiego urzędu, jest bratankiem pułkownika.

- Ale - powiedział Kociuba - to całkiem zwariowany chłopak. Z tego, co pisał do mnie ostatnio, wygląda, że niedługo już zdołacie go utrzymać u siebie. Twierdzi, że bez morza to żadne życie. Marynarz zatracony - roześmiał się.

Potem przystąpili do omawiania sprawy.

- Nie ma co ukrywać - pułkownik rozkładał z namysłem pękatą obwolotę - zabrnęliśmy w ślepy zaułek, z którego jakoś nie umiemy znaleźć wyjścia. Sprawa

zresztą nie jest tylko trudna, ale i niebezpieczna. Jestem przekonany, że śmierć

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Sierakowskiego jest wystarczającym tego dowodem.

- Ludzie z bezpieczeństwa najmniej mogą liczyć na... bezpieczeństwo -

zażartował Kostrzewa. Potem przypomniał sobie Lenę i spoważniał. - W naszej służbie

na tę ewentualność musimy być z góry przygotowani - dodał z prostotą.

- To prawda. Nie chciałbym jednak...

- Ja również - przerwał mu Kostrzewa - proszę mi wierzyć, pułkowniku, na słowo.

Zaczynała go już ogarniać gorączka łowiecka. Sprawa niewątpliwie należała do niezmiernie ciekawych. A że tamta strona pokazywała kły? To stanowiło coś w rodzaju ostrogi, pobudzającej mózg do tym intensywniejszej pracy Nie znosił rozwiązywania papierowych łamigłówek przy biurku.

- Oczywiście daleki będę od ponagrania was, doktorze - zakończył Kociuba, wręczając mu jakby z wyrazem ulgi akta - ale przyznam się, że bardzo tu chodzi o czas.

Kostrzewa przymrużył porozumiewawczo oko.

- Sygnalizacja z górnego piętra?

- Tak - westchnął potwierdzająco - i to dość, hm... ożywiona sygnalizacja.

- Wezmę to pod uwagę. Zresztą sędzę, że będąc o piętro wyżej podnosilibyśmy wcale nie mniejszy alarm.

Zaczął od końca. Śmierć Sierakowskiego mogła być morderstwem, ale mogła być również przypadkiem. Uważał, że ustalenie tej okoliczności ma olbrzymie znaczenie. Morderstwo dowodziłoby jakiegoś zasadniczego odkrycia i to

najprawdopodobniej dokonanego gdzieś w pobliżu miejsca, gdzie znaleziono zwłoki.

Przestudiował jak najdokładniej wszystko, co dotyczyło tego fragmentu sprawy, utrwalił w pamięci szkic sytuacyjny i poszedł rozejrzeć się w terenie.

Rzeczywiście coś nie pasowało w położeniu zwłok. Mieli bezsprzeczną rację.

Wyniki eksperymentu z gumką, o którym Kociuba nie zaniebował również wspomnieć, nie trafiały mu do przekonania.

Przeniesienie trupa? - przebiegał myślą szczegóły rozmowy z Kociubą. Ta koncepcja byłaby najłatwiejsza. Nie traciła jednak przez swą łatwość cech prawdopodobieństwa. Przypomniawszy sobie szczegóły obdukcji lekarskiej. Tak, przy tego rodzaju obrażeniach wylew krwi na zewnątrz należy raczej do mało prawdopodobnych.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Zagłębił się w Semaforową, obserwując nieznacznie otoczenie. Dziesiątki ludzi niemal bez przerwy przecinało skrzyżowanie. Na Semaforowej również nie było wcale pusto. Wielu przechodniów szło jezdnią, na której było znacznie mniej wybojów niż na chodniku.

I ani śladu akurat na tym odcinku? Trudno przypuszczać, by deszcz padał tutaj, skoro nie padał gdzie indziej. „Kawecki to tęgi mózg - skonstatował z uznaniem. - Nie każdy by zwrócił uwagę na tę okoliczność. Zwłoki przecież znaleziono na Fabrycznej”.

Po przejściu kilkudziesięciu metrów zawrócił. Ruiny z jednej strony, ruiny z drugiej. Diabli wiedzą, co się mogło w nich kryć.

Ruch kołowy zamknięty. To oczywiście nie miało żadnego znaczenia, szczególnie w nocy.

Spojrzał na znak drogowy. Nagle zwolnił kroku. Przeszedł parę razy tam i z

powrotem i niby to rozglądając się znudzonym wzrokiem na wszystkie strony, skupił uwagę na jednym szczególe otoczenia. Wreszcie zanotował w pamięci wszystko, co było mu potrzebne.

To, co zdołał w czasie tych oględzin stwierdzić, mogło dać pewien punkt zaczepienia. Pod warunkiem jednak, że zdoła ustalić jeszcze jedną okoliczność.

Referent Wydziału Ruchu Kołowego wytrzeszczył w bezmiernym zdumieniu oczy.

- No, wiecie, żądać ode mnie, żebym wiedział, czy akurat ten znak był świeżo polakierowany.

- Na to jednak wygląda.

- Nic wam na ten temat nie mogę powiedzieć. Stawiamy całe dziesiątki znaków. Odświeżone i nie, jakie się akurat znajdują pod ręką - widać było, że referent z trudem jedynie hamuje rozdrażnienie.

Kostrzewa miał bardzo potulną minę.

- A kto może mi tę okoliczność wyjaśnić? - wydawał się być uosobieniem cierpliwości.

- Diabli wiedzą. Może jasnowidz... Kostrzewa nie dostrzegął złośliwości.

- Ttak... a poza jasnowidzem kto jeszcze? Pozwolę sobie zrobić uwagę, że nasza rozmowa ma urzędowy charakter. Jak najbardziej urzędowy - dodał, nie zmieniając ani na jotę dotychczasowego tonu.

Referent ochłonał. Sposób bycia, przypominający do złudzenia nieśmiałego

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

petenta, sprawił, że zapomniał, z kim ma do czynienia.

- Może będzie mógł to wam wyjaśnić brygadier - odpowiedział sztywniejąc

mimo woli.

Wskazany przez niego brygadier wziął zaofiarowanego papierosa, podrapał się za uchem i popatrzył na Kostrzewę spod oka.

- Czy taka rzecz może mieć jakieś znaczenie? - zapytał nieufnie.

Kostrzewa wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Dużo rzeczy może mieć znaczenie albo nie mieć. Ale pragnąłbym wiedzieć, jeżeli to jest możliwe.

- Ano skoro tak - brygadier długo wodził palcem po zatłuszczonych kartach zniszczonego notesu. - Powiadacie na skrzyżowaniu Fabrycznej z Semaforową? -

nagle się rozpromienił. - W czepkuście się urodzili, obywatelu śledczy. Wtedy właśnie dostaliśmy partię prosto z lakierni.

- Kapitan Suski miał rację - oznajmił Kostrzewa wchodząc do gabinetu

Kociuby - samochód wypadł z Semaforowej, przejechanie zaś miało miejsce na samym skrzyżowaniu.

- Skąd to przypuszczenie? - Kociuba był wyraźnie zdumiony.

- Nie - zaprzeczył Kostrzewa - nie przypuszczenie, a niemal zupełna pewność.

- Aż pewność, i do tego zupełna? - w głosie brzmiało niedowierzenie.

- Nie - poprawił z uśmiechem Kostrzewa - powiedziałem: niemal. Ale mamy świadka, którego wiarygodność zdaje się nie podlegać żadnej dyskusji - dodał po chwili.

Kociuba ożywił się gwałtownie.

Znaleźliście naocznego świadka wypadku?

- Naocznego? - powtórzył Kostrzewa z uśmiechem. - Trudno by go nazwać w

ten sposób. Nie ma oczu i jest wykonany z metalu. Potrafi jednak zeznawać nie gorzej

od żywego człowieka. Może nawet i lepiej, bowiem żadne względy subiektywne nie wchodzi w rachubę - wyjął z kieszeni kartkę podsuwając ją Kociubie. - Tam, na skrzyżowaniu, stoi drogowy znak, który bezpośrednio przed postawieniem został świeżo polakierowany. Ale tego lakieru brak tu i tu - wskazywał końcem ołówka - akurat na słupku podstawy. To świadczy, że został mocno uderzony czymś twardym. Wywrócił się w kierunku Fabrycznej. Odpryski na licowej stronie tarczy wskazują zupełnie wyraźnie, z jakim impetem trzasnęła o jezdnię. Bo proszę wziąć pod uwagę kształt podstawy. Zwykle wywrócenie się wskutek wiatru nie mogłoby absolutnie spowodować tego rodzaju skutków.

Kociuba uważnie śledził tok rozumowania.

- Jasne... - mruczał potakująco. - Musiała zostać uderzona właśnie przez samochód. I to jadący w tym miejscu z wielką szybkością.

- Ze zbyt wielką jak na skrzyżowanie - dodał Kostrzewa. - Stanowczo ze zbyt wielką - powtórzył. - Nawet uwzględniając fakt, że to była noc.

- To znaczy, że ciało przeniesiono potem na Fabryczną?

- O kilka metrów - Kostrzewa wy dobył z akt szkic sytuacyjny.

- To potwierdza hipotezę morderstwa... - powiedział w zamyśleniu Kociuba.

- Moim zdaniem w całej rozciągłości.

- Bardzo doniosłe osiągnięcie, doktorze - sapnął z uznaniem.

- Niestety - Kostrzewa zmarkotniał. - Wiemy, że został zamordowany

umyślnie, bo w przeciwnym wypadku po co miałby ktoś przenosić zwłoki. Wiemy również, że w momencie najechania przechodził z lewego chodnika na prawy, urazy bowiem, których doznał, w tych warunkach nie pozostawiają miejsca na żadne

wątpliwości. Mamy wszelkie dane do przypuszczenia, że na krótko przed śmiercią dokonał jakiegoś zasadniczego odkrycia, które stało się przyczyną jego śmierci... - wyliczał na palcach, ale opuścił z rezygnacją rękę. - Na tym koniec. Nic nie wskazuje kierunku jego przedśmiertnej wędrówki. Mógł iść Fabryczną mógł równie dobrze skręcić z Semaforowej. Kociuba nachylił się nad szkicem sytuacyjnym.

- Znak stoi jednak nieco w głębi Semaforowej.

- Tak, ale nie wiemy, czy samochód zahaczył go przed najechaniem na Sierakowskiego, czy też po najechaniu. Umyślne uderzenie człowieka wozem idącym na maksymalnej szybkości wymaga niekiedy dokonania karkołomnych ewolucji kierownicą. Niemożliwe przecież, by Sierakowski do ostatniej chwili nie widział samochodu i nie usiłował się wycofać.

- To prawda - westchnął Kociuba - stwierdziliśmy morderstwo, ale teren poszukiwań jego przyczyny pozostał ten sam.

- Otóż to. Zresztą jeśli chodzi o poszukiwania - znowu zaczął wertować akta, wydobywając mały kartonik w celofanowej oprawie - chciałbym o coś zapytać. Czy w tutejszym urzędzie istnieje zwyczaj sygnowania legitymacji w taki sposób? - położył ją przed pułkownikiem.

- W jaki znów sposób? - Kociuba wpatrywał się w legitymację ze zdziwieniem.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Kostrzewa wyjął z kieszeni lupę.

- Gołym okiem to trudno dojrzeć - podał ją Kociubie - ale tu - wskazał ołówkiem.

Oczy pułkownika rozszerzył wyraz rosnącego zdumienia.

Grafit ześliznął się po gładkiej powierzchni. Ale nacisk pozostawił wgłębienie,

pozwalające z biedą poznać, co miało być napisane. Wreszcie podniósł głowę.

- Litera „k” - wyszeptał - i „r”. Nie, oczywiście że nie znakujemy w ten sposób.

Widocznie sam Sierakowski... - nie odrywał wzroku od legitymacji.

- Tak też myślałem. Należy przypuszczać, że uczynił to na krótko przed śmiercią. Legitymacja urzędowa to przecież nie notes.

- Jasne. Chciał w ten sposób zawiadomić nas o czymś, przewidując, że nie będzie mógł tego zrobić w inny sposób.

- Mógł przewidywać - potwierdził Kostrzewa. - Sytuacja należała niewątpliwie do bardzo ryzykownych. Noc, bezludna ulica, morderca. Opierając się na okolicznościach morderstwa Lebiody, człowiek ten nie należał do gatunku początkujących, u których można by liczyć na jakieś nieprzemyślane posunięcia. Zresztą wszystko zdawało się wskazywać, że w grę wchodziła cała organizacja przestępcza. To wszystko razem dawało aż nadto dostateczne podstawy do wzięcia w rachubę najgorszych nawet ewentualności. Szczególnie jeżeli chodzi o tak doświadczonego wywiadowcę, jakim był niewątpliwie Sierakowski.

- Tak... „Kr”? - powtarzał z zastanowieniem - co to może znaczyć?

- Nie, nie „kr”, a „k” i „r” - sprostował Kostrzewa. To są dwie odrębne litery niczym ze sobą nie połączone. Sposób ich napisania świadczy, że taka właśnie była intencja Sierakowskiego. Każda z tych liter ma samoistne znaczenie.

- Ale jakie?

- Czy Sierakowski był człowiekiem porządnym? - zapytał nieoczekiwanie Kostrzewa.

- Porządnym? - widać było, że Kociuba jest zupełnie zaskoczony. - W jakim znaczeniu?

- W jak najbardziej potocznym. Mam na myśli porządek w rzeczach osobistych, aktach, papierach i tak dalej.

- Aha... Pod tym względem koledzy uważali go niemal za pedanta. Ale...

- Chwileczkę - Kostrzewa wyłuskał z obwoluty niewielki notes - popatrzcie no tu, pułkowniku - otworzył w założonym zapalką miejscu. - Czyż pedant wyrywa w ten

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

sposób kartki ze swego notesu? - przesunął palcem po strzępiastych resztkach papieru.

- Niekiedy zdarzają się jednak okoliczności... - Kociuba zaczął się już domyślać, do czego Kostrzewa prowadzi.

- Właśnie! Noc w czasie śledzenia mordercy. To tłumaczyłoby nam pierwszą z literek na legitymacji.

- Kartka - potaknął Kociuba - słusznie. Ale „r”?

- Spacerowałem tam dziś dość długo - powiedział Kostrzewa - i wprost rzuca się w oczy, jak wiele w okolicy pozostało jeszcze ruin. Skrzynki zaś pocztowej nie zauważyłem ani jednej...

Kostrzewa znowu wypuścił się w teren. Chciał uzmysłwić sobie pewne

szczegóły, co do których w czasie pierwszych oględzin brakowało mu danych.

Semaforową prawie cała leżała w gruzach. Nie brakło ich również jednak i na

Fabrycznej, szczególnie w dół od miejsca skrzyżowania. Ostatnia skrzynka pocztowa,

obok której przechodził Sierakowski, idąc jedną lub drugą ulicą... Zanotował sobie

dokładnie w pamięci jej położenie. Ustalenie, na podstawie charakteru obrażeń

doznanych przez Sierakowskiego, kierunku, w którym przechodził jezdnię u kresu

swjej wędrówki, upraszczało do pewnego stopnia zadanie. Gdyby to nie było wiadome,

teren poszukiwani musiałaby stanowić niemal cała dzielnica.

Długo przesiedział nad planem miasta. Start Sierakowskiego był znany:

kawiarnia, w której zauważył typa z blaszką na podeszwie. Meta również. Ale jeżeli chodzi o trasę?

Palec Kostrzewy niejednokrotnie wędrował po liniach oznaczających ulice łączące te dwa punkty. Morderca mógł i oczywiście kluczyć w sposób jak najbardziej zawily. Ale w takim razie w jaki sposób Sierakowski dokonałby domniemanego odkrycia?

Wreszcie poszedł do pułkownika z konkretnymi propozycjami:

- Moim zdaniem poszukiwania należy rozpocząć od Semaforowej. - Wyjaśnił, w jaki sposób doszedł do tego wniosku.

Przedsięwzięcie zresztą i tak wyglądało prawie beznadziejnie. Od ostatniej skrzynki pocztowej do miejsca wypadku odległość wynosiła około dwóch tysięcy metrów. I niemal na całej tej przestrzeni po obu stronach ulicy ciągnęły się ruiny.

Wprawdzie w ostatnim momencie swego życia Sierakowski przechodził z lewej strony na prawą, ale ile razy przedtem śledzony przestępca mógł wodzić go tam i z powrotem

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

przez jezdnię? Tego rodzaju prymitywny środek ostrożności stosują nawet w tych wypadkach, gdy brak jakichkolwiek podejrzeń, że ktoś ich śledzi.

Wreszcie zmobilizowano kilkunastu ludzi do dokładnego przetrząśnięcia terenu.

Kostrzewa przystawał co krok, nie spuszczać wzroku z mijanych ruin. Oczy jego obmacywały skrupulatnie niemal każdą cegłę. Na legitymacji Sierakowskiego poza literami zauważył jeszcze pewną rzecz: kreskę biegnącą pod numerem rejestru służbowego. Mogła powstać wskutek przypadkowego zawadzenia paznokciem. Ale

mogła również mieć doniosłe znaczenie.

Pływały godziny. Wywiadowcom przeciągały się twarze. Tu można by szukać całymi tygodniami.

Kostrzewa nie poddawał się zniechęceniu. Z góry przecież było wiadomo, że to nie pójdzie łatwo. Zresztą zdawał sobie sprawę, że szanse na pomyślny wynik poszukiwań były niezmiernie nikłe. Kartka, jeżeli w ogóle istniała, przeleżała w ruinach wiele dni na deszczu i wietrze. Czyż tak wiele potrzeba, by zmieniła się w bezużyteczny strzęp papieru?

Zaczęło zmierzchać. Wywiadowcy znikali jeden po drugim, uznając widocznie, że prowadzenie dalszych poszukiwań dziś już nie ma sensu. Kostrzewa przyznawał im słuszność. Sam jednak nie potrafił oderwać się od ruin. Ciężkie chmury zaciągające coraz szczelniej niebo zapowiadały ulewny deszcz. Cóż po takim prysznicu pozostanie z kartki, o ile dotychczas jeszcze coś z niej pozostało?

Przesuwał wzrokiem po murach, upstrzonych najrozmaitszymi napisami i rysunkami. Farba, kreda, ołówek, a nawet po prostu wydrapania jakimś ostrym przedmiotem.

„Min nie ma”. - „Szyby na...” - „Wacek jest osioł”. Nie brakło również i innych, wulgarnie nieprzyzwoitych, obok prymitywnych rysunków.

Żeby schować kartkę, musiał znaleźć odpowiednią szczelinę - rozmyślał

Kostrzewa - nie położył jej przecież na wierzchu. Szczelinę, którą dojrzał po ciemku.

Nieraz nachylał się, wyławiając jakieś papiery, które odrzucał z rozczarowaniem...

Machinalnie ocierał palce o płaszcz. Śmieci tu nie brakowało. Ale i domniemana kartka też już wyglądała na pewno jak śmieć.

Nagle stanął jak wryty. Serce podskoczyło gwałtownie do gardła. To nie była

żadna ściana. Po prostu sterta odłamków cegieł ułożona byle jak. Tu również sporo różnych bazgot. Pomiędzy nimi zaś - liczba wypisana kawałkiem cegły. Liczba

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

służbowego rejestru Sierakowskiego!

Z trudem opanował podniecenie. Jakikolwiek pośpiech byłby błędem nie do wybaczenia. Nawilgły papier to niezmiernie delikatna rzecz. Do wydobycia kartki należało przystępować jak do skomplikowanej operacji.

W gmachu urzędu nie było już nikogo poza dyżurnymi funkcjonariuszami.

Kostrzewa niezmiernie ostrożnie rozłożył swą zdobycz na bibule, kierując światło lampy biurowej. Niestety, to nie była cała kartka, tylko jej strzęp. Litery wypisane atramentowym ołówkiem zwały się w niemożliwe do odczytania plamy.

Potrząsnął głową. Bez specjalnych przyrządów ani mowy, by coś z tego odczytać.

Dyżurny miał poważne wątpliwości.

- Tak, doktorze, rozumiem, że to pilne. Ale magister Leski dostaje wprost białej gorączki, gdy ktoś gospodaruje w czasie jego nieobecności w laboratorium.

Kostrzewa zatelefonował do Leskiego. Nie zastał go w domu. Z kolei nakręcił numer telefonu Kociuby.

- Laboratorium grafologiczne? - zainteresował się gwałtownie pułkownik. -

Znaleźliście kartkę?

- Nie jestem pewien - nie chciał go narażać niepotrzebnie na rozczarowanie.

Skrawek położony na matówce ekranu stał się jakby naraz czymś bardziej uchwytnym. Kostrzewa miewał nieraz do czynienia z tego rodzaju badaniami...

Skierował wydłużony, przypominający ryjek mrówko jada reflektor lampy. Od razu

stało się jasne przynajmniej jedno: to była niewątpliwie część kartki notesu.

Wystarczyło porównać. Ten sam układ kartek, ten sam gatunek papieru.

Potem zaczął zmusznie odtwarzać litery, zaznaczone przerwaniem włókien na powierzchni kartki. Było już dobrze po północy, gdy na bloczku zaczerniały urywki słów. Przyglądał się im z zastanowieniem.

*Praw... mel... na Sa... Ip... Nr... Trze... ok... la... waz... fir... trze... i kob...
spr... doi...*

Reszty brakowało. W tym właśnie miejscu papier urywał się.

Wielkie, koślawe, najwidoczniej kreślone po ciemku litery biegingy w rozmaitych kierunkach.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Praw...? - Kostrzewa obgryzał ustnik drewnianej cygarniczki, do której zapomniał wsadzić papierosa. - Prawdziwa?... Nonsens! Prawdopodobnie?

Hm... Sierakowski był podobno niezmiernie ostrożny w wyciąganiu wniosków.

Mogło więc być prawdopodobnie; *mel...*? No, to najłatwiejsze: melina, oczywiście.

Ip - pierwsze piętro. W takim razie odpadają ruiny.

Dalszy ciąg powoli układał się w logiczną całość: *Prawdopodobnie melina na Sa... pierwsze piętro, numer...* - niestety, o tym nie było nawet co marzyć. Pozostał na oderwanej części kartki. - *Trze...ba?* - Nie - nachylił się nad soczewką lupy. - Gdyby następną literą było b, kreska bieginga ku niemu byłaby bardziej ukośna i skierowana ku górze. Chodziło o jakąś literę alfabetu nie mającą górnej części. *N? z? m? o?* - odrzucał po kolei. Nie pasowało.

I nagle przyszło olśnienie. To mogło być tylko c. Słowo od razu stało się czytelne: *trzecie* - dalej znów poszło łatwo *trzecie okno (na) lewo. Wazon* - oczywiście

wystawiony w tym właśnie oknie, co zwróciło uwagę Sierakowskiego. Na tak. Teraz z kolei to *fir*. Firma? Chyba tak. Chodziło pewnie o jakąś tablicę firmową. Znowu *trze*. I taka sama kreska. Więc c?

Trzecie? Co trzecie? Długo siedział nad tym słowem. Pomogła raczej próba odtworzenia okoliczności, w których Sierakowski słowo to prawdopodobnie pisał.

Trzech! Tak, to mogło być tylko tak. Właśnie z tego powodu uznał, że sytuacja grozi bezpośrednim niebezpieczeństwem, wymagającym pozostawienia na wszelki wypadek wiadomości. Następne dwa słowa nie sprawiały trudności. *Trzech i kobieta* - Kostrzewa zagwizdał przez zęby. Niezłe sobie towarzystwo. Sierakowski nie wiedział przecież o tym czy o tych w samochodzie.

Potem aż się spocił. Co do licha z tym *spr* i *doi*? Sprawa dolarów? Na nic.

Wprawdzie typ, w towarzystwie którego Sierakowski odkrył człowieka z blaszką, handlował dolarami, ale tyle razy były o tym składane raporty, że powtarzanie ich w takim momencie nie miałyby sensu.

Powtarzał półgłosem te dwa połączenia liter, których znaczenia nie umiał znaleźć. Bez skutku. Powrócił do badania papieru. Pomimo wielokrotnego regulowania soczewek nie zdołał dojrzeć linii, łączącej *r* z następną literą.

Zatarła się, psia krew! A może nie zatarła się, tylko jej w ogóle nie było? No - odsapnął - jasne, że tak - *spr* - nie potrzebował dalszych liter. Czyż rzadko używa się tego rodzaju skrótu dla oznaczenia słowa „sprawdzić”?

Teraz ostatnie słowo: *doi*... Nie miał pewności co do *l*, bo reszta liter raczej nie

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)
budziła już teraz wątpliwości.

Lekkie ukośne zadrapanie włókien w górę, którego poprzednio nie zauważył.

Takie samo, biegnące w dół. A więc nie *l*, tylko: *k*.

Nasuwało się od razu słowo *doktor*. *Sprawdzić doktora*. To było zupełnie do przyjęcia. Tylko o jakiego doktora mogło chodzić? Diabli wiedzą.

Odrzucił się ciężko na oparcie krzesła. W ogólnych zarysach kartkę można było uważać za odczytaną. Odpoczynek nie trwał długo. Odczytana? A jakże? A co z nazwą ulicy, na której ta melina miała się znajdować?

Sa - wertował długo plan miasta. *Sapieżyńska*? Gdzie Krym, gdzie Rzym. Było kilka ulic zaczynających się w ten sposób. Ale żadna nie leżała na trasie wędrówki Sierakowskiego. Nawet gdyby przyjąć, że maszerowali najbardziej wygiętym łukiem. Ponowne badanie papieru nic nie dało. Akurat w tym miejscu był przyciśnięty kantem cegły, której ciężar rozprasował włókna. Mogło być *Sa*, mogło być *Fa*, mogło być wreszcie *Se*.

Raczej tylko te dwie ostatnie ewentualności wchodziły w tym przypadku w rachubę. Albo więc *Fabryczna*, albo *Semaforowa*. Bagatela!

Było już zupełnie szaro, gdy zatelefonował do Kociuby.

Jednak coś mu się w końcu zaczęło wykluwać.

Szukali inni, szukał Kostrzewa. Przejechał trasę kilkakrotnie samochodem.

Przebył ją pieszo. Na *Semaforowej* było tylko kilka zamieszkałych budynków. Na *Fabrycznej* cała masa domów z pierwszym piętrem. Wywieszek firmowych dziesiątki. Skoro Sierakowski wspomniał, musiała się odznaczać czymś szczególnym. Kostrzewa nie zauważył jednak żadnej specjalnie wpadającej w oczy. A przede wszystkim nie dojrzał w żadnym oknie wazonu.

To samo niepowodzenie spotkało pozostałych funkcjonariuszy, biorących udział w poszukiwaniach. Kostrzewa gorzko odczuł rozczarowanie. Znaleźć z takim

wysiłkiem drogę i stwierdzić, że prowadzi ona do nikąd? To nie było łatwe do strawienia. Potem doszedł do wniosku, że może to jednak była Sapieżyńska lub inna ulica, której nazwa zaczyna się na *Sa*. Pierwotne swe wnioski uznał po ponownym przeanalizowaniu za zbyt pochopne. Kto wie, czy Sierakowski w trakcie śledzenia nie korzystał z tramwaju albo autobusu.

- Może ta melina jest pomimo wszystko na Semaforowej albo na Fabrycznej - przedstawił Kociubie rezultat swych rozmyślań. - Ale z równym

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

prawdopodobieństwem mógł Sierakowski odkryć ją w zupełnie innej części miasta!

Kociuba zgodził się. Obie te ewentualności dało się uzasadnić w równie

przekonywający sposób. Fakt pozostawienia kartki na Semaforowej świadczył jedynie

o tym, że właśnie na tej ulicy Sierakowski odkrył bezpośrednio zagrażające mu

niebezpieczeństwo.

Myśl Kostrzewy skoncentrowała się z kolei na ostatnie uwadze: *Sprawdzić*

doktora. Był taki jeden, którego Sieczkowski nie potrzebowałby dokładniej opisywać.

W pierwszej chwili zestawienie wydało mu się rzeczywistym nonsensem. Kiedy się

jednak zastanowił, doszedł do wniosku, iż mimo że trop w dalszym ciągu wyglądał na

zupełnie nieprawdopodobny, nie zawadziło przyjrzeć mu się bliżej. To ostatecznie

można było zrobić bez żadnego ryzyka, a nic innego w tej chwili nie pozostawało

właściwie do roboty.

Poza tym zaś w tej kombinacji istniał samochód, i o tym fakcie nie wolno było

zapominać. Zatelefonował do szpitala.

- W jakich godzinach pracuje doktor Białkowski? Uhum. A na przerwę

obiadową nie wychodzi? Można przyjść z samego rana? O siódmej? Ale jeżeli profesor

się spóźni, to może łatwiej przyłapać go w domu? Nie spóźnia się nigdy... Dziękuję.

Potem odliczył czas potrzebny Białkowskiemu na przebycie drogi do szpitala.

Sierakowski zdążył zebrać sporo wiadomości o wszystkich lokatorach domu.

Wynikało z nich, że Białkowski miał własny samochód. Ale jeżeli... No cóż, zobaczy się na miejscu, co i jak.

Kostrzewa uważał, że przesłuchanie dozorczy w każdym razie nie zaszkodzi. I

że będzie bardziej celowe przeprowadzić je na miejscu niż w biurze. Znajdując się w urzędzie, niektórzy ludzie przestają być sobą. Należało zaś stwierdzić, jaki człowiek jest w istocie. Fijek. Notatki Sierakowskiego na jego temat były zbyt ogólnikowe.

Jeżeli zaś przy sposobności uda się rzucić okiem również i na inne rzeczy, tym lepiej.

Fijka zastał przy otwieraniu bramy. To w zupełności odpowiadało jego planom.

Dozorca wprawdzie zapraszał go do dyżurki, Kostrzewa jednak zatrzymał się w bramie pod pretekstem, że musi obejrzeć listę lokatorów.

- Chciałbym się coś niecoś dowiedzieć o ludziach, którzy tu mieszkają - zagaił po okazaniu legitymacji.

Pytał o wszystkich, zostawiając Białkowskiemu na sam koniec. Przeciągał

umiejętnie rozmowę, wdając się w nieistotne szczegóły. Wszystko zresztą wypadło

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

chyba zupełnie naturalnie.

Czas płynął. W końcu Kostrzewa zaczął się niepokoić. Czyżby się spóźnił i doktor zdążył wyjść przed jego przybyciem?

Wreszcie gdzieś na górze trzasnęły drzwi. On?

Po schodach schodził bez pośpiechu szpakowaty, wytwornie ubrany

mężczyzna. W tej samej chwili zachowanie Fijka uległo raptownej zmianie. Przedtem

miłkiwy i oszczędny w słowach, naraz zasypał Kostrzewę istnym potokiem słów.

Wyglądało, jakby w ten sposób pragnął odwrócić uwagę od idącego. Sierakowski zanotował: „Ma coś do ukrycia, co dotyczy sprawy”. Hm... Obecna chwila zdawała się to przypuszczenie potwierdzać. Czyżby ta tajemnica miała również związek z Białkowskim?

Doktor przechodząc tuż obok stojących w bramie spojrzął na Kostrzewę. To nie było obojętne spojrzenie. Wyolbrzymione przez wypukłe soczewki, stalowoszare źrenice zdawały się pytać natarczywie: „Po coś tu przyszedł i kia jesteś?”

Skierował się wciąż tym samym, jakby ociągłym krokiem ku wyjściu. Po paru sekundach zniknął z pola widzenia. Kostrzewa nieznacznie zerknął na zegarek.

Spóźnił się na pewno. A ma być taki punktualny! Dlaczego nie jechał samochodem?

- Znać tego? - niedbałym kiwnięciem głowy wskazał w kierunku wyjścia.

Minęła dłuższa chwila zanim padła wyraźnie niechętna odpowiedź:

- To lokator z trzeciego piętra. Doktor Paweł Białkowski.

- Białkowski? - powtórzył Kostrzewa z takim wyrazem twarzy, jakby mu to nazwisko w pierwszej chwili nie powiedział. - Ale chyba nie ten sławny chirurg, o którym-4 rym tyle piszą w prasie? - zapytał, wytrzymawszy odpowiednią pauzę.

- Właśnie ten sam - w głosie dozorca zabrzmiał nieklamany entuzjazm - najślawniejszy w całej Polsce. Nie ma takiego drugiego jak on.

- Hm. I żeby taka sława nie miała nawet własnego samochodu? - zapuścił haczyk.

- Jakże nie - Fijek niemal się obruszył. - I to jeszcze jaki. Niewielki wprawdzie, ale cacko. Stoi ot tam - wskazał ruchem ręki na budę z falistej blachy, widniejącą w głębi podwórza.

- Tam? - Kostrzewa spojrział z ostentacyjnym zaciekawieniem, mimo że

szczegół ten znał doskonale z akt. - To dlaczego nie używa go? Pewno nie na chodzie?

Fijek wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem? Nic mi o tym nie mówił. Ale może i rzeczywiście coś w motorze.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Bo przedtem stale nim jeździł, a teraz rozmaicie.

- I dawno tak? - ton Kostrzewy był jak najbardziej zdawkowy.

- Od kilku dni.

- A dokładniej?

W źrenicach Fijka zamigotał błysk złej czujności.

Dokładniej? Skąd niby mam wiedzieć? Czy sobie zapieję takie rzeczy? -

ostatnie słowa zabrzmiały niemal zaczepnie.

Kostrzewa zanotował dokładnie ów ton w pamięci. Na pewno nie był bez

przyczyny. Poczęstował Fijka papierosami. Wziął wprawdzie, ale z taką miną, jakby

mu proponowano truciznę. A przecież były niepośledniej marki. Potem skierował

rozmowę na dzień, w którym popełniono morderstwo. Fijek nie powiedział ani

jednego słowa więcej, niż zawierały protokoły jego zeznań, zawarte w aktach.

Kostrzewa nie rezygnował jednak z pytań, choć nie spodziewał się uzyskać nic

ciekawego. Zależało mu na dalszym przedłużeniu rozmowy. Sierakowski napisał:

„Fijek i jego syn Zdobysław”. Chciał więc zobaczyć również i jego syna. Może coś da

się wywnioskować z jego zachowania? Liczył na to, że się lada chwila pojawi.

Chłopiec około trzynastu lat musi przecież chodzić do jakiejś szkoły.

Doczekał się wreszcie. Chłopiec był nad wiek rozrośnięty i miał żywe, bystro

patrzące oczy. Taki niewątpliwie potrafi zauważyć niejedno - skonstatował,

obserwując go nieznacznie.

Chłopiec na jego widok przystanął niezdecydowanie.

- Czego się gapisz? - ofuknął go ostro ojciec. Zbyt nawet ostro. - Ganiaj, bo się spóźnisz na lekcje!

Sierakowski miał rację, ten chłopiec też coś ukrywał. A może nawet chciał powiedzieć coś, czego mu powiedzieć nie pozwalają?

„Trzeba będzie na obu zwrócić większą uwagę - zakonkludował w duchu. - To nie jest czysta sprawa”.

Ktoś znowu telefonował do szpitala dopytując natarczywie o której godzinie będzie można się zobaczyć z doktorem Białkowskim. Odpowiedziano, że operacje skończy gdzieś około dziewiętnastej. Nie ustępował: „A czy nie można by wcześniej? Tu chodzi o bardzo ważną sprawę! „Wykluczone”. Dopiero wtedy odwiesił słuchawkę. Siostra, która udzieliła tych informacji, byłaby przysięgła, a rozmówca był bardzo zawiedziony.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Nie minęła nawet godzina od tej rozmowy, gdy do dyżurki Fijka zapukał jakiś mężczyzna o mocno urzędowym wyglądzie. Kostrzewa uważał, że nie można tracić czasu.

Ale żeby go rozpoznać w człowieku, który stał na progu dyżurki, trzeba było chyba jasnowidza. Fijkowi w każdym razie widok przybysza nie nasuwał żadnych skojarzeń.

- Czego? - zapytał burkliwie, obrzucając gościa niechętnym wzrokiem. Czyżby znowu jakiś śledczy?

Kostrzewa machnął mu przed nosem jakąś legitymacją.

- Z Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej - przedstawił się.

Fijek w jednej chwili złagodniał. Prezydium to całkiem inna para kaloszy.

- W jakiej sprawie? - powtórzył w o wiele bardziej uprzejmej formie poprzednie pytanie.

- Jest tu na podwórku garaż... Zdziwił się niepomiernie.

- Ano jest. Ale stoi od przeszło dwóch lat i mieliśmy pozwolenie.

- Tak, zgadza się. Muszę jednak sprawdzić, czy został postawiony ściśle według planu. Chodzi o przepisy bezpieczeństwa pożarowego.

Wyciągnął z teczki rulon technicznej kalki. Niewątpliwie był na niej wyrysowany jakiś plan. Ale czy akurat tego garażu? Fijek nie znalazł się na planach.

Przybysz zresztą skrzętnie unikał pokazania mu ich zbyt blisko.

- Macie klucze?

Fijek potwierdził. Skoro chodzi o bezpieczeństwo pożarowe - wszystko w porządku. Od tego przecież między innymi jest całe to prezydium.

- No, to chodźmy.

Wymierzał wszystko bardzo dokładnie. Oczy zdawały się być wlepione w podziałkę metalowej miary. Zadawał zwykle w takich wypadkach pytania: „Gdzie tu hydrant? Gdzie podłączona elektryczność?” Popukał nawet zgiętym palcem w gaśnicę, jakby nie dowierzając jej zewnętrznemu wyglądowi - Fijek, który obserwował go bez przerwy, był całkiem zbudowany jego skrupulatnością. Taki to nie przeoczy czego potrzeba.

Nie przeoczył też rzeczywiście. Chociaż mogłoby się wydawać, że stojący w garażu samochód nie interesuje go ani trochę, obejrzał wszystko, co chciał obejrzeć.

Zderzak nosił ślady mocnego uderzenia. Nie w środku jednak, jak tego można było

oczekiwać, ale z prawej strony. Z prawej? I na prawym błotniku ślady wgnieć? To
Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

dowodziło, że coś, co spowodowało uszkodzenie, zostało uderzone bokiem. Odkrycie
jakoś nie pasowało do obrazu, jaki wynikałby na podstawie materiału zawartego w
aktach.

Lista operacji na ten dzień była wypełniona ponad wszelką miarę. Białkowski
jednak wbrew swemu zwyczajowi znalazł czas, by zatelefonować. Przedstawił się. W
prezydium znano go doskonale.

- Oglądaliście mój garaż? Referent był wyraźnie zdumiony.

Wasz garaż, profesorze?

Białkowski wstrzymał oddech. Minęła dłuższa chwila, zanim znów był pewien
brzmienia swego głosu.

- Przecież wczoraj... sprawdzaliście bezpieczeństwo pożarowe?

- To chyba...

Nagle głos referenta umilkł.

- Chwileczkę...

Jakieś przyciszone szepty. Znowu się odezwał:

- Ach, tak, profesorze. Zgadza się. Wczoraj byłem w terenie, więc dlatego.

Proszę wybaczyć... Ale przepisy. Profesor rozumie...

- Tak, oczywiście. Dziękuję.

Białkowski popatrzył tępo na słuchawkę i położył ją z powrotem na widełki.

To wszystko razem wyglądało co najmniej dziwnie. Jeżeli ten ktoś, o kim w pierwszej
chwili referent nie wiedział, przyszedł nie po to, aby obejrzeć garaż, ale jego
zawartość?

Mdlące uczucie gdzieś koło serca. Błotnik i zderzak... Nie trzeba lupy, by zauważyć. Szczególnie jeżeli ktoś specjalnie szuka czegoś takiego. Zwlekał przez tyle dni z oddaniem samochodu do remontu. Miał przecież zamiar i... No taki bał się... A teraz?... Może by jednak pomimo wszystko zaryzykować? Potem nie będzie śladu. Zdarza się przecież zahaczyć o jakiś słup czy coś w tym rodzaju... A może pozostawić wszystko tak, jak jest, i trzymać się uparcie właśnie tej wersji? Nie tak łatwo będzie dowieść, że to nie był słup. Nie wiedział, co lepsze. Wszystko wydawało się złe... Sięgnął do biało lakierowanej szafki, wydobywając małą buteleczkę. Kilka opalizujących kropeł upadło z chlupotem do wypełnionego wodą kieliszka. Organizm ostatnio zaczął utykać jak rozregulowana maszyna. Cóż zresztą dziwnego... Serce... I te bóle w tyle czaszki. Co tam... Nie warto się zastanawiać.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Siostra operacyjna zaglądała już parę razy. Znikała milcząco. Nie potrzebowała zresztą mówić. Jej pojawienie się w takiej chwili oznaczało zawsze to samo: „Wszystko przygotowane do operacji. Chory czeka na wózku”.

Zwłóknął się ociężale z krzesła. Tam gdzieś zaczęła się już toczyć nieubłagana lawina, która go zmiażdży... Nie - zacisnął zębami wargi - nie wolno o tym myśleć. Nie wolno myśleć o niczym poza jednym: operacją!

Sięgnął po kliszę rentgenowską. Wciąż jeszcze kołatały strzępki tamtych myśli.

Odpędzał je rozpaczliwie wysiłkiem woli. Przekreślił kontakt ekraniku.

Gdy opuszczał swój gabinet, twarz zastygła w nieruchomą maskę. Był już gotów do rozpoczęcia operacji. Tylko drobnutkie kropelki potu, zwilżające czoło pod białą myką świadczyły, ile go kosztowało opanowanie. Ale to nie było widoczne.

*

Wyraz zaskoczenia na twarzy pułkownika Kociuby nie znikał.

- Dane dotyczące profesora Pawła Białkowskiego? - powtórzył powoli.

- Tak - Kostrzewa w tej chwili nie patrzył na niego - jak najbardziej szczegółowe. I zależy mi niezmiernie na pośpiechu. Jeżeliby można, drogą telefoniczną...

- To będzie dosyć trudne. Zrobię jednak, co w mojej mocy - zapisał parę słów na bloczku, po czym zdjął okulary i długo przecierał je rogiem chustki. Dopiero teraz można było zobaczyć, jak bardzo miał zmęczone oczy.

- Czy zdobyliście jakieś konkretne dane, doktorze? - zapytał po chwili.

Kostrzewa wykonał nieokreślony ruch ręką.

- Konkretnie? - uśmiechnął się sceptycznie. - Raczej odwrotnie. Ale...

Nie opowiedział jeszcze o wynikach wizyty w domu Lebiody. Nie wspomniał nawet o oględzinach samochodu. To wszystko tymczasem było zbyt mętne. Chciał sobie uprzednio zbudować pełniejszy obraz, zanim podda swe wnioski pod dyskusję. Zabezpieczył zresztą wszystkie spostrzeżenia w taki sposób, aby w razie czego dotarły do rąk pułkownika. Przykład Sierakowskiego dowodził ponad wszelką wątpliwość, że prowadzenie tego śledztwa nie należało do rzeczy najbezpieczniejszych.

Po wyjściu Kostrzewy pułkownik sięgnął po słuchawkę. Białkowski? Na pierwszy rzut oka ten kierunek dochodzenia wydawał się najzupełniej nonsensowny. Ale to nie miało znaczenia. Nieraz już miał do czynienia ze sprawami, w których najbardziej nawet nieprawdopodobne okoliczności okazywały się zupełnie realną rzeczywistością.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Nakręcił numer. Dopiero się zdziwił. Dotychczasowa praca Kostrzewy

dowodziła jednak, że nie jest on człowiekiem, który by miał zwyczaj wypuszczania strzał na oślepa.

*

Tramwaje były zatłoczone do niemożliwości. Białkowski nie czuł się na siłach, by forsować wejście. Włókł się nogą za nogą. Dopiero za trzecią przecznicą znalazł wolną taksówkę. Opadł bezwładnie na zdezelowane siedzenie. Chybaby już nie był w stanie iść dalej.

Wreszcie dotarł jakoś do mieszkania, choć przychodziły momenty, w których był niemal pewien, że nie starczy mu sił nawet na przebycie tych kilkudziesięciu stopni. Obejrzał podejrzliwie zamek w drzwiach. Nie znalazł żadnych śladów otwierania wytrychem lub czymś w tym rodzaju. Zdawał sobie jednak sprawę, że to nie miało żadnego znaczenia. Istnieją niewątpliwie sposoby...

Pozapalał wszystkie światła, rozglądając się uważnie. Nie wyglądało, by tu był ktoś w czasie jego nieobecności. Wzruszył ramionami. Do tego rodzaju roboty nie biorą przecież niezdarów.

A może jeszcze nie... Nie znaczyło to jednak, by nie mogli przyjść jutro albo może nawet i za godzinę. Skoro znaleźli drogę do garażu... Teraz żywił niemal pewność co do charakteru dokonanych tam oględzin. Rewizja zaś w mieszkaniu? Miał pewne wątpliwości. Ale chyba tak. Wtedy też przetrząsnęli mu wszystko od a do zet.

A tu... Cóż, nie znał się na tym. Pomimo zmęczenia zabrał się od razu do roboty.

Należy się przygotować do nieproszonych odwiedzin. Było sporo rzeczy, które nie powinny wpaść w obce ręce.

Wysunął szufladkę biurka. Listy w kopertach rozmaitego formatu. Niektóre z nich ofrankowane zagranicznymi znaczkami. Jeszcze raz przebiegał pobieżnie oczyma,

choć treść większości znał niemal na pamięć.

Tak, to przede wszystkim. Cóż z tego, że niezrozumiałe dla profana? Że i nie każdy specjalista potrafiłby dokładnie zrozumieć, o co chodzi? Ze - wargi drgnęły w uśmiechu gorzkiego sarkazmu - i dla samych autorów znalazłyby się, być może, poważne niejasności. Lepiej nie... Po co jeszcze i ta sprawa ma być przedmiotem badań. Chyba tamtej starczy... Starczy aż nadto. Darł metodycznie. Sporo tego było. Na blacie biurka wyrosła pokaźna sterta strzępków. Patrzył tępo. Strzępki? Tak, to był właściwy obraz tego, co się z nim stało.

Zgarnął papiery w garść. Ugniatał w kulę. Nachylił się nad drzwiczkami pieca.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Węgłe żarzyły się krwistym odblaskiem.

Obserwował tępym wzrokiem, jak kula pod wpływem żaru rozchyła postrzępione płatki niczym rozkwitający kwiat.

Przegarnął kilkakrotnie pogrzebaczem, aż zwęglony papier rozpadł się na mikroskopijne cząstki. Czytał gdzieś, że teraz mają sposoby odczytywania treści nawet z popiołu.

Zakręcił starannie drzwiczki. Gotowe. Rozejrzył się uważnie. Nie... nic nie świadczyło, że palił papiery. Tylko ten gorzkawy zapach czadu.

Uchylił okna. Po chwili namysłu zaciągnął szczelniej zasłonę. Z przeciwległej kamienicy można było dojrzeć, co się działo w pokoju.

Opadł ciężko na fotel. Wszystko?

Przeciagnał ręką po wilgotnym czole. Nie... To także powinno zostać usunięte z zasięgu obcych rąk. Oczywiście, że tak...

Wysunął górną szufladę do końca. Odłożył ją w bok. Nacisnął ledwo

dostrzegalny guziczek. We wgłębieniu po usuniętej szufladzie cicho trzasnęła sprężyna odskakującego zamka. Skrytka. Na pierwszy rzut oka oczywiście niewidoczna. Ale dla specjalisty... Nie, nie trzeba być nawet specjalistą. Wystarczy opukać dokładnie.

Sięgnął ręką. Na dłoni zaciążył pistolet.

Wydawało się, że zimno promieniuje od stali, rozplývając się po całym ciele. Z trudem powstrzymał drżenie. Tak było zresztą za każdym razem.

Ciemnobrunatne plamy zdawały się wżerać pod powierzchnię metalu.

Wyglądały jak rdza. Przełknął ślinę. Nie, to nie była rdza...

Podniósł rękę. Broń stuknęła o polerowany blat biurka.

Otworzył inkrustowane drzwiczki baru. W jednej butelce pozostało na dnie tylko kilka kropel koniaku. Sięgnął po drugą. Odsunął niechętnym ruchem kieliszek, który znalazł się na drodze. Sięgnął po szklaneczkę, którą napelnił pi brzegi.

Powtarzał to kilkakrotnie. W żyłach zaczęło pulsować ciepło. Pod czaszką rósł lekki szum. Coraz więcej potrzebował alkoholu, by osiągnąć ten stan.

Myśli zaczęły się jakby przejaśniać.

Usunąć trzeba, ale w jaki sposób? To nie papier, który unicestwia się w ogniu.

Zakopać? Cóż łatwiejszego, jak znaleźć miejsce, gdzie będzie zakopany. Nie - znowu sięgnął po butelkę - na nic... - Myśli plątały się coraz bardziej. Machnął ociężale ręką. -

Jutro.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Pochwały, nagrody, odznaczenia. Zaszczytne droga człowieka nauki.

Kostrzewa wygładzał kartki obszernego telefonogramu: Nagle podniósł głowę.

- Z jakiego powodu Białkowski zaprzestał wykładów na akademii?

Kociuba pokiwał głową.

- Tak... Ja też zwróciłem na to uwagę i zasięgałem informacji. Nie potrafią tego wyjaśnić. Tłumaczył rezygnację przeciążeniem praktyką.

- Przedtem też był przeciążony.

- To samo właśnie mówili. Nie rozumieli jego decyzji Nie widzieli żadnego sensownego usprawiedliwienia. Robili wszystko, by go zatrzymać. To wybitna siła naukowa. Pozostał jednak nieugięty.

- Nie wiedzieli... Jakiś powód jednak musiał być. Tego rodzaju człowiek - przesunął palcem po długim szeregu tytułów prac medycznych, napisanych przez Białkowskiego - nie rezygnuje tak łatwo ze stanowisk naukowych...

Na marginesie arkusza wyrósł jakiś znaczek, którego znaczenie rozumiał jedynie sam Kostrzewa. Czytał dalej.

W gabinecie panowała cisza. Słysząc było wyraźnie tykanie zegarka stojącego na biurku.

Kociuba patrzył z ukosa na pochyloną głowę Kostrzewy. Oczekiwał następnego pytania. Bo w życiorysie Białkowskiego była pewna niepokojąca okoliczność. Wreszcie ołówek Kostrzewy zawisł w powietrzu.

- Ta sprawa w wojsku? - spojrzał na pułkownika.

- Została umorzona - głos Kociuby wyprany był z wszelkiej intonacji.

Kostrzewa strzepnął z papieru okruch tytoniu.

- Umorzona... Zapewne, ale... przeczytał jeszcze raz:

W lutym 1945 roku wszczęto przeciwko doktorowi Białkowskiemu, jako dowódcy szpitala polowego Nr 257, dochodzenie z powodu ucieczki szpiega hitlerowskiego, który postrzelony przy aresztowaniu był umieszczony w tym szpitalu. Dochodzenie zostało umorzone z powodu braku dowodów winy.

- Z powodu braku dowodów? - powtórzył półgłosem. Kociuba milczał.

Obydwaj myśleli w tej chwili o jednym i tym samym. Umorzenie dochodzenia z powodu braku dowodów nie musiało świadczyć o niewinności. Po prostu zabrakło podstaw, by postawić w stan oskarżenia. Dochodzenie zostało umorzone. Sprawa

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

miała miejsce wiele lat temu. Wszystko, co było wiadome o późniejszym życiu Białkowskiego, zdawało się w niczym do niej nie nawiązywać. Te kilka słów z życiorysu mogło nie mieć oczywiście żadnego znaczenia. W okolicznościach wojennych nietrudno o niesłuszne podejrzenie. Ale mogły też znaczyć wiele. Bo jeżeli wtedy podejrzenie było słuszne? To rodziłoby możliwość tworzenia powiązań, które sięgnęłyby niezmiernie daleko. W szczególności ze względu na charakter, jaki według wszelkich danych miało morderstwo Lebiody.

Kostrzewa odłożył paczkę telefonogramów. Nie znalazł więcej nic ciekawego.

Zamyślił się. Morderców było dwóch. Jeżeli jeden mieszkał na tej samej klatce schodowej, to znacznie ułatwiłoby im zadanie.

Nie zająknął się jednak ani słowem na temat swoich rozważań. Uważał, że to byłoby przedwczesne. Przez kilka chwil bębnił w zamyśleniu po oparciu fotela.)

- Trzeba ustalić, czy Fijek nie służył w armii kościuszkowskiej - powiedział niespodziewanie. - A jeżeli tak, to w której jednostce.

- Fijek? - Kociuba chwilę szperał w pamięci. - Dozom ca kamienicy, w której mieszkał Lebioda?

- Tak.

Pułkownik bez słowa sięgnął po ołówek. Właśnie przypomniał sobie pewien ustęp z raportu Sierakowskiego.

- Chciałbym, żebyście przydzielili mi, pułkowniku, kogoś do pomocy. Teren, jakby nie było, dla mnie obcy i samemu...

- Jasne, doktorze - przerwał mu Kociuba - od razu byłem przygotowany na tego rodzaju żądanie. Sam jednaka nie proponowałem, bo... - urwał machając ręką -... krótko mówiąc dam wam Wiącka. Chłop inteligentny i, co najważniejsze, z nerwem śledczym. Gdyby wam nie przypadł do gustu, poszukamy kogoś innego.

Kostrzewie wystarczyła kilkuminutowa rozmowa dla stwierdzenia, że trudno było marzyć o lepszym współpracowniku.

Michał Wiącek niewątpliwie dobiegał już czterdziestki albo ją nawet przekroczył. Każdy jednak jego ruch świadczył o wewnętrznej dynamice.

- Sprawa nie należy do bezpiecznych - uprzedził Kostrzewa w momencie, gdy doszedł do wniosku, że bardzo mu zależy na tym człowieku.

Wiącek roześmiał się cicho.

- A cóż właściwie jest bezpieczne, doktorze? Miałem przyjaciela z lat

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

dziecinnych. Wprost trudno uwierzyć, przez jakie opaty przeszedł. I dom, w którym akurat siedział, zawalił się od bomby, i gestapowcy go chcieli koniecznie rozstrzelać, i topił się razem z podwodną łodzią, na której służył - I wszystko nic. Żeby choć jakieś zadraśnięcie. A już po powrocie do kraju szedł sobie w słoneczne południe po krakowskim Przedmieściu, gdy nagle dachówka rąbnęła w czaszkę i trup na miejscu.

- No - uśmiechnął się przyjaźnie Kostrzewa - jeżeli w taki sposób stawiacie sprawę, to dalej idziemy razem?

- Ja na to jak na lato, jak powiedział pasażer uwięzionego przez lody okrętu.

Uścisnęli sobie mocno dłonie, pieczętując sojusz.

Wiącek miał między innymi tę zaletę, że nie trzeba było wielu słów, by pojął, o co chodzi.

Sprawę zresztą znał na wyrywki.

- Pociągnąć Fijka za język? Zrobione, doktorze, jak powiedział przykładowy pacjent, umierając o zapowiedzianej przez lekarza godzinie. Już ja go wymacam.

- Ale...

Dalsze słowa przeciął uspokajającym ruchem ręki.

- Bez obaw, doktorze. Ani będzie wiedział, że to ja, ani z jakiego powodu, ani nawet zda sobie sprawę, że jest na warsztacie. Wódka - przytknął charakterystycznym ruchem w szyję - krzepi, jak powiedział pijak, topiąc się w wannie. Ale gdy chodzi o wyciągnięcie podszewki na wierzch, rzeczywiście trudno by znaleźć coś lepszego.

Już go nie było. Kostrzewa popatrzył w ślad za nim. Złoto, nie człowiek.

Bardzo mu ułatwiał układanie tej zawilej mozaiki. I ile wkładał zapалу w swą pracę.

Wiącek wrócił po paru godzinach.

- Wszystko zgadza się jak w aptece - zaczął jeszcze w progu. - I nawet więcej.

Nie tylko, że Białkowski go operował w czasie wojny i, jak twierdzi Fijek, ocalił mu

życie, ale przed dwoma laty uratował jego syna, który wskutek skomplikowanego

pęknięcia ślepej кишки znajdował się w stanie beznadziejnym. Fijek dałby się za

Białkowskiego porąbać w kawałki. Żadna siła nie potrafi wydusić z niego czegoś, co

przemawiałoby na niekorzyść doktora. Próbowałem zapaść sondę. Gdzie tam...

Chociaż wtedy był już w takim stanie... No, jednym słowem, musiałem go niemal

odnosić do domu.

Kostrzewa przyjrzał się uważnie wywiadowcy.

- A nie zauważył, żeście markierowali? Wiącek parsknął śmiechem.

- Markierować? Ani mi nawet w głowie posiało. Taki partactwo mogłoby w

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

rezultacie drogo kosztować. Dotrzymywałem towarzystwa co do kropli.

- I nic po was jakoś nie znać. Uśmiech Wiącka stał się niemal smętny.

- Otóż to, doktorze. Jakaś wada organizmu czy kie liche Mogę wlewać w siebie jak w bezdenną beczkę, i żadnego wrażenia. Po gęsi woda, i tyle. Może właśnie dlatego nie ciągnie mnie do kieliszka. Ale w służbie niekiedy pomaga...

Kociuba wreszcie odsunął bloczek.

- Tak, to daje wystarczającą podstawę - stwierdził cicho. - Chodzi więc wam, doktorze, o przeprowadzenie formalnej rewizji?

- Niezupełnie - sprostował Kostrzewa. - Pragnę tylko otrzymać formalny nakaz, zezwalający na jej przeprowadzenie.

- Czyż to nie to samo? - spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Jednak niezupełnie. W każdym razie nie zawsze - I w głosie jego brzmiał jakiś szczególny ton.

- No cóż - pułkownik wydobył blankiet. - Nie chcę wchodzić w szczegóły - stuknął z rozmachu metalową pieczęcią. - Tylko, doktorze - wręczył mu nakaz - jeżeli można, zróbcie to jakoś dyskretnie...

Kostrzewa uśmiechnął się.

- Postaram się jak najdyskretniej - znowu ten dziwny ton, nad którego znaczeniem pułkownik wolał się nie zastanawiać.

I tym razem ktoś telefonował do szpitala, informując się o rozkład zajęć profesora Białkowskiego. Telefon zresztą nie wywołał zdziwienia. Tylu pacjentów pragnęło się dostać do Białkowskiego. Potem mocno szpakowaty mężczyzna wszedł

swobodnym krokiem do domu, w którym mieszkał profesor. W niczym nie przypominał ani doktora Jerzego Kostrzewy, ani urzędnika prezydium, który przeprowadzał oględziny garażu.

Na wypadek, gdyby go ktoś zapytał, czego szuka, miał przygotowaną gotową odpowiedź: „Pilna sprawa do zespołu adwokackiego”. Byłby bardzo zdziwiony usłyszawszy, że o tej porze nikt tam nie urzęduje. I na to znalazłby się stosowny argument. W mieście, z którego przybywał, adwokaci urzędują cały dzień.

Nikt go jednak nie nagabywał. Trudno byłoby dosłyszeć, że szedł po schodach.

Wreszcie przystanął przed drzwiami z mosiężną tabliczką. Zamknięte były na dwa zamki. Oba patentowe, o mocno skomplikowanych wykrojach. Mimo to po dwóch minutach stanęły otworem. Doskonałości zamków odpowiadała doskonałość

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>) uniwersalnego wytrycha.

Gdy chował skórzane etui do kieszeni, usta jego drgnęły w przelotnym uśmiechu. Sposób wejścia do mieszkania daleko odbiegał od wymaganych zasad. Ale w tym wypadku uważał, że właśnie tak należy postąpić. Zamknąwszy starannie drzwi za sobą, spojrzął na zegarek. Informacje uzyskane w szpitalu wskazywały, że ma dwie godziny.

Ogólny rzut oka. Potem szczegółowy plan poszukiwań. W takim mieszkaniu powinna chyba być jakaś skrytka pancerna?

Zaglądał ostrożnie pod obrazy. Pod trzecim z kolei ujrzał stalowe drzwiczki wmurowanego safesu. Tu już nie poszło tak łatwo jak z drzwiami. Klął w duchu, manipulując delikatnie platynowymi drucikami. Zanim natrafił na odpowiednią kombinację, upłynęło stanowczo zbyt dużo czasu.

Cicho trzasnęła sprężyna. Nareszcie!

Wnętrze stalowej skrzynki było przeładowane. Należało uważać, by nie narobić bigosu. Postanowił bowiem dopiero w zależności od wyników rewizji zdecydować, jaki charakter jej nadać.

Banknoty. Dużo ich było. Zdumiewająco dużo. Ale to ni dawało podstaw do jakichś dalej idących domysłów. Chirurg tej miary zarabiał niewątpliwie wysokie sumy. Tylko dlaczego trzymał tyle pieniędzy w domu?

Plik dokumentów. Przejrzał pobieżnie. Żaden nie miał związku z tym, czego poszukiwał.

Układając wszystko z powrotem zamyślił się. Czyżby tej człowiek nie miał żadnego osobistego życia? Jakies bardziej intymne listy? Widocznie musiał przechowywać to wszystko gdzie indziej.

Zatrzasnął safes. Nasunął z powrotem obraz. Przyjrzał się krytycznie i poprawił ledwo dostrzegalne skrzywienie! Teraz wisiał co do milimetra na tym samym miejscu. Zabrał się do podręcznego baru z polerowanego mahoni. Opukiwanie nie dało żadnego rezultatu. Wszystkie ścianki rezonowały równomiernie. Tu z całą pewnością nie było żadnych potajemnych schowków. Zajrzał do środka. Rząd butelek opatrzonych przeważnie zagranicznymi etykietami. Whisky, brandy, parę gatunków koniaków. Wyłącznie wysokoprocentowy alkohol. Kilka butelek pustych. Dlaczego pozostawiono je w barze? Przybliżył kolejno do nosa. Zachowały jeszcze mocny zapach. Widocznie opróżniono je niedawno.

Jak wynikało z dochodzenia, Białkowski prowadził życie niemal pustelnicze. W

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

każdym razie nie przyjmował gości w domu.

Obejrzał kryształowe kieliszki. Nie używano ich od dawna. Wysokie szklaneczki do cocktaili były ustawione na specjalnej tacce. Również i tu nie było żadnych śladów, by ktoś z nich pił. Jedna szklaneczka stała luzem. Ta nie była czysta. Znowu badał ją węchem. Tak - odstawił na miejsce. Ale nie pito z niej cocktaili, tylko koniak. Sławny chirurg, przepijający w zaciszu swego mieszkania do lustra?

Podszedł do biurka. Cenny mebel. Niewątpliwie antyk, i to nie podrabiany. W tego rodzaju sprzętach zazwyczaj nie brakło przemyślnie utajonych schowków. Najpierw przejrzał zawartość szuflad. Czynił to możliwie skrupulatnie, znowu jednak nie znalazł niczego. Dziwne. Zaczął badać dno szuflad przez lupę. Niedostrzegalne gołym okiem drobinki kurzu wystąpiły w silnym powiększeniu, znacząc niemal dokładnymi ramkami miejsca po papierach, których teraz nie było. Regularny układ smug świadczył, że usunięto je zupełnie niedawno. Skierował z kolei soczewkę na wewnętrzną powierzchnię ścianek szuflad. Wykryte smugi pozwalały na ustalenie drugiego wymiaru śladu. Tych usuniętych dokumentów musiała być pokaźna liczba. Dlaczego je zabrano i dokąd przeniesiono?

Piec? To nasuwało się przede wszystkim. Podszedł, odkręcił śrubę i otworzywszy mosiężne drzwiczki zajrzał do wnętrza. No, tak. Tu użycie lupy było zbędne. Rozgrzebany starannie popiół pochodził niewątpliwie ze spalonych papierów. Ilość zgadzałyby się. Z jakiego powodu zostały spalone? Jeszcze jedna zagadka.

Znowu powrócił do biurka i zabrał się do metodycznego ostukiwania. Po pewnym czasie usłyszał głuchy odgłos. Jeszcze parę delikatnych uderzeń i nie miał już wątpliwości. Skrytka. Wyciągnął szufladę, mierząc grubość tylnej ściany biurka. Tak, ale w jaki sposób ją otworzyć? W głębi szufladki nie znalazł niczego, co by przypominało sprężynę. Widocznie musiała się znajdować na zewnętrznej powierzchni.

Minęło parę minut, zanim ją odkrył wśród wymyślnych wzorów bogatej inkrustacji.

Gdy nacisnął, ukryte drzwiczki opadły z lekkim stukiem. Oświetlił kieszonkową latarką wnętrze skrytki. Była pusta. Jednolita warstwa kurzu świadczyła, że od dawna w niej nic nie leżało.

Badał dalej. Znowu głuchy dźwięk. Tym razem poszukiwanie sprężynki trwało o wiele dłużej. Wreszcie znalazł.

Część fornirowanej ścianki odsunęła się w bok. Nachylił się przesuwając guzik latarki. - Ooo! - aż zagwizdał przez zęby. W ostrym świetle oksydowana stal pistoletu wystąpiła z nagłą wyrazistością.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Ujął ostrożnie przez chustkę, aby nie zamazać odcisków palców na gładkiej powierzchni metalu.

Podniósł do oczu. Kaliber 7,65. Ten sam, co i kule wydobyte z ciała Lebiody.

Przysunął otwór lufy do nosa. Długo wahał. W końcu potrząsnął bezradnie głową. To nie dawało nic. Od morderstwa upłynęło tyle czasu, że zapach spalonego prochu musiał wywietrzeć. Potem dopiero spostrzegł rdzawe plamy. Obejrzał je przez lupę. Krew?

Siedział bez ruchu, zastanawiając się nad linią dalszego postępowania.

Wszystko zdawało się wskazywać, że znaleziony pistolet stanowi dowód o decydującym znaczeniu dla śledztwa. W tych warunkach należałoby nadać rewizji jak najbardziej oficjalny charakter. Zupełna jednak pewność zostanie zdobyta dopiero po przeprowadzeniu ekspertyzy rusznikarskiej. Bo pomimo wszystko w tej chwili nie można wykluczyć zbiegu okoliczności.

Wreszcie zdecydował się. Ostatecznie jeszcze parę godzin. Chyba że Kociuba

postanowi inaczej.

Owinięty starannie pistolet powędrował do kieszeni Skrytka została zamknięta, szuflada powróciła na dawna miejsce. Jeszcze raz przesunął badawczym wzrokiem dookoła. Nie, nic nie świadczyło o jego wizycie.

Tuż za rogiem ulicy stała szklana budka automatu telefonicznego. Musiał nakręcać wiele numerów, zanim wreszcie przyłapał Wiącka. Gdyby ktoś przysłuchiwał się rozmowie, byłby przekonany, że omawiano jakąś transakcję handlową. Wiącek jednak dokładnie zrozumiał treść polecenia, ukrytego pomiędzy obojętnymi zdaniem. Miał natychmiast roztoczyć dyskretną opiekę nad profesorem Białkowskim i w razie gdyby zanosilo się na ucieczkę, zatrzymać go pod pierwszym lepszym pretekstem. - Uff - Kostrzewa zaczerpnął pełną piersią powietrza. Wszystko, co było najkonieczniejsze - zostało załatwione. Dalej zaś... Zamyślał się coraz głębiej.

Niejasności, które początkowo wydawały się całkiem błahe, w miarę, jak się nad nimi zastanawiał, urastały do rozmiaru problemów.

Szedł niemal mechanicznie, mijając przechodniów, kto rych nie dostrzegał.

Nagle drgnął, wytrącony z zadumy głosem zdyszczym od szybkiego biegu: -

Obywatelu śledczy!

Obejrzał się ze zdumieniem. Syn Fijka? Czyżby ojciec przysłał go z jakąś pilną wiadomością? To pachniałoby pierwszorzędną sensacją. Spojrzawszy jednak uważniej natychmiast odrzucił tę myśl. Pełen rozpaczliwej determinacji wyraz twarzy chłopca

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

przeczył tego rodzaju przypuszczeniom. Jasne było, że przyszedł sam. To było najlepsze. I kto wie, czy nie zapowiadało tym większych rewelacji.

- Obywatelu śledczy - powtórzył Zdobek rozdygotanym głosem.

- Tak, słucham cię chłopcze - nadał tym słowom jak najbardziej zachęcające brzmienie. - Masz coś do mnie? - nachylił się ku niemu.

Chłopak jakby się skulił. Słysząc było, jak przełyka ślinę. Oczy uciekały przed spojrzeniem Kostrzewy gdzieś w bok. Był najwyraźniej zdenerwowany do ostateczności.

- No więc?

- Tak... Mam... ale nie tutaj... bo...

- Tajemnica? - zapytał zupełnie poważnie Kostrzewa. Nie odpowiedział, rozglądając się nerwowo na wszystkie strony. W miejscu, gdzie przystanęli, panował ożywiony ruch. Przechodnie zdawali się go onieśmielać.

Kostrzewa wskazał ręką w kierunku pobliskiego skwerku.

- Może więc tam? Chłopiec zawahał się.

- Może... - bąknął niezdecydowanie. - Dobrze - ruszył nagle.

Kostrzewa musiał porządnie przyspieszyć kroku, by za nim nadążyć. Chłopiec niemal biegł. Wyglądało, jakby powziąwszy jakąś decyzję pragnął wykonać ją jak najszybciej, obawiając się, że potem zabraknie sił.

Ciągnął go w pośpiechu po coraz innych alejkach. Widocznie uważał, że i tu jest zbyt wiele ludzi.

Wreszcie znalazł pustą ławkę. Na sąsiedniej również nikt nie siedział. Jeszcze raz rozejrzał się na wszystkie strony. Ktoś szedł powolnym krokiem. Przeczekał, aż zniknie zakrętem. Wciągnął głęboko powietrze.

- Jeżeli ktoś wie coś o kimś, komu zawdzięcza życie, coś niedobrego... to czy powinien to powiedzieć? - zapytał przerywanym z emocji głosem.

Kostrzewa zastanowił się. Przeczynał już, co miał na myśli. Ale zdawkowa

odpowiedź mogła zmrozić chłopca.

- Jesteś harcerzem? - zapytał z kolei.

- Tak... - Zdobek nie był wcale zdziwiony tym pytaniem.

- Harcerstwo, chłopcze, to odpowiedzialna służba. Wobec ludzi i wobec prawdy... prawdy - podkreślił ostatnie słowo.

- Tak... ja też tak myślałem, że wszystko jedno, kto... Bo tu chodzi o doktora

Białkowskiego i redaktora Lebiodę - głos się rwał - który był dla mnie... Który... -

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

przełknął ślinę, pasując się ze wzruszeniem.

Kostrzewa milczał. Uważał, że tak będzie lepiej. Chłopiec musi się sam

przełamać. Minęła dłuższa chwila, zanim się znowu odezwał.

- To było na trzy dni przed śmiercią redaktora. Stałem z ojcem w bramie.

Jeszcze było wcześniej... Dochodziła siódma... I nagle krzyk... Może zresztą i nie

krzyk... Bo w klatce schodowej, to echo niczym w studni... Ale jednak... Patrzymy, co

takiego. Awantury się u nas nie zdarzają. Dom spokojny. Nie wierzyliśmy własnym

oczom... Doktor Białkowski zawsze sztywny jakby z drewna. A tu nagle...

Wymachiwał rękoma... na redaktora... Myślałem nawet, że może jakiś atak. Twarz

miał taką jakąś zmienioną... I... „No, cóż - krzyczał - jeżeli będziesz dalej w ten

sposób, to...” - urwał.

- To co? - zapytał Kostrzewa.

- Powiedział wtedy: „Zabiję” albo może: „zabijesz”... Nie dosłyszałem

dokładnie, ba akurat trzasnęła brama. Wtedy właśnie wszedł Wypiór. Do

Białkowskiego czy może do redaktora. Bo on chodził do obu.

Kostrzewa porządkował w myśli fakty. Znowu ogniwo, które na pierwszy rzut

oka zdawałoby się łączyć pozostaje... Ale tylko pozornie. Bo jeśli zastanowić się dokładniej... Ten Wypiór chodził do obu?

- To - chłopiec spojrzał z nieśmiałą nadzieją - chyba niekoniecznie musi mieć coś wspólnego z morderstwem... to jest... - zająknął się -... ze śmiercią redaktora?

- Pewno, że niekoniecznie. Ale w każdym razie sprawa ta wymaga dokładnego zbadania. Dobrześ zrobił opowiadając. A kto to jest ten Wypiór?

- Na imię mu Felek... Feliks - poprawił się. Teraz mówił dużo spokojniej. -

On... No, przedtem był chuliganem. I nawet sam mówił, że miał jakąś sprawę. Zdaje się, że siedział... A potem zajął się nim redaktor. On miał wielu takich... Wtedy Felek poszedł do pracy. Uczył się w wieczorowej szkole...

- Gdzie mieszka?

- Gdzieś na Pradze... Ale dokładnie to nie wiem. Do szkoły chodził na Karolkową.

- A co miał wspólnego z doktorem Białkowskim?

- On mówił, że doktor mu coś załatwiał... Na prośbę redaktora.

- Białkowski od dawna znał się z Lebiodą?

- Chyba od bardzo dawna. Ojciec mówił, że to przyjaciele z lat dziecińczych czy może szkolnych... Często rozmawiali ze sobą. Ale tak, jak wtedy, nie zdarzyło się.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Przynajmniej nigdy nie widziałem, żeby... I ojciec nie mówił...

Umilkł.

Kostrzewa zająknął mu w oczy.

- To wszystko?

- Tak - raz po raz zwilżał wargi końcem języka. - Wszystko.

- Dziękuję ci, żeś się zdecydował powiedzieć. Rozumiem, że nie przyszło ci to łatwo. Ale to są niezmiernie doniosłe dla nas wiadomości.

- Ja... wiem, ale...

- Oddałeś wymiarowi sprawiedliwości wielką usługę - przerwał mu szybko w obawie, by refleksje nie spotęgował ły jeszcze bardziej jego zdenerwowania. - Spełniłeś swój obywatelski obowiązek.

Kostrzewa nie znosił wielkich słów, w tym przypadku uważał je jednak za potrzebne. Zdawał sobie doskonałą sprawę, co się musiało dziać w umyśle młodziutkiego chłopaka, który się znalazł w tego rodzaju sytuacji.

- Może właśnie dzięki tobie zdołamy wyjaśnić pewnei dotąd niejasne wątki sprawy.

Chłopak podniósł się z wahaniem.

- Czy mogę już iść?

Kostrzewa przytrzymał go, kładąc rękę na ramieniu.

- Pragnąłbym z tego wszystkiego spisać protokół. Znowu przełknął głośno ślinę.

- Rozumiem. Tylko, broń Boże, bez wezwań. Bo ojciec...!

- Obejdziemy się - zapewnił Kostrzewa przyjaźnie. - Może poszedłbyś teraz do mnie?

- A która godzina? Pokazał zegarek.

- Da się zrobić? - zapytał w taki sposób, jakby pozostawiał mu decyzję.

- Jeżeli to niezbyt długo potrwa...

- Najwyżej jakieś pół godziny. Postaram się, żeby nawet jeszcze mniej. Mnie, widzisz, również niezmiernie zależy na pośpiechu - zwierzył mu się konfidencjonalnie,

chcąc go jeszcze bardziej ośmielić.

Ruszyli w stronę ulicy. Widząc, że chłopak rozgląda się nieufnie, Kostrzewa przywołał taksówkę.

- W ten sposób - uśmiechnął się - zarobimy parę minut.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Pułkownik Kociuba długo wpatrywał się w leżący na biurku pistolet.

- Stamtąd?

Kostrzewa potwierdził milczącym skinieniem głowy.

- Wszystko wskazuje na to, że zdobyliśmy ostateczny dowód - powiedział jakby do siebie Kociuba. Kostrzewa milczał.

Pułkownik spojrzał na niego pod szklami swych okularów.

- Macie jeszcze jakieś wątpliwości?

Ostatnie słowo należy do magistra Arskiego. Jeżeli stwierdzi, że kule wydobyte ze zwłok zamordowanego zostały wystrzelone z tego pistoletu, sprawa jest jasna.

Jeżeli nie... - Kostrzewa rozłożył ręce.

- Więc jednak dopuszczacie możliwość negatywnego wyniku ekspertyzy?

- Dopuszczam wszelkie możliwości. I w takim razie pozostalibyśmy na tym samym miejscu, na którym znajdowaliśmy się przed wykryciem pistoletu.

- No cóż - pułkownik sięgnął po słuchawkę telefoniczną. - Arski będzie musiał stanąć na głowie, żeby to wszystko załatwić jak najprędzej. Dajcie protokół rewizji, doktorze - wyciągnął machinalnie rękę.

- Nie ma protokołu rewizji - stwierdził obojętnie Kostrzewa.

- Jak to?

- Nie ma - powtórzył, wydając się bez reszty pogrążony w studiowaniu złotych

liter tytułów za szkłem bibliotecznej szafy. - Rewizji zresztą właściwie też nie było.

- No to... - Kociuba cofnął rękę od słuchawki, jakby go ebonit nagle oparzył. -

Właściwie...

- Było za to coś w rodzaju, powiedzmy, włamania - oznajmił z żenującą otwartością Kostrzewa. - Zaś dla stwierdzenia identyczności pistoletu i miejsca jego znalezienia musi tymczasem wystarczyć mój raport - położył na biurku ćwiartkę papieru.

- Dlaczego? - zapytał cicho pułkownik.

- Uważałem, że takie załatwienie sprawy będzie bardziej... ludzkie. Mam pewne podstawy do twierdzenia, że stan psychiczny Białkowskiego daleko odbiega od normy. Zatrzymanie go bądź oficjalna rewizja mogłyby go załamać do reszty. Jeżeli zaś okaże się, że wszystko, co trzymaliśmy w garści, nie jest tym, czego szukamy?

Pułkownik zamyślił się.

- Cóż, może macie rację, doktorze.

Gdy zamknęły się drzwi za dyżurnym, który odnosił pistolet do laboratorium

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

rusznikarskiego, Kociuba spojrział wyczekująco na siedzącego bez ruchu Kostrzewę.

- Wygląda, jakby to jeszcze nie było wszystko, co macie mi do powiedzenia, doktorze?

- Rzeczywiście - powiedział sucho Kostrzewa. - Oto orzeszek, który na pierwszy rzut oka nie pasuje do resztyJ ale... - położył na biurku protokół zeznań młodego Fijka. I

Kociuba nachylił się.

- Rewelacja za rewelacją - mruczał pod nosem. - Jak nie ma, to nie ma i nagle

sypią się gradem.

W miarę czytania pionowa zmarszczka na czole pogłębiała się coraz bardziej.

Wreszcie oderwał oczy od niezbyt} czytelnych linijek pisma.

- Rzeczywiście jest „ale”. Morderca, który uprzedza ofiarę o zamiarze zamordowania? I to do tego przy świadkach!

- Cóż - Kostrzewa z góry oczekiwał podobnej reakcji. - To się przecież niekiedy zdarza.

Kociuba spojrział na niego z ukosa.

- Zdarza się - powtórzył zgryźliwie. - W tego rodzaju sprawach?

- Ba... Czyż mamy przekonujące dowody, jakiego rodzaju jest ta sprawa?

- Słusznie - sposepniał do reszty. - Nie mamy. Znowu wlepił wzrok w protokół. Sięgnął po ołówek.

- Awantura na klatce schodowej - podkreślał z hamowaną furią odpowiednie zdania protokołu. - Krzyki „zabiję”. Co za diabelski bigos - niemal jęknął odsuwając porywczym ruchem blankiet. - To wszystko dałoby się gładko dopasować do zabójstwa w afekcie. Ale jeżeli chodzi o z góry uplanowany mord, popełniony na polecenie obcej agentury?

- Otóż to - westchnął Kostrzewa, wybierając z namysłem papierosa z pudełka.

- To wcale nie takie proste.

W czasie przerwy obiadowej zrobiło mu się słabo. Dobrze jeszcze, że nie wtedy, gdy trzymał lancet zanurzony w otwartym ciele leżącego na stole operacyjnym człowieka. Krople nie bardzo pomogły. Zaaplikował sobie zastrzyk. Nikt tego nie zauważył. Zaplanowane operacje zostały szczęśliwie doprowadzone do końca.

Ale gdy opuszczał szpital, wszystko w nim było jakby obce. I ten uporczywy

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

ból, nie ból, ugniatający tył czaszki. I równie dokuczliwe myśli:

Co w domu?

Zamierzał zagadnąć Fijka, czy kręcił się ktoś podejrzany. Upozorować było łatwo. Prasa doniosła o dokonanych kilku kradzieżach. A on miał wiele cennych rzeczy w mieszkaniu. Fijka jednak nie znalazł ani w bramie, ani w dyżurce. Do mieszkania zaś iść nie ryzykował. To mogłoby już zbytnio rzucać się w oczy.

W domu wychylił parę szklaneczek mocnego koniaku. Poczuł się jakby lepiej.

Trzeba wreszcie załatwić sprawę z tym pistoletem.

Woda... Tak... Gdy utonie w Wiśle, zostanie pogrzebany na zawsze. Tak, jak został pogrzebany... - przyciął zębami wargi. Nie, nie trzeba rozpamiętywać tego, co było. I tak trzyma się resztką sił.

W komórce wyszukał ozdobne pudełko od czekoladek. Dar którejś z wdzięcznych pacjentek. Ma wielkość akurat. Owinie w ozdobny celofan. Będzie wyglądało jak z eleganckiej cukierni. Potem tylko przejść przez most.. To takie proste. Na dworze już ciemno.

Otworzył skrytkę, sięgając w głąb ręką. Zastygł. Przed oczyma zawirowały drobne, czarne płatki. Skrytka ziała pustką. Wydało mu się, że bucha z niej lodowaty ziąb.

Za późno?!

Opadł bezwładnie na fotel. Ciężar ołowiu znowu zaczął narastać w tyle głowy.

Oględziny samochodu, teraz rewizji w mieszkaniu...

Nie można było żywić najmniejszych złudzeń. Już wiedzą wszystko.

Sięgnął po szklaneczkę. Napełnił po brzegi. Wychylił jednym haustem.

Najmniejszego wrażenia. Jakby letnia woda...

Krople. Nie liczył. Nie mógł liczyć. Ręka drżała, jak w gwałtownym ataku febry. Przełknął. Gorzkawy smak byn szczególnie intensywny. Kropli musiało być dużo. Znacznie więcej niż maksymalna dawka. Odstawił z brzękiem szklaneczkę. Co tam... Teraz już..

Chwytał szeroko otwartymi ustami powietrze jak ryba wyciągnięta z wody.

Powoli oddech stawał się normalny. Poczł się znacznie lepiej.

Myśl zaczęła pracować. Trzeba by...

Długo nie widział drogi. Ze wszystkich stron otaczał go nieprzenikniony mrok.

W końcu zdecydował się. Wparł dłonie w oparcia fotela, zwlekając z wysiłkiem ciało. Stało się nagle ciężkie i bezwładne.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Stojąc, jeszcze czepiał się krawędzi biurka. Potem mógł już iść o własnych siłach. Nawet podniósł sztywno głowę. Dojdzie... Trzeba... To jest jedyne sensowne rozwiązanie.

Kostrzewa już po raz trzeci patrzył na zegarek. Wiącek dawno powinien dać znak życia. Zaczął go ogarniać niepokój. Jeżeli Białkowski zdołał jakoś zmylić jego czujność? To byłoby fatalne.

Wreszcie odezwał się telefon. Z ulgą poznał głos wywiadowcy.

- Wszystko w porządku. Nie miałem wcześniej telefonu pod ręką.

- Pacjent w domu?

- Tak. Właśnie odprowadziłem go przed chwilą.

W chwilę potem Kostrzewa pukał do gabinetu Kociuby.

- I jak? - zapytał od progu.

- Jeszcze nic. Arski powiedział, że najdalej za pół godziny - Poczekajcie, doktorze. Może przyśle wcześniej.

Kostrzewa usiadł zrezygnowany w fotelu.

Przeprowadzenie badania wymagało szeregu skomplikowanych czynności:

rozcięcie płaszców pocisków, wyjętych z ciała zamordowanego, odfotografowanie ich płaszczyzn, odfotografowanie nacięć gwintowania we wnętrzu lufy; wreszcie drobiazgowo porównanie obrazów.

To wszystko wymagało pewnego minimum czasu, poniżej nie dało się zejść żadną miarą. Zapowiedź Arskiego świadczyła, że i tak wziął rekordowe tempo.

- Białkowski powrócił do domu - przerwał wreszcie milczenie.

- Hm.. - Kociuba podniósł oczy znad akt - czyli że lada chwila może zauważyć brak pistoletu?

Kostrzewa wzruszył lekko ramionami.

- Czy ja wiem... Ale raczej nie sędzę. Z jakiego powodu miałby zaraz po wejściu do mieszkania zaglądać do trudno dostępnej skrytki? Mam nadzieję, że nie pozostawiłem żadnych innych śladów swej obecności.

Kociuba spojrział na wskazówki. Jeszcze dwadzieścia pięć minut. Jak ten czas się okropnie wlecze.

- Powiadacie, doktorze, że trudno dostępna?

- W każdym razie trzeba całkowicie wyciągnąć szufladę.

- No, to rzeczywiście może nie wpadnie mu to do głowy, by zaraz sprawdzać.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Choć...

Dalsze słowa przerwał natarczywy terkot stojącego na biurku aparatu wewnętrznego telefonu.

- Magister Arski? - Kociuba niemal krzyknął do mikrofonu.

Musiał widocznie usłyszeć zaprzeczenie, bowiem na twarzy jego odbił się wyraz rozczarowania. Ale zaraz w następnej chwili oczy rozszerzyły się w bezmiernym zdumieniu.

Kostrzewa przyskoczył porywczo.

- Co się stało?

Pułkownik zamrugał oczyma jak człowiek zbierają myśli po nieoczekiwanym nokaucie.

- Wiącek melduje, że przed chwilą profesor Białkowski wszedł do naszego gmachu.

Kostrzewa wciągnął ze świstem powietrze przez zęby.

- Co to może znaczyć? - Kociuba daremnie usiłował znaleźć jakieś wyjaśnienie.

Kostrzewa rozwiódł ręce ruchem wyrażającym pełną bezradność.

- Nie wiem. Ale za chwilę się przekonamy. Zapukano do drzwi. W progu stanął dyżurny.

- Doktor Paweł Białkowski! Do was, obywatelu pułkowniku.

- Tak - mruknął niepewnie Kociuba.

- Czy mam go wpuścić? - dyżurny czekał na odpowiedź.

- Prosić, oczywiście.

Po jego wyjściu rzucił spojrzenie w kierunku Kostrzewy.

- Nie powiem, bym był przygotowany na tę wizytę Kostrzewa potrząsnął głową.

- Ja również - odszedł ku oknu, opierając się o jego parapet.

Zapowiedziany długo nie nadchodził. Może zresztą tylko im się wydawało, że to trwało tak długo?

Kociuba machinalnym ruchem przetaił szkła okularów, i po czym osadził je z powrotem na nosie, poprawiając ustawicznie. Kostrzewa nie dziwił się bynajmniej jego podnieceniu. Sam trzymał się z trudem na wodzy.

Wreszcie znowu rozległo się pukanie i drzwi stanęły otworem.

Do gabinetu wszedł Białkowski.

Ruchy miał automatyczne jak lunatyk. Sprawiało wrażenie, że każdy kosztował

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)
go niezmiernie wiele wysiłku.

Kostrzewa trwał nieruchomo pod oknem, obserwując go nieznacznie. W całym jego zachowaniu było coś nienaturalnego. Stan wzmożonego napięcia nerwowego.

Chyba jednak nie tylko to. Białkowski, stawiając sztywno nogi, zbliżył się powoli do biurka.

- Przyszedłem... Zanim wy... przybędziecie po mnie - każde słowo wydobywał z siebie z największym wysiłkiem.

- Tak... - Kociuba wskazał na fotel. - Siadajcie, doktorze. A więc słucham - sięgnął po pióro.

Zdawało się, że Białkowski nie dosłyszał pytania i nie zauważył gestu. Stał milcząco i bez ruchu.

- Słucham? - powtórzył nagłaco pułkownik.

- Zabiłem człowieka...

Kociuba pośpiesznie odkręcał nasadkę wiecznego pióra.

- Więc przyznaje się pan do zabójstwa? - przysunął blankiet protokołu przesłuchania podejrzanego.

Wargi Białkowskiego drgały kurczowo.

- Na cóż się zda zaprzeczanie?

- A czy zeznanie ma dotyczyć tylko jednego człowieka? - zapytał z naciskiem Kociuba.

Kostrzewa przechylił się ku nim mimowolnym ruchem. Nie spuszczać oczu z twarzy Białkowskiego zauważył, że działo się z nim coś niezwykłego.

- Więc i tamta sprawa?... - wyjąkał profesor.

- Tamta też - potwierdził twardo Kociuba. - Więc przyznajecie się, że w dniu trzeciego października bieżącego roku pozbawiliście umyślnie życia wystrzałem z pistoletu Józefa Lebiode? - recytował pytania umyślnie monotonnym głosem.

Białkowski drgnął całym ciałem, cofając się jak przed uderzeniem.

- Z pistoletu? Lebiode?...? Ja...? - powtarzał jak echo.

- A więc? - Kociuba nie potrafił zrozumieć jego zachowania się. Przyszedł dobrowolnie przyznać się i teraz...

Nagle Białkowski zamachał gwałtownie rękoma.

- Samochód... w nocy... krew... - słowa stawały się zupełnie niezrozumiałe.

Kostrzewa zaniepokoił się. Zamierzał podbiec ku niemu, lecz w tym samym momencie Białkowski podniósł obie ręce do twarzy. Zachwiał się. Ciało zwiotczało,

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

jakby je pozbawiono kośćca. Runął ciężko na dywan.

Kostrzewa przypadł jednym susem i ukląkł przy nim, odpinając pośpiesznie kołnierzyk i koszulę.

Pułkownik wyskoczył spoza biurka. Nachylił się nisko nad leżącym.

- Co... Otruł się? Jakaś piorunująca trucizna?

Kostrzewa potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Udar mózgowy.

Pułkownik zagryzł wargi. Żeby akurat w takim momencie...

- Da się go uratować? Kostrzewa podniósł się powoli.

- Trudno cokolwiek orzec w tej chwili. W każdym razie przytomności nie odzyska przez długi czas. To pewne.

Kociuba wciągnął ze świstem powietrze przez zęby.

- Ach tak - przycisnął guzik dzwonka - zdarzenie, można powiedzieć, bardzo na czasie...

VI. Mocne pchnięcie w mur

Kociuba nerwowym ruchem przerzucał notatki.

- W każdym razie przyznał się do morderstwa.

- Do zabójstwa - sprostował cicho Kostrzewa. Kociuba patrzył na niego spod oka.

- Nie można od człowieka w takim stanie ducha wymagać zachowania subtelności prawniczej nomenklatury.

- Powiedzmy - Kostrzewa gładził w zamyśleniu kolano - powiedzmy, że się tylko pomylił w określeniu.

- I nie zaprzeczył, że ma na sumieniu dwóch ludzi. Wspomniał nawet o samochodzie.

- Tak, to prawda... Co do tego punktu - całkowita zgoda. Ale jeśli chodzi o Lebiodę...

- Hm... - pułkownik potarł czoło - jego słowa na ten temat można by sobie

tłumaczyć rozmaicie.

- Słowa, od biedy, owszem. Ale przypomnijcie sobie jego reakcję na wasze pytanie. Sprawiał wrażenie, jakby mu nawet do głowy nie przychodziła możliwość takiego podejrzenia.

Kociuba nie przestawał trzeć czoła.

- A o kogóż innego mogłoby chodzić w tej sprawie?

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Skąd mogę wiedzieć? Gdy będziemy mieli wyniki ekspertyzy rusznikarskiej, wtedy będzie na czym się oprzeć.

Pułkownik palnął dłonią w biurko z takim rozmachem, aż podstawka do ołówków podskoczyła z głuchym stukotem. - Prawda! Ekspertyza. No jasne... Wtedy całe nasze rozważania albo znajdą potwierdzenie, albo okażą się najpełniej jałowe. Głowę tracę. Czego ten Arski tak się guzdrze? Czy nie rozumie, że wszyscy siedzimy jak na szpilkach... - sięgnął po słuchawkę telefoniczną. Kostrzewa nadstawił uszu.

Pułkownik rzucił w mikrofon niecierpliwe pytanie. Potem milczał słuchając odpowiedzi. Do Kostrzewy dobiegały tylko trzaski w słuchawce. Starał się więc odczytać treść informacji z wyrazu twarzy Kociuby. Twarz ta w miarę słuchania przeciągała się. Brwi wędrowały ku górze z wyrazem bezmiernego zdumienia. Zanim pułkownik otworzył usta, Kostrzewa wiedział już, jak brzmi odpowiedź eksperta.

- Pha - sapnął Kociuba - on mówi, że żaden z tych pocisków nie został wystrzelony z pistoletu Białkowskiego.

- Cóż, mogliśmy być na to ostatecznie przygotowani.

- Przygotowani - Kociuba aż podskoczył na swym fotelu. - Akurat! Nitka po

nice dobieramy się do człowieka; który się przyznaje do popełnienia morderstwa, i nagle...

- Mur, który nie wytrzymał mocniejszego pchnięcia - powiedział w zamyśleniu Kostrzewa.

Kociuba przez chwilę patrzył na niego milcząco.

- Ale Arski jeszcze twierdzi, że... Pukanie do drzwi przerwało dalsze słowa.

- Z oddziału rusznikarskiego - dyżurny położył na biurku zapisany maszynowym pismem arkusz, do którego był przypięty spinaczem plik sztywnych odbitek fotograficznych.

Nachylili się nad ekspertyzą niemal jednocześnie. Pułkownik odczytywał tekst półgłosem, jakby uważał, że w ten sposób stanie się bardziej zrozumiały.

-...Z badanego pistoletu ostatni strzał został oddany przed dłuższym czasem, wynoszącym co najmniej kilka lat... Kilka lat - powtórzył sięgając na oślep do pudełka z papierosami - bagatela!

- Kilka lat - Kostrzewa powtórzył te słowa znacznie innym tonem - to by się zgadzało.

Kociuba zachnął się. Zaczynał się poważnie denerwować-

- Z czym znów zgadzałoby się, u licha?

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Z pochodzeniem plam krwi na pistolecie. One też liczą sobie dobrych kilkadziesiąt miesięcy.

- Otrzymaliście ekspertyzę?

- Nie. Pozwoliłem sobie przeprowadzić na własną rękę.

- Nie powiedzieliście mi nic o tym - w głosie Kociuby wyczuł pretensję.

- To już teraz nie ma znaczenia. Ta krew nie pozostaje w żadnym związku z zamordowaniem Lebiody.

Kociuba zastanowił się, przypominając sobie szczegóły obdukcji lekarskiej zwłok Lebiody.

- Słusznie - nie było żadnej rany, z której krew mogłaby trysnąć na odległość trzydziestu centymetrów. Ani nawet dziesięciu.

Zabrał się do badania przez lupę fotografii.

- Tu nie może być żadnej dyskusji - odłożył ją zniechęconym ruchem na biurko.

- Otarcia na płaszczach pocisków a gwinty w lufie... Jak pięść do nosa.

Kostrzewa jeszcze przez parę chwil przesuwał soczewkę z jednej fotografii na drugą.

- Tak - powiedział wreszcie - ekspertyza nie daje punktów zaczepienia. A

Arski to doskonały fachowiec.

Pułkownik wybuchnął.

- Cóż mi przyjdzie tu z jego fachowości?

- A jednak - Kostrzewa uśmiechnął się smętnie - a jednak przyjdzie.

- Co? - pułkownik miał taką minę, jakby uważał to oświadczenie za osobistą obrazę.

- Pistolet zostaje wyeliminowany ze sprawy.

- A cóż z niej nie zostaje wyeliminowane? - pułkownik zdjął okulary, przyjrzał się im z uwagą i położył z powrotem. Kostrzewa milczał.

- No, w każdym razie, jeżeli chodzi o Sierakowskiego... - Kociuba powoli uspokajał się.

- Jeżeli chodzi o Sierakowskiego, to w tych warunkach cała ta historia wymaga

dokładnego przeanalizowania od samego początku. Nie wierzę w to, by śmierć

Sierakowskiego była dziełem przypadku.

- Ja także nie.

- No, więc właśnie. A jeżeli chodzi o powód, dla którego Białkowski miałby ją

spowodować umyślnie... - gryzł zapamiętałe koniec ołówka, nawet tego nie

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

dostrzegając. - Tu jest dużo niejasnych momentów. Bardzo dużo.

Na pierwsze wezwanie Fijek zareagował przedstawieniem świadectwa

lekarskiego. Choroba należała do rzędu całkowicie błahych i wyglądało na to, że jest

próbą wykręcenia się od niemiłych kontaktów.

Dopiero, gdy mu zagrożono przymusowym doprowadzeniem, raczył się

pofatygować.

Sarkał przez cały czas. „Wszystko, co wiem, to powiedziałem już dziesiątki

razy. Co za sens powtarzać ciągle to samo w kółko? Może myślicie, że nie mam

żadnych innych zmartwień?”

Gdy Kostrzewa zadał pytanie na temat awantury pomiędzy Lebiodą a

Białkowskim, twarz dozorca stężała.

- Czy wiecie o tym od mego syna? - zmarszczył groźnie brwi.

- To do sprawy nie należy. Dość, że mamy dokładne informacje. Bardzo

dokładne - powtórzył ze znaczącym naciskiem Kostrzewa, co nie wywarło jednak

najmniejszego znaczenia.

- Skoro wiecie, to po co było mnie taskać - nie tracił rezonu.

Kostrzewa ofuknął go ostro. I to niewiele pomogło. Nie zmienił nawet na jotę

zaczepnego tonu.

Twarda sztuka - skonstatował w duchu Kostrzewa. - Niełatwo będzie z niego coś wycisnąć.

Przebieg dalszego badania potwierdził z nadwyżką tę opinię.

- Awantura? E, tam... takie gadanie... Rozmawiali podniesionymi głosami, to prawda. Ale przecież żaden nie krzyczał. Nietrudno zrobić z muchy słonia, jak kto ma specjalną ochotę. Czy doktor Białkowski powiedział: „zabiję”? Skądże by... także coś?! To bardzo spokojny człowiek. On i żeby komuś w taki sposób grozić? Po prostu śmieszne. I do tego redaktorowi?! Przecież byli w serdecznej przyjaźni od niepamiętnych lat. Bo to raz jeden i drugi o tym wspominał? O czym wtedy mówili? Nie wiem. Nie słyszałem. Czy teraz dozorca musi podsłuchiwać, co mówią lokatorzy? Używał tak prowokującego tonu, że chwilami Kostrzewa z trudem zdołał zachować spokój.

Fijek ożywił się dopiero wtedy, gdy zaczęły padać pytania na temat Wypiorą.

Nie, adresu nie zna. Zdobek mówił, że gdzieś na Pradze. O tak, to bardzo podejrzany typ. Kryminał dla niego nie nowina. Taki to zdolny do wszystkiego. Czy ja wiem...

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Może nawet i do morderstwa. Z oczu mu, aż strach, jak źle patrzyło. Łaził do redaktora jak w dym. Bodaj czy nie każdy dzień.

- A do doktora Białkowskiego również? Chwila wahania, zanim padła odpowiedź.

- Owszem, zdarzało się. Ale gdzie tam, rzadziej. Może w kupie zaledwie parę razy. Albo i jeszcze mniej.

- O której zwykle przychodził?

- Do redaktora?

- W ogóle.

- Rozmaicie. Czasem to jeszcze przed otwarciem bramy, a czasem to zdarzało się, że przed zamknięciem. Redaktora prawie cały dzień nie było w domu, wychodził zaś bardzo wcześnie.

- O której otwieracie bramę?

- Około wpół do siódmej.

- Czy tego dnia, kiedy zamordowano Lebiodę, również?

Ta okoliczność miała poważne znaczenie. Zgodnie bowiem z orzeczeniem lekarskim śmierć nastąpiła pomiędzy trzecią a szóstą rano.

- Tego dnia?... - przypominał sobie albo też udawał. Nie, wtedy akurat wcześniej.

- O której?

- O... - zająknął się -...około czwartej.

- O czwartej? - Kostrzewa zdziwił się nie na żarty. To przecież była całkiem niezwykła pora.

- Tak.

- A dlaczego tak wcześnie? - Kostrzewa z podejrzanym zainteresowaniem oglądał wzór na swym wiecznym piórze.

- Bo wtedy były imieniny u Lubańskiego z oficyny. Prywatna inicjatywa, forsy jak lodu. Chyba ze czterdzieści luda się zeszło. Od pierwszej zaczęli wychodzić. Kapali na raty, jak krew z nosa. Ani oka zmrużyć. To w końcu machnąłem ręką. Niech sobie wyłażą we własnym zakresie.

Zdziwienie Kostrzewy wzrosło jeszcze bardziej. Rozbawione towarzystwo bywa zazwyczaj hojne. Dozorca, który bez ważnych powodów rezygnuje z tego

rodzaju żniwa?

- Marnie się wtedy czułem - dorzucił w formie wyjaśnienia Fijek, jakby

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

przeczuwał te wątpliwości.

Potem zamknął się jeszcze bardziej i niemal na wszystkie pytania odpowiadał

jednakowo: „Nie wiem”. „Nie widziałem”. „Nie słyszałem”. „Nie pamiętam”.

Po jego odejściu Kostrzewa długo wpatrywał się w protokół. Więc brama w chwili dokonania morderstwa stała otworem? Ta okoliczność dotychczas nie była ustalona. Oznaczała zaś, że mordercy mogli przyjść i opuścić dom nie zauważeni przez nikogo.

Sylwetka Wypiorą rysowała się w sposób coraz bardziej zagadkowy. „Typ zdolny do wszystkiego, może nawet i do morderstwa?... Przychodził codziennie, ale od momentu morderstwa nie pokazał się ani razu”. Ciekawe. Skoro miał zwyczaj przychodzenia tak wcześnie, nie mógł się przecież dowiedzieć o śmierci Lebiody jeszcze tego samego dnia... Chyba żeby był jednym z tych, którzy około czwartej weszli do jego mieszkania.

*

Stukanie zabrzmiało ostro. Felek Wypiór podszedł do drzwi z ociąganiem.

Gliny? Gdyby nawet. Teraz trudno byłoby im o coś zahaczyć. Zresztą...

- Kto tam?

Za drzwiami rozległo się niewyraźne mruknięcie. Serce podskoczyło dławiąco.

Wszystko jedno. Otworzył desperackim niemal ruchem. Przed nim stał z niepewnym uśmiechem na dziobatej twarzy Stefek Żarek - Mandolina, jak go nazywali koledzy.

- Myślałem, że nie otworzysz, gdy powiem kto... Bo to tak raz było?

Felek machnął ręką ni to z rezygnacją, ni to gestem zaproszenia.

- Co tam. Właż, skoro już przyszedłeś.

Rozgościł się z miejsca. Ledwo napoczęta paczka papierosów powędrowała na stół. Z kieszeni wyłoniła się ćwiartka. Wprawnym ruchem wybił korek.

- Zimno - rzucił w formie wyjaśnienia, wydobywając z drugiej kieszeni paczkę owiniętą w przetłuszczony papier.

- Na ząb też się coś znajdzie.

Miał chłopak gest, tego by mu trudno nie przyznać. Felek szperał w szafie. Na dnie półlitrowki coś tam jeszcze pozostało.

Postawił z trzaskiem. Nie wypada przecież siadać do poczęstunku jedynie z pyskiem.

Jedna ze szklanek była pęknięta, ale to nie przeszkadzało.

Mandolina podsunął butelkę.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Nalewaj, bracie. Jesteś gospodarz, czy nie? Dźwięcznie zbulgotał płyn.

Podnieśli szklanki.

- Skul! - Mandolina stuknął się z rozmachem. Zagryźli wylawiając palcami grube płaty salcesonu.

- No gospodarzu, a na drugą nogę? Nie bądź taki skąpy. Po powtórny napelnieniu szklanek obie butelki pokazały dno.

- Zawsze trochę się człowiek rozgrzał - Mandolina z wyraźnym żalem odstawił opróżnioną szklankę. - Cóż - zapalił papierosa wyciągając się wygodnie na krześle - dobrze sobie niekiedy przypomnieć stare koleżeństwo. Felek siedział milcząc.

- Do szkoły nie chodzisz?

- Nie. Tymczasem.

- Wiemy. Zębaty warował dwa dni. Powiada „Wypiórczak widocznie zmądrzał”. Zresztą inni także widzieli twoją facjatę w oknie. I Gentleman, i Maniana.

Mnie samemu też się przydarzyło. Myślę sobie: popatrzę na miejscu, co i jak.

Zachodziliśmy w głowę, coś tak zmienił kurs. Bo tamto... Cóż... Jak komu wola. Jeden lubi grzybki w occie, inny żeby mu wpychać szpilkę w oko. Co człowiek, to gust.

Zresztą wiedzieliśmy, że cię ciągną tam za uszy. Ale teraz... Zębaty mówił, że to może w związku ze śmiercią...

- Bzdura! - przerwał ostro, jakby bał się dalszych słów. - W żadnym związku.

Ot, tak sobie z łaski na uciechę. Po prostu znudziło mi się i już.

Z trudem powstrzymał się, żeby nie wybuchnąć. Ale czyż mógł powiedzieć, co ma na wątrobie? Dopiero poszłaby historia.

- Oł rajt - Mandolina wstał, przeszedł się parę razy po pokoju i przystanąwszy przy Felku poklepał go zachęcająco po ramieniu. - Oto pierwszy znak, że chory powraca do zdrowia. Fabryka, ślęczenie nad książką, znudziło cię to wszystko? - nachylił się nad nim. - Pewno że tak - odpowiedział sam sobie. - Tylko matoly są innego zdania. Mnie szkoła tak znudziła, że się rzygać chciało. No i wagarowało się do skutku. Odetchnąłem, gdy wywalili. A z pracy jakoś nie chcą. Wolą prawić morały.

Gadaj do lampy. Mają mnie za idiotę, który będzie harował, by wyrabiać te ich zafajdane normy? - roześmiał się głośno. - Zresztą i do gadania nie dają im dużo okazji

- wepchnął wielkie palce obu rąk pod pachy, przebierając pozostałymi. Gest ten skopiował z jakiegoś filmu. - Unikam - wycedził z wyniosłą miną - mogą mnie pocałować w dupę. Nawet ponad plan - powrócił do swego krzesła. Usiadł.

- Może byś się wybrał z nami? - zaproponował po chwili - - W domu przecież

też niewesoło. A u nas... Powiadam ci, takie stypy odstawiamy ostatnio, że aż kiszki skręca od śmiechu. Choćby przedwczoraj. Przed cedeciakiem w biały dzień.

Wydawałoby się, że ani palca zgiąć, a my... No - wciągnął powietrze - manto spuściliśmy jednemu gościowi, że karetka pogotowia musiała go zbierać do kupy. W gazecie opisali... Zabawa bez żadnego ryzyka. Pójdiesz? Dziś się wybieramy pod kino. Też można zorganizować coś na większą skalę. Może jutro znów przeczytasz w gazecie... Chodź, co będziesz kisać?

Felek zakołysał niezdecydowanie głową. Samotność rzeczywiście obrzydła już do ostateczności. Ale iść z nimi? Gdzieś głęboko w sercu brzmiało jeszcze echo dobrotliwego głosu.

- Nie - pokręcił głową. - Dziś nie pójdę. Jakoś mi się nie chce. Może innym razem.

Mandolina wstał.

- Okej. Grunt, że nie mówisz już: „nigdy”, jak śpiewałeś przedtem. Trzymaj się wiatru. Wpadniemy do ciebie kiedy całą ferajną.

Felek długo patrzył na obłuszczonej farbę drzwi. Wiedział, że następnym razem nie znajdzie sił na odmowę. Dalsze siedzenie w domu groziło zupełną wariacją.

Szef zmarszczył brwi. Wyraz twarzy Czarnego, któremu polecił wybadać, o czym zeznawał Fijek w urzędzie, nie wróżył niczego dobrego.

- No i co? - zapytał z trudem powściągając niecierpliwość.

- Marnie... - Czarny opuścił się na krzesło. - Macali go na temat

Wypiórszczaka.

- Uh... hm... - minęła chwila, zanim się opanował. - Czy to pewne?

- Wolałbym, żeby była lipa - Czarny wykrzywił wargi w smętnym uśmiechu. -

Niestety: mur, beton.

- ok - W jaki sposób uzyskał pan informację? Fijkowi nic nie podpadło?

Czarny wzruszył ramionami.

- Jasne - w głosie dźwięczało rozdrażnienie. - Przecież nie poszedłem do niego

sam. Taki nieopierzony kurczak to ja nie jestem od dawna. Ma się wspólnych kumpli i

tyle - zapalił papierosa. Ręka podnosząca zapałkę lekko drżała.

Potem szef zobaczył się z kimś na mieście. Rozmówca zgodził się nader

niechętnie na spotkanie.

- Czy nie możecie tego załatwić we własnym zakresie? Takie, Hm... osobiste

kontakty zagrażają bezpieczeństwu konspiracji.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Ale szefowi właśnie o to szło, żeby nie robić nic we własnym zakresie. Ostatnio

niektóre jego posunięcia nie zyskiwały aprobaty. Po co więc miał brnąć dalej? Już i tak

chyba dosyć ma człowiek na karku. Przedstawił sytuację w krótkich słowach:

- Jeżeli będą mieli go w rękach, dotrą i do nas. A dalej... - urwał znacząco.

- Ttak - człowiek siedzący obok niego na ławce w zupełnie pustej alejce parku

zabębnił palcami po kolanie. - Rzeczywiście.

- Mamy go zlikwidować? - zapytał wreszcie szef, nie mogąc się doczekać

odpowiedzi.

- To byłoby oczywiście najłatwiejsze załatwienie sprawy.

- I najpewniejsze - powiedział szef.

- Nie - jego rozmówca poprawił kapelusz. - O to właśnie chodzi, że wcale nie.

Morderstwa związane tylko ubocznie ze sprawą stanowią ślad, po którym ktoś, hm...

niepowołany może dojść do sedna.

- Gdy przycisną Wypiórszczaka, dojdą również - wywód nie trafiał szefowi zupełnie do przekonania. Nie chciał sam decydować, pragnął jednak podsunąć tamtemu decyzje-

- Toteż nie wolno dopuścić, by mieli do tego okazję.

- Wywieźć go gdzieś? Znowu chwila namysłu.

- Raczej nie.. Należy go trzymać cały czas mocno w garści. Poza tym zaś mogą obstawić dworce. Gdy sprawa trochę przyschnie, zastanowimy się, co dalej począć.

Tymczasem przechowajcie go w którymś z waszych lokali.

- Jeżeli nie zechce się zgodzić?...

Pan w kapeluszu wzruszył niecierpliwie ramionami. Wtedy oczywiście nie pozostanie żadnego innego wyjścia jak hm... likwidacja - stwierdził chłodno. -

Wolałbym jednak tego w tej chwili uniknąć.

Natychmiast po powrocie do meliny szef zwołał naradę.

- Musimy Wypiorą sprowadzić do nas na pewien czas - oznajmił.

Grom zerwał się nerwowo z krzesła.

- Więc nie likwidacja? - zapytał z nie ukrywanym rozczarowaniem.

- Nie. Tymczasem trzeba go przechować.

- To nie ma najmniejszego sensu - Grom chodził nerwowo po pokoju. - Tylko dokładnie uziemieni ludzie naprawdę milczą.

Szef ułowił kącikiem oka wyczekujące spojrzenie Zoi. Aha, więc to tak?

Poprzednie przypuszczenia nabierały coraz większych cech prawdopodobieństwa.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Spokój! - przywołał Groma ostro do porządku. - Nie zwołałem was tutaj po

to, by dyskutować nad poleceniem centrali. Mamy się tylko zastanowić, w jaki sposób je wykonać, to wszystko.

Grom łypnął wściekle okiem.

- Ja tam nie widzę żadnego - usiadł raptem przybierając minę świadcząca, że od tej chwili dalszy przebieg narady przestaje go interesować.

- To będzie trudne - Zoja paliła papierosa w srebrnej cygarniczce, obserwując w zamyśleniu zgrabne kółka dymu ulatujące ku górze.

Dandy milczał wyczekująco.

Szef zerknął w kierunku pustego krzesła u okna. Doktor - to była głowa, ci reszta zaś... Trudno, musiał się bez nie go obyć.

- No więc - spojrzał ostentacyjnie na zegarek - nie sądzicie chyba, byśmy mieli zbyt wiele czasu? Rano dowie dzieli się o istnieniu Wypiorą, najdalej jutro będą go mieli Oni potrafią niekiedy działać bardzo prędko.

- Fijek nie zna przecież jego adresu - zauważył cicho Dandy.

Szef spojrzał na niego z ubolewaniem.

- Myśli pan, że to tak trudno, gdy się ma imię i nazwisko? Obejrzą sobie bliżej wszystkich Feliksów Wypiórów i tyle. A kto może zaręczyć, że nie trafią od razu na naszego?

- Mogą trafić - Zoja przygasiła papierosa w popielniczce, sięgając natychmiast po nowego.

Czarny odchrząknął.

- Swego czasu znałem bardzo dobrze Wypiorą - powiedział z namysłem.

- No to co? - szef spojrzał na niego wyczekująco. - Ma pan jakiś pomysł, jak to załatwić?

- Czy ja wiem? - ciągnął z wahaniem Czarny. - Gdybym do niego poszedł...

- Odpada. Mógłby pana zauważyć dozorca. Może zresztą wzięli już dom pod obserwację, traktując go jako pułapkę. W żadnym wypadku nikt z nas nie powinien tam się pokazywać.

Czarny pomyślał przez chwilę.

- Byliśmy w jednej paczce - podjął znowu. - I mamy wspólnych kolegów.

Szef ożywił się.

- Czy to ludzie, którym można ufać?

- Nno... do pewnego stopnia. Szczególnie jeżeli nie będą wiedzieli zbyt wiele.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Nie mogą wiedzieć. Przejęcie powinno się odbyć gdzieś w zupełnie

neutralnym punkcie. Oczywiście za załatwienie sprawy dostanie pan gratyfikację.

*

Felek uchylił ostrożnie drzwi. Mandolina? Tym razem niemal ucieszył się z

wizyty. Ostatnio zaczął go ogarniać paniczny strach. Bał się wychodzić, bał się siedzieć

w mieszkaniu, bał się wszystkiego. Każde kroki na schodach wprawiały go w stan

graniczący z histerią. Do licha z takim życiem! Zastanawiał się już nad ucieczką z

miasta, po namyśle jednak doszedł do wniosku, że to nie ma najmniejszego sensu. Nie

miał dokąd wyjechać ani do kogo, ani po co. Przede wszystkim zaś nie miał pieniędzy,

potrzebnych na przebywanie przez jakiś czas w ukryciu. A możliwość zdobycia

jakiegokolwiek zarobku wyglądała beznadziejnie. Zaraz zażądam dokumentów, zaczną

rozpytywać o powód porzucenia poprzedniej pracy i w końcu zawiadomią kogo

należy. Czyż ktoś opuszcza bez ważnego powodu pracę w Warszawie, by szukać jej

na prowincji? Z miejsca podpadnie, że coś nie w porządku.

- Właź! - zaprosił prawie serdecznie.

Oczekiwał na ponowienie propozycji uczestnictwa we wspólnych drakach. Nie miał już teraz nic przeciwko temu, żeby się trochę przetrząść. Ale jakoś Mandolina nie mówił nic na ten temat. W ogóle zachowywał się dziwnie. Niby to przyniósł jak zawsze butelczynę, częstował papierosami, zagadywał na różne tematy, ale widać było, że myśli o czymś innym. Ustawicznie zerkał ku drzwiom. Ni to podejrzliwie, ni to niemal trwożnie.

Aż w końcu Felek się zaniepokoił.

- O co chodzi? Machnął ręką.

- Nie ma co wstawiać lipy. Gliny odnalazły twój trop.

- O! - Felek postawił z powrotem szklanke, której nie zdążył donieść do ust. -

Skąd wiesz?!

Mandolina strzelił palcami.

- Ma się ostatecznie pewne sposoby...

Felek zerwał się raptownie, podbiegł ku drzwiom i przekręcił jeszcze raz klucz w zamku. Zawstydził się, gdy zdał sobie sprawę z zupełnej bezsensowności tego gestu.

Nil patrzył na Mandolinę. Będzie go teraz uważał za ostatniego tchórza. Ale w tych warunkach nietrudno wyjść z siebie... Próbował przybrać obojętny wyraz twarzy. Nie wyszło. I czemu te ręce drżą tak cholernie? Zasuwał je głęboko do kieszeni.

- Może się mylisz? - wlepił wzrok w ciemny kąt.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Nie. Wiem na pewno.

- Ale... Jeszcze tu żaden nie przyszedł. Tamten prychnął pogardliwie.

- Wtedy nie miałbym okazji rozmawiać z tobą. Ale spokojna głowa, przyjdą

lada chwila.

Felek zdołał się wreszcie jako tako opanować.

- A gdyby nawet. To co?

- To co? - powtórzył znaczącym tonem Mandolina patrząc na niego przeciągle.

- Czyżby ci nagle pamięć nawaliła?

Felek osowiał. Nie, miał niestety aż za dobrą pamięć. Czyż zresztą pozwolono by mu zapomnieć? Mandolina miał rację. Wtedy nie byłoby wyjścia.

Zacisnął kurczowo palce na blacie stołu.

- Więc co robić? - słowa wypływały ze świstem przez zaciśnięte zęby. - Co mam robić?

Mandolina obserwował go przez chwilę spod oka. „Spreparowany” - skonstatował wstając powoli z krzesła. Podeszedł ku niemu.

- Spokojnie - położył mu rękę na ramieniu. - Jeszcze nie wszystko stracone. Po to przyszedłem, żeby cię wy - I ciągnąć. Musisz stąd wywiać na pewien czas. Cała mądrość...

- Dokąd?

- Znajdzie się miejsce. Felek podniósł głowę.

- Oni?

- Tak.

Felek wzruszył ramionami.

- Jasne. Gdy chodzi o swoją skórę...

- Ty! - Mandolina zajrzał mu ostro w oczy. - Nie baw się aby w filozofię... To może za drogo kosztować. Wyciągana za uszy, a ten jeszcze jakieś dąsy... Zresztą nikt cię nie przymusza... - splunął na zaśmieconą podłogę. - Chcesz, dobrze; nie chcesz,

pies ci mordę lizał. Masz wóz i przewóz. Wybieraj - odwrócił się ku oknu, pogwizdując pod nosem.

Felek nie wahał się długo. Nie widział innego wyjścia. Oni nie mieli skrupułów.

- Dobrze - odchrząknął. W gardle zaschło nieprzyjemnie. - Co zabrać ze sobą?

Mandolina przyjrzał mu się ironicznie zmrużonymi oczyma:

- Może jeszcze bagażówkę hrabiemu podstawić? - parsknął. - Kapitały i

bizuterię. Reszta niech sobie poczeka na lepsze czasy. Chcesz, żeby cieciowi

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

podpadło?

- Ale... - znowu ogarnął go niepokój.

- Co za „ale”? Dadzą ci wszystko, co potrzeba.

W rezultacie włożył tylko palto. Nawet ledwo napoczętej paczki papierosów

Mandolina nie pozwolił zabrać ze stołu.

- Będzie wyglądało, jakbyś lada chwila miał wrócić. Może się nabiorą.

Informacja, jaką uzyskał Wiącek z biura ewidencji, popsowała mu humor. Nigdy

by nie przypuszczał, żeby takie dziwaczne nazwisko jak Wypiór mogło mieć aż tylu

przedstawicieli. Samych Feliksów było coś z dziesięciu. I to jak na złość

porozrzucanych po różnych krańcach miasta.

A czas naglił. Gość może lada chwila przeczuć pismo nosem i zwać, gdzie

pieprz rośnie.

Prawda! Ta wieczorowa szkoła na Karolkowej! Tam muszą znać adres. Może

nawet zastanie jego samego? W każdym razie czegoś się dowie. Wskoczył do

przejeżdżającego tramwaju.

Trzeba było od tego zacząć - złościł się w duchu. - Wypiór? - kierownik szkoły

nie potrzebował zaglądać do żadnych rejestrów. - Nie przychodzi już od wielu dni.

Kolegów, których poprosiliśmy, aby stwierdzili przyczynę nieobecności, wyrzucił po prostu za drzwi. Widocznie ma już dość nauki. To było zresztą do przewidzenia. Jego przeszłość... Wiącek nadstawił uszu.

- Od wielu dni? Możecie mi powiedzieć, profesorze, od kiedy mianowicie?

Tym razem szperał przez chwilę w czarno oprawionym dzienniku.

- Od zeszłego piątku. Do pracy pewno też nie chodzi. Od razu mówiłem doktorowi Białkowskiemu: czyż można wyprostować taką naturę zwykłymi metodami? Chuligan. Kryminał mu też nieobcy...

- Doktorowi Białkowskiemu? - słowa płynęły tak wartko spomiędzy suchych warg starego nauczyciela, że dopiero teraz Wiącek zdołał wtrącić pytanie.

- Tak. Operował mnie kiedyś... można powiedzieć ocalił życie. Więc przyjąłem tego Wypiorą, kiedy o to doktor poprosił, chociaż to było niezupełnie zgodne z przepisami. Początek roku dawno, a tu pakować nowego. I do tego z takim bagażem. Z miejscami też było krucho. Ano mówił, że mu specjalnie zależy, więc co miałem robić?

Wiącek skrupulatnie zanotował w pamięci. „Od zeszłego piątku”... I znowu ten

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

doktor Białkowski. Ale w zupełnie nowej sytuacji. Spojrzał na zegarek.

- Jeszcze jedno pytanie: gdzie pracuje? Kierownik wynalazł w aktach zaświadczenie.

- Gdyśmy go przyjmowali, pracował. Bez tego nic by u nas nie wyszło. Ale teraz? Dałbym sobie rękę uciąć, że tam już dawno jego ślad ostygł. Wrócił w otwarte ramiona swych kompanów od kieliszka... i od diabli wiedzą czego jeszcze. Czy znowu

coś przeskrobał? - w spojrzeniu mimo wszystko był jakiś niepokój.

Wiącek uśmiechnął się nijako.

- Chodzi o pewne informacje...

W chwilę potem już zbiegał po zaśmieconych schodach. Wziął taksówkę.

Każda minuta mogła zaważyć! Okazało się, że kierownik szkoły miał rację. Personalny

fabryki odpowiedział na zapytanie o Wypiorą ubolewającym kiwaniem głowy:

- Nie, już nie pracuje. Osiem dni bez znaku życia. Skreśliliśmy.

Tak mechanicznie? - Cóż... Czy możemy pozwalać, żeby takie martwe dusze

zawalały etaty? A wy właściwie skąd?... - we wzroku personalnego coś jakby

podejrzliwość. - Z prasy? Skarżył się, co?

Zaszała potrzeba pokazania legitymacji. Tamten odetchnął jakby z ulgą.

- No proszę. Chodzi pewno o jakąś grubszą historię? Wiącek ostro przeciął

dalsze pytania. Ten człowiek nie budził w nim ani krzty sympatii.

- To tymczasem do sprawy nie należy. Długo u was pracował?

- Od przeszło miesiąca. Dokładnie - zajrzał do akt - pięć tygodni i cztery dni.

- Nie przychodzi do pracy od zeszłego piątku?

- Tak.

Wiącek sięgnął po papierosa. Wszędzie ten piątek. I w kamienicy, i w szkole, i

tutaj. Ukrywa się. Jasne. Zaczynał nabierać przekonania, że nie zastanie go w domu.

- Kto go polecił?

- Redaktor Lebioda. Wiecie, ten, który...

- Wiem.

Już od progu rzucił pytanie:

- A jak się sprawował?

Personalnik wzruszył niezdecydowanie ramionami.

- Krótki okres... - powiedział z wahaniem. - Trudno coś dokładnie ustalić. Ale

nie było przeciwko niemu żadnych konkretnych zarzutów.

- A niekonkretne? - Wiącek nie znosił zamiatania ogonem. Rozumiał doskonale

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

przyczynę niezdecydowanego tonu i to go właśnie najbardziej złościło. Żeby takiemu

mięczakowi powierzać tak odpowiedzialną funkcję!

- Nno, właściwie mówiąc, także nie. Nawet jeżeli chodzi o pracę, zdołał się

wysunąć naprzód... Ale jego przeszłość...

Wiącek trzasnął drzwiami znacznie mocniej, niż to było konieczne. Był

człowiek, nie ma - co to kogo obchodzi? Ale przecież nie to najważniejsze. Tak się

tym chuliganem zajmowali! Tam go polecił Białkowski, tu Lebioda... Ładny bigos.

Jadąc pod wskazany adres nie miał zbytniej nadziei. Nie zdziwił się też

specjalnie, gdy natarczywe łomotanie do drzwi pozostało bez rezultatu.

W sieni wyrosła krępa postać w wyświechtanym waciaku. Wyglądał na

dozorcę.

- Niby do Feliksa Wypiorą? - obrzucił Wiącka podejrzliwym spojrzeniem.

- Nie ma go w domu? - Wiącek odpowiedział pytaniem na pytanie.

Dozorca chrząknął. Oczy jego nie przestawały obmacywać przybysza.

- Jeżeli po niego - mrugnął porozumiewawczo powieką - to ociupinkę po

czasie.

- Może wróci?

- Może - wzruszył ramionami. - Cioci też mogą wyrosnąć wąsy. Ale po

mojemu nie zanosi się. Jeszcze wczoraj wyfrunął z gniazdka.

- Dokąd? - zapytał bez przekonania Wiącek.

- Licho go wie. Przyszedł po niego kumpel i jak kamień w wodę.

- Zna pan tego kumpla?

Dozorca potarł nieogolony podbródek.

- Różni się tu włóczę - odburknął niechętnie.

Dalsze pytania nie dały nic. Dozorca nie umiał nic bliższego powiedzieć. Albo też nie miał na to ochoty. Wychodziło na jedno.

Wiącek zajrzał do miejscowego komisariatu. Uczynił to zresztą raczej dla spokoju sumienia. Kierownik poszperał w aktach.

- Ostatnio nie wpłynął żaden meldunek przeciwko niemu - oznajmił wreszcie.

Obiecał zwrócić specjalną uwagę na dom, w którym zamieszkiwał Wypiór.

Uprzedził jednak od razu:

- Tylko nie liczcie zbyt na nas. Ludzi mało, a spraw do cholery i trochę!

Gdy spotkał się z Kostrzewą, zwieszony na kwintę nos z góry zapowiadał treść meldunku.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Nic? - zapytał Kostrzewa.

- Nic - westchnął żałośnie. - Ni śladu, ni popiołu.

I w ogóle fatamorgana. Kostrzewa sposepniał.

- Trzeba było wcześniej wziąć się do tego Wypiorą. Musimy go znaleźć.

Wiącek pokiwał głową.

- Jasne, że tak. Tylko gdzie szukać, jak powiedział oskarżony, gdy adwokat radził mu wynalezienie alibi. Nawet przecież nie bardzo wiemy, jak gość wygląda. -

Nagle klepnął się w czoło: - Przecież w szkole albo w fabryce muszą mieć jego

fotografię!

Przypiął się do telefonu. Po długiej rozmowie twarz wydłużyła mu się ostatecznie.

- Bałagan - sapnął odwieszając słuchawkę. - I tu miał złożyć, i tu. Ale sęk w tym, że nie złożył nigdzie. I jak teraz szukać takiej zjawy bez twarzy?

Kostrzewa po krótkim namyśle nakręcił numer telefonu.

- Dowód osobisty - wyjaśnił lakonicznie.

- Aha - Wiącek przysiadł w fotelu w taki sposób, jakby już zamierzał zerwać się z powrotem. Niecierpliwość aż go roznosiła.

Kostrzewa tłumaczył dokładnie w mikrofon, o co chodzi.

- To niezmiernie pilna sprawa - zakończył. Czekał długo. Wreszcie w słuchawce odezwał się głos.

- Hm... tak - popatrzał w sufit. - Karta zameldowania i kropka.

Wiącek wytarł ze złością nos w olbrzymią płachtę chustki.

- Marnie. Rysopis to galareta, którą każdy układa sobie, jak mu akurat przyjdzie na myśl.

Kostrzewa gryzł koniec ołówka. Poszukiwania bez fotografii nie rokowały niemal żadnych szans powodzenia. Przebiegł myślą po raz nie wiadomo który z rzędu zeznania młodego Fijka. Rysopis Wypiorą podany przez chłopca rzeczywiście mógł pasować do wielu ludzi. - Zaraz - nagłym ruchem odłożył ołówek. - Była mowa, że podobno siedział w więzieniu. Tak, to niewątpliwie powinno stanowić punkt zaczepienia.

Gdy przypomniał o tym szczególe Wiąckowi, ten rozpromienił się.

- To już coś - zerwał się jak podrzucony sprężyną. - Tam na pewno nie obeszli

się bez sportretowania jego szlachetnych rysów.

Ale okazało się, że radość była przedwczesna. Zdobek przesadził. Jak wynikało

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

z akt sprawy Wypiorą, otrzymał on karę sześciu miesięcy z zawieszeniem za drobną kradzież. A więc nie siedział.

Wychodząc do komisariatu, który prowadził dochodzenie w sprawie kradzieży, Wiącek zaciskał wargi. Jeżeli go nie odfotografowali na wszystkie strony, to ich rozniesie. Wiedział z doświadczenia, że w dochodzeniach o przestępstwa lżejszej wagi nie zawsze przestrzegano formalności. O mało nie uściskał kierownika komisariatu na wiadomość, że jest fotografia.

- Przywracacie mi życie - oświadczył z emfazą.

Znalazły się również odblaski odcisków palców. Te odrzucił ze wzgardą. Bigos daktyloskopijny zdobyty w mieszkaniu Lebiody nie dawał żadnego materiału porównawczego.

Wpadł do pokoju Kostrzewy jak bomba, rzucając fotografię triumfalnym ruchem na stół.

- Teraz możemy jechać na pełny gaz! Kostrzewa przyjrzał się odblaskom.

- Twarz dość charakterystyczna - zauważył wreszcie.

No, jeszcze by też - potwierdził z entuzjazmem Wiącek Fotografowi należy się złoty medal i dożywotnia pensja-

Wywiadowca Kacperski przyglądał się z zainteresowaniem papierosom. I ta nie dopita butelka na stole... Wiącek zajrzał mu przez ramię.

- Znany kawał - roześmiał się cicho. - Za stare wróble, by brać na takie plewy, jak powiedział śmirus, goląc naftę zamiast kminkówki.

Na dłoni Kostrzewy zaświecił połyskiem szczerego złota wąski kawałek metalu. Ale to nie było złoto. Odłamany koniec zasuwki od wiecznego pióra.

Drobniutkie literki urwane w połowie słowa: „Mon...” Mont Blanc? Co mogło znaczyć tak kosztowne pióro w tym mieszkaniu? Gospodarz nie zdradzał, zdaje się skłonności literackich? Pióra jednak pomimo skrzętnych poszukiwań nie znaleziono. Znaleziono natomiast co innego.

- Ładna teczka - palce Wiącka gładziły w zamyśleniu pięknie wyprawioną skórę. - Ciekawy jestem, gdzie z nią chodził, do fabryki czy też do szkoły?

Kostrzewa dojrzał mikroskopijne otworki.

- Tu był monogram. I ktoś przyklepał skórę, żeby nie pozostało śladu.

Splecione w artystyczny sposób literki wyłowiono spośród gałganów leżących na dnie szafy. Nachylili się jednocześnie.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- J. L. - powiedział Kostrzewa. Wiącek gwizdnął przez zęby.

- Powiedzmy: Józef Lebioda...

Teczkę wraz z monogramem owinięto starannie w papier. Odłamana skuwka spoczęła w portfelu Kostrzewy.

Dalsza rewizja nie dała nowych wyników. Ale to, co mieli, na razie wystarczało.

Fijek, gdy mu okazano teczkę, kiwał z powątpiewaniem głową:

- Bo ja wiem... Może i miał taką... Ale przysiąc bym przysięgał.

Widać było, że nie zamierza zrezygnować ze swojej potyki. Za to jego pomocnik, Rybka, nie wahał się ani sekundy:

- Jakże, bo to raz widziałem redaktora Lebiodę z teczką w garści? On zawsze

nią tak wymachiwał - zilustrował gestem. - Tak sobie kombinowałem, co to może być za skóra. Bo na świńską za miękka, a na inną zaś zbyt błyszcząca. Pewnikiem zagraniczna.

- Jesteście pewni, że ta sama? - zapytał raz jeszcze Kostrzewa.

- Jeżeli nie ta sama, to taka samiusieńka. Tylko jeszcze tu był srebrny znaczek.

- Ten? - Kostrzewa przyłożył monogram na miejsce.

- Teraz jak ulał. Cóż to, nie mam oczu we łbie? Choćby i w sądzie mogę zeznać - był niemal obrażony.

Kociuba posapywał studiując protokół rewizji.

- No proszę. Teczka Lebiody i ta skuwka. Powiadacie, że od Mont Blanc?

Nie upłynął nawet kwadrans, gdy miał już dokładne informacje.

- Koledzy z redakcji przypominają sobie, że miał właśnie takie pióro wieczne.

Teraz dawajcie mi tego Wypiorą.

Z tym było gorzej. Zastawione sieci pozostawały puste.

VII. Ślepy zaułek

Dokonano z fotografii Wypiorą powiększeń. Odbito je w setkach egzemplarzy.

I to wszystko w piorunującym tempie. Wiącek napchał sobie kieszenie odbitkami.

- Bo wiecie, doktorze, urzędowa korespondencja swoją drogą. Ale papierków to oni otrzymują całe stosy. I trudno wymagać, żeby się każdym odpowiednio przejmowali. Co innego, jak się pogada!

Odwiedził komisariaty na wszystkich dworcach, wręczając fotografię w taki sposób, jakby to stanowiło dowód największego zaufania.

- Oczywiście, otrzymacie także po pisemku z pieczętkami i wszystkim, co

należy. Ale zrozumcie, że kilku ludzi od nas po prostu wyłazi ze skóry, żeby porozmawiać z tym jegomościem.

Tam, gdzie go znali, kiwano głowami bez słowa. Któż nie wiedział, że dla niego zawsze najważniejsza pod słońcem była sprawa, którą się akurat zajmował? Gdzie indziej próbowano wyciągnąć bliższe szczegóły.

- Taki ważny ptaszek?

- Och, synku! Nawet trudno wyrazić, jak za nim jesteśmy stęsknieni. Bez niego ani mowy o spokojnym śnie. Tylko on może nam zapewnić ciche szczęście rodzinne i równowagę ducha.

- A co przeskrobał?

- To się okaże przy zamiataniu. Zresztą nawet ostatni ciemniak z Koziej Wólki słyszał coś o tajemnicy służbowej! Ale przegapić go, a zamordować mnie tępym nożem - wychodzi na jedno. I weźcie pod uwagę: gość kuty na wszystkie cztery kopyta. Może tak się przefasonować, że i rodzona mać go nie pozna. Więc jeżeli wyłowicie taki nos - dźgał palcem w fotografię - albo usta, albo jaki inny szczegół, kombinujcie, czy i reszta nie pasuje. Cała w tym sztuka, żeby wszystko odpowiednio dopasować, jak powiedział szewc, stwierdziwszy, że oba buty zrobił na lewą nogę. I gdyby tylko coś, dzwońcie jak w dym do nas. Niezależnie od pogody oraz pory dnia i nocy. Zawsze się znajdzie ktoś, kto was uściska za szczęśliwą wiadomość.

Przez następne dwadzieścia cztery godziny raz po raz telefonował do dyżurnego w urzędzie.

- Nie ma wiadomości? Dyżurny w końcu się zniecierpliwił:

- Przecież gdyby była, to bym jej nie chował dla siebie! Wiącek łagodził:

- Nie denerwuj się, synu. Złość piękności szkodzi! I odwieszał z ciężkim

sercem słuchawkę.

Sprawa utknęła w miejscu... Kociubę ponaglano. To wywiera niedobre wrażenie.

- Sam rozumiem - konstatawał ponuro. - Ale w tej chwili nic nie możemy zrobić.

Z kolei nagabywał Kostrzewę:

- Żebyśmy mieli chociaż tego Wypiorą... Kostrzewa odpowiedział nijakim uśmiechem:

- Ja również marzę o tej drobnostce. Poszukiwania nabrały gorączkowego tempa, idąc we wszystkich możliwych kierunkach. Wzięto pod nieustanną obserwację dom, w którym mieszkał Wypiór. Rozesłano na prowincję odbitki jego fotografii.

Kostrzewa opracował plan dotarcia do pozostałych pupilów Lebiody. Przykład Wypiorą wskazywał, że zamordowany nie ograniczał się do rozmów. Interweniował w najróżniejszych sprawach. Trop był zmuśny i trzeba było wiele wysiłku, by go odcyfrować. Zaczęto wyławiać jednego po drugim. Działalność zamordowanego na tym polu należała do zadziwiająco rozległych.

Kostrzewa przesłuchiwał ich sam. To zabrało wiele godzin, nie dając żadnych konkretnych wyników. Wszyscy mieli jak najbardziej przekonujące alibi, jeżeli chodzi o dzień, w którym zamordowano Lebiodę. Owszem, każdy z nich miał w przeszłości jakąś ciemną plamę. Teraźniejszość jednak była z reguły zupełnie czysta. Żaden nie znał Wypiorą. Na wszelki wypadek roztoczono obserwację również i nad nimi. Trudno jednak było liczyć na jakikolwiek sukces. Wiadomości ze szpitala, w którym leżał Białkowski, również nie były pocieszające.

- Cóż mogę poradzić? - oznajmiał nieodmiennie lekarz, który go miał pod swoją opieką. - Jeżeli da się go przesłuchać za jakieś dziesięć dni, to będziemy mogli mówić, że mamy szczęście. Bo właściwie w ogóle trudno w tej chwili o jakieś pewne prognozyki. Przy takim sercu nie wiadomo, czy przetrzyma.

Dyskretna obserwacja Fijka trwała nieustannie. Ale raporty były nużąco jednostajne: „Nie zauważono nic podejrzanego”.

Szukano meliny z wazonem w oknie. Przetrzęsano zresztą i inne, już znane, w których nie znalazłbyś żadnego wazonu na lekarstwo. Przy okazji wpadło w sieci parę pomniejszych ptaszków. Nie mieli jednak nic wspólnego ani z morderstwem Lebiody, ani z Wypiórem.

Telefony Lebiody i Białkowskiego zostały od dawna przełączone na urząd.

Dyżurni ziewali otwarcie. Wprawdzie od czasu do czasu odzywał się któryś z telefonów, jednak absolutnie nic z tego nie dawało się wycisnąć. Do Lebiody dzwoniło wyłącznie z głębokiej prowincji. Widocznie nie wszyscy tam jeszcze wiedzieli o jego śmierci.

Fotografie Wypiorą nie usprawiedliwiały pokładanych nadziei. Teren milczał.

Komisariaty dworcowe nie odzywały się. Przychodziły chwile, w których Kostrzewę ogarniało poczucie zupełnej bezradności. Co właściwie więcej można by w tych warunkach zrobić?

- Jeżeli ten cały Wypiór wyjechał, szukamy wiatru w polu. Tylko przypadek mógłby naprowadzić na jego ślad.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Nie wyjechał - protestował z przekonaniem Wiącek. - Takich warszawskich cwaniaków nawet cęgami nie da się wyciągnąć z miasta. Co by robił na zielonej trawce

albo w jakiejś pipidówce? Dałbym sobie głowę uciąć, że ukrywa się u któregoś z kumpli.

Kostrzewa ożywił się nieco.

- W takim razie nie pozostaje nic innego, jak porządnie się za nim rozejrzeć.

- Jasne. Toteż wgryzam się w tę ferajnę, jak tylko można. I będę szperać, dopóki czegoś nie wywącham.

- Będziemy szperać - poprawił łagodnie Kostrzewa.

- Hm... - Wiącek popatrzał na niego z maskowanym powątpiewaniem. -

Wybaczenie, doktorze, ale dla człowieka, który nie jest dostatecznie wprowadzony w nasze stosunki...

Kostrzewa uśmiechnął się:

- Cóż tu wybaczać? Że nie jestem wprowadzony, to fakt. Ale od czego mam was, towarzyszu? Wprowadzicie mnie przecież.

Początkowo wędrowali razem. Oczywiście ani ich wygląd, ani zachowanie się w niczym nie odbijały od środowiska.

Wiącek ułożył długi spis rozmaitego rodzaju spelunek. Odwiedzali je po kolei.

Obserwował w czasie wypraw z pewnym niepokojem Kostrzewę. W tych warunkach nietrudno o jakieś nieostrożne posunięcie. Wystarczyłby jakiś gest albo słowo, by ich zdemaskowano. To zaś mogło w konsekwencji doprowadzić do nieobliczalnych skutków. Kostrzewa jednak czuł się wyraźnie jak ryba w wodzie. Miał chyba jeszcze większą niż on sam łatwość w nawiązywaniu przyjacielskich pogawędek przy kieliszku.

Na trzeci dzień oświadczył stanowczo:

Dublowanie zabiera nam niepotrzebnie masę czasu, podzielmy się spisem.

Wiącek próbował protestować:

Jeżeli jednak... Kostrzewa przeciął dalsze wywody:

- Jakoś dam sobie radę.

Wiącek pomimo wszystko nie był w stu procentach o tym przekonany.

Ciemna, odludna uliczka. Kostrzewa dla pewności sprawdził w spisie. Numer domu zgadzał się. Przy adresie figurowała krótka notatka: „Powołać się na Kuziarę”.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Kim był ten Kuziara, nie wiedział nawet Wiącek. Ani kolega, od którego zdobył adres tej potajemnej spelunki.

Brudne, zaplute schody. Kostrzewa zapukał do odrapanych drzwi. Uchyliły się ostrożnie.

- Czego?

- Przychodzę z polecenia Kuziary.

Wpuszczono go do wnętrza. Mężczyzna w rozchełstanej koszuli przyjrzał mu się z nie ukrywaną podejrzliwością.

- Jakoś pana nie znam.

Kostrzewa uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Faktycznie, że ja tu pierwszy raz. Bo całkiem niedawno, z Rzeszowa. A że pracuję akurat w pobliżu, więc...

- W pobliżu? - powtórzył pytająco mężczyzna.

- Tak - Kostrzewa był z góry przygotowany na to, że będzie musiał się tłumaczyć. - W warsztatach kolejowych.

- Aha - rozjaśnił się. - U mnie tu dużo zagląda z warsztatów. Proszę dalej -

zapraszającym gestem wskazał drzwi w głębi korytarza. - Pierwszy raz to przecież nie

znaczy: ostatni. W dni wypłat gdzie coś łyknąć, jak nie u mnie?

Pokój, jak pokój. Nawet łóżko zasłane kopiasto pod ścianą. Ale przy pokrytym poplamioną ceratą stole siedziało kilku ludzi nad grubymi kieliszkami z zielonego szkła.

- Pan na wynos, czy na miejscu? - zapytał gospodarz.

- Jeżeli można, to tutaj. Lubię być w kompanii.

- Wiadomo. Wśród ludzi to całkiem co innego. I zakąseczki - cmoknął - palce lizać.

Usiadł, obstalował ćwiartkę i coś do przegryzienia Początkowo obrzucano go nieufnymi spojrzeniami. Nie przejął się tym. Nie mógł od razu liczyć na inne przyjęcie.

Zagadnął jednego z sąsiadów. Potem drugiego. Udawał że nie dostrzega niechęci w odburkiwanych niechętnie słowach. Powoli lody zaczynały się przełamywać.

Nie minęły dwie godziny, gdy obejmował czule jakiegoś draba o dziobatej twarzy, żaląc się z pijacką otwartością:

- Człowiek tu samotny jak palec. A kuzyn... który mnie zapraszał... Co za granda! Znikł jak kamfora... I nawet nie powiedział, kiedy wróci.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Kuzyn?

- Kuzyn, psia jego mać - Kostrzewa o mało nie płakał z rozzalenia. - Felek

Wypiór... mieszka... byłem tam - z trudem wyłuskiwał z rozlazłych słów adres. -

Poszedłem jak w dym... A tu... Całuj klamkę, i tyle... A naobiecował mi całą furę. To ci ułatwię, z tamtym zapoznam... Bo to by człowiek jechał na całkiem nieznanym?

Potem użalał się w podobny sposób innemu:

- Po prostu świnia, a nie krewniak. Czy to u was tu w zwyczaju odstawić takie kawały?

Dopiero jednak gdzieś nad ranem, gdy wyglądało, że Kostrzewa lada moment spadnie z krzesła, któryś szepnął: Wypiórczak...

Ale w tej samej chwili błysnęły ostrzegawczo oczy siedzącego po przeciwległej stronie stołu.

- Co strzępić gęby, jak nie wiadomo, co za facet? - padły ostro wypowiedziane słowa.

To był ryzykowny moment. Kostrzewa postanowił iść na całego.

- Ja mu mordę skuję, gdy wróci - oznajmił stanowczo. Poskutkowało. Oczy tamtego przygasły.

- Kiedy ja sam go nie widziałem od dawna - tym razem w głosie dźwięczało niewątpliwie szczere ubolewano.

- Maniana - rzucił ten z przeciwległej strony stołu. Kostrzewa wytrzeszczył oczy.

- Ja tu do was jak do kogoś dobrego, a wy takie duperelki - popatrzył na nich z pretensją. - Prześmiechy sobie ze mną robita? - w głosie brzmiały nutki obrazy. -

Myślicie, że jak ktoś już nie z Warszawy, to można na nim jeździć jak na łysej kobyle?

Obiejjana - małpa po rosyjsku. Bo to nie wiem? Taki znów ciemniak nie jestem.

Tamten roześmiał się.

- Przecież nie obiejjana, a Maniana. Przewisko takie, jednym słowem.

- Uhm... - zakołysał głową. - Jak przewisko, rzecz całkiem insza. U nas też

chłopaki dobierają sobie różne pseudona. A więc powiadacie: Maniana. Ale czy mi się nie pokiełbasi z obiejjana? Nno... może i nie... - język coraz bardziej mu się plątał. - A

gdzie tego obie... to jest Maniany, niby szukać?

- Macaj, może się gdzie domacasz. Tu go już dawno nie było. Ale że musi więcej wiedzieć o tym twoim krewniaku, to mur. Oni to jak bliźnięta serdeczne.

Pili jeszcze długo, nie zwalniając bynajmniej tempa. Kostrzewa, gdy się

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

zdarzała okazja, zapuszczał ostrożnie sondę. Może zauważyli, może nie. W zachowaniu ich w każdym razie nie dostrzegął niczego alarmującego.

Gdy wreszcie opuszczali całą gromadą mieszkanie, Kostrzewa potknął się na schodach i gdyby nie to, że złapali go za ramiona dosłownie w ostatnim momencie, zleciałby chyba aż na sam dół rachując po drodze stopnie własnym grzbietem.

W każdym razie na to wyglądało. Przed bramą oparł się rozmiękłym ciałem o mur.

- Będziesz tu nocować? - zapytał któryś.

- Ja? Żebyś ty tylko był taki trzeźwy. Ja...sne, że dyr...dam, jak w dy...dym do cha...łupy.

- A trafisz? Może cię odprowadzić?

- Swoją cio...cię odpro...wadzaj. Jesz...cze bym was wszystkich do kupy poza...nosił - oderwał się od muru, ru, szając w dół ulicy na uginających się nogach.

Stali sporą chwilę, obserwując go nieznacznie. Zakreślaj koślawe ósemki od domów aż do rynsztoku. Można by przysiąc, że lada chwila runie bezwładnie na płyty chodnika. Nie padał jednak i wymachując ramionami niczym wiatrak wędrował dalej.

- Hm - mruknął wreszcie któryś. - Co to właściwie za typ?

- Diabli go wiedzą!

Jedna ulica, potem druga. Kostrzewa kłął na czym świat stoi.

Nie tak znów trudno dosłyszeć kroki za swymi plecami na pustym chodniku.

Więc jednak postanowili sprawdzić. Może powzięli jakieś podejrzenie, a może po prostu tak na wszelki wypadek. Tak czy inaczej, sytuacja komplikowała się. Nie będzie przecież spacerować w ten sposób przez całe miasto. Zresztą czyż miał tego cienia naprowadzić na swój hotel albo na gmach urzędu? Rozejrzał się. Po przeciwległej stronie ulicy stała wielka obdrapana kamienica. W bramie nie było widać nikogo. Jedyna okazja! Zatoczył się na jezdnię.

- Prr! - woźnica wielkiego furgonu mleczarskiego aż podniósł się ze swego siedzenia, ściągając lejce. Dyszel zatrzymał się o niespełna pół metra od Kostrzewy. Woźnica kłął długo i soczyście.

- Jak się uchlałeś, idź spać zamiast włączyć koniom pod kopyta! - zakończył wiązanke.

Kostrzewa nie pozostał dłużny, odszczekując się zajadle.

- Zejdz no, lebiego, z kozła, to pogadamy inaczej - zakończył prowokująco.

Ale nie zatrzymał się. Właząc do bramy jeszcze czepiał się ściany, by utrzymać

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

równowagę. Gdy jednak zszedł już z pola widzenia woźnicy i tego drugiego, ruchy jego nagle odzyskały sprężystość. W paru wydłużonych susach przebył bramę pędząc na ukos przez podwórko ku najdalszej klatce schodowej. Teraz wszystko zależało od szybkości. Tamten przecież też nie będzie zasypiać gruszek w popiele. Przesadzał po kilka stopni naraz, unikając hałasu. Udało się jednak. Dotarł bez przeszkód na podest czwartego piętra i wyjrzał ostrożnie przez niskie okno. Akurat w tym momencie na podwórzu wchodził jakiś mężczyzna. Kostrzewa przyjrzał mu się uważnie. No, tak: jeden z kompanów nocnej libacji. Stał teraz z niezbyt mądrą miną i wodził zdumionym

wzrokiem dookoła.

Kostrzewa jeszcze dokładniej schował się za futrynę.

Gap się teraz, bratku, ile dusza zamarzy” - pomyślał ze złośliwym triumfem.

Wiącek wrócił ze swej wyprawy na długo przed świtem. Z miejsca nakręcił numer Kostrzewy. Telefon nie odpowiadał. Po półgodzinie zatelefonował powtórnie.

Znowu z tym samym rezultatem. Zaczął go ogarniać niepokój. Kostrzewa wprawdzie mógł spać, zmęczony po nocnej wycieczce, mógł też wyłączyć telefon, ale mogło również stać się coś niedobrego.

Spojrzał na zegarek.

„Cholernie wcześnie” - zastanowił się chwilę i poszedł do hotelu. Zeklnie, to zeklnie.

- Doktor Kostrzewa kąpie się. O tej porze... - oznajmił portier z lekkim zgorszeniem w głosie.

Wiącek poszedł na górę i usiadł w hallu, z którego widać było drzwi numeru.

Minęło chyba pół godziny, zanim Kostrzewa ukazał się w płaszczu kąpielowym.

- Ach, to wy - przyglądał lśniące od wody włosy. - Przepraszam, że tak długo siedziałem. Nie przypuszczałem, że czekacie... - wprowadził go do pokoju.

Wywiadowca przyjrzał mu się uważnie i odsapnął z ulgą.

- Sumienie człowieka gryzło - usiadł zmęczonym ruchem na krześle. -

Wyobrażałem sobie już licho wie co, gdy wasz telefon nie odpowiadał. Gdy ktoś pcha nosa do naszej chewry, różnie się z nim może zdarzyć - wziął papierosa z podsuniętego przez Kostrzewę pudełka. - widzę wszystko z wami na szczęście w porządku. Kostrzewa roześmiał się.

- Diabła tam w porządku - pomacał końcami palców skronie. - Powiadam

wam: głowa mi pęka. Nie po każdym spływa jak woda po gęsi - przymrużył

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

porozumiewawczo oko - ale cnota została nagrodzona, maleńki kwiatusek przecież udało się zerwać.

Wiącek podskoczył ku niemu porywczo.

- Wy piór?!

- Powiedziałem przecież, maleńki: Maniana - wypuścił ustami gęsty kłąb dymu.

- Maniana? Kto to znów taki?

- Kompan naszego Wypiorą od kieliszka i, sędzę, od innych jeszcze historii.

- Puścili farbę, gdzie tego Maniany szukać?

- Za dużo chcielibyście od razu. Umilkł.

- A jaki plan na dzisiejszy dzień? - zapytał po dłuższej chwili.

Kostrzewa wzruszył ramionami.

- Nocą przyjdzie pewno znowu pompować gaz po tych wszystkich waszych zakazanych dziurach. A teraz wybieram się do Wypiorą.

Wiącek zerwał się jak oparzony.

- Co?! - podbiegł ku Kostrzewie. - Do Wypiorą? Kostrzewa roześmiał się.

- Wyraziłem się trochę nieściśle. Po prostu zamierzam zajrzeć do kamienicy, w której mieszka Wypiór.

- Ach tak - wywiadowca przypominał w tej chwili balon, z którego

wypuszczono powietrze. - Macie nadzieję coś tam wywąchać? - zapytał bez przekonania.

Kostrzewa potrząsnął głową.

- Czy ja wiem? Nadzieja... i tak dalej. Ale spróbować w każdym razie nie

zaszkodzi. Może mi się uda przyhołubić tamtejszego dozorcę.

Wiącek wyprostował się z gotowością.

- To może bym ja?...

- Nie - parsknął. - Pozwólcie, że tego ja wezmę na widelec.

Kostrzewa łomotał wytrwale do drzwi mieszkania Wypiorą. Starał się sprawić jak najwięcej hałasu. Zupełnie inaczej wyjdzie, gdy dozorca tu go zastanie, niż gdyby on musiał zaglądać do dyżurki.

Był ubrany w tej chwili identycznie tak samo, jak dzisiejszej nocy. To było konieczne. Zaczynał się niecierpliwić. Ogłuchł, czy co? Przecież widział go, jak zamiata podwórko.

Wreszcie się zjawił.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- A czego to? - zapytał opryskliwie. - Jak zamknięte, to znaczy się nie ma co rozbijać drzwi. Opieczętowane przecież.

- Opieczętowane? - Kostrzewa aż się cofnął.

- Nie masz pan oczu? - dozorca wskazał na naklejki z czerwonymi odciskami urzędowych pieczęci.

Kostrzewa przyglądał się długo. Miał przy tym niezbyt mądrą minę.

- Rzeczywiście, opieczętowane - stwierdził w końcu. - Skąd niby miałem widzieć, skoro tu u was ciemno jak u Murzyna?

- Ale teraz pan widzi?

- Widzę, cholera - syknął ni to ze złością, ni to ze strachem. - Przyskrzynili go?

Dozorca zesztyniał w postawie pełnej podejrzliwości.

- Nie moja rzecz. W czasie rewizji, to znaczy się, asystowałem w urzędowym

charakterze. Ale co dalej, mnie nie dotyczy.

- Przyskrzynili - powtórzył Kostrzewa, jakby otrzymał twierdzącą odpowiedź. -

A nie wie pan przypadkiem, a co? - poczęstował go papierosami.

Wziął bez wahania. Zapalił.

- Hm... - wypuścił z gęby kłąb dymu. - A pan właściwie kto będzie?

- Krewniak. Przyjechałem z Rzeszowa. Pisał do mnie że ma na widoku pewien

- zająknął się - hm... No jednym słowem, pewien interes. A tu masz, babo, placek. Jak pech to pech.

- Nie powiedziałem, że go przyskrzynili - sprostował dozorca.

- Więc nie? - ucieszył się Kostrzewa.

- Nie wiem. Ale tu w każdym razie nie. I różni tacy chodzą, węższą. Jakby już siedział, daliby chyba spokój.

Kostrzewa zastanowił się.

- Jasne, że tak. Ale co mi z tego? Chciałem się z nim zobaczyć, a skoro nawet fachowi nie mogą znaleźć, mnie i próbować nie warto.

- Trudna sprawa - potwierdził współczująco dozorca.

- I co ja teraz zrobię? - Kostrzewa drapał się w zakłopotaniu w kark.

- Z tamtym interesem? - dozorca przymrużył porozumiewawczo oko.

- Ba... żeby to tylko. Tak mi chłop potrzebny, że i powiedzieć trudno. Po prostu do zarznięcia. Ano, jak tak, to trzeba by już iść - Kostrzewa spojrzał w pewnym momencie na zegarek - Cholera, że go nie zastałem! Jakby w międzyczasie wrócił, to powiedzcie mu, że Tomasz ma sprawę. On będzie wiedział, o co chodzi.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Już szedł ku bramie i nagle przystanął, jakby mu dopiero teraz coś wpadło do

głowy.

- Wiecie - tarł hałaśliwie nos - człowiek od rana lata o pustym pysku. Aż kiszki skręca. Nie można by tu gdzie w okolicy władować czego na ząb?

Dozorca pokiwał głową.

- Czemu nie? Jest tu w pobliżu taki jeden anształt... - zaczął tłumaczyć, jak się idzie.

Kostrzewa słuchał, marszczył brwi, w końcu machnął ręką:

- Eee, tu i sam Salomon by się zaplątał - klepnął się w czoło. - Wiecie... Mam myśl. Czyżbyście nie mogli wdepnąć tam ze mną? Łykniemy sobie po głębszym z kropelkami. Oczywiście ja stawiam - wyjaśnił szybko.

Dozorca popatrzył na niego. Nie, nie wyglądał na tajniaka - A nawet gdyby tak, to i co z tego? Wódka jest zawsze wódką. Szczególnie darmowa.

Jeżeli zapraszacie..! Ale tylko na minutkę. Bo, wiecie, robota.

„Minutka” trwała prawie dwie godziny. Nie, tym razem nie było mowy o żadnym większym pijaństwie. Język mu jednak coś niecoś trzeba było naoliwić.

Początkowo Kostrzewa kołował z daleka, nie chcąc go spłoszyć. Dopiero, gdy uznał, że już można, powrócił do sprawy Wypiorą.

Dozorca stawał się coraz rozmowniejszy.

- Wiecie, że zeszedł się z taką jedną? - rzucił w pewnej chwili.

Kostrzewa wydał niedbale wargi. Trudno było zauważyć, jak bardzo go ta wiadomość obeszała.

- A bo to z jedną? Można powiedzieć: pies na kociaki.

- Tamto swoją drogą, a to całkiem inna historia. Chodzą ze sobą już od paru miesięcy.

Kostrzewa zrobił wielkie oczy.

- Patrzcie no - pokręcił niedowierzająco głową. - Feluś? Z jedną i tą samą przez parę miesięcy? Któż by przypuszczał.

- Hm... a dawnoście się z nim widzieli po raz ostatni?

- Będzie chyba z pół roku - bąknął ostrożnie. - Tak jakoś wyszło.

- Ba... pół roku a teraz. Powiadam wam, zestateczniał, że i poznać trudno.

Jakby go kto zmienił. I na temat damskiej płci, i w ogóle. Tylko że teraz znowu jakby coś, że niby ci łapacze... Ale jeżeli chodzi o tę dziewczynę, nie myślcie, że jakaś tam.

Owszem, pracuje i w ogóle pod każdym względem... Mówił, że zamiaruje się z nią

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

ożenić. U niego, sami wiecie... Fajna kobita. Pokazywał jej fotografię. A raz to

widziałem ich na mieście. Przytuleni, depache, wszystko co należy. Gruchające

gołąbki, jednym słowem...

Kostrzewa był zachwycony. To już zaczynało wyglądać na całkiem realny punkt zaczepienia.

Wśród rzeczy zabranych z mieszkania Wypiorą było sporo fotografii kobiet.

Jedna powtarzała się w paru wersjach... Kostrzewa oglądał je z zastanowieniem.

Zdawała się najbardziej pasować do wizerunku, jaki odmalował dozorca.

Na szczęście Wypiór pochwalił się przed dozorcą, że urzędniczka i nawet podał nazwę biura. To ogromnie upraszczało sprawę.

Kostrzewa przybrał odpowiedni wygląd i poszedł zająć stanowisko. Przyglądał się dyskretnie każdej wychodzącej kobiecie. Żadna nie była podobna do tej z fotografii.

Czyżby się omylił?

Nareszcie! Tak... tu nie było najmniejszej wątpliwości. Uchylił szarmancko

kapelusza.

- Bardzo panią przepraszam, panno...? Ale Felek mi tyle o pani opowiadał... że się ośmielam...

Spojrzenie rzeczywiście ładnych oczu nie traciło jednak długo podejrzliwego wyrazu. „A co, a kto, a skąd?” Rozkruszenie skorupy wcale nie należało do najłatwiejszych.

- Bo wie pani, to taka pilna sprawa. No... krótko mówiąc - wprost do zarznięcia. I dla Felka jest nieobojętna. Nie mogę tego zrozumieć... Przychodzę: drzwi na cztery spusty. I żeby najmniejszą kartczykę. Albo parę słów przez dozorcę... Szło jak po grudzie. W końcu zdołał ją przecież rozruszać. Miał wyjątkowy dar budzenia zaufania.

- Kiedy ja naprawdę nie wiem, gdzie się Felek podział - oświadczyła smętnie. - Spotykaliśmy się. No tak, dosyć często, i nagle jak kamień w wodę... Nie szukałam go. Oczywiście, że nie... To by się po mnie nie pokazało... Nie przychodzi pod biuro, to nie. Może coś mu akurat wypadło.

W pierwszej chwili aż się zachnął. Nie potrzebował tego grywać. Odpowiadało roli i było jak najbardziej szczerze. Tak już liczył na sukces, a tu nagle...

Sensacja nastąpiła dopiero w momencie, gdy Kostrzewę zaczynała już ogarniać rezygnacja.

Widziała go przedwczoraj. Na Fabrycznej. Szła zupełnie o nim nie myśląc i

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

nagle... Tak, to był na pewno on. Jakżeby miała go nie poznać. Tak... Owszem, zawołała. No, to przecież ostatecznie... Nie obejrzał się. Musiał widocznie nie dosłyszeć. A gdy doszła do miejsca, gdzie stał poprzednio - ani śladu. Nie biegła

przecież... Znikł jak kamień w wodzie. Gdzieś za rogiem Handlowej. Albo może

Dalekiej. Tam tyle ruin. Rzeczywiście, że to wszystko razem wygląda dziwnie. Nie potrafi zrozumieć. Więc jeżeliby spotkał Felka, niech mu powie, że tak się nie robi.

Jeżeli uważa, że nie, to wystarczy powiedzieć. Ona mu się nie będzie narzucać.

Wiącek aż posapywał z radości.

- No proszę, czyż nie mówiłem, że go cęgami z Warszawy nie wyciągnie?

Przedwczoraj? Ba... W tym czasie nasza siatka była już zaciągnięta od świętej pamięci.

I to na sto dwa. Skoro ptaszyna nie uleciała, to my ją prędzej czy później wykopimy choćby spod ziemi!

- Fabryczna - podkreślił Kostrzewa. - Ta ulica śni mi się po nocach. Zresztą Semaforowa również.

Długo wymierzali milimetrową podziałką plan miasta. Fabryczna, Daleka, Handlowa...

- Wszystkie nici tu się zbiegają - palec Kostrzewy zakreślił nad planem dość skąpy krąg.

Wiącek pokiwał z przekonaniem głową.

- Zgadza się co do joty, jak powiedział podsądny, gdy go zapytano, czy przyznaje się do zamordowania siedmiu osób.

- Melina - mówił w zamyśleniu Kostrzewa - kartka, Wypiór, wszystko tu.

Trzeba będzie cały ten krąg dokładnie przetrząsnąć.

- Jasne. Tylko... hm... - nagle się zmieszał.

- Co takiego? - spojrzał na niego ze zdziwieniem Kostrzewa.

- Bo jeżeli chodzi o dokładne przetrząśnięcie, to obawiam się, że nas dwóch będzie cokolwiek przymało.

Kostrzewa roześmiał się.

- Cudów przecież od nas nikt nie wymaga. Przedstawił sprawę pułkownikowi.

Ten wysłuchał nie przerywając pytaniami. Zresztą uważał je za zbędne.

- Tak - zdecydował krótko - musimy to zrobić.

Do zadania wyznaczono pokaźną liczbę funkcjonariuszy. Chodziło o jak

największy pośpiech. Zresztą stopniowe badanie terenu zmniejszałoby jeszcze bardziej

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

już i tak niezbyt wielkie szanse powodzenia. Jednoczesne przeprowadzanie wywiadów

w kilku miejscach naraz wydawało się w tych warunkach o wiele bardziej celowe.

Wywiad u dozorców nie dał jednak oczekiwanego rezultatu.

- Nie, żaden Wypiór u nas nie mieszka. Niektórzy wybuchali oburzeniem.

- Co, w naszej kamienicy miałyby być ktoś nie meldowany? Może gdzie indziej

takie coś się praktykuje, ale u nas...

Jeden z wywiadowców narobił alarmu. Przykłusował z Lubelskiej zadyszany

do ostateczności.

- Jest!

Wiącek bez słowa pobiegł za nim. Wystarczyło jednak pierwsze spojrzenie.

Nawet nie bardzo podobny. Jak można się było aż tak bardzo omylić? Dobrze jeszcze,

że go nie zatrzymano. Nic tak nie płoszy zwierzyny w całej okolicy, jak chybione

strzały.

W tym mieszkaniu były również i frontowe drzwi. Używano ich wprawdzie

znacznie rzadziej niż kuchennych, do których można było dojść przez ruiny.

Tak samo były zabezpieczone grubą blachą i zaopatrzone w system

skomplikowanych zamków i zasuw, tylko tyle że ładniej pomalowane. Mosiężna

tabliczka z nazwiskiem. Do framugi przypięto pluskiewkami bilet wizytowy. Niewielki sztyldzik z białej porcelany:

„Technik dentystyczny. Przyjmuje 12-17”.

To mogło usprawiedliwiać wszelkiego rodzaju odwiedzin. W ogóle cały wygląd wejścia jak najbardziej normalny i nie rzucający się w oczy.

Prostokącik brystolu wyjaśniał, ile razy należy dzwonić, żeby trafić do tego czy innego lokatora. Nie wyjaśniał natomiast najważniejszego: w jaki sposób należy naciskać dzwonek, by trafić do tego, co w tym mieszkaniu było najważniejsze, do małego pokoiku przy samym końcu korytarza.

Ale o tym wszyscy ci, którym to było potrzebne, wiedzieli sami. A dzielenie się tą wiadomością z kimś nie wtajemniczonym groziło niechybną śmiercią.

W małym pokoiku szarzało od dymu. Okna jednak były zamknięte na głucho i zasłonięte gęstą firanką. Tak było bezpieczniej.

Twarze wyrażały z trudem maskowany niepokój.

Wiadomość, która doszła okólną drogą z Gdyni, była więcej niż pewna. A przecież każdy z nich stokroć wolałby, żeby okazała się fałszywa. Ale na to nie było co

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)
liczyć.

- As - Czarny żuł nie zapalonego papierosa.

Dandy skulił się, otworzył usta, jakby chcąc coś powiedzieć, zamknął je jednak z powrotem, nie wydawszy żadnego dźwięku.

- A kij mu w oko! - syknął Grom. - As, nie as, dawało się już rady rozmaitym.

- Nic nie świadczy, by natrafił na nasz trop - oznajmił drewnianym głosem szef.

Zoja przyjrzała mu się nieznacznie spod oka. Ona wiedziała, co sądzić o tym

tonie.

- Nie? - Dandy jakby nagle odżył.

- Niby skąd to przekonanie? - Czarny pokręcił z powątpiewaniem głową. -

Zresztą, jeżeli dotychczas nie natrafił, natrafi lada chwila.

Dandy znowu oklapł.

- Spokój! - warknął szef. - Popłoch z powodu jednego łapacza? - powiódł

dookoła wytrzeszczonymi oczyma.

„Zgrywa się - stwierdziła w duchu Zoja - ale na pierwszy rzut oka wychodzi

mu to wcale nie najgorzej.” Grom przeżuł jakieś słowo.

- Jeżeli otrzymam polecenie... Szef wzruszył ramionami.

- To do nas nie należy. Gdyby nam następował bezpośrednio na pięty, wtedy

co innego, ale tak...

- Centrala - rzuciła w przestrzeń Zoja, osadzając papierosa w cygarniczce.

Stwierdziła z dezaprobatą, że końce jej palców lekko drżą. Histeria! Przywołała się

ostro do porządku: w ten sposób daleko się nie zajedzie.

Szef przejechał dłonią po łysinie.

- Właśnie to miałem na myśli.

Tym razem spotkanie nie odbyło się w parku i rozmówca nie miał kapelusza.

Nazywał się Koreywo, przynajmniej tego właśnie nazwiska chętnie używał.

- Tak, człowiek ten musi zostać bezwzględnie zlikwidowany. To nakaz z góry.

Nie tylko z tego powodu, że mógłby się do was dostać. To sprawa bardziej zasadnicza

- przybrał ton patetyczny. - To już wkracza w sferę polityki. Przez tego człowieka

zginęło dwóch wartościowych... hm... bojowników o wielką sprawę - miał zresztą w

tej chwili na myśli agentów obcego wywiadu - i pewne ważne zamierzenie spaliło na

panewce. Wyrok zapadł i musi zostać wykonany. Premie jak zwykle. Akcja zaś

powinna być przeprowadzona w sposób następujący...

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Rozłożył szczegółowy plan miasta, upstrzony hieroglifami tajemniczych znaków.

- Trzeba to wszystko zorganizować tak, aby nie pozostawić żadnych śladów ani nie nasuwać niepotrzebnych hm... skojarzeń. Otóż... - ostrze ołówka wędrowało nad liniami planu... - on chodzi tędy niemal codziennie. I właśnie tu... - zniżył głos niemal do szeptu, chociaż nie mógł ich nikt podsłuchać.

W miarę słuchania twarz szefa przeciągała się coraz bardziej.

- Ależ... hm... To przecież niemal w samym sąsiedztwie gmachu UB.

- Więc cóż z tego? - wzrok Koreywy stał się kłujący. - Czyżby się pan obawiał?

Albo może obawia się pan, że powierzona mu komórka nie jest w stanie wykonać tej prostej rzeczy? Zresztą - ciągnął dalej - tym lepiej, że tak blisko. Mniej wzbudzi podejrzeń.

Szef zachował swoje myśli przy sobie. Przystąpiono do omawiania szczegółów.

Notował je skrupulatnie w pamięci.

- Dobrze - wstał wreszcie wyciągając rękę. Przeliczył dokładnie banknoty.

- Trochę, hm... skąpo - westchnął.

- Akurat dwa razy tyle, ile wynoszą koszty - stwierdził sucho Koreywo.

Szef popatrzył na niego z ukosa. Był bardzo niedaleko prawdy. No cóż, w tym interesie pewne tajemnice były pozorne. Znali się jak dwa łyse konie.

- Postaram się zmieścić w granicach budżetu - oświadczył rzeczowo. - A gdyby akcja się nie udała? - zatrzymał się w drodze do drzwi.

- Musi się udać.
- Zdarzają się jednak nieprzewidziane okoliczności.
- Wówczas sięgniemy do innych środków. Rzecz w każdym razie musi być wykonana.

Mężczyzna wyglądał zupełnie przeciętnie. Może tylko kapelusz miał nieco za szerokie rondo. I był jakby trochę głębiej niż potrzeba nasunięty na czoło. Ale bynajmniej nie w stopniu rzucającym się w oczy. Ot, jeden z tysiąca przechodniów. Stał przed księgarnią, przyglądając się z wyraźnym zainteresowaniem kunsztownie rozłożonym książkom.

Drugi spacerował. Dwóch mężczyzn stojących w pobliżu siebie mogłoby zwrócić uwagę. Nie wolno było do tego w żadnym wypadku dopuścić.

W pewnym momencie podniósł rękę. Przyglądził włosy. Ten był dla odmiany

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

bez kapelusza.

Ruch najzupełniej naturalny. A tego, że ręka z małą fotografią zatrzymała się na ułamek sekundy przed oczyma, nie mógł nikt zauważyć.

Upewnił się. To był on.

Skierował się ku księgarni. Nie zatrzymał się przy mężczyźnie stojącym przed wystawą. To stanowiłoby niedopuszczalny błąd. Nawet na niego nie popatrzył. Tylko spojrzenie zatrzymało się jakby mimochodem na jednym z przechodniów. To wystarczyło.

Miłośnik literatury oderwał się od wystawy, ruszając w ślad za wskazanym.

Drugi mężczyzna zniknął. Rola jego została spełniona. Wprawiona spojrzeniem w ruch maszyna będzie działać dalej już sama.

Kostrzewa patrzył raczej w górę niż wokół siebie. Zachowywał się jak najbardziej beztrosko. Mogłoby się wydawać, że otoczenie nie interesuje go absolutnie.

Ten w jasnym płaszczu i ten spod wystawy? Maleńkie, w specjalny sposób szlifowane lustro oddawało wprost nieocenione usługi. Jegoś przed wystawą wciąż był tam, gdzie go oczekiwał. Zagwizdał cicho coś bardzo wesołego. Role się odwracały. Ze śledzącego stawał się śledzonym. Skąd się dowiedzieli i w jaki sposób zdobyli jego podobiznę? Ruch, którym ten pierwszy przesunął ręką przed oczyma, nie pozostawiał miejsca na żadne wątpliwości. Jasne, że sprawdzał, czy zwierzyzna jest akurat tą, której poszukiwał. Zwierzyzna? Ba... Koło raz wprowadzone w ruch obraca się ustawicznie. Tylko jeżeli chodzi o źródło informacji? Ciekawe. Trzeba się będzie przy sposobności głębiej nad tym zastanowić. Takie rzeczy nie spadają z powietrza. Sobie pod tym względem nie miał nic do zarzucenia. Zachował wszelkie środki ostrożności, których zachowanie było możliwe. A inni? Właśnie o to chodzi...

W szlifowanym szkle znowu odbiła się znajoma sylwetka. Szedł jak dotychczas. Ale w całej jego postawie nastąpiła ledwo uchwytna zmiana. Tak jakby zbliżała się decydująca chwila. To niełatwo ukryć, nawet przy silnych nerwach. Lustro pozostało trochę dłużej przed oczyma. Wytarcie nosa stanowiło ku temu wystarczający pretekst.

Nie, nie ma zamiaru sięgnąć do kieszeni. Taką rzecz da się z góry przewidzieć na podstawie zarysu ramienia. Ręka zwisa zupełnie swobodnie. Więc nie o to chodzi...

Patrzy teraz... Próbował prześledzić kierunek spojrzenia. Jakby gdzieś ku górze i

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

raczej chodzi o tamtą kamienicę.

Któreś z okien? - przesunął wzrokiem po martwo szklących się szybach.

Połówka jednego z okien była lekko uchylona. Cóż łatwiejszego, niż wymierzyć przez nie strzał?

Tamten szedł wciąż za nim. Musiał mieć przecież jakąś rolę do odegrania w zamierzonej akcji. Sygnał? To też prawdopodobne.

Zupełnie przypadkowo spojrzął na rusztowanie, biegnące wzdłuż ściany sąsiedniej kamienicy. Co tam właściwie robi ten człowiek na najwyższej kondygnacji?

Dawno już po godzinach pracy. Jakaś pilna robota na akord? Zdarza się. Ale mogło też być zupełnie inaczej.

Albo więc z okna, albo z rusztowania. Właśnie znalazł się na wprost uchylonej połówki. Nic prostszego, niż przebiec pod tamtą ścianę. Martwy kąt uniemożliwiłby strzał. Nie chodziło jednak o uniemożliwienie zamierzeń. Wręcz przeciwnie. Należało je ułatwić, prowokując realizację. Nie do samego końca oczywiście.

Szedł dalej. To nie było przyjemne... Strzał z tyłu dawałby jeszcze mniej szans ratunku. Lusterko teraz odgrywało dominującą rolę. Nie patrzył na okno. Całą uwagę ześrodkował na tym, który szedł poza nim. W tej sytuacji nie mógł już liczyć na nic innego.

Nie, jednak nie okno. Teraz już wynik strzału byłby wątpliwy. Rusztowanie?

Sylwetka wciąż tkwiła na zawieszanej wysoko desce. Nachylała się nad ustawioną tuż przy zewnętrznej krawędzi skrzynią. Co znajdowało się wewnątrz? Zresztą sama skrzynia...

Dochodził już pod nią. Wszystkie mięśnie jak ściśnięta sprężyna.

Teraz lusterko pozwalało obserwować górę bez potrzeby zadzierania głowy.

Jeszcze jeden krok. Nie zrobił go jednak. Powietrze przeszył ostry, przenikliwy gwizd,

zaalarmował nie tylko tego, dla kogo był bezpośrednio przeznaczony. Kostrzewa odskoczył gwałtownym ruchem całego ciała. A przecież i tak skrzynia, która walnęła z impetem o chodnik, upadła w odległości mniejszej niż ćwierć metra przed nim. Huknęła jak bomba. Okruchy zmiażdżonego asfaltu prysnęły na wszystkie strony. Buchnął krzyk skłóconych głosów. Powstało zamieszanie. Jedni uciekali, inni biegli ku skrzyni.

- Nic się panu nie stało? - ktoś dotknął jego ramienia.

Nie odpowiedział. Myśl pracowała gorączkowo. Tamten na górze? Sylwetka właśnie przesunęła się pośpiesznie ku oknu. Kształt wskazywał na klatkę schodową.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Na nic. Nie zdąży...

A ten drugi? Właśnie zawrócił ostro na pięcie. Jeszcze chwila i...

Wystarczyło parę wydłużonych kroków. Nawet nie potrzebował biec. Tamten widocznie nie spodziewał się.

- Co?... - próbował się wyszarpnąć.

Zasunięta szybko do kieszeni ręka uwięzła jednak jak w stalowym imadle.

Jeszcze jedna próba odepchnięcia. Uścisk zacisnął się twardo. Aż z jego ust wydarło się chrapliwe stęknięcie.

- Pan pójdzie ze mną.

Kostrzewa mówił bardzo cicho. Coś jednak takiego dźwięczało w jego głosie, że nieznajomy spojrzał na niego i zrezygnował z oporu.

*

Nie znaleziono żadnej broni palnej. Tylko mocny sprężynowy nóż. Zresztą otwarty. W zeszłym miesiącu wyszedł z więzienia, przebywał w nim nie po raz

pierwszy. Nie brakło rozpraw nożowych w rejestrze. Wzruszał ramionami.

- Cóż ja... Kazano, żebym szedł za tym panem i gwizdnął, gdy podejdzie pod rusztowanie. To wszystko. Wybulono parę setek, resztę obiecano potem. Dlaczego by nie? To przecież żadne przestępstwo. O tej skrzyni nic nie wiedziałem.

- Kto kazał?

- A taki jeden. Czy powie nazwisko? Przyszedł: „chcesz zarobić?” A u mnie akurat krucho. Do roboty miałem iść dopiero od pierwszego. Mówię - owszem, jeżeli tylko nie zalatuje kryminałem.

Kostrzewa pogwizdywał z irytacją. To mogło być prawdą. Często posługiwano się takimi „konikami” w grze.

- Gdzie mieli wam wypłacić resztę?

- W knajpie „Pod latarnią”. Dziś o piątej.

- A jak wyglądał ten, który z wami rozmawiał?

- Ot, taki gładko ulizany. Człowiek jak człowiek. Nic podpadającego. Gdybym zobaczył, tobym może poznał.

Ponaglony pytaniami podał bardziej szczegółowy rysopis. Rzeczywiście absolutnie nic rzucającego się w oczy. Mógłby z powodzeniem pasować do co trzeciego przechodnia na ulicy. Obstawiono knajpę. Uczyniono to zresztą niemal bez żadnej nadziei. Skoro już wiedzieli o fiasku zamachu i złapaniu „konika”, nie można było liczyć na powodzenie.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Nie zatrzymano nikogo. Restaurator nic nie wiedział. „Chodzą tu do mnie różni. Ale zawsze wszystko w porządku. Awantury się nie zdarzają”. Trząśł się ze strachu, by mu nie odebrano koncesji.

Lokal był podłą dziurą. Niczego podejrzanego jednak nie stwierdzono. Odeszli z pustymi rękoma.

- Tak - powiedział smętnie Kostrzewa, kiedy po tym wszystkim znalazł się w gabinecie Kociuby. - Ten wyszczypany wróbel w klatce wcale nie wygląda na sukces. Nawet nie bardzo wiadomo, za co go przygwoździć. Mógł naprawdę nie wiedzieć o zamachu. Kociuba burczał gniewnie.

- Wygląda na to, że was o mały włos nie utrupili. Na nic taka robotka.

Dostaniecie obstawę.

- Co? Jeszcze czego!

- Nic nie chcę słyszeć. Nie mam was na stracenie. Przypomnijcie sobie Sierakowskiego. To nie są żarty.

Kostrzewa popatrzył w okno.

- Ja też nie mam zamiaru żartować. - Nagle parsknął gniewnie: - Obstawa! To już lepiej każcie mi przyszyć na plecach plakat: „Uwaga, zły oficer śledczy. Gryzie” - spochmurniał. - Gryzie - powtórzył potrząsając głową - no, jakoś dotychczas nie bardzo. Sierakowskiego zamordowali z tego powodu, że wpadł na jakiś konkretny ślad. A ja... powolnymi ruchami zapalał papierosa - stanowczo przecenili moje możliwości. Chyba nie przypuszczacie, pułkowniku, by asysta potrafiła rzeczywiście zabezpieczyć. W praktyce to kula u nogi i sygnał ostrzegawczy dla przeciwnika - dodał po chwili.

Kociuba wreszcie zrezygnował.

- Cóż z wami począć, doktorze. Niech już będzie po waszemu.

W sektorze Białkowskiego nadal najsłabszego choćby promyka. Sektor

Wypiorą wciąż w równie nieprzeniknionym mroku. Chociaż alarmy zdarzały się coraz

częściej.

Wiącek ganiał jak oparzony, wracał rozczarowany i zły.

- Wystarczy, że człowiek sięga nogami do ziemi, już im się zdaje, że właśnie ten. Wypióry rosną jak muchomory po deszczu. Do diabła z takim urodzajem. Ani śladu prawdziwka.

Paru zatrzymano. Wiącek po sprawdzeniu machnął ręką: „Piramida Cheopsa i kawał klopa”.

Sektor meliny nie dawał się ugryźć. Któregoś razu na przedmieściu zaobserwowano coś podejrzanego. Kostrzewa pojechał sam. Relacja była nader zagmatwana. Dostrzeżono coś, wprawdzie aż na trzecim piętrze, i wazon był właściwie garnkiem, ale diabli wiedzą. Wilgoć mogła pochłonąć bez śladu dwie pałeczki z kartki Sierakowskiego.

Kręciły się tam jakieś mocno niewyraźne typy. Dom obstawiono i dokonano nagłego nalotu. Popłoch wybuchnął nieopisany. Któryś próbował ucieczki przez dach. Kostrzewa z góry przewidział tę ewentualność.

Wyłuskano parę noży, kastety i nawet pistolet. Poza tym komplet narzędzi kasiarskich. Wiącek przyglądał się im z wyraźnym niesmakiem.

- Coś mi tu nie pasuje - mruczał pod nosem.

Przeszła cała noc, zanim się uporali z tym bagażem. Wysilek nie poszedł na marne. Towarzystwo było godne uwagi.

- Sto lat kryminału dla wszystkich ani rusz nie starczy - zaopiniował Wiącek nad ranem.

To był niewątpliwy sukces. Nie miał jednak żadnego związku ze sprawą, którą

przewadzili. Przekazano całą historię milicji.

- Trzeba coś zrobić dla przyjaciela, jak powiedział ktoś uwodząc cudzą żonę -
wzruszył ramionami Wiącek. - Odwaliliśmy ładny kawał cudzej roboty. Ale jeżeli
chodzi o własną, to nawet o koński paznokieć nie poszliśmy naprzód.

Kostrzewa wrócił do hotelu zmęczony do ostateczności. Nie kładł się jednak.

W czasie badania nasunęła mu się pewna myśl. Chciał ją na gorąco rozważyć.

Nacisnął guzik dzwonka. Spojrzał mimochodem. Jakaś nowa twarz?

Nie poświęcił temu specjalnej uwagi. Tu było sporo służby.

- Proszę o gorącą herbatę. Tylko żeby była mocna. Nachylił się nad bloczkiem
kreśląc zawile hieroglify.

Niektóre szczegóły sprawy sugerowały, że ci, którym istotnie zależało na
śmierci Lebiody, wolą się posługiwać rękami zwykłych rzezimieszków. Ci dzisiejsi nie
wchodzili w rachubę. Każdy miał murowane alibi. Alibi zresztą bardzo kosztowne.

Zdarza się wprawdzie, że przestępcy zasłaniają się mniej poważnym przestępstwem dla
wywikłania się z cięższego, ale w tym wypadku wszystkie okoliczności zostały
wyświetlone w sposób nie pozostawiający miejsca na żadne wątpliwości. Na przykład
Wypiór. Nie wyglądało na to, że jest on członkiem bandy.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Jeżeli jednak użyli w tym celu takich typów?

Zapukano. Służący wniósł herbatę. Kostrzewa nawet nie spojrzał. Czyżby

dotychczasowa linia dochodzenia szła w niewłaściwym Merunku? Terrorysty i

kryminalni przestępcy to nie to samo. Jedni i drudzy mają inne metody działania i

maskowania się. A więc i sposoby poszukiwania w zasadzie powinny iść odmiennymi

torami.. Jeśli wykonawcy nie byli powiązani ściśle z ośrodkiem kierującym?

Machinalnie sięgnął po szklankę. Machinalnie przytknął ją do ust i zamarł bez ruchu. Po chwili odsunął nieco szklankę, przyglądając się jej z nagłym zainteresowaniem. Jeszcze raz wciągnął powietrze do nozdrzy. Zapach był ledwo uchwytny. Dla człowieka, który nigdy nie miał z tym do czynienia, może nawet zupełnie nieuchwytny, ale Kostrzewa jednak oprócz doświadczenia miał wyjątkowo wrażliwe powonienie.

Odstawił ostrożnie szklankę i przykrył ją spodeczkiem. Sięgnął po słuchawkę telefonu. Kociuba pewno śpi jak suseł. Po takiej nocy...

Nie spał jednak. Odezwał się natychmiast. Tylko chropowaty od chrypki głos świadczył o zmęczeniu..

Kostrzewa wymienił numer swego rejestru służbowego.

- Słucham?

- Chciałbym się zobaczyć z kolegami.

- Hm... - krótka chwila milczenia - na miejscu?

- Tak. Może dwóch albo trzech...

- Dobrze - słyhać było, jak rzucał przyciszone słowa do wewnętrznego telefonu.

- U was osobiście w porządku? - nutki tłumionego niepokoju.

Jak najzupełniej. Nie upłynął nawet kwadrans, gdy już pukali do drzwi. Wiącek wpadł pierwszy. Trudno było zrozumieć, skąd się właściwie wziął. Zapowiedział solennie, że idzie do domu, żeby tam nie wiedzieć co..."

- Gdzie? - jeszcze nie zdążył się wydyszeć z szybkiego biegu - - Gdzie, jak powiedział... - machnął ręką. - O co chodzi?

Kostrzewa ruchem głowy wskazał na szklankę.

- Może się mylę, ale raczej nie. Widział was ktoś, jak wchodziliście?

- Poza portierem w hallu nie było akurat nikogo.

- Tym lepiej... Trzeba obstawić wyjścia. Jeżeli tylko nie za późno.

Okazało się jednak, że było za późno. Kierownik ledwo potrafił powściągnąć

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

gwałtowne oburzenie. Wyglądało na zupełnie szczere. Służący powinien być w

służbowym. Zastępował swego kuzyna na czas choroby; o ludzi teraz trudno.

W służbowym go nie było. Zdenerwowanie kierownika rosło.

- Bo ja wiem, chyba zaraz wróci. Nie wrócił ani zaraz, ani potem.

- Czy coś zginęło? Mamy tu jego zaświadczenie. Można pojechać do domu.

Pojechano, oczywiście. Zaświadczenie okazało się sfałszowane, adres fikcyjny.

Z dokumentami chorego kuzyna było to samo.

- Nie sprawdzaliście?

- A cóż tu było do sprawdzania! Papiery miał w porządku. Zresztą wstąpił do pracy niedawno.

- Dokładnie kiedy?

- Niecały tydzień temu. Ściślej - sześć dni. I wczoraj akurat zachorował.

Kostrzewa pokiwał w milczeniu głową. Wszystko zgadzało się. Objął pracę na

trzeci dzień po jego przyjeździe. Wynik analizy odpowiadał w zupełności jego

przewidywaniom. Cyjanek potasu w takim roztworze, że nawet minimalna dawka

badanej herbaty była bezwzględnie śmiertelna.

- Cholera wie, co takiego - Kociuba miętosił brzegi kartki nadesłanej z laboratorium, był wyraźnie wściekły.

- Wzięli się teraz za was.

- Ja za nich też.

- Ale nie podsypujecie im piorunującej trucizny ani nie zrzucacie na łeb skrzynek. W końcu gotowi was wykończyć - stęknął.

- To się jeszcze zobaczy.

- I macie zamiar w dalszym ciągu gwizdać na to wszystko? - Kociuba opanował wzburzenie.

- O nie, sprawa zaszła już za daleko. Pchają się całą parą. I najgorsze, że wszystko jakoś prześlizguje się pomiędzy palcami - zamyślił się.

Kociuba czekał w milczeniu. Nie podobało mu się to wszystko. Dwa zamachy się nie udały, ale jak będzie z następnym? Nie można dopuścić, żeby jakaś banda bezkarnie robiła wszystko, na co jej akurat przyjdzie ochota.

- Tak - oznajmił wreszcie Kostrzewa - nie widzę innego wyjścia, jak rozdzielenie jaźni.

Pułkownik popatrzył na niego spod oka, przetaił okulary, po czym osadził je z powrotem na nosie.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Rozdzielenie jaźni? Nie bardzo rozumiem...

- Zaraz to wytłumaczę. Otóż doktor Kostrzewa będzie zajmował duży pokój w „Dworcowym”. Ale raczej rzadko i przy zachowaniu wszelkich ostrożności. Ale jednocześnie ten sam Kostrzewa zamieszka gdzie indziej, pod innym nazwiskiem i cokolwiek zmienioną postacią.

Kociuba zastanawiał się.

- Po drugą częścią projektu podpisuję się obiema rękami. Ale jeżeli chodzi o pierwszą... - skrzywił się z powątpiewaniem. - Czy nie można by tego Kostrzewy

zlikwidować do końca? Wrócił do Gdyni i sprawa załatwiona. To byłoby o wiele prostsze.

- Prostsze, może. Ale czy celowe? Stracilibyśmy poważny atut w grze.

Przynęta to rzecz nie do pogardzenia. Może się w końcu na nią złapie jakaś rybka, która da nam do ręki koniec nici...

- Byleby tylko nie kosztem przynęty. Kostrzewa roześmiał się.

- Podzielam w zupełności wasze życzenie, pułkowniku.

Inżynier Żurkowski z jednej z prowincjonalnych fabryk przyjechał, jak wynikało z delegacji, w sprawie zatwierdzenia inwestycji. Otrzymał pokój w hotelu „Centralnym”.

Nawet Kociuba miał w pierwszej chwili poważne wątpliwości.

- A niechże was - klepał go z zachwytem po ramieniu - chyba rodzona żona by was nie poznała.

Wiącek w każdym razie nie poznał.

- Coś takiego - długo kręcił głową, gdy Kostrzewa się zdemaskował.

Doktor Kostrzewa zamieszkiwał nadal w „Dworcowym”. Od czasu do czasu pokazywał się służbie i funkcjonariuszom. Zachowywał się w tych momentach bardzo ostentacyjnie, usiłując zwrócić jak największą uwagę na swoją obecność. Dopytywał się o różne informacje portiera. Zamawiał posiłki do numeru. Telefonował do urzędu rozmawiając o wszystkim, oczywiście z wyjątkiem spraw istotnych.

Przynęta nie mogła stracić nic ze swej atrakcyjności.

I bardzo często zdarzało się, że kiedy każdy w hotelu gotów był zapewnić pod przysięgą o jego obecności w numerze, on znajdował się zupełnie gdzie indziej.

Bo do pokoju wchodził Kostrzewa, opuszczał go zaś cichaczem inżynier.

Zgodnie z obietnicą daną Kociubie, zachowywał podczas pobytu w hotelu

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

„Dworcowym” maksimum ostrożności. Badał uważnie każdą potrawę, zanim zabrał się do jedzenia. Wąchał możliwie każdy napój. Badania jednak nie dawały już więcej żadnych rezultatów. Ani zapach, ani smak nie wskazywały, by w posiłkach znajdowało się cokolwiek nieprzewidzianego.

Kostrzewa zaczął się niecierpliwić. „Co u diabła, czyżby zamierzali zrezygnować?”

Kociuba obserwował z napiętą uwagą tę grę. Nie taił jednak niepokoju.

- Wiecie - powtarzał niejednokrotnie - jednak pomimo wszystko używanie własnego ciała jako celu... Czy nie moglibyście wykombinować jakiegoś trochę bezpieczniejszego sposobu sprowokowania ich do wystawienia różków?

Kostrzewa uśmiechał się przepaszająco.

- W tym właśnie sęk, że nie potrafię. Jak na złość nic mi nie przychodzi do głowy. Co zresztą uważacie w naszej służbie za bezpieczne?

- Hm... Ale jednak.

- Nie bójcie się, pułkowniku, jestem ostrożny jak... No, porównania to nie moja specjalność. Panie Mikołaju - spojrzał porozumiewawczo na Wiącka - wy na pewno znajdziecie w swej skarbnicy coś odpowiedniego.

Wiącek uśmiechnął się smętnie. On również nie pochwałał pomysłu Kostrzewy.

Odwaga odwagą. Ale powinno się jednak zachowywać pewne granice.

- Owszem, czemu nie - pokiwał głową. - Ostrożność to moja zasada, powiedział samobójca, rzucając się pod pociąg po zażyciu niezawodnej trucizny i podejrzeniu brzytwą gardła. Czyż nie pasuje?

Pułkownik podskoczył na fotelu.

- Świetne! - plasnął dłonią w stół, aż podskoczyła podstawka wiecznego pióra.

- To się nazywa trafić w samo sedno - śmiał się, zdejmując i wkładając raz po raz okulary.

Nie, nie zrezygnowano bynajmniej.

Pan Koreywo ciskał gromy.

- Co wy sobie właściwie wyobrażacie? Góra mi żyć nie daje...

Szef wysłuchiwał w milczeniu. Minę miał bardzo skruszoną. No, rzeczywiście, nie udało się, co tu dużo gadać. „Góra”? Nie bardzo wiedział, co Koreywo miał na myśli... Bo jeżeli chodzi o zagranicznych mocodawców... Ta sprawa nie interesowała go zresztą już zbytnio. I tak wiedział, że przez centralę nie zdoła przeskoczyć. Bo to Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>) kiedyś nie próbował? Dostał mocno po nosie i musiał stulić uszy. Nie ponawiał więcej próby. Był pewien, że następnym razem wykończono by go na amen. Pan Koreywo nie znosił konkurencji.

- Pudło za pudłem - głos Koreywy stał się syczący. - Grożą, że obetną kredyty albo w ogóle wstrzymają. Trudno im zaprzeczyć racji. Tylu wyposażonych, zadawałoby się, we wszystko co potrzeba ludzi i nie mogą sobie dać rady z jednym nędznym szpiclem?

Szef patrzył w kąt pokoju. Nędzny szpicel? Przed paroma dniami nazywał go „asem”. Ano, jak mu akurat wygodniej. Ale sprzeczać się nie warto. Kto płaci, ma zawsze rację.

- Jeżeli i za następnym razem... - Koreywo urwał, zastępując dalsze słowa znaczącym gestem. Szef spojrzał spod oka. To nie były czcze pogrożki. Ale jak na

tymczasem, chyba się wyładował.

Rzeczywiście, powoli uspokajał się. Po chwili przystąpił do omawiania następnego z kolei projektu. Szefowi aż się oczy zaśmiały, gdy zrozumiał, o co chodzi.

- Wspaniale! - zachwyty był zupełnie szczery. - Tym razem nie może być już mowy o jakimkolwiek niepowodzeniu. Jeżeli tylko mechanizm nie zawiedzie...

- Niech pana o to głowa nie boli. Mechanizm nie zawiedzie, żebyście tylko wy nie nawalili ze zorganizowaniem całej historii.

- Och... może pan być pewny. Teraz jeżeli chodzi... hm... o fundusze...

Koreywo spojrzał na niego zezem.

- Tamto wydaliście wszystko?

- No przecież złożyłem odpowiednie zestawienie. Preliminowana kwota została przekroczona. Nieudany zamach kosztował tyle samo, co udany.

- Ten w razie nieudania będzie kosztować jednak inaczej - zaznaczył z pełnym groźby podkreśleniem Koreywo.

- Pan doktor Kostrzewa? - listonosz z niewielką paczką przystanął przy ladzie hotelowego portiera. Portier podniósł się z krzesła.

- Mogę i tutaj odebrać - wyciągnął rękę. Poczciarz roześmiał się.

- Pan może odebrać, ale ja nie mogę oddać, w tym cały sęk. Przesyłka polecona i jeszcze dopisane wyraźnie: „do rąk własnych” - podkreślił palcem uwagę przy adresie.

- No, skoro tak... - portier spojrzał na czarną tablicę. - Jest w swoim numerze.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Trzecie piętro, pokój trzysta dwadzieścia pięć. Drugie drzwi na lewo w hallu.

- Dziękuję.

W hallu siedział jakiś młody mężczyzna, rozciągnięty w fotelu.

Zdawał się na kogoś oczekiwać.

Na widok listonosza lekko skinął głową. Ruch ten wyglądał na zupełnie przypadkowy. Ale ten, dla którego był przeznaczony, doskonale zrozumiał jego znaczenie. Kostrzewa nie wychodził ze swego pokoju.

Młody człowiek niezwłocznie wstał i zszedł ze schodów.

- Nie doczekam się go dzisiaj - rzucił pod adresem portiera. Ten pokiwał obojętnie głową. Ileż razy ludzie powtarzają tu to samo. I po kiego licha? Czyż ktoś obowiązany jest tłumaczyć się, dlaczego wychodzi?

Listonosz rzucił badawcze spojrzenie w jedną stronę korytarza. Potem w drugą. Wreszcie obejrzał się w tył. Korytarz był pusty. Zatrzymał się przed drzwiami pokoju trzysta dwadzieścia trzy. Nasłuchiwał dłuższą chwilę. Z wewnątrz nie dobiegał najśłabszy nawet szmer. Śpi? To byłoby bardzo dogodne. Otwór zamka prześwitywał. Jeszcze lepiej. Wyjął wytrych przyrządzony z elastycznej stali. Wsunął ostrożnie do zamka. Przekręcił bezszelestnie. Znowu nasłuchiwał. Cisza trwała nadal. Uśmiechnął się z zadowoleniem. No, usłyszeć, gdy on manipuluje, nie było tak łatwo. Uważał się za pierwszorzędnego specjalistę. Nie był zresztą w tym zdaniu bynajmniej odosobniony. Właściwie w obecnej chwili wychodzi poza swoją specjalność. Ale zapłacili tak, że nie można było odmówić. Poza tym sprawa wyglądała na dziecinnie łatwą i pozbawioną bardziej poważnego ryzyka.

Przesunął główkę gwoźdźca, wystającą ledwo widocznie z drewnianego opakowania. Wewnątrz zaczął miarowo pracować mechanizm. Był on zaopatrzony w dwie sprężyny: jedna spuszczała iglicę na zapłon w momencie, w którym ktoś usiłował otworzyć skrzynkę, druga zaś wprowadzała w ruch mechanizm zegarowy.

Szybkim ruchem przyłożył ucho do skrzynki. W porządku: nic nie - słyhać.

Zapukał leciutko, żeby się przekonać, czy rzeczywiście śpi, a równocześnie nie zbudzić go, jeżeli tak było. Należało być przygotowanym na wszelkie ewentualności.

Przeczekał chwilę, wyteżając słuch. Po tamtej stronie drzwi nic się nie poruszyło. Więc jednak śpi. Ostrożnie położył rękę na klamce i wolniutko uchylił drzwi. Teraz już mógł sobie na to pozwolić.

Zamknął drzwi z powrotem. Dwukrotnie przekręcił wytrych i pozostawił go w zamku. Teraz droga odwrotu była ostatecznie odcięta. Okno nie wchodziło w rachubę.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Skok z trzeciego piętra dałby w rezultacie prawie ten sam efekt.

Zszedł po schodach prawie bez specjalnego pośpiechu. Wszystko było obliczone co do sekundy.

W drzwiach obrotowych coś się zacięło. Szamotał się rozpaczliwie. Wiedział, że każda sekunda grozi katastrofą.

- Panie! - w głosie był strach. - Cóż to, pułapka?

Portier wyszedł powolnym krokiem z za swej lady i napał ramieniem na jedno ze skrzydeł drzwi. Obróciły się wreszcie i listonosz wypadł na ulicę jak bomba. I to był pierwszy błąd. Portier pokiwał ze zgorszeniem głową.

- Zaraz musi podnosić taki gwałt. Trzeba by...

Myśl urwała się w połowie. W tym samym momencie zdawało mu się, że nastąpiło trzęsienie ziemi. Z brzękiem posypały się szyby. Mury zachwiały się, jakby lada chwila miały runąć na głowę. Ogłuszający grzmot odbił się wielokrotnym echem od ścian. Czyjś przeraźliwy krzyk jeszcze bardziej pogłębiał tę obezwładniającą kakofonię hałasów. Domniemany listonosz po wyjściu na ulicę nie zdążył przebyć

nawet kilku kroków, gdy tuż za plecami rozpętało się nagłe piekło. Tu popełnił drugi błąd. Wszyscy biegli w kierunku hotelu, on od niego uciekał. Funkcjonariusz śledczy stojący przed hotelem nie stracił głowy.

Dwoma susami był przy nim.

- Przepraszam. Chwileczkę.

Listonosz próbował się wyrwać. Był tak podniecony, że zapomniał o swej roli.

I to go właśnie zgubiło. Funkcjonariusz od razu zorientował się, z kim ma do czynienia.

- Stać spokojnie - syknął - bo strzelam. Człowiek w mundurze listonosza

jednak zrozumiał, że nie ma już nic do stracenia. Zwinął się, walnął bykiem w brzuch.

Funkcjonariusz zachwiał się i stęknął głucho. Nie wypuszczał go jednak z rąk. Ostry

gwizd przeciął powietrze. Drugi funkcjonariusz z obstawy hotelu dopadł ich w

momencie, gdy listonosz sięgał gwałtownym ruchem do kieszeni mundurowej kurtki.

Zdążył uwięzić jego rękę w żelaznym uchwycie silnych palców.

- Tylko bez kawałów!

Po krótkiej walce został obezwładniony.

Tłum przed hotelem gęstniał. Po chwili wokół wywiadowców zrobiło się

ciasno. W tych warunkach próba odbicia więźnia była zupełnie realna.

Obydwaj pomyśleli o tym jednocześnie.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Odstąpić! - równocześnie sami próbowali wycofać się z tłoku.

Nagle gęstwa rozproszyła się tak samo niespodzianie, jak powstała.

Listonosz stęknął, ciałem jego wstrząsnął konwulsyjny skurcz. I zaraz w

następnej chwili obwisł im bezwładnie w rękach.

Spojrzeni, tknięci niepokojącym podejrzeniem. Rany jednak żadnej nie dostrzegli. Doszli do wniosku, że prawdopodobnie zemdłał. Przenieśli go do hotelu. Portier wskazał pusty numer. Położyli na łóżku, zdjęli kurtkę, obmacali dokładnie. Nie, nie było żadnej rany. Nie mogli jednak stwierdzić również bicia serca ani oddechu.

- Co u licha?

- Zaraz zatelefonuję po pogotowie - portier kilkakrotnie mylił się nakręcając numer. - Co za diabelski dzień.

Kostrzewa zdążył - oczywiście odpowiednio zmieniony - przybyć jeszcze przed przyjazdem pogotowia. Ale i tak było za późno. Człowiek w mundurze listonosza już nie żył. Funkcjonariusze zdali odpowiednią relację z przebiegu wypadków.

- Obawialiśmy się próby odbicia albo zamachu. Ale nie odniósł żadnej rany - zakończył ten, który pierwszy ujął listonosza. Prawdopodobnie serce.

- Hm, serce... - Kostrzewa przyglądał się małej ciemnej plamce na lewym nadgarstku nieboszczyka. Niekoniecznie nawet zastrzyk, który by było trudno wykonać w tych warunkach. Wystarczyło nakłucie igłą zanurzoną w truciznie. Jest wiele trucizn, które wprowadzone do krwi działają piorunująco. Sekcja wykaże porażenie serca, dróg oddechowych bądź mózgu. Może zresztą wszystko razem. Ślady trucizny zostaną wykryte albo nie. Zdarza się rozmaicie. Nie wszystkie dadzą się wykryć. Kostrzewa jednak nie miał wątpliwości.

Po upływie kilku minut wpadł do pokoju Kociuba.

- Macie go?

Wystarczyło jedno spojrzenie na łóżko. Ożywienie nagle przysło.

- Znowu pudło.

- Tak - Kostrzewa, który zdążył już w sobie przetrwać rozczerowanie, był opanowany - tym razem sięgnęli do bardziej nowoczesnych metod - wskazał ciemną plamkę. - Albo też do bardziej archaicznych - dodał po chwili. - Jak kto woli.

W kieszeniach zmarłego znaleziono pistolet marki browning, kaliber 6,35, o spiłowanym numerze fabrycznym. Poza tym napoczętą paczkę papierosów, zapalniczki i trochę drobnych pieniędzy. To było wszystko. Kociuba długo oglądał pistolet.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Zbyt głęboko piłowali - potrząsnął głową - tu chyba nie da się odczytać.

- W rezultacie niewiele materiału, który by pozwolił na identyfikację.

- Pozostają odciski palców. Jeżeli akurat figurują w albumie.

- Na pewno figurują.

- Może. Ale wątpię, czy nam to coś da. Ten człowiek, moim zdaniem, nie pozostaje w żadnym bardziej ścisłym związku z bandą. Wynajęty opryszek i tyle. Kto wie, czy w ogóle zdawał sobie dokładnie sprawę, co zawiera paczka.

- Tak - pułkownik tarł czoło - prawdopodobnie macie rację. Zastanawiam się, jaki błąd popełniliśmy tym razem.

Kostrzewa milczał zatopiony w zadumie.

- Musieliśmy popełnić błąd - powtórzył Kociuba.

- Nie - powiedział cicho Kostrzewa - nie było żadnego błędu.

- A jednak - upierał się Kociuba - u podstawy każdego niepowodzenia musi tkwić jakiś błąd. Gdyby w obserwacji hotelu brała udział większa liczba wywiadowców...

- Cóż by to dało?

- Może by zdołali ująć mordercę...

- Nie sądzę... Zresztą - podjął po chwili - jeżeli chodzi o przyczynę naszych niepowodzeń, można by się jej dopatrzeć w tym, że oni stosują wciąż nowe chwytły, podczas gdy my...

Pułkownik łypnął okiem.

- Chcecie może powiedzieć, że skostnieliśmy w rutynie? Kostrzewa uśmiechnął się nijako.

- To byłoby powiedziane zbyt mocno, ale...

- Rutyna - widać było, że Kociuba z trudem powściąga wzburzenie. - Doktor Kostrzewa w dwóch osobach, pułapka z atrakcyjną przynętą. Diabli wiedzą, co jeszcze można wymyślić.

- Nic z tego wszystkiego nie stanowi specjalnej rewelacji. W ogóle taktyka defensywna daje znacznie mniej szans od ataku.

- Próbowaliśmy przecież uderzać.

- Tak - Kostrzewa pokiwał ociężale głową - tylko próbowaliśmy.

Pułkownik powoli podniósł głowę znad rozłożonych na biurku akt.

- Więc doktor Kostrzewa został zamordowany?

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Tak. Pomimo zastosowania wszelkich możliwych środków ostrożności nie zdołano temu zapobiec.

W gabinecie zapadło przeciągłe milczenie.

- Jakie to pociągnie za sobą skutki? - przerwał je wreszcie Kociuba.

- Cóż - siedzący po drugiej stronie biurka mężczyzna przyjął wygodniejszą pozycję - śmierć jego powinna rozwiązać im ręce. O ile oczywiście będzie wywierała dostatecznie wiarygodne wrażenie.

- Hm... tak. Kogo właściwie wynoszono wtedy do naszej karetki pogotowia?

- Nikogo. To nie było potrzebne. Wystarczyło odpowiednie zwiniecie paru kocy. Weźcie pod uwagę, pułkowniku, że wybuch był potężny.

Kociuba rozmyślał przez chwilę.

- Czy wiadomość o waszej śmierci nie spowoduje ja - kichś osobistych komplikacji? - wiedział o niedawnym małżeństwie Kostrzewy.

- Nie sądzę. Major Miechowiec będzie wiedział, moja żona zaś przebywa na morzu.

Kociuba przetarł okulary. Gnębiła go jeszcze pewna kwestia.

- Czy uważacie za konieczne noszenie waszej maski nawet tu?

- Muszę się przecież przyzwyczaić do roli, którą przyjdzie odgrywać przez jakiś czas bez przerwy.

Ale jego lekki ton nie zwiódł pułkownika. Sprawa stawała się coraz bardziej poważna.

- Macie jakieś konkretne podstawy?

- Nie. Żadnych. Podobno jednak ostrożności nigdy nie za dużo? - uśmiech jego

wydał się Kociubie sztuczny. - W związku z tym jeszcze jedna prośba: chciałbym jako hasło rozpoznawcze stosować inny numer rejestru służbowego. Po prostu fikcyjny.

Po jego wyjściu Kociuba zamyślił się ponuro. Był przekonany, że Kostrzewa nie mówi wszystkiego, co myśli.

W prasie ukazała się krótka wzmianka:

Wskutek nieostrożnego obchodzenia się z maszynką benzynową nastąpił w jednym z numerów hotelu „Dworcowego” wybuch. Powstały stąd pożar ugasiła po kilkunastominutowej akcji straż pożarna W Oddziale. Straty nieznaczne. Ofiar w

ludziach nie było.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- A jakże - pan Koreywo zacierał ręce - „ofiar nie było”. Taka sama prawda, jak o maszynie benzynowej. A sławetny obywatel Kostrzewa to pies? Był, zniknął i... „nie ma ofiar” - roześmiał się. - Nie nas brać na takie kawały. Za stare wróble.

Szef zachichotał do wtóru.

Oczywiście pan Koreywo nie poprzestał na raporcie komórki. Był na to za ostrożny i za bardzo doświadczony. Nieraz usiłowali go kiwnąć. Ale gdy sobie tylko wiadomymi drogami ustalił, że w momencie wybuchu doktor Kostrzewa na pewno znajdował się w swoim numerze, a następnie wszelki słuch o nim zaginął, musiał uwierzyć. Potem nadeszły dalsze informacje: kogoś szczelnie okrytego kocem wynoszono do karetki szpitala UB. To już dawało zupełną pewność. Wypłacił też bez słowa protestu premię i kosztą. Wiedział przy tym z góry, że rachunek przedstawiony przez szefa jest przesolony wszędzie tam, gdzie to było możliwe. Ale w tego rodzaju sprawach nie można tracić czasu na drobiazgi. Jasne, że każdy chce zarobić. On zresztą zarobił również. I to wcale nieźle. Niezależnie od solidnej paczki zielonych banknotów zapisał na swoje konto gratulacje, które też były nie do pogardzenia. Szef doczekał się swojej doli pochwał w postaci łaskawego: „No, tym razem wreszcie się wam udało”.

Scena przy zwłokach zabitego przez samochód wywiadowcy nie oznaczała bynajmniej jakiegoś punktu zwrotnego w stosunkach pomiędzy Gromem a Dandym. Nie była też pierwsza. To wszystko dojrzewało już od dawna i przybierało coraz bardziej ostre formy.

Początkowo było tylko wzdurliwe lekceważenie. Potem przyszła ta historia z

płowowłosą Kamą. Grom puszył się jak paw. Kama była rzeczywiście piękną dziewczyną. „Przywiązana do mnie jak suka, zrobi wszystko, co każe”. Trzymano się od niej z daleka. Mało kto odważyłby się zdrzeć z Gromem.

Dandy do tej chwili nie potrafił zrozumieć, jak się to wszystko stało. Spotkali się kiedyś w parku. Dandy wtedy był przekonany, że zupełnie przypadkowo. Potem dopiero dowiedział się prawdy.

Zaprowadziła go w ustronną alejkę, posadziła na ławce, przysiadła się ciasno.

Przez cały czas inicjatywa pozostawała w jej ręku.

- Wiesz - oznajmiła niespodziewanie - rzucam Józka. „Józek” to było imię, którego Grom używał w prywatnym życiu.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Dandy osłupiał. To mu się nie mogło pomieścić w głowie.

- Dlaczego? Roześmiała się.

- Jaką ty masz niezmiernie głupią minę. - Po chwili spoważniała i nagle w oczach jej zalśniły łzy. - Nie mogę już znosić jego chamstwa. Niekiedy aż żyć człowiekowi się odechciewa. To przecież bandyta.

Dandy milczał, nie wiedząc, co ma powiedzieć.

- Myślisz, że coś do niego czułam? - przytuliła się jeszcze mocniej. - Zmusił mnie. Za gardło i o ziemię. Potem bałam się. Mówią, że dla niego zabić człowieka to nie nowość. Albo raz zresztą sam to mówił? Bałam się - powtórzyła. - Ale teraz doszło do tego, że mi już wszystko jedno. Lubię chłopców delikatnych, miękkich, takich, co potrafią przytulić nie łamiąc żeber. Takich jak ty.

- Jak ja? - nie wierzył własnym uszom.

Znowu roześmiała się, tym razem jednak śmiech dźwięczał już zupełnie inaczej.

- Jakież z ciebie głuptas. Czyż nie widzisz, że już od dawna...

Początkowo nad wszystkimi uczuciami dominował u Dandego strach. Potem wzięła jednak górę głos krwi. Wokół nie było ludzi, ściemniało się coraz bardziej...

Gdy wychodzili z parku, trzymała go mocno pod rękę.

- Będziemy ze sobą żyli - oznajmiła z przekonaniem.

Dandy potaknął, choć nie wierzył, by to miało jakiegokolwiek szanse urzeczywistnienia. Grom na pewno nie da sobie grać na nosie.

Najbliższa przyszłość dowiodła, że się nie mylił. Grom szalał. Pomimo wszystko nie potrafił jednak zmusić Kamy do powrotu.

Któregoś dnia zniknęła z Warszawy. Po pewnym czasie pandy otrzymał od niej kartkę z drugiego końca Polski.

Jest tu trochę nudno, ale przynajmniej mogę oddychać. Zniszcz kartkę, nie chcę, by Józek dowiedział się o moim adresie.

Dandy skrupulatnie spełnił polecenie.

Grom robił pogardliwe miny: „Przepędziłem ją na cztery wiatry. Nudziła mnie jak flaki z olejem”. Nikt mu nie zaprzeczał. Dandemu to nawet nie przyszło do głowy.

Zdawał sobie jednak doskonale sprawę z tego, że Grom go od tej chwili nienawidzi i tylko czeka na okazję, by się zemścić. Nie żywił również najmniejszych złudzeń co do charakteru tej zemsty.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Dopóki obydwaj byli w organizacji, Grom nie mógł go zabić bez odpowiedniego pretekstu. To mogłoby go kosztować zbyt drogo. Jakiegokolwiek osobiste porachunki były tu niedopuszczalne.

Sposoby, których używał, by zwekslować sprawę na zamierzoną drogę,

stawały się coraz bardziej przejrzyste. Ale cóż z tego? Dandy nie widział żadnej możliwości, by temu zapobiec.

Grom przeprowadzał swój plan z upartą konsekwencją. Umiał wykorzystywać okazje.

„Co właściwie mają u nas do roboty mokre ścierki”? - to pytanie słyszało się bardzo często, gdy na arenie pojawiał się Dandy.

Potem zaczęło to przybierać już bardziej określoną formę.

„Nie ufałbym za grosz mięczakowi, który mdleje na widok krwi. Takiemu wystarczy pogrozić palcem, by sypnął na całego”.

Szef początkowo puszczał te aluzje mimo uszu. Potrzebują nie tylko ludzi do mokrej roboty. Dandy w niektórych sprawach okazywał się zupełnie pożyteczny.

Wreszcie któregoś dnia Grom postawił sprawę na ostrziju noża.

- Temu zasrańcowi źle z oczu patrzy. Szef zmarszczył brwi.

- To znaczy?

- Wygląda, jakby chciał zadrzeć fraka. Szef pogładził się po podbródku.

- Czy od nas można uciec?

- Byleby tylko znaleźć odpowiednią drogę - podkreślił tak znacząco, że trudno było nie zrozumieć, co ma na myśli.

Szef zrozumiał od razu.

- Hm - twarz jego nagle przybrała drewniany wyraz - ma pan jakieś konkretne dane? - Był na punkcie tego rodzaju podejrzeń szczególnie czuły.

Groma ogarnęła nagła pokusa. Wyssać coś z palca i sprawa załatwiona.

Zreflektował się jednak. Po co ryzykować, gdy się prowadzi grę niemal na pewniaka?

Dandy w końcu stanie dęba i albo odmówi wykonania rozkazu, albo stchórzy.

- Nie... Gdyby zresztą było inaczej, nie czekałbym na polecenie. Każdemu miła skóra na karku. Ale jemu szus przyszedłby najłatwiej. Cóż on właściwie ma w bagażu?

Nie maczał bezpośrednio rąk w żadnej robocie.

- Co pan proponuje?

- Uważam, że w każdym razie powinien mieć na swym koncie coś, co by zamknęło drogę.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Szef pokiwał głową.

- Zastanowię się.

- Masz szczęście jak bękart.

Dandy zasunął głęboko ręce do kieszeni i tam dopiero zacisnął je w pięści.

Śmiech Groma drapał po nerwach jak pilnikiem. Rozumiał dobrze, co zapowiada ten wstęp.

Grom nachylił się nad nim.

- Nie jesteś ciekaw nowin?

Dandy wzruszył ramionami.

- Sam mi powiesz.

- Żebyś wiedział, że powiem. Szef postanowił, że już w czasie najbliższej akcji nie będziesz musiał odstawiać świecy. Awans jak jasny gwint. Kape?

Dandy łykał ślinę. Co tu było do zrozumienia? Jasne, że to robota Groma.

Dawno już do tego dążył.

Wyprostował się pod wpływem rozpaczliwej determinacji. Zdobył się nawet na niedbałe machnięcie ręką.

- Co mi tam... Dlaczego by i nie?

Odwrócił się ostro na pięcie i odszedł. Grom patrzył za nim ze zdumieniem.

Co, u jasnej cholery? Potem się uspokoił - Udaje. Gdy przyjdzie co do czego, rozłoży się na wszystkie łopatki. Mur.

Dandy trzymał się sztywno, dopóki Grom mógł go dojrzeć. Potem oklapł.

Ledwo się dowlóknął do swego pokoju. Zamknąwszy drzwi na cztery spusty przysiadł ciężko na łóżku.

- Nie ma wyjścia - szeptał zaciskając końcami palców skronie - nie ma...

Nie było go właściwie od chwili, gdy Kama przysiadła się do niego w parku.

Wiedział, że Grom nie daruje. Ale wtedy rysowało się to jeszcze mgliście i niezdecydowanie. Liczył, że jakoś zdoła mu się wysliznąć z rąk. Nie wiedział, w jaki sposób, ale miał nadzieję.

Teraz ją stracił doszczętnie... Przepaść wyrosła tuż pod nogami. Nie potrafi się za nic zmusić do zamordowania kogoś. Już na samą myśl o tym mdłości postępowwały do gardła. Żeby ostatecznie chodziło o podsypanie komuś trucizny, to co innego. Ale tak...

Grom wspomniał o szefie. Na pewno nie łągał. Zdołał go przekabacić i tyle.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Mokra robota? - znowu się wzdrygnął. Odmówi wykonania rozkazu: kula w

łeb. Stchórzy - to samo. Już Grom przypilnuje, żeby nie było żadnego niedopatrzenia.

Do tego przecież przez cały czas prowadzi.

Zebrał się na odwagę i poszedł do szefa.

- Ja nie nadaję się do takiej roboty. Szef przyjrzał mu się zmrużonymi oczyma.

- Jakiej?

- Nno... do mokrej.

- Co takiego? - szef wyprostował się z godnością. „Mokłą robotę”, jak pan to nazywa, robią bandyci. My nikogo nie mordujemy. Jesteśmy wykonawcami wyroków.

Chyba nieraz już na ten temat było mówione. Nie?

Dandy próbował jeszcze perswadować.

- Ale ja... naprawdę nie mogę...

- Dosyć! - pięść szefa walnęła w blat stołu. - O tym, jak rozdzielać poszczególne zadania pomiędzy członków naszej komórki, decyduję wyłącznie ja. I nie radziłbym na przyszłość mojej kompetencji w tym zakresie kwestionować - w głosie dźwięczała niedwuznaczna groźba.

Dandy odszedł jak zmyty.

Szef zastanawiał się. Wyglądało na to, że podejrzenia Groma w istocie nie są pozbawione podstaw. Ten szczeniak coś za bardzo zaczynał zawijać ogonem.

Zoja aż się przestała szminkować.

- No wiesz - obracała nerwowo w palcach ozdobną oprawkę zagranicznej kredki do warg - jeszcze by tylko tego brakowało do całego bigosu.

- To jeszcze nic pewnego - szef wzruszył ramionami. - Może Grom zresztą przesadził. On do tego skory.

- Może i przesadził - znowu przybliżyła twarz do lustra, podejmując na nowo przerwane przed chwilą manipulacje przy makijażu. - Chociaż po takiej gliście jak

Dandy wszystkiego się można spodziewać.

- Grom go w każdym razie rozgryzie.

- Czy ja wiem? - zastanawiała się. - Mężczyźni nie bardzo się do takich rzeczy nadają. Tylko kobieta potrafi wyciągnąć z młodego szczeniaka wszystko, co chowa w zanadrzu.

Milczał przez chwilę. Uwaga wydała mu się nie pozbawiona słuszności.

- Hm... Napuścić na niego Irenę? Wydeła pogardliwie wargi.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Geś. Poza tym rozpracowuje przecież tego dyrektora. Nie ma sensu jej odrywać. Tamten już, jak mi mówiła, zaczyna kruszeć. Sama się tym zajmę.

Spojrzał na nią podejrzliwie. Niezależnie od wszystkiego Dandy był zupełnie przystojnym chłopakiem. Przede wszystkim zaś o dobre kilkanaście lat od niego młodszym. To też nie było bez znaczenia. Wiedział, że Zoja zdradzała go na prawo i na lewo. Nie biorąc oczywiście pod uwagę tych wypadków, gdy nawiązywała z kimś romans w sprawach zleconych do przeprowadzenia komórce. Tego nie uważał za zdradę. Ale i tak... Pomimo wszystko nie mógł się jednak pozbyć w stosunku do niej uczucia zazdrości.

- Sama? - przeciągnął.

Spojrzała na niego przez pokryte pudrem ramię.

- Cóż w tym widzisz niezwykłego? - zapytała sucho.

- Bo wiesz... żebyś tylko przypadkiem nie nabrała zbytniego rozpędu... - nie spuszczał podejrzliwego wzroku z jej twarzy. Miała obojętny, znudzony, prawie senny wyraz, ale to jeszcze niczego nie dowodziło.

Uniosła brwi.

- Zwariowałeś? Masz mnie za jakąś zdzirę, która by mogła polecieć na taką mokrą szmatę?

Była zresztą w tej chwili zupełnie szczerą. Dandy nie podobał jej się ani trochę.

Lekceważenie, z jakim go traktowała, miało w sobie sporą przymieszkę odrazy. W jej pojęciu godnym uwagi mężczyzną był jedynie taki, który nie cofał się przed niczym.

Nawet szefa uważała za zbyt rozlazłego pod tym względem. Ale osobiste upodobania nie miały znaczenia, gdy idzie o tak ważną sprawę.

Ćmił z ponurą miną papierosa.

- Dobrze - wzruszył w końcu ramionami - zajmij się tym chłopakiem.

Dandy nie skończył jeszcze dwudziestu pięciu lat. W tym wieku zaś rzadko rezygnuje się z walki o swoje istnienie. Chociażby walka ta wyglądała beznadziejnie.

Z wizyty u szefa powrócił zgnębiony do reszty. Więc koniec? Potem odezwał się bunt. Ma iść jak cielę na rzeź? - zaczął się zastanawiać nad sposobami ratunku.

Rozmyślał przez pewien czas o ucieczce. Po zastanowieniu zrezygnował jednak z tej myśli. Odnajdą, gdzie by się nie schował. Szef nieraz wspominał o agenturach rozsianych po prowincji... Zresztą Grom... Ten go wykopie choćby spod ziemi.

Potem myśl, która nieraz już powstawała w głowie, gdy rozpalała się w nim

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

najgłębsza nienawiść do Groma, zaczęła nabierać coraz bardziej określonych konturów. Zresztą właściwie tylko ta jedna droga mu pozostawała. Dalsza praca w komórce groziła nieodwołalną zagładą. Nie miał co do tego złudzeń. Wszystko stawało się już tylko kwestią czasu. Ostatnie posunięcia Groma dowodziły, że przystępuje on do ataku. O zwolnieniu nie było co marzyć. Choćby nawet błagał na kolanach.

Dopóki istniała komórka i Grom, nie było żadnej nadziei ratunku... Ani w jedną stronę, ani w drugą. To samo, co tłuć głową o mur. Ale jeżeli przestaną istnieć?

Nie wiedział oczywiście wszystkiego. Gdyby jednak szepnął, gdzie należy, o tym, co wie? Jasne, że nie obejdzie się na sucho. Za takie historie po głowie nie pogładzą. No więc odsiedzi te parę lat. Za to, gdy wyjdzie, nie będzie już ani Groma,

ani szefa, ani nikogo. A inni niekoniecznie muszą wiedzieć, kto sypnął! Oczywiście, że nie. Poprosi w UB. Oni już będą wiedzieć, jak to urządzić. Nie przyjdzie do nich przecież z pustymi rękoma.

Można będzie potem żyć. Jak to napisała Kama? „Mogę oddychać”?

Właśnie.

Na drugi dzień przyszedł po niego Grom. - Szef cię wzywa.

Dandy zdrętwiał. Już? Liczył na to, że najwcześniej za kilka dni. Usiłował za wszelką cenę nie okazywać strachu, nie wiedział jednak, w jakim stopniu mu się to udawało.

- Nie wiesz, o co chodzi? - nie wytrzymał wreszcie.

- Nie. Pewno szef chce sobie z tobą pogadać o kociakach - roześmiał się zjadliwie.

W czasie drogi Dandy zerknął przez ramię. Może by prysnąć teraz? Nadzieja zgasła w jednej chwili. W odległości paru kroków dojrzał senną twarz Groma. Ale strzelające raz po raz spod na wpół opuszczonych powiek błyski wcale nie były senne.

Na nic - zwilżył językiem wargi. Idzie pod eskortą jak na stracenie. I nagle zrobiło mu się zimno. Stracenie? Kto wie. Może to wcale nie jest tak dalekie od prawdy? Bo jeżeli bezpośrednio z meliny każą iść na wypad?

Gdy naciskał dzwonek w umowny sposób, czuł się tak podle, że chyba nie można gorzej.

Grom czekał na półpiętrze. Gdy zaczęto odsuwać rygle, dosłyszał, że schodzi z powrotem. Co to wszystko miało razem znaczyć?

Drzwi otworzyła Zoja.

- Ach, to pan... - uśmiechnęła się dziwnie słodko. - Szef kazał bardzo

przeprzeć. Musiał jednak wyjść. Proszę zrozumieć... Pilna sprawa, która wypadła niespodziewanie. Wróci dopiero za godzinę. Może nawet za półtorej.

Położył pośpiesznie rękę na klamce.

Półtorej godziny? Może w ciągu tego czasu zdoła ułoić jakiś odpowiedni moment?

- To ja w takim razie przyjdę później...

Ujęła go jednak pod ramię, nie przestając się uśmiechać.

- Nie... nic z tego. Szef prosił, by pan tutaj na niego zaczekał.

Powiedziała: „Prosił”, ale zabrzmiało to jak: „kazał”. Dandy przygryzł wargi.

Więc nic z tego. Może potem, gdy będzie wracać.

- Co będziemy wystawać jak na pokucie - pociągnęła go w głąb mieszkania.

*

Znalazłszy się z powrotem na ulicy Dandy wciągnął głęboko powietrze do płuc.

Jasne, że cała ta historia została ukartowana z góry. Szef, który go wzywa i nagle wychodzi, Zoja, wódka i inne historie.

Zoja wzięła się do niego ostro. I poprawianie podwiązki, i ciągle podkreślanie, że są sami w domu, i diabli wiedzą, co jeszcze. Ślepy by nawet dojrzał, o co chodzi.

Ale on wolał nie widzieć. Nie chciał i już. Wódkę pił tylko wtedy, gdy się już w żaden sposób nie potrafił wykręcić, i patrzył w sufit. Akurat mu w głowie teraz takie rzeczy.

Zresztą ani nawet na sekundę nie wierzył, by Zoja nagle zaczęła na niego lecieć. Albo szef jej kazał wybadać, albo Grom z nią to wszystko ułożył, by potem napuścić szefa.

Konsekwencje obu ewentualności wyglądałyby paskudnie.

Dobrze, że się nie dał wyciągnąć ze skorupy.

Grom czy szef? Machnął ręką. W rezultacie wychodziło na jedno. Zresztą jeżeli nawet polecenie wyszło bezpośrednio od szefa, to pomysł podsunął mu na pewno Grom. Przejrzał go? Banialuki - wargi drgnęły w mimowolnym uśmiechu. - W jaki sposób mógłby przejrzeć?

Po prostu puścił dym, że zamierza zdrefić, a powiedziec taką rzecz szefowi, to jakby mu nadeptać na bolący odcisk.

Strzelił w niego, a trafił w sedno. Cóż... jeszcze jeden alarmowy dzwonek.

Może by machnąć się teraz, od razu, nie czekając? Czekać właściwie nie było na co.

Zza węgła wynurzył się Grom.

- Cóż się tak śmiejesz jak głupi do sera?

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Dandy osowiał. Obstawa na cały regulator. To dowodzi, że sprawa weszła w decydujące stadium.

- I cóż szef? - Grom miał taką minę, jakby o niczym nie wiedział. Dandy jednak nie wierzył. Odstawia niewiniątko, by go wyciągnąć na słówka.

- Nic...kazał mi przyjść jutro.

Grom wciągnął powietrze nosem.

- O! - sprawiał wrażenie zdumionego. - Doiłeś wódkę?

- Poczęstowano mnie - odpowiedział wymijająco.

- A teraz do domu? - Grom rozglądał się, jakby nie wiedząc, co z sobą zrobić.

Dandy ziewnął ostentacyjnie.

- Spać mi się chce jak cholera. A ty?

- Czy ja wiem... Odprowadzę cię chyba. A może nie chcesz?

Dandy dojrzał świdrujące spojrzenie. Odmówić, żeby pałętał się gdzieś za

plecami? Ciekawe, czy obstawia go na polecenie szefa, czy też z własnej ochoty? W rezultacie zresztą niewielka różnica.

I tak źle i tak niedobrze.

Machnął obojętnie ręką.

- Czemu nie... Jeżeli akurat nie masz czego innego na oku...

Grom znowu odprowadził go pod same drzwi.

- Nie masz sznapsa? Moglibyśmy sobie golnąć po jednym.

- Nie mam.

Wreszcie zdołał go jakoś odprawić. Był zresztą pewien, że niedaleko odszedł.

Czai się gdzieś w pobliżu bramy, by sprawdzić, czy nie wyjdzie z powrotem. Licho go wie, jak długo zamierza sterczeć. No, niech sobie sterczy, na zdrowie. Jeżeli to z polecenia szefa, to może przyjdzie go ktoś zmienić.

Podszedł powoli ku oknu i ostrożnie wyjrzał na ciemne podwórze.

Dom był obudowany z trzech stron. Z czwartej zamykał podwórze ceglany mur. Za nim znajdował się dziedziniec sąsiedniego domu, którego brama wychodziła na przeciwległą ulicę. Mur był dość wysoki, nie tak jednak, by nie dało się przeleźć.

Otworzył okno. Kilkanaście metrów, trochę natężenia mięśni i będzie wolny. Grom czy tam kto inny mogą sobie czekać przed bramą do usranej śmierci.

Dopiero im oko zbieleje.

Jeszcze szerzej rozchylił obie połówki okien. Wdychał powietrze pełną piersią.

Nawet nie potrzeba przechodzić przez klatkę schodową. Mieszkanie na parterze to

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

jednak niekiedy całkiem bycza rzecz. Całe przedsięwzięcie nagle wydało mu się dziecinnie łatwe.

Dlaczego by nie zaraz? Ciemno, łatwiej przemknąć się, szczególnie jeżeli wybierać słabiej oświetlone ulice. Wpatrzył się w niewyraźne pasmo muru. Powoli zaczęły go ogarniać wątpliwości. To wcale nie takie proste. Bramy pozamykane. Noc. Nie znał tamtego dozorca. Na pewno dokładnie zagląda w zęby każdemu, kto wychodzi po zamknięciu bramy. Gotów zacząć dopytywać się. A jeśli by tak wziął go za pajęczarza? Rany! Nie chodzi już o milicję. To może by i nie było wcale takie złe... Ale odgłosy awantury mogłyby zwabić Groma. Dalszy ciąg jasny: złapanie gdzieś po drodze kulki więcej niż murowane. Nawet jeśli zdołałby jakoś zbajerować dozorcę, mogli nie wpuścić do bezpieczki. Bo to pozwolą tam nocować każdemu, komu akurat przyjdzie ochota?

Położył się. Ostatecznie jeszcze tych parę godzin... A może Grom odejdzie.

Niedobrze by było, żeby przez pośpiech wszystko zbańczył. Do świtu jednak nie zmrużył oka.

- I nic? - zapytał szef.

- Absolutnie. Choćby pary z ust. Jak niemy głąz. Wódkę, owszem, łykał. Ale żeby coś powiedzieć...

- To rzeczywiście podejrzane - pokiwał z zastanowieniem głową. - Jeżeli nawet tobie nie udało się nic z niego wyciągnąć...

- On w sobie coś dusi.

- Hm... - miętosił podbródek. - Diabli wiedzą. Żeby jakiś dowód... Ale tak...

- Odpowiednia obstawa...

- Obstawa! - sarknął ze złością. - Wspaniała organizacja, w której jedni

obstawiają drugich. U góry też nie siedzą niewiniątka, które nic nie wiedzą - zajrzał jej przy tym nagle w oczy. Wytrzymała atak, zdążył jednak dostrzec cień zaskoczenia i

jakby niepewności w jej źrenicach.

- Więc - sięgnęła powolnym ruchem po papierośnicę - machnąć na całą historię ręką?

- O tym nie może być mowy.

- Jakie w takim razie widzisz wyjście? Zamyślił się.

- Najprościej byłoby zlikwidować gościa.

- Tak - potwierdziła chłodno, zapalając papierosa - rzeczywiście najprościej.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Obserwowała z sennym zaciekawieniem, jak kółka dymu rozpływają się powoli w górze.

- Ale nie mając właściwie żadnych dowodów w garści - przeszedł się po pokoju - lichy wie. Może po prostu tylko strach go obleciał.

- Może - wyciągnęła wygodnie nogi. - Z tchórzami to zawsze tak... Niekiedy wydają się bardziej podejrzani, niż są w istocie - zdołała już przetrwać w sobie rozdrażnienie z powodu porażki i teraz wspomnienie całej tamtej sceny wywołało w niej raczej obrzydzenie niż wściekłość.

- Mam! - zatrzymał się nagle przed nią. - Sprowadzimy go tutaj.

- Tu? - popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Tak. Będziemy go mieli cały czas na oku, bez potrzeby zatrudniania ludzi.

- I tak w... nieskończoność? - nie była zachwycona projektem.

Roześmiał się sucho.

- Po cóż tak długo? Wystarczy przetrzymać do pierwszej operacji, w której każe mu wziąć bezpośredni udział. Wtedy wszystko będzie jasne. Albo puści farbę, albo nie przyjdzie mu już do głowy oglądać się, gdzie nie potrzeba.

Ziewnęła, przesłaniając usta leniwym ruchem ręki.

- Cóż, skoro nie ma nic lepszego...

Grom długo dobijał się do drzwi, zanim zrozumiał, że mu ich nie otworzą. Co się stało z Dandym? Wszedł do domu i nie wychodził przecie. Czyżby wywiał na tamten świat? Może szef mu wczoraj nagadał coś takiego, że nie widział innego wyjścia.

Wzruszył ramionami. To wcale nie byłoby najgorsze. Ale czy taki tchórz by potrafił... Należało jednak sprawdzić. I ewentualnie pousuwać wszystko, co nie powinno trafić do obcych rąk.

Klucz tkwił w zamku, ale to nie było poważną przeszkodą. Małe, delikatne szczypczyki objęły jego koniec przekręcając gładko. Żadna sztuka. Nawet nie cuhaltowy. Dziecko otworzyłoby gwoździem.

Cicho szcęknęła sprężyna. Rygielek odskoczył. Drzwi stanęły otworem.

Zatrzymał się zdumiony na progu. Gdzie się podziała ta cholera? W pokoju go nie było. A skryć się nie miał gdzie. Żadnych przyległości. Nawet szafy łamaga nie miał.

Poskrobał się za uchem. Skoro zamknął drzwi od wewnątrz? Phy...

Nagle podskoczył ku oknu i pchnął w ramę. Otworzyło się bez oporu. Było

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

tylko przymknięte. Krew mu uderzyła do głowy. Tędy cię wiedli? Takiego sztosu nie przewidywał. Żeby taka ślamazarna gnida... Rozmyślał gorączkowo. Mogło być źle.

Jeżeli bryknął wczoraj, szkoda mrugać: wszystko diabli wzięli. Ale jeżeli dziś! Bramy otworzono dopiero niedawno.

Jednym susem znalazł się na podwórku. Tędy przez mur.

Jasne. Skok na śmietnik i po tamtej stronie.

Dozorca akurat zamiatał bramę. Wytrzeszczył oczy. Ten znów skąd się tu wzięł?

Grom z pewną miną mignął mu przed oczyma ramką tramwajową, w której tkwił kawałek czerwonego kartonu, upstrzony pieczęciami odbitymi za pomocą bilonu. Niekiedy się udawało. Jeżeli nie, to zawsze można dać w zęby, aż się nogami nakryje.

Urząd Bezpieczeństwa - oznajmił konfidencjonalnym szeptem. Udało się i tym razem.

Cieciowi ani na myśl nie przyszło przyglądać się legitymacji.

- O co chodzi, obywatelu śledczy? - zapytał tonem pełnym gotowości.

- Czy znacie niejakiego obywatela Zenona Bańczaka? - wymienił nazwisko, które w prywatnym życiu nosił Dandy.

- Bańczaka? - zastanowił się, skrobiąc za uchem. - Nie. O takim nie słyszałem.

- Uhum - chrząknięcie Groma wypadło jak najbardziej urzędowo. - A o której dziś otworzyliście bramę?

- Będzie nie więcej niż dziesięć minut temu - odpowiedział po krótkim namyśle.

- A od tego czasu byliście stale tutaj?

- No nie. Postąłem ze dwie minuty, a potem poszedłem do komórki po sprzęt.

- Dziękuję.

Grom, dopóki dozorca mógł go widzieć, szedł powoli. Potem puścił się pędem w kierunku najbliższego telefonu. Siedem do dziewięciu minut? Bagatela.

- Nasz przyjaciel wyjechał - oznajmił krótko.

W słuchawce zatrzeszczało chrząknięcie, potem chropowaty głos zapytał:

- Przypuszcza pan, że do cici Klary? („Ciocią Klarą” nazywali Urząd

Bezpieczeństwa).

- Tak.

Przez chwilę panowała cisza. Groma zaczęło roznosić. Też znalazł czas na rozmyślania. Głos znowu się odezwał.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Trzeba, żeby pan spotkał się z nim koniecznie przed jej domem. I powiedział o likwidacji sklepu. Jest tu akurat Czarnuszewski. Doniesie potrzebne papiery. Aha... jeszcze jedno. Ubezpieczenia od ognia nie należy płacić.

Podsluchanie rozmowy niczym nie groziło. Treść zaś brzmiała dla Groma jasno, mają oczekiwać na Dandego po obu wylotach ulicy, na której stał gmach Urzędu Bezpieczeństwa. Zlikwidować go bez użycia broni palnej.

Spojrzał na zegarek. Jedenaście minut. Urząd Bezpieczeństwa leżał w odległej dzielnicy. Jeżeli więc Dandy nie wpadł na myśl, żeby jechać taksówką, powinni zdążyć.

Podniesieniem ręki zatrzymał przejeżdżający samochód.

- Nie żałuj pan gazu. Ważna sprawa. Skikniemy w pięć minut - podwójna taksa w garść. Idzie?

Kierowca zwolnił pedał.

- Da się zrobić, ale jeszcze dwudziestak. Opony się zdzierają.

- Dobra.

Samochód ruszył ostrym zrywem.

Dandy po sforsowaniu muru przebiegł przez obce podwórko i przylgnął za węglem. Dozorca akurat otwierał bramę. Dandy zżymał się z niecierpliwości. Co się ta cholera tak guzdrze?

A zresztą... Grom nigdy nie przychodził przed dziewiątą. Kupa czasu. Dopiero

wytrzeszczy gały. Ale chyba do dziewiątej tamci wszystko zdążą załatwić? No, jeszcze by też.

Dozorca zniknął w jakichś drzwiach.

Teraz!

Dandy w mgnieniu oka prześliznął się przez bramę. Ale dopiero po przejściu kilkudziesięciu kroków odetchnął pełną piersią. Do tej chwili wciąż obawiał się, że albo dozorca go zahaczy, albo Gromowi coś wpadnie do głowy. Teraz wszystko wychodziło na medal.

O taksówce nie pomyślał. Przez chwilę natomiast zastanawiał się nad tramwajem. Nie, lepiej nie. W razie czego najłatwiej prysnąć wędrując na własnych nogach.

I tak przyjdzie grubo za wcześnie. O której oni tam właściwie zaczynają urzędować? Przyjdzie pewno poczekać. Ani mowy, by od razu trafił do tego, co trzeba.

Nie będzie się wywnętrzał przed pierwszym lepszym. Taki gotów jeszcze coś

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)
naknocić. A ważniejsi chyba nie przychodzą o świcie. Jasne, że nie...

Żeby tylko pozwolili zostać wewnątrz gmachu. Bo na ulicy... Cholera wie, co mogłoby się zdarzyć na ulicy, nawet i przed samym wartownikiem. Kulki latają daleko...

No, wlezie i nie da się wyrzucić za żadne skarby. Powie, że są tacy, co tylko czekają, żeby go poddydolić. Chyba rozumieją.

Szybko skręcił w pierwszą napotkaną przecnicę. Po przejściu kilkudziesięciu metrów w drugą. Kluczył nie z tego powodu, by się obawiał, że ktoś go śledzi, ale tak, na wszelki wypadek. Zawsze bezpieczniej.

Wędrował długo. Do tamtej dzielnicy kawał drogi. Początkowo unikał ludnych ulic. Potem doszedł do wniosku, że właśnie na nich powinno chyba być najbezpieczniej. Wreszcie dojrzał narożny dom o charakterystycznym kształcie okien. To było już całkiem blisko. Bo właśnie na tej ulicy... Mimo woli przyśpieszył kroku. Nagle stanął jak wryty. W pierwszej chwili nie wierzył własnym oczom. Potem musiał uwierzyć. Nogi pod nim rozmiękły. Wzdłuż krzyża przebiegł zimny, obezwładniający dreszcz.

Naprzeciwko szedł Grom. Twarz jego zastygła w złowieszczym uśmiechu.

Prawa ręka w kieszeni. Podeszedł tuż.

- I dokąd to właściwie szanowny pan się wybiera?

Nie odpowiedział. Nie był w stanie wydusić z zaciśniętego skurczem przerażenia gardła żadnego dźwięku. Skąd on się tu wziął? Skąd mógł się tu wziąć?

Myśl gorączkowo szukała ratunku. Rzucił dokoła paniczne spojrzenia.

Przechodniów było niewielu. A przecież byli. Czyżby Grom zaryzykował coś w obecności ludzi?

Może nie zaryzykuje... Jeszcze tylko kilkanaście kroków. Czwarty dom od rogu - Bezpieka. Przed wejściem - wartownik. Wystarczyłoby krzyknąć. Ale to już było niemożliwe. Bo tuż obok stał Grom z ręką zasuniętą w kieszeni, a z oczu jego wyzierała śmierć.

- I dokąd to szanowny pan się wybiera? - powtórzył pytanie. Uśmiech jego stał się po prostu straszny. Spomiędzy wykrzywionych w grymasie warg błysnęły żółte zęby. I właśnie widok tych wyszczerzonych, jakby do kłosa, sprawił, że Dandy przypomniał sobie o tkwiącym w kieszeni sprężynowym nożu. Jeden niewielki ruch ręki i...

Nie zdążył jednak wykonać tego ruchu. Wszystko, co stało się w następnej

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

minucie, miało tak błyskawiczny przebieg, że nie zdążył właściwie uczynić nic.

Grom nagle podniósł rękę.

- Czego się bijesz, łobuzie?! - wrzasnął przenikliwym głosem.

Przechodzący w pobliżu ludzie rozprysnęli się w popłochu. Grom udał, że się zasłania przed ciosem, którego nie było. Potem uderzył sam. Ale pięść jego nie była pusta.

Ostra jak brzytwa klinga przecięła ubranie i ciało, zagłębiając się coraz bardziej.

To był silny cios.

- Aaaa... - zduszony dźwięk ni to jęku, ni to sieknięcia. Dandy osunął się bezwładnie na chodnik.

Grom odskoczył. Przemknął za jakiś nieczynny jeszcze kiosk. Otarł ręce chustką, którą następnie wcisnął w szparę podmurówki. Poprawił przekrzywiony kapelusz. Jeszcze raz popatrzył na ręce. W porządku. Ani kropelki krwi. Potem wpadł do zatłoczonej bramy.

- Tam się mordują! - wymamrotał z przerażeniem. Korpulentna jejmość zasłoniła twarz rękoma. Barczysty mężczyzna pobladł.

- Trzeba by wreszcie zrobić porządek z tymi chuliganami - oświadczył mocno.

Nie wyszedł jednak na ulicę. Cofnął się jeszcze bardziej w głąb bramy.

Na chodniku zaroilo się. Ostro zaterkotały milicyjne gwizdki. Ktoś krzyczał roztrzęsionym głosem:

- Gdzie tu telefon? Trzeba sprowadzić pogotowie!

Jakiś mężczyzna rozpychał gęstniejący coraz bardziej tłum.

- Proszę mnie przepuścić. Jestem lekarzem.

Obok skurczonej w nienaturalnej pozycji postaci z każdą chwilą szerzej rozlewała się po asfaltowych płytach ciemna, lśniąca plama.

Grom prześliznął się w kierunku podwórza.

- Przepraszam państwa, ale ja tu mieszkam.

Wszedł na jakąś klatkę schodową. Zdjął miękki kapelusz i wsunął go do kieszeni płaszcza. Jednym ruchem ręki nastroszył poprzednio gładko ulizane włosy. Bo może go jednak ktoś zdążył zauważyć?

Dandy otworzył oczy jeszcze w karetce pogotowia.

- Kogoś z ube... kogoś z ube...

Lekarz wymienił z sanitariuszką porozumiewawcze spojrzenie. Stan rannego

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

był bardzo ciężki. Pewnie agonia.

- Proszę się nie denerwować - nachylił się nad nim - na wszystko przyjdzie czas...

Dandy zamknął oczy.

Ale w szpitalu znowu odzyskał przytomność.

- Ube... prędko... ważna sprawa... pilna... Ube... - powtarzał to z taką natarczywością, że dyżurny lekarz w końcu usłuchał. Może i rzeczywiście coś ważnego?

Nakręcił numer, powtarzając prośbę pacjenta.

- Tylko proszę prędko. Jak najprędzej, jeżeli go chcecie jeszcze zastać przy życiu.

Liczył trwanie tego życia już tylko na minuty. Ostrze noża sięgnęło głęboko.

Tu już nie było żadnego ratunku.

Pułkownik Kociuba postanowił pojechać do szpitala osobiście.

Samochód mknął z jaskrawo nieprzepisową szybkością.

Drogę do szpitala przebyli w rekordowym czasie. Zdążył jednak wypalić aż dwa papierosy. Wydawało mu się, że koła ledwo się obracają.

Myśl nie przestawała pracować. Zasztyletowanie niemal o świcie człowieka na sąsiedniej ulicy? Z jego wezwania wynikałoby, że szedł właśnie do urzędu, by coś zameldować.

Może akurat w związku ze sprawą Lebiody? Głupstwo - zachnął się. - Skąd by akurat? To zawsze tak, gdy człowiek ma myśl zaprzętą jednym.

Dyżurny lekarz wybiegł natychmiast do hallu.

- Żyje jeszcze? - zapytał z niepokojem Kociuba.

- Tak... Ale... Musimy prędko. Niemal biegli po schodach.

Kociuba spojrzał badawczo na ziemistą twarz, odcinającą się od białego tła poduszki. Nie, nie znał tego człowieka. Nie widział go nigdy w życiu.

- Wzywaliście mnie? - nachylił się nisko nad łóżkiem. - Słucham. Co macie do powiedzenia?

Powieki zadrgały i uniosły się ciężko.

- Ube? - to zabrzmiało jak westchnienie.

- Tak. - Kociuba pochylił się jeszcze niżej. Dźwięki wypływające z sinawych warg były ledwo możliwe do dosłyszenia.

- Ten, co mnie... Grom... Oni... Komórka ter... terrorystyczna... i...

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Doktor, który nie wypuszczał napięstka rannego, dotknął ramienia Kociuby.

- Przepraszam na chwilę.

Zapachniało eterem. Igła zagłębiła się w zwiotczalą skórę.

Pułkownik znowu się nachylił.

Przez długą chwilę ciszę, jaka zapadła w separacie, mącił tylko ledwo uchwytne szmer zamierającego oddechu. Wydawało się, że już nie usłyszą żadnego słowa.

Nagle wargi umierającego drgnęły.

Kociuba niemal dotykał ich uchem.

- Gdzie można ich znaleźć? - zapytał nagłoco.

- Oni już... wiedzą... Prędko... Czarny i inni. Pierwsze piętro... uli...ca... ulica...

- chrapliwe westchnienie, potem wszystko ucichło.

Kociuba spojrzał bezradnie na lekarza.

- Zastryk?

Lekarz przesuwiał palce szukając pulsu. Po chwili odłożył strzykawkę.

- Tu już nic nie pomoże. Kociuba pobladł.

- Jak to... przecież miał powiedzieć... - z tym trudno było się pogodzić.

- On już nic nie powie. Nigdy...

Kociuba opuszczał szpital wściekły. Być tak blisko najcenniejszej informacji i odejść z kwitkiem... To był mocny cios.

Od razu było widać, że typ musiał przyjechać z jakiejś zapadłej wsi. Po ulicy poruszał się niepewnie i jakby ze strachem. A przecież ruchu tu nie było prawie żadnego.

Obejrzał go jeden z patrolujących wywiadowców. Potem drugi. Nie zauważyli niczego podejrzanego. Wiadomo, że z miastem trzeba się dopiero oswoić, jak kto

niezwyczajny.

Zaglądał do bram, wpatrywał się w okna, oglądał wywieszki.

- Szuka pan czegoś? - zagadnął go wreszcie któryś z funkcjonariuszy na wszelki wypadek.

Ucieszył się, że ktoś do niego przemówił.

- Ooj, szukam, panie, szukam. Chrześniak mój tu gdzieś mieszka. Sęczek się nazywa. Walenty Sęczek. Może pan słyszał?

- A pod którym numerem? Podrapał się, zafrasowany, za uchem.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- W tym właśnie, panie złociutki, cała bieda, że ten przekłety numer wywietrzył mi z głowy, zresztą prawdę powiedziawszy, to ja z czytaniem nie bardzo tego - był wyraźnie zmieszany.

- Trudno go będzie znaleźć, skoro tak.

- Ano, że trudno, to prawda. Myślałem, że pójdę i trafię z pamięci, a tu coś nie wychodzi.

- Może się pan dowie w Biurze Ewidencji.

- W biurze? - niemal się przestraszył. - Ja, panie, człowiek wsiowy i po żadnych urzędach włączyć się nie ochota. Żeby tylko bramę poznać, a i schody, to już dalej trafię.

Wywiadowca ruszył dalej. Śmieszny typ.

„Śmieszny typ” zaś szukał dalej, powoli, systematycznie, nie przepuścił żadnej bramie, nie pominął żadnego okna, nie przeoczył żadnej wywieszki.

Minęła godzina, minęły dwie, wreszcie przyszło południe, a on wciąż nie mógł znaleźć swego chrześniaka.

Tym razem Kostrzewa wziął na kiel. Mogło być na Sapieżyńskiej, mogło być na Pabianickiej, bo i tak dało się od biedy odczytać, mogło być wreszcie na terenie całej Warszawy. Ale zbyt wiele nici zbiegało się właśnie tu: Fabryczna, Semaforowa i najbliższe sąsiedztwo. I Wypiór, i kartka, i Sierakowski. I wreszcie ten samochód, który wyskoczył z Semaforowej. Wiącek również był tego zdania: „Na mój nos, piesek zagrzebany gdzieś pod ręką”. Teraz bobrował po Handlowej i Lubelskiej. Na pewno nie przeoczy niczego, co będzie warte zauważenia. A dublowanie tej samej roboty nie miało najmniejszego sensu. Firma? Oczy Kostrzewy bez pośpiechu obmacywały tablice i szyldziki. Była ich cała masa. Państwowe, spółdzielcze, prywatne. Żaden jednak nie odznaczał się niczym specjalnym. Żaden nie rzucał się w oczy. A przecież tylko taki mógłby wchodzić w rachubę.

„Fir” - to zresztą niekoniecznie musiało oznaczać firmę. A gdyby chodziło o firankę? Tablica firmowa miałaby związek z bramą czy ścianą domu - firanka bezpośrednio z oknem. Przypomniał sobie układ słów na kartce. I jedno pasowałoby, i drugie.

Firma, firanka. Nie szkodzi; trzeba zwracać uwagę na jedno i drugie. Jakiś niezwykle wzór, barwa czy sposób zawieszenia... to nie było nierealne.

Szedł małymi kroczkami, przystawał, zawracał, drapał się w kark.

Nie było wazonu, nie było zwracającej uwagę wywieszki, nie było żadnej

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

nadzwyczajnej firanki. Nie było nic, o co by się dało zaczepić. Trudno. Tym razem będzie łąził choćby do nocy. Powróci jutro i pojutrze. Będzie powracał dotąd, dopóki nie znajdzie albo nie trafi na jakiś nowy trop. Sprawa nie może dalej tkwić w miejscu.

Po chodnikach snuli się nieliczni przechodnie. Ten i ów przesuwał wzrokiem

po gapowatej twarzy wieśniaka. On nie przyglądał się nikomu. Szukał przecież tylko domu, w którym mieszkał chrześniak. Reszta go nie obchodziła.

A przecież nie było twarzy, której by nie poznał choćby i po upływie tygodnia.

Nie było ruchu, którego by dokładnie nie przeanalizował. Bo melina, to znaczyło: ludzie. Nie wierzył, by komunikowali się z nią wyłącznie pod osłoną ciemności.

Ten nie odróżniał się niczym od innych. Przechodzień - to wszystko. W jego zachowaniu nie było nic podejrzanego ani zastanawiającego. Bardzo wielu ludzi chodzi właśnie w ten sposób. I żeby nie to, że w pewnym momencie zerknął w kierunku jednego z okien pierwszego piętra, Kostrzewa przestałby się nim zajmować. Ale na tym punkcie był specjalnie wrażliwy. Które to okno?

I nagle serce podskoczyło do gardła. Przecież, do jasnej cholery - wazon! A tuż za nim niezwykle gęsta firanka!

Jakże mogli przeoczyć ten wazon? Nie, nie było go. Sam niedawno patrzył w okna tego domu. Wazon, który pojawia się nagle, i człowiek, który na jego widok idzie dalej... Rozwiązanie nasuwało się samo przez się.

Z trudem opanowywał podniecenie. Zbieg okoliczności wciąż jeszcze był możliwy.

Człowiek i okno z wazonem. Dwa sektory. Rozejrzał się. Oczywiście! Teraz żadnego wywiadowcy nie było w pobliżu. To zawsze tak.

Musiał wybierać. Tak jak wtedy Sierakowski? - nasunęło się skojarzenie. Nie wahał się długo. Melina, oczywiście.

Trzecie okno od narożnika. Obraz występował coraz pełniejszymi konturami.

Patrolujący dzielnicę wywiadowcy usprawiedliwiali w zupełności sygnał. Był przekonany, że jego osoba nie wchodziła tu w grę.

Szedł po schodach powolnym zmęczonym krokiem. Opanowanie kosztowało go wiele wysiłku. Tak jednak było bezpieczniej.

Na drzwiach kartka: „Do technika dentystycznego dzwonić dwa razy”.

Zadzwoił. Musiał tu być jakiś technik, który czasami przyjmował pacjentów.

Tak zresztą niemal zawsze praktykuje się w tego rodzaju wypadkach. Pokój czy dwa, do których może wejść każdy, a dopiero w głębi mieszkania prawdziwa melina.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Nie otwierano, chociaż szmery po tamtej stronie wskazywały, że dzwonek musiano usłyszeć.

Nacisnął jeszcze raz guzik dzwonka.

Wreszcie zazgrzytała metalowa przesłonka judasza.

- Kto tam?

- Proszę otworzyć.

- Do kogo?

- Ja właśnie tutaj... - przybrał jękliwy ton. - Chciałem się dowiedzieć...

Umyślnie nie wspominał o techniku. Odprawiają przez drzwi i sprawa załatwiona. Pragnął zaś za wszelką cenę dostać się do wnętrza.

Przez jakiś czas obmacywało go badawcze spojrzenie.

W końcu zazgrzytały rygle.

Drzwi uchyliły się. Wetknął nogę i wpakował się na siłę. Ale uczynił to z tak rażącą niezdarnością, że trudno by go podejrzewać o jakieś groźne zamiary.

- Czego się pan pcha? - ręka mężczyzny stojącego w przedpokoju tkwiła w kieszeni.

- Święci pańscy, co to za ludzie - stęknął. - Naszukałem się was, że nóg nie

czuję, a tu jeszcze trzymają za drzwiami. Ja względem pana doktora od zębów.

Gdzieś w głębi mieszkania wrzała gorączkowa krzątanina. Musiało tam być sporo ludzi. Z tym, którego miał przed sobą, dałby sobie radę. Ale tamci? Jakakolwiek doraźna akcja nie miałyby najmniejszych szans powodzenia.

- Nie ma go.

Kostrzewa zbolałym ruchem pogłaskał szczękę.

- No to jak będzie? - zapytał bezradnie. - Świdruje, że i życie zbrzydło. Trzeba jakichś tam kurony...

- Co wam poradzę? Pojechał na urlop.

- Znaczy się, nieprędko będzie?

- Za... dwa tygodnie... - mężczyzna był wyraźnie zniecierpliwiony.

- A na tabliczce to nic nie napisaliście - pokiwał głową z wyrzutem - ino się człowiek tyrpa po tych waszych schodach daremnie.

Zawrócił ociężale. Długo trwał zgrzyt zasuwanych z powrotem rygli. Forteca.

Powstrzymywał się całym wysiłkiem woli, żeby nie zbiec teraz ze schodów na łeb, na szyję. Szedł powoli, ciężko stawiając nogę na każdym stopniu. Mogli nadśłuchiwać przez drzwi. Teraz już był pewny. Wiele ludzi ma zwyczaj trzymania rąk w

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

kieszeniach. Ale ta kieszon odstawiała w sposób nie pozostawiający miejsca na żadne wątpliwości.

Obstawa z pistoletem w garści. Czegóż potrzeba więcej?

Zatrzymał się przed drzwiami parterowego mieszkania. Znowu tabliczka.

„Doktor... Przyjmuje od... do...” Teraz go więc nie było w mieszkaniu. Tym lepiej, że tak. Chyba powinien mieć telefon.

Zadzwoił i natychmiast zaczął łomotać do drzwi.

- Macie telefon? Prędko, wypadek uliczny - głos zdyszany, jakby dopiero co wpadł do sieni. Nie pozostało w nim ani cienia poprzedniej ślamazarności.

Kobieta w fartuchu wpuściła go do mieszkania.

- Skoro wypadek...

Stała jednak w pobliżu, obserwując go spod oka. Był zresztą na to z góry przygotowany. Nakręcił bezpośredni numer Kociuby.

- Pogotowie ratunkowe? Chwila milczenia.

- Tak, poznaję was. W porządku. O co chodzi?

- Telefonuję z Fabrycznej, numer siedemnaście. Ciężki wypadek uliczny. Dużo ofiar. Konieczne kilka karettek.

- Rozumiem. Melina?

- Tak. Niech karetki zajadą jak najprędzej - odwiesił słuchawkę.

Kobieta aż poblądła z wrażenia. Przytrzymała go za rękaw, gdy już wychodził.

- Tyle ofiar? Ojej... Chyba autobus?

- Autobus - potwierdził machinalnie.

- Gdzie? - nie dawała mu wyjść.

- Na Lubelskiej. Przepraszam, muszę tam bieć. Nie wiedzą, czy pogotowie zostało wezwane.

Już będąc na schodach usłyszał westchnienie żalu.

- Żeby nie to, że zupa może wylecieć...

Zupa? - rozglądał się, badając sytuację - dobrze, że trzymała ją na uwięzi.

Inaczej mogłyby wyniknąć diabli wiedzą jakie komplikacje. Drzwi zatrzasnęły się.

Wyjrzał na ulicę. Znowu żadnego wywiadowcy. Wzruszył ze złością ramionami.

Prawo serii...

Cofnął się ku wyjściu prowadzącemu na podwórze. Kuchenne schody? Aha, tu... Musi mieć oba wyjścia pod kontrolą. Znalazł wreszcie odpowiednie miejsce obserwacji pod listą lokatorów. W razie czego może udawać, że szuka kogoś na tym

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)
spisie.

Ręka zagłębiła się w kieszeni. Należało być gotowym na wszelkie ewentualności

Nie upłynęło nawet dziesięć minut, gdy z bramy urzędu wyjechało kilka naładowanych ludźmi samochodów. Kierowcy wyciskali największą szybkość z motorów.

Kociuba objął osobiście kierownictwo akcją.

Zaciskał wargi, powstrzymując słowa ponaglenia. „Prędzej! Prędzej!” wołało w nim wszystko. Milczał jednak, zdając sobie sprawę, że prędzej już nie można.

Nagle drgnął. Ostry dźwięk syreny zaświdrował w uszach. Właśnie dojeżdżali do wylotu Fabrycznej... Długie, czerwone wozy przemknęły obok, pędząc w głąb ulicy.

Straż ogniowa? Jeżeli właśnie tam... Na Fabrycznej nie było zbyt wielu zamieszkałych domów.

Obawy go nie myliły. Samochody straży pożarnej zahamowały głośno przed blokiem dwóch kamienic, sterczących samotnie pośród rozległego pola ruin. Jeden z domów był oznaczony numerem siedemnastym.

Z okien drugiego piętra buchały czarne kłęby dymu.

Za późno... Okazali się szybsi. Ogień to radykalny środek dla usunięcia

wszelkiego rodzaju śladów.

Kociuba klął już na cały głos.

Z sieni wyskoczył Kostrzewa. Twarz miał stężałą w nieruchomą maskę.

- Ubiegli nas - chwycił gwałtownie powietrze ustami - widocznie jakieś trzecie wyjście. Próbowałem wyważyć drzwi - wskazał na poszarpany rękaw marynarki - gdzie tam.

Po schodach pędzili strażacy. Pobiegli tuż za nimi. Poszły w ruch topory.

Drzwi długo nie ustępowały, w końcu jednak runęły z trzaskiem.

Na klatkę schodową buchnął gwałtowny pęd płomienia. Dym tamował oddech.

Oficer straży pożarnej złapał Kostrzewę za ramię.

- Nie można.

Nie pomogło okazanie legitymacji.

- W tej chwili nie mogę do tego dopuścić - powiedział stanowczo.

- Na własną odpowiedzialność - próbował jeszcze Kostrzewa.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Tamten nie ustępował zasłaniając sobą drzwi.

- Ja ponoszę tu teraz za wszystko odpowiedzialność. Bez ochronnego ubrania i kasku tam pewna śmierć.

Kociuba ujął Kostrzewę delikatnie pod ramię.

- Dajcie spokój. Kostrzewa zakasłał gwałtownie.

Dał się wyprowadzić bez oporu przed dom.

Kociuba polecił obstawić ulice, na które wychodziły ciągnące się poza podwórze ruiny.

- To także niewiele da - westchnął, gdy ostatni odszedł na wyznaczone

stanowisko.

Kostrzewa złamał w palcach papierosa i rzucił go do rynsztoka.

- Zobaczymy jeszcze - powiedział przez zęby. Klęska poniesiona tuż przed metą przygnębia najdotkliwiej.

Zapalił papierosa. Oblepione czadem podniebienie nie wyczuwało smaku.

Powoli brał się w garść.

- Światło, które zgasło w płomieniu - wzruszył ostro ramionami. - Cholerny paradoks.

Walka z szalejącym żywiołem trwała przeszło dwie godziny. Silne strumienie wody, skierowane ze wszystkich stron w płomień, nie odnosiły skutku.

- Co, do diabła! - wściekał się Kociuba. - W ten sposób spłonie wszystko do fundamentów.

Oficer straży pożarnej kierujący akcją potrząsał głową.

- Benzyna... Albo jakaś benzynowa mieszanka. Z tym nie tak łatwo.

Wydał polecenie. Wprowadzono do akcji piasek i środki chemiczne. Kociuba ochłonął.

- Skoro mamy czas... - zrezygnowanym ruchem przysiadł na stopniu samochodu, wskazując Kostrzewie miejsce obok siebie.

Kostrzewa roześmiał się z głęboką goryczą.

- Tak się składa, że zawsze mamy go za dużo w najmniej właściwych momentach - usiadł. - Jakies nowiny?

- Tak... - powiedział o zasztyletowanym mężczyźnie. - Gdyby żył jeszcze choć o parę sekund dłużej, bylibyśmy górą.

- Niekoniecznie. Oni wiedzieli jeszcze wcześniej, że tamten żył, gdy go

zabierało pogotowie. Zawsze zdążyliby urządzić swój fajerwerk.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

„Ale - zamyślił się - jeżeli zdołamy zidentyfikować zamordowanego... To mogłoby dać pewien ślad. Tym razem chodzi niewątpliwie o członka bandy. Wynajęty doraźnie Lnik nie może tyle wiedzieć, żeby go aż mieli mordować biały dzień na ludnej ulicy.”

Znowu powrócili na klatkę schodową. Pomimo wszystko w jakimś ogniotrwałym schowku mogło pozostać coś ciekawego.

Oficer straży przyjrzał się krytycznie dogasającemu pogorzeliisku.

Jeżeli rzeczywiście to aż tak pilne... Ale trzeba dobrze uważać. O wypadek nietrudno.

Wnętrze wypalonego mieszkania sprawiało wrażenie jakiejś czeluści zionącej żarem i dymem. Weszli, wstrzymując oddech.

Żar parzył nawet podeszwy. Po zwęglonych resztkach podłogi, belek i framug pełgało krwiste zarzewie. Strażacy w azbestowych ubraniach walczyli z wciąż jeszcze wybuchającymi językami płomieni. Zerwane klepki odsłaniały szerniałe wiązania stropów. Nietrudno było wpaść do którejś z takich pułapek. Same stropy były tak przepalone, że miejscami groziły runięciem.

Ogień musiał być wyjątkowo gwałtowny.

Na zewnątrz stał blask pełnego dnia. Tu było niemal zupełnie ciemno. Latarki elektryczne niewiele pomagały.

Nie było czym oddychać. Do płuc zamiast powietrza wdzierał się ostry swąd czadu. Oczy piekły jak w gorączce. Spod obolałych powiek spływały ciurkiem łzy.

Ciałem wstrząsały gwałtowne ataki kaszlu.

Kociuba coś mrucał gniewnie. Kostrzewa klął na czym świat stoi.

Safesy? - strażak pokiwał głową. - Owszem było coś, co przypominało bomby zapalające, wmontowane w ściany. Tędy - kierował ich ruchami, dotykając łokci. - I uwaga. O guza nietrudno. Jeżeli przyda się wam to na cokolwiek... - przysunął reflektor latarki do ściany.

Nie widzieli jednak. Skłębiony, żrący dym był tak gęsty jak sadza. Połączone światło wszystkich trzech latarek nie pozwalało dojrzeć tylnej ścianki prostokątnego wgłębienia ziejącego w murze na wysokości około dwóch metrów. Z wnętrza buchał żar jak z pieca. W niektórych miejscach stalowa obudowa jarzyła się czerwienią.

- Oni to musieli podpalić oddzielnie - zauważył strażak. - Ta sama kombinacja benzynowa.

Kostrzewa powąchał powietrze. Woń była tak charakterystyczna, że nie

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

pozostawiała miejsca na jakiegokolwiek wątpliwości.

- Zauważyliście jeszcze coś w tym rodzaju?

- Owszem.

Poprowadził ich dalej. To już była niemal cała kasa pancerna. Również wmurowana w ścianę. I tak samo wypalona.

- Planowo - skostatował z ponurą złością Kostrzewa. Nie było żadnej paniki.

Kuchenne drzwi zabezpieczała skomplikowana kombinacja zasuw.

- Wykluczone, by tędy opuścili mieszkanie.

- Są i trzecie - objaśnił oficer straży. - Ale - podszedł do ściany jednego z

pokojów - musiały być zasłonięte kilimem czy czymś w tym rodzaju - dotknął końcem buta zwęglonych szmat.

Kostrzewa uzmysłowił sobie rozkład mieszkania.

- Prowadzą do sąsiedniej kamienicy?

- Tak - powiedział strażak. - W tym miejscu biegnie ściana kapitalna.

Przystąpili do oględzin. Drzwi były obite grubą blachą. Rygle z tej strony zostały odsunięte, ale otworzyć, pomimo wszelkich wysiłków, nie udało się.

Kostrzewa klął zduszonym głosem.

- Zamknięte od zewnątrz.

Wyważenie pochłonęło denerwująco dużo czasu. Po tamtej stronie kawalerka...

Tu ogień wprawdzie nie dotarł, nie znaleziono jednak nic, co by miało wartość dla sprawy.

Mieszkanie miało jedno wyjście, zamknięte tylko na klucz. Oczywiście od zewnątrz. Ale to już nie stanowiło przeszkody. Ze schodów wychodziło się prosto na rozległe ruiny. W kierunku ulicy prowadziła niezbyt szeroka, byle jak uprzątnięta z gruzu droga.

Kostrzewa stał dłuższą chwilę, wsparty o ciężale o framugę drzwi. Nie było już po co się spieszyć.

W każdym razie by zdążyli - powiedział cicho, przez całą powrotną drogę milczał. Dopiero gdy samochody skręciły w bramę urzędu, powiedział do Kociuby:

- Pomimo wszystko nie należy przerywać poszukiwań w tej dzielnicy.

Kociuba trochę się zdziwił.

- Myślicie, że oprócz tej meliny mieli jeszcze coś tutaj?

- Bardzo mi na to wygląda. Wypiór gdzieś tu się pętał, a nie wierzę, by spalonego faceta ryzykowali trzymać w swym głównym punkcie. To by się

sprzeciwiało najprostszym zasadom konspiracji.

- Wypiór? Już biegnę!!

Kostrzewa nawet nie pamiętał, czy odłożył słuchawkę na widełki. Winda była zajęta. W tak karkołomnym tempie zbiegł ze schodów, że portier wytrzeszczył oczy.

Fotografia zdawała się pasować. Wiącek wzruszył ramionami. „Czy ja wiem”.

Badanie trwało do późnej nocy. Wychodziły na jaw coraz to nowe okoliczności.

Hipotekę miał czarną jak noc. Ale przy końcu badania stało się pewne: ten człowiek nie miał nic wspólnego z Wypiórem. Prawdopodobnie nawet nie podejrzewał jego istnienia.

Kostrzewa łykał ukradkiem proszki. Miał gorączkę i trzęsły nim dreszcze.

Prawdopodobnie właśnie przy tym pożarze...

Wiącek osowiał. Znowu pudło. Na chwilę stracił rezon. Przecież na początku niemal był pewien. Potem powoli powróciła równowaga ducha.

Ptaszka przekazano milicji. Wiącek pomrukiwał pod nosem coś, co nie nadawało się do powtórzenia.

Kostrzewa szcząkał zębami, starając się, by nikt tego nie zauważył.

Ależ go wzięło. Trzeba będzie zaaplikować sobie solidną dawkę. Nie czas teraz na choroby.

Gdy dzwonił do drzwi hotelu, w którym mieszkał, zaczynało już świtać. Z trudem zwlókł ubranie. Ciało pałało. W pierwszej chwili zamierzał sięgnąć po termometr. Potem zrezygnował. Termometr to nie lekarstwo.

Rozwijał papierek za papierkiem, zsypując drobne kryształki. Skrzywił się straszliwie i czym prędzej zapił wodą.

Owinął się w kołdrę. Pod czaszką szumiało jak w młynie. Co tam... Przejdzie...

Przed oczyma zaczęły wstawać zamazane wizje zdarzeń ubiegłych dni. Pograżył się w nerwowy, niespokojny sen.

Tu nie bawiono się w żadne ceregiele. Tylko jeden jedyny raz się urwał, żeby łyknąć trochę powietrza i zaraz wybuchła chryja nie z tej ziemi. Jakby było o co.

Nasiedli na niego całą ferajną. Że szpicle, że fotografia, że diabli wiedzą, co jeszcze. A cała wycieczka trwała z górą pół godziny. Może nawet i tego nie. I przez cały czas ani żywego ducha na oczy nie widział.

Ale takim to wytłumaczysz? Łysy jak pała szef robił takie miny, jakby go chciał

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)
połknąć.

- To co z tego, że się samemu nie widziało? Oni mogli zobaczyć. Nie każdy ma oczy w tyle głowy. A tam to spece.

Najostrzej naskoczył ten typ, o którym Mandolina powiedział: „To jest Grom.

Ty, bracie, z nim tego... uważaj. Dla niego spuścić juchę, to jak dzwonko śledzia wtrząchnąć”.

Dość było spojrzeć, by z miejsca skapować, co to za facet. A już oczy...

Całkiem jak u wściekłego kota. Żółte takie jakieś i człowiekowi aż mdło się robiło, gdy w nie spojrzał.

- Siedzieć i nie wychylać się - rąbnął z miejsca. - Chyba sprawa jasna?

Felek jeszcze próbował.

- Jak się człowiek czasami przeleci...

Grom przyjrzał mu się z góry na dół, jakby szukał odpowiedniego miejsca na cios.

Tu o takie rzeczy chodzi, że przelecieć można się aż na same Powązki -

warknął. - Odpowiada?

Felkowi nagły ziąb przepłynął po krzyżu. Zamilkł i zwiesił ponuro głowę.

Dopiero gdy został sam, zaczął się buntować.

Co, do jasnej a niespodziewanej, pomiotło sobie znaleźli?

To wszystko przez tego kanciarza Mandolinę. Judasz, pieska jego niebieska.

Jak to się wysiłał. „Będzie ci tam jak w raju”. Raj - zaciskał pięści w ataku bezsilnej

złości - sam by spróbował, jak to smakuje. I w mamrze byłoby lepiej. Tam

przynajmniej prowadzą na świeży luft, a tu... Od ściany do ściany i z powrotem. Nawet

do okna podejść nie pozwalają. Grób... - biegał po pokoju potrącając o sprzęty. -

Ciemna mogiła!

„Skuję draniowi mordę - rozmyślał z coraz większą nienawiścią o Mandolinie -

że go rodzona matka nie pozna. Aż wszystkie ząbki powysiadają. Skuję, żeby tam nie

wiem co. Choćby potem miał majchrem pod zebro dziabnąć.”

Ale Mandolina tymczasem pozostawał nieosiągalny, a wobec tych z meliny czuł

się zupełnie bezradny. Zdawał sobie doskonale sprawę ze swej sytuacji. Trzymali go w

garści, że lepiej nie trzeba. Starczyło tylko tę garść zacisnąć, by wydusić z niego

ostatni dech.

Czym to się wszystko skończy? I jak długo potrwa?

Próbował pytać:

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Kiedy będę mógł stąd wyjść?

- Niedługo - szef gładził się po łysinie.

- Jak przyjdzie czas - odszczeknął Grom. Tyle się dowiedział.

Do tego wszystkiego gnębiła go myśl o Zośce. Żeby mógł jej w jakiś sposób

dać znać. Ale o tym ani mowy. Grom by go chyba żywcem ze skóry obdarł. A ona gotowa pomyśleć, że ją wystawił do wiatru. Wystarczyłoby jej palec zgiąć, by dziesięciu przyleciało na jego miejsce. A jeżeli faktycznie tak zrobi? Aż mu gorąco było na samą myśl. Rany boskie! Nie patrzyłby, co i jak.

Palił papierosa za papierosem. Ile właściwie paczek wypalał na dzień! Musiało tego być do licha i trochę. Przychodziły momenty, że w głowie powstawał zupełny kołowrót. Nie liczył. Chcieli mieć gościa, to niech fundują. Zresztą pod tym jedynym względem nie mógł mieć pretensji. Że nie skąpili, to fakt. Nawet wódka na każde zawołanie. Ale i na nią stracił ochotę. Miał przepijać do lustra?

Nie, Zośka go nie zdradzi. Nie taka. Ale pomimo wszystko pragnąłby zobaczyć, co porabia. Zobaczyć ją samą. Bo jak człowieka coś takiego już weźmie... czort wie, co się z nim wyprawia.

Któregoś dnia do mieszkania wpadł Grom.

Od razu poznał po nim, że zaszło coś niezwykłego.

- Nasermater! Bania się ze szpicłami rozbiła! - słowa jak zawsze, wypadały spomiędzy ust krótkimi, oderwanymi warknięciami. Pod tym względem zupełnie przypominał gestapowca. Wsadzić tylko w mundur, czapa na łeb i jak ułał. - Łażą po naszej ulicy, k... ich mać!

Stanął przy oknie w taki sposób, by go z zewnątrz nie można było dojrzeć.

Nagle gwałtownym ruchem zanurzył prawą rękę do kieszeni. Felek aż się skulił na ten widok.

- Zaglądają do każdej bramy - warczał. - Macają strupli - zapalał lewą ręką papierosa.

Spojrzał spod oka na Felka:

- Osoby właśnie szukają - postąpił cichym, jakby czającym się krokiem. - Po tamtym spacerku...

Felek z trudem opanował chęć zrejferowania. Zasunął prawą rękę do kieszeni, tak jak tamten. Ale to nie było to samo. Goła pięść - i gotowy do strzału pistolet! Ustał jednak jakoś. Będzie, co ma być. Z tej przeklętej klatki i tak nie było ucieczki.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

W źrenicach Groma zapalały się kłujące błyski. Felek uciekł spojrzeniem w bok. Nagle targnął głową w odruchu buntu. Miał tego wszystkiego powyżej uszu.

- Ile razy mam powtarzać, że nikt mnie nie widział? - patrzył mu prosto w oczy. Było mu już wszystko jedno.

Grom przyjrzał mu się uważnie.

- Nie widział? - powtórzył znacznie spokojniej. - Co tam - machnął ręką. -

Nasz cieć nie puści pary z gęby, choćby go nie wiem jak maglowali. Wystarczająco posmarowany. A wie, że w razie czego...

Powrócił znowu do okna, wyglądając ukradkiem.

Felek zaczął pogwizdywać pod nosem. Nie bardzo mu wprawdzie było do gwizdania, ale chciał tamtemu pokazać, że nic sobie z niego nie robi. To, co zaszło przed chwilą, dodało mu nieco pewności siebie. Przetrzymał gościa.

W pokoju trwała przeciągła cisza. Spoza bramy dobiegł stłumiony odgłos kroków.

Felek nadśluchiwał z natężeniem. Zazwyczaj mało kto chodził po tym zaułku.

Kroki zbliżają się. Cichną przed samą bramą. Zacisnął zęby. Z której by strony nie spojrzeć: marny los. Znowu zaczął pogwizdywać. Co tam... Raz kozie śmierć.

Ciągnęło się to dość długo. Grom nie odrywał oczu od szyby.

- Tak... glina, psia jego mać - szepnął przez zęby - wsadza nos do naszej bramy

- wyglądał teraz jak drapieżne zwierzę, szykujące się do skoku.

Znowu tupot podeszew o chodnik. Tym razem oddalał się.

Grom wciągnął ze świstem powietrze do ust.

- Poszedł do czortowej maci.

Dopiero gdy na ulicy wszystko ucichło, odszedł od okna. Rysy twarzy

odprężyły się powoli.

- Ruch w interesie - przesunął językiem tkwiący w kąciku papieros - jak jasny

gwint.

Nalał sporą szklankę wódki i wypił jednym haustem.

- Chyba już więcej dziś się nie przypieprzą? Wyszedł jednak dopiero wtedy,

gdy się porządnie ściemniło.

Felek odetchnął z głęboką ulgą. Co za cholerny dzień! Chyba najgorszy ze

wszystkich, które tu spędził.

Nie był pewien, kogo się właściwie więcej obawiał, szpiclów, czy tego

oprycha.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

VIII. Światło, które zaciemnia

- To chyba nie ma żadnego związku ze sprawą - Kociuba wyciągnął w

kierunku Kostrzewy parę arkusików zapisanych maszynowym pismem z dołączoną

kopertą. - Przewertowałem kilka razy, czekając na was. Jakaś czysto medyczna

historia. Tyle tylko, że przyszło z zagranicy na adres Białkowskiego, więc...

Kociuba polecił list przetłumaczyć. Kostrzewa wołał jednak przeczytać w

oryginał. Nie ma pewności, czy w tekście czegoś nie zaszyfrowano. Zaczął czytać powoli, podejrzliwie rozgryzając poszczególne słowa. W miarę jednak jak zagłębiał się w treść, jego zainteresowanie wzrastało. Było to coś w rodzaju rozprawki naukowej. Rozważania na temat rzadkiej i skomplikowanej operacji. Autor roztrząsał wszechstronnie każdy szczegół postępowania. Kostrzewa prawie zapomniał, w jakim celu czyta ten list. To było pasjonujące dla lekarza, tym bardziej - chirurga. Psiakrew! Chirurg, który się zdecydował na tego rodzaju rozwiązanie, musiał być śmiałym nowatorem. Mogło się udać. Ale tym razem wynik był śmiertelny. Chory zmarł pod nożem. Dlaczego? Jeszcze niżej pochylił głowę nad szczelnie zapisanymi stronicami, zagłębiając się w szczegóły. No tak, w tym stadium choroby nie można było spodziewać się innego rezultatu. Przynajmniej jeżeliby zapytano jego o zdanie, tak by odpowiedział.

Autor listu właściwie nie dochodził do żadnego wniosku. Operacja była przeprowadzona zgodnie z zasadami wiedzy chirurgicznej. Ale można by ją przeprowadzić również i w inny sposób. Podawał go w zdaniach naszpikowanych fachową terminologią. Kostrzewa aż poczerwieniał z emocji. Rzeczywiście majstersztyk! Czy jednak dałoby się uratować chorego? Autor tego bynajmniej nie twierdził... Zamyślił się, wpatrzony w sufit. W wyobraźni przeżywał zabieg w każdym najdrobniejszym szczególe.

W końcu potrząsnął głową. Nie, końcowy wynik byłby ten sam. To znaczy... dla chorego. Spojrzał na podpis i zagwizdał przeciągle przez zęby. Powaga. W czasie swej praktyki lekarskiej czytał nie jeden artykuł tego samego pióra w zagranicznej prasie fachowej. Podniósł głowę.

Kociuba przyglądał mu się z uśmiechem pełnym życzliwej pobłażliwości.

- Czułem, że was to zafascynuje jako lekarza. Ale z naszą sprawą nie ma nic wspólnego, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie - odpowiedział machinalnie, nie mogąc oderwać myśli od opisu. Nagle jakieś początkowo niezmiernie mgliste skojarzenie zaczęło kołatać w

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

mózgu.

Znowu się nachylił nad listem. To była odpowiedź na pytanie, czy operacja zakończona wynikiem śmiertelnym została przeprowadzona prawidłowo. Operacja przeprowadzona przez Białkowskiego. Kiedy? Z listu jednak trudno było cokolwiek wywnioskować. Autor przeproszał za „tak długą zwłokę” tłumacząc się nawałem pracy oraz tym, że wypadek należał do niezmiernie rzadkich i wymagających głębszego przemyślenia.

„Długa zwłoka” to pojęcie bardzo względne. Wskazówka nie była wyraźna, ale Kostrzewa czuł tu jakiś swąd.

- Hm... - odchrząknął -...czy ja wiem? Brwi Kociuby powędrowały ku górze.

- Przypuszczacie, że jednak... Kostrzewa zamachał rękami.

- Nic jeszcze nie przypuszczam, pułkowniku, ale wpadł mi do głowy pewien pomysł...

Szpital był jednym z największych w mieście. Kostrzewa studiował w skupieniu spis lekarzy. Chodziło oczywiście o chirurgów. Z tego samego oddziału, w którym pracował Białkowski.

Leciński? Miał na uniwersytecie kolegę tego samego nazwiska. Tak samo

Józef... Więc może...

Tak, to był właśnie on. Przetarł oczy, po czym otworzył szeroko ramiona.

- Wszelki duch Pana Boga chwali! Jurek!

Przerwa obiadowa pozwalała na niekrępowanie się czasem. Początkowo oczywiście rozmawiano na osobiste tematy. Kostrzewa nie chciał zbyt obcesowo przystępować do rzeczy.

- Co się z tobą, chłopie, działo? - dopytywał Leciński. - Słońce wschodzące na firmamencie rodzimej chirurgii i nagle jak kamień w wodę. Zachodziliśmy w głowę, co się mogło z tobą stać. Ożeniłeś się?

Kostrzewa roześmiał się.

- To także. A jeżeli chodzi o moje, jak to nazywasz, zniknięcie... No cóż, poświęciłem się pewnym pracom badawczym - oświadczenie bynajmniej nie odbiegało od prawdy.

- Aha - Leciński pokiwał ze zrozumieniem głową. Kostrzewa kołował okrężnymi drogami, powoli naprowadzając na interesujący go temat.

- Wiesz, interesowała mnie specjalnie ta operacja przeprowadzona przez Białkowskiego... - dorzucił garść fachowych szczegółów zaczerpniętych z listu.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Leciński ożywił się.

- Niezmiernie ciekawy *casus*. Białkowski wykazał wtedy wyjątkową odwagę.

Nikt nie chciał się podjąć. Podziwialiśmy go - gładził w zamyśleniu palcami po biało lakierowanym blacie stolika. - Podziwialiśmy - powtórzył. - Czyż moglibyśmy zresztą nie podziwiać? Sławy nie lubią mieć na swym koncie niepomyślnych wyników. Tu zaś wynik można było przewidzieć niemal na sto procent. Do tego ten Sokalski był jego serdecznym przyjacielem. To oczywiście jeszcze bardziej komplikowało sytuację.

Serdeczny przyjaciel? Z tej okoliczności mogły wypływać daleko idące

konsekwencje.

- Podobno niezmiernie się przejął? - zapytał wyczekawszy cierpliwie końca relacji.

- Ogromnie. Trudno uwierzyć, jak bardzo nim to wstrząsnęło. Nie mógł przez bardzo długi czas odzyskać równowagi. Dochodziło do tego, że zaczął się wyraźnie oskarżać o zabicie człowieka.

Kostrzewa z trudem opanował podniecenie.

- W ten sposób to ujmował? - zapytał, wlepiając wzrok w okno.

- Tak, właśnie w ten. Współczuliśmy mu niezmiernie, mimo że przecież w naszym zawodzie śmierć pacjenta nie stanowi czegoś wyjątkowego. „Zabił człowieka”

- sarknął, wzruszając ostro ramionami. - Oczywiście nonsens. Pragnął go pomimo zupełnie beznadziejnej sytuacji uratować. A że się nie udało? No cóż... nie powinno się operować człowieka, gdy w grę wchodzi względy emocjonalne.

- Oczywiście, że nie - wtrącił Kostrzewa. - Ten wypadek to jeszcze jedno potwierdzenie reguły.

- Otóż to. To u niego stało się jakąś *idée fixe*. Zorganizowaliśmy specjalną dyskusję na ten temat. Nie było ani jednego przeciwnego zdania. Jednogłośnie stwierdziliśmy, że uczynił wszystko, co nakazywała wiedza medyczna. Więcej nawet. Że nie leżało w ludzkich możliwościach uratowanie chorego. Przez parę dni był jakby przekonany. Wśród naszego personelu nie brak przecież zawistnych. Jak to między ludźmi. Więc gdyby można było o coś zahaczyć, oni przede wszystkim otworzyliby buzie.

A potem znowu... zaczął korespondować na temat tej nieszczęsnej operacji z największymi powagami w kraju i za granicą. Odpowiedzi przychodziły rozmaite.

Analizował je wraz z nami. Nikt nie stwierdzał żadnego błędu, ale niektórzy podawali, że można było operację przeprowadzić w inny sposób. Oczywiście, że można było. Ale

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

co za różnica? Skutek w każdym wypadku byłby ten sam. Przyjmował każdą taką wypowiedź jak dotkliwy cios. Na próżno tłumaczyliśmy, że bywają i tacy, którzy pragną za wszelką cenę przeskoczyć wyżej własnej głowy. Któż nie chce pochwalić się swoją mądrością? Trudno było go jednak przekonać. Gryzł się bardzo. „Gdybym to poprowadził w taki właśnie sposób... Atak... zabiłem”!

- Czy to właśnie po tym wypadku rzucił uniwersytet?

- Tak. Nie pomogły perswazje. „Jak mogę uczyć innych gdy sam nie umiem”?

Na to nie było rady. W ogóle bardzo się zmienił. Mówiono coś o jakimś dramacie z narzeczoną. Nie wiadomo, jak z tym było naprawdę. Dość, że miał się już żenić i nagle się wszystko rozchwiało. Nikt go już nie widywał z Kosińską. Też profesor, nawet z pokrewnej dziedziny: biolog. Stał się odludkiem. I nawet - Leciński zniżył głos niemal do szeptu - jakieś narkotyki czy coś w tym rodzaju... Wystarczyło spojrzeć: zupełnie chory człowiek, który się trzyma jedynie dzięki wyjątkowemu napięciu woli. Ale tego rodzaju stan nie może oczywiście trwać w nieskończoność. Udar nie stanowił dla nikogo z nas właściwie niespodzianki.

Wychodząc ze szpitala Kostrzewa pogwizdywał cicho przez zęby. Jeden z fragmentów sprawy rozbłysnął nieoczekiwaną jasnością.

Kociuba gryzł w zamyśleniu bursztynową cygarniczkę.

- Oskarżał się, że zabił człowieka? Hm...

- Tak - potwierdził Kostrzewa. - I weźcie, pułkowniku, pod uwagę, że stało się

to u niego rodzajem manii, co zresztą nie tak trudno wytłumaczyć. Przeżył potężny

wstrząs, który zachwiał całą jego psychiką: serdeczny przyjaciel umiera mu pod nożem. Nie tak łatwo przejść nad tym do porządku.

Kociuba wyjął z ust cygarniczkę, obejrzał ją i odłożył na podstawkę do ołówków.

- No dobrze, przypuśćmy. Ale przecież nie dlatego zgłosił się do nas. Nie trzeba być prawnikiem, żeby zdawać sobie sprawę, że tego rodzaju wypadek nie podlega sankcjom przewidzianym przez kodeks karny.

- Musiał sobie zdawać sprawę - powtórzył jak echo Kostrzewa. - Nawet w tym stanie prostracji, w jakiej się znajdował. Toteż, moim zdaniem, przyczyna zgłoszenia się leżała w czym innym. - Samochód?

- Otóż to. Powiedział przecież o nim na samym wstępie. Prawda - Kociuba machinalnie kartkował dokumenty w obwolucie. - Tylko w takim wypadku po co

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

miałby mordować Sierakowskiego? Czyżby pomimo wszystko jednak przypadek? -

zastanawiał się przez chwilę. - Cóż, zdarzają się najbardziej nawet trudne do przyjęcia zbiegi okoliczności. Powiedzmy: dwa zupełnie różne, nie mające ze sobą nic wspólnego sektory. Sierakowski przechodzi przez jezdnię, ciągnąc w trop za przestępcami. Białkowski zaś akurat nadjeżdża na pełnym gazie. Wspomnieliście coś, doktorze, o narkotykach?

- Leciński tak twierdzi. Zresztą w czasie wizyty w mieszkaniu Białkowskiego znalazłem pewne rzeczy, które zdają się tę hipotezę w zupełności potwierdzać.

- No więc... Otumaniony narkotykiem nie panuje nad kierownicą. Nie widzi, co się dzieje przed maską samochodu...

- Nie wierzę - zaproponował Kostrzewa. - Zwłoki przecież zostały przeniesione.

- Jeżeli na przykład zamierzał udzielić pomocy przejechanemu... Podciągnął go bliżej do światła latarni.

- Nie wierzę - powtórzył Kostrzewa. Koncepcja pułkownika nie przemawiała mu zupełnie do przekonania. - Gdyby było tak, jak mówicie, musielibyśmy dostrzec jakieś ślady badania na ubraniu Sierakowskiego.

Kociuba stropił się.

- Racja. Ale w takim razie jak to wszystko wytłumaczyć? Słowa Białkowskiego wskazują wyraźnie, że miał jakiś wypadek samochodowy, wskutek którego ofiara poniosła śmierć.

- Tak. Ale to mógł być zupełnie inny wypadek. Nie związany z osobą Sierakowskiego.

- Akurat tej samej nocy? - zachnął się Kociuba.

- Nigdzie nie jest powiedziane, że tej samej. Z zeznań Fijka wynikałoby, że mniej więcej w tym samym okresie. Różnica kilku dni, choćby nawet kilkunastu godzin, już daje odmienny obraz. Zresztą czyż w Warszawie nie może zdarzyć się kilka wypadków samochodowych w czasie jednej nocy?

- Nie było żadnych protokołów milicyjnych z tego dnia. Sprawdzaliśmy przecież.

- Nie było - przyznał. - To rzeczywiście dziwne. Ani tej, ani poprzedniej... - wpatrzył się w dym, ulatujący z papierosa.

- Ale mamy jeszcze pistolet - przypomniał po chwili Kociuba.

- Ten nie należy do sprawy.

- Do tej nie. Ale strzelano przecież z niego przed paru laty. Jakaś dawna

historia, którą dotychczas udawało się ukryć. Może nawet z tej samej serii co i sprawa Lebiody. I gdy zobaczył, że skrytka opustoszała... Cóż, w tych warunkach właściwie nie miałby innego wyjścia. Więc może zeznanie dotyczyło tamtej sprawy? Wtedy zamordowanie Sierakowskiego mogłoby być wytłumaczone. Dowiedział się przy sposobności o tym dawnym przestępstwie i...

Kostrzewa zabębnił zgiętym palcem po zębach.

- Cholernie to wszystko razem zagmatwane - zaklął żałośnie. - Jedno przeczy drugiemu. Niełatwo rozwiązywać łamigłówkę, gdy brakuje większości danych. W tym wypadku musimy się oprzeć na metodzie eliminacji. Gdy zdołamy ustalić, że wypadek, spowodowany przez Białkowskiego, nie ma nic wspólnego z Sierakowskim... To nieco wyjaśniłoby sprawę.

Kociuba potaknął bez cienia entuzjazmu.

- W rezultacie pierwszym naszym zadaniem będzie ustalenie daty wypadku samochodowego, spowodowanego przez profesora - teraz już głos jego brzmiał najzupełniej rzeczowo.

*

Zdobek nic nie mógł sobie przypomnieć. Nie było powodów wątpić w jego szczerłość.

- Może ojciec będzie wiedział coś więcej - rzucił na odchodnym. - On często pomagał profesorowi w garażu.

Wezwano starego Fijka. Ten początkowo próbował się trzymać dotychczasowej taktyki.

- Ciągają tylko człowieka bez potrzeby - sarknął ze złością. - Skąd mogę wiedzieć, kiedy samochód się zepsuł? przecież nie zapisałem.

Ale tym razem Kostrzewa nie bawił się w ceremonie. Sprawa była zbyt

nagląca. Po pierwszym takim zdaniu walnął pięścią w stół.

- Dość już tego!

Potem odczytał treść paragrafu o fałszywych zeznaniach.

- Jeżeli się będziecie dalej upierać, nieprędko powrócicie do rodziny -

uprzedził. - Nie myślcie, że nas można wodzić za nos tak długo, jak się wam podoba.

Fijek zmiękł. Nieudolnie zmanifestował wysiłek myślowy, aż wreszcie niby to sobie przypomniał.

- Było to siódmego albo ósmego.

Dokładniej jednak nie potrafił tego ustalić. Kostrzewa doszedł do wniosku, że

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

tym razem jest szczerzy.

Siódmego albo ósmego... Ale którego w rzeczywistości? Siódmego o

wczesnym świcie znaleziono zwłoki Sierakowskiego. W nocy z siódmego na ósmy nie wpłynęły żadne meldunki o wypadkach samochodowych.

Ze słów Białkowskiego wynikałoby, że przejechał kogoś na śmierć. Siódmego

znaleziono tylko jednego trupa; właśnie Sierakowskiego. Ósmego nie znaleziono

żadnego. Jakaż więc pozostawała możliwość przyjęcia koncepcji innego wypadku. Nie ma przejechania bez ofiary. Nie ma...

Minęło dużo czasu, zanim zaczęła kiełkować pewna myśl: noc; człowiek

otumaniony narkotykiem, do tego w stanie depresji psychicznej; zawadził kogoś

samochodem. Krew? Cóż, krew niekoniecznie musi oznaczać śmiertelny skutek

najechania... Nie wzywano pogotowia, nie przywieziono nikogo do żadnego z

warszawskich szpitali. To wszystko prawda. Ale są ludzie, którzy panicznie boją się

szpitali.

Białkowski, pewien, że pozostawił na jezdni trupa, ucieka nie oglądając się.

Jeżeli jednak ofiara zdołała się podnieść o własnych siłach?

Kostrzewa nie dzielił się swą koncepcją z pułkownikiem. Uważał ją za zbyt problematyczną.

Już na drugi dzień ukazało się we wszystkich stołecznych gazetach ogłoszenie:

Osoba, która została potrącona przez samochód z szóstego na siódmy października albo z siódmego na ósmy, zechce zgłosić się w sprawie odszkodowania.

Oczywiście adres nie opiewał na urząd. Kostrzewa podał swój hotel. Na sukces prawie nie liczył, a przecież udało się. Człowiek, poszukiwany przez ogłoszenie, zgłosił się jeszcze tego samego wieczora. Na ubraniu widniały łaty z odmiennego materiału, wyraźne ślady pozszywanych rozdarć. Był trochę zażenowany.

- Czy to właśnie pan szanowny?

Kostrzewa usadowił go wygodnie na krześle, poczęstował papierosami i zaczął wyciągać na słówka. Gość nie był mrukiem, mówił chętnie i dużo.

Powoli obraz zaczął przybierać coraz wyraźniejsze kontury.

- To było z ósmego na dziewiąty... Nie, nie mam do szanownego pana

specjalnej pretensji. Co tam, grzech taić, było się akurat trochę tego, hm... pod muchą.

Owszem, na jezdnię wlałem całkiem nieprzepisowo. Czyż mówię, że było inaczej? Ale

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

myślałem, że jak noc, to spokojniej. Zgadza się... podlażłem do pewnego stopnia

samochcą. Gdy człowiek tego... to nie bardzo uważa. A pan szanowny gazował od

strony „Retmana”, pasuje? No i jak mnie strugnie w krzyże... W pierwszej chwili to

świata bożego nie widziałem. A i potem, zanim się pozbierałem do kupy, myślę sobie:

nic, tylko kaleką na resztkę życia przyjdzie ostać. A że wina wspólna, to fakt. Bo i pan szanowny pewno „Pod Retmanem” trochę sobie... kropnął, co? Toteż nie składałem żadnego zameldowania, choć przecież nie bez ubytku. Sponiewierało mnie niezgorzej. I ubranie... Tak, właśnie to, co go mam na sobie. No, nic nadzwyczajnego, używałem go do pracy, ale zawsze... No i drabina, całkiem jeszcze solidna.

- Drabina? - Kostrzewa pomyślał o uszkodzeniach zderzaka i zgięciu błotnika w samochodzie Białkowskiego.

- Otóż to. Poszła w drobny mak... Potem wy kalkulowałem, że szanowny pan w nią właśnie rąbnął, a ona dała mi już dubla we własnym zakresie... Kiziorzy, za przeproszeniem, mają szczęście - roześmiał się niespodziewanie. - Bo w pierwszej chwili, jak zobaczyłem tę krew, to...

- Krew?

- Tak. Nie to, że kapała, a sikała na cały regulator. Fontanna, można powiedzieć. Fizjonomię, ubranie, wszystko zalała. Ubranie to ledwo mogłem doczyścić. Ano, jak człowiek pracuje przy malarstwie pokojowym, to jedna plama więcej...

Podciągnął rękaw pokazując na zgięciu świeżą bliznę. Szew. Kostrzewa obejrzał uważnie. Tętnica.

- Człowiek był w wojsku - ciągnął dalej gość - to przewiązałem sobie mocno sznurowadłem. A potem do pogotowia. Powiedziałem, że szybą przy pracy. Po co ma kto wiedzieć, że pod gazem napełniałem się na auto? Panu szanownemu też nie chciałem robić przykrości. Czyż nie rozumiem, jak to jest, gdy człowiek łyknie sobie kropelkę przez wierzch? Tylko odbić się o trotuar i hajda na księżyc. Trochę bolało, jak zszywali. Zacisnąłem zęby. Zdarza się. Ale - znowu cichy śmiech - tyle tej juchy.

Niczym zarzynany wieprz. Panu też musiałem auto zdziebko zapaskudzić?

Rachunek strat przedstawił nader skromny. Kostrzewa postanowił go uregulować z własnej kieszeni. Potem się rozliczy. Gotówka pogodziła gościa z koniecznością podpisania protokołu.

- Muszę przecież mieć jakiś dowód, że to właśnie pan i że nie ma żadnej pretensji - wyjaśnił uspokajająco Kostrzewa.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

W restauracji „Pod Retmanem” nazwisko profesora Białkowskiego było zupełnie obce. Gdy jednak Kostrzewa odmalował dokładny rysopis i wspomniiał o samochodzie, podając jego wygląd, przypomniano sobie od razu.

- Owszem, ten gość przychodził dosyć często. Zawsze wieczorem, tak około ósmej, dziewiątej. Czasami zdarzało się, że później, ale wcześniej - nigdy. Stale siadywał samotnie, ot przy tym małym stoliczku w rogu. Kolacja... Niewiele jadał. Kelner odnosił do kuchni prawie pełne półmiski. A jeżeli chodzi o picie... No cóż, pił sporo, trudno zaprzeczyć. Ale, broń Boże, żeby kiedy jakaś awantura czy coś w tym rodzaju. Nawet znać po nim nie bardzo było. Tyle tylko, że trochę stawał się sztywniejszy. Zresztą przecież sam prowadził auto. Czy był ósmego? - zawołano kelnera, który w tym dniu miał dyżur.

- Tak, był. I siódmego, i ósmego. Dziewiątego dlaczegoś nie przyszedł. Nawet zastanawiali się, czy nie jakiś wypadek, bo to taki stały gość. Ósmego kolacja jak zwykle. Karafeczka eksportowej, a potem martel z trzema gwiazdkami do czarnej kawy. Maszynka czarnej i połówka martela. Kawy wypił jedną filiżaneczkę, a koniak do dna. Że dziwna proporcja? Może dla innego i byłaby dziwna. Ale dla niego... Stalowa głowa. Wszystko jak woda... A czy się coś stało? Bo rzeczywiście

facet z groszem się nie liczył, aż niektórzy się zastanawiali, czy aby coś tego... nie... na lewo.

Kostrzewa władował się z trzaskiem do gabinetu Kociuby-

- No, trup się już znalazł - podetknął protokół - i to nawet, prawdę mówiąc, w nie bardzo złym stanie. Najwięcej ucierpiała drabina. Bezpośredni powód wypadku jak na dłoni: martel z trzema gwiazdkami.

Pułkownik przebiegł oczyma protokół i notatkę. Potem sięgnął po opis uszkodzeń samochodu Białkowskiego.

- To by pasowało - mruknął po chwili.

- Jak nie można lepiej. Drabina: oto wytłumaczenie zgięcia zderzaka i uszkodzeń błotnika. Gdyby wywołało je bezpośrednie zetknięcie się z ludzkim ciałem, nasz gość wyglądałby w tej chwili zupełnie inaczej. Jeżeli nie kostnica, to w każdym razie szpital...

Pułkownik przetarł okulary.

- Tak... Jeżeli jeszcze do tego wszystkiego dodać zeznania personelu restauracji...

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Cement, pułkowniku. Tym razem mur jest taki, że choćby go pchać, z której by to nie było strony, ani drgnie. Wypił eksportowej i martela, wsiadł do samochodu, najechał. Ogniwo po ogniwie, pasujące bez pęknięć.

- Pozostaje jeszcze pistolet.

- Hm... Tak, pozostaje rzeczywiście. Ale - potrząsnął głową - ja prowadzę teraz śledztwo w sprawie morderstw Lebiody i Sierakowskiego, które miały miejsce w tym miesiącu, a nie przed paru laty. Pistolet - powtórzył, zamyślając się. - Kto wie, czy

gdy Białkowski odzyska przytomność, nie potrafi i tego faktu wyjaśnić w sposób najzupełniej zadowolający.

Kociuba gładził machinalnie rozłożone na biurku papiery-

- Jednym słowem, sprawa Białkowskiego prawie się wyjaśniła.

- Tak - potwierdził Kostrzewa. - A ta, którą prowadzimy, zaciemniła się ostatecznie. To nie jest nasz człowiek ani nasze auto, ani nasz pistolet. A gdzie jest to, czego szukamy? - twarz jego spochmurniała. - No cóż... - przeciągnął się, aż kości zachrzęściły. - Śledztwo trwa...

IX. Podróż w nieznane

Pierwszy wpadł Grom. O zupełnie wczesnej godzinie. Nigdy o tej porze nie przychodził. Rozglądał się podejrzliwie na wszystkie strony.

- Był tu ktoś?

Twarz miał zupełnie dziką.

Felek przyglądał mu się ze zdziwieniem: co go znowu napadło? Nie pytał jednak.

- Wczoraj był Czarny. Przesiedział do wieczora - odpowiedział wreszcie.

Grom zachnął się.

- Nie chodziło mi o nikogo z ferajny. Ale ktoś obcy?

- Obcy? - Felek wzruszył ramionami. - A bo to kto obcy kiedykolwiek zagłąda?

- dodał z goryczą.

Grom zaryglował drzwi. Potem zaczął gorączkowo przewracać w szafie. W

końcu wyciągnął jakąś koszulę. Zrzucił marynarkę. Na prawym mankiecie koszuli ciemniały wielkie rdzawe plamy. Mniejsze sięgały prawie po łokieć.

Felek odwrócił pośpiesznie głowę w kierunku okna. Krew? Jasne, że tak.

Wpatrywał się bezmyślnie w błękit nieba, widniejący ponad wysoką, okopconą ścianą stojących po drugiej stronie ulicy ruin.

Krew. I to nie jego. Nie był przecież poharatany. Czego się dziwić. Czyż nie

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

wiedział, w jaką grandę włązi? I jakim typem był ten cały Grom? Morderca. Miał to wypisane wyraźnie, jeżeli nie na czole, to w każdym razie w oczach.

Zwilżył językiem nagle zaschłe wargi. Zrobiło mu się całkiem niewyraźnie.

Przed chwilą kogoś zamordował?!

Grom poszedł do kuchni. Gwałtownie zapluskala puszczona z kranu woda. Nie potrzebował patrzeć, żeby wiedzieć, co robi. Zmywa krew człowieka, którego zamordował. Jasne.

Zapalił papierosa. Wydawało mu się, że tytoń jest przesiąknięty krwią. Nawet w pudle byłoby lżej niż tutaj.

Z kuchni dobiegł przeciągły trzask rozdieranego materiału. Po chwili zabrzęczały fajerki... W nozdrza uderzył cikliwy odór tłących się szmat.

Felek miał wrażenie, że pachnie również i krew, paląc się razem ze strzępkami koszuli.

Grom wreszcie powrócił do pokoju. Popatrzał na wciąż odwróconego plecami Felka.

- Nic się nie widziało - warknął ostro. - Nic. Zrozumiano?

Felek machnął niemrawo ręką.

- A co mnie to wszystko razem obchodzi? - nawet na niego nie spojrział.

Potem zaczęli się schodzić inni.

Szef przystanął na progu w takiej postawie, jakby każdej chwili był gotów dać

nura z powrotem.

- Powietrze czyste?

Grom odwrócił się ku niemu razem z krzesłem, na którym siedział okrakiem.

- Jak dotychczas nic nie podjeżdża.

Szef podszedł do stołu i położył wyładowaną teczkę. Napełnił kieliszek.

Wychylił.

- Dobrze, że choć tak... - opadł ociężale na krzesło. Czarny również przyniósł teczkę.

Felek zauważył, że wszyscy byli porządnie zdenerwowani. Przy najlżejszym szeleście odwracali na komendę głowy ku drzwiom.

Zjawił się jakiś mężczyzna, którego Felek nigdy dotychczas nie widział. Gdy stanął w progu, Felek był niemal pewien, że trafił tu przez pomyłkę. Tak bardzo nie pasował do reszty towarzystwa... Ale to tylko tak zdawało się na pierwszy rzut oka...

Był jednym z nich i czuł się wśród nich zupełnie swobodnie.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

W końcu przyszła kobieta. Felek mimo całego przygnębienia wytrzeszczył oczy. Ależ fajny kociak! Niczym jakaś artystka z zagranicznego filmu.

Zasiedli wokół stołu. Grom rozlał wódkę. Wychylili jednym haustem. Przez chwilę panowało milczenie.

- Tak - westchnęła kobieta, osadzając papierosa w długiej, srebrnej cygarniczce. - Dogodzili, że lepiej nie trzeba.

- Ech! - Czarny odstawił opróżniony kieliszek. - Mogło wypaść znacznie gorzej. Gdyby Grom nie uprzedził w czas i... - urwał, bowiem szef w tej chwili uniósł znacząco brwi wskazując wzrokiem stojącego przy oknie Felka.

- Pan Wypiór - powiedział rozkazująco - przejdzie tymczasem do kuchni, mamy tu bowiem ściśle poufną konferencję. Proszę się trzymać z daleka od drzwi.

Próby podsłuchiwania nie wyszłyby na zdrowie.

Felek przeszedł przez pokój w milczeniu. Usiadł pod przeciwległą ścianą kuchni. Podsłuchiwać? Ani mu nawet w głowie. A po jaką cholere. Miał tej historii powyżej uszu. Pies im wszystkim razem do kupy mordy lizał. Żeby to już się wreszcie skończyło.

Ćmił papierosa za papierosem. Narada trwała długo. Niekiedy poprzez zamknięte drzwi dobiegało jakieś głośniejsze słowo. Nie zastanawiał się nad jego znaczeniem. Kłócili się. Co mu do tego? Niech sobie nawet nawzajem łby pourywają. Ta dziewczynka? Skąd taką wzięli? Że ładna, to fakt. W ich interesie pewno bardzo się przydaje. Na taką każdy poleci. Każdy? A on sam? No... - przy dusił niedopałek na kuchennej blasze. - Ale gdzie by tam na niego spojrziała. Chyba poluje tylko na samych dyrektorów albo generałów. Albo takich, co mogą się przejęzyczyć w jakiejś ważnej tajemnicy. A nogi... rzeczywiście pierwszoklasne... Ba... w takich nylonach! Żeby Zośkę tak ubrać... Nie, nigdy by nie doszła do takiej klasy. To i co z tego, że nie - zawstydził się nagle. - Zośka, to Zośka. Porządna dziewczyna. A ta? Szpiegówka albo i jeszcze coś gorszego.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Na progu stał Grom.

- Szef wzywa...

Gdy szef wreszcie umilkł, Felek był nieomal zupełnie pewien, że się przesłyszał.

Albo że nie zrozumiał dokładnie.

- Co? - przestąpił z nogi na nogę. - Mam wyjechać?

- Tak. Musi pan wyjechać. Szpicle zaczęli węszyć zbyt blisko.

- Ale...

- Tu nie ma żadnego „ale” - przerwał mu ostro. - Jest tylko konieczność.

Felek przełknął ślinę. Cholera. Zaczyna się coraz lepiej.

- Dokąd? - zapytał po chwili.

- To chwilowo nie ma nic do rzeczy. Nie pojedzie pan zresztą sam. Jest pewne takie miejsce, gdzie można będzie przeczekać, dopóki sprawa trochę nie przyschnie.

Felek mimo woli zacisnął pięści.

Ale tu nie było żadnego gadania. Wystarczyło przyjrzeć się ich minom. Nawet „fajny kociak” patrzył teraz bardzo nieprzyjemnie. Wywiozą go, choćby stawał na głowie. A jak będzie się stawiał, to może być gorzej.

- Jasne? - zapytał szef. Felek ponuro zwiesił głowę.

- Jasne... Na mus to i święcona woda nie poradzi.

- Jedziemy w trójkę - objaśnił Grom, gdy po upływie niecałej godziny szef, „fajny kociak” i elegancki mężczyzna opuścili mieszkanie.

- Nie zaszkodzi się przewietrzyć - ziewnął szeroko Czarny.

- Kiedy? - zapytał Felek.

- Dziś.

Felek machnął ręką. Wszystko jedno. Może i lepiej, że od razu. Spod oka obserwował, jak Grom rozpakowywał bandaż.

- Ranny ktoś?

- Owszem - roześmiał się Grom. - To dla szanownej osoby.

Felek aż się skulił. Co to znów miało znaczyć?

- Dla mnie?

- Spokojna głowa - Grom splunął na podłogę. - Ale opatrunek zrobimy jak w pogotowiu.

Felek wciąż nie mógł zrozumieć.

- Opatrunek?

- Uhum. Na facjatkę.

- Po co?

- Fotografie - odpowiedział leniwie Czarny. - Zbyt dużo puścili tego w obieg.

- Moje?

- A czyje - Grom popatrzył na niego spod przymrużonych powiek. - My ludzie skromni, do sławy się nie pchamy - podał bandaż Czarnemu: - W twoje ręce. Byłeś przecież kiedyś łapiduchem.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Po twarzy Czarnego przebiegł jakiś cień.

- Stare dzieje - powiedział dziwnie głuchym głosem. - Życie to nie romans.

Zabrał się do bandażowania. Felek siedział nieruchomo jak manekin.

- Główka w prawo - komenderował Czarny. - W lewo. Więcej życia. Cóż to, nie bywało się nigdy u fryzjera?

Grom przyglądał się krytycznym okiem.

- Tylko bez przesady. Nie zapominaj, że nie wniesiemy gościa na noszach.

Dość! - zdecydował wreszcie. - Z reszty możesz sobie uszyć gacie.

Felek zerknął w wiszące na ścianie lustro.

- Czyż nie szyk? - Czarny zebrał resztę nie zużytych bandaży i wyrzucił do pieca. - Główka jak na wystawę.

Felek czym prędzej odwrócił się do lustra.

- Poznać, rzeczywiście, chyba nie poznają.

- Ani mowy - Czarny był wyraźnie zachwycony swoim dziełem. - Nawet rodzona mać nie pozna.

Grom pocierał niezbyt gładko ogolony podbródek.

- Diabli wiedzą - mruknął. Są tacy spece, co i po oczach potrafią.

- Oczy - parsknął Czarny. - Chcesz, żebym mu ze łba zrobił piłkę? Oni też potrafią poruszyć rozumem. Sam mówiłeś, żeby nie przesadzać.

- Gdyby tak ciemne okulary? - zastanawiał się Grom.

- Bzdura! Gość w firance na pysku i jeszcze zaciemnienie? Głupi by przewąchał, że coś śmierdzi.

Grom jeszcze raz przyjrzał się Felkowi.

- Co recht, to recht. Obleci zresztą, byleby tylko nie wystawiać za bardzo na pokaz.

Opuszczenie mieszkania połączone było z zachowaniem jak najdalej posuniętych środków ostrożności.

Felkowi dusza siedziała na ramieniu. Coś musiało wisieć w powietrzu. Inaczej nie odstawialiby przecież takiego ceremoniału.

- Jadaczki na skobel - uprzedził Grom.

Ukryty za framugą drzwi długo obserwował podwórko.

- Jazda!

Prowadził ich w kierunku muru, oddzielającego sąsiednią posesję. Felek ocenił

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

wzrokiem wysokość i całkiem skapcaniał. Tu i akrobata nie wlezie, co oni sobie właściwie wyobrażają? Okazało się jednak, że stos połamanych skrzynek zasłania

wyrwę. Przecisnęli się bez trudu.

Grom popędzał bez przerwy.

- Ruszać się, do cholery! Chcecie, żeby nam przydepnęli ogon?

Niemal klusem przebyli nie zabudowany plac. Potem przewijali się pomiędzy rusztowaniami nowo wznoszonego domu. O tej porze było tu zupełnie pusto. Znowu jakaś ulica.

Grom zerknął poza siebie: można przyhamować.

Wędrówka trwała jeszcze przez jakiś czas. Felek w końcu zupełnie przestał się orientować. Nie zastanawiał się zresztą zbytnio. Co za różnica?

Jeszcze kilkadziesiąt kroków. Tuż za rogiem stał samochód. Szofer grzebał z zatroskaną miną w motorze. Grom rozejrzał się. Nie było nikogo.

- Wsiadać! - zakomenderował. - Szybko! Sam wsiadł ostatni.

W tym samym momencie z brzękiem opadła podniesiona dotychczas maska motoru. Kierowca wskoczył do wnętrza samochodu. Przekręcił starter. Wóz ostro ruszył z miejsca.

Grom zapalił papierosa.

- Myślałem, że będzie gorzej - zaciągnął się.

- Dopiero opieprzą tego, co łaził przed naszą bramą - roześmiał się z triumfem

Czarny.

- Bramą? - Grom wparł plecy w poduszki. - Latają jak koty z pęcherzem po całej ulicy. I żeby tylko po jednej.

- Myślisz, że po tym, jak się przygrzali w naszej... Dojrzał błysk oczu Groma i przełknął dalsze słowa.

- Niuchają - Grom strząsnął popiół na dywanik. - Słyszeli, że dzwonią, ale z

której strony, jeszcze nie wiedzą.

- W końcu rozgryzą.

- Co nam do tego? - Grom wyciągnął nogi. - Będziemy już u czorta na kuliczkach.

Felek siedział apatyczny i milczący. Wszystko poszło tak nagle, że czuł się oszołomiony.

Samochód nie jechał zbyt szybko. To mogłoby podpaść. Kierowca skrupulatnie zachowywał przepisy ruchu. Niedobrze byłoby, gdyby go zahaczyli gdzieś po drodze.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Felek próbował wyrzeć. Diabli wiedzą, dokąd go wiozą.

Widok wydawał się jakiś zamazany. Próbował przetrzeć ręką szybę. Nic nie pomagało. Widocznie zakurzyły się od tamtej strony. Kiedy przyjrzał się bliżej, poznał, że to wcale nie kurz. Jakies specjalne, niemal zupełnie nieprzezroczyte szkło. Nikt by nie zdołał dojrzeć, co dzieje się w środku wozu. Czego to nie wymyśla! Siedział jak na szpilkach. Zdawało mu się, że droga trwa zbyt długo. Może go wywożą na jakieś glinianki?

- Za Zoją laź jakiś typ - odezwał się po dłuższej chwili milczenia Grom. -

Przyczepił się, kiedy wychodziła z tego domu.

Czarny wyraźnie się zaniepokoił.

- Polował na upatrzonego?

- Nie - Grom wydał wargi. - Po prostu niuchał. Co oni wiedzą! - machnął ręką.

- Próbują.

- Zgubiła się?

- Nie udało się. Kluczyła na wszystkie strony, ale nic, jak na uwięzi. Jakiś

przemysłny.

- I co zrobiła?

- Jak zobaczyła, że się nie uda posiać, podeszła do milicjanta.

- Do milicjanta? - Czarny wytrzeszczył oczy. - Po co?.

- Zwyczajnie, że niby jakiś natręt się przyczepił, a ona samotna kobieta i tak

dalej. Więc glina tamtego zastopował. Dawaj mu prawić morały. Zanim się rozwikłali

w tym wszystkim, po Zoi już ani śladu. Byczy kawał?

Czarny długo się śmiał.

- Do milicjanta - powtarzał przerywanym śmiechem głosem. - Ależ stypa.

Niechże ją... Bestia kuta na cztery kopyta.

- A bo nie? - strzepnął palcami Grom. - Szemrany kociak. Szkoda gadać.

Samochód zahamował cicho. Za oknem majaczyły rozmazane kontury dworca.

Felek odetchnął z ulgą. Więc jednak chodzi naprawdę o wyjazd.

Kierowca rozglądał się przez chwilę.

- Można wysiadać.

Grom niemal nie poruszając wargami dawał ostatnie wskazówki.

- Nie gadać za dużo, nie rozglądać się. Na oko - nie znamy się.

W poczekalni było pusto. Grom jednym rzutem oka zbadał sytuację.

- Tam - nieznacznym ruchem głowy wskazał na ławkę, stojącą w pobliżu okna

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

wychodzącego na perony. - Po jednym.

Podeszli oddzielnie. W milczeniu zajęli miejsca. Grom znowu się rozejrzał.

Tylko bardzo bystry obserwator potrafiłby to zauważyć.

Do poczekalni przybyło kilka osób. Żadna jednak nie wydała mu się specjalnie

podejrzana. Może tylko ten jeden, który wszedł akurat teraz? Twarz zmięta z przepicia albo po prostu z niewyspania. Spojrzał w ich stronę... Nie, teraz patrzy gdzie indziej. Ziewa, że ledwo mu szczęki z zawiasów nie wyskoczą. Głupstwo. Strach ma wielkie oczy.

- Czarny, po bilety - zakomenderował. - Tylko uważaj, nie wyrzaskuj na całą salę, dokąd bierzesz.

Czarny podniósł się leniwym ruchem. Przeciągnął się.

- Jasne.

Grom nie przestawał obserwować poczekalni. Ten spod afisza? Poszedł w kierunku kasy. Jeszcze zanim Czarny zdołał uczynić w tę stronę choćby jeden krok. Nie mógł przecież przewidzieć, że akurat się tam wybiera. Musiałby być jasnowidzem. W porządku. Nie warto się nim dłużej zajmować. Bo w ten sposób można przegapić rzeczywiste niebezpieczeństwo.

Czarny powrócił ponury jak noc.

- Odjazd dopiero o dziewiętnastej dwadzieścia - sapnął ze złością.

Grom nie wykonał żadnego ruchu, ale siedzący obok niego Felek wyczuł, że wiadomość musiała go porządnie zaniepokoić.

- Nie sprawdziłeś rozkładu, łamago? Czarny zapalał nerwowymi ruchami papierosa.

- Jakże nie? Tylko że od wczoraj zmiana.

Grom przejechał nieznacznym spojrzeniem wzdłuż poczekalni.

- Trudno. Poczekamy.

- Tu? Wystawiać się tak przeszło godzinę?

Głos Czarnego brzmiał niepewnie. Twarzy nie było niemal widać spoza gęstych

kłębów tytoniowego dymu.

Grom popatrzył z filozoficzną miną na czubki swoich butów i nic nie odpowiedział.

Nagle nastroszył się. Ten spod plakatu wędruje gdzieś w głąb budynku. Do przechowalni bagażu? Ale w tamtej stropie leżał również komisariat dworcowy. Diabli wiedzą! W każdym razie trzeba uważać.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Nie spuszczał oczu z wejścia na korytarz. W razie czego ostatecznie zawsze się jakoś zdąży prysnąć przez poczekalnię. Ale może rzeczywiście poszedł do bagażowni? Licho go wie.

Wraca... Wciąż nie patrzy w tę stronę. W chwilę po nim wynurzył się drugi.

Ten pierwszy maszeruje ku wyjściu na ulicę. Wyjdzie? Nie. Przystanął i udaje, że na kogoś czeka. Drugi kręci się koło wyjścia na peron. Grom był już niemal pewien.

- Śmierdzi! - syknął ostrzegawczo. - Szpicle! Czarny drgnął. Opanował się jednak natychmiast. Tylko palce leżącej na kolanie ręki zacisnęły się kurczowo.

- Którzy?

- Ci dwaj - wskazał wzrokiem.

Felek przełknął ślinę. W gardle mu nagle zaschło. Ładna historia. Mieliby przyskrzynić w ostatniej chwili? Tego tylko brakowało. Zdołał się już oswoić z myślą o wyjeździe. Tam pewnie nie będą go trzymać jak na łańcuchu. Żeby to nagła krew!...

- zrobiło mu się nagle zimno. Przyjrzał się wskazanym przez Groma mężczyznom. Na oko niby nic... Jak każdy inny człowiek. Ale skoro Grom powiedział... Taki to się zna.

Wzięli ich w kleszcze. Ani we w tę, ani we w tę. Wesoło.

Wywiadowca Rakowiec z komisariatu dworcowego rzeczywiście był mocno

niewyspany. Lisicę bandziory poharatali, że parę tygodni w szpitalu murowane, a zastępstwa, diabli wiedzą dlaczego, nie przysyłają...

Tymczasem trzeba było pełnić służbę za siebie i za niego.

Ten w bandażu od razu wydał mu się podejrzany. Bo niby taki biedny, a oczy?

To były oczy zupełnie zdrowego człowieka. Za swoją teorię Rakowiec był gotów stawać murem. „Jak tylko człowiekowi coś dolega, zaraz widać to po oczach. Inaczej nie bywa”. A tu tylko jakby jakiś strach. Przyjrzał się dobrze, chociaż tamten mógłby pewnie przysiąc z czystym sumieniem, że patrzył tylko na plakat. Właśnie.

A tych dwóch obok? Niby to się nie znają. A jakże! Mogą komu innemu mydlić oczy. Ten wysoki umie poruszać wargami, że trudno dostrzec. Niejeden by się nabrał. Skąd taki specjalista? Historia stawała się coraz bardziej ciekawa.

Jeżeli nic mu nie jest, to po co te szmaty? Maskarada? Zupełnie możliwe?

Twarzy niewiele co było widać. Tylko oczy i kawałek czoła... Hm...Gość z fotografii Wiacka?

Ten niższy zamierza wstać. Dokąd? Jeżeli akurat do kasy? Nie zaszkodzi przejść się te parę kroków. Nie będą mogli go podejrzewać, jeżeli stanie wcześniej.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Tuż obok okienka wykaz cen biletów. Bardzo wygodne. Można studiować, ile się podoba.

Wysłuchał rozmowy z kasjerem. Ucieszył się. W takim razie ma ich na półmisku. Zdąży się sprawdzić z każdej strony. Kupa czasu.

Statecznym krokiem ruszył w kierunku komisariatu. Zwolnił tempo przed drzwiami, zerkając nieznacznie poza siebie... Nie, żaden z tamtych nie zapuścił się do korytarza. Jednym krokiem znalazł się we wnętrzu.

Sięgnął po słuchawkę.

- Coś nowego? - zapytał dyżurny. - Jakoś dzisiaj wyjątkowo nudno.

Uciszył go machnięciem ręki.

Pod jednym numerem Wiącka nie było. Pod drugim także. Dopiero gdy nakręcił trzeci, w słuchawce odezwał się jego głos.

- Co? - trzaski w słuchawce aż ogłuszały. - Nasz typ? Niechże cię uściskam!

Pędzę na skrzydłach tęsknoty. I tymczasem, bracie pilnuj, jak oczka w głowie. Albo i lepiej.

Rakowiec uśmiechnął się mimo woli. Ten przynajmniej nigdy się nie zmienia.

Nachylił się nad dyżurnym.

- No, może będziemy mieli piękny połów. Zaczął budzić Zaberskiego:

- Wstawaj!

Musiał go długo tarmosić, zanim ten wreszcie otworzył oczy.

Zaberski ziewnął pełną gębą. Odsypiał akurat swoje szesnaście godzin służby.

A do domu jechać się nie opłacało. W jedną stronę prawie dwie godziny. Gdy zrozumiał, o co chodzi, senność zniknęła bez śladu. Zerwał się jednym susem z ławki.

- No, to dawaj tych typów - zarepetował pistolet. - Z takimi nigdy nie wiadomo

- rzucił w formie usprawiedliwienia.

Rakowiec pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Wiącek uprzedzał, że z ekstraklasy... Obsadź ich od strony peronu, ja od miasta.

- I co dalej? - spytał szeptem Czarny.

Widać było, że czuje się bardzo nieswojo. Grom nie odrywał oczu od swoich butów.

- Cholera wie... Może jeszcze nie podpadliśmy. Inaczej na co by czekali?

Czarny utkwiał wzrok w suficie.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Zagarną, żeby się przyjrzeć bliżej - mruknął przez zęby.

Felek zerknął ku oknu. Jakiś metr, półtora. Po prostu ręką sięgnąć! Gruba

krata zamykała jednak drogę na amen. To samo, co wybierać się na księżyc. Krata...

Może przez długi czas przyjdzie niebo oglądać tylko w ten sposób? - pomyślał ze smętną rezygnacją.

Grom powstał leniwie, podszedł ku oknu i wyglądał przez chwilę.

- Nie jest tak źle - usiadł z powrotem. - Remont.

W oczach Czarnego zamigotało zdumienie.

- Remont? Więc co z tego? Gadaj, coś wymyślił!

- Zatelefonuję teraz po ludzi. Czarny niemal się przeraził.

- Chcesz urządzić harataninę? To chyba...

- Bzdura! - Grom przeciął ostro. - Jeszcze nie zdurniałem do reszty... - urwał nagle.

Ten, który pilnował wyjścia na miasto, zniknął. Cóż to znowu miało znaczyć?

W tej sytuacji każdy szczegół należało rozgryźć. Tamten wrócił. Po chwili wszedł do poczekalni jakiś mężczyzna. Wygląda niby zwyczajnie. Jak każdy szpicel. Jeden za drugim jak na paradzie łązi: jak senna mucha, ani się rozejrzy. Grom ziewał ostentacyjnie - znamy się na takich.

Obserwowany przeszedł przez poczekalnię, zawrócił i tyle go widzieli. Ten przy drzwiach też zniknął. Mózg Groma pracował z gorączkowym wysiłkiem.

Wiącek wyskoczył w pośpiechu z taksówki. Rakowiec dojrzał go z daleka.

Wyszedł na ulicę w taki sposób, by go nie można było dojrzeć z poczekalni.

- Jest? - zapytał Wiącek. Był tak zadyszany, jakby przez całą drogę popychał samochód.

- Są! - Rakowiec w zwięzłych słowach wyjaśnił sytuację.

- Hm... Prawie godzina czasu?

To było coś nowego. Wiącek wszedł do poczekalni.

Dziewięćdziesiąt na sto, że to Wypiór. Tak charakterystyczna oprawa oczu rzadko się zdarza. Znał tę twarz lepiej niż własną.

Tych dwóch obok niego? Widział ich po raz pierwszy w życiu. Ale dość było spojrzeć, by nie mieć wątpliwości, że jakieś lepsze bandziory.

Wyszedł, stając tuż pod murem. Rakowiec spojrzał pytająco. Wiącek wykonał ręką nieznaczny gest: „jeszcze nie”. Musiał to wszystko dokładnie przemyśleć. Żeby

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

nie ta godzina w zapasie, sprawa byłaby prosta: zapakować ptaszków do pudła i przyjrzeć się, co chowają w zanadrzu. Ale właśnie ta godzina stanowiła zagwozdkę.

Pomysł, który się nagle zarysował, był diabelnie nęcący. Nie wieją przecież na chybił trafił. Muszą mieć jakąś melinę na prowincji. Może ośrodek kierowniczy bandy?

Ta trójka i tak siedzi mocno w garści. A gdyby tak...

Jeszcze raz spojrzał na zegarek. Cała masa czasu. Przywołał ledwo dostrzegalnym ruchem głowy Rakowca.

- Biegnę porozumieć się z szefem. Bo tu taka rzecz... No, jednym słowem, miejcie ich tymczasem na oku. Aresztować jedynie w wypadku, gdyby chcieli prysnąć albo gdybym nie zdążył wrócić przed odejściem pociągu. Tylko uważajcie w razie czego. Sztuki wyglądają na zębate. Trzymajcie mundurowych w pogotowiu.

W sąsiedniej poczekalni też była budka telefoniczna.

Zamknął szczelnie drzwiczki. Nakręcił numer. Zabrzęczał przerywany sygnał.

Zajęte. Cholera, to zawsze tak...

Znowu nakręcił. Zaklął przez zęby. Zajęte i zajęte. Powieść czytają przez telefon, czy kie lichy?

Miniaturowa wskazówka posuwała się drobnymi skokami. W ten sposób gotów tu przestać całą tę godzinę.

- Halo! Hotel Centralny. - Odetchnął. No, nareszcie.

- Pokój siedemdziesiąt trzy proszę.

- Niestety. Centralka uszkodzona - telefonistka odwiesiła słuchawkę.

Wiącek z trudem zachowywał spokój. Psiakrew, taka pinda! Nie może poczekać... Zadzwoił jeszcze raz. Nie dał jej przyjść do głosu.

- Proszę natychmiast do aparatu inżyniera Żurkowskiego z siedemdziesiątego trzeciego!! - ryczał rozkazująco. - Niezmiernie ważna sprawa. Urzędowa!

Ani słowa, ani ton nie robiły jednak na niej najmniejszego wrażenia.

- Niestety, nic nie poradzę - głos znudzony, jakby zasypiała - posłać nie mam

kogo, sama nie mogę odejść od telefonu. Proszę zadzwonić za godzinę albo półtorej.

Centrala powinna być już wtedy naprawiona - znowu trzask rozłączonego połączenia.

Patrzył w słuchawkę z taką złością, jak by to ona była winna.

- Żeby to nagła krew z takimi porządkami... - przełknął parę dobitnych słów.

Po chwili ochłonął. Skoro nie można telefonicznie... Spojrzał na zegarek.

Stracił osiem minut. To, co zostało, powinno jednak wystarczyć. Żeby tylko złapać taksówkę.

Wybiegł truchtem. Tu mógł sobie na to pozwolić. Na dworcach wszyscy się spieszą.

Taksówka? Rozglądał się na wszystkie strony. Oczywiście nie było żadnej. Nie mógł czekać. Trudno, musi wystarczyć tramwaj. Akurat ruszał z przystanku. Puścił się w pogoń. Wskoczył. Uff...

Żeby tylko Kostrzewa był w swoim numerze. Powinien być. Przed południem wyglądał jak ostatnia wywłoka. Grypa czy coś w tym rodzaju. W każdym razie zapowiedział, że musi parę godzin poleżeć. O wczesnym świcie szykowano akcję na Daleką. Wywiadowcy donieśli, że tam kręcą się podejrzane typy. Ten głuchy zaulek odznaczał się tym, że właśnie w jego pobliżu zniknął wtedy Wypiór.

Daleka? Phy - Wiącek wzruszył wzgardliwie ramionami. - Dekoracja uległa zmianie. Wypiorą mieli na widelcu. I lichu wie, co jeszcze na dokładkę.

Zerkał na zegarek. Co ten tramwaj się wlecze jak po smole? Zepsuty czy kie lichu...

Drogę od przystanku przebył wyciągniętym kłusem.

- Inżynier Żurkowski? - zapytał walcząc z zadyszką. Portier przyjrzał mu się ze zgorzeniem, po czym rzucił okiem na tablicę z kluczami.

- Owszem. Jest w swoim numerze.

Wiącek sadził po kilka stopni naraz. Wpadł jak bomba.

Kostrzewa zamrugał na wpół przytomnie powiekami. Przytłumiona najróżniejszymi lekarstwami grypa wciąż dawała znać o sobie. Nie było sposobności wygrzać się jak należy.

Wiącek przypadł ku niemu, raportując telegraficznymi skrótami. Gdy skończył,

Kostrzewa sięgnął po zegarek.

- Dziewiętnasta dwadzieścia? O... to jeszcze sporo czasu - potarł czoło.

Natarczywy szum w głowie przeszkadzał zebrać myśli. Znowu łyknął proszek, popijając obficie wodą.

- Pojedziemy oczywiście obydwaj. Trzeba tylko zawiadomić pułkownika.

Wyciągnął rękę w kierunku aparatu telefonicznego.

- Na nic - powstrzymał go Wiącek. - Centrala nawaliła. Ale można będzie zadzwonić z dołu - dodał szybko.

- W takim razie... - Kostrzewa pośpiesznie wciągał ubranie. Ruchy zaczęły odzyskiwać sprężystość. Legitymacja, pistolet zapasowe magazynki. Proszki? No tak, lepiej wziąć. Wzrok padł na mały metalowy termos, stojący w szafce nocnej. Na

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

wypadek gwałtowniejszych dreszczy przygotował sobie herbatę z arakiem. Może się przydać w drodze. Wsunął do kieszeni płaszcz.

- Gotowe!

Wiącek pokiwał z uznaniem głową: tempo jak na wyścigach.

Zbiegli pośpiesznie na dół.

- Halo - Kostrzewa poznał głos pułkownika Kociuby.

- Tu mówi Żurkowski. Chciałem was zawiadomić... Trzask. Cisza.

- Psiakrew, rozłączyli! - Kostrzewa nakręcił powtórnie numer.

- Poproście, doktorze, o samochód - przypomniał szeptem Wiącek. - Bo z czasem skąpo, że strach.

- Dobrze.

Ale tym razem nie było sygnału. Kostrzewa postukiwał z wściekłością

widelkami. Cóż znów, u diabła? Spisek jaki czy co, do jasnej cholery! - klął w duchu

najgorszymi słowami.

Mężczyzna w roboczym kombinezonie, który akurat przechodził przez hall, pokiwał z ubolewaniem głową. - Nie dostanie pan teraz połączenia. Musieliśmy wyłączyć linię w związku z naprawą centralki wewnętrznej. Ale to najwyżej kwadrans.

A pół godziny to już najpóźniej. Wiącek się zachnął.

- Niech to wszyscy diabli! Kostrzewa pociągnął go ku wyjściu.

- Spróbujemy załatwić inaczej.

W pobliżu hotelu była apteka. Zamierzał stamtąd telefonować.

Zatrzymał się jednak na widok podniesionej pokrywy ze znakiem linii telefonicznej.

- Wyłączyliście na całej ulicy? - zapytał jednego z techników, manipulujących z zafrasowanymi minami.

- Tak. Wszystko przez ten hotel, Ale to nie potrwa długo.

Wiącek zzieleniał mrucząc coś pod nosem.

- Trudno - szepnął uspokajająco Kostrzewa - sądzą, że prędzej dostaniemy się na miejsce, niż znajdziemy czynny telefon.

Wiącek był tak zły, że nie mógł wydobyć z siebie ani jednego słowa. Na domiar wszystkiego taksówki ani na lekarstwo. Kostrzewa wysunął zegarek spod mankietu.

- Tramwajem też powinniśmy zdążyć.

Zdawało się im, że czekanie trwa całą wieczność. W końcu nadszedł. Wiącek zapytał konduktora:

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- O której będziemy na dworcu?. Konduktor wyciągnął cedułkę.

- Dziewiętnasta dwanaście.

- Uff! - odsapnął z ulgą, gdy znowu znalazł się obok Kostrzewy na przedniej platformie. - Szmata czasu. Całe osiem minut.

Na środku mostu tramwaj utknął. Wiącek wychylił się ryzykownie.

- Co u licha?

Wielka ciężarówka tarasowała szyny. Nic nie zapowiadało, by w najbliższym czasie miała stąd ruszyć.

Przestoimy tu do północy. Los śliwki w kompocie to naprzeciwno naszego cholerna kariera...

Kostrzewa obserwował krytycznie krzątanicę przy samochodzie. Zaczął go ogarniać coraz większy niepokój. Osiem minut zapasu kurczyło się z każdą chwilą.

Raz po raz spoglądał na zegarek.

- Na nic - zdecydował. - Wyskakujemy. Kilkadziesiąt metrów przebiegli w zabójczym tempie.

Teraz już wszystko stało się kwestią minut. Czerwono-żółte pudło autobusu wyskoczyło z przecznicy.

Rozepchnęli siłą pneumatyczne drzwi. Skok był ryzykowny. Konduktor pokiwał z naganą głową.

- A potem się dziwią, że tyle wypadków.

Wiącek już nie spuszczał z oczu zegarka. Jeszcze mogli się spóźnić.

Wyskoczyli, zanim dojechał do przystanku, i popędzili w kierunku dworca.

- Półtorej minuty - wydyszał w biegu Wiącek - szkoda marzyć. Nie będą przecież czekać do ostatniej chwili.

*

- Ten trzeci też szpik - Grom obserwował z filozoficzną miną muchę

spacerującą po suficie.

Felek skulił się jak pod uderzeniem. Jeszcze jeden?

- Coś wykalkulował? - ponaglił Czarny. Wierzył bez zastrzeżeń w spryt

kompana. Grom wciąż miał minę znudzonego podróżnego, który rozmyśla tylko o tym, czy warto się trochę zdrzemnąć.

- Nie są pewni - wargi ledwo się poruszyły. Telefon do naszych... Granda dla pucu, a my tymczasem fiuuut...

- Którędy?

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Przez ustęp. Drzwi na haczyk i oknem. Twarz Czarnego przeciągnęła się.

- Tam przecież też kraty.

- Nie ma krat. Po to wyjrzałem. Remont. Rusztowanie. Cały bajzel. Da się radę.

Wstał i leniwym krokiem ruszył w kierunku budki telefonicznej.

Uważny wzrok tamtego sprzed wejścia towarzyszył mu przez całą drogę. Nie przejmował się. Niech sobie patrzy. I tak pozostanie z nosem.

Rakowiec raz po raz strzygł oczami w stronę wielkiej tarczy zegara. Na to mógł pozwolić sobie bez ryzyka. Tu wszyscy patrzą na zegarki. To nawet pasuje do roli podróżnego. Co z tym Wiackiem? Nagadał diabli wiedzą co i jak kamień w wodę.

Łam teraz głowę, człowieku. Znów spojrzął na trójkę pod oknem. Tacy to mają swoje sposoby. Jakby się na przykład rzucili hurmem. Zaberski przy peronach rozstawi łapy i sprawa załatwiona. Nie wyłamią przecież żelaznych barierek. A tu choćby parokonnym wozem można wjechać. A potem ganiaj po całym mieście... Wyjrzał na ulicę. Nie, wciąż go nie widać. Swoją drogą mógłby się pospieszyć. Jeżeli mu rzeczywiście tak

zależało...

Ten wysoki wstaje. Dokąd to, bratku? Kabina telefoniczna? Ciekawe. Warto by posłuchać, o czym to chce porozmawiać. I przede wszystkim - z kim? Stłumił westchnienie. Jak nie da rady, to trudno.

Przy wyjściu na peron zamieszanie. No tak, pośpieszny osiemnasta pięćdziesiąt. Żeby ci dwaj nie skorzystali z tłoku. Nie... Siedzą nieruchomo jak zamarynowane mumie. Ten trzeci już wraca. Mina jak gdyby nigdy nic. Lepszy numer. Co to mogło być z tym telefonem?

A czas leci. Znowu ruch. Dziewiętnasta trzy. Swoją drogą ten Wiącek...

Osobowy dziewiętnasta dwanaście do Gdyni i wciąż go nie ma...

Co znowu za awantura? Tych dwóch pod kioskiem „Ruchu”... Znosi się na grubszą drakę. Ale to nie jego sprawa w tej chwili. Od czego Walczak nosi mundur?

Akurat musiał poleźć na drugą poczekalnię. No, tam też bywa rozmaicie.

Wysoki znów dokądś się wybiera. Z walizką? Jeżeli na peron, przyjdzie unieruchomić całe towarzystwo.

Nie... do umywalni. Ci dwaj sterczą jak przyklepieni. Ale przede wszystkim ten typ w bandażu. On przecież jest rodzinikiem.

Pod kioskiem zaczynają wrzeszczeć nie na żarty. Tarmoszą się. Ten Walczak

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

to też! Jak teraz akurat potrzebny, to diabli go gdzieś ponieśli. Zaberski ma głupią minę... Publika wieje. Żeby choć komuś przyszło na myśl wziąć tamtych za pierze.

Choćby ten byk w czerwonym krawacie. Jednym ruchem poskromiłby obydwu. Ani się obejrzy... Biadać to łatwo: chuligani robią, co chcą. Ale poruszyć samemu palcem?

Biją się... Trudno. Jemu nie wolno się dekonspirować.

Nagle huknęło jak z armaty. Tego już nie wytrzymał.

Strzelają?! Skoczył w kierunku kiosku i w tym momencie zobaczył, że tamci pod oknem wstają. Zatrzymał się.

Nie... Poszli tylko do ustępu. Tam przecież też są kraty. I walizy leżą w widocznym miejscu... Już był pod kioskiem. Co z tą kanonadą?

Zawiniątko w firmowym papierze leżało na taflach podłogi. Jeden z awanturników nachylił się szybko. Wewnątrz cienko dzwoniło szkło.

- Psiakrew - powiedział z żalem. - Trzy żarówki po sto wat.

Żarówki - Rakowiec o mało się nie roześmiał. Nic dziwnego, że tak gruchnęło.

Z awantury już ani śladu.

- Oczywiście pokryję panu straty - powiedział słodko ten drugi. - To moja wina... - Wersal.

I nagle przeszła mózg Rakowca ostra jak błyskawica myśl. Remont! W oknach ustępu nie było krat. Zrobiło mu się zimno. Walizki pozostały dla zamydlenia oczu.

Runął długimi susami, roztrącając ludzi. Teraz już wszystko jedno. Za dwie minuty odchodzi pociąg. Właśnie ten. Napał na drzwi. Były od wewnątrz zamknięte.

*

Wiącek znieruchomiał na progu. Ławka pod oknem świeciła pustką. Tylko te walizki. Trick stary jak świat. Co się stało?

Rakowiec był zdyszany do ostateczności. W twarzy ani kropli krwi.

- Oni przeszli przez ustęp. Myślałem, że tam są kraty... Wiącek wciągnął głęboko powietrze. Wszystko stało się od razu jasne. Jeżeli wsiądą do tego pociągu, do którego wykupili bilet, pozostanie jeszcze cień nadziei. Ale skoro są już ostrzeżeni,

mogą pojechać innym... To groziło kompletną klęską. Bileter aż się wychylił z budki.

- Dokąd, obywatele?

Kostrzewa błysnął w przelocie jakąś starą peronówką. Wiącek wziął rozmach jak przy braniu przeszkody.

- Dziewiętnasta dwadzieścia - rzucił w formie wyjaśnienia. Bileter obracał w

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

palcach guzik, który mu pozostał w ręku.

Biegli wyęzając wszystkie siły. Wiącek przeskoczył z rozpędu potężny kufer.

Dwubarwna tarcza z tyłu ostatniego wagonu wskazywała metę tego

szaleńczego biegu. Ale w tym momencie pociąg ruszył. Poderwali się rozpaczliwym zrywem.

Jakiś sokista próbował ich zatrzymać.

Wyminęli go gwałtownym uskokiem. Pocztowy wózek zapiszczał przeciągle hamulcami.

Jeszcze jakaś sylwetka wyskoczyła na drogę. Wiącek strzelił złym spojrzeniem.

Lechota z dworcowego. Rychło w czas się obudził. Lechota również go poznał. Ramiona mu opadły.

- Nie zdążycie...

Jednak odległość malała. Pociąg toczył się jeszcze powoli.

Ostatnie metry były najtrudniejsze. Serce podchodziło do gardła dławiąc oddech. Skoczyli długim susem.

Wiącek zacisnął palce na poręczy wejścia. Kostrzewie poszło gorzej. Uchwycił się jakiegoś żelastwa, sterczącego z tylnej ściany wagonu. Przez ułamek sekundy chybotął w powietrzu. Pociąg szedł coraz szybciej. Po chwili poczuł pod podeszwą

okrągłą twardziłą buforu. Przedostanie się na szczebel żelaznej drabinki było już drobnostką.

Obaj, ciężko dysząc, powoli przychodzili do siebie. Wszystko w porządku.

Do toalety wciąż ktoś wpadał. Felka ogarniała panika. W jaki sposób zdołają przejść przez okno przy obcych? Z miejsca przecież narobią alarmu. Twarz Groma jednak była spokojna. Widocznie miał na to jakąś radę.

Przez drzwi przeniknął gwar podnieconych głosów. Pewnie właśnie ta heca, o której mówił Grom. Awantura stawała się coraz głośniejsza. Jakiś typ zawrócił od progu. Widocznie nie chciał przepuścić okazji. Nagle rozległ się donośny huk. Felek drgnął. Strzelają? Grom jednak był nadal zupełnie spokojny. Widocznie wszystko szło według programu. Spojrzał na zegarek. W toalecie nie było nikogo. Podeszedł ku drzwiom. Wetknął w zamek wytrych i przekręcił dwukrotnie.

- Będą myśleli, że nieczynny - mruknął. - Zresztą bezpieczniej. - Otworzył matowe okno. Wyrzął.

- Wyłazić!

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Przed oknami rzeczywiście wznosiły się rusztowania i leżały spiętrzone skrzynie tworząc doskonały parawan. Wydostali się na zewnątrz zupełnie gładko. Nikt nie zauważył. Peron wypełniał tłum snujących się podróżnych. Jakiś mężczyzna zajrzał im po kolei w twarz. Felkowi serce stanęło dęba. Miał wrażenie, że twarde palce chwytają go już za kołnierz. Tamten jednak już macał ostrym wzrokiem twarz innych.

- To chyba był szpicel - szepnął roztrzęsionym głosem, gdy już oddalili się na bezpieczną odległość.

- Tak - potwierdził sucho Grom. - Ale mieliśmy szczęście. Nie poznał. Droga

wolna.

Po upływie niecałej minuty siedzieli w pustym przedziale. Felek ustawicznie zerkał na wskazówki wiszącego akurat naprzeciwko okna zegara. Dziewiętnaście po siódmej. Jakże ten czas wolno się wlecze. Wydawało mu się, że ta minuta jest dłuższa od ostatniej godziny.

Po korytarzu z rzadka tylko ktoś przechodził. Nie zanosilo się na tłok. Do odjazdu pozostało jeszcze tylko kilkanaście sekund.

Nareszcie! - odetchnął z ulgą.

Podłoga pod nogami lekko zadrgała. Koła zastukały po szynach. Zabudowania stacyjne zaczęły się powoli odsuwać w tył. Felek przejechał dłonią po czole. Było kompletnie mokre.

Czarny wyciągnął nogi na całą długość.

- Mieliśmy szczęście jak bękarty - uśmiech, z którym podsuwał Felkowi otwarte pudełko papierosów, był prawie przyjazny.

Grom wciąż nie odchodził od okna, obserwując peron.

- Tak - rzucił przez ramię - udało się. Co tu dużo gadać, mogła być krewa.

Nagle gwałtownie pobladł. Oczy zwięziły się w podłużne szparki. Odskoczył w tył z dzikim przekleństwem.

- Szpicle! - znowu pochylił się ku oknu i chowając twarz za metalowe

obramowanie wyjrzał ostrożnie. Felek zdrętwiał. Więc jednak... I to w momencie, gdy już był pewien, że wszystko w porządku.

Czarny podszedł ku kompanowi. Dotknął jego ramienia.

- Skąd wiesz? Może jacyś podróżni...

- Gówno. Ten sam, który mi podpadł w poczekalni, i jeszcze jakiś... Pędzą jak

charty.

Rysy jego twarzy ściągnęły się ostro, przypominając pysk drapieżnego

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

zwierzęcia.

- Może jednak nie zdążą... - bąknął Czarny próbując wyrzeć. Grom odepchnął go łokciem.

- Stój, do jasnej cholery, spokojnie pod ścianą! Chcesz, żeby nas oglądali jak na wystawie? Bo jeśli nie mają pewności, to się wymigamy. A tak gotowi zatrzymać pociąg. Koła stukały coraz prędzej.

Felek tkwił sztywno na ławce jak kawał drzewa. Grom znowu odskoczył w głąb przedziału.

- Już się podwiesili. I to akurat do naszego wagonu - bluznął wściekle ohydnym przekleństwem.

- Może... - Felek wreszcie zdołał wydusić z siebie głos - może byśmy do innego... bo... - ogarnęło go nagle niepowstrzymane pragnienie ucieczki. Siedzieć tak z założonymi rękoma i czekać, aż chwycą?... To było przecież nie do wytrzymania.

Uciekać. Za wszelką cenę uciekać. Wszystko jedno, dokąd. Aby tylko jak najdalej...

Zanim tamci wejdą, zanim wszystko przepatrzą. A gdzieś, na jakiejś stacji, da się

prysnąć. Zerwał się. - No - szarpnął Groma za rękaw. - Uciekamy?

Grom pchnął go z powrotem.

- Siedzieć i ani pary z gęby - błysnął oczyma. Czarny chwiał się w takt przechyłów wagonu.

- Może by rzeczywiście - bąknął niezdecydowanie - bo...

- Zamknij jadaczkę - twarz nabiegła mu krwią. Nieoczekiwanie wstał i ruszył w

tył korytarza.

- Czekać tu na mnie - rzucił przez ramię. Felek gonił za nim osłupiałym wzrokiem.

Krok Groma stał się lekki, skradający. Podchodzi ku drzwiom. Kładzie ostrożnie rękę na klamce...

Nagła myśl poraziła go: skoro tamci stoją na stopniu... Przed oczyma zobaczył krwawą miazgę ludzkich ciał. Serce skoczyło do gardła. Siedział odrętwiały i czekał...

Nie trwało to długo. Nagle Grom nacisnął klamkę i pchnął, z całych sił.

Ciężkie, obite metalem drzwi zatoczyły gwałtowne półkole. Rozpaczliwy krzyk. Może mu się zresztą tak zdawało? Szum w uszach był pełen najdziwniejszych dźwięków.

Potem już trwał tylko miarowy stukot kół. Wyjrzał przez okno. Stopnie były puste. No

tak... czegoż mógł się spodziewać innego? Nagły zamach skrzydła drzwi zmiotłby

największego osiłka. Przełknął ślinę. Pod czaszką narastała wielka bryła ołowiu,

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

ugniatając mózg.

Grom zamknął drzwi z powrotem. Machinalnym ruchem otarł palce o spodnie,

jakby chciał z nich usunąć coś niewidzialnego.

- Wypadek - suchy śmiech przejechał jak ostrym pilnikiem po nerwach. -

Zwykły wypadek. Nie należy się czepiać dalekobieżnych pociągów.

Czarny opadł na ławkę.

- Gdy ich znajdą...

Grom wzruszył lekceważąco ramionami.

- No to co z tego? Czy ludzie nie spadają ze stopni? A oni sami... - rozsiadł się

wygodnie. - Nie - potrząsnął głową - trzymam stówkę przeciwko złamanemu

guzikowi, że żaden ani zipnie. Przy tej szybkości... Phy - wydał wargi.

Czarny powoli odwrócił głowę w kierunku okna.

- Fakt - mruknął po chwili - powinni znaleźć tylko ścierwa. Jedynym słowem: sprawa załatwiona?

- Na sto dwa.

Felek wlepił spojrzenie niewidzących oczu w przeciwległą ścianę. Czyż z tej drogi nie ma już powrotu?

Kostrzewa przyłgnął całym ciałem do żelaznej ścianki wagonu, zapuszczając ostrożnego żurawia poprzez owalną szybę.

Może tamci wcale nie wsiedli do tego pociągu?

Poczuwszy dotknięcie na ramieniu spojrzał w kierunku Wiącka. Widział ruch jego warg. Nic jednak nie mógł dosłyszeć. Za to gest w kierunku klamki nie pozostawiał wątpliwości. Kostrzewa skinął głową. Słusznie, czas już wejść do wagonu.

Wyciągnął nogę w kierunku stopnia.

Nagle znieruchomiał.

W tym, że jakiś mężczyzna w kurtce z wielbłądziej sierści szedł korytarzem, nie było nic zastanawiającego. Natomiast zastanawiające były jego ruchy. Jakby się szykował do czegoś ostatecznego. Szybkie spojrzenia rzucone poza siebie nadawały jego zachowaniu jeszcze bardziej podejrzanego charakteru.

Nie, to stanowczo nie wyglądało na zwykły spacer. O co mogło chodzić?

Dostrzegł kącikiem oka zdumione spojrzenie Wiącka.

Nie tracąc jednak czasu na wyjaśniające gesty poświęcił całą uwagę temu, co

się działo poza zakurzoną szybą.

Nieznajomy jeszcze raz się obejrzał. Korytarz był zupełnie pusty. Tylko dwie głowy wyglądały z pobliskiego przedziału.

Dwie plus on? Hm... To by się zgadzało. Ale co właściwie zamierza? Czyżby go dojrzał pomimo ostrożności i teraz... Nie... ręce miał puste. Jeden z tamtych był w bandażu. Aha... więc to tak.

Stoi już przy drzwiach. Czyżby zauważył Wiącka? Chyba nie... Podnosi teraz rękę ku kłamce... co!!

W drobnym ułamku sekundy wszystko nagle stało się jasne. Nie było ani chwili do stracenia. Z całej siły zacisnął prawą dłoń ręki na żelaznej sztabie. Wychylił się w stronę Wiącka. Złapał go kurczowym chwytem za ramię.

- Skacz! - wrzasnął rozpaczliwie, pragnąc za wszelką cenę przekrzyczeć ogłuszający brzęk żelastwa. Jeżeli będzie się zastanawiał... Jeżeli się zawaha - nie zdąży na pewno.

Wiącek jednak usłuchał. To był odruch instynktowny. Nie wiedział przecież, co mu grozi. Skoczył i zawisł w powietrzu, zaczepiony jedną ręką za szczebel drabiny. Kostrzewa z rozpaczliwym wysiłkiem starał się podciągnąć go do góry. Miał wrażenie, że coś mu powoli wyłamuje rękę ze stawów. Przemozna siła ciągnęła ich obu w dół.

Nagle poczuł, że ciężar zelżał. Wiącek końcem buta zaczepił o jakąś śrubę, podźwignął się na cał, uchwycił drugą ręką za drabinkę i stanął o własnych siłach. Wytrzeszczył oczy na Kostrzewę. Pot ciężkimi kroplami spływał z czoła.

- Co... - wyrzęził z wysiłkiem.

Nie zdążył jednak powiedzieć nic więcej. Drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Omiotły dokładnie przestrzeń nad stopniami i z impetem trzasnęły o ścianę wagonu.

Nad tymi samymi stopniami, na których stał jeszcze przed króciutką chwilą... To starczyło za wszystkie wyjaśnienia. Żadna siła nie potrafiłaby go ocalić przed runięciem, gdyby tam jeszcze stał dotychczas.

Spojrzał na Kostrzewę. To było spojrzenie człowieka, który nie zapomni nigdy, że mu ocalono życie.

Stanął pewniej. Drzwi powoli zamknęły się.

- Czy to oni?... - głos Wiącka brzmiał już niemal zupełnie normalnie. Na rozkliwianie się nie było miejsca.

Kostrzewa kiwnął potwierdzająco głową, po czym zmarszczył ostrzegawczo brwi.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Tss!...

Znowu ostrożnie zajrzał do wnętrza wagonu. Nie słyszał śmiechu człowieka w sportowej kurtce. Dostrzegł za to grymas jego warg. To musiał być bardzo zjadliwy śmiech. Zapamiętał sobie tę twarz.

Mężczyzna postął jeszcze przez chwilę przy drzwiach, po czym ociągłym krokiem ruszył w kierunku przedziału.

Nagle obejrzał się. Kostrzewa cofnął pośpiesznie głowę. Nikłowa klamka drzwi przedziału przesunęła się powoli. Korytarz był znowu pusty.

Przysunął usta do ucha Wiącka.

- Cała godna trójka - musiał podnieść głos, aby przekrzyczeć hałas. - Trzeba się zastanowić, jak wejść do wagonu bez zwrócenia ich uwagi.

Wiącek kiwnął głową. To wcale nie było takie proste.

Pułkownik Kociuba ze złością stukał w widełki. Co znów za porządki, żeby

przerywano w pół słowa. Nie mógł uzyskać połączenia. Biuro naprawy poinformowało go, że przeprowadzają naprawę miejscowej centrali. „Sprawdzimy i zawiadomimy za chwilę”. Powinni zakończyć za kilka minut. Odłożył ze złością słuchawkę. Czego mógł chcieć Kostrzewa? Głos wprawdzie nie wskazywał na nic specjalnie alarmującego, ale to jeszcze niczego nie dowodziło. Wreszcie odezwał się hotel:

- Inżynier Żurkowski wyszedł na miasto.

Oczywiście nie pytał, dokąd. To byłoby bezcelowe.

- Proszę powiedzieć, gdy wróci, żeby natychmiast zatelefonował tam, dokąd przerwano mu połączenie.

Co z tym Kostrzewą?! Zapalił papierosa pochylając się nad aktami. Po pewnym czasie znowu spojrzął w kierunku milczącego telefonu. Jakiś pilny interes i potem nie daje znaku życia.

Pogрузzył się znowu w studiowaniu akt. Sprawa była skomplikowana i zaczęła go wciągać coraz bardziej. Gdy oderwał wreszcie zmęczone oczy od gęsto zapisanych kart, było nadspodziewanie późno.

Połączył się z hotelem. Może zapomnieli powtórzyć? Okazało się, że nie mieli okazji. Kostrzewa nie wrócił. „Inżynier Żurkowski wyszedł z jeszcze jednym panem - zakomunikował portier.

„Jeszcze jeden pan”? - zastanowił się Kociuba.

Zatelefonował do mieszkania Wiącka. Może tam coś wiedzą?

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Nie wiedziano jednak nic. Żona była zafrasowana, chociaż starała się tego nie okazywać. „Zawsze mnie uprzedzał, gdy miał wrócić później. Dziś zapowiedział, że przyjdzie punktualnie na obiad”.

Już się zabierał do wyjścia, gdy do gabinetu zajrzał kapitan Kawecki.

- Jest co nowego w sprawie Lebiody? Pułkownik z brzękiem wepchnął klucze do kieszeni.

- Mnie w każdym razie o tym nic nie wiadomo.

- Myślałem, że jednak... - kapitan był rozczarowany. - Ko... hm... - uśmiechnął się - Żurkowski obiecał do mnie wpaść gdzieś około siódmej i ani widu, ani słychu.

Zawsze taki słowny, a tu naraz nawalił... Oczekiwałem więc jakichś rewelacji.

- Kostrzewa się gdzieś zapodział. Razem z Wiąckiem - pułkownik opowiedział o przerwanej rozmowie. - Jestem nawet trochę o nich niespokojny.

- Nie sądzę, by były jakieś podstawy do niepokoju Kawecki nawijał na palec kosmyk włosów. - Raczej chyba jest tak, jak myślałem: natrafili na jakiś gorący trop.

- Może - Kociuba z namysłem wciągał płaszcz - tylko że trop, którego szukają, jest tropem dzikich, gotowych na wszystko bestii.

W ciągu nocy Kociuba kilkakrotnie telefonował z mieszkania do dyżurnego.

- Nic? - nie potrzebował wyjaśniać, o co chodzi.

- Nic - brzmiała stale ta sama odpowiedź. Zaniepokojenie wzrastało.

Kostrzewa nie powracał do hotelu. Wiącek nie zjawił się w mieszkaniu ani nie dał jakiegokolwiek znaku życia.

Dopiero nad ranem przyniesiono do urzędu telegram, adresowany do pułkownika Kociuby.

To był pośpieszny. Minęła przeszło godzina, zanim zatrzymał się na pierwszej stacji. Ledwo zdołali ustać na nogach, gdy poczuli pod stopami twardy beton peronu.

- Trzy minuty postoju - oznajmił donośnym głosem konduktor.

Trzy minuty to bardzo niewiele. Musieli się zwijać. Najpewniej tamci zdążyli

zapamiętać sobie ich wygląd. To nie byli nowicjusze. Szczególnie ten o żółtych oczach. Kostrzewa miał przy sobie wielkie okulary w grubej, ciemnej oprawie. Nie rozstawał się z nimi niemal nigdy. Nieraz oddały poważne usługi. Wystarczył jeden ruch, by twarz zmieniła swój wygląd.

Tym razem wręczył je Wiąckowi. Jemu mieli okazję przyjrzeć się dokładniej.

Zamienili między sobą płaszcze i nakrycia głowy. Płaszcz Wiącka był sporo za krótki

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

na Kostrzewę. Jemu natomiast płaszcz Kostrzewy prawie objął pięty. Nie wyglądało to jednak zbyt rażąco. Wiącek musiał napchać papierem pożyczony kapelusz... Zmienił sposób wygięcia runda. Wyłowił z portfela kawałek plastra. Nie tak łatwo było z niego coś sprokurować. Kostrzewa musiał go długo miętosić w palcach, zanim przyklepiony w odpowiedni sposób na podbródku ściągnął skórę, zmieniając nie najgorzej jego zarys. To było wszystko, co w tych warunkach mogli zrobić.

Pozostawał do usunięcia jeszcze jeden szkopał.

Podróżni z pustymi rękoma łatwo mogli zwrócić uwagę. Szczególnie w dalekobieżnym pociągu. Skąd jednak wziąć bagaż? Wiącek kopnął się do kiosku „Ruchu”. Po chwili powrócił ze stertą gazet. Znalazł się nawet arkusz pakowego papieru i kawałek sznura. Sprzedawczyni była bardzo uprzejma. Podróżni miewają czasem kłopoty z pakunkami.

Operację przeprowadzili błyskawicznie, w ukryciu, za drewnianą tablicą z rozkładem jazdy. Zmięte gazety wypełniły solidnie pakunek.

Patrząc na to, w jaki sposób Kostrzewa niesie owiniętą sznurkiem paczkę, każdy byłby gotów przysiąc, że na pewno nie jest lekka.

- Pociąg w kierunku...

Wiackowi nie trzeba było dużo tłumaczyć.

- Wy po jednej stronie - rzucił szybko Kostrzewa - ja po drugiej. Nie znamy się. I uwaga: może im strzelić do łbów, by prysnąć gdzieś po drodze.

- Zrobione. Mądrej głowie dość pałką w łeb... Wsiadali z różnych końców wagonu. Kostrzewa przyjrzał się uważnie chrapiącej w końcu przedziału kobiecie.

Wyglądała na handlarzę. Wygląd zresztą niczego nie dowodził. On sam przecież był uosobieniem gapiowatego podróżnego z zapadłej stacyjki. Kto wie, jak daleko sięgają macki...

Wynik obserwacji uspokoił go ostatecznie. Spała naprawdę. W tym wypadku powierzchowność raczej odpowiadała istocie rzeczy.

Do przedziału zajrzał konduktor.

- Nie zdążyłem kupić biletu - zameldował Kostrzewa. Konduktor sięgnął po bloczek.

- Trzeba będzie zapłacić karę.

- Trudno - uśmiechnął się Kostrzewa - pośpiech zawsze musi kosztować.

Kiedy będziemy mieli dłuższy postój? - zapytał po chwili.

Wysłanie depeszy do Kociuby było sprawą niezmiernej wagi. Pułkownik

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

przecież musi się porozumieć z Urzędem Bezpieczeństwa w mieście, do którego jechali. W przeciwnym razie mogłyby wyniknąć poważne trudności.

- Dwudziesta trzecia czterdzieści pięć - ołówek konduktora nie zatrzymywał się. Kostrzewa zapłacił w milczeniu. Prawie cztery godziny.

Możliwość szybkiego porozumienia się z miejscowym urzędem stawała się mocno problematyczna. Zanim Kociuba otrzyma depeszę, będzie już późna noc.

Wątpliwe, żeby zdołał przyłapać kogoś kompetentnego.

Po wyjściu konduktora Kostrzewa sięgnął po gazetę.

Ktoś przechodził korytarzem. Kostrzewa spojrzął ukradkiem. Nie, żadnych otworów w gazecie. To było zdradliwe. Bokiem albo przez wierzch. Trzeba tylko pewnej wprawy.

To był ten w wielbłądziej kurtce. Pewno bada teren. A jeżeli chce wyskoczyć?... Sprężył się cały, ale w tej samej chwili opadł swobodnie na ławkę.

Nonsens. Pociąg w pełnym biegu. Nawet najzwinniejszy akrobata skreśliłby kark.

Wiacek miał niezmiernie senną minę, co nie przeszkodziło mu ani trochę w dokładnym zlustrowaniu dwóch siedzących przy oknie mężczyzn. Jeden drzemał wciśnięty w róg przedziału, drugi nie odrywał oczu od stronic książki w jaskrawej okładce. Nic nie wskazywało, by mogli mieć coś wspólnego z tamtymi. Ale diabli wiedzą. Nie zaszkodzi na wszelki wypadek mieć ich przez cały czas na oku.

Usiadł w taki sposób, by móc obserwować korytarz i przysłonił oczy powiekami. To w czasie nocnej podróży najmniej zwraca uwagę. Okulary zaś Kostrzewy tak zasadniczo zmieniały twarz, że nie potrzebował jej specjalnie ukrywać. Również zapytał konduktora o najbliższy dłuższy postój.

Słyszając odpowiedź z trudem stłumił westchnienie. Biedna Marysia, ta noc nie będzie dla niej dobra. Że też nie mógł znaleźć okazji, by zawiadomić ją o wyjeździe.

Pokiwał głową. Uważać. Ba...

Trzasnęły drzwi jakiegoś przedziału.

Udawał w dalszym ciągu pogrążonego w drzemce. Przez ledwo dostrzegalne szparki pomiędzy powiekami zdołał się jednak przyjrzeć dokładnie mężczyźnie w wielbłądziej kurtce, który przeszedł po korytarzu, zaglądając niby to przelotnie do

wnętrza przedziału.

Jeden z tych trzech spod okna w poczekalni. Na pierwszy rzut oka nic
niezwykłego. Ot, jakiś wysportowany chłystek.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Ale wrażenie to ustępowało na widok jego oczu. Wzrok miał zimny, twardy i
ostry jak stal. „Niebezpieczny typ” - określił go w duchu Wiącek.

Trzeba się mieć na baczności w razie czego. Ten nie będzie żartować.

Kostrzewa wspomniał, że mogą drapnąć gdzieś po drodze. To było bardzo
prawdopodobne. Bilet wykupuje się dla niepoznaki, a potem gdzieś, na jakiejś całkiem
innej stacji - hyc z pociągu. Albo nawet gdzieś pod semaforem.

Zwinął ciasno kulkę papieru i wcisnął ją nieznacznie pomiędzy drzwi. Nie tak
trudno zatrzasać je od zewnątrz. A bywają chwile, gdy każda sekunda ma swoją cenę.
Pewnie, że prościej byłoby otworzyć specjalnie do tego celu przeznaczoną klapkę, ale
to mogłoby zwrócić uwagę.

Oparł wygodnie plecy o ścianę.

Patrząc na niego można by przysiąc z czystym sumieniem, że zapada w coraz
głębszy sen.

Nie spał jednak. Był w każdej chwili gotów do natychmiastowej akcji.

Trzeba było nie byle jakiej spostrzegawczości, by dostrzec, że przez cały czas
postoj u nie przestawali zerkać spod opuszczonych powiek ku oknu.

Felek nawet nie próbował ich naśladować. Gdzie mu tam do nich. Zresztą cóż
podejrzanego w tym, że ktoś wygląda na stację?

- Tylko facjaty nie wystawiać na pokaz - ostrzegął Grom - może i tu ktoś
ogląda sobie warszawskie portreciki. *Sicher ist sicher.*

Felek rozcierał końcami palców policzki. Skóra wciąż nie mogła przyjść do siebie po ucisku bandaża. Dobrze, że choć pozwolili go w końcu zdjąć.

Nie odrywał rozognionych oczu od szyby. Wsiadali rozmaici. Każdy z nich mógł być szpiclem...

Doznał ogromnej ulgi, gdy pociąg wreszcie ruszył. Postój trwał trzy minuty.

Zaledwie trzy. Aż trudno było uwierzyć.

Po obu końcach korytarza rozległo się niemal jednocześnie trzaśnięcie drzwi.

Grom poruszył się nieznacznie.

- Ci dwaj, którzy teraz wskoczyli... - powiedział przyciszonym szeptem.

Czarny nie przejął się ani trochę.

- Ciemniaki z Pipidówka. Dość spojrzeć na bagaż. Papier i sznurek. Czyżby szpicle nie mogli się zdobyć na prawdziwe walizki?

- Może - Grom wciąż nie podnosił powiek - może i ciemniaki. Ale za „może”

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

niejeden już usiadł na długo.

Czarny drgnął.

- Myślisz, że...

- Gównu cię obchodzi, co myślę, powiadam, że trzeba sprawdzić.

Wstał, przeciągnął się. Jakby się otrząsał z głębokiego snu. Felek obserwował go z mimowolnym podziwem. Ależ odstawia, rany... Jak w filmie.

- Chciałbym wyjść na chwilę - powiedział to głośno. - Może panowie zechcą tymczasem zwrócić uwagę na mój bagaż.

Wyszedł. Czekali z rosnącą niecierpliwością. Wreszcie zjawił się na progu.

- I co? - nie wytrzymał Czarny.

Przymknij szczekaczkę, jeśli łaska - syknął cicho. Usiadł. Wyciągnął nogi.

- Sterczą po obu stronach naszego przedziału - mówił ledwo dosłyszalnym szeptem.

- Szpicle?

- Nie wiem. Na czole nie raczyli sobie tego wypisać. Ale jeżeli faktycznie, zakorkowaliby nas jak w butelce. Musimy ich rozgryźć.

Nieznaczny gest Kostrzewy musiał wystarczyć za całą rozmowę.

Wiącek zresztą przewidywał, że z pierwszej większej stacji nada się telegram do Warszawy.

Przeczekał chwilę, po czym wyjrzał z przedziału. Typ w sportowej kurtce wysiadł również. Diabli wiedzą, co to może znaczyć. Było sporo możliwości. Może zamierzał prysnąć na miasto? Wcale niewykluczone, że plan polegał na tym, by się urywać po jednym. Mógł także wyjść po to, by śledzić Kostrzewę. Ale i zwykły spacer do bufetu na kufel piwa także nie wyglądał nieprawdopodobnie.

Wyszedł na korytarz, przeciągnął się i zajął miejsce przy środkowym oknie.

Stąd będzie miał pod kontrolą oba wyjścia z wagonu, jednocześnie zaś najrozleglejsze pole widzenia, jeżeli chodzi o faceta w kurtce.

Po krótkiej obserwacji nie miał już najmniejszych wątpliwości: tamtemu chodziło o Kostrzewę. Typ oczywiście nie deptał mu po piętach. Na to widocznie był za sprytny. Zachowanie się jego zdradzało, że nie po raz pierwszy uprawia ten sport.

Wiącek zaniepokoił się. Sytuacja groziła dalszymi komplikacjami. Był przekonany, że Kostrzewa doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że jest śledzony. Ale to nie było wszystko. Kostrzewa mógł mieć trudności z wysłaniem depeszy i gdyby mu

się nie udało, skutki byłyby fatalne.

Kostrzewa zniknął we wnętrzu stacyjnego budynku. W chwilę po nim wszedł tam również typ w kurtce.

Wiącek żuł w zdenerwowaniu dolną wargę.

Kostrzewa pewnie wykombinuje jakiegoś szpasa. Nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, co by w tych warunkach dało się wymyślić, wierzył jednak bez zastrzeżeń w Kostrzewę.

Kostrzewa rzeczywiście od pierwszej chwili zauważył „cień” za swoimi plecami. Zachnął się. To piekielnie utrudniało zadanie, a nic tu nie pomoże żaden szyfr.

Wystarczy, żeby tamten zobaczył adres, by cała konspiracja prysła w mgnieniu oka.

Nie miał zaś najmniejszych wątpliwości, że uczyni wszystko, by zerknąć na depeszę.

Należało za wszelką cenę do tego nie dopuścić. Ale w jaki sposób? Żaden pomysł nie przychodził mu do głowy. A depesza musiała być nadana.

Zwolnił kroku. Dopóki nie będzie wiedział, jak z tego wszystkiego wybrnąć, wchodzenie do pomieszczenia dworcowej poczty nie miało sensu.

Błądził zamyślonym wzrokiem po jakimś obwieszczeniu, nie zdając sobie sprawy z jego treści. W pewnej chwili wzrok zatrzymał się na dole arkusza.

„Podpisano...”

Skojarzenie było dosyć odległe. Pomysł jednak powstał w mgnieniu oka. Z trudem powstrzymał uśmiech. Tego kawału w każdym razie nie można będzie nazwać oklepanym.

I może nawet ubije dwa zające jednym strzałem. Powinno się udać.

Wszedł na pocztę, zajął miejsce przy pulpicie. Tamten przeglądał książkę telefoniczną w odległości nie nasuwającej podejrzeń. Kostrzewa obserwował go

nieznacznie. „Rozgrywa nie najgorzej tę partię - skonstatował w duchu. - Wskoczy dopiero w ostatniej chwili”.

Już niemal nie zwracając na niego uwagi zajął się swoją depeszą.

Wypisał zaszyfrowany tekst. U góry zazaczył: „Urzędowa. Pilne!” Włożył do koperty. Zakleił starannie. Kaligrafował każdą literkę: „Poufne. Naczelnik Urzędu Telekomunikacyjnego w...”

Podszedł do okienka godnym krokiem. Typ w kurtce wyrósł tuż obok w odpowiednim momencie.

- Inspektor Ministerstwa Łączności, Stefan Krycki - przedstawił się Kostrzewa,

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

podtykając pod nos zaspanej urzędnicze legitymację.

W panienkę jakby piorun nagle trzasnął. Senność uleciała bez śladu. Nawet poczerwieniała z emocji. Na legitymację, zgodnie z przewidywaniem, ani spojrzała.

- Słucham, obywatelu inspektorze. Może poprosić naczelnika?

- Dziękuję - głos Kostrzewy stał się jak najbardziej urzędowy - to zbędne.

Proszę mu tylko doręczyć pismo - podał kopertę. - Do rąk własnych i natychmiast.

- Oczywiście, obywatelu inspektorze.

Kostrzewa obrócił się na pięcie, jakby uważał, że dokładne wykonanie polecenia rozumiało się samo przez się.

„Będzie teraz długo rozgryzał ten orzeszek” - pomyślał z zadowoleniem.

Zdołał zaobserwować, że scena wywarła na kompanie Wypiorą dostateczne wrażenie.

Uśmiech na twarzy Groma wyrażał pełną satysfakcję.

- Gość rozpracowany do podszewki - wytrzymał pauzę patrząc spod oka na Czarnego.

- I jak? - zniecierpliwiał się wreszcie Czarny. Grom wydał wargi.

- Facet z ważniaków, tylko że branża nie ta. Spec od skrzynek pocztowych i tym podobnych.

- Pewne na sto dwa? - Czarny miał jeszcze wątpliwości.

Wzruszył ramionami.

- Może ty nie lubisz strzelać bez prochu. Ja tam nie amator. Mucha nie siada.

Narobił rabanu, pisał protokoły, świecił legitymacją. Inspektor jakiś w biurko kopany.

Widać było, że to odkrycie wprawiło go w doskonały humor.

- Hm... A ten drugi? Sterczał przez cały czas w korytarzu.

Grom nagle się rozzłościł. Oczekiwał, że go powitają bardziej owacyjnie.

- Najlepiej sam skubnij figurkę za pierze - zaproponował zjadliwie. - „Czy szanowny obywatel przypadkiem nie z ube?”

Czarny skrzywił się.

- Parcie na żarty, he? A kawał może odwalić całkiem kto inny.

Grom spoważniał.

- Nie musisz zaraz podskakiwać. A z gościem twoja racja. Diabli go wiedzą.

Może Bogu ducha winny szczyl, a może z branży. Lepiej przesolić niż wsiąknąć.

Trzeba go mocno kapować i w razie czego... - uczynił znaczący gest.

Felek wysłuchał relacji Groma z wielką ulgą. Jak tak, to wszystko w porządku.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Jeden z poczty, drugi pewno też jakiś całkiem niewinny podróżny. Gdyby było inaczej,

Grom niewątpliwie okazałby znacznie więcej zainteresowania.

Ulokował się, jak tylko mógł najwygodniej. Najchętniej wyciągnąłby się na

ławce. Miejsca nie brakło. Ale nie pozwolą. Nawet nie warto pytać.

Powoli myśli zaczynały mętnieć. Stukot kół złał się w jeden przeciągły szum.

Co to tak szumi? Liście? No tak... Przecież to las. Wielki, gęsty las, którego końca nie widać. Był już chyba w tym lesie kiedyś? A może i nie. Miękki, pachnący mech. Jakże przyjemnie się na nim wyciągnąć. Tylko te szyszki, które ugniatają ciało. Wybierał je mozolnie spod siebie. W końcu zaprzestał. Przybywało ich coraz więcej. Jakby wyrastały prosto z ziemi... W końcu nie było już mchu. Tylko szyszki. Aż w kościach świdrowało od spiczastej twardości.

Las. Był w nim sam. Grom i reszta ferajny pozostali daleko. Uciekał im długo, aż się gdzieś po drodze zgubili. Nie odnajdą go. Nie... Na pewno nie...

I łapacze zniknęli. Tu wśród tych drzew może robić wszystko, na co ma ochotę. Nikt mu nie grozi. Nikt nie depta po piętach. Kraty więzienne i banda morderców znalazły się gdzieś na innej planecie... Jakie to rozkoszne uczucie-
Jest szczęśliwy.

Poszum wiatru przeleciał pomiędzy drzewami. Jakaś gałąź trąca go w ramię.

Znowu... Coraz mocniej.

- Oo!... Podniósł ociężałe powieki. Strzępki wizji zielonych drzew plątały się z obrazem twarzy Groma, zawisłej tuż przed oczyma. Powróciła w pełni świadomość.

Przebudzenie nie było przyjemne. Grom puścił wreszcie jego ramię.

- Kimono, że i niedźwiedź by pozazdrościł - mówił bardzo cicho, przybliżając wargi do jego ucha. - Szukujemy zmianę lokalu, kape?

Felek zamrugał powiekami.

- Już? - nigdy by nie przypuszczał, że spał tak długo. Zresztą na szybach leżała ciemność. Spojrzał na zegarek. - Przecież mamy jeszcze prawie trzy godziny? - był przekonany, że wysiądą na stacji, do której wykupili bilety. Nikt go dotychczas nie

wyprowadzał z błędu.

- Dziesięć minut - sprostował sucho Grom. - Prujemy w... - zawahał się -...no - machnął ręką - tam, gdzie trzeba.

Felek przecierał zaspane oczy. Jeszcze nie bardzo rozumiał.

- Na innej stacji?

Grom ni to się uśmiechnął, ni to ziewnął.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Stacje nie wszystkim klapują. Nam na przykład wcale. Będziemy lądować po drodze.

- W biegu?

- W biegu, nie w biegu. Jest takie miejsce, gdzie pociąg zwalnia. Naprawa toru.

Umiesz skakać?

- Tak - Felek kiwnął głową. W okresie okupacji chodził na węgiel. A i potem zdarzało się.

- Interes, znaczy się, bez przestojów - dodał lekceważąco. - Szus jak kichnięcie. Kaleka też dałby radę.

Zdjął walizkę z półki, otworzył i zaczął z zastanowieniem grzebać w zawartości. Wyłowił jakiś płaski pakiet, starannie zawiązany sznurkiem. Schował do kieszeni. Potem drugi. Ten był znacznie większy, musiał go wciskać na siłę. Pakietów było więcej. Kilka następnych paczek podał Czarnemu. Teraz ten z kolei wypychał kieszenie. Wreszcie przesunął dłonią po ubraniu.

- Dosyć! - syknął. - Szukaj innego wielbłąda. Grom teraz zwrócił się do Felka:

- Dobra, że zasuwamy w trójkę. Podawał mu paczkę po paczce.

- Schowaj to. Ale tak, żeby nie wsiąknięło w desancie albo gdzieś po drodze. To

są... - króciutka pauza -...cholernie ważne papiery. A z walizką, licho wie, jak wypadnie. Dwie już przecież wysiadły.

Felek ładował posłusznie. Co tam. Grunt, że ta męcząca podróż dobiega końca.

Jeszcze parę minut i łapacze wraz ze wszystkim tamtym utoną w przeszłości. A ci? No cóż... Może tu się jakoś lepiej ułoży.

W pewnym momencie wyciągnięta ręka cofnęła się gwałtownie. Grom podawał czarny, lśniący pistolet.

- Nie... ja nie...

- Wziąć - rękojeść pistoletu powędrowała w ślad za uciekającą dłonią.

- Nie - potrząsnął głową - po co mi to? Ja nawet nie umiem...

- Brać, kiedy proszą grzecznie. Nie umie się? - wargi wykrzywił ironiczny

grymas. - Mała bieda. Akademii kończyć do tego nie trzeba. Dzyngs do góry - dotknął palcem bezpiecznika - i ciągnąć za spust. Dalej zrobi się samo. Groch wyskoczy z rury jak ta lala. Uziemienie na żelazobeton. No - podsunął pistolet jeszcze bliżej. W oczach zabłyśły nieprzyjemne światełka... Aż zimno przeszło po skórze.

Felek usłuchał machinalnie i pistolet zaciążył na dłoni. Popatrzył na niego tępo.

Więc jeszcze i to?

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Schować do kieszeni na tyłku. I jeszcze zapiąć. Żeby się nie wysunął. Splywy nie rosną na drzewach.

Schował. Zapiął. Zdawało mu się, że stal ziębi ciało poprzez ubranie.

Nie, to nie była prawda, że nie wiedział, jak się z nim obchodzić. Umiał nawet nie najgorzej trafiać. I właśnie dlatego nie chciał go brać. Taka pokusa...

„Wystarczy pociągnąć za cyngiel”...

Grzął jak w trzęsawisku. Ten łysy szef mądry jak Salomon. Powiedział sobie, że go będzie mieć w swojej organizacji. A on... Nie chciał przecież brać pistoletu. Wszystko w nim podnosiło gwałtowny sprzeciw. A przecież wziął... Nie chce stać się jednym z nich. Ale jak będzie dalej?

Grom zamknął walizkę. Zaciągnął paski. Przez chwilę wpatrywał się w przeciągającą za oknem ciemność. Mignęła rozmazana plama jakiegoś światła. Spojrzał na zegarek.

- Tak - włożył kurtkę. - Sztymuje. Osoba - tknął palcem w stronę Felka - pruje pierwsza. Tylko nie namyślać się. Wszystko teraz pójdzie na sekundy.

Odsunął ostrożnie drzwi. Wyjrzał na korytarz. Nadśluchiwał.

- Iść cholernie cicho - uprzedził. - Na palcach.

Kostrzewa zmienił pozycję. Nie na długo pomogło. Ciało znowu zaczęło drętwieć. Mięśnie były jakieś sflaczałe. To wszystko przez tę przeklętą gripę. Też znalazła odpowiednią porę, żeby się przyplatać.

Dochodziła piąta. Jeszcze przeszło dwie i pół godziny. Ale o spaniu nie mogło być mowy. Nic nie dawało pewności, że akurat pojedą do końca.

Palił papierosa za papierosem. Usta oblepiał gorzkawy smak nikotyny. Ostry dym pomagał jednak w walce z atakującą coraz gwałtowniej sennością.

Czas płynął i nic się nie działo. Z rzadka tylko jakaś sylwetka przesuwała się poza szybą wychodzącą na korytarz. Kontrolował baczny wzrokiem, ale to nie był żaden z tamtych. Monotonny stukot kół działał jeszcze bardziej usypiająco. Sięgnął po gazetę. Litery druku rozpląwały się w jakiejś nie dającej się rozpędzić mgle. Przygryzł wargi aż do bólu. Co u diabła! Nie zaśnie przecież. Tylko tego by brakowało.

Nagle oprzytomniał. Zaczął nadśluchiwać. Po chwili, niby to szukając

wygodniejszej pozycji do snu, przyłożył ucho do ściany przedziału... Zdejmują walizkę? Ledwo dosłyszalny trzask odskakującego zameczka. Może by zobaczyć, co robią? Zrezygnował jednak z zamiaru. To mogłoby podpaść. Wytężył zatem jeszcze

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

bardziej słuch.

Podejrzane szmery trwały. Stanowczo zbyt długo jak na wyjmowanie jakiegoś przedmiotu. Rozładowują walizkę na wszelki wypadek? Senność spłynęła z niego jak woda po wyjściu z kąpieli.

Odsuwają drzwi... Ktoś stąpa na palcach. W tamtym kierunku... Do toalety?

Licho wie. W każdym razie chyba Wiącek nie przegapił. A jeśli zasnął? Człowiek ostatecznie jest tylko człowiekiem. Zacisnął pięści na tę myśl. Znowu ktoś wychodzi. Kroki ostrożne aż do przesady. Nie, stanowczo nie wyglądało to na niewinny spacer. Przysunął się tuż do wyjścia. Niedosłyszalnie odsunął drzwi. Teraz z kolei opuszcza przedział trzeci. Komplet! Sytuacja zaczęła wyglądać alarmująco. Ale skakać w pełnym biegu? To raczej nieprawdopodobne.

W tym momencie dostrzegł odległy błysk światła. Semafor? Wykluczone. O wiele za nisko. Ale światło było czerwone.

Dobrze, że miał krótki płaszcz. Nie będzie przeszkadzał w razie skoku.

Rozległ się przeciągły gwizd. Rytm kół tracił dotychczasową miarowość, zdając się zamierać z każdą chwilą.

Wszystko stało się nagle zupełnie jasne. Nie było na co dłużej czekać. Jednym skokiem wylądował na korytarzu.

I nagle jakby czarna zasłona spadła na oczy. Wszystkie lampy pogasły. Ostrość kontrastu zupełnie go oślepiła na moment. Biegł po omacku, wyciągając przed siebie

ręce.

Jakieś zamieszanie w końcu korytarza. Wiącek?

W mroku rozkwitł krwisty język płomienia. Basowy huk strzału odbił się o metalowe ściany wagonu. Kula z suchym pacnięciem uderzyła w sufit.

Więc to tak?

Jakiś tupot. Znowu strzał, któremu zawtórowało zduszone przekleństwo.

Chyba Wiącek? Czyjeś ciało upadło na podłogę.

Sięgnął do kieszeni, wychwytyjąc pistolet. Tu nie było żartów. W drugim ręku znalazła się latarka „mikro”. Nacisnął guzik.

- Stać! Urząd Bezpieczeństwa! Ręce do góry!

Bezczynność zawsze nużyła Wiącka. Albo spać, albo coś robić. Ale tkwić nieruchomo jak kołek w płocie?!... A o spaniu oczywiście nawet mowy nie ma.

Spojrzał na zegarek. Jeszcze około trzech godzin. Żeby to wszyscy diabli! Zamarynuje

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

się jak korniszon w słoju. Przeciągnął się. Co wart człowiek z mięśniami z waty?

Wstał, wykonał parę ruchów gimnastycznych.

Nagle znieruchomiał. W sąsiednim przedziale panowała dotąd niezmacona cisza. Ale teraz... W stukocie kół nie mógł rozpoznać przyczyny odgłosów. Były zresztą niezmiernie ciche. W każdym razie coś się tam działo. W tej sytuacji każdy najmniejszy nawet szczegół mógł okazać się nie bez znaczenia.

Jeśliby przyszło co do czego, to w tym płaszczu nie da rady się ruszyć. Podgiął poły pod pasek. Zapiął guziki i przesunął pasek o jedną dziurkę. Trochę ciasno, ale się nie wypsną, żeby tam nie wiedzieć co. Teraz wyraźnie usłyszał cichy turkot powoli odsuwanych drzwi. Ktoś wychodzi z tamtego przedziału. W którą stronę pójdzie?

Szedł właśnie tutaj? Wiącek pośpiesznie usiadł i przymknął powieki.

Przesuwa się za oknem. Chyba na palcach. Odwrócony plecami. Wystarczy jednak popatrzeć na charakterystyczny wykrój karku. Oczywiście Wypiór. Teraz już nie ma bandaża. To również bardzo znamienne.

Z kolei szedł drugi. Opuszczone ramiona wskazywały, że niesie jakiś ciężar. Po chwili przesunął się trzeci: ten wysoki z zimnymi błyskami w oczach. Wiącek zapamiętał sobie dobrze ich wyraz. Zahaczył niby to przypadkiem o klamkę. Drzwi przesunęły się. Na szczęście kulka papieru spełniła swoje zadanie, zamek nie zaskoczył.

Pociąg nagle zaczął zwalniać.

Wiącek wyskoczył na korytarz. Trzeba było ich zatrzymać za wszelką cenę.

Jeśli zdołają wyskoczyć, szukaj wiatru w polu.

Dalsze maskowanie nie miało sensu. Należałoby w jakiś sposób dać znać

Kostrzewie. Ale nie wiedział, jak. Na zastanawianie się nie było czasu. Skoczył za nimi z impetem, objając się o ściany. Wyszarpnął pistolet. Zatrzyma ich w każdym razie.

Wycelował zniżając lufę. Nie chodziło przecież o zabijanie.

- Stać!

Zdołał jeszcze zauważyć, jak żółtooki nie oglądając się podniósł rękę ku wmontowanej w ścianie szafce.

A potem naraz na wszystko zrobiło się za późno. Nawet na pociągnięcie za cyngiel. Nieprzenikniony mrok wypełnił wagon. Wiącek wściekle zaklął. Tego się nie spodziewał. Zrobił jeszcze dwa kroki na oślep. Nie widział nic. Dosłyszał natomiast, że manipulują przy klamce. Podcięło go to jak uderzenie bicia. Skoczył... wyciągając lewą rękę.

Palce zacisnęły się na szorstkiej wełnie czyjegoś rękawa.

- Stój! - szarpnął ku sobie.

W następnym momencie zabrakło mu tchu. Potężny cios twardej pięści walnął z rozmachem w pierś. Zachwiał się na nogach. Rękaw wyslizgnął mu się spomiędzy palców. Zaczerpnął spazmatycznie powietrza. Rzucił się znowu.

Zetknął się z kimś niewidocznym. Próbował go schwytać.

- Ty... - ochryply głos bluznął plugawymi przekleństwami - puszczaj...

Przed oczyma mignął mdły połysk metalu. Pistolet? W ostatnim momencie zdołał podbić uzbrojoną rękę.

Gorący powiew oparzył skroń. Strzał poszedł górą. Ale jakże mało brakowało.

Znowu wszystko zakotłowało się. Nie widział, z kim walczy, ale i oni nie mogli widzieć. To wyrównywało szanse, kłębek powoli przesunął się ku drzwiom. Zacisnął zęby - cholera! - schwytał ludzkie ramię-

- Rzuć broń!

W ułamku sekundy dojrzał lufę na wysokości swej twarzy. Instynktownie targnął głową w bok. Ogień wybuchu rozbłysnął tuż przed oczyma. W nozdrza uderzył cienki zapach spalonego prochu. Gwizdnęła kula. Mimo to nie puszczał. Zaciskał coraz mocniej chwyt.

- Stój - dobiegło skądś z tyłu. Zrobiło mu się lżej: Kostrzewa!

Ten, którego trzymał, szarpnął się. Wiącek przyparł go do ściany, usiłując jednocześnie przepychać się ku drzwiom. Należało za wszelką cenę tamtym dwóm odciąć wyjście.

Drugie drzwi zabezpieczał Kostrzewa.

Nagle coś twardego podcięło Wiąckowi nogi.

Ze zduszonym przekleństwem runął twarzą naprzód.

To wszystko zaszło w jednej chwili: ostry snop jaskrawych promieni, przecinających ciemność; trzask drzwi; powiew chłodnego powietrza i rozkazujący okrzyk Kostrzewy.

Nie usłuchali oczywiście. Wiącek gramolił się z rozpaczliwym pośpiechem na nogi. Teraz dopiero ujrzał przyczynę klęski. Wielka prostokątna waliza.

Wściekłym kopnięciem odrzucił ją na bok.

Za późno. Już ostatni z tamtych wyskoczył w mrok za otwartymi na oścież drzwiami. Znowu rozległ się przeciągły gwizd lokomotywy. Pociąg zaczął zwiększać szybkość.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Kostrzewa przecisnął się naprzód. Dotknął ramienia Wiącka. Teraz już skok nie wyglądał tak niewinnie, jak w momencie lądowania tamtych. Nietrudno skrócić kark. Żona, dzieci? Nie miał prawa go na to narażać.

- Wy zostajecie - syknął rozkazująco. - Z najbliższej stacji przyprawdźcie patrol.

Stał już na stopniu. Przed oczyma mignęła wąska kreska telegraficznego słupa.

Zniknęła znacznie szybciej, niż tego oczekiwał. Jakiś kamień czy choćby drzewo napotkane na drodze i - koniec.

Trudno. Przykucnął, rozbijał się i skoczył, odbijając się z całej siły nogami.

Przez ułamek sekundy szybował w powietrzu. Gwałtowny wstrząs. Miał wrażenie, że wszystkie wnętrzości wtłoczyły się do przetyku. Turlał się bezładnie. Coś uderzyło boleśnie w ramię. Jakaś ostra krawędź rozcięła boleśnie wierzch dłoni.

Staczał się gdzieś w dół. Zamroczyło go na krótką chwilę. Nagle ciszę zmaćił trudny do określenia dźwięk. Jakby szum spadającej wody. To nie była woda. Szum rozprysnął się na odgłos toczących się kamieni. Z kolei powrócił ból.

Czy miał choć jedną nienaruszoną kość w całym ciele? Hałas stał się bardziej wyraźny. To nie było złudzenie. Otworzył z wysiłkiem oczy. Skurczona sylwetka przetoczyła się w odległości nie większej niż dwa metry. Wiącek? Musiał wyskoczyć natychmiast po nim.

Spróbował się podnieść, wpierając ręce w wilgotną ziemię. Nie poszło zbyt łatwo, w końcu jednak stanął na nogi. Był obolały, jakby go przepuszczono przez magiel. Chyba nie doznał jednak żadnych poważniejszych urazów. Mógł się poruszać, a to najważniejsze.

Poszedł w kierunku ciemnej plamy, zastygłej na zboczu nasypu. Poczul ostry niepokój. Czyżby coś sobie zrobił? Zanim jednak doszedł, postać wywiadowcy nabrała życia. Podnosił się z wysiłkiem przy akompaniamencie trzasku łamanych gałęzi.

- Jak się czujecie? - zapytał Kostrzewa.

- Jak poduszka do szpilek - przy pomocy Kostrzewy wygramolił się wreszcie z pułapki kolczastego krzewu. - Gdzie nasze ptaszyny? - błysnęły wytężone oczy. - Nie uleciały przecież w siną dal - wyszarpnął spomiędzy gałęzi zmiętoszony kapelusz.

Kostrzewa rozejrzał się również. Wokół jednak panowała niczym nie zmacona ciemność. Tylko w oddali migotał rubinowy punkcik, zmniejszający się w oczach.

Latarnia sygnałowa na ostatnim wagonie. Po chwili zniknęła w mroku.

- W każdym razie gdzieś tam - machnął ręką w kierunku odwrotnym do biegu

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>) pociągu.

- Jasne - sapnął Wiącek. - Dajemy gazu!

Ruszyli wzdłuż toru, z każdym krokiem przyśpieszając tempa. Nie wolno było tracić czasu. Już i tak stracili go za wiele.

- Przespaliśmy gości - w szeptcie Wiącka brzmiała z trudem hamowana pasja. -

Jak myślicie, ile zyskali for? Ze trzysta metrów?

Kostrzewa pokręcił głową.

- Sądzę, że najwyżej jakieś dwieście, dwieście pięćdziesiąt. To wszystko trwało dosłownie sekundy. I pociąg nie szedł jeszcze pełną szybkością.

- Dwieście pięćdziesiąt? - Wiącek zaczął stawiać jeszcze większe kroki. - To wcale nie tak źle, jak powiedział burak wkręcony do maszynki.

Kostrzewa milczał. Nie podzielał jego optymizmu. Jeżeli odeszli choćby tylko dwieście kroków od toru w tej ciemności... Nawet nie wiadomo, w którą stronę. Gdy skakali pociąg szedł całkiem powoli. Na pewno nie musieli się zbierać do kupy, jak oni. To również kosztowało sporo cennych minut.

Z trudem dotrzymywał tempa Wiąckowi. Co za niespożyte siły. Upadek poszedł mu chyba znacznie gładziej. Nagle przystanął, dotykając jego ramienia.

- Tss! - syknął cicho, wskazując ręką.

Na lewo od nasypu zapłonęła nikła poświata. Płomień zapalki osłaniany dłonią... Kostrzewie aż oczy rozblęły. Nie oczekiwał takiej nieostrożności po przeciwnikach. Widocznie czuli się zupełnie bezpieczni. Musieli dojść do wniosku, że prześladowcy nie zaryzykują skoku z pędzącego pociągu.

Ocenił wzrokiem odległość. W prostej linii około dwustu metrów. Jeśli iść wzdłuż nasypu i następnie w bok, co najmniej dwa razy tyle.

Wiącek myślał o tym samym.

- Chodźmy na przełaj - pociągnął go za rękaw.

Światelko zgasło. Obydwaj zdążyli dokładnie zaobserwować kierunek.

Dwieście metrów to niewiele. Droga jednak okazała się niespodziewanie ciężka.

Kotyry, doły, jakieś wystające korzenie. Potem ziemia zaczęła podejrzanie cmokać pod

podeszwami. Zdawało się, że przyroda nagromadziła na tym odcinku wszelkie

możliwe przeszkody. Stopy zapadały się coraz głębiej. Do butów zaczęła przenikać

woda. Zwykle błoto czy bezdenne trzęsawisko? Zdawali sobie dokładnie sprawę z

ryzyka. Brnęli jednak bez zatrzymania dalej. Tempo opadło do minimum. Chwilami

odnosili wrażenie, że nie posuwają się wcale. Z trudem wyciągali z kleistej mazi

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

oblepione kilogramami błota buty. Wiązka ponosiło. Mieć ich niemal na odległość

ramienia i dreptać w miejscu.

- Gdyby zółwia puścić po smole... - nie wytrzymał wreszcie. Kostrzewa

milcząco kiwnął głową. Jego również ogarniała bezsilna wściekłość. Jeżeli tamci na

domiar złego maszerują po szosie albo choćby po jakiejś możliwej drodze, sprawa

wyglądała niemal na przegraną.

Znowu rów. Oślizłe zbocze. Podeszwy ślizgały się po błotnistym dnie. Woda

sięgała już po kolana, podnosząc się za każdym krokiem coraz wyżej. Może kanał? Po

ciemku nie można było tego ustalić. Brnęli uparcie naprzód. Jeżeli nie uda się przejść

w bród - przepłyną. Woda była zimna jak lód, ale to już straciło jakiegokolwiek

znaczenie. I tak przeziębli do szpiku kości.

Jednak okazało się, że to tylko rów. Poziom wody zaczął opadać. Przeszli.

Czepiając się jakichś wiotkich korzonków wdrapali się wreszcie z powrotem na

górze. Okropnie długo to trwało, przebycie każdego metra w obłoconych butach i

mokrym odzieniu wymagało wielkiego wysiłku. A tamci?.

Wiatr przyniósł strzępki głosów. Odległość jeszcze bardziej wzrosła.

- To... - Wiącek z trudem powstrzymywał szczęknięcie zębów -...w ten sposób nigdy ich nie dogonimy.

Kostrzewa milczał. Było źle. Nie widział jednak na to żadnej rady. I tak robili, co w ich mocy. Może lepiej było iść wzdłuż toru? Może i lepiej. Ale teraz za późno na wszelkie refleksje. Skoro wybrali tę drogę, muszą nią brnąć aż do końca.

Ponownie zamigotał w oddali płomyk. Orientując się po świetle Kostrzewa stwierdził, że odległość wzrosła znów o kilkanaście metrów. Szedł dalej. Tylko głowa wcisnęła się głębiej w ramiona. Klął przez zaciśnięte zęby. To wszystko razem wcale nie było wesołe.

Grunt powoli twardniał, w końcu przestali się zapadać. Zatrzymali się, by uwolnić buty od błota. Znowu strata czasu, ale konieczna. Dalsza wędrówka z tymi ciężarami na nogach była ponad siły.

W oddali zaczęli równy rząd drzew. Czyżby rzeka? Tamci mogli przecież przejść po jakimś mostku na torze, a tu... To oznaczałoby ostateczny kres wędrówki. Byli bliscy rozpaczy.

Kiedy wreszcie dotarli do drzew, odetchnęli z ogromną ulgą. Jednak tylko droga. Byli zmęczeni do ostateczności. Ciałami trzęsło zimno, idące od mokrych spodni. Nasiąknięte błotem skarpety obcierały boleśnie stopy przy każdym kroku. A

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

przecież dobywali wszystkich sił, by utrzymać jak najszybsze tempo. Tamtych nie było już widać ani słychać. Diabli wiedzą, gdzie się podzieli.

Teraz nie zdawali sobie jednak sprawy, czy idą we właściwym kierunku. Nie

było już żadnych ogników, wskazujących cel - wokół panowała ciemność.

Łatwo mogło się zdarzyć, że tamci skręcili gdzieś w bok. Nawet nie dlatego, by podejrzewali pogoń. Po prostu droga im tak wypadła.

Kostrzewa czuł się podle pod każdym względem. Z trudem zwalczał ataki febrycznych dreszczy. Jeżeli teraz wyslizgną się z rąk, to byłaby największa klęska...

W oddali zamigotał jakiś jaśniejszy punkt żółtawego światła. Potem dostrzegli tych punktów coraz więcej.

- Wieś - sapnął Wiącek. - Jak myślicie, czy szli właśnie tam?

Kostrzewa wzruszył ramionami. Skąd miał to wiedzieć? Ale raczej nie przypuszczał, by melina znajdowała się na wsi. Prędzej jakiś dom na uboczu, leśniczówka albo coś w tym rodzaju.

Jeszcze bardziej przyśpieszyli kroku. Wieś w każdym razie oznaczała możliwość zasięgnięcia jakichś informacji.

X. Trop zaczyna stygnąć

Wieś wyglądała na dużą i dostatnią. Ulica szeroka. Domy przeważnie murowane, oświetlone światłem elektrycznym.

Spoza płotów dobiegało wściekle ujadanie niewidocznych psów. Poczuli obcych. Przedtem jednak nie czekały. To było bardzo niepokojące. Czyżby trójka przestępców skręciła z drogi, nie dochodząc pierwszych zabudowań?

Przystanęli. Kostrzewa oparł się ciężko o jakiś płot. Rozglądał się bezradnie.

Co dalej?

Ostatni raz dostrzegli ich około ćwierć kilometra stąd.

Potem stracili trop. Mógł biec w wielu kierunkach. Psy nie czekały, to znaczy, że nie tu.

W niektórych domach już nie spano. Trudno się jednak spodziewać, by mieszkańcy obserwowali o tej porze, co się dzieje poza obejściem. W każdym razie należało próbować.

W tym domu świeciło się. Prześli się przez płot.

- Jest tam kto?

Odpowiedziało jednak tylko ujadanie psa.

- Szukacie kogoś? - głos dobiegł z przeciwległej strony ulicy.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Kostrzewa podszedł szybko. Za gęsto zarośniętym płotem czerniała sylwetka jakiegoś mężczyzny.

- Tak... Trzech kolegów. Poszli naprzód i właśnie mieli tu na nas poczekać.

Czy tędy nie przechodzili?

Mężczyzna przechylił się przez płot.

- A dawno mieli przechodzić?

- Jakies najwyżej dziesięć do piętnastu minut.

- Nie - pokręcił głową. - Tędy nie przechodzili na pewno. Już co najmniej pół godziny jestem na dworze. Albo i dłużej. Zresztą pies. On u mnie bardzo czujny.

Zaszczekał dopiero, gdy wyście nadeszli. A przedtem nie.

- Macie tu ORMÓ?

Oczy chłopca błysnęły nagłym zaciekawieniem.

- Wy do nich?

- Proszono nas w powiecie, żebyśmy im coś powtórzyli przy okazji -

Kostrzewa nie widział celu w odkrywaniu swych kart.

- Mamy. Ale oni jak raz wyjechali.

- Wszyscy?

- Co do jednego. W Bykowie zabawa, więc...

- Aha. A telefon?

- Jeszcze nie. Mają założyć na przyszły rok.

- Dziękuję.

Przysiedli na jakiejś kłodzie. Musieli choć trochę odpocząć. Zresztą należało przemyśleć plan dalszego działania. Zapalili.

Kostrzewa milczał. Wsunął zziębniętą rękę do kieszeni. Poczuł jakieś obce przedmioty. Prawda, to nie był jego płaszcz. Nagle przypomniał sobie. To było bardzo na czasie. Sięgnął do kieszeni Wiacka, wydobywając płaską flaszkę z metalu.

- Szczękanie zębami nie wpływa dodatnio na myślenie - stwierdził sentencjonalnie, odkręcając mały ebonitowy korek.

W ciemności zabulgotał przelewany płyn. Zapachniało arakiem. Wiacek spojrział ze zdumieniem.

- Co takiego?

- Mały wiatyk podróżny - Kostrzewa wcisnął mu do ręki parujący kubeczek. - Pijcie.

- Ale wy...

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Trzeba go było niemal zmuszać. Potem łyknął sam. Fala ciepła powoli rozplýwała się po dygocących ciałach.

Po chwili Wiacek zerwał się. Wracamy?

- Cóż - Kostrzewa podniósł się również - trzeba będzie. Tu nie mamy czego szukać. Ten człowiek mógł nie dostrzec, mógł też skłamać. Ale psy oznajmiły

niewątpliwą prawdę. Właśnie przez to, że milczały.

Minęli narożnik skrajnego obejścia, wchodząc na drogę, która ich tu doprowadziła.

- W tym miejscu, gdzie po raz ostatni zapalili zapalniczkę, jest jakaś wyrwa w drzewach - powiedział Wiącek.

- Owszem - potwierdził Kostrzewa - ja też to zauważyłem. - Ale może nie będziemy musieli wędrować aż tak daleko.

Wiącek zdumiał się.

- Macie na myśli ślady?

- Dlaczegoż by nie? Na szczęście tu nie asfalt. A na miękkim wilgotnym piasku zawsze coś tam zostanie.

- Tak, ale zamierzacie szukać po ciemku? Kostrzewa uśmiechnął się.

- A latarka to pies?

Wiącek pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Latarka to cholerne ryzyko.

- Myślicie, że na nas czekają?

- To nie to. Tylko że światło widać z daleka.

- Mają przewagi około trzech kwadransów.

- Prawda - zgodził się - za trzy kwadransy można zaleźć Bóg wie jak daleko.

Szli przez pewien czas w milczeniu. Wreszcie Kostrzewa przystanął.

- Ano spróbujemy sprawdzić.

Nachylił się nisko i osłaniając reflektor dłonią powiodł światłem po ziemi.

Wiącek przypatrywał się z napiętą uwagą.

- Nasze ślady, a reszta sprzed co najmniej kilku godzin. Kostrzewa pokiwał w

milczeniu głową. To była prawda.

Przestępcy nie dotarli do tego miejsca. Trzeba było iść dalej. Marsz był uciążliwy, bo musieli przystawać co parę kroków. Wiątka ogarniało coraz większe zniecierpliwienie.

- Cholera, czyżby zeszli z drogi właśnie przy tamtej wyrwie?

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Nagle przypadł do ziemi w miejscu, gdzie znieruchomiała plama światła. Ten odcisk nie odpowiadał kształtowi ich własnych podeszew. I ślad był pozostawiony bardzo niedawno. Potem znalazł jeszcze zarysy dwóch par stóp, które zbadali skrupulatnie. Nie mieli przecież żadnego materiału porównawczego. Omyłka zaś mogła zawalić całą sprawę, a w najlepszym wypadku kosztowałyby wiele czasu straconego na próżno. Ale raczej nie zachodziły wątpliwości. Dzięki opadłej na ziemię rosie można było stwierdzić, że ci ludzie przechodzili tędy nie dalej niż przed godziną. Oczywiście mogli to być jacyś inni ludzie, którzy szli drogą mniej więcej w tym samym czasie, co śledzeni przestępcy. Jednak tego rodzaju zbieg okoliczności był zbyt mało prawdopodobny.

Trop skręcał, prowadząc dość wyraźną smugą pogniecionej trawy przez przydrożny rów, potem biegł przez zamokły grunt pola dokładnie odcisniętymi wgłębieniami. Zaczęło świtać.

Kostrzewa z niepokojem obserwował ciemną linię występującą coraz wyraźniej na tle nieba, akurat w tej stronie” w którą prowadziły ślady.

Wiącek również patrzył na nią od dłuższej chwili.

- Las - mruknął ponuro - jeśli wleźli do niego, zostaniemy z nosem.

Kostrzewa milczał. Bardzo na to wyglądało, że wleźli. Gęstwa drzew

przybliżała się z każdym krokiem i nic nie wskazywało, by trop miał zmienić kierunek.

Okazało się jednak, że nie chodziło o las. Tuż przy jego skraju biegła

piaszczysta droga.

- Samochód - Wiącek nachylił się nad żebrowanym odciskiem opony. - Żeby to wszyscy diabli! - był wyraźnie strapiony.

- Na szczęście nie - Kostrzewa dojrzał koński nawóz - motory przecież nie trawią owsa. Po prostu wóz na pneumatykach.

- Rzeczywiście - Wiącek spostrzegł ślady końskich kopyt - gapa ze mnie, że podobnej ze świecą by szukać.

Przepatrzyli dokładnie teren. Ślady ludzkich stóp urywały się w miejscu, gdzie stała bryczka.

Ruszyli ostro tropem, prowadzącym jak po sznurku. Kostrzewa z podziwem obserwował wyrywającego wciąż naprzód Wiącka. Aż trudno było uwierzyć, ile ten człowiek miał w sobie niespożytej energii. Próbował go powstrzymać.

- To jest zarzynające tempo. Ani chciał słuchać.

- Tu wszystko jest zarzynające. A i tak każdemu z nas brakuje po jednej parze

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

nóg.

W oddali ukazały się zarysy jakichś zabudowań. Czyżby właśnie tam? Trop jednak biegł nieprzerwaną linią dalej. Kostrzewa wskazał na szyld sklepiku Samopomocy Chłopskiej.

- Musimy kupić coś do jedzenia. Diabli wiedzą, na jak długo zanosi się to wszystko.

Wiącek machnął z rezygnacją ręką.

- Jak mus, to mus.

W sklepiku było pusto, sprzedawca z niezmiernie znudzoną miną drapał się w kark.

- Hm... Coś do jedzenia? Czemu nie. Mamy wszystko. To „wszystko”, jak się okazało, reprezentował bochenek czerstwego chleba i wianuszek dość podejrzanego wyglądu kiełbasy.

- U nas każdy ma swoje. A na obcych klientów nie ma co liczyć - ziewał raz po raz. - Towar się psuje i potem, człowieku, płać z własnej kieszeni.

Telefonu nie było. ORMO dopiero w organizacji, najbliższy posterunek milicji w odległości około dwunastu kilometrów, zupełnie w innej stronie.

Kostrzewa zapytał o możliwości wynajęcia bryczki.

Sprzedawca skrobał się tym razem w kark bardzo długo z tak senną miną, że wyglądało, jakby lada chwila miał zasnąć na dobre.

- Teraz to ani marzyć - odpowiedział wreszcie. - Może gdzieś około południa.

Wiącek spojrział na zegarek i przeżuł przekleństwo.

- Po prostu nie chce się wierzyć - sarknął, gdy znaleźli się z powrotem na drodze

- że bywają takie zakazane kąty.

Nawierzchnia drogi zmieniła się: to piasek, to błotnista ziemia, to znów miejscami niemal zupełnie twardy grunt. Na niektórych odcinkach trop był zupełnie wyraźny, gdzie indziej nieco trudniejszy do odcyfrowania; zdarzały się i takie partie, gdzie zniknął zupełnie.

Szli jednak na pewniaka.

I nagle ślad ostrym łukiem poprowadził w szeroką przesiekę leśną.

Wiącek w pierwszej chwili sposepniał, patrząc na zjeżdżoną ziemię.

- Miała babuleńka kotka, ale się jej zgubił.

Gdy jednak zobaczył gąszcz krzewów po obu stronach duktu, odzyskał

równowagę ducha. Było prawie niemożliwe, by wózek skręcił w las.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Szli i szli. Przesieka zdawała się ciągnąć w nieskończoność.

Około południa przysiedli na pniakach. Wiącek wyciągnął nogi na całą długość.

- Gdy się wędruje naokoło świata, trzeba czasem odpocząć. Ze dwudziestaka

odwaliliśmy co najmniej.

- Coś koło tego - potwierdził Kostrzewa, zabierając się do krajania chleba.

Jedli w milczeniu. Zmęczenie powoli parowało z mięśni.

Kostrzewa przyglądał się zaroślom. Bryczka bryczką, ale wcale niewykluczone,

że pozostawili kogoś na czatach. Nie dlatego, by dostrzegli, że są śledzeni - to raczej

należało uznać za niemożliwe. Ot, tak na wszelki wypadek. Dotychczasowy przebieg

wydarzeń wskazywał, że przeciwnika nie można było lekceważyć. Posunięcia jego były

szybkie i przemyślane.

- Tak - szepnął Wiącek, ocierając palce o mech - kiełbasa okazała się znacznie

lepsza, niż można by sądzić z jej wyglądu. Pozory - uśmiechnął się wstając - mylą. No,

ale komu w drogę...

Powoli zapadł zmierzch. Przeszukiwanie wyrw pomiędzy drzewami stawało się

coraz trudniejsze. Potem zatrzymali się w miejscu, gdzie od przesieki biegły aż trzy

dróżki, rozwidlone szerokim wachlarzem. Długo klęczeli z nosami przy ziemi. Grunt

tu był twardy niemal jak kamień. Znaleźli zadrapanie na korzeniach. Mech był

zgnieciony i jeszcze nie zdążył się podnieść.

Jakiś wóz tędy przejeżdżał niedawno. Ale czy akurat ten?

Może przestępcy pojechali dalej wzdłuż przesieki? Za wszelką cenę należało się upewnić.

Przeszli parę kroków i znowu przyklękli. Ściemniło się jednak już tak bardzo, że trudno było cokolwiek dojrzeć.

- Na nic - Kostrzewa, przykrywając się z głową płaszczem zaświecił latarkę.

Żebrowaty ślad wystąpił ledwo dostrzegalnymi zarysami.

- Jest? - szepnął niecierpliwie Wiącek, dotykając ramienia Kostrzewy.

Kostrzewa podniósł się.

- Tak - potwierdził cicho - tędy.

Raz po raz musiał ponawiać manipulacje z latarką. Nie zawsze jednak zdołał dostrzec odciski opon. Tempo posuwania się naprzód spadło jeszcze bardziej.

Wiącek osowiał - w ten sposób można dojść na sąd ostateczny. Gdzieś ponad wierzchołkami drzew błysnęło zielonkawe zarzewie. Głucho przetoczył się odgłos dalekiego gromu.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Nie było dalszych błyskawic. Pierwsze krople z szumem przeleciały pomiędzy gałęziami.

Po upływie paru minut deszcz rozrósł się we wściekłą ulewę. Powietrze stało się przenikliwie zimne.

Podnieśli kołnierze płaszczy. Nasunęli na czoło kapelusze. Po płaszczach ściekały nieprzerwane strugi. Buty znowu przemokły. Zaczęły powracać dreszcze.

Zatrzymywali się tylko po to, by sprawdzić, czy koleiny wyżłobione przez pneumatyki nie zniknęły. Kilka razy trop się urywał. Musieli zawracać do miejsca, gdzie widzieli go po raz ostatni, badając, czy nie skręcił pomiędzy drzewa, potem

znowu szukali przed sobą.

Nafosforyzowane wskazówki docierały do godziny drugiej, gdy z oddali zaczęło dobiegać szczekanie psa, które stawało się wyraźniejsze z każdym przebytym krokiem.

Jeszcze raz sprawdzili broń. Tu już zaczynał się teren bezpośredniego zagrożenia.

Od dłuższego czasu zaprzestali już szukania śladów. Płynące pod nogami potoki wody zmywały wszystko. Nie pozostawało nic innego, jak tylko trzymać się drogi, ufając, że oznajmiane ujadaniem domostwo było celem, do którego dążyli przestępcy.

Las rzedł coraz bardziej. Otaczająca ciemność nie była już tak nieprzenikniona jak poprzednio.

Jeszcze kilkadziesiąt metrów i zatrzymali się na skraju niewielkiej polany.

Długą chwilę obserwowali w milczeniu ciemny zarys niewielkiego budynku.

Niewidoczny poza płotem pies aż się zachłystywał wściekłym ujadaniem.

Rozległy się człapiące kroki.

- Hej, jest tam kto?

Stali nieruchomi i niemi. Zagęszczony pod drzewami mrok skrywał dokładnie ich obecność.

Okrzyk powtórzył się z innego miejsca.

Człowiek, który go wydał, obchodził dokoła ogrodzenie. Skrzypnęły zawiasy.

- No i co? - zapytał kobiecy głos.

- Nic. Nie wiem, co tego psa napadło.

- Może poczuł wilka?

- Może - zarys głowy i ramion trwał jeszcze przez dłuższą chwilę ponad

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

ogrodzeniem.

Wreszcie mężczyzna powrócił do wnętrza domu, zamykając za sobą z trzaskiem drzwi.

Czekali nie zmieniając pozycji. Może wyjrzy znowu? Pies aż ochrypl od bezustannych ataków furii. Drzwi jednak pozostały zamknięte.

- Trzeba popatrzeć bliżej - szept Kostrzewy był ledwo dosłyszalny.

Wiącek poruszył się. Z jego kapelusza lunęła istna ulewa bryzgów.

- Ale ten pies... nie wiem, czy zdołamy go unieszkodliwić.

Kostrzewa wydobyl pod płaszczem portfel. Zaszleścił rozwijany pergamin.

- Trucizna? - zapytał Wiącek.

- Wręcz przeciwnie. Środek uśmierzający bóle. Psa powinien chyba uspić.

Wziął kawałek kiełbasy, wydłubał palcem wgłębienie, wsypał proszek i ugniół z całości twardą kulkę.

- No, trzeba zaryzykować - zaczął się czołgać w kierunku domostwa. Spoza ciemnych szyb mógł ktoś obserwować polanę. Alarmujące zachowanie się psa dawałoby ku temu wystarczający powód.

Wiącek czołgał się tuż za nim. Wysoka trawa skrywała ich przed okiem ewentualnego obserwatora.

Zatrzymali się w odległości paru metrów od ogrodzenia. Pies rzucał się wściekle na płot akurat naprzeciwko tego miejsca, gdzie leżeli.

To było słycać zupełnie wyraźnie.

Kostrzewa wziął zamach ramieniem i przerzucił kiełbasę przez płot. Jeżeli nie

zauważy, wszystko na nic. Musiał jednak zauważyć, bowiem ujadanie na chwilę umilkło. Potem odezwało się na nowo.

Upływały minuty i nic się nie zmieniało.

„Jeśli dawka była zbyt słaba, wszystko na nic” - zastanawiał się z rosnącym niepokojem Kostrzewa.

Ale właśnie w tej chwili ujadanie zaczęło wyraźnie słabnąć. Jeszcze trochę i ucichło zupełnie.

Kostrzewa zaszurał dłonią po trawie. Z początku ostrożnie, potem coraz głośniejsze. Pies nie reagował.

Zaczęli się czołgać dalej. W kilka minut dotarli do ogrodzenia. W miejscu najmniej widocznym przeleźli niemal bezszelestnie przez płot i zalegli w ociekających wodą łopianach, nasłuchując przez dłuższą chwilę. Wokoło panowała niczym nie

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)
zmacona cisza.

Unosząc ostrożnie głowy zaczęli się rozglądać. Po lewej stronie od domu mieszkalnego stał jakiś podłużny budynek. Kostrzewa wskazał go ruchem głowy. Tutaj gesty musiały zastąpić słowa. Podeszli przygięci ku ziemi. Przez ścianę dobiegały głuche odgłosy walenia kopyt o deski. Stajnia. Sąsiednie wierzeje zamykały najprawdopodobniej wozownię. Wielka kłódka, zwisająca na żelaznym skoblu, nie była zamknięta. To upraszczało sprawę.

Uchylali ciężkie skrzydło wrót niezmiernie powoli, żeby nie spowodować hałasu.

Wśliznęli się, zaciskając w rękach broń gotową do strzału i przystanęli wyczekując za progiem. Wyglądało na to, że nie było tu nikogo.

Kostrzewa podszedł ku zamazanemu kształtowi bryczki, nakazując ruchem ręki

Wiäckowi, by zabezpieczał nadal drogę odwrotu. Nachylił się, przesuając dłonią po nacięciach protektora. Opony miały niewątpliwie podobny kształt do odcisniętych na drodze, identyczności jednak nie dało się sprawdzić po omacku. Użycie latarki było zbyt ryzykowne.

Teraz ruszyli w kierunku domu. Kryjąc się za framugami okien zajrzeli do wnętrza. Zdołali zobaczyć tylko szarą plamę pieca, wielki kredens i dwa łóżka. Tylko dwa... Kto na nich leżał, tego już nie udało się dojrzeć.

Na tylnej ścianie było jeszcze jedno okno, znacznie mniejsze od poprzednich.

Wewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność.

Obchodząc budynek dalej natknęli się na drabinę. Przygórek? To mogło być bardzo ciekawe. Kostrzewa wdrapał się zwinnie. Tu już zaświecił latarkę, osłaniając ją ręką. Kilkakrotnie przegarnął ręką siano, by się przekonać, że nikt się w nim nie ukrywał. Zszedł z powrotem. Nie potrzebował wyjaśniać Wiäckowi wyników poszukiwań.

Powrócili pod płot. Pies leżał nieruchomo, oddychając chrapliwie. Poczęstunek okazał się jak najbardziej skutecz-

Stali namyślając się.

Znaleźli bryczkę. Ten punkt był niemal pewny. Ale co się stało z jej pasażerami? W izbie były dwa łóżka. Przedtem słyszeli kobiecy i męski głos. Kobiecy nie wchodził w ogóle w rachubę. Męski raczej również nie należał do żadnego z tamtych. Najprawdopodobniej więc ani jeden z trójki w tej izbie nie nocował. Ale mogli być w tamtym pomieszczeniu z wąskim oknem albo w sieni, do której nie mogli

zajrzeć. Równie dobrze mogło ich w ogóle nie być w budynku. Mogli pójść dalej.

Wiącek przysunął wargi tuż do ucha Kostrzewy.

- Przeszukamy?

Kostrzewa domyślił się, że chce wejść do domu. Zastanowił się. Jeżeli to był tylko pośredni etap drogi tamtych, tego rodzaju posunięcie wywołałoby niewątpliwie przedwczesny alarm. Właściciel bryczki miał może dużo do powiedzenia. Mocno jednak wątpliwe, czy dałoby się coś z niego wyciągnąć. Nic łatwiejszego, niż odzegnać się od całej sprawy.

- Nie - potrząsnął głową. - Obserwacja.

Wiącek bez protestu zaczął przełazić przez płot. Odczołgali się z powrotem między drzewa.

- Będziemy drzemać po kolei - Kostrzewa kiwnął głową na Wiącka. - Wy pierwsi.

Deszcz ustał zupełnie. Mrok nasiąkał powoli szarością. Las się budził.

Nie spali już obydwaj. Obserwowany dom wciąż był ciemny i cichy.

Nagle przywarli ciasno do mokrej trawy. Przepojone wilgocią porannej rosy powietrze roznosiło odgłosy ze szczególną wyrazistością.

To było zgrzytanie odsuwanych rygli.

Pies zaszczekał jakby jeszcze przez sen... i umilkł po chwili. Z rozmachem odskoczyło ciężkie skrzydło drzwi. Zdołali dojrzeć, kto je otworzył. Barczysty mężczyzna wyszedł przed próg, czochrając się pod rozchełstaną koszulą.

Nie był już młody. Sądząc z wyglądu - dobiegał chyba pięćdziesiątki. Na ramieniu niósł widły.

Po chwili w drzwiach ukazała się kobieta z wielką płachtą zgrzebnego płótna.

Wyszli razem z furtki i idąc wzdłuż płotu zniknęli gdzieś za tyłami obejścia.

Widocznie z tamtej strony nie było wyjścia.

- Po siano - mruknął Kostrzewa.

- Ale dokąd?

Obu ich tknęła ta sama myśl. To mogłaby być pierwszorzędna okazja. Wiącek wspinał się szybko na drzewo. W kilka chwil później był już na ziemi.

- Byczo... Bróg w odległości dobrych dwustu kroków. Dwadzieścia minut murowane.

Puścili się pędem w kierunku domu, nie kryjąc się już. Teraz nie miałyby to

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

sensu, jeżeli tamta trójka znajdowała się w budynku - sprawa jasna. Jeżeli nie... Zresztą okoliczności wskażą, jak przyjdzie postąpić dalej. W tej chwili chodziło o szybkość.

Przesadzili ogrodzenie. Pies spojrzał na nich zamglonymi oczyma, warknął, spróbował się poderwać, ale opadł z powrotem na ziemię. Poczęstunek łyknięty w nocy nie przestał działać.

Drzwi były tylko przymknięte. Wpadli do wnętrza, gotowi w każdej chwili wyszarpnąć z kieszeni pistolety. W sieni nie zastali nikogo, w wielkiej izbie również, to samo w obszernej, zawalonej najrozmaitszymi rupieciami komorze.

Kostrzewa zerknął na zegarek. Upłynęło zaledwie sześć minut, mieli więc jeszcze masę czasu. Nachylił się nad żelaznym kółkiem, wmontowanym w piwniczną klapę. Podnieśli ją wspólnym wysiłkiem. Niewielka piwniczka też była pusta. Wiącek sposepniał.

- Poszli, dranie, dalej.

Kostrzewa pociągnął go ku wyjściu. Dla pewności trzeba było jeszcze raz

sprawdzić wozownię i stajnię. Zajrzeli do obu pomieszczeń. Ani żywego ducha.

Wrócili znowu do lasu. Wiącek powtórzył swą wspinaczkę.

- Grzebią się jeszcze przy sianie - zaraportował ześliznąwszy się z powrotem. -

No tak - oparł się ciężko o pień - i co dalej? Poprosimy tego przystojniaka, żeby wyśpiewał, co ma na sumieniu?

- To byłaby ostateczność - Kostrzewa krótko zreferował swe rozważania na ten temat.

- Wszystko to tak - westchnął Wiącek - ale hm... prawdę powiedziawszy nie bardzo widzę jakieś inne rozwiązanie.

- Jeżeli ten stary jest powiązany z bandą... - zaczął Kostrzewa.

- Dziewięćdziesiąt procent na sto - Wiącek nie umiał słuchać.

- No właśnie... W takim razie muszą się jakoś ze sobą komunikować. Albo on do nich, albo oni do niego...

- Racja... - Wiącek ożywił się nagle, zaraz jednak przygasł z powrotem. - Ale przecież niekoniecznie każdego dnia. A warować tu całymi tygodniami pewnie nie będziemy mogli.

- Nie - Kostrzewa rozciągnął się wygodnie na mchu - to raczej się nie uda.

- Więc jaki plan?

- Czekamy tu do zmierzchu.

- A potem?

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Potem jeden z nas pozostanie na obserwowaniu, drugi zaś powędruje do posterunku milicji.

- Co najmniej trzydzieści kilometrów...

- Więc co z tego? Jakieś pięć do sześciu godzin marszu. Może - zresztą uda się po drodze zdobyć jakąś furmankę. Tam zmobilizuje się ludzi. Poza tym muszą mieć telefon, co pozwoli porozumieć się z najbliższym urzędem.

- Hm... - Wiącek nagle przypadł do ziemi. - Uwaga! - syknął. - Nasi gospodarze wracają.

Czym prędzej zaszyli się w gęstwę.

Na progu stanął mężczyzna.

- Nie czekaj na mnie - rzucił poza siebie. - I gdyby kto pytał... - odwrócił się tak, że nie dosłyszeli końca.

Schylił się zarczując na plecy okazałych rozmiarów tobołów. Aż stęknął pod ciężarem. Wiącek szturchnął łokciem Kostrzewę.

- Komunikacja! - syknął w podnieceniu. Kostrzewa zaczął się ostrożnie podnosić z ziemi. Omyłka była oczywiście możliwa, ale nie wahał się ani chwili. Trop był zbyt nęcący, by go poniechać. Zresztą w domku i tak tymczasem nie mieli czego szukać.

Mężczyzna zanurzył się w las, idąc w kierunku przeciwnym, niż biegła droga.

Sunęli za nim w bezpiecznej odległości, kryjąc się za drzewami.

Bujne poszycie lasu gęstniało coraz bardziej. Tu nie było żadnej drogi ani choćby ścieżki. Las sprawiał wrażenie niemal dziewiczej puszczy.

Zachowanie się śledzonego zdawało się potwierdzać podejrzenia. Raz po raz zwalniał kroku, rozglądając się bacznie dookoła, rzucał nagłe spojrzenia poza siebie, nasłuchiwał, przykładając do ucha zgiętą dłoń. Nikt bez powodu nie zachowuje tego rodzaju ostrożności.

Droga trwała długo i była męcząca. Jakby umyślnie wybierał trudne do

przebycia wertepy.

Jeszcze bardziej pozostali w tyle, nie tracąc go jednak z oczu.

Po jakimś czasie weszli na rozległe wrzosowisko. Dzięki niedawnej ulewie obsypane liliowymi kulkami łodygi ścieliły się miękko pod podeszwy. Grunt zaczął się podnosić. Coraz więcej było wolnej przestrzeni pomiędzy drzewami. Zarośla stawały się rzadsze, a miejscami znikwały zupełnie. Czyżby docierali do skraju lasu?

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

XI. Dom na polance

Żaden z nich nie wywrócił się. Szybkość pociągu w chwili zeskoku była minimalna. Tylko Czarny, widocznie niezbyt wprawny w tego rodzaju akrobacjach, zjechał po zboczu nasypu na siedzeniu. Podniósł się jednak natychmiast, bluzgając potokiem rynsztokowych przekleństw. Grom przeczekał, zanim na torze nie rozbłysło czerwone światło zawieszanej na tyle ostatniego wagonu latarki.

- Nie zeskoczyli? - zapytał tubalnym szeptem z dołu Czarny.

Wzruszył ramionami.

- Nie - zeszedł w dół nasypu. - I już nie zeskoczą - dodał, znalazłszy się obok niego. Wskazał na niknący w mroku rubinowy punkcik.

- Żelazobeton - potwierdził z ulgą Czarny. - Choćby ich nawet nie wiem jak sparło. Przy tej szybkości łepetyny poszłyby jak nic w drobny mak.

Szli wzdłuż toru w odwrotnym kierunku do biegu pociągu. Prowadził Grom.

W pewnym momencie spojrzął na zegarek.

- Dodaj no tam gazu - rzucił przez ramię - wleczemy się jak za sztywniakiem w drewnianym opakowaniu. Marne dwie godziny i zacznie się robić widno. Do tego czasu musimy przydyrdać kawał drogi.

- Myślisz, że tamci mogą odstawić jakiś szpas? - zaniepokoił się Czarny.

- Nie bójcie się o nich. Faceci z branży. Nie będą wysiadywać odcisków na tyłku. Bo to tak trudno majtnąć za hamulec? Albo na pierwszej stacji capną samochód i przygazują jak w dym.

- Kupa czasu, zanim tu nadzeglują. Grom strzelił palcami.

- Kupa nie kupa. Jeżeli będziemy sterczeć w miejscu, to zdążą.

Przyśpieszyli kroku.

Felek maszerował w milczeniu. Nie wierzył, żeby teraz mogli ich znaleźć.

Wpadną w lasy i szukaj wiatru w polu.

Rozglądał się wokoło. Ciemność niewiele pozwalała dojrzeć, ale czuł swobodną rozległość otwartej przestrzeni. Nareszcie wydostał się z zamknięcia.

Duszne ściany meliny i ciasne pudełko przedziału kolejowego, które przez cały czas sprawiało na nim wrażenie pułapki bez wyjścia - to wszystko już odeszło w przeszłość.

Pełną piersią wciągał rześkie, przepojone wilgocią powietrze nocy. Tak dawno nie wypuszczał się poza mury miasta. Po prostu jakoś nie wpadło mu na myśl. Zośka wprawdzie coś tam kombinowała z wycieczką pod Warszawę, ale potem przyszła cała ta historia...

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Dobrze tu było. Żadna latarnia nie rzucała w twarz światła. Żadnych łapaczy, ukrytych po bramach. Zupełnie jakby skok z wagonu stanowił jednocześnie skok w jakieś inne życie.

Żeby jeszcze nie ci dwaj... - zerknął niechętnie.

No, zobaczy się potem.

Skręcili na obsadzoną drzewami drogę.

Grom przystanął zapalając papierosa. Zachowywał się zupełnie swobodnie.

Widać było, że nie ma żadnych obaw. Po kilku krokach zapalił również i Czarny. Felek wsunął rękę do kieszeni. Nie wyjął jednak pudełka. Pachniało tutaj tak jakoś przyjemnie. Po co psuć smak śmierdzącym dymem?

Nagle potknął się o jakiś wystający korzeń i o mało nie zarył nosem. W oddali migotały żółte światełka. Wieś? Nie doszli jednak do niej. Grom zwolnił oglądając z bliska drzewa. Stał przed spalonym przez piorun konarem.

- Tędy, przez rów - zaczął przechodzić pierwszy. Gdy znaleźli się po przeciwległej stronie, zatrzymał ich ruchem ręki.

- Tu już nie całą grandą. Mogłoby komuś podpaść. Gęsiego i na dystans. Chyba się żaden nie zgubi? - roześmiał się głucho. - Nie radziłbym.

Felek drgnął. Gęsiego? Ciemno, że ledwo koniec własnej ręki można dojrzeć.

Jeżeli się znajdzie na końcu... Dlaczego by nie? Umyślnie zwlekał udając, że musi sobie coś poprawić przy sznurowadłach. Nic z tego nie wyszło. Czekali, dopóki nie skończy.

Potem kazali iść w środku. Grom przed nim. Czarny za plecami... Wszystko z miejsca brało w łeb.

Szli i szli... Przemachali chyba z dziesięć kilometrów, gdy nagle z ciemności dobiegło ich rzenie konia.

- Limuzyna w koński ogon szarpana - roześmiał się z zadowoleniem Grom.

Podeszli bliżej. Na jaśniejszym tle biegnącej tuż pod lasem drogi odcinał się kształt bryczki. Na koźle siedział ktoś okutany w derki. Nie spał jednak.

- Hej! - okrzyknął podchodzących. - Kto taki?

- Od wuja Klemensa - odpowiedział Grom.

- Hm... z Warszawy?

- Z Krzywego Koła w... Bielsku.

- Zgadza się - strząsnął z siebie derki. - Właźcie. Limuzyna nie limuzyna, ale zawsze. Felek z rozkoszą wyciągnął obolałe nogi.

Bryczka potoczyła się szybko. Ukołyszany miękkimi wstrząsami zaczął

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

drzemać, aż w końcu zapadł w głęboki sen.

Gdy się obudził, był już pełny dzień. Jechali szeroką przesieką leśną. Minęła dłuższa chwila, zanim zdał sobie sprawę, w jaki sposób się tu znalazł.

Las... Taki prawie, jak w tamtym śnie. No, może niezupełnie. Ale zawsze las. I nawet ptaki...

Skręcili w boczną dróżkę. Koła podskakiwały na korzeniach. Wreszcie pomiędzy drzewami wyrosły zabudowania. Felek przyglądał się uważnie. Wcale nie najgorzej. Na tyłach las podchodził niemal pod sam dom. Ogrodzenie? Nic specjalnego. Pies by przeskoczył. W razie czego wystarczy jedna chwila. Dróżką do przesieki, a tam już łatwo. Zawsze w końcu na coś się wyjdzie.

Zeszli z bryczki, przeciągając odrętwiałe od długiego siedzenia mięśnie. Felek spojrzał na towarzyszy podróży i przygryzł wargi. Wcale jakoś nie zanosilo się, że to właśnie tu.

Nie zdjęli płaszczy, nie rozgościli się. Od razu widać - popas. Naprędce przygotowano przekąskę. Chleb, słonina, kwaszone ogórki i wódka.

Felek tylko udawał, że pije. Nie chciał zaproszyć sobie głowy. Musi zapamiętać drogę. Zresztą nie potrzebował nawet specjalnie udawać. Nikt na niego nie zwracał uwagi.

Nie minęła godzina, gdy na progu stanął woźnica.

- Komu w drogę, temu czas. Po ciemku nie, ażeby...

Wyszli. Stary prowadził po jakichś leśnych wertepach. Felek początkowo próbował się rozglądać, ale po krótkim czasie zrezygnował.

Wszystko się poplątało. Drzewa to nie kamienice, po czym niby rozróżnić?

Już porządnie zmierzchało, gdy wreszcie doszli do celu.

Dom był znacznie większy od tamtego. Polanka długa i wąska. Felek popatrzył z dezaprobatą. Ogrodzenie wysokie, z gęsto splecionego kolczastego drutu. Pies miał wygląd dzikiej bestii. „W nocy go pewno spuszczają. Trafić takiemu w zęby”... Drzwi okute żelaznymi sztabami. Stalowe ćwieki w grubych okiennicach. Przełknął westchnienie. Prysnać stąd nie byłoby łatwo. Jeżeli w ogóle można było o tym myśleć...

Z trudem nadrabiał miną. Gdyby zaczęli coś przewąchiwać, stałoby się jeszcze trudniej.

Długo ich oglądano przez potężne pręty bramy, zanim zgrzytnęły rygle. Felek osowiał do reszty. Jakaś cholerna forteca. Pierwsze, co dojrzał w białym świetle

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)
karbidowej lampki, to była twarz łysego szefa.

Roześmiał się na widok zdumionych min.

- Raczej pewno spodziewaliście się zobaczyć ubeków z przygotowanymi kajdankami, co?

Czarny pokiwał głową.

- Faktycznie. To przecież nie było w planie.

- W planie? Hm... No, proszę dalej - wskazał oszczędnym ruchem wejście do pokoju. - Siadajcie.

Stół był zastawiony obficie jedzeniem i licznymi butelkami.

Felek opadł ciężko na krzesło. Nie chciało mu się jeść. Na alkohol nie miał najmniejszej ochoty. Zapalił papierosa.

Żeby to wszyscy diabli! Drut kolczasty, pies, okiennice, rygle... Ani nosa wyściubić, o ile na to łaskawie nie pozwolą. Swoboda, otwarta przestrzeń... psiamać! - zaciągnął się ze złości dymem. - Mogą tu wyczyniać z nim, na co im tylko przyjdzie ochota. I to bez żadnego ryzyka. Nikt nie usłyszy, nikt nie zobaczy - gryzł papierowy ustnik, walcząc z atakiem pasji. - Gdyby wiedział, że tak będzie... - przydusił niedopałek, zapalając bezpośrednio następnego papierosa. Czego się właściwie po nich spodziewał? Że pozwolą bez opieki spacerować po lesie? Tylko tyle?...

Szef uniósł kieliszek.

- Za to, że się tak udało! Wypili.

Felek zmusił się do przełknięcia. Gdyby nie pił, mógłby im podpaść.

- Plan - szef obejrzał z uwagą tkwiący na widelcu plaster słoniny. Jego rozogniona twarz wskazywała, że musiał przed ich przybyciem gęsto zaglądać do butelki. - Plan a jego wykonanie, to nie to samo. Już po waszym wyjeździe sytuacja się diabło pogmatwała... Więc złapałem samolot, a potem samochodem. Czekam tu na was od czterech godzin.

Wychylił kieliszek. Napelnił znowu.

Felek obserwował go spod oka. Zachowywał się tu zupełnie inaczej niż w Warszawie.

- To panna Zoja też przyjechała? - zapytał Grom.

- Panna Zoja? - szef nagle spochmurniał. - Nie... Ona... - wlepił wzrok w kieliszek - zaszły pewne... przesunięcia organizacyjne. Jednym słowem... Po

zlikwidowaniu naszej kwatery przydzielono ją do centrali - bębnił palcami po ceracie
pokrywającej stół.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Bodajby was wszystkich przydzielono do kryminału - pomyślał Felek.

Chwilami ogarniała go bezsilna wściekłość, chwilami rozpacz. Wsiąkł jeszcze gorzej,
niż w tamtej melinie. Szkoda mrugać.

Porozwalać by te bandyckie mordy i w świat.

Tknęła go nagła myśl: przecież ma pistolet... Jeden mały ruch palcem...

- Pan Wypiór był tak uprzejmy, że pomógł nam przenieść część ocalonych

bagazy - odezwał się nagle Grom. Od pewnej chwili obserwował nieznacznie Felka. -

Może by więc pan był łaskaw teraz... Po co się obciążać niepotrzebnie? - uśmiechał się
z ironiczną uprzejmością.

Felek nie wierzył własnym uszom. Tego znowu co napadło? Gada jak z książki.

Zaczął wyładowywać paczki na stół.

Nie wykonał najmniejszego ruchu w kierunku tylnej kieszeni. Może zapomną?

Szef zgarniał skwapliwie pakiety ku sobie.

- Mielicie jakąś przygodę w drodze? Grom strzepnął niedbale palcami.

- Żeby to jedną. Dwóch śpików i jeszcze coś tam na dokładkę. Przy

sposobności opowiemy dokładniej. Miał pan jeszcze i pistolet - zwrócił się do Felka.

Felek zdrętwiał. Zupełnie jakby czytał w myślach.

Sięgnął do kieszeni. Gdy poczuł w ręku chłód stalowej rękojeści, przez chwilę

owładnęła nim pokusa: zaświecić im w oczy spluwą, zmusić do otwarcia drzwi i pruć
dokąd nogi poniosą. A jeżeli który stanie sztorcem...

Zerknął spod oka. Wszyscy patrzyli na niego. Źrenice Groma zwężyły się

niemal do wielkości łebka szpilki. Napięcie nagle osłabło. Ten na pewno zdążyłby go uprzedzić. Fachowiec... Zresztą kto wie, czy go nie zbijał o tej kuli w lufie? Może w ogóle nie nabity? Nie miał okazji sprawdzić. Prowokacja? Bardzo na to wyglądało.

Ze stukiem położył pistolet na stole.

Oczy Groma odzyskały normalny wyraz. Czarny ziewnął przeciągle.

- Pan Wypiór - Grom ujął w dwa palce lufę pistoletu - bardzo kręcił nosem na maszynę. Bał się zdrefić. A teraz jakby mu zdrowy ząb wyciągali. Taki interes wrasta człowiekowi w garść, prawda?

Felkowi przydzielono osobny pokój. Dobrze i to. Gdy tylko zamknął drzwi, natychmiast zabrał się do szczegółowych oględzin. Wyniki jednak wypadły niepokojąco. Okno było przysłonięte grubą okiennicą, zamykaną od zewnątrz. W dzień pewno się otwiera, ale cóż z tego? Prócz okiennicy zabezpiecza je solidna żelazna krata. Spróbował potrząsnąć. Ani drgnęła. Zupełnie jak w więziennej celi.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Drzwi wychodziły do sieni. Nocowali tam na zmianę dozorca, z których jeden przez całą noc chodził po podwórzu. Obydwa ponure, patrzące spode łba chłopiska.

Niewątpliwie byli uzbrojeni. Połowe łóżko zupełnie tarasowało wyjście na dwór. W stołowym okna również okratowane. Nikt zresztą nie zdołałby tam wejść po nocy bez zwrócenia uwagi dozorca. Jednym słowem, wszystkie drogi odcięte na amen.

Długo nie mógł zasnąć tej nocy.

Było jeszcze zupełnie wcześnie, gdy wyszedł z domu. Uważał, że nie zaszkodzi rozejrzeć się w okolicy. Otoczenie domu przedstawiało się nędznie. Kilka sosen, parę jakichś ogołoconych z liści drzew, sterczące z nielicznych grządek badyle. Poza tym goła ziemia. Na niejednej z warszawskich działek było ładniej. Splunął. A niech sobie!

Dużo go to wszystko razem obchodzi!

Przeszedł się wzdłuż ogrodzenia.

Cholera! Oprócz kolczastego drutu gęstwa kolczastego żywopłotu. Choćby na głowie stawać, nie przelezie. Podszedł niby to przypadkiem do bramy. Pręty grubości pięści, gębami nie przegryziesz... Zamek, rygle, diabli wiedzą, co jeszcze. Nie było się co dłużej przyglądać. Czołgu by trzeba, żeby to rozwalić. Albo bomby. I do tego wszystkiego pies uwiązany w pobliżu. Bydlę wielkości sporego cielaka.

Przyjrzał mu się z bezpiecznej odległości. Pies na jego widok wpadł w furję.

Felek mimo woli cofnął się.

Podszedł dozorca.

- Tylko z nim ostrożnie - mruknął. - Broń Boże nie podchodzić za blisko. On już jednego - zniżył głos - całkiem na śmierć zagryzł. A ilu poharatał!

Felek poczęstował go papierosem. Przyjął, ale bez zbytniego entuzjazmu.

- Naprawdę taki haman? - Felek starał się uśmiechać swobodnie.

Tamten skinął potwierdzająco głową.

- Przecież wam mówię! Bezpieczniej byłoby się spotkać ze wściekłym wilkiem.

A zmyślny, że strach - strzyknął przez zęby śliną. - Wynajdzie choćby o dziesięć kilometrów, niechby nawet w największym gąszczu. A węch... - znowu splunął. -

Wystarczy, żeby kogo raz tylko zobaczył. Na przykład pana szanownego dobrze już poznał.

Było to powiedziane niby mimochodem, a przecież Felkowi aż się zimno zrobiło.

- Ugłaskać się nie da za nic. Szkoda zachodu. Ani kiełbasą, ani pałką, ani nijak.

Dziki zwierz i tyle. Sam go się czasem boję.

Felek długo patrzył w ślad za nim. Gość sam z siebie tego wszystkiego nie śpiewał. Co by mu na tym zależało? Ktoś go musiał nakręcić. Jasne. Szeff albo może Grom. Jedna parafia...

Przysiadł na ławce ćmiąc papierosa. Opadły go coraz bardziej ponure myśli.

Forteca? Pułapka, psia jego nędza. Albo im będzie z ręki żreć, albo go tu zgnoją na mur.

Wszystko się w nim gotowało.

„Łobuzy, dranie - klął w duchu. - Niedoczekanie wasze. Jeszcze zobaczymy, kto kogo...”

Wbrew oczekiwaniom las wcale się tu nie kończył. Ukryci za drzewami wyjrzeni na polanę. Była znacznie większa od poprzedniej. Mniej więcej pośrodku stał dość duży budynek, ogrodzony wysokim ogrodzeniem.

Mężczyzna z tobołem długo się dobijał do bramy. Potem zaczęły się jakieś pertraktacje, prowadzone przyciszonymi głosami.

- Poczekajcie, uczepię psa - to zostało powiedziane już głośno.

Nastąpił zgrzyt odsuwanych rygli. Wiącek przybliżył usta do ucha Kostrzewy.

- Wszystko wskazuje na to, że...

Kostrzewa podciągnął się w kierunku rozłożystego krzaka. Należało całą sprawę dokładnie przeanalizować. Nieprzemyślane posunięcia mogły wszystko zepsuć.

Usiadł na mchu. Wiącek poszedł za jego przykładem.

- Wszystko wskazuje... - powtórzył szeptem. Kostrzewa potrząsną głową.

- Nie bardzo. Powiedzmy, że gość jest związany z bandą, powiedzmy nawet, że jest jej członkiem, ale na zewnątrz musi przecież zachowywać jakieś pozory

normalnego życia.

- Jasne.

- No więc... Z tego wynika, że nie tylko wozi w tej swej bryczce bandziorów i nie każdy dom, do którego akurat wejdzie, musi być zaraz meliną. Choćby nawet był położony w lesie.

- Hm... a ten toból?

- Przyniósł coś na sprzedaż. Albo odgrywa rolę posłańca, dokonującego zakupów w mieście. Czyż to niemożliwe?

- Możliwe - westchnął Wiącek. - Ale jak wytłumaczyć te wszystkie wygibasy, które wyczyniał po drodze?

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Wcale nie twierdzę, by nie były podejrzane, nie twierdzę również, że to nie jest melina, której szukamy. Uważam jednak, że nie mamy jeszcze całkowitej pewności. A jeżeli chodzi o jego zachowanie, to można przyjąć, że tutaj nie jest zbyt spokojnie i po prostu obawiał się napadu.

- Bandzior bandziora? - Wiącek obgryzał w zadumie szyszkę. - Jak wobec tego wyglądają nasze zamiary na najbliższą przyszłość?

Kostrzewa zamyślił się.

- Sądzę - szepnął wreszcie - że nie pozostaje nam nic innego jak trzymać się dotychczasowego planu.

- Obserwacja i bieg do tego zatraconego posterunku?

- Tak. Z tą różnicą, że przesuniemy się w czasie. Powiedzmy, obserwacja do jutrzejszego południa.

- A gdybyśmy spróbowali wejść i przyjrzeć się z bliska? - widać było, że

propozycja Kostrzewy niezbyt przypadła mu do gustu.

- Gra w otwarte karty?

- Niekoniecznie. Jacyś zbłądzeni w lesie włóczędzy. Po tym spacerku

wyglądamy tak, że nawet rodzony kolega z tej samej sekcji wziąłby nas za oprychów pierwszej klasy.

- Mogliby nie poznać - Kostrzewa pociągnął dłonią po szeciniastym policzku

- ale jeżeli mamy do czynienia z meliną, to po prostu nas nie wpuszczą.

- Ludzi, którzy zabłądzili i umierają z głodu? To byłoby ryzykowne. Przecież ta chałupka i jej mieszkańcy muszą mieć jakiś parawan wobec miejscowych władz.

- Na pewno o tym nie zapomnieli. Ale cóż z tego? W takim odludnym miejscu trzymanie nieznajomych za bramą będzie zupełnie usprawiedliwione. Jakiś poczęstunek podany przez pręty, wskazanie kierunku wyjścia z lasu i do widzenia.

Wiącek wzruszył niecierpliwie ramionami.

- Więc na najbliższe godziny nie pozostaje nam nic innego, tylko czekać, aż pieczone gołąbki same wpadną do gąbki?

Kostrzewa rozciągnął się wygodnie na mchu.

- Niestety, nie widzę innego wyjścia.

Noc nie przyniosła odpoczynku. Wprawdzie mieli czuwać na zmianę, ale podniecenie nie pozwalało zasnąć. Żaden nie zmrużył oka.

O wczesnym świcie Kostrzewa wyruszył na zwiady, chcąc zbadać topografię podejrzanego budynku. Przemykając się ostrożnie pomiędzy drzewami obszedł dokoła

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

polankę. Poza bramą nie zauważył żadnego innego wyjścia. Jeżeli było jakieś, musieli

dobrze zamaskować. Gdy zakomunikował o tym Wiąckowi, ten aż podrapał się za

uchem.

- Melina bez zapasowego wyjścia na świeży luft?

- Właśnie. To nie wygląda prawdopodobnie. A przecież obejrzałem wszystko dokładnie.

- Rzeczywiście. Cholera, może to nie tu... - Wiącek przygasł jeszcze bardziej.

Felek przekalkulował sobie dokumentnie całą sytuację. Należało odstawić, że idzie na wszystko, co wobec niego zamierzają. Nie widział innego wyjścia poza mydleniem im oczu. Jak już uznają za swego, przestaną kapować bez ustanku. I wtedy wcześniej czy później podleci jakaś okazja wyłabudania się z tej gnojówki.

Gdy więc szef zagadnął go na temat wstąpienia do organizacji, odpowiedział z całą gotowością:

- Czemu by nie? Tylko chciałbym wiedzieć to i owo. Szef zaczął z wielkiego konia: wojna... no, może jeszcze niezupełnie wojna, ale w każdym razie walka. Walka z bronią w ręku o przygotowanie gruntu dla nadejścia nowych porządków.

- Bo czyż każdy z nas nie rozumie... - długo i mętnie rozwijał temat.

Felek słuchał ze znudzoną miną.

- No tak, rozumiem... - widać było wyraźnie, że cały wywód szefa padł w próżnię. - Mnie też nie klapuje cały ten dzyngs. Walczyć to walczyć. Tylko właściwie co ja będę z tego miał?

Szef popatrzył na niego z ukosa. Fakt, że poprzednio puszczał wszystko mimo uszu, nie przejął go ani trochę. Agitacja polityczna nie należała właściwie do zakresu komórki. Chodziło jedynie o pewne pokrycie. Ostatnie pytanie świadczyło natomiast o zupełnie rzeczowym nastawieniu kandydata.

- W przyszłości...

Felek przerwał mu bezceremonialnie:

- W przyszłości to może i ze mnie jakiego świętego zrobią. Ale że to o różne rzeczy przy takim interesie nietrudno, chciałbym wiedzieć, jak to wygląda na co dzień, panie szefie.

Szef pokiwał głową ze zrozumieniem. Właśnie takiego postawienia sprawy oczekiwał od samego początku.

Odpowiadając znowu coś tam zatrącił o konieczności stosownego

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

wynagradzania poświęceń, ale dalsze słowa były już całkiem konkretne: tyle a tyle. A za każdą specjalną robotę - premia.

Zdawałoby się, że Felek rośnie jak na drożdżach. Starał się niby to ukryć swoje zadowolenie i poprosił o czas do namysłu. Zaraz po skończonej rozmowie przyłapał Czarnego.

- Chciałbym o coś zapytać.

- No?

- Ale, bo widzi pan - rozglądał się z niepokojem - to taka rzecz... Jednym słowem... chciałbym w cztery oczy.

- W cztery to w cztery... - Czarny był naprawdę zaciekawiony i dał się bez sprzeciwu odciągnąć w odległy kąt ogrodu. - Więc o co chodzi?

- Bo widzi pan, szef mówi, żebym przystał do waszej komórki.

- Tak. Obiło mi się coś o uszy. A panu się to nie widzi?

- To nie to... Tylko naopowiadał o takich złotych górach... A ja chciałbym wiedzieć, jak naprawdę. Szczerze mówiąc, nie chciałoby się sprzedawać własnej skóry za trzy grosze.

- A mnie pan uwierzy?

- Pan to co innego. A szefy, wiadomo, lubią bujać.

- No, to uszy do góry. Nie ma żadnego bujania. Forsa jest. Pod tym względem wszystko się zgadza jak w aptece.

- No, to szafa gra - ucieszył się Felek. - Tylko - przytrzymał go jeszcze za rękaw - żeby pan nie roztrąbił... Bo szef mógłby kręcić nosem, że mu nie wierzę na słowo.

- Mowy nie ma. Jak w zaufaniu, to w zaufaniu. Ja nie taki, co lata z językiem.

I niemal bezpośrednio potem, zgodnie z przewidywaniem Felka, powtórzył słowo w słowo całą rozmowę szefowi. Ten wysłuchał uważnie.

- I więcej o nic nie pytał?

- Nie.

- W porządku. Wygląda, że gość dojrzał do pracy.

- I mnie się tak widzi.

Grom za to miał bardzo poważne zastrzeżenia.

- Mięczak - potrząsnął z powątpiewaniem głową. - Nie chciałbym go mieć do pomocy przy poważnej robocie.

Szef popatrzał na niego przymrużonymi oczyma.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Ja tu decyduję - powiedział dobitnie.

- Czy mówię, że nie? Ale żeby potem nie wyszło jak z Dandym.

Szef przeniósł wzrok w inną stronę. Postanowił jednak odłożyć ostateczną decyzję do czasu, gdy nie pozostaną już żadne wątpliwości.

Felek dokładnie obserwował kolejność rozmów. Fakt, że po ostatniej naradzie

szeł już nie poruszał tej sprawy, jeszcze bardziej potwierdził dotychczasowe wnioski: najniebezpieczniejszy z całej ferajny jest Grom. I właśnie na niego trzeba najwięcej uważać, bo inaczej wsypa murowana.

Przyłgnęli ciasno za krzakiem obserwując, jak mężczyzna, który ich tu doprowadził, wychodzi za bramę..

Tym razem maszerował pewnie i beztrosko. Przeszedł w odległości nie więcej niż dziesięciu kroków od zarośli, w których byli ukryci.

Wiącek spojrzał pytająco na Kostrzewę.

Ten machnął ręką: zostajemy.

Wiącek przyłgnął jeszcze ciaśniej do mchu. Typ rzeczywiście wyglądał na niezbyt grubą rybę. Ten dom zaś... No, mogły się w nim kryć niezmiernie ciekawe rzeczy. A gdyby nawet okazało się, że wszystkie pozory mylą, zawsze zdążą tamtego przyłapać.

- Poszedł - szepnął Kostrzewa i zaczął się powoli podnosić. Nagle gwałtownym rzutem całego ciała przypadł z powrotem do ziemi.

Wiącek spojrzał w kierunku wskazywanym ruchem głowy przez Kostrzewę i aż syknął.

Poprzez pręty bramy widać było część ogrodu. I właśnie w tym polu widzenia stał... Wypiór.

Nie było żadnej wątpliwości. To był on.

Obserwowali w milczeniu, zanim nie zniknął za żywopłotem.

- Mieliście rację - szepnął Kostrzewa. - Jednak melina.

- Co wobec tego robimy? - w głosie Wiącka czuć było podniecenie.

- Druga część planu.

- To zajmie co najmniej dziesięć godzin, nawet jeżeli z posterunku da się czymś przyjechać.

- Może jest jakaś inna droga, krótsza?

- Gdzie?.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Kostrzewa wzruszył ramionami.

- Jakie więc widzicie rozwiązanie? - zapytał po chwili.

- Nie możemy stąd odejść.

- Jeden przecież pozostanie.

- Jeden - szept aż parzył ucho Kostrzewy - nic nie zrobi. Tamten typ uprzedzi

ich o zbliżaniu się obławy. Prysną. Ani przeszkodzić, ani nawet pójść za nimi. Nie będą przecież tak głupi, by walić kupą. Zostaniemy z niczym.

Kostrzewa przygryzł wargi. Trudno było zaprzeczyć słuszności tego rozumowania.

- Cóż więc w takim razie pozostaje?.

- Dostać się jakimś podstępem do środka, a potem...

- A potem?

- To się zobaczy.

- Jeżeli jest Wypiór, to murowane, że i tamci dwaj też są.

- Jasne.

- Do tego dozorca czy ten ktoś, kto łąził w nocy po ogrodzie.

- Razem czterech - Wiącek łysknął okiem. - Gra na cztery ręce. Ale moment zaskoczenia może zrównoważyć szanse.

- Dotychczasowa rozgrywka nie bardzo pozwala na to liczyć. Typy oblatane.

- Wypuścić ich z garści? - stęknął Wiącek.

- Hm... - Kostrzewa ssał pustą cygarniczkę. To już od dłuższego czasu musiało mu zastąpić palenie. - Mówicie: czterech. Ale licho wie, ilu ich tam jest naprawdę. Nie wszyscy przecież musieli defilować przed bramą.

- Ten typ, który otwierał bramę...

- Wygląda na osiłka - wpadł mu w słowo Kostrzewa.

- Owszem, ale bardzo nierozgarniętego. Tacy w czasie nagłej akcji przeważnie głupieją i wysiadają na widok pistoletu. Wypiór chyba też nie jest człowiekiem zdolnym do nagłego skoku.

- A ten o żółtych źrenicach?

- Ten tak. Jeżeli go się jednak unieszkodliwi, cała ferajna rozpęknie po szwach.

Tym bardziej jeżeli im oznajmimy, że chałupa jest otoczona. Zobaczycie sami, jak to pójdzie.

- Jednym słowem, jesteście za natychmiastową akcją na własną rękę?

- Tak.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Kostrzewa medytował dłuższą chwilę.

- Pomimo wszystko nie wydaje mi się, by to było rozsądne.

- Może i nie jest. Ale w przeciwnym razie zostaniemy z niczym. A do tego nie można dopuścić.

Kostrzewa nabrał głęboko powietrza do płuc. Miał w tej chwili takie uczucie, jakby zamierzał skoczyć w bezdenną głębię. Ale Wiącek miał rację. Nie wolno było za żadną cenę dopuścić, by ci ludzie znowu zniknęli.

- W takim razie musimy obmyślić sposób dostania się do wnętrza - powiedział

głuchym szeptem.

Niemal tuż pod samym ogrodzeniem, w odległości paru kroków od bramy, rosły bujne wysokie chwasty. To właśnie miejsce obrali za punkt wypadowy. Czołgali się bardzo powoli. Raz po raz nieruchomieli, czekając, aż poruszona trawa przestanie się kołysać. Pies musiał ich wyczuć, gdyż ujadał z rosnącą wściekłością. Wreszcie dotarli do celu i zalegli w chwastach. Tu już wykonanie jakiegokolwiek ruchu było nie do pomyślenia.

Mężczyzna sprawujący prawdopodobnie funkcję dozorca wyrżał kilkakrotnie przez pręty bramy. Widocznie był zaniepokojony zachowaniem się psa. Kostrzewa niezmiernie wolno przybliżał rękę do kieszeni, w której tkwił pistolet. Teraz otworzą bramę i wyjdą z psem...

Dozorca ku jego zdziwieniu nie uczynił jednak tego. Obserwacje Wiącka potwierdzały się: musiał być nierozgarnięty i leniwy. Na tym już coś niecoś dało się budować.

- Co z tym psem? - zapytał za żywopłotem czyjś głos. - Wyczuł kogoś obcego?

- Nie - odpowiedział dozorca. - Patrzyłem.

- To czego się biesi!

- Czasami to coś takiego na niego przychodzi.

I nic więcej o tym nie mówili, chociaż pies nie przestawał ujadać. To był z ich strony niewątpliwy błąd. Zresztą nie bardzo zrozumiwały. Nasuwało się tylko jedno wytłumaczenie: ktoś przyzwyczajony do wielkiego miasta zatracił się w nieznanym dla siebie warunkach.

Wargi Kostrzewy drgnęły w nikłym uśmiechu. Ano, oczywiście, tym lepiej...

Oczekiwanie przeciągało się coraz bardziej. Minęła godzina, potem druga i nic

nie wskazywało, by ktoś zamierzał otworzyć bramę. Mięśnie odrętwiały od

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

niewygodnej pozycji. Pokłute żądłami komarów karki swędziały tak nieznośnie, że tylko dzięki nadzwyczajnemu wysiłkowi woli zdołali powstrzymać chęć podrapania się.

Jeżeli przez cały dzień nikt stąd nie wyjdzie?

Nagle sprężyli się w gotowości. Za bramą rozległy się podniecone głosy:

- Ile razy dziennie mam ci przynosić chrust? - dozorca był wyraźnie zły.

- Nie wydurniaj się. Nie przynosiłeś ani wczoraj, ani przedwczoraj. Nie mam już ani jednego patyka. Czym będę palił?

- Niech cię szlag trafi! Już przyniosę. Czyjeś kroki oddalały się.

Potem szcęk zamka i zgrzyt rygli. Ciężka brama odchyłała się powoli.

- Teraz! - syknął Kostrzewa podrywając się na nogi. Dwa wyteżone susy i znaleźli się przed bramą.

Zanim człowiek otwierający ją zdołał się zorientować, co zaszło, odepchnęli go i wpadli do środka. Tu jednak zatrzymali się.

Barczysty mężczyzna osłupiał. Patrzył na nich szeroko rozwartymi oczyma.

Nie mógł zrozumieć, skąd się tu wzięli. To wszystko zaszło stanowczo zbyt szybko jak na jego zdolność pojmowania.

Nagle twarz jego naląła się krwią.

- Czego tu? - wrzasnął groźnie. - Jazda!

Napierał na nich potężnym cielskiem. Cofnęli się, ale w kierunku domu. To wypadło zupełnie naturalnie.

- Czy moglibyśmy zobaczyć gospodarza? - powiedział cicho i zupełnie

spokojnie Kostrzewa.

Brzmienie jego głosu i obecne zachowanie się obydwu przybyszów pozbawiało scenę wszelkich cech gwałtowności.

To do reszty stropiło dozorcę. Coś tu nie pasowało. Pchają się na siłę, a potem... Zamachał łapskami:

- Nie ma gospodarza!

Kostrzewa zrobił stropioną minę.

- To my poczekamy - nie przestawał przez cały czas kontrolować baczny wzrokiem otoczenia. Jakoś dotychczas scena przy bramie nie ściągnęła niczyjej uwagi. Dozorca zaczął znowu na nich następować.

- Nie ma. Wyjechał. Zrozumiano? Nikt tu nie będzie czekał. Wynocha!

Porozumieli się szybkim spojrzeniem. Dalsze przeciąganie rozmowy nie miało

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)
najmniejszego sensu.

Odwrócili się jak na komendę i nie zwracając już na niego uwagi ruszyli w kierunku domu. Siłą powstrzymywali się, żeby nie przyśpieszać kroku. Zbyt szybkie tempo mogłoby sprowokować dozorcę do zrobienia tego, co powinien był zrobić już od dawna. Dozorca trwał przy bramie, goniąc ich mętnym spojrzeniem. Nie wiedział, jak ma postąpić. Żeby grozili, żeby wrzeszczeli, żeby wyciągnęli broń, wszystko byłoby jasne. Ale tak?...

- Bo spuszczę psa! - zawołał jeszcze za nimi.

Nawet się nie obejrzel. Nie wierzyli, by w tej sytuacji zdobył się na to sam, bez czyjegoś rozkazu. Szczuć zaś taką bestią ludzi tylko za to, że chcą się zobaczyć z gospodarzem? To by mogło pociągnąć za sobą przykre konsekwencje.

Dotarli do schodków. Teraz nerwy były napięte jak struny. Zaczynała się wielka gra.

Dozorca tarmosił zmierzwioną czuprynę. Zamknąć bramę, podnieść alarm? - sięgnął po zawieszoną na szyi gwizdawkę. Ale jeżeli niepotrzebnie narobi gwałtu, to mu wleci od tego łysego. A to jakieś bidne typy. Wchodzą sobie spokojnie po schodkach. Gdyby mieli jakieś podejrzone zamiary, nie zachowywaliby się przecież w ten sposób. I było ich tylko dwóch.

Na widok wchodzących do pokoju szef poderwał się raptownie. Czegoś podobnego się nie spodziewał. Obcy ludzie?! Bez zameldowania?!

- Co?... - wytrzeszczył oczy. - Skąd się tu wzięliście? I w ogóle, co za jedni? - głos, w którym przy pierwszych słowach czuło się zaskoczenie, teraz brzmiał groźnie.

„To już w każdym razie piąty - skonstatował w myśli Kostrzewa. - I wcale nie wygląda na baranka”.

- Czy pan jest tu gospodarzem? - zapytał spokojnie. Stali w dość pokornych pozach tuż przy progu.

Szef świdrował ich przenikliwym spojrzeniem, jakby chciał przejrzeć na wylot.

Zachowanie się i wygląd przybyszów zmyliły go. Jacyś włóczędzy? Przede wszystkim należało ich wyrzucić za ogrodzenie, potem się zobaczy, co przyjdzie zrobić dalej.

Obecność ich była niepożądana, ale jeszcze nie alarmująca. Nie można przecież liczyć, że nigdy nikt obcy nie trafi na polanę.

- Co was obchodzi, kim jestem? Proszę stąd wyjść. Tu nie wolno wchodzić.

- Dlaczego? - zapytał cicho Kostrzewa, zerkając nieznacznie na Wiącka, który

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

zdawał się być bez reszty pogrążony w oglądaniu sufitu. - Dlaczego nie wolno?

- Bo nie. Placówka naukowa. Mam się zresztą tłumaczyć przed pierwszym lepszym? Wyjść, bo każę... odprowadzić na milicję - zakończył nieoczekiwanie.

Pomimo całej powagi sytuacji Kostrzewa ledwo powstrzymał się od uśmiechu.

- To byłoby zbędne, ponieważ...

Urwał na odgłos kroków za ścianą. Krótkie, porozumiewawcze spojrzenie uprzedziło wywiadowcę o tym, co ma zająć za chwilę. Ktoś nadchodzi. Należało tego typu obezwładnić, zanim ten ktoś zajrzy do pokoju.

- Urząd Bezpieczeństwa! - syknął Kostrzewa, błyskając przed oczyma szefa legitymacją. - Ręce do góry i stać w miejscu!

- Bez żadnych kawałów - dodał Wiącek zachodząc z boku.

Rachuba na zaskoczenie tym razem zawiodła. Szef przysiadł, sięgając do kieszeni. Wyciągnął pistolet niemal jednocześnie z Kostrzewą. Najszybszy okazał się jednak Wiącek. Jeden chwyt i pistolet wypadł z wykręconej ręki.

- Milczeć! - Wiącek widząc, że jeniec otwiera usta, podniósł rękę, by mu je zatkać. Spóźnił się. Powietrze przeszył rozpaczliwy wrzask:

- Na pomoc!

I zaraz w następnej chwili w drzwiach zaczerniała wielka sylwetka dozorca.

Kostrzewa podniósł pistolet.

- Wejść i ani mru-mru!

Ale dozorca szarpnął się gwałtownie w tył i zanim Kostrzewa zdołał go dopaść, runął przed siebie w panicznej ucieczce.

Słyszeli, jak pędził przez sień, krzycząc na całe gardło:

- Ubeki! Wsypa!

Kostrzewa podskoczył do łysego. Zrezygnował jednak, słysząc odgłosy

budzącego się w całym domu życia. Zaciśnął zęby. Akcja, której początek przebiegł tak gładko, zaczęła się diabelnie komplikować. Nie pozostawało nic innego, jak wykorzystanie typu, którego mieli w ręku. Sprawiało wrażenie, że jest jakąś grubszą rybą w bandzie.

- Dom jest obstawiony. Każ swoim złożyć broń! - krzyknął rozkazująco. Już teraz nie było potrzeby zniżania głosu. - Natychmiast! Inaczej wystrzelamy was wszystkich do nogi!

Łysy mężczyzna milczał, wlepiając oczy w podłogę.

- No?! Prędzej! Na pierwszy alarm zacznę strzelać. Nie rozumiesz? Wołaj!

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Wyglądało, że rzeczywiście nie rozumiał. Wiącek złapał go za kołnierz.

Doskonale sobie zdawał sprawę, czym grozi strata czasu w tej sytuacji.

- Krzycz, do jasnej cholery! - szarpnął nim ostro. - Będziesz krzyczał?

Za drzwiami wzrastał rumor. Ktoś gwałtownie zbiegał ze schodów.

Kostrzewa wycelował w kierunku drzwi. W tej samej chwili gruchnął strzał. Z brzękiem posypała się szyba.

Z ust Wiącka wydarło się głucho stęknienie. Zaklął. Na lewym rękawie szybko rozlewała się czerwona plama. Łysy człowiek wyrwał się z jego rąk i skoczył pod stół.

Kostrzewa błyskawicznie obrócił się do okna i strzelił z podrzutu.

W jednej sekundzie rozpętało się prawdziwe piekło.

Ktoś niewidoczny strzelał z sieni, ktoś inny przez okno.

Przypadli do podłogi. Od strzałów z okna chronił częściowo stół. Strzelając bez przerwy przeczołgali się za masywny dębowy kredens „Wystrzelają jak zajęce - mignęło w mózgu Kostrzewy. - Trzeba działać.” Zmienił magazynek.

- Na dwór! - syknął strzelając serię w kierunku sieni. - Przebojem!

Wiąckowi ćmiło w oczach. Rana musiała nie być tak lekka, jak przypuszczał, Z trudem podniósł pistolet i kierując lufę ku drzwiom, pociągnął za cyngiel.

Kostrzewa zerwał się na równe nogi.

- Prędeż, bo nas przytrzasną!

Wiącek zebrał wszystkie siły, szarpnął się i tylko ukląkł na jedno kolano. W tej samej chwili straszliwy ból targnął ciałem. W płucach zabrakło tchu. Otworzył kurczowo usta, by zaczerpnąć powietrza i miękko, jakby z wahaniem, osunął się na podłogę.

Kostrzewa, który już dobiegał do progu, odskoczył z powrotem w głąb pokoju.

- Mikołaj!

Nie pozostawi go przecież na pastwę tych bandziorów! Jeszcze raz strzelił w kierunku drzwi i przypadł ku niemu.

- Mikołaj!... Żyjesz?!...

I nagle jakby sufit runął mu na głowę. Przed oczyma rozjarzyła się przeogromna jasność. Potem spadł mrok.

Pistolet potoczył się po podłodze. W ślad za nim runęło twarzą naprzód ciało Kostrzewy.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Pułkownik Kociuba odłożył słuchawkę na widełki powolnym ruchem.

- Nic? - Suski zresztą z góry przewidywał, jaka będzie odpowiedź.

- Nic.

Kociuba długo wybierał papierosa ze skrzyneczki, potem obejrzał go z

zastanowieniem i nie zapalając położył na biurku.

- Absolutnie nic - powtórzył. - Rysopisy podano bileterom wszystkich stacji, na których pociąg się zatrzymywał. Nie tak wiele ich zresztą było. Zewsząd meldują to samo: „Nie zauważono”.

- Jeżeli pojechali dalej? - wtrącił Kornacki. Kociuba nagle przypomniał sobie o papierosie i zapalił.

- Wziąłem to również pod uwagę. Powiedziałem: wszystkie stacje. Zapytanie poszło po całej linii aż do samej granicy.

Zapadło przeciągłe milczenie.

- Rozpatrzmy fakty - odezwał się wreszcie Suski. - Niewątpliwie wsiedli do tego samego pociągu. Niewątpliwie dojechali do stacji, na której nadali telegram. I mieliby z pociągu nigdzie nie wysiąść?

- To niemożliwe - stwierdził sucho Kornacki. Suski wzruszył ramionami.

- Pewno, że nie. Właśnie chodzi o wyeliminowanie niemożliwości, aby potem tym łatwiej rozważyć to, co pozostanie.

Kornacki rysował końcem palca jakieś arabeski na poręczy fotela.

- Nadali telegram. Musieli więc wysiąść - ciągnął dalej Suski. - Bo o tej porze poczta peronowa nieczynna. A jeżeli nie wsiedli z powrotem?

- Wsiedli - Kociuba pokiwał ociężale głową. - Zostało w tej sprawie przeprowadzone dochodzenie. Urzędniczka pocztowa widziała wprawdzie tylko „inspektora”, czyli Kostrzewę. Twierdzi, z całą pewnością, że wrócił do wagonu. Specjalnie go obserwowала.

- A Wiącek?

- Co do niego brak danych. Ale Kostrzewa nie wspomniał w depeszy, że się

rozdzielili.

- Tak - znowu zabrał głos Suski. - To dowodzi, że przynajmniej do momentu odejścia pociągu byli razem. I że odjechali z tej stacji. A dalej...

- A dalej?... - powtórzył jak echo Kornacki.

- Cóż... - Suski bębnił po kolanie -...nie dojechali do żadnej stacji. W rachubę wchodzi nie tylko bileterzy; sokiści nocą również uważają na pociąg. Wykluczone, by Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>) jedni i drudzy mogli przeoczyć.

- Wy tłumaczcie mi, jak to się wysiada w biegu z pociągu pospiesznego? - głos Kornackiego brzmiał głucho.

- W biegu na pewno nie - zaprzeczył Kociuba. - Również musimy odrzucić przypuszczenie, że zostali wyrzuceni - doskonale zrozumiał ukryty sens pytania. - W takim bowiem wypadku musiano by ich przecież odnaleźć...

- A pod jakimś semaforem? - wtrącił Suski.

- Słusznie. Wydaje się, że tylko ta możliwość pozostaje. Zasięgnęto informacji u maszynisty. Tej nocy miał przeważnie wolną drogę - podniósł się i podszedł ku zawieszanej na ścianie mapie. - Czerwone światło napotkał jedynie tu i tu - wskazał końcem ołówka.

Kornacki zaglądał mu przez ramię.

- Więc z tego wynika, że w grę wchodzi jedynie te dwie miejscowości? Pokręcił przecząco głową.

- Nie... Jest jeszcze trzecia. I tu, moim zdaniem, mieli najlepszą okazję. Ot, w tym miejscu - ołówek powędrował w dół - prowadzona jest naprawa torów. Pociąg na pewnym odcinku idzie z szybkością pięciu kilometrów. Wprost wymarzone warunki

do zeskoczenia dla takich jak Wypiór i kompania.

- Skąd mogli to przewidzieć? - w tonie Kornackiego można było wyczuć powątpiewanie.

- Znacznie łatwiej niż to, że pociąg zatrzyma się pod semaforem - powiedział Kociuba. - Roboty rozpoczęto na trzy dni przed datą ich wyjazdu. I jeszcze nie zostały ukończone.

- Hm... - Kornacki przybliżył twarz do mapy. - Ale dlaczego dotychczas nie dali znaku życia? Tu przecież jest jakieś miasteczko w pobliżu? - dotknął paznokciem ledwo widocznej kropki.

- Osada - poprawił Kociuba. - A raczej nawet duża wieś. Nie ma ani telefonu ani poczty. Do najbliższego punktu telekomunikacyjnego przeszło trzydzieści kilometrów. Jeżeli więc szli gorącym tropem, nie mieli możliwości.

- Tylko... - Kornacki pomyślał w tej chwili o losie Sierakowskiego - ...dokąd tym tropem zaszli?

Kociuba długo i bardzo starannie przecierał okulary.

- No, miejmy nadzieję, że się odezwą w najbliższym czasie.

- Miejmy nadzieję - powtórzył Kawecki, który dotychczas nie zabierał głosu w

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)
dyskusji.

- Czy aby na pewno? - zapytał jeszcze raz szef.

Od tamtej chwili stał się bardzo ostrożny. Grom określił to - oczywiście w duchu - znacznie lapidarniej: „w portki zaczyna robić”. Ale pomimo wszystko możliwości szefa w obrębie komórki były nadal prawie nieograniczone.

Zaciepa machnął lekceważąco ręką.

- Miałbym przegapić? Jeszcze się taki nie znalazł, co by mnie tu przechytrzył.

Wychowałem się w lesie.

- Dwóch - potwierdził Grom, który wraz z nim odbywał inspekcję okolicznych terenów. - Dwóch i ani ćwierć łebka więcej. Całe to okążenie to lipa. Chcieli po prostu napuścić strachu. Ano, wyszło troszkę na odwrót.

Roześmiał się chrapliwie. Spojrzenie Felka uciekło w bok.

Szef pokiwał głową z wyraźnym zadowoleniem.

- Skoro tak, sprawa załatwiona. Przyszli, zostali zreferowani, kropka. Nie ma powodów do niepokoju.

Czarny poprawił bandaż na ramieniu, syknął i znowu coś pogmerał przy nim paluchami. Bolało jak cholera.

- A jeżeli dali znać, gdzie trzeba, że się tu wypuszczają?

- Też! - parsknął Grom. - Niby kiedy? Przecież ci sami, co w pociągu. Musieli za nami gazować bez przerwy, skoro tu wdepnęli. A po drodze żadnego „gdzie trzeba” ani na lekarstwo.

Szef rozmyślał przez chwilę. Potem nachylił się nad sztabówką, na której pobliskie posterunki milicji zostały oznaczone czerwonymi krzyżykami.

- Nie - zakreślił palcem linię od miejsca zatrzymania się pociągu - tego rodzaju ewentualność raczej nie wchodzi w rachubę.

- Gdyby było inaczej, przytaszczyliby ze sobą każdą znaną po drodze glinę albo chociażby tych wiejskich amatorów - dorzucił Grom. - Głupi tylko by się porywał na taką robótkę we dwójkę, gdy może naszczuć całą sforę.

- Słusznie - szef swobodnym ruchem zapalał papierosa. - W takim razie nic nie stoi na przeszkodzie usunięciu hm... śladów.

- Im prędzej, tym lepiej - powiedział z przekonaniem Grom. - Jak śmierdzi, to trzeba wywietrzyć. Bo tak czy inaczej, ktoś w końcu może wetknąć nosa.

- W takim razie - szef popatrzał na Zaciepę - tak jak mówiliśmy.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Dobra - Zaciepa wysmarkał się głośno. - Tylko że musimy poczekać do zmierzchu. Za dnia byłoby nieporęczniej: mógłby się napatoczyć ktoś, kogo nie trza.

Grom wzruszył z niezadowoleniem ramionami.

- Nie powiem, żebym się specjalnie palił do takiej zaprawy! Marsz na przelaj to nie moja specjalność. Taszczyć się diabli wiedzą ile kilometrów...

- Będzie z dziesięć - wyjaśnił Zaciepa. Grom wyduł wargi.

- Wasze kilometry ciągną się jak guma. Dziesięć starczy za piętnaście albo i całego dwudziestaka.

- Eee - Zaciepa poskrobał się za uchem - tyle nie będzie.

- I po jaką cholere to potrzebne? - ciągnął dalej Grom. - Dziewicza puszcza, psia jej twarz. Zakopać pod jakimś drzewkiem i po krzyku.

- Najłatwiejsze wyjście nie zawsze jest najlepsze - powiedział sentencjonalnie szef. - A jeżeli odkopią?

- Mogą? - Grom spojrzał pytająco na Zaciepę, którego po rannej wyprawie uważał za specja od lasu.

Ten zachwiał niezdecydowanie głową.

- Różnie bywa...

- Przekopią cały las? - zapytał ironicznie.

- To nie... Ale jeżeli wezmą psy?

- Psy? - Grom nagle przygasł. - No, jeżeli z psami, to faktycznie... A na tym

waszym bagnie nie wyniuchają?

- Tam to już ani mowy. Wessie, że i do sądneho dnia mogliby szukać. Psy, nie psy, żadne sztuczki nie pomogą.

To przeważyło.

- Zdecydowane - oznajmił krótko szef. - Pan oczywiście idzie? - zwrócił się do Groma.

Grom wykrzywił się.

- Cóż, jak ceremonia z całą pompą, to przyjdzie pomaszerować. Ale sztywniaków dygować nie będę.

Szef przyjrzał mu się spod zmarszczonych groźnie brwi.

- Jak to?

- A tak - Grom nie spieszył się. Niech mu się nie wydaje, że za bardzo może podskakiwać. Tutejsza melina a warszawska to nie to samo. Szef zresztą też zmiękł jakoś. - Każdy sam wie, do czego ma dryg. Zresztą ma pan zamiar puścić procesję bez obstawy? Jak wdepną, to jakby w kajdankach. Ktoś musi mieć przecież wolne ręce, żeby powiedzieć pierwsze słówko.

Szef odłożył papierosa. Nie, tego nie można było uważać za niesubordynację.

Lepiej zresztą było nie uważać. Dużo mu opowiadano, a teraz widział na własne oczy

Groma przy robocie...

- Dobrze. Bierze więc pan obstawę.

*

Felek zachorował zaraz po obiedzie. Skręcał się wprost z bólu.

- Nie wiem - jęczał przejmująco, usiłując nie widzieć podejrzliwych oczu

Groma. - Jakby w całym brzuchu ogień.

Grom wreszcie machnął ręką. Diabli go wiedzą. Może i nie odstawia... Zresztą, co z niego byłby tam za pożytek...

O zmroku brama uchyliła się ostrożnie. Czterej ludzie ruszyli w kierunku lasu, uginając się pod ciężarem wielkich podłużnych pakunków.

Grom zamykał pochód. Szli długo. Grom nie wyjmował prawej ręki z kieszeni.

Rozglądał się bez zbytniego przekonania. Kto by tam załaził w taką zafajdaną głuszę?

Zwłaszcza o tej porze. Ale jeżeliby się ktoś nawinął - sprawa krótka: w łeb i na trzeciego do kompanii.

W pewnym momencie coś zatrzeszczało. Wyszarpnął pistolet. Zaciepa jednak machnął uspokajająco ręką: zając.

Wędrowali jakimiś już całkiem czortowymi wertepami. Grom potykał się o korzenie. Raz władował się w wykrot. Nic jednak nie mówił. Bo że bezpieczniej, to fakt.

W końcu jednak zniecierpliwił się.

- Daleko jeszcze diabli nas będą nieśli?

- Tyle co nic - Zaciepa głośno pociągnął nosem. - Nie czuje pan, jak podjeżdża?

Cuchnęło rzeczywiście jak diabli. „Żaden pies nie pomoże” - przypomniał sobie

Grom jego zapewnienia. Teraz nabrał pewności. W tym smrodzie każdy, choćby i najlepiej zaprawiony, straci węch.

Wreszcie Zaciepa przystanął.

- No proszę. I kopać nie trzeba, i nikt nie wyciągnie z powrotem - powiedział

to takim tonem, jakby sam własnoręcznie stworzył to bagnisko. - Aby tylko rzucić jak

najdalej.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Ujęli jeden z pakunków z obu końców. Kołysali przez chwilę.

- Hop!

Plusnęło soczyście. Bryzgi doleciały aż tutaj. Ze wstrętem ocierali twarze. Przy akompaniamencie bulgotu podłużny cień zaczął się pogrążyć. Bańki powietrza pryskały z cichym trzaskiem...

Gdzieś w oddali migotały zielonkawe światełka.

W pierwszej chwili nawet Grom nie zorientował się, o co chodzi.

- Wieś?

Zaciepa roześmiał się.

- Od razu widać, że pan nietutejszy. Skąd by tu wieś? Do twardego gruntu świat drogi. To bagienne ogniki.

Wpatrywali się wyczekująco w zgnięzielony kożuch przykrywający topiel.

Prysnęło jeszcze kilka pęcherzy i powierzchnia wygładziła się.

- A co, nie mówiłem? - zapytał triumfująco Zaciepa. - Ni śladu, ni popiołu.

- Zgadza się - prychnął z aprobatą Grom. - Całkiem niezgorsze urządzenie. Nie zaszkodziłoby i u nas mieć coś takiego pod ręką.

Sięgnął niezdecydowanie do kieszeni.

- Można zakurzyć? Bo te cholerne komary...

- Czemu by nie? Choćby i ognisko. Tu nawet pies z kulawą nogą nie zagląda.

Jaki kto mógłby mieć interes?

- No, próba frei. Interes dotarty, referujcie dalej. Nie będziemy sterczeć do świtu.

Ujęli drugi ciężar.

- Raz!

Znowu plusnęło. Grom ziewnął na całe gardło.

- W ten sposób zginęło mnóstwo osób... - Nagle nachylił się wytrzeszczając oczy. - Co za granda, panie majster? - popatrzył na Zaciepę. - Nie idzie?

Rzeczywiście nie szło. Pomimo zmroku kształt można było dojrzeć zupełnie wyraźnie.

- Wessie - mruknął Zaciepa.

Nic się jednak nie zmieniało.

- Kij w oko z taką nawalanką - warknął Grom. - I co teraz?

Zaciepa również zaniepokoił się.

- Czy ja wiem?... Trzeba by może popchnąć. Rozejrzał się. Znalazł długą gałąź,

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

wskazał drugą Czarnemu.

- No, to do roboty.

Podszedł tak blisko, że pod podeszwami cmokało przy każdym kroku. Czarny stawiał nieufnie nogi.

- A nie zapadnę się? Zaciepa splunął.

- Jak ja nie, to czemu pan miałby?

Próbowali tak, próbowali inaczej, ale nic nie wychodziło. Tym razem bagno nie chciało połknąć poczęstunku. Grom klął na czym świat stoi.

- Do bani z taką zafajdaną robotą! W końcu Zaciepa miał dosyć.

- Nie ma się co pieklić - odrzucił gałąź. - Błoto tu akurat gęściejsze, to przez to. Ale i tak w końcu wciągnie.

- W końcu, to znaczy kiedy? - zapytał złym głosem Grom.

- Bo ja wiem? - wzruszył ramionami. - Godzina, dwie...Do świtu to już jak amen w pacierzu.

- A tymczasem...

- Nikt tu nie przyjdzie - Zaciepa przerwał mu pośpiesznie.

Grom zachnął się.

- Gadać łatwo. Nie przyjdzie. Umowęś pan ze wszystkimi podpisał? A jak diabli kogoś jak na złość przyniosą?

Zaciepa pomyślał przez chwilę.

- Przykryjemy gałęziami. Potem i tak wszystko do kupy zniknie.

Felek niby to łąził, ale zgięty w pół i raz po raz łapał się za brzuch.

Grom przypatrywał mu się zmrużonymi oczyma.

- Tak załazło za skórę? - dopytywał się z kpiącym współczuciem.

Widać było od razu, że nie wierzy za grosz.

- Cholernie - Felek zrobił zbolałą minę. - To pewno wtedy, gdy wpadłem do pokoju, gdzie te śpiki...

- Ooo, wpadłeś pan? - świdrował go oczyma. - Jakoś nie zauważyłem.

Felek zdołał wytrzymać kolący wzrok bez mrugnięcia powieką.

- Jakże nie?! - niemal się oburzył. - Wszyscy, to i ja. Tylko że jak człowiek nie ma żadnej broni, to co się wypychać na sam front?

Grom wprawdzie coś tam kręcił nosem, ale nie zaprzeczył. Felek triumfował.

Zje psa, zanim skombinuje, jak było naprawdę. Co mógł przyuważyć w takim

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

harmidrze, jaki wtedy panował?

Ale że w ogólności z Gromem szło jak z kamienia, to fakt. Bo raz zauważył, jak go obserwuje? I z oczu mu patrzyło niezbyt dobrze. Nie ufa, cholera, i tyle.

W dalszym ciągu stękał i ledwo powłóczył nogami. Na chorego powinni by mniej kapować, a okazja mogła podlecieć lada chwila.

Szef klepnął go przyjaźnie po ramieniu.

- Pańską sprawę załatwimy w najbliższym czasie.

Nic jednak nie załatwiał i, co gorsza, ani wspomniał teraz o spluwie. Jasne, że to była robota Groma, bo przecież przedtem wszystko przedstawiało się całkiem inaczej. Za to reszta ferajny nie wyglądała już tak groźnie, jak na początku. Dozorca nie zwracał na Felka najmniejszej uwagi. Dobrze, że już przestał wytrzeszczać gały.

Czarny kapcaniał z godziny na godzinę. Jęczał, klął, oczy miał szklane, na twarzy krwiste wypieki. To nie mogło być odstawiane dla pucu. Chybaby palcem nie kiwnął, choćby mu przed samym nosem włożyć na płot. Żeby tego Groma diabli ponieśli choć na kilka godzin, można by coś zacząć.

Siedział jednak jak przyrośnięty. I co gorsza, on właśnie wysunął sprawę strychu...

*

Leśniczy Grzmielewski zarzucił dubeltówkę na ramię.

- No chodź, Fryc, trzeba się trochę przewietrzyć. Pomaszerujemy sobie na dalszy spacer.

Wielki wilk o prawie czarnej sierści zamachał ogonem. Grzmielewski mrugnął porozumiewawczo okiem:

- Ty na to jak na lato, łobuzie? - gładził go.

Dobry pies, choć odziedziczony po Niemcach. I mądry nad podziw. Tylko w

oczy patrzy. Grzmielewski był przekonany, że pies rozumie wszystko, co do niego mówiono.

Wyprawa miała swój powód. Wczorajszego rana słyszał odgłosy przypominające strzały. Zdawało mu się, że to gdzieś w stronie „Zgniłego Bagna” albo polany, na której stał dom Zaciepy. Oczywiście były to tylko przypuszczenia. I kierunek mógł mylić, i mogły to nie być strzały. Odgłosy były bardzo dalekie i niewyraźne. A w lesie przecież nigdy nie panuje zupełna cisza. Zawsze coś huczy, trzeszczy, gwizdże. Zwłaszcza gdy powieje mocniejszy wiatr. Tylko że wtedy akurat wiatru nie było.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Zamierzał przespacerować się już wczoraj, przeszkodzili mu jednak kontrolerzy z okręgu. Cały dzień trwała papierkowa robota, której szczerze nie znosił. Z tym większą więc ochotą wyruszał na daleki marsz.

Zaciepę zastał w domu, z czego zresztą niewiele przyszło pożytku. Oznajmił, że całe przedwczorajsze przedpołudnie rąbał drwa w komórce, nic nie słyszał i o niczym nie wie.

Grzmielewski ze złością zatrzasnął furtkę za sobą. Z takim się dogadasz!

Śpiewkę tę słyszał nie po raz pierwszy. Nie wie... A pewno właśnie on sam! Bo to tak trudno schować w sianie karabin z oberżniętą lufą albo i dubeltówkę? A potem tylko wsiąknięta w mech posoka znaczyła miejsce kłusowniczej gospodarki. Diabli wiedzą, czemu takim podejrzanym typom pozwala się osiedlać w lesie? Las to nie miejsce, gdzie może każdy wleźć i robić, co mu się podoba. Jak tak dalej będzie, to nici wyjdą z ochrony zwierzyny i całej leśnej gospodarki.

Do lasu powinni wpuszczać tylko ludzi, którzy go kochają. Takich jak ten z

„Zielonego domu”. Naukowiec, który się poświęcił badaniom zagadnień leśnych, powinien mieszkać w lesie. Musi się z nim w końcu zapoznać. Będą mieli na pewno o czym gadać.

Grzmielewski wybierał się już kilkakrotnie do profesora Sielińskiego. Ale jakoś nie miał szczęścia i za każdym razem całował klamkę jak niepyszny. To na zjeździe, to w Warszawie na konferencji, to znowu jeszcze gdzieś. Nie dziwił mu się zresztą. Naukowcy nie powinni kosztować w partykularzu... Kiedyś go przecież przyłapie. Powoli zbliżał się do trzęsawiska. Las tu był dziki i pierwotny. Odcinek ten odwiedzał znacznie rzadziej niż inne. Po drodze nie przestawał badać wzrokiem gruntu. Ślady posoki można wykryć i po kilku dniach.

W nozdrza uderzył odór zgniłych jajek. No tak, powietrze tu rzeczywiście nie najlepsze. Ale zwierzyna czasem przychodzi. Kłusownicy również...

Przystanął przesuając zamyślonym wzrokiem po zgniłozielonej powierzchni topieli. Wieczorem trudno rozróżnić od otoczenia. Podobno zdarzały się wypadki utonięcia.

Zapalił papierosa. Komary brzęczały całymi chmurami.

Przeszedł kawałek wzdłuż bagna. Pod trawą cmokało błoto. Trzeba uważać: jeden nieuważny krok i...

Fryc nagle szarpnął.

Co takiego? Spojrzał na niego ze zdziwieniem. Pies zachowywał się niezwykle.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Warczał głucho, sierść zjeżyła mu się na karku. Stawiając sztywno łapy parł w kierunku trzęsawiska. A przecież zawsze trzymał się z daleka.

- Spokojnie, kolego. Tylko spokojnie. Co może być ciekawego w bagnie? -

zwyczajem samotnych ludzi lubił przemawiać do psa.

Fryc nie słuchał. Smycz naprężyła się jak struna. W końcu zaczął szarpać.

W rezultacie ustąpił Grzmielewski. Dał się prowadzić. Gdzie tam ludzkim zmysłom do psiego węchu. A jeżeli, nie daj Boże, ktoś akurat wlaźł na bagnisko?

Fryc zatrzymał się w miejscu, gdzie grunt całkiem już ustępował spod nóg.

Sztywny ogon i wyciągnięty łeb stanowiły niemal prostą linię.

„Zupełny drogowskaz - pomyślał leśniczy. - Ale co właściwie wystawia?”

Wytężył wzrok i niczego nie dostrzegł. Bagno jak bagno.

Nagle spojrzenie jego znieruchomiało.

Ta podłużna kępa gałęzi? Skąd się tu wzięła? Wyglądała tak, jakby ktoś naumyślnie ponarzucał.

Grzmielewski aż się wychylił do przodu. Co u licha? I do tego ten mdlący zapach, przebijający poprzez zwykłą woń, płynącą z bagniska...

Pomimo wstrętu wciągnął głębiej powietrze do nosa. No tak. Tym bardziej, że zauważył kilka tłustych zielonych much, brzęczących właśnie nad tą kupą gałęzi.

Jakaś padlina. Kłusownicy się kłaniają. Przechowywali tu upolowaną sztukę, nie mogąc z jakichś względów wynieść od razu z lasu? To wyglądało raczej nieprawdopodobnie. Mięso tak przecuchnęłoby smrodem błota, że potem pies nie chciałby tknąć. Zdarzało się i tak, że oprawiali zwierzynę na miejscu, żeby się zbytnio nie rzucała w oczy - mięso to mięso. Więc może porzucili odpadki? W każdym razie trzeba sprawdzić, co i jak.

Podjął gałąź. Nie, za krótka. Wyszukał drugą. Postąpił jeszcze krok. Dalej już ani rusz. Błoto i tak sięgało prawie do połowy cholew. O nieszczęście nietrudno.

Zaczął rozgarniać tajemniczą stertę. Nie szło to łatwo. Woń stawała się coraz

wyraźniejsza.

- Żeby ich pokręciło! - zaklął.

Każdy wyczyn kłusowników traktował jako osobistą obelgę.

- Co? - szarpnął się tak gwałtownie do tyłu, że o mało nie runął na plecy. Oczy rozszerzył wyraz przerażenia. - Rany boskie!

Spośród nie rozgarniętych jeszcze gałęzi sterczała ludzka ręka, sztywno zgięta w łokciu. Na woskowej skórze zaczęły już występować ciemne plamy.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Trup! I ten człowiek nie zginął własną śmiercią. Świadczyły o tym aż nadto dobitnie gałęzie, którymi przykryto ciało. Oczywiście morderstwo. Kto to może być?

Wyciągnął już gałąź, po chwili wahania odrzucił ją jednak z powrotem. Nie wolno nic ruszać, mógłby pozacierać ślady. Sprawa należy do milicji. Poczuł, jak pot występuje gęstymi kroplami na czoło.

Powoli wycofywał się do tyłu. Kiedy stanął na twardym gruncie, rozejrzał się dookoła, żeby zapamiętać miejsce, i tak szybko, jak tylko potrafił, ruszył z powrotem.

- „Zgniłe Bagnisko” - porucznik Romejko wodził podziałką po mapie. -

Naprawa torów mniej więcej na wysokości Makowa.

- Macie na myśli, poruczniku, telefonogram z Warszawy? - pytanie Żarskiego przerwało tok rozumowania.

- No? - spojrzał niemal zaskoczony. - A cóż by innego?

- No tak, wysiadło ich dwóch...

- Bynajmniej nie twierdzę, że jestem pewien tego związku. Ale biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, możemy przypuszczać, że tak jest. Trzeba więc sprawę zbadać.

- To nie podlega dyskusji - Żarski skrobał się w skroń tęnym końcem ołówka. -

Ale prawdę powiedziawszy, wolałbym, żeby chodziło o kogoś innego.

- Ja także - powiedział smętnie Romejko. - Możecie mi wierzyć na słowo. Ale cóż? Bywa rozmaicie. Jeżeliby poszli lasem - znowu nachylił się nad mapą - mogli iść drogą..

- Pewno, że mogli. Lasem - przyłożył podziałkę - około trzydzieści kilometrów. Drogą wypadałoby w przybliżeniu czterdzieści pięć. I jedno, i drugie mieści się w czasie.

- Milicja może... - zaczął Żarski po chwili milczenia.

- Tak - przerwał porucznik. - Ten ćwiek uwiera mnie od samego początku.

Chłopy z wiary, ale jeżeli się wezmą do delikatniejszej sprawy, potrafią niekiedy tak zakałapućkać, że sam czort potem nie rozgryzie.

Sięgnął po słuchawkę telefoniczną.

- My obejmujemy ten przypadek - oświadczył po otrzymaniu połączenia. -

Zachodzą pewne poszlaki, że wiąże się to ze sprawą, którą już prowadzimy. Oficjalne pismo otrzymacie w najbliższym czasie. Tak, zabezpieczcie miejsca... Jasne, że trzeba.

Nie, zwłok tymczasem nie wydobywajcie. Chcielibyśmy obejrzeć sobie, jak to

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

wygląda. Co? - zmarszczył brwi. - A niechże was! Przecież tu każde zadrapanie skóry może mieć znaczenie... Czy ja wiem, w jaki sposób?! Sprowadźcie drabiny, deski, sznury, na miejscu się zobaczy... Tak. Cześć.

- Chcieli wyciągać osękami - sapnął z oburzenia. - Wyobrażacie sobie, jakby ciało po takiej operacji wyglądało?

Poszły w ruch deski i drabiny. Zapadały się od razu, trzeba je było podwieszać

na linach, uwiązanych do pni rosnących w pobliżu drzew.

Wydobycie zwłok kosztowało przeszło godzinę wysiłków. Za to przeniesiono

je na twardy grunt w zupełnie nie uszkodzonym stanie.

Doktor Kaliński manipulował jakiś czas przy zwłokach.

- Tak - podniósł się wreszcie. - Dwie rany postrzałowe. Jedna w lewe przedramię, druga w plecy. Kula przeszła przez płuca, grzęznąc prawdopodobnie w sercu. Dokładnie da się to ustalić oczywiście dopiero w czasie sekcji. W każdym razie ten drugi postrzał spowodował śmierć. Sądzę, że nastąpiła momentalnie. Od jej momentu upłynęło około dwudziestu czterech godzin. To wszystko.

Zerwał garść cuchnących błotem badyli, ocierając starannie ręce.

Romejko przystąpił do rozpytywania Grzmielewskiego.

- Więc tędy pan szedł? - wskazał ręką.

- Tak, prosto od polany oznaczonej na planie numerem sto jeden „a”.

- A po drodze nie dojrzał pan żadnych śladów?

- Żadnych. Chociaż rozglądałem się bardzo uważnie, przypuszczałem bowiem, że te trzaski, o których zeznałem poprzednio, pochodzą z broni kłusowników.

Oczekiwał niecierpliwie, kiedy go zwolnią. Nie znosił takich brudnych spraw.

Romejko jednak miał jeszcze pytania-

- Ile było tych strzałów?

- W każdym razie kilka.

- A dokładniej?

Grzmielewski uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Niestety, nie mogę na to odpowiedzieć. Nie liczyłem. Nawet wtedy nie byłem pewien, czy to były strzały. Dobiegały z bardzo daleka...

- Rozumiem. Teraz jeszcze jedno, czy w tym bagnie zdarzają się kępy

twardego gruntu?

- O ile mi wiadomo, na tym odcinku nie. Romejko potarł z zastanowieniem

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

podbródek.

- Hmm... w takim razie jak wytłumaczyć, że zwłoki nie zatonęły?

Grzmielewski wziął jedną z przywiezionych przez milicję żerdzi i długo dziobał

jej końcem w miejscu, skąd wydobyto trupa.

- Coś przeszkadza? - Romejko bacznie obserwował jego manipulacje.

Leśniczy spróbował jeszcze raz. Żerdź się wygięła.

- Tak... Sądzę, że jakieś zatopione drzewo. Czy jestem już wolny? - zapytał po

chwili.

- Tak. Tymczasem dziękuję. Będzie pan musiał jeszcze przyjechać do naszego

biura, żeby podpisać protokół.

Po jego odejściu Romejko wziął żerdź i pchnął w bagno o kilkadziesiąt

centymetrów na prawo od poprzedniego badanego miejsca. Zanurzyła się bez oporu.

Potem powtórzył to z lewej strony. Znowu nie napotkała oporu.

- Tak - Żarski pokiwał głową. - Jeden wypadek na sto, że zwłoki akurat trafiły

w to miejsce. Gdyby mieli ze sobą osęki lub bosaki, nie znaleźlibyśmy nigdy.

Romejko odrzucił żerdź i zapalił papierosa.

- W tym wypadku może także chodzić o jednego z dwóch. Musimy

przesondować ten odcinek w promieniu, powiedzmy, dwu, trzech metrów w głąb.

Dalej przecież nie zdołali rzucić.

- Te bagna są bezdenne - wtrącił jeden z milicjantów.

Romejko wzruszył ramionami.

- No, dno pomimo wszystko musi być. Milicjant zmieszał się.

- To prawda. Ale sondy go nie osiągną.

Żarski obejrząwszy z dezaprobatą zdeptany teren wokół zwłok odszedł kilka kroków i wlepił oczy w mech. Przesunął się w jedną stronę, potrząsnął głową i zawróciwszy zataczał półkole w odwrotnym kierunku. Nagle przystanął, nachylił się i ukląkł na ziemi.

Romejko podszedł szybko ku niemu.

- Znaleźliście? - nachylił się również.

- Ot, tu - Żarski wskazał ręką zgnieciony mech - przyszedliśmy z tej strony, milicjanci zaś stamtąd. Trzeba zapytać, czy nie podchodzili tyralierką. U nich wszystko możliwe.

Kapral milicji zaprzeczył stanowczo.

- Nie. Szliśmy tylko tędy. Wszyscy razem.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- I żaden nie odchodził w tamtą stronę? - zapytał Żarski.

- Z całą pewnością nie. Uważaliśmy, by nie zdeptać śladów.

- Uważaliśmy - uśmiechnął się sarkastycznie Żarski, gdy znaleźli się z powrotem przy podejrzanym mchu. - Nie miałem wprawdzie dotychczas nigdy do czynienia ze śladami stada słoni, teraz jednak potrafię już sobie uzmysłować, jak taka rzecz w przybliżeniu powinna wyglądać.

Potem zamilkł, pograżając się bez reszty w badaniu. Łaził na czworakach z tak przybliżoną twarzą do ziemi, jakby węszył. Miejscami rozgarniał ostrożnie mech.

- Całe szczęście, że grunt podmokły - rzucił przez ramię.

- Tak - Romejko szedł obok niego i zgięty wpół również nie odrywał oczu od ziemi. - To znacznie ułatwia zadanie.

Na podstawie poszczególnych fragmentów dorysował sobie w myśli brakujące linie odcisków stóp, analizując ich kształty i rozmiary.

- Chyba musiało ich tu być co najmniej trzech? - powiedział po dłuższej chwili.

Żarski teraz co parę kroków oglądał gałązki drzew i krzaków, po czym znowu powracał do badania gruntu. Wreszcie wyprostował się.

- Było ich pięciu - powiedział pewnie. - Czterech niosło ciężary, piąty szedł bez żadnego obciążenia.

- Głębokość odcisków stóp?

- Tak.

- Ale aż pięciu... - powtórzył Romejko z powątpiewaniem.

- Tak. Mamy wprawdzie do czynienia z trzema parami obuwia rozmiarów pomiędzy dwadzieścia osiem a dwadzieścia dziewięć, co może mylić, jeżeli jednak chodzi o kształt podeszwy... Popatrzcie sami - pociągnął go parę kroków w tył, gdzie ślady były specjalnie wyraźne. - Ot, tu, tu i tu. Niby podobne, a przecież nie te same - zaznaczał dłońmi granice zgniecenia mchu.

Romejko przyglądał się ze skupioną uwagą.

- Dziewięćdziesiąt na sto, że macie rację - zaopiniował wreszcie. - Czterech z ciężarem... - to zostało powiedziane niezmiernie cicho.

- Niestety... Ich rozstawienie w marszu dowodzi, że nieśli nie jeden ciężar... O!

- skoczył nagle ku pobliskiemu drzewu.

- Co takiego? - podbiegł Romejko.

- Najgorzej jak człowiek ślepy - podniósł na sztywno rozpostartej dłoni

ciemnobrązowy guzik. - Że też mogłem przegapić.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Od marynarki - Romejko obejrzał guzik na wszystkie strony. - Żadnych znaków fabrycznych.

- Ale od marynarki - podkreślił Żarski - a tu wcale nie taka gęstwa, żeby solidnie przyszyte guziki sypały się jak gruszki. Musiał się trzymać tylko na jednej nitce. Omijali ten krzak, wykręcając, hm... niesionym przedmiotem.

O co mogli zahaczyć?

Romejko jednak sam już znalazł odpowiedź. Wystająca gałąź rosła na wysokości znacznie niższej, niż znajdują się guziki marynarki idącego człowieka.

- Jeżeli więc nie pasują do ubrania tego, co wyłowiliśmy...

- Jest w szarej kurtce - przerwał mu Żarski.

- To nie ma znaczenia. Ważne są guziki. Zauważyliście, czy którego brakuje i jakiego są koloru?

- Nie. Będziemy musieli sprawdzić po powrocie.

Szli dalej tropem, który jednak po kilkudziesięciu metrach urwał się przy brzegu płytkiego, za to szeroko rozlanego strumienia. Po drugiej stronie ciągnęła się rozległa przestrzeń, jakby wybrukowana głęboko wrosłymi w ziemię kamieniami narzutowymi.

Żarski wściekał się.

- Lisy, psiakrew. Dobrze wiedzieli, jaką wybrać drogę.

Romejko wreszcie przystanął. We dwóch nie mogli prowadzić dalszych poszukiwań. Tamci mogli przejść po kamieniach w dziesiątkach najrozmaitszych kierunków.

- Wracamy. Trzeba będzie zmobilizować ludzi i przeczesać las.

- Tak - Żarski obrócił się porywczo. - Tylko że dziś już nie da rady. Za godzinę ściemni się. A jutro wątpię, żeby jeszcze dało się coś zauważyć.

Po powrocie na miejsce, gdzie oczekiwała reszta ekipy, nachylili się znów nad zwłokami. Wystarczyło jedno spojrzenie. Przy kurtce nie brakowało ani jednego guzika i wszystkie były szarego koloru.

- A więc dowód rzeczowy - Romejko skrupulatnie owinął guzik i schował go do portfela.

- Jeszcze jeden dowód - sprostował Żarski - że w bag - - nie zostało zatopionych dwóch ludzi.

Wielu ludzi prowadziło przez cały dzień badanie gruntu na terenach przylegających do kamiennego wysypiska. Jednak bez rezultatu.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Zwłoki mogły być przeniesione z każdej strony lasu, który ciągnął się na przestrzeni wielu setek hektarów.

Zaciepa powtórzył niemal słowo w słowo to wszystko, co mówił poprzednio Grzmielewskiemu. I nie było żadnych podstaw, by jego zeznania uważać za nieprawdziwe.

Posłano wywiadowcę do „Zielonego Domu”. Powrócił z niczym. Mieszkańcy nawet nie słyszeli strzałów. Zwłoki odfotografowano ze wszystkich możliwych stron.

Zrobiono powiększenia zdjęć twarzy.

Raport Żarskiego na temat drugich zwłok obejmował przeszło dziesięć kartek.

Każda złamana gałązka, każde zgniecenie mchu zostało w nim utrwalone z jak największą dokładnością.

Zrobiono odlewy gipsowe śladów wszędzie tam, gdzie były one dość wyraźne, co potwierdziło hipotezę Żarskiego, że w przenoszeniu zwłok brało udział pięciu ludzi.

Guzik został odfotografowany w dużym powiększeniu. Wszystkie te materiały odesłano do Warszawy.

Już po wiadomości telefonicznej Kociubę ogarnęło przygnębienie. Sprawdził na mapie. Tak, to by się mogło zgadzać. Gdy zbadał zawartość zapowiedzianego pakietu, sprawa stała się tym bardziej oczywista. Zwołał naradę, zapoznając zebranych z dostarczonym materiałem.

Gdy Kawecki, który przyszedł trochę później, stanął na progu gabinetu, od razu poznał po twarzach obecnych, że musiało zajść coś niedobrego.

- Co się stało?

Kociuba podniósł powoli głowę. Wypukłe soczewki okularów podkreślały jeszcze bardziej niezmiernie zmęczony wyraz oczu.

- Hm... tak - odchrząknął. - No cóż... znaleziono Wiącka.

- Znaleziono?

Ale spojrzenie w twarz pułkownika starczyło za odpowiedź.

Kociuba podsunął w jego stronę plik błyszczących fotografii.

Kawecki nachylił się. Gdy podniósł głowę, twarz miał bladą i mocno zaciśniętą usta.

- Znaleziono go przypadkowo w trzęsawisku leśnym - Suski mówił bardzo cicho. - W samym środku Borkowskich Lasów.

- Borkowskich? - nazwa nic Kaweckiemu nie wyjaśniała.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Tu - Suski tknął palcem w zieloną plamę na mapie.

- W pobliżu tego miejsca, gdzie naprawiają tor - dorzucił Kornacki.

Kawecki pokiwał głową. Teraz wszystko stawało się jasne.

- Więc jednak tam - sięgnął do kieszeni po papierośnicę.

- A co z Kostrzewą? - zapytał nagle. W gabinecie zawisło milczenie.

- Wciąż nie ma wiadomości - powiedział wreszcie Kornacki.

Kawecki dosłyszał w jego głosie jakąś nutę niepewności.

- Żadnych?

Kociuba poprawił okulary, jakby mu nagle zaczęły ciążyć.

- Nie. Ale z tego raportu - nachylił się nad biurkiem. - To... bardzo wnikliwy raport - sprawiało wrażenie, jakby pragnął zyskać na czasie. - Nno... jednym słowem, z raportu wynika, że w bagnie zostało zatopionych dwoje zwłok.

Znowu zapadło ponure milczenie.

- Tych drugich nie znaleziono? - Kawecki przełknął ślinę.

- Nie... Sondowanie nie dało rezultatu - Kociuba zdjął okulary i położył przed sobą na biurku. - Znaleziono natomiast guzik.

Kawecki targnął głową. Miał wrażenie, że się przesłyszał.

- Guzik?

- Tak - Kociuba przewertował plik odbitek, wynajdując wreszcie potrzebną.

- Oto jego zdjęcia. Tu - wydobył z koperty guzik kładąc go obok fotografii - oryginał. Kawecki przypatrywał się w milczeniu.

- Nie pochodzi z ubrania Wiącka - wyjaśnił pułkownik.

Kawecki wreszcie podniósł głowę.

- Jak był ubrany Kostrzewa w chwili odjazdu?

- Próbowaliśmy to ustalić - Kociuba obracał w palcach okulary. - Niestety, nie

ma żadnych możliwości. Jedyne Wiącek mógłby powiedzieć coś więcej na temat jego ubrań...

- Czy istnieje jakaś możliwość poszukiwania na miejscu? Mam na myśli poszukiwanie przez nas - dodał.

- Nie, właśnie rozważyliśmy tę kwestię. Wszystko, co można było przetrząsnąć, zostało przetrząśnięte przez ludzi z powiatowego urzędu.

Zaciepa wpadł zdyszany do pokoju.

- Idzie do was wywiadowca z powiatówki. U mnie już był. Próbował

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

maglować...

Szef przejechał dłonią po łysinie.

- Jeszcze tego tylko brakowało. Hm... z milicji? Zaciepa wzruszył ramionami.

- Z ube... Ale po mojemu kazano mu tu przyjść ot tylko tak, z obowiązku.

Inaczej nie wybrałby się w pojedynek.

Odbyli pośpieszną naradę. Tu nie można było zastosować poprzednich metod.

Ci, co go posłali, wiedzieli, dokąd poszedł. Gdyby zniknął, zwałiby się natychmiast cała chmara.

Poczynili odpowiednie przygotowania. Plamy na podłodze, których nie dało się usunąć, przykryto linoleum, przyniesionym z innego pokoju.

- A tamto? - szef rzucił niespokojne spojrzenie ku górze.

Grom parsknął śmiechem.

- Może pan być zupełnie spokojny, szefie. Choćby nawet stanęli na głowach, nie znajdą. Chyba żeby sprowadzili psy milicyjne.

- Idzie bez psa - wtrącił szybko Zaciepa.

Gdy wywiadowca zadzwonił do bramy, otworzono natychmiast i wpuszczono bez żadnych dopytywań. Wydało mu się to nawet nieco dziwne, że na takim odludziu nie zachowują żadnej ostrożności.

Siwy, mocno zgarbiony mężczyzna zaprosił gościnnym ruchem do środka.

- Czym mogę służyć?

Wywiadowca przyglądał mu się spod oka. Profesor? Dokumenty dotyczące osadnika należały do jak najbardziej solidnych. Naukowa praca, botanik wielkiej wiedzy. Przewertował je sumiennie przed przyjściem tutaj. Na pewno autentyczne.

Był tylko jeden szczegół, o którym nie wiedział. Chociaż dokumenty rzeczywiście były autentyczne, dotyczyły jednak zupełnie innej osoby.

Wywiadowca wszedł do pokoju, usiadł na zaofiarowanym krześle, wylegitymował się i zadał kilka pytań. Na wszystkie uczony starzec odpowiadał z budującą gotowością. Przy jednym jakby się nieco zawahał. Ale i to trwało tak krótko, że można było położyć na karb jego wieku i znanego roztargnienia naukowców.

- Czy słyszałem strzały? Hm... A kiedy to miało być? Wywiadowca podał datę.

- Gdzieś w godzinach przedpołudniowych - wyjaśnił bliżej.

- Czy ja wiem? - gospodarz pocierał w zamyśleniu czoło. - Może i były. Ale żebym miał to tak dokładnie pamiętać... Z lasu niekiedy słychać huki. Polowania chyba jakieś urządzają.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Wyraz jego twarzy dowodził, że nie przywiązuje najmniejszej wagi do całej tej sprawy.

Wywiadowca podziękował grzecznie i wyszedł. Tu wszystko było w porządku.

Zresztą przed tą rozmową też nie żywił żadnych podejrzeń wobec osoby gospodarza.

Człowiek, który poświęcił się nauce do tego stopnia, że siedzi na tym odludziu...

Pewnie trochę zdziwaczały. Co taki może wiedzieć?

W parę minut po wyjściu wywiadowcy przemknął przez bramę Zaciepa.

Należało sprawdzić, czy to nie był jakiś podstęp. Bo gdyby tak nagle wrócił?

W domu pozostawało wszystko w takim stanie, jak w czasie trwania wizyty.

Zaciepa wrócił po upływie przeszło godziny.

- No - opadł na krzesło - *sicher ist sicher*. Wolałem dla wszelkiej pewności odprowadzić go ociupinę dalej.

- Nie zauważył, że pan go śledzi? Oburzył się.

- Też... Za kogo pan mnie ma? Jeszcze się taki nie urodził...

- Więc nie ma zamiaru wracać?

- Ani mu nawet w głowie. Poszedł w kierunku leśniczówki Rogaczów. Udało się.

Szef podsunął papierośnicę.

- Hm... Tak... - ściągnął z głowy perukę i długo ocierał chustką spotniałe czoło.

Potem nabierając obficie wazeliny na ręcznik startł szminkę z twarzy.

- Uff... myślałem, że się uduszę - powrócił na swoje krzesło. - Ale skąd w ogóle cała ta historia wybuchła?

Zaciepa wzruszył ramionami. Skąd niby ma o tym wiedzieć?

- A jeżeli znaleźli trupy? - spojrzał nagle na Zaciepę. Ten zachłysnął się dymem.

Dobrze jeszcze, że szpik na ten temat nie puścił pary z gęby. Bo gdyby tak szef

dowiedział się prawdy... Rany boskie... - E... skąd by? - zdołał wydusić po dłuższej chwili. - W bagnie? Jeszcze jak świat światem nic, co tam wsiąkło, nie wyjrzało z powrotem.

W miarę mówienia nabierał coraz większej swady. Zdołał jakoś przekonać szefa.

- Ktoś usłyszał strzały, kanonada przecież była na całego. A więcej na pewno nie mają nic - dodał na zakończenie.

Szef przełknął dwie szklaneczki wódki z rzędu.

- Może i racja. Wobec tego sprawa zakończona. Trzeba powiedzieć tamtym, że

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

mogą już wyłazić ze swych nor.

Pomysł zaczął się bardziej konkretyzować podczas jednej z burz, które pomimo późnej jesieni przewalały się jedna za drugą ponad lasem. Wściekły brytan na widok pierwszej błyskawicy skulił się i dygocąc wlaź tyłem do swej budy.

Na tym już można było coś niecoś budować.

I jeżeli udałoby się jeszcze z tamtym?...

Gdy szef po raz chyba dziesiąty z rzędu poruszył temat strychu, dodając przy tym ze znaczącym wyrazem twarzy: „A może się pan rozmyślił co do naszej organizacji?”, Felek oznajmił nieoczekiwanie:

- Ani mi nawet w głowie. Namysliłem się za to co do tamtej sprawy. Jestem gotów. Ale chciałbym maszynę - dodał po chwili. - Bo z gołymi garściami w takiej sytuacji człowiek się czuje nijako.

Szef zawahał się i może by przeszło, żeby nie Grom. Wyłonił się niespodziewanie jak spod ziemi.

- Na co ta drętwa mowa? - patrzył na Felka zmrużonymi ironicznie oczyma. -

Armata na komara. A może się ma pełne portki?

Felek obojętnie wzruszył ramionami, choć wszystko w nim wrzało.

- Jak nie, to się obejdzie. Poczekam.

W czasie pierwszej bytności na strychu przyglądał się chyba z dziesięć minut.

Wyszedł ze zwieszoną głową. Nie zanosiło się na to, by mogło coś wyjść z jego planu.

Tamten leżał jak kłoda i tak wyglądał, jakby lada chwila miał puścić ostatnią parę.

- I jak? - pytał szef.

- Może pan sam popatrzy - zaproponował Felek. - Po mojemu wykituje na amen.

- To nie byłoby dobrze - zaniepokoił się szef.

Poszedł sam na strych i długo obmacywał napiętek leżącego na łóżku człowieka, szukając tętna. Potem przykładał parokrotnie lusterko do ust.

- Żyje - oznajmił wreszcie - i może odzyska w końcu przytomność.

- Musi odzyskać - Grom zajrzał również do komórki. - Inaczej cholereę będziemy wiedzieli.

Tu panowała zupełnie inna atmosfera. Antyki, puszyste dywany i prawie

zupełnie legalna egzystencja. Goście ujmowali z niebywałą elegancją smukłe nóżki

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

kryształowych kieliszków.

Niektórzy z trudem wysławiali się po polsku. Ci, zdaniem Zoi, przedstawiali

największą wartość. Ludzie z wielkiego świata. Rozkwitała. Chwilami niełatwo byłoby

ją utożsamić z tamtą Zoją, wegetującą w brudnej melinie.

Koreywo obserwował ją z nie ukrywanym zadowoleniem. Nadspodziewanie

pasowała do tych ram.

Niekiedy rzucał dyskretne uwagi.

- Ta szminka nie bardzo pasuje do pani typu. O ileż bardziej pani do twarzy w

tych klipsach.

Ale to był tylko drobny retusz.

- Marnowała się pani tam, Zoju - stwierdził zupełnie szczerze.

Uśmiechała się skromnie. Wiele się już tu zdołała nauczyć dzięki swej zdolności obserwacji.

- Och... Trzeba przecież zapoznać się ze wszystkimi odcinkami naszej pracy.

- Zapewne - kręcił głową. - Ale używać takiej kobiety do brudnej roboty...

Potem wystąpił z konkretnym zadaniem.

- Chodzi o zdobycie planów zakładów... - wymienił nazwę często wspomnianą w prasie.

Była zaskoczona.

- Czy istnieje jakakolwiek możliwość, żeby się tam dostać?

Wzruszył ramionami.

- Proszę mi wierzyć, że na świecie jest bardzo mało rzeczy, które by były absolutnie niemożliwe.

Przystąpił do szczegółowego omawiania planu.

Świadomość z trudem przebijała się poprzez opary ciężkiego mroku. Potem przyszedł ból, a wraz z nim powróciła powoli zdolność myślenia. Uniósł jakby nalane łożem powieki. Wokół panowała ciemność. Pod czaszką wciąż jeszcze mełły młyńskie kamienie. Spróbował się poruszyć. Potem znowu stracił przytomność.

Ocknął się czując, że coś twardego rozwiera przemocą zęby. Ciepły napój spływał powoli do przełyku. Czuł poprzez szczelnie zaciśnięte powieki kłującą jasność światła. Potem chwila ciszy i odgłos oddalających się kroków.

Dopiero gdy ucichł zgrzyt przekręcanego w zamku klucza, zaryzykował

otwarcie oczu. Teraz znów było ciemno. Uniesienie głowy kosztowało niezmiernie

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

wiele wysiłku. Aż lepkie krople potu wystąpiły gęsto na czoło. Z trudem zbierał rozpierzchające się myśli: łysy człowiek, pokój o okratowanym oknie, kule gwizdzące ze wszystkich stron. Wiącek? - przesunął językiem po wargach. Przed oczyma zarysował się obraz padającego na podłogę ciała. Nie, to niemożliwe!... To przecież jeszcze nic nie znaczy. Pewnie też został ranny.

Usiłował poruszyć ręką. Pozostała jakby przyrośnięta do boku. Coś cienkiego wrzynało się boleśnie w ciało.

Sytuacja wyjaśniała się coraz bardziej. Ciemna komórka, sznury, którymi go oplatano jak siecią, to wszystko nie pozostawiało miejsca na żadne wątpliwości.

Ale z jakiego powodu pozostawiono go przy życiu? Mógł być tylko jeden powód: zamierzali wydusić z niego coś, czego nie wiedzieli albo nie byli pewni.

Najbliższa przyszłość nie zapowiadała się wesoło.

Płynął czas i nic się nie działo. Nie zdawał sobie sprawy, jak długo leżał, gdy znowu rozległ się odgłos kroków za ścianą. Ktoś szedł po schodach.

Znieruchomiał, zamykając oczy. Lepiej, żeby nie wiedzieli, że już odzyskał przytomność.

Ktoś wchodzi. Zbliża się do niego.

Wzrok przybysza szpieguje drgnięcie każdego mięśnia twarzy. Coś mruczy.

Kostrzewa wyteżył słuch. Usłyszał tylko, jak zaklął siarczyście. Ale to nie był gniew. Raczej głęboki, bliski rozpaczki zawód. Dziwne. Uniósł nieznacznie powieki.

Wypiór! Akurat on?! Z jakiego powodu tak nad nim biada?

Wypiór przez chwilę stał w miejscu, pogrążony w bezruchu. Potem takim

ruchem, jakby mu było trudno się stąd oderwać, poszedł w kierunku wyjścia.

Wściekłym kopnięciem odrzucił stołek, który znalazł się na jego drodze. Z

hukiem zatrzęsął drzwi. Tynk obsypał się z suchym szelestem.

Kostrzewa długo wpatrywał się szeroko otwartymi oczyma w ciemność. I co

dalej? Wyglądało, że z tej sytuacji nie ma żadnego wyjścia. Śmierć, i to raczej

poprzedzona męczarniami. Tacy posiadają niewątpliwie obfity arsenał środków, jeżeli

chodzi o rozwiązanie komuś języka. Śmierć... ale oczekiwać na nią beczynnienie...

Wszystko w nim podnosiło gwałtowny sprzeciw. W walce, chociażby bez szans, to

zupełnie co innego. Cóż mógł jednak począć? I tak ledwo dyszał, pęta zaś... Pęta...

Myśl zaczęła się powoli konkretyzować. To łóżko posiadało krawędź ze zwykłej, nie

heblowanej deski. Rozpaczliwym rzutem całego ciała przerzucił się na bok. Zabolało

jakby cęgami wyciągano mięśnie z ciała. Leżał chwilę bez ruchu, łykając spazmatycznie

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

powietrze. Potem znowu szarpnął się. Był coraz bliżej. Jeszcze jeden wysiłek i poczuł

na rękach ostry dotyk chropowatego drewna... Skurcz mięśni, drugi, trzeci. Sznur

ocierał się o kant deski przy wtórze cichego szelestu. Pot spływał gęstymi strumieniami

po twarzy. Dalej! - zaciskał kurczowo zęby. - Dalej.

Ledwo dosłyszalny trzask pękającego włókna dodał mu otuchy, Idzie!

Odgłos kroków przerwał pracę. Znowu wizyta Wypiorą. Żeby tylko nie dojrzał

otartych sznurów, bo wtedy koniec.

Wszystko odbyło się dokładnie tak samo jak za poprzednim razem. Podwazał

zaciśnięte zęby trzonkiem łyżki, sączył powoli ciepły, ostro pachnący bulion.

Potem odszedł. Kostrzewa odetchnął z ulgą. Nie zauważył przecież. Znowu

męcząca wędrówka do deski i konwulsyjny rytm pracy mięśni. Raz... raz... drewno

zdzierają równocześnie skórę z rąk. Ale to nie miało znaczenia. Jeszcze trochę.

Jeszcze... Trzask pękających coraz częściej włókien sączył się w uszy najpiękniejszą melodią. Przyszła jednak chwila, gdy zabrakło sił. Ból stał się nie do wytrzymania.

Zagryzał wargi, by powstrzymać jęk. Jakiś czas leżał bez ruchu. Wirowanie ognistych kręgów przed oczyma zaczęło gasnąć.

Wciągnął głęboko powietrze do płuc. Nie wolno tracić ani jednej chwili.

Znowu podjął pracę, która była męką. Ocierał sznur coraz mocniej, coraz gwałtowniej.

Wręcznie poczuł, że deska przejechała po wierzchu dłoni.

Przetarty sznur zwisał luźno.

Nagle zdrętwiał. Po schodach biegł ktoś szybko. O tej porze? Co to miało znaczyć?

Myśl pracowała z gorączkowym wysiłkiem.

Nie widział jednak żadnego rozwiązania. Ręce miał wolne, ale reszta ciała tkwiła nadal w pętach. Cały system skomplikowanych węzłów.

Przetarte sznury nie dawały się ułożyć w poprzedniej pozycji. Wypiór zauważył od razu.

Nadciągała nieubłagana katastrofa.

Drzwi stanęły otworem. Zawieszona gdzieś wysoko żarówka spłynęła

światłem. Sylwetka Wypiora zamarła w progu. Osłupiał. Nagle oczy mu rozgorzały.

Wargi drgnęły w uśmiechu, którego znaczenia Kostrzewa nie potrafił zrozumieć.

Zamknął za sobą cicho drzwi, zakładając rygiel. Sięgnął do kieszeni. Błysnęło ostrze noża. Kostrzewa zacisnął pięści.

Wypiór podchodził, zdając się nie zwracać najmniejszej uwagi na zerwane

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

sznury. Śmiał się.

Kostrzewa sprężył mięśnie - nie da się przecież zaszlachtować jak cielę w rzeźni.

Wypiór zatrzymał się tuż przy łóżku. Kostrzewa przełknął ślinę - teraz!

Nie nastąpiło jednak nic z tego, czego oczekiwał.

Uzbrojona w nóż ręka wciąż zwisała swobodnie.

Wypiór przypatrywał mu się jakby rozradowanymi oczyma.

- Ależ mnie pan nabrał.

Nie uderzył, nie podnosił alarmu, nie zabierał się do nakładania pęt z powrotem. Co to mogło znaczyć?!

- No więc? - zapytał krótko Kostrzewa. Wypiór obejrzał się przez ramię.

- Pan chce dać stąd dęba? - zniżył głos do szeptu. - Ja także. Jasne?

Kostrzewa odetchnął głęboko. Podstęp? Jakiż mógłby mieć cel? I właściwie nie było nic do stracenia.

- Jasne.

- Byczo - Felek bez wahania przystąpił do rozcinania reszty więzów. Pomógł mu podnieść się.

- Ustoi to pan o własnych siłach?

Początkowo nie było o tym mowy, jednak po kilku minutach rozruszał mięśnie tak, że zdołał się jakoś utrzymać na nogach.

- No - Felek odetchnął z wyraźną ulgą - bałem się, że pójdzie gorzej, a droga nielekka.

Wciąż mówił szeptem, jakby się obawiając, że ktoś może podsłuchiwać.

- Jesteśmy w piwnicy? - Kostrzewa nie przestał masować mięśni, by jak

najprędzej przywrócić im sprawność.

- Gorzej. Na strychu. Przyjdzie złazić po drucie. Da pan radę?

- Po drucie? - Kostrzewa wcale nie był pewien, czy zdobędzie się na taki wyczyn. Spróbuję. W najgorszym razie spadnę.

- Nie - Felek aż się skulił. - Nie może pan spać. Zasyпалиbyśmy się wtedy obydwaj na amen. No, ja zaraz wrócę. Trzeba się rozpatrzeć w sytuacji.

Kostrzewa przytrzymał go za rękaw.

- A co z tym, który był ze mną? Machnął ręką.

- Trup. Pana też zamierzali. Idę, musi pan siedzieć jak mysz pod miotłą, żeby tam w dole nie podpadło. Zaraz wracam.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Wyszedł zamykając za sobą drzwi na klucz.

Kostrzewa nasłuchiwał odgłosu jego szybkich kroków. Jeżeli nie wróci? Nie, to nie było prawdopodobne. W tej sytuacji odgrywanie podobnej komedii nie miałyby żadnego sensu.

Trup - zacisnął zęby aż do bólu. Wiącek w czasie tych nie tak przecież licznych dni stał mu się bliski jak najserdeczniejszy przyjaciel. Ale nie wolno było się roztkliwiać. Wszystkie myśli musiał teraz skupić na ucieczce. To była walka o ostatnią szansę.

Wędrówka po drucie? Bał się, że nie podoła. Czuł się marnie. Jakby go przepuszczono przez obciążony kamieniami magiel. Czym mu właściwie wtedy dogodzili? Całe ciało miał obolałe. Wszystko to jednak były stłuczenia. Musieli go widocznie kopać wtedy, gdy stracił przytomność. Ale dlaczego ją stracił? Silne ognisko bólu promieniowało z okolic lewej skroni. Ach tak - przesunął ostrożnie

końcami palców po obrzmiałej bruździe. Kula prześliznęła się po kości. Kontuzja. To tłumaczyło wszystko. Ćwierć centymetra w prawo i leżałby z roztrzaskaną czaszką obok Wiącka.

Zachrobotał klucz w zamku. Kostrzewa patrzył z napięciem.

Jeżeli zjawi się ktoś inny? Serce zatłukło się niespokojnie. Wszedł jednak Wypiór.

- Wszystko gra - oznajmił szeptem. - Burza jak sto diabłów i cała ferajna drzemie po kątach.

- A pies? - przypomniał sobie Kostrzewa.

- Ten haman teraz jak jagniątko. Ogon pod siebie i do budy. Cholernie boi się, bestia, piorunów.

Uchylił ostrożnie drzwi.

- No, chodu, póki czas! Wyszli na zewnątrz.

- Tędy - Wypiór trzymając go za rękaw prowadził pomiędzy jakimiś gratami. -

Tam na dole gałąź przelazi nad płotem - tłumaczył w czasie drogi. - Właśnie po niej musimy wyleźć.

Wąskie okienko rozbłyskiwało raz po raz zielonkawym ogniem błyskawic.

- Grzeje - Felek powiedział niemal z zachwytem. - I pada. Pies ani wyściubi nosa. Zasuwamy!

Prześlizgnął się przez okienko zwinnie jak kot.

- Wyłaż pan! - dobiegł po chwili jego szept. - Tempo! Kostrzewa ugrzązł w

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

zbyt wąskim jak na niego okienku i robił rozpaczliwe wysiłki, żeby prędzej znaleźć się po tamtej stronie. Wreszcie zawisł na rękach. Gdzie ten przeklęty drut? - nie mógł go

wymacać.

- Na lewo... bardziej na lewo! - syknął z dołu Wypiór, widocznie obserwując jego wysiłki.

Rozkołysał się. Jest! Zahaczył jedną nogę... Potem drugą. Zacisnął pomiędzy kolanami. Puścił parapet okna przerzucając ciało i o mało nie runął. Z siłami jeszcze było marnie. Ledwo zacisnął dłonie na wilgotnym metalu, całe ciało przeszył rój kłujących igiełek. Aż język zdrętwiał. Psiakrew! - z trudem powstrzymywał się, by nie puścić drutu. Ześlizgiwać się po odprowadzeniu piorunochronu w czasie burzy? To było niemal szaleństwo. Niebo stanęło w ogniu. Ogluszający trzask uderzył w uszy. To było gdzieś zupełnie blisko. Następny mógł trafić w odgromnik. Nie było jednak innej drogi.

- Prędeziej! - usłyszał znowu niecierpliwy szept Wypiorą.

Zatrzeszczały gałęzie. W świetle kolejnej błyskawicy Kostrzewa dojrzał, że Wypiór już siedzi na jednej. Rzeczywiście koniec jej wystawał poza ogrodzenie. Oceniał odległość. Drzewo nie rosło pod samą ścianą. Było oddalone o pół metra, może trzy czwarte. Normalnie taki skok nie byłby zbyt trudny. Ale teraz...

Zebrał siły i skoczył. Zdawał sobie sprawę, że spada niezdarnie jak wór kamieni. Był niemal pewny, że gruchnie na ziemię. Mokre igliwie musnęło po twarzy. Wyrzucił naprzód ramiona. Czepiał się kurczowo rękami oślizłych gałęzi i w końcu zawisł. Nogą znalazł oparcie. Nno.. jeszcze trochę.

Po chwili dotarł do pnia. Z wielkim wysiłkiem piął się w górę.

Wypiór pełzł po gałęzi. Nie była tak solidna, jak to wyglądało z góry. Pod ciężarem Wypiorą obwisała coraz niżej, trzeszcząc niepokojąco.

Kostrzewa czekał oddychając ciężko. Przed oczyma migotały czarne płyty.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Nie straci przecież, do cholery, przytomności właśnie teraz.

Gruchnęło, aż drzewo zadygotało. Zapachniało siarką i jeszcze czymś ostrym.

Po drucie prześliznął niebieskawy płomień. W piorunochron! Żeby tak przed chwilą... - zrobiło mu się zimno.

- Właż pan! - Wypiór obejrzał się przez ramię. - Na co czekać?

Ale to było niemożliwe. Ani mowy, by gałąź wytrzymała ciężar ich obu. Nie było pewne, czy wytrzyma samego Wypiorą. A inne nie sięgały ogrodzenia.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Przylepiona do gałęzi sylwetka Wypiorą znalazła się nad górnym pasmem drutu kolczastego. Jeszcze głośniejszy trzask. Kostrzewa obserwował z rosnącym niepokojem. Ale Wypiór zeskoczył. Uwolniona z ciężaru gałąź nie podniosła się jednak, leżąc w dalszym ciągu na drucie. Musiała być porządnie nadłamana. Wpełził na nią. Prędej! Lada chwila wszystko mogli wziąć diabli... Czuł, jak ugina się pod nim coraz bardziej. Teraz już każdemu ruchowi towarzyszyło alarmujące trzaskanie. Zleci? Nie, poczuł, że zaczepił nogą o kolczasty drut. Teraz już wydostanie się na tamtą stronę. Zamierzał skoczyć odbijając się od gałęzi. Nie stało jednak sił. Po prostu rozwarł palce i poleciał jak kamień.

„No... - mignęło w myśli. - Chyba się nie pozbieram.”

Ale lądowanie odbyło się nieoczekiwanie pomyślnie. Wysoki gąszcz rosnących w tym miejscu chwastów osłabił impet upadku.

- Jak tam? - Wypiór podskoczył ku niemu. Kostrzewa jednak wstał o własnych siłach. Wypiór ujął go pod ramię i pociągnął za sobą.

- No, to teraz gazu!

Kostrzewa szedł na miękkich nogach. Szedł jednak jakoś. Oświetlane ostrym światłem błyskawic drzewa lasu zbliżały się za każdym krokiem.

- Tempo! - Felek oglądał się raz po raz na zabudowania. - Tempo, bo mogą nam przydeptać ogony.

Burza powoli cichła. Grom ziewnął i wstał ociężale z kanapy. Co za cholerna pogoda! Człowiek by tylko kimał.

Przeciągając się ruszył na wędrówkę po domu. Nudno jak sto diabłów.

W pewnym momencie przystanął.

- A gdzie właściwie jest Wypiórszczak?

Szef nawet nie podniósł głowy znad notesu, w którym coś z wysiłkiem obliczał.

- Pewnie w swoim pokoju - odburknął. Grom zajrzał do pokoju Felka, ale i tu go nie było.

Czarny rznął z dozorcą w zechcyka w sieni.

- Wypiórszczak? Polazł do tego swego szpicla.

- Kiedy?

- A diabli go wiedzą - Czarny wyłożył karty. - Zamykam: czterdzieści i sztos - oznajmił triumfująco.

Dozorca wykrzywił się.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Leci jak bękartowi.

Czarny dotknął brudnego bandaża na przedramieniu i syknął:

- Kiedy wreszcie to świństwo się zagoi? Grom zaczynał się złościć.

- Drętwą mowę schowaj dla swojej cioci - powiedział z naciskiem. - Jak dawno

Wypiórszczak polazł na górę?

- A to się przyczepił - westchnął Czarny. - Ja wiem? Na zegarek przecież nie kapowałem. Będzie może z pół godziny. Przedtem też tam zaglądał. Szwenda się jak kot z pęcherzem - zaczął tasować karty, krzywiąc się przy każdym ruchu. - Nabiera wazeliny, żeby gładziej poszło u szefa - dorzucił.

- Pół godziny? - Grom przymrużył oczy. - Tyle to on tam nie ma co robić.

- Widocznie ma - Czarny podsunął karty dozorczy. - Rozdajcie wy. W grabie rąbie, jakby kto nożem rznął.

Grom powrócił do szefa.

- Trzeba by popatrzeć, co on tam tak długo odsiaduje.. SzeF wzruszył leniwie ramionami.

- Nie dowierza pan Wypiórowi?

- Własnemu bratu także nie - odciął ostro. - Gdy chodzi o szpicla i o gościa, który mógłby za dużo śpiewać...

- Komu? - szef wyciągnął się jeszcze wygodniej w fotelu. - Tamten nieprzytomny jak kłoda.

- Widziałem różnych takich. No, jak pana to nie ziębi ani grzeje, sam poniucham, czym interes pachnie. Nie dałbym fałszywego piąta, czy oni się tam czasem nie zwąchają.

Cicho, na końcach palców, zaczął się skradać po schodach.

SzeF sięgnął z powrotem po odłożony przed chwilą notes. Przesada.

Nagle zerwał się jak oparzony. Z góry dobiegł wściekły wrzask Groma.

Wszyscy teraz pędzili po schodach w panicznym pośpiechu, objając się ramionami.

Grom miotał się przed otwartymi drzwiami zamaskowanej komórki.

- Co pana ugryzło? - podskoczył ku niemu szef. - Stało się coś?

- Gówno! - błysnął wściekłymi oczyma. - Sam pan sobie popatrz! - pchnął go w kierunku komórki. - Dali nogę...

- Wypiór?

O ubeku ani nie pomyślał. Przecież prawie trup.

- On i glina. Oba cwaj!

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- To niemożliwe! - szefowi oczy niemal wyłaziły z orbit. - Gość ani ręką, ani nogą nie mógł ruszyć - nachylił się nad pociętymi sznurami. - Ukrył go gdzieś w tej graciarni - wskazał ręką na spiętrzone rupiecie.

Grom tylko splunął ze złością.

- Tędy poskli! - podskoczył do okienka. - Na drzewo i po gałęzi.

- Jak amen w pacierzu - dozorca Bazyluk również się wychylił. - Sprytnie sobie to wykalkulowali.

- Cholera im w bok - zachnął się Grom. - Jak dojdą do ube, będzie jeszcze sprytniej.

Nagle szarpnął się w tył.

- Pół godziny! - syknął. - Czego się tu pieprzymy? Jazda za nimi. Glina lizie pewno na czworakach.

- Ale w którą stronę? - szef tarł czoło. - W tym lesie... Prawda! - wyprostował się. - Pies!

- Tygrys poprowadzi - Bazyluk już gnał w kierunku schodów.

Tu przecież chodziło również i o jego skórę. Pobiegli za nim. Bazyluk zaciągnął psa na strych. Tknął go nosem w tapczan.

- Wąchaj, psiajucho!

Grom zzymał się niecierpliwie.

- Po diabła te wszystkie ceregiele? Oni tam nie wylegają się do góry brzuchem!

- Inaczej nie złapie ducha - tłumaczył Bazyluk. Sprowadziwszy psa na dół podsunął mu płaszcz Wypiorą.

- Szukaj!

Po chwili znaleźli się za bramą. Pies szedł z nosem przy ziemi.

- Teraz już nie zgubi tropu - oświadczył z przekonaniem Bazyluk - choćby nawet wleźli do wody.

Tygrys dociągnął ich do miejsca zeskoku, potem skierował się w stronę lasu.

Gruba linka, na której był uwiązany, przez cały czas pozostawała naprężona jak struna. Pies nie zawahał się ani przez moment. Szef obserwował go spod oka.

- Dobrze ciągnie - skonstatował wreszcie z wyraźną ulgą. - Chyba ich dopędzimy.

- Musimy - warknął Grom. - Tu nie ma gadania. Albo wóz, albo przewóz.

- Kołują przecież - dorzucił uspokajająco Bazyluk. - Tu drogi tak prędko nie znajdują.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

W pierwszym momencie dominowała tylko jedna myśl: znaleźć się jak najdalej od meliny. Potem Kostrzewa zaczął się rozglądać.

- W jakim właściwie idziemy kierunku? Wypiór aż przystanął.

- Jak to? Myślałem, że to pan prowadzi! Kostrzewa zaklął. Ładna historia!

- Nie orientujecie się zupełnie?

- Ni cholery. Ja tam z lasem nie miałem do czynienia. A do tego pierońsko kołowali prowadząc w tę stronę.

- Marnie - myśl Kostrzewy pracowała z gorączkowym wysiłkiem.

- Trzeba będzie wleźć na drzewo i rozejrzeć się - zdecydował wreszcie.

- Zrobione - Felek już zadarł głowę wypatrując najwyższego wierzchołka. - A czego szukać?

- Dymu, drogi, co podleci.

Felek podskoczył, uwiesił się gałęzi i po chwili wspinał się szybko w górę.

Kostrzewa wsłuchiwał się w odgłosy lasu. Na pewno już zauważyli ucieczkę.

Niełatwo znaleźć trop w tej gęstwinie, ale jeżeli wezmą ze sobą psa... Nie dosłyszał jednak nic alarmującego.

Wypiór już ześlizgiwał się z powrotem.

- Drogi ani śladu - oznajmił po zeskoczeniu na ziemię - - Za to dym jak drut. W tamtej stronie - wskazał ręką.

- Jeden?

- Właśnie. Ale może to dom Zaciepy? To taki jeden, co z nimi tu trzyma sztamę - dorzucił w formie ostrzeżenia.

- Wiem. Ale choćby nawet z jego komina, też musimy tam iść. Stamtąd dalej już trafię.

- No, to gazu!

Ale tempo było słabe. Kostrzewa pomimo wysiłków nie potrafił się zmusić do szybszego marszu.

- Przemaglowali was na cały regulator - Wypiór patrzył na niego ze

współczuciem. - Zatłukliby zresztą na śmierć, gdyby nie Grom. To ten z żółtymi oczyma - wyjaśnił.

- Chciał ze mnie coś wydusić?

- Uhum... Gdyby się już do tego zabrał, szkoda mrugać. To zimny drań. A

najwięcej to przez tę legitymację... - dodał po chwili.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Dowiedzieli się mego nazwiska - Kostrzewa pokiwał głową.

- Wręcz przeciwnie.

- Jak to? - spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Otóż to. Zapodziała się im gdzieś w całej tej drace. Szef cholerował na całą

parę. Myślałem, że go szlag trafi. „Widziałem, musi być”. Ano, nie znaleźli.

- Nie znaleźli?

Kostrzewa w pierwszej chwili ucieszył się. Nie mógł oczekiwać tak

pomyślnego przypadku. Potem doszedł do wniosku, że w tym stanie rzeczy sprawa

jego nazwiska straciła już znaczenie.

Maszerowali w milczeniu chyba z godzinę, robiąc tylko dwa króciutkie

odpoczynki. Kostrzewa zżymał się na swoją słabość. Tyle czasu wskutek niej musieli

marnować. Ale na to nie było rady. Dobrze, że w ogóle szedł.

Felek parę razy wdrapywał się na drzewa. Kierunek był dobry. Nie dostrzegł

również pogoni.

- Wybrniemy, obywatelu śledczy - coraz bardziej nabierał otuchy.

Musiała chyba minąć druga godzina marszu, gdy postanowili zrobić dłuższy

popas. Kostrzewa już nie mógł utrzymać się na nogach. Musiał choć kilka minut

odpocząć.

Felek sięgnął do wypchanej kieszeni.

- Wałowa - oświadczył z dumą. - Zwędziłem z kredensu. Mięcho, chleb -

podawał Kostrzewie. - Nie zaszkodzi napchać brzucha.

Kostrzewie zaświeciły oczy. Zatopił łapczywie zęby w jedzeniu.

Przez cały czas nie przestawali nasłuchiwać. Wokół jednak panowała uspokajająca cisza. Chyba nie trafili na ślad?

- Powiedzcie mi - Kostrzewa przełknął ostatni kęs i zaczął rozmasowywać zdrętwiałe nogi - jaki jest właściwie wasz stosunek do sprawy zamordowania Lebiody?

Doszedł do wniosku, że powinien wykorzystać okazję. Diabli wiedzą, co się jeszcze może stać. Wypiór rozmyślał przez chwilę.

- Redaktor Lebioda - zaczął - och... to był człowiek, że rzadko. Wyciągnął na siłę, jak było ze mną bardzo źle. Szkoła, praca... Wszystko on...

- Dlaczegoście się ukrywali?

- Miałem stracha, żeby mnie w to wszystko nie wrobili. Miałem jego teczkę. Z monogramem. Podarował mi, gdy zacząłem chodzić do szkoły. No, myślę sobie, jak ją u mnie znajdą... Jeszcze było i pióro wieczne...

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Też wam podarował?

Minęła długa chwila, zanim odpowiedział.

- Nie. To było na samym początku... Grypsnąłem, jednym słowem. A potem to mi przez gardło nie chciało przejść. Ale postanowiłem sobie w końcu: powiem i już.

Ale gdy pierwszy raz z tym przyszedłem, akurat wychodził.

- Czy to było wtedy, gdy miała miejsce kłótnia pomiędzy Lebiodą a Białkowskim?

- Kłótnia? No, tak, coś tam sobie przygadywali, to fakt. A następnym razem wybrałem się skoro świt. Redaktor miał audycję już o szóstej rano. Ale nie mogłem dłużej wytrzymać. Więc przywaliłem o piątej.

Kostrzewa popatrzył na niego przeciągle.

- W dzień zamordowania Lebiody?

- Tak. Właśnie wtedy. Patrząc, przed bramą stoi Dandy. Zupełnie jakby odstawiał „świecę”. Znałem go z czasów, gdy jeszcze tylko chuliganił. Kiwa na mnie, żebym się zabierał. Nic nie rozumiałem. Aż tu wyłazi jeszcze jeden. Jest tu teraz.

Nazywają go Czarnym.

- Tylko jeden?

- Jeden. Przeczulem, że tu nie ma żartów i wziąłem nogi za pas. Ale jeszcze wtedy nie kombinowałem, o co chodzi. Myślałem, że najwyżej jakiś skok. Dopiero potem...

Kostrzewa zaczął wstawać. Niełatwo mu to przychodziło. Wszystkie członki były jak z drewna. Wstał przecież. Nie mogli się wylegiwać.

- Idziemy.

Trochę się chwiał na nogach, ale po kilkunastu krokach jakoś się rozchodził.

- I dlatego was zabrali ze sobą? - zapytał po chwili.

- Tak. Zobaczyli, że za mną zaczynają węszyć. Mieli pietra, żebym nie sypnął.

Zresztą - popatrzył ponuro - w końcu bym powiedział, ale tylko dlatego, że tu szło o redaktora... - umilkł, przełykając głośno ślinę.

Kostrzewa przetrwał w myśli to, co usłyszał.. Czarny i nikt więcej? Zbierając siły przyśpieszył kroku. Żeby tylko nie było za późno.

Szef coraz częściej zerkał na zegarek.

- Diabli wiedzą, co to takiego... Uszliśmy chyba z dziesięć kilometrów.

Grom strzepnął palcami.

- Przesada. Jak sześć, to już z górą.

- Racja - potwierdził Zaciepa. - Najwyżej będzie sześć.

- Ale jeżeli pies...

- Co pies? - przerwał Bazyluk. - Prowadzi jak po szynach.

Szef machnął ręką:

- Może i rzeczywiście...

Ale gdy upłynęła jeszcze prawie godzina, znecierpliwił się z kolei Grom.

- Jeżeli pieskie nasienie ciągnie nie tam, gdzie trzeba? Bazyluk przez chwilę rozglądał się uważnie.

- Nie, dobrze prowadzi. Murowane, że przechodzili tędy. Ot, sami popatrzcie - wskazywał ślady.

Szef wzruszył ramionami. Nie znał się na tym. Wielkie rzeczy, złamana gałązka albo przygnieciony mech. Czyż zresztą nie mógł tędy przechodzić ktoś inny?

Grom strzyknął śliną przez zęby. Spec to spec, ale cholera go wie, czy nie buja!

Każdy chce być mądry.

Zaciepa nachylił się nad zdeptaną trawą.

- Doganiamy ich.

- Nic innego nie robimy od samego początku - mruknął pod nosem szef. -

Chodzi o to, żebyśmy wreszcie dogonili.

Uszli jeszcze kilkaset metrów.

- Teraz już całkiem niedługo - oznajmił Bazyluk. - To widać po Tygrysie. Już ich czuje.

Pies rzeczywiście jeżył się coraz bardziej. Biegł na sztywnych łapach, częściej wyciągając nos przed siebie niż ku ziemi.

Znowu zaczęło się ściemniać. Zagrzechotał dudniąc długim echem grzmot.

Pies nagle przystanął oglądając się niepewnie.

- Nasmater! - zaklął Bazyluk. - Żeby tylko burza nie wróciła. Przy grzmotach to on do niczego. Musiało go chyba kiedyś porazić.

Pogłaskał uspokajającym ruchem psa.

- Prędzej, Tygrys prędzej!

Szli jednak coraz wolniej, w końcu stanęli zupełnie.

- Co z tym cholernym bydlakiem? - wściekał się Grom.

- Burza - wyjaśnił lakonicznie Bazyluk.

- Nie pójdzie dalej?! - szef aż pobladał. Tamten nasłuchiwał z napięciem.

- Oni nie są daleko.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Więc co z tego? - naskoczył na niego Grom. - Zdołamy dopędzić bez tego ścierwa?

- To nic - nie przejął się napastliwym tonem. - Ale jeżeliby spuścić psa?

- Zatrzyma? - ożywił się szef. Bazyluk wydał wargi.

- Co tam zatrzyma! On ich wykończy na amen! Przecież żaden nie ma broni.

Aby tylko zdążył dopędzić, zanim rozgrzmi się na dobre. Puszcząć?

- Tylko prędzej! - Grom nawet nie czekał na decyzję szefa. - Co tu się zastanawiać?

Bazyluk odczepił grubą linę.

- Zabij, Tygrys!

Pies stał przez chwilę, jakby się zastanawiając. Potem gwałtownym susem runął w gęstwę. Zatrzeszczały łamane potężną piersią gałęzie. Hałas oddalał się z

piorunującą szybkością.

- On by i ptaka w locie dopędził - mruknął Bazyluk. Ruszyli wyciągniętym kłusem w ślad za nim. Teraz już pistolety tkwiły w garściach. Żywi nie mogli ująć żadną miarą.

Nie minęło nawet pięć minut, gdy z oddali dobiegło krótkie urywane szczeknięcie.

- Nie mówiłem? - zawołał Bazyluk. - Już ich ma!

- Szybko! - zakomenderował szef.

To było zresztą zbędne. Pędzili i tak co sił w nogach.

- Strzelać w łby, bez żadnego gadania! - sapał nie mogąc złapać oddechu szef.

Kostrzewa już od dłuższego czasu nasłuchiwał z niepokojem. Trudno było mieć wątpliwości. Szła pogoń. I to coraz bliżej. W końcu dosłyszał i Wy piór.

- Taka ich mać! - zaklął trwoźnie. - To wszystko przez tego cholernego psa - zaczął niemal biec.

Kostrzewa zdobył się na wysiłek. Ale to nie mogło potrwać długo. Mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Nogi ciążyły jak nalane ołowiem. Wypiór oglądał się co chwila.

- Na nic - wyciągnął rękę - podholuję was. Bo inaczej wsiąknjemy na amen.

Kostrzewa nie przyjął pomocy. Na nic się nie zda, jeżeli sam nie da rady. Ale po przebiegnięciu jeszcze kilkunastu kroków oparł się ciężko o drzewo. Piersią jego szarpał wysiłony, chrapliwy oddech.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Wypiór przystanął, rozglądając się z widocznym strachem.

- I jak będzie? - szepnął.

- Ganiaj sam. Trzeba do Warszawy... W Urzędzie Bezpieczeństwa pułkownik

Kociuba... Zapamiętaj nazwisko. Opowiesz wszystko. I że ja... to jest Kostrzewa...

- Az panem co?

Ostro łysnęło ponad wierzchołkami drzew. Odgłos grzmotu przetoczył dudniącym echem.

- Ja już nie mogę... Ty musisz...

Felek zawahał się. Urząd Bezpieczeństwa? Iść tam samemu, to jakby z deszczu pod rynnę. Uwierzą albo i nie... Nadstawił uszu.

- Jakoś tamtych nie słyszeć - szepnął nagle.

- Nie? - Kostrzewa również wyteżył słuch. Rzeczywiście odgłosy pogoni zamilkły. Zmylili trop? Znowu zagrzmiało. Felek wyprostował się.

- Burza - szepnął z ogromną ulgą. - Jak pioruny, to pies nie pójdzie, choćby go ze skóry obdzierali.

Stali długą chwilę w miejscu. Kostrzewa powoli przychodził do siebie. Pogoni wciąż nie było słyszeć.

- Przeniosło - Felek otarł rękawem czoło. - Idziemy czy jak?

- Idziemy - Kostrzewa oderwał się wreszcie od pnia. Ze zdziwieniem spostrzegł, że mu ten odpoczynek bardzo pomógł.

Szli początkowo powoli, ostrożnie, gotowi każdej chwili prysnąć w gęstwę, potem coraz szybciej i pewniej.

- Ale pamiętajcie - powiedział po paru minutach Kostrzewa - w razie czego, tak jak mówiłem. Jeden z nas musi się za wszelką cenę dostać do Warszawy.

Nagle w najmniej spodziewanym momencie do uszu ich dobiegł gwałtowny trzask łamanych z impetu gałęzi. To nie mógł być w żadnym wypadku człowiek.

Kostrzewa od razu zorientował się w znaczeniu odgłosów.

- Spuścili psa! Prędej!

Przed chwilą był pewien, że nic go nie zdoła zmusić do przyśpieszenia kroku.

A przecież teraz zerwał się do biegu. Pędzili na oślep. Aby tylko dalej.

Nie trwało to długo. Nagle tuż za plecami zaszeleściły roztrącane liście zarośli.

- Na drzewo! - krzyknął Kostrzewa.

Nie zdążyli jednak. W chwili, gdy Wypiór złapał za gałąź, runęło na niego z rozpędu ciężkie cielsko zwierzęcia. Upadł na wznak. Tuż przed oczyma łysnęły

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

ogromne kły, wyszczerzone do śmiertelnego chwytu. Instynktownie wczepił palce w skórę bestii, odpychał jej pysk od siebie. Pazury szarpały ubranie docierając aż do ciała. Długie ostre kły zbliżały się powoli, ale nieubłaganie do szyi.

Jeszcze kilka sekund. Pierwszy chwyt będzie ostatnim.

Wypiór słabł coraz bardziej. Kostrzewa widząc, co się dzieje, zeskoczył z gałęzi, na którą zdążył już się wdrapać. Dopadł psa od tyłu. Wczepił się w kudły i szarpnął zwierzę z całych sił.

- Nóż - wychrypiał Wypiór - w prawej kieszeni... kurtki. Nóż... - twarz jego nabiegła krwią. - Prędej... ja... już nie mogę...

Kostrzewa dopadł z boku. Ledwo zdołał uniknąć gwałtownie atakujących szczęk. Był za słaby. Katastrofa była nieunikniona.

W tym samym momencie błysnął oślepiający płomień. Ziemia drgnęła od huku.

W nozdrza uderzył ostry swąd spalenizny. Pies skowytnął, odskoczył w tył i zanim zdołali zrozumieć, co zaszło, jednym skokiem wpadł w pobliską gęstwę.

W garści Wypiorą pozostały wydarte kudły. Zwlókł się niezdarnie na nogi.

Zamrugnął oczyma, odetchnął głęboko. Nagle się opamiętał:

- Chodu!

Sadził na oślep długimi susami. Po przebiegnięciu kilkudziesięciu metrów

Kostrzewa miał dość. Wypiór zatrzymał się.

- Nie da rady - Kostrzewa potrząsnął głową. - Każdy musi na swoją rękę... Ja

gdzieś przywaruję, może nie znajdą... Wy do Warszawy... Za wszelką cenę...

Pamiętajcie: pułkownik Kociuba... i: od Kostrzewy.

Felek jeszcze się wahał. Uratowanie Kostrzewy to miał być jego atut. Nie było

chwili do stracenia. Ale odgłosy pogoni stawały się coraz wyraźniejsze.

- Znowu to wściekłe bydlę? - jęknął.

- Nie... Ludzie. Prędkiej! - pchnął go Kostrzewa. - Prędkiej... Uciekaj!

Słyszeć już było głucho dudnienie biegnących stóp.

Felek odwrócił się na pięcie. Runął przed siebie.

Kostrzewa skręcił w bok. Byli jednak zbyt blisko, by tego nie mogli dosłyszeć.

Sam słyszał ich coraz wyraźniej. W tej samej chwili rozległ się krzyk:

- Stój, ty!... - bluznęły przekleństwa.

Teraz już musieli dojrzeć go. Nie usłuchał oczywiście. Lepiej zginąć od kuli...

- Stój! - w łoskot gromów wdarły się suche trzaski pistoletowych strzałów.

Powietrze nad głową zagwizdało przeciągle.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Wtem wyrosła przed nim ciemna ściana splątanych kolczastych gałęzi.

Jeszcze jeden wysiłek. Skoczył rozpaczliwie... Kolce szarpały twarz. Głębiej,

jak najgłębiej... Nagle noga stąpiła w próżnię. Poleciał gdzieś w dół.

Ciało turlało się bezładnie.

Chlupnęło. Lodowaty chłód przeniknął go na wskroś, wypierając resztki tchu z piersi. Zachłusnął się. Woda!

Otrzeźwiało. Nie, nie była głęboka. Stanął na czworaki. Ostre, drobne kamyki boleśnie ugniatały dłonie. Wyczołgał się na brzeg w wysokie zarośla i legł bez ruchu. Jeżeliby przyszli teraz, wzięliby jak swego, nie byłby w stanie nawet poruszyć palcem. Bazyluk przez długą chwilę przegarniał gałęzie.

- Tak, jeden prysnął w parów.

- Zwiął?! - wrzasnął Grom.

- Złapiemy - Bazyluk zdawał się nie tracić spokoju. - Przepychać się przez ten gąszcz, to jak po smole. A my już będziemy mieli drogę utorowaną.

- A drugi? - zapytał szef.

- Pognał tam - Bazyluk wskazał ręką. - Ale go już prawie nie słychać. Sadzi jak zając. Tu trzeba młodych nóg, by zgonić - spojrzał wymownie na Groma.

- Wypiórszczak? - Grom już się szykował do skoku.

- Ani chybi.

Grom pobiegł nie czekając na polecenie.

- A w parowie szpik - szef spojrzał nieufnie na kłujące krzaki. Diabli wiedzą, na co można w nich natrafić. I w takim gąszczu człowiek jakby ze związanymi rękoma.

- Sam sobie dam z nim radę - Bazyluk jakby przejrzał jego myśli. - Widziałem, jak biegł. Gość ledwo zipie.

- Ale dycha. A taka jaszczurka... Czy można obejść te krzaki?

- Można. W tę stronę będzie ze dwieście kroków. Nie zaszkodziłoby swoją drogą popatrzeć, czy mu nie strzeli do łba wpelznąć tędy z powrotem.

- A jeżeli obejdzie drugą stroną?

- Nie. Tam ciągną się chyba w czwórnasób.

- Dobrze. Zejdę więc tamtędy. A wy...

Bazyłuk zasłaniając zgiętym łokciem twarz dał nurka w zarośla. Szeł ruszył szybko wzdłuż krzaków, zaciskając rękę na pistolecie.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Kostrzewa podźwignął się z trudem. Szczękał zębami po lodowatej kąpieli, ale gdyby nie to, leżałby teraz na pewno bez przytomności.

Spojrzał na przeciwległe zbocze parowu. Było jeszcze bardziej strome niż to, z którego się stoczył. Ani mowy, by się mógł wdrapać w takim stanie. Tamten dogoniłby go w jednej chwili. Zresztą jeżeli ma rewolwer, nie potrzebowałby nawet gonić.

Na pewno ma. Nie puszczałby się przecież w pogoń bez broni.

Mózg pracował z gorączkowym wysiłkiem. Więc co?

Po chwili zdecydował się. To była jedyna szansa.

Odczołgał się dużym łukiem, starannie zacierając za sobą ślady. Przyłgął do ziemi za jakąś mizerną kępką. Czekał, zaciskając kurczowo w dłoni krótki, twardy sęk.

Wreszcie zza krzaków wynurzył się wielki, barczysty chłop. Pistolet w garści, palec na cynglu. Kostrzewa wstrzymywał oddech. Żeby tylko nie dojrzał śladów odpełzania.

Szedł bez wahania. Widać było, że całkiem gładko odczytuje trop. Rozglądał się uważnie na wszystkie strony. Lufa pistoletu zataczała półkola, szukając celu.

Przeszedł strumyk. Aż podziw brał, że taki wielkolud sprawiał tak mało hałasu. Zbliżał się coraz bardziej. Doszedł już do tego miejsca, gdzie Kostrzewa leżał przedtem i zatrzymał się. Na twarzy jego odbiło się zdziwienie. Nie mógł widać zrozumieć, dlaczego trop się urywa. Teraz!

Kostrzewa poderwał się gwałtownie. Jeden sus i znalazł się tuż za jego plecami. Wielkolud drgnął. Nie mógł nie usłyszeć. Nie zdążył jednak spojrzeć poza siebie. Kostrzewa tknął go w krzyż twardym sękiem.

- Urząd Bezpieczeństwa! Rzuć broń! Bo strzelam!

Usłuchał, zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi. Zaskoczenie było zupełne.

Pistolet stuknął miękko o trawę. Nie mogłoby mu przyjść do głowy, że to, co czuł na plecach, nie było lufą.

Kostrzewa przygiął się, błyskawicznie sięgając po pistolet. Ale nawet tego ułamka sekundy starczyło, by Bazyluk się opamiętał. Ucisk na krzyż ustał. I tak nie miał nic do stracenia.

Odwrócił się błyskawicznie, skoczył, wyciągając przed siebie podobne do maczug ramiona. Kostrzewa ledwo zdążył umknąć w bok. Podniósł lufę.

- Stój! Stój, bo kula w łeb. Ręce do góry!

Ale głos jego podziałał jak widok czerwonej płachty na rozwścieczonego byka.

Olbrzym wpadł w furję. Przekrwione oczy miały obłądny wyraz. Widać było,

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

że żadne słowa go nie powstrzymają.

Kostrzewa zniżył lufę i pociągnął za cyngiel.

Huk strzału zlał się z łoskotem gromu.

Napastnik potknął się i upadł z rozmachu na ziemię. Złapał oburącz za

przestrzeloną nogę. Oczy rozszerzył wyraz panicznej trwogi na widok przeciekającej pomiędzy palcami krwi.

- Zabili! - zawył przeciągle. - Zabiiliiii!

Na przeciwległym zboczu rozległ się tupot pośpiesznych kroków.

Odeszli?! Kostrzewa znowu podniósł broń. Teraz już nie wpadnie w ich ręce.

Teraz nie. Kroki przybliżały się.

- Co takiego, do stu piorunów?! - wrzasnął gniewny głos. - Rzuć broń!

- Ręce do góry! - zawtórował inny. - Bierz go! Wielkie, czarne cielsko

śmignęło po zboczu. Zanim Kostrzewa zdołał wycelować, było już za późno.

Runął na wznak obalony impetem skoku. Potężne cielsko przygniotło go do

ziemi. Pistolet leżał gdzieś w trawie, poza zasięgiem ręki. Gdyby nawet był bliżej, nie

zdołałby go ująć. Wielkie żółte kły sterczały tuż przed twarzą.

„A więc to koniec” - pomyślał z rezygnacją. Uczynił wszystko, co było w jego

mocy...

Ale niemal natychmiast obudził się w nim bunt. Spróbował poruszyć ręką. Ten

pistolet... Gdyby tylko go dosięgnąć!

Rozległo się krótkie urywane warknięcie. Kły błysnęły ostrzegawczo. W

nozdrza uderzył odór oddechu bestii. Kostrzewa znów znieruchomiał. Śmierć od psich

kłów wydała mu się straszniejsza niż wszystko inne.

Pies zastygł. Zbliżały się czyjeś szybkie kroki.

Kostrzewa nie widział nadchodzącego. Żeby go dojrzeć, musiałby podnieść

głowę.

- Wstawaj! - blask błyskawicy zagrał oślepiająco na stalowej lufie. - I żadnych

sztuczek! Ręce nad głową! Wysoko!

Usłuchał.

- Zatrzymany bez biletu? - Kociuba wciąż nie mógł zrozumieć, w jakim celu

telefonuje komisariat dworcowy. - Więc cóż z tego. To przecież do nas nie należy.

- On mówi, że ma do was jakiś pilny interes.

- Do naszego urzędu?

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Nie. Do was, pułkownika, osobiście.

- Hm... A jak się nazywa?

- Nie chce powiedzieć. Twierdzi, że wszystko wyjaśni dopiero wam.

Dokumentów żadnych nie ma.

- No, to dawajcie go tutaj. Zobaczymy.

Co znowu za historia? Na twarzy Kociuby malowało się zdziwienie.

Po upływie kilkunastu minut wprowadzono zapowiedzianego interesanta.

Pułkownik kazał mu usiąść i przyglądał się w milczeniu: ubranie w strzępach, brudny jak nie boskie stworzenie. Twarz wynędzniała, cała w zadrapaniach i sińcach. Wyniki obserwacji nic mu jednak nie powiedziały.

- No więc? Chcieliście się ze mną zobaczyć? Potrząsnął niepewnie głową.

- Nie wiem. Z pułkownikiem Kociubą.

- To właśnie ja. O co chodzi?

- Nazywam się Feliks Wypiór.

- Co?! - pułkownik z trudem zdołał się opanować. - Wypiór?!

- Tak!

Kociuba sięgnął pośpiesznie po fotografię. Porównywał. To przez te zadrapania i siniaki. Nic dziwnego, że go w komisariacie nie poznali. Jemu samemu nie przyszło do głowy.

- Ależ, człowieku, szukamy was po całej Polsce, a wy...

- Przysyła mnie do pana pułkownika obywatel śledczy Koterba.

- Jak? - zdumienie Kociuby doszło do zenitu. Nie znał żadnego funkcjonariusza

o tym nazwisku. - Koterba?

- Może jakoś inaczej... - Felek był mocno zdetonowany. - Ale podobnie.

Trochę mi się widocznie pokręciło. Kilkunastogodzinna jazda pod wagonem nie wpływa dodatnio na pamięć.

- Podobnie?... Może Kostrzewa? - pytanie to zresztą rzucił bez najmniejszego przekonania.

Wynędniała twarz rozjaśniła się wyrazem nagłej radości.

- Tak! - zawołał pośpiesznie. - Właśnie Kostrzewa!

Kociuba zerwał się z fotela.

- Kiedyście go widzieli? - świdrował niecierpliwie oczyma.

- Wczoraj.

Kociuba opadł z powrotem i sięgnął pośpiesznie po papierosa, którego zresztą

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

zapomniał zapalić.

- Opowiadajcie!

- Wczoraj kazał, żeby na nic nie zważając, walić... - ciągnął dalej Felek -...to

jest... iść do pana pułkownika, to ja... Bo tu chodzi o taką sprawę... - zaczął

opowiadać.

Mówił zająkliwie, chaotycznie. Przeskakiwał przez niektóre zdarzenia, by

następnie do nich powracać w najbardziej niespodziewanym miejscu. Pułkownik

słuchał w milczeniu, nie przerywając ani razu. Po prostu chłonał słowa. Pomimo

niedokładności obraz rysował się coraz wyraźniej.

W pewnym momencie Wypiór zaczął utykać, aż w końcu ucichł zupełnie.

Nagle zachwiał się.

Pułkownik przyjrzał mu się uważnie. Komedia? Z różnymi rzeczami miewał już do czynienia.

- Kiedyście jedli po raz ostatni? - zapytał.

- Wczoraj... rano - odpowiedział słabo. - Nie było okazji...

Kociuba nacisnął dzwonek.

- Herbata, kanapki - polecił dyżurnemu. - A potem jajecznicą z kiełbasą. Tylko prędko.

Herbata i kanapki znalazły się niemal od razu.

- Jedzcie - podsunął tacę w kierunku Wypiorą. - Skończymy potem. Bo jeszcze gotowicie mi tu uświrknąć na amen.

Wypiór rzucił się na jedzenie z łapczywością wygłodniałego zwierzęcia.

- Powoli - przestrzegwał Kociuba. - Bo was zatka.

Posłusznie zmniejszał pchane do ust kęsy. Nie potrafił jednak jeść wolniej. To było silniejsze od woli. Ale gdy przyniesiono jajecznicę, nie zdołał jej zjeść do końca.

- Już nie mogę.

Wypił resztę herbaty, potem podjął na nowo opowiadanie. Teraz szło o wiele składniej.

- Więc potem już nie wiecie, co się z Kostrzewą stało? - zapytał Kociuba, gdy

Wypiór wreszcie skończył.

- Nie.

- A te strzały i krzyki, czy na pewno dobiegały ze strony, w którą pobiegł?

- Tego nie mogę powiedzieć tak na mur. Pędziłem wtedy co tchu. Grom mi prawie następował na pięty. I żeby nie ten wóz, który akurat nadjechał, tobym i ja

wsiąkł. Było w nim czterech ludzi. Inaczej nie przestraszyłby się i wozu. Co mu tam...

Nie - potrząsnął bezradnie głową - na pewno, to nie powiem. Ale zdawało mi się, że właśnie stamtąd.

Kociuba zapalił wreszcie papierosa, podsuwając Wypiórowi skrzyneczkę.

W rezultacie znowu nie było wiadomo, co w tej chwili dzieje się z Kostrzewą.

Podjął słuchawkę telefoniczną i zażądał połączenia z urzędem w Brzostkowie.

- Nie wiecie, jak się nazywa polana, na której stoi ten dom? - zapytał po chwili.

- Nie wiem. Przyprawdzili, to byłem. A tak nikt nie mówił.

- Ale potrafilibyście zaprowadzić?

- Chyba tak... Chociaż droga tam cholernie poplątana... może bym i poprowadził - w głosie nie było jednak ani krzty przekonania.

- No, zobaczymy, jak się to wszystko dalej ułoży. Może tam coś będą wiedzieli o tej melinie. Tymczasem musicie się trochę przespać. Ach prawda... wasze mieszkanie opieczętowane - napisał kilka słów na kartce. - Pójdziecie do pokoju sto dwa na pierwszym piętrze, tam wam wszystko załatwią. Tylko nie wychodźcie na długo z mieszkania. Możecie być w każdej chwili potrzebni. Jeszcze jedno! - zawołał go z powrotem, gdy tamten dochodził już do progu. - Jak tam u was z gotówką?

Wypiór poczerwieniał.

- Ja...

- Jednym słowem ani grosza? Potwierdził milczącym skinieniem głowy.

- No to... - sięgnął do portfela. Wypiór cofnął się.

- Przecież ja nie dlatego...

- Bzdura - wetknął mu niemal przemocą banknot do ręki. - To pożyczka.

Potem się obliczymy.

Długą chwilę patrzył w drzwi, które się zamknęły za wychodzącym. Potem połączył się z jednym z wewnętrznych numerów.

- Feliks Wypiór - rzucił w słuchawkę. - Tak, ten sam. Poślijcie kogoś, kto by miał na niego oko.

Wierzył, że Wypiór mówił prawdę. Trudno by doszukać się jakiegoś celu w zmyślaniu tego rodzaju historii. Ale zachowanie pewnych środków ostrożności należało w tym stanie sprawy do elementarnych obowiązków. Zamyślił się. To przecież były rewelacje pierwszorzędnej wagi. O Gromie, o Czarnym, o szefie, no a przede wszystkim o samym Kostrzewie. Westchnął. Wczoraj po południu jeszcze żył. Ale dziś... Czy zdążą mu przyjść z pomocą?

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Co ten Brzostków tak długo nie odpowiada? - zaklął grubo. - Tu, być może, chodzi o każdą sekundę. Pospali się czy co, u licha?

Połączył się z kontrolą.

- Dlaczego nie dają mi Brzostkowa?

Sprawdzono. Numer był zajęty i to również przez międzymiastową. Trzeba było czekać.

Kostrzewa dopiero teraz dojrzał mundury służby leśnej. Odetchnął z ogromną ulgą.

- Jestem oficerem służby śledczej Urzędu Bezpieczeństwa - z trudem zwalczył dygotanie głosu.

- Urząd Bezpieczeństwa?... - w oczach otaczających go ludzi zamigotało

wyraźne niedowierzanie. To było zresztą zupełnie zrozumiałe. Kostrzewa zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że jego obecny wygląd uzasadnia jak najdalej idące

podejrzenia.

- Dokumenty! Potrząsnął bezradnie głową.
- Nie mam. Obrabowano mnie doszczętnie.
- Obrabowano? - suchy uśmiezek podkreślił tym dobitniej ton.

Drugi leśnik ukląkł przy postrzelonym. Podniósł się po chwili.

- Postrzał w nogę, to wszystko. Trzeba go będzie odtransportować do bryczki.

A cóż bandyta?

Podszedł bliżej.

- Mówi, że jest z ube.
- Co?!... A ma jakiś dowód?
- Nie. Twierdzi, że go obrabowano.
- To może powiedzieć każdy. Szczególnie gdy się kogoś przyłapie na usiłowaniu zabójstwa.

- Słusznie - twarda lufa tknęła Kostrzewę w plecy. - Pójdziecie na milicję, tam się wyjaśni.

Kostrzewa trwał uparcie w miejscu.

- Proszę mnie zaprowadzić do najbliższego telefonu.
- Na milicji będziecie mieli telefon.
- Do najbliższego - powtórzył z naciskiem. - Chodzi o tak ważną sprawę, że każda minuta może być decydująca. Cała odpowiedzialność spadnie na was -

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

zakończył twardo.

- Na milicji...

- Żadna milicja - przerwał ostro. - Czyż nie możecie zrozumieć? Chcę się

porozumieć z tutejszym Urzędem Bezpieczeństwa. Do tego potrzebny telefon -

powtarzał z uporem. - Najbliższy, jaki jest. Inaczej nie ruszę się stąd, choćbyście mieli mnie zastrzelić na miejscu.

Dubeltówka wciąż pchała w plecy. Ale jej właściciel zawahał się.

- A co mówi postrzelony?

Ten, który oglądał Bazyluka, wzruszył ramionami.

- Nic nie mówi. Jęczy. Jest tak przerażony, że słowa nie można z niego

wydusić. Ale gęba, prawdę mówiąc, zakazana. Czy to wasze cacko - zwrócił się do

Kostrzewy, podrzucając podjęty z ziemi pistolet.

- Nie. Tamtego. Zdziwił się niepomrotnie.

- Ale przecież to właśnie z niego postrzeliliście go?

- Tak, odebrałem mu.

- Że też sobie pozwolił odebrać - w głosie brzmiało nieukrywane

powątpiewanie. - Taki osiłek! No... no... -. pokręcił głową.

- I co decydujemy? - zapytał pierwszy.

- Hm... diabli wiedzą...I tak źle, i tak niedobrze. Sprawa oczywiście należy do

milicji. Szkoda gadać... I jakie prawo mamy prowadzić go do leśniczówki? Ale jeżeli

mówi prawdę, to też może być źle - tarł z zakłopotaniem podbródek. - Zgadnij, Jezu,

kto cię bije...

Kostrzewa uznał, że musi wyłożyć karty. Inaczej zwłoka może się przeciągnąć

Bóg wie jak długo.

- W tym lesie - zaczął - znajduje się melina zbrodniarzy. Ten - wskazał

Bazyluka - jest jednym z nich. Niewątpliwie wybuchła już tam panika, choćby w

związku z naszą ucieczką i zniknięciem tego gościa. Lada chwila mogą punkt

zlikwidować. I wtedy szukaj wiatru w polu. To są wrogowie narodu, nie zwykłe

rzezimieszki - podkreślił z naciskiem.

Tym razem nie namyślali się zbyt długo.

- Skoro i tak chce dzwonić do ube? - stojący przy Kostrzewie spojrzął na

kolegę. Ten kiwnął z aprobatą głową.

- Słusznie. Ale tego - wskazał na Bazyluka - nie możemy tu pozostawić.

- W żadnym wypadku! - zawołał pośpiesznie Kostrzewa. - Zaraz by im o

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

wszystkim doniósł.

- Na naszej dwukółce nie pomieścimy się. Trzeba będzie wziąć wóz od

Zaciepy.

- Zaciepa to ich wspólnik. Zdziwili się.

- Niemożliwe - powiedział niższy.

- Phy - mruknął drugi. - Po nim wszystkiego można się spodziewać.

- Bardzo łatwo sprawdzić - wtrącił szybko Kostrzewa. - Gdy mu tylko

pokażecie mnie i tego rannego, sprawa wyjaśni się sama i to od razu.

- W porządku. Jeżeli się okaże tak, jak mówicie, to będzie dowód, że i reszta

nie zełgana. Idziemy. Ale - potrząsnął znacząco dubeltówką - tymczasem żadnych

kawałów. Ube czy co innego, nie zawaham się przed spuszczeniem kurka. A w lufie

akurat loftki na wilka. Sami powinniście zrozumieć.

Do domu Zaciepy wszedł Grzmielewski. Drugi leśniczy, Narzyski, pozostał

na dworze pilnując Kostrzewy. Usiłował jakoś zrozumieć, co to wszystko miało

znaczyć, i nie bardzo mu to wychodziło. Oficer ube? Hm... Może i rzeczywiście?

Diabli go wiedzą. Dla niego cała ta sprawa była mocno podejrzana.

Grzmielewski wchodząc do sieni bawił się od niechcenia dubeltówką.

Domniemany ubowiec uprzedził przed samym wejściem, że Zaciepa ma pistolet. Ale wszystko mogło się oczywiście okazać wyssaną z palca bajeczką.

Zaciepa powitał go mrukliwie. To u niego zresztą było normalne.

- O co chodzi?

- Głupstwo - uśmiechnął się. - O małą sąsiedzką przysługę. Musicie mi pożyczyć na małą godzinę waszej bryczki i konia.

Zaciepa pokręcił przecząco głową.

- Teraz nie mogę. Akurat wybieram się do miasta.

To była prawda. Wybierał się do miasta i jeszcze dalej. Ze wszystkim, co warto było zabrać. Nie zamierzał nigdy tu już powrócić. Uważał, że cała sprawa zaczęła zbyt mocno śmierdzieć, by warto dalej ryzykować.

Opór zastanowił Grzmielewskiego. Zazwyczaj nie odmawiał tego rodzaju posług, woląc widocznie nie zadzierać z leśnictwem.

- Jest mi naprawdę konieczna - podkreślił. - Przecież nie za darmo. Zapłacę według taksy i jeszcze dołożę z własnej kieszeni, żebyście nie byli stratni.

- Nie da rady.

- Musicie jednak - Grzmielewski uznał, że czas już przystąpić do ataku. -

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Zatrzymaliśmy tu takich jednych - powiedział z naciskiem.

Błysk w oczach Zaciepy nie uszedł jego uwagi.

- Zatrzymaliście? - burknął. - No to co z tego? Wasza rzecz. A bez bryczki musicie się obejść.

- W takim razie - Grzmielewski wyprostował się, przybierając urzędowy ton -

rekwiruję wam bryczkę na dwie godziny. Zaprzęgajcie konia!

Zaciepa targnął uparcie głową.

- Ani mi się śni. Możecie mnie ukarać mandatem czy czym chcecie. Bryczki nie dam. Sam potrzebuję. Muszę... - krótka chwila wahania -... zawieźć moją starą do szpitala. Chwyciły ją jakieś okropne bóle.

Sprawa zaczęła się wyjaśniać. Przechodząc przez sień Grzmielewski zauważył Zaciepową w drugiej izbie. Krzątała się przy stole. Ani trochę nie wyglądała na chorą, a tym bardziej dotkniętą „okropnymi” bólami. Udał, że ustępuje.

- Jeżeli do szpitala, to inna sprawa. Będziemy musieli sobie poradzić jakoś inaczej - ruszył ku wyjściu. - Aha - zatrzymał się w progu - leśniczy Narzyski ma do was jakiś interes. Nie może wejść, bo pilnuje zatrzymanego.

Wyglądało, jakby dopiero w tej chwili przypomniał sobie o tym.

- Idę - Zaciepa skwapliwie ruszył ku drzwiom. I bez tego zresztą miał zamiar wyrzeć. To było ważne, kogo zatrzymali. No, jasne, że żaden nawet brwią nie poruszy na jego widok. To był elementarz.

Zobaczywszy siedzącego bezwładnie na przyzbie Bazyluka jeszcze zdołał zapanować nad swoją twarzą. Ale gdy dojrzał Kostrzewę, szarpnął się gwałtownie wstecz. Zanim któryś z leśników zdążył się zorientować, w jego rękę zaczerpnął pistolet.

Nie zdążyliby zrobić użytku ze swej broni. Ale Kostrzewa był znacznie szybszy. Od pierwszej chwili nie spuszczał oczu z Zaciepy i starał się ustawić jak najdogodniej. Był z góry przygotowany na coś takiego. Kiedy Zaciepa zrobił ruch w stronę kieszeni, Kostrzewa skoczył. Błyskawiczny ruch japońskiego chwytu i głuche stęknienie wydarło się z gardła Zaciepy. Pistolet wypadł z rozwartych bezsilnie palców.

Kostrzewa pochwycił go w locie. Zaciepa próbował się wyrwać. Znowu stęknął zduszonym głosem i dał spokój. Zabolało, jakby kość wyrywano ze stawów.

Bazyłuk obserwował całą scenę z ponurą rezygnacją.

Kostrzewa pchnął Zaciepę pod ścianę.

- Stać i żadnych kawałów! - zagroził mu jego własnym pistoletem.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Wciąż jeszcze mi nie wierzycie? - zapytał po chwili leśników.

Nie było już o tym mowy. Scena, której byli świadkami, wywarła na obydwóch dostatecznie przekonujące wrażenie.

- Zaciepową! - przypomniał sobie nagle Kostrzewa. - Nie wolno dopuścić, żeby uszła.

- Widziałem ją w tej izbie - wskazał Grzmielewski. Kostrzewa skoczył jak żbik.

Nikt go nie zatrzymywał.

W momencie, gdy wpadał do izby, baba przełaziła już przez okno.

- Stać! Urząd Bezpieczeństwa!

A jakże! Wskoczył czym prędzej na zewnątrz. Przesadził w ślad za nią

parapet. Biegła niezgrabnie, przetaczając się z nogi na nogę. Dopadł ją po kilku krokach i złapał z tyłu za ramiona. Szarpała się jak kocica. Zacieśnił chwyt.

- Przepraszam, ale z tą wycieczką trzeba będzie trochę poczekać.

Grzmielewski raz po raz zacinał konika. Niepotrzebne tu nawet były

ustawiczne ponagłania Kostrzewy. Sam zrozumiał. Zresztą gnębiła go sytuacja

Narzymskiego, który pozostał sam na straży trojga jeńców.

Zeskoczyli w biegu. Grzmielewski rzucił lejce nie patrząc, czy ktoś je łapie.

- Tam telefon - wskazał na wielką drewnianą skrzynię przytwierdzoną do

ściany. - Łączy się przez centralę.

Kostrzewa kręcił korbką.

- Dajcie Urząd Bezpieczeństwa!

Zdawało mu się, że minęła godzina, zanim usłyszał suchy głos:

- Urząd Bezpieczeństwa w Brzostkowie.

- Tu Jerzy Kostrzewa... - rzucił w mikrofon. Chwila ciszy, jakby słuchający był zaskoczony. Wreszcie znowu się odezwał.

-... z gdyńskiego Urzędu Bezpieczeństwa, delegowany do warszawskiego - ścisząc głos podał swój numer rejestru.

Znowu milczenie. Usłyszał szelest pośpiesznie przewracanych kartek.

- Tu porucznik Romejko - oznajmił ten sam głos. - O co chodzi, doktorze?

Kostrzewa odetchnął z ulgą. A więc mieli wszystkie dane. To ogromnie upraszczało sprawę. Przedstawił ją w zwięzłych słowach.

- Chwileczkę... Jaka jest oficjalna nazwa tej polany? - zapytał

Grzmielewskiego.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Na planie numer sto trzydzieści jeden „c” - odpowiedział leśniczy. - Dom nazywają tu „Zielonym”, na dawnej mapie „Grinehaus”.

Kostrzewa powtórzył to wszystko do telefonu.

- Ilu ludzi? - zastanawiał się. - No, do Zaciepy wystarczy trzech... Dwóch ostatecznie. Ale za to na tę polankę przyślijcie, ilu się da. Nie wiadomo, ilu ich tam wewnątrz siedzi. W każdym razie uzbrojeni po zęby. Chodzi o to, by się obyło bez niepotrzebnego rozlewu krwi. Tak... - ciągnął dalej. - Wpadnijcie po drodze do leśnictwa Rogaczów. Obywatel Grzmielewski was poprowadzi. A ja? No, to si

zobaczy - odłożył słuchawkę.

Grzmielewski poszeptał coś przez drzwi.

- Zakąska przygotowana. Czym chata bogata... - zwrócił się do Kostrzewy.

Zakąska? Kostrzewa przełknął ślinę. Na wszystko przyjdzie czas.

- Może potem.

Leśniczy przyjrzał mu się uważnie.

- Potem? A od jak dawna nie jedliście? Kostrzewa przymusił się do uśmiechu.

- Wcale nie tak dawno, jak przypuszczacie. Teraz jedna sprawa: czy nie macie przypadkiem roweru?

Aż się cofnął.

- Nie zamierzacie chyba tam wracać, nie czekając, aż przyjadą z Brzostkowa?

- Przyjdzie się jednak przespacerować - Kostrzewa machinalnym ruchem obciągnął poszarpaną marynarkę.

- Jeden na tyłu?

- Więc cóż z tego? Chodzi przecież tylko o przypilnowanie. Gdyby postanowili nagle zmienić mieszkanie, nie zaszkodzi popatrzeć, w jakim kierunku powędrują. A mogą to uczynić w każdej chwili.

- To... prawda - Grzmielewski potarł czoło - hm... cóż, że trzeba... to fakt.

Ano, w takim razie znajdzie się rower. Nawet dwa - dorzucił po chwili.

- Wystarczy jeden.

- Dwa - powtórzył z naciskiem. - Jeden dla was, drugi dla mnie.

- Nie mam prawa was tam zabierać...

- Ta... ta... ta... Za to ja mam prawo. Mój rewir czy nie, pytam ja kogo -

otworzył szafę. - Nie myślcie, że mam tylko tę dubeltówkę - wyciągnął olbrzymiego

colta i zagładnął w otwory bębenka. - Wybaczcie, ale z taktyki dwóją. Jak można obstawiać obiekt jednoosobowym oddziałem? Dwóch to już co innego. Dwa ognie, Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>) dwie strony i tak dalej.

Kostrzewa też sprawdził pistolet Zaciepy. Magazynek był pełny, kula - w lufie.

Osiem nabojów, to nie było dużo.

- Nie macie przypadkiem nabojów do tego kalibru?

Leśniczy rozłożył ręce gestem pełnym ubolewania.

- Niestety. Tylko ta pukawka - pogładził colta. - Ciężka, bo ciężka, ale do postraszenia jedyna. Wali jak z armaty... - nagle zasępił się. - Ale wiecie, tu taka sprawa...

- O co chodzi?

- No... Zameldowałem, że ją mam. Pamiątka z wojny i tak dalej. Nikt się nie czepia. Ale to nie upoważnia do wynoszenia z domu. I gdyby ktoś zauważył...

Kostrzewa uśmiechnął się mimo woli.

- Razem się jakoś wytłumaczymy. Gorzej z tym, że gdy tamci przyjadą, mogą sami nie trafić.

- Wałek ich poprowadzi. Jeszcze lepiej niż ja. Urodził się w tych lasach.

Kostrzewa więcej nie protestował. Zdawał sobie doskonale sprawę, że udział leśniczego w wyprawie ma w tych okolicznościach wprost bezcenną wartość.

Rowery musieli pozostawić w odległości przeszło pięciu kilometrów od polany. Nie było mowy, by przecisnąć się z nimi przez zarośla.

Po drodze omówili plan akcji.

- Chodzi przede wszystkim o to, żeby nikogo nie wypuszczać z domu.

- A wpuszczać można? Kostrzewa roześmiał się cicho.

- Jak najwięcej. Czym pełniejszy okaże się sak w chwili wyciągania, tym lepiej.

- Hm... powiadacie, nie wypuszczać - zastanawiał się Grzmielewski. - Jeżeli jednak pójdą na przebój... Rozumiem, trzeba im popukać nad głowami. Ale gdyby się nie przestraszyli i parli dalej? Czy wtedy strzelać do nich?

- Oczywiście. Jeśli zaczną na ostro, nie będą z nami robić najmniejszych ceremonii. Tylko pamiętajcie, nawet wtedy starać się trafić w nogi. Wymiarowi sprawiedliwości nic nie przyjdzie z trupów.

- Jasne...

Zgodnie z planem rozdzielili się nie dochodząc do polanki. Grzmielewski powędrował lasem ku przeciwległej stronie polany, by obserwować tyły zabudowań. Kostrzewa przycupnął w zaroślach na wprost bramy. Niedaleko tego miejsca, gdzie obozowali z Wiąkiem.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Czas płynął i nic się nie działo. Za ogrodzeniem poruszały się jakieś sylwetki.

Nie wyglądało, żeby się szykowali do ewakuacji. Za jakąś godzinę, najdalej półtorej, powinny przybyć posiłki z Brzostkowa. Może rzeczywiście do tego czasu nie zajdzie potrzeba interwencji...

Minął kwadrans. Kostrzewa nadstawił uszu. Samochód? Czyżby już

przybywały posiłki? To wyglądało mało prawdopodobnie. Nie, to nie były posiłki.

Mała terenówka podskakiwała pracowicie na korzeniach. Siedział w niej tylko jeden pasażer.

Brama otworzyła się na oścież.

Kostrzewa obserwował poprzez gałęzie. Jakiś ważniejszy gość! Przyjrzał się

widocznemu zamieszaniu, jakie wizyta sprawiła. Sak się zapełnia jakby na specjalne zamówienie.

- Tak - oznajmił z pewną miną Grom. - Wypiórszczak zreferowany dokładnie.

Szef rozpromienił się.

- Świetnie. Przy sposobności otrzyma pan należną premię.

- Teraz właśnie jest doskonała sposobność - Grom nigdy nie lubił czekać na pieniądze.

Żądanie nie zdziwiło zbytnio szefa.

- Niech i tak będzie - sięgnął po portfel i wyciągnął plik banknotów, które odliczał skrupulatnie, śliniąc palce. - Proszę - podsunął pieniądze w kierunku Groma.

Grom uważnie śledził każdy ruch i nie wyciągnął ręki.

- Miało być przecież podwójnie.

- Ach tak, prawda - niechętnie wydobył nowe banknoty. - A co z trupem?

- Co ma być? - strzepnął niedbale palcami. - Schowany.

- Dokładnie?

- W taki gąszcz, że nie znajdą przez rok. Albo do sądnego dnia.

- Tak - szef spojrział na zegarek. - Bazyluk coś długo nie wraca. Trzeba by...

- Spotkałem go w powrotnej drodze - przerwał pośpiesznie Grom.

- I co?

- Mówił mi, że kropnął tego tajniaka.

- Tak, wiem - powiedział obojętnie szef. - Właśnie na odgłos strzału zaniechał

uciążliwej wędrówki na dno parowu...Uważał sprawę za jasną, tym bardziej że ubek żadnej broni nie miał.

Grom z trudem opanował zdumienie. Z jakiego znów palca wyssał tę swoją wiadomość? Bo on również wiedział... widział na własne oczy, zaszyty w krzakach, jak prowadzili rannego Bazyluka pod lufami. I co gorsza, widział również tajniaka, który szedł o własnych siłach. I właśnie te okoliczności skłoniły go do podjęcia nagłej decyzji, którą pragnął za wszelką cenę utrzymać w jak najgłębszej tajemnicy. Jednemu może się uda jakoś wyśliznąć z tego bigosu. A jak ruszy się cała ferajna - wsiąkną wszyscy.

- Wiem - powtórzył szef, zapalając papierosa - ale dlaczego nie wraca?

Powinien tu już być dawno.

- Powiedział mi, że idzie na wieś. Szef spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Na wieś? - powtórzył. - A to po co? Przecież miał wrócić tutaj.

- On chce sobie sprokurować alibi na mur-beton. Ma tam gości, którzy za kielicha i parę groszy będą śpiewać przed każdym sądem, co potrzeba - łągał gładko.

- Uhum... - szef zastanowił się. No cóż, Bazyluk tu pozostawał i wcale to niegłupie, że sobie na wszelki wypadek zabezpiecza tyły. - A kiedy wróci?

- On?... Pewnie przed wieczorem. Tam kawał drogi. Zgarnął banknoty i schował je do kieszeni.

- W porządeczku - miał już po uszy tego śliskiego tematu. - Teraz uderzę sobie w kimono. Strasznie się zmachałem.

Po wyjściu do swego pokoju zamknął starannie drzwi.

Myśl o spaniu oczywiście nawet mu nie powstała w głowie. Teraz każda minuta była droga. Zapуścił rękę w głąb siennika, wyciągając jedną paczkę po drugiej.

Napychał pośpiesznie kieszenie.

Miałby pozostawić ubekom? Przejrzał się w lustrze. Na nic. Od razu by

podpadło. Ten drań, szef, ma oko na takie historie. Trzeba było poukładać inaczej.

Znów stracony czas. Trudno. *Sicher ist sicher...*

Już kładł rękę na klamkę, gdy usłyszał warkot motoru. Aż się skulił. Cholera!

Czyżby się spóźnił?

Po paru minutach sytuacja się wyjaśniła: przyjechał delegat z centrali.

Grom wyszedł z pokoju z bardzo zasną miną i przywitał gościa z entuzjazmem.

„Ależ tu będzie kawardak, gdy przyjdzie co do czego” - pomyślał jednocześnie.

- Pójdę na zwiad - zaproponował - może się kto przypałętał?

Szef przystał od razu.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Słusznie, warto popatrzeć. Delegat z trudem ukrył zaniepokojenie.

- Zdarzają się niepożądane odwiedziny? Szef wzruszył ramionami.

- Cóż... nie jesteśmy przecież na księżycu.

- Spokojna głowa - Grom niedbałym ruchem obciągnął kurtkę.

Zasunął obie ręce do kieszeni. W ten sposób mniej było widać, jak bardzo są wypchane. Podchodząc do bramy spojrzął na zegarek. Miał do dyspozycji jakieś trzy kwadranse.

- Wrócę za małą godzinkę - oznajmił kierując się ku bramie.

Szedł powoli, rozglądając się ostentacyjnie.

Dopóki mogli go dostrzec, musiał zachowywać pozory.

Ledwo minął pierwsze drzewa, w zaroślach coś się poruszyło.

- Stój! Ręce do góry! Urząd Bezpieczeństwa! Przysiadł i rozpaczliwym skokiem wyprysnął z powrotem na polankę.

- Stój! - bezpośrednio po tym huknął strzał. Pędził na przełaj. Może nie zdążyli jeszcze otoczyć ze wszystkich stron?

Nie słyszał za sobą odgłosów pogoni. To mu dodało otuchy.

Już dobiegał przeciwległego skraju polany. Jeszcze tylko kilka susów...

- Stać! - tym razem grzmotnęło jak z armaty. Pocisk zagwizdał wysoko ponad głową.

Cholera! - szarpnął w bok. Są wszędzie? Ten strzał nie był z pistoletu. „Mają karabiny” - pomyślał z przerażeniem.

Sadził na ukos, nisko przygięty ku ziemi. Fakt, że nikt nie wychodził z lasu, zdawał się wskazywać, że nie musiało ich być zbyt wielu.

Może się uda trafić na jakąś lukę.

Grzmielewski strzelił po raz drugi. Ale tamten, zamiast stanąć albo zawrócić ku zabudowaniom, gnał jak szalony w bok. „Ucieknie - obserwował go z rosnącym niepokojem. - I żeby chciał chociaż biec w kierunku tamtego z UB. Ten by wiedział, co robić.”

Jeszcze raz spojrzął i zerwał się gwałtownie. Nie, bratku!

Pobiegł kryjąc się za drzewa, z takim wyrachowaniem, by tamtemu przeciąć drogę, zanim zdąży się zagłębić w las.

W rękach zaciskał lufę dubeltówki. Skoro nie należy zabijać, trzeba ogłuszyć.

Ale na duszy było mu nijako. Bandzior trzymał pistolet w garści. Jeżeli zacznie grać z

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

bliska, może być źle.

Rzucił się na niego w momencie, gdy wbiegał między pierwsze drzewa.

Nagle poczuł, że coś ugryzło go boleśnie w ucho.

- Ja cię, łobuzie... - opuścił z rozmachu kolbę. Urwane stęknienie i ciało mężczyzny w sportowej kurtce runęło na mech, jakby rażone piorunem.

Grzmielewski znowu wznosił dubeltówkę. Nie uderzył jednak.

Przeciwnik leżał bez ruchu.

Nie wierzył własnym oczom. Jakiś podstęp? A może go zabił? Miał ciężką rękę, gdy go poniosło.

Nachylił się nie wypuszczając broni z ręki. Jeżeli udaje, grzotnie go jeszcze raz.

W poszukiwaniu tętna obmacywał z niepokojem napiętek leżącego. To też byłoby niedobrze. Przecież nie miał zamiaru...

Wreszcie ułowił słaby rytm krwi w żyłach. Więc żyje. I chyba mu nic nie będzie? Na głowie nie dojrzał żadnej rany.

Nagle się poderwał, sięgając po rewolwer. Ktoś biegł przez las.

Buum! - basowe echo odbiło od drzew. Kostrzewę aż zatkało. Ależ wali...

Uciekający ostro skręcił. Znowu padł strzał, ale brązowa kurtka śmigła dalej.

Kostrzewa poderwał się, by biec na spotkanie, natychmiast jednak opadł z powrotem na mech. Nie zdąży na czas. Nawet gdyby był w pełnej kondycji. Zresztą gdyby stąd odszedł, cała reszta mogłaby wywiać z meliny.

Powietrzem targnął znowu odgłos strzału.

To nie był strzał z colta leśniczego ani z dubeltówki. Musiał więc strzelać uciekający. Zetknęli się w jakiś sposób?

Potem nastąpiła niepokojąca cisza.

Czemu leśniczy nie strzela?...

Kostrzewa pobiegł jednak w tamtym kierunku. Może został tylko ranny?

- Stać! - lufa wielkokalibrowego rewolweru tknęła niemal w jego pierś.

Stanął osłupiały.

- Uff! - westchnął z wyraźną ulgą Grzmielewski. - To wy. Trzeba było krzyknąć. Niewiele brakowało, bym was poczęstował.

Rozszerzone ze zdumienia oczy Kostrzewy przywarły do rozciągniętej nieruchomo na ziemi postaci. Tego nie oczekiwał.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Zastrzelony? - zapytał po chwili.

- Nie. Po prostu zetknął się z kolbą mej dubeltówki. Kostrzewa sprawdził puls.

- Chyba nieprędko odzyska przytomność. Ale trzeba go związać. To jadowity typ. Ooo - dopiero dojrzał, że leśniczy przyciska do głowy zbroszoną krwią chustkę. -

Zranił was?

Grzmielewski skrzywił się.

- Ucho mi drań odstrzelił. No, może niezupełnie... - pośpiesznie odczepiał ramię od dubeltówki. - Rzeczywiście lepiej związać. Licho go wie...

Nagle urwał.

- Tss! Uwaga!

Delegat centrali zerwał się jak oparzony.

- Strzelają? - gwałtownie pobladł. Szef podbiegł ku oknu.

Jeszcze jeden huk strzału. Tym razem z innej strony... basowy, głęboki. To chyba nie mogło być z pistoletu. I znowu strzał.

- Wsypa! - syknął przez zęby. - Grom widocznie wlaźł na obstawę!

- Zostaliśmy okrażeni?

Szef milczał przez chwilę nasłuchując odgłosów. Wszystkie krew odpłynęła mu

z twarzy.

- Nie wiem. Może nie ze wszystkich stron - ruszył w kierunku drzwi.

Delegat idąc za nim skubał nerwowo brzeg swego płaszcza.

- Ja... nie mogę dostać się w ich ręce...

- Nikt nie może - przeciął ostro szef. - Jak tam z benzyną w pańskim wozie?

- Mam zapasowy bak.

- Tym lepiej - byli już na schodkach. - Jeżeli nie nawali, przeskoczmy.

Podbiegł dziwnie ciężko Czarny.

- Grom wsiąkł.

- Wsiąkł - szef nie tracąc czasu szedł szybkim krokiem w kierunku tyłów ogrodzenia - ale to nie powód, żebyśmy mieli wsiąknąć wszyscy.

Delegat nie mógł zrozumieć, po co tam idą. Teraz chodziło już o każdą minutę.

- Ale przecież brama... - obejrzał się niepewnie.

- Bramę zablokowali przede wszystkim. Tutaj za to... - wsadził rękę w gęstwą żywopłotu, szperał przez chwilę i wyciągnął metalowy uchwyt.

Delegat wytrzeszczył oczy.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Co to takiego?

- Dekoracja - objaśnił krótko. - Szykuj pan wóz. Otworzymy dopiero w ostatniej chwili przed skokiem. Ślepi też nie są.

- Chytrze - delegat powoli nabierał otuchy. - A dokumenty i wszystko?

- Zniszczone - nie miał zamiaru przejmować się głupstwami; w tej chwili chodziło już wyłącznie o własną skórę. - Gotów pan?

Przykuśtykał utykając na nogę Kapel.

- Wiejemy.

Szef podskoczył ku siedzącemu już za kierownicą delegatowi.

- Da się upchać trzech ludzi? - zapytał szeptem.

- Tak, ale wtedy ani mowy o najwyższej szybkości.

- Jasne. - Znowu powrócił pod żywoplot. - Wy zostajecie!

Kapel aż się cofnął.

- Jak to?

- Zwyczajnie - wzruszył ramionami - macie rozharataną nogę, a nam pewno przyjdzie potem niejeden kilometr przelecieć na piechotę. Jedziemy tylko po posiłki.

Musimy przecież uratować dokumenty i broń. Tymczasem trzymajcie tych drani w szachu, żeby nie podłazili. Amunicji starczy na dziesięciu.

- Mam się ostrzeliwać w pojedynkę?

- Więc cóż z tego? Wrócimy najdalej za godzinę. Jeżeli zdołacie powstrzymać ich do tego czasu, pięć tysięcy do ręki. Zrozumiane?

- Tak - Kapel oparł się o pobliskie drzewo - zrozumiane.

- Polewajcie ich gęsto - szef pociągnął za uchwyt doskonale zamaskowanej bramy, która stanęła otworem.

- Jazda!

Samochód ruszył, szef wskoczył już w biegu.

- Teraz gaz!

Palce delegata przesunęły manetkę regulatora.

Ale w tym samym momencie na tle ciemnej linii lasu błysnął ogień. Huk strzału złał się z hukiem pękniętej opony. Samochód zarzucił gwałtownie.

Delegat klnąc dziko szarpał się z kierownicą.

Jeszcze jeden strzał i osiadła druga opona. Kilka kul przecięło powietrze.

Wyskoczyli, przywarli do ziemi.

- Pułapka bez wyjścia - stęknął delegat. Wyszarpnął pistolet i strzelił

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

kilkakrotnie w kierunku zarośli.

- Gdyby ich było dużo, nie siedzieliby za drzewami - mruknął szef.

- Więc? - delegat aż się ku niemu przychylił.

- Musimy walić przebojem.

- Oni nas mają jak na strzelnicy, my nie widzimy żadnego-

- Innego wyjścia nie ma - szef był zdecydowany na wszystko.

- Wystrzelają jak kaczki - delegat wbił wściekłym ruchem nowy magazynek w

rękojeść pistoletu i opróżnił go do ostatniego naboju, pociągając raz po raz za cyngiel.

W odpowiedzi padły tylko trzy strzały.

- Rzeczywiście nie może być ich dużo - nabił na nowo broń.

- I nie mają maszynowej broni - dorzucił szef.

- My też nie mamy - delegat nie spuszczał oczu z milczących teraz krzaków.

- Owszem. Tylko trzeba po nią wrócić.

Odczołgali się szybko z powrotem. To była kwestia zaledwie kilkunastu

metrów.

- Kapel! - wrzasnął szef.

Kapel się jednak nie zjawiał. Szef pobiegł do dozorcówki, gdzie znajdowała się

skrytka z bronią. Kapel leżał na brudnej pościeli w ubraniu i butach.

- Dlaczegoście nie strzelali?! - ryknął na niego. - Niesubordynacja?...

- Bo nie podchodzili - nawet się nie poruszył.

- Dużoście mogli stąd widzieć - uspokoił się nagle. Napychał kieszenie długimi

magazynekami do pistoletów maszynowych. - A wasz rozpylacz gdzie?

- Pod łóżkiem...

- Brać i jazda z nami!

- Gdzie mi tam... ledwo łażę...

- No?! - zaświecił mu w oczy lufą pistoletu. - Musimy się przebić i czym więcej rozpylaczy w akcji, tym lepiej. Prędejj, do jasnej cholery! - wiercił go wściekłym spojrzeniem.

- Już idę... - Kapel zaczął się zwlekać z pościeli z zabójczą powolnością.

Za ścianą gruchnął strzał, potem jeszcze parę. Szef nie wytrzymał.

- Macie być przy tamtej bramie najdalej za trzy minuty, bo inaczej będzie źle - już biegł ku drzwiom.

- Będę...

Ale zaraz po jego wyjściu opadł z powrotem na łóżko. Jeszcze czego. Maszyna

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

już leżała na dnie gnojówki. A on sam. Cóż... nie powieszają przecież za to, że był tu parobkiem.

- Kto strzelał? - szef kryjąc się za żywoplotem dopadł bramy.

- Ja - delegat manipulował przy swoim pistolecie. - Chcieli zrobić wypad, ale ich przygasilem.

- Cholera - stęknął Czarny sięgając po podawany przez szefa pistolet maszynowy - chyba wykituję po drodze. A gdzie Kapel?

- Zaraz przyjdzie. Zna pan ten typ? - podawał pistolet delegatowi.

Ten wydał wargi.

- Ja bym nie znał. Grzejemy?

- Trzeba przeczesać dłuższy odcinek - nacisnął spust, przesuwając lufę

półkolem. Niemal natychmiast zaterkotały pozostałe peemy. Jedna seria. Druga.

Trzecia. Widać było, jak lecą na wszystkie strony strącone z drzew gałęzie i liście. Z lasu nie odpowiadało.

Wbili nowe magazynki.

- Rwiemy tam! - szef wskazał ręką tę stronę polany, skąd nie padł żaden strzał

- i solić w nich przez cały czas, żeby żaden nie próbował nosa wyściubić.

Poderwali się do biegu. Trzask serii nie ustawał ani na moment.

- Rozsuwane ogrodzenie? - mruknął ze zdumieniem leśniczy.

- Tak - Kostrzewa przypomniał sobie uwagę Wiącka. To było do przewidzenia.

Musieli mieć coś takiego na wypadek alarmu.

Spoza żywopłotu dobiegło ciche sapanie motoru.

- Samochód! - Kostrzewa zaklął gniewnie.

- Damy sobie radę - Grzmielewski oparł colta na zgiętej ręce. Pociągnął za

cyngiel, ledwo samochód ukazał się w otworze. Raz... i jeszcze raz...

- Siedzą! - krzyknął z radością. Istotnie, samochód zatoczył się i stanął.

Kostrzewa strzelił parę razy, licząc za każdym pociągnięciem cyngla.

- Z amunicją marnie - westchnął.

- A niebogato - Grzmielewski złamał dubeltówkę, wkładając naboje. - Teraz i to się przyda.

- Ale czego nasi nie przyjeżdżają, u licha? Myślą, że potrafimy trzymać w szachu do wieczora całą tę grandę?

Kostrzewa nie odpowiedział. Zastanawiał się, jaki właściwie cel mógł mieć odwrót bandytów do meliny? Na co liczyli? Że będą ostrzeliwać się do sądneho dnia?

Coś w tym musiało być.

Podniósł się, by lepiej zobaczyć, co się dzieje w okolicy bramy.

Ale niemal w tej samej chwili rój kul zmusił go do przypadnięcia z powrotem ku ziemi. Potem zapadła trwająca długą chwilę cisza.

- Co te łobuzy kombinują? - Grzmielewski był też zaniepokojony nie na żarty. -

Czy aby nie mają podobnego wyjścia z przeciwnej strony?

Kostrzewa potrząsnął głową.

- Nie sądzę, po co w takim razie siedzieliby przy tym? Nagle zaterkotał pistolet maszynowy. Rozpętało się istne piekło.

Kostrzewa odciągnął Grzmielewskiego za gruby pień.

- Trzeba jakoś przeczekać tę nawałnicę. Tam zrobiło się zbyt gorąco.

Jednak po upływie paru minut zauważył, że pociski zaczęły zmieniać kąt padania, i wbrew swym słowom podczołgał się z powrotem na skraj lasu.

- Uciekają! - krzyknął tak głośno, że Grzmielewski dosłyszał pomimo nieprzerwanej kanonady i kilkoma rzutami ciała znalazł się tuż przy nim.

- Żeby to wszyscy diabli! - zaklął na widok biegnących zygzakami sylwetek. -

Otworzyli ogień zaporowy i... - wysunął przed siebie dubeltówkę - no, ja im...

Strzelił.

- Pudło! - stęknął.

Kostrzewa, opierając łokieć o ziemię, wodził muszką za znajomą sylwetką.

Łysy mężczyzna, który z nimi rozmawiał przed kilkoma dniami, „szef”, jak o nim mówił Wypiór.

Pociągnął za cyngiel. Jedna z postaci potknęła się i upadła.

- Trafiliście - usłyszał tuż przy uchu gorący szept Grzmielewskiego.

- Nie. Wcale nie do niego celowałem.

- Przypadkowo?

- Wykluczone. Nie wiem, dlaczego upadł. Teraz celował dłużej.

Gdy strzelił, szef zachwiał się i wypuścił z rąk maszynowy pistolet. Ale nie upadł. Wyciągnął z kieszeni rewolwer i strzelał z niego raz po raz.

Mężczyzna w skórzanej kurtce sadił tuż za nim, bijąc krótkimi seriami. Już chyba po raz trzeci zmieniał w biegu magazynek. Musiał ich mieć obfity zapas.

Kostrzewa dwukrotnie usiłował się poderwać z ziemi i dwukrotnie żelazne

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

ramię Grzmielewskiego przygniotło go z powrotem do mchu.

- Oszaleliście? Toż to pewna śmierć!

Bandyci już prawie dobiegali do pierwszych drzew lasu. Jeszcze kilkanaście kroków i znikną w gęstwinie.

Kostrzewa odepchnął rękę Grzmielewskiego i skoczył...

Nagle strzały ucichły jak nożem uciął. Na polanę wypadło ze wszystkich stron kilkunastu ludzi w zielonych mundurach.

- Rzuć broń! Ręce do góry!

Korzystając z momentu osłupienia dopadli uciekających, w mgnieniu oka wyłuskali z ich rąk pistolety i obezwładnili, zanim któryś zdążył pomyśleć o stawianiu oporu.

Leżący na ziemi mężczyzna stracił przytomność w momencie, gdy do niego podeszli. Po usunięciu brudnego bandaża z jego lewego przedramienia Kostrzewa

stwierdził ranę postrzałową, pochodzącą sprzed kilku dni, i daleko posuniętą zgorzel.

Stan był poważny, wymagający natychmiastowej operacji. Przeniesiono go do samochodu.

Kostrzewa wstał i otarł rękawem czoło. W tej chwili nie był zdolny do niczego.

- Delegacja, pismo ministerstwa, dowód osobisty, legitymacja służbowa -

Koreywo rozkładał metodycznie na biurku dokumenty.

Zoja oglądała każdy ze skupioną uwagą. Zastanowił ją wygląd dowodu osobistego i legitymacji.

- Przerobione? - spojrzała pytająco na Koreywę. Ten roześmiał się.

- Nie. Ale doświadczeni specjaliści starają się dodać tego rodzaju, hm...

działom sztuki nieco patyny. Lśniące zbytnią nowością z reguły zwracają większą uwagę. Przeczytała pani te broszury? - zapytał po chwili.

- Przeczytałam - potwierdziła z westchnieniem. Broszury były techniczne i wgłębianie się w ich treść stanowiło dla niej istną mękę. Pomimo popularnego ujęcia tematu niewiele zrozumiała. Studia techniczne stanowczo przekraczały jej możliwości.

- Nie poszły do głowy? - spojrzał z ukosa na jej wymowną minę.

- Niestety - uśmiechnęła się ze skruchą - w każdym razie nie bardzo.

- Ale te podkreślone ustępy?

- Owszem, nauczyłam się ich na pamięć, ale niewiele z tego rozumiałam.

- No cóż - zabębnił palcami po blacie biurka. - W ostateczności inspektor

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

ministerstwa może być małomówny i niekoniecznie musi się wdawać w techniczne dyskusje. Wystarczy, jeżeli z mądrą miną będzie słuchać, patrzeć i notować. Sądzę, że powinno wszystko pójść gładko. Bo jeżeli inspektorem jest taka kobieta... A tam

będzie pani miała do czynienia z mężczyznami.

Na biurku dyrektora naczelnego Bierka zaterkotał telefon.

„Już się zaczyna” - pomyślał ze złością. Wyciągnął niechętnie rękę. Czy można w takich warunkach pracować?

- Tu inżynier Więclawski - zabrzmiało w słuchawce. Bierek w pierwszej chwili nie dosłyszał nazwiska.

- Kto taki? - zapytał niecierpliwie. Ale ton jego zmienił się natychmiast, gdy powtórzono nazwisko. To była Warszawa. Dzwonił dyrektor departamentu, któremu bezpośrednio podlegały zakłady.

- Tu Bierek - zameldował się skwapliwie. - Słucham.

- Otóż, dyrektorze... - musiał porządnie natężyć słuch, głos w słuchawce był bardzo niewyraźny -...zawita tam do was wkrótce nasz inspektor Wasiak.

- Hm... tak - odchrząknął - bardzo się z tego... cieszymy. Od dawna zresztą oczekiwaliśmy wizyty kogoś z departamentu - mrugnął porozumiewawczo do siedzącego po drugiej stronie biurka naczelnego inżyniera. - Kiedy ten inspektor przyjeżdża?

- „Przyjeżdża?” Ale co wy, dyrektorze. Czyżbym uprzedzał o takiej rzeczy? To sprzeciwiałoby się wszelkim zasadom. Już tam jest i będziecie go mieli lada chwila. Dzwonię po to, żebyście mu ułatwili wszystko, co leży w waszej mocy... Obywatel minister specjalnie nalegał na dokładność sprawozdania. Wiecie sami, jaki on jest pod tym względem. A w razie czego wszystko skrupi się na mnie. Więc bardzo was proszę...

- Oczywiście że tak, dyrektorze. Jasne...

Zamienili jeszcze parę słów i Bierek odłożył słuchawkę.

- Też sobie wybrali odpowiedni moment na tego inspektora - sarknął gniewnie.

- Wszystko u nas w proszku.

Naczelnny inżynier Drwęga zapalił papierosa.

- Cokolwiek przesadzacie. Pewne niedociągnięcia wszędzie się zdarzają. W departamencie doskonale o tym wiedzą. Ale jeżeli chodzi o czas, to rzeczywiście - wzruszył ramionami. - Powinni urządzić takie historie na początku miesiąca, a nie na

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

koniec, gdy wszystkim głowa pęka, jakby podgonić plan...

Znowu rozległ się jazgotliwy dźwięk dzwonka. Meldował się sekretariat.

- Inspektor Wasiak z ministerstwa.

- Tak - ożywił się Bierek - oczywiście prosić. Już go mamy - westchnął.

Rozległo się pukanie. Mimo woli obaj poprawili krawaty. Obite ceratowym materacem drzwi odchyliły się powoli.

- Inspektor Wasiak z departamentu nadzoru - zameldował głos sekretarki.

Szczupła sylwetka w czarnym kostiumie stanęła na progu. Osłupieli.

- Inspektor Wasiak? - dyrektor Bierek powstał z fotela.

- Tak - wyciągnęła rękę obciążoną w zamszową rękawiczkę. - Mam

przyjemność z dyrektorem naczelnym Bierkiem? Oto moje dokumenty - sięgnęła do torebki wydobywając papiery opatrzone czerwonymi odciskami pieczęci. Położyła je powściągliwym ruchem na biurku.

Bierek uścisnął wąską dłoń.

- Bardzo mi przyjemnie... Czekaliśmy na was... - wciąż jeszcze nie potrafił opanować zdumienia, wywołanego nieoczekiwanym wcieleniem inspektora departamentu nadzoru.

Przyjrzał się jej nieznacznie. Czarny kostium uwydatniał zgrabne kształty smukłej sylwetki. Ciemny kapelusz, przylegający ściśle do głowy, odcinał się kontrastowo od prawie białej barwy włosów.

„No, żeby wszyscy ministerialni inspektorzy wyglądali w ten sposób, życie wcale nie byłoby takie przykre” - skostatował w duchu.

- Pani... to jest... towarzyska inspektor pozwoli, że przedstawię naszego naczelnego inżyniera.

Drwęga skłonił się dość sztywno.

Niemal po męsku odpowiedziała na jego uścisk dłoni.

- Dużo o was słyszałam, inżynierze, chociaż niezbyt dawno jestem w ministerstwie.

Drwęga pokraśniał z zadowolenia. Był bardzo ambitny. Przyglądał się jej nieznacznie. Kobieta ef-ef, nie ma co. Kostium od pierwszorzędnego krawca i w ogóle wszystko na miejscu. Wzrok zatrzymał się na broszce, spinającej kołnierz jedwabnej bluzki. Duża róża z misternie wyczelowanymi płatkami koloru starego złota. Wśród nich grający błyskami światła kryształ sporych rozmiarów. Może zresztą diament albo coś w tym rodzaju? Nie znał się na tym. Odwrócił oczy, żeby nie wydać się natrętnym.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Zajęła wskazany przez Bierka fotel. Założyła swobodnym ruchem nogę na nogę. Przyjęła zaofiarowanego przez Bierka papierosa. Zapaliła.

Drwęga rzucał ukradkowe spojrzenia. Ależ nóżki... No... no...

Z kuszących ust popłynęły urzędowe, oschłe słowa.

- Obywatel minister polecił mi rozejrzeć się, jak można najdokładniej. Bo tu u was podobno nie wszystko zgadza, się z harmonogramami. I w ogóle obywatel

minister bardzo jest zaniepokojony, szczególnie że prasa... - urwała. - Sądzę, że koledzy dopomogą mi w mojej pracy... Obywatel minister niepokoi się i dlatego - dodała po chwili - że z dokumentacją techniczną podobno coś nie w porządku.

Drwęga w jednej chwili przestał widzieć obciążone w delikatną tkaninę nylonowej pończochy modelowe kolanka. Bierek zeszywniał, odrzucając się na oparcie swego fotela.

Drwęga odchrząknął.

- Dokumentacja? Tak... - zająknął się. - Mamy pewne trudności w biurze projektów... Ale w rezultacie wcale nie jest tak źle.

- Nie jest tak źle - powtórzył dyrektor Bierek. Z twarzy jego zniknął ostatni cień uśmiechu.

Inspektor Wasiak nie patrzyła na nich w tym momencie. Zoja zdawała sobie sprawę, że posuwa się po niezmiernie wąskim ostrzu, zawieszonym nad przepaścią. Wystarczy jeden fałszywy krok i spadnie. Należało zachować najdalej posuniętą ostrożność.

Oprowadzali inspektora po fabryce. Po halach, gdzie już turkotały maszyny, i po tych, które dopiero były w budowie. Inspektor była niezmiernie małomówna.

Wysłuchiwała objaśnień z nieprzeniknionym wyrazem twarzy i od czasu do czasu otwierała notes, w którym wyrastały coraz to nowe rzędy nieczytelnych hieroglifów.

Przypatrywali się spod oka: dopiero nas obsmaruje.

Potem przyszła kolej na nieszczęsną dokumentację techniczną, która wzbudziła niepokój samego ministra.

Sucho szeleściły rozkładane na rysunkowych pulpitach wielkie arkusze technicznej kalki.

Nachylili nad planami głowy.

- To są oddziały w ruchu - Drwęga początkowo wodził palcem, potem uznawszy, że to nie wypada, użył przy dalszych objaśnieniach tępego końca ołówka. -

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Hala obrabiarek... - należało przyznać, że był bardzo dokładny w swym wykładzie.

Inspektor raz po raz nachylała się nisko nad planami. Widocznie pewne fragmenty interesowały ją specjalnie.

Soczewka mikroaparatu, ukryta w listkach złotej róży, celowała w poszczególne odcinki planów. Wystarczyło przesunąć nieznacznie ręką po kostiumie, by uruchomić blendę. Pstryknięcie sprężyny było niedosłyszalne.

To trwało długo. Biura już dawno wymarły, a oni wciąż siedzieli nad planami.

Liczyła w myśli liczbę zdjęć. W centrali nie będą mieli powodu do narzekań. W pewnym momencie stwierdziła z niezadowoleniem, że ostatnia klatka mikrofilmu została wyświetlona. A sporo jeszcze należałoby odfotografować. Właściwie, zastanowiła się, dlaczego inspekcja miałaby trwać tylko jeden dzień? Im więcej zdobędzie materiałów, tym głębiej będą musieli sięgać do kieszeni. Spojrzała na zegarek.

- Och - udała przerażenie - ależ was zatrzymałam, koledzy. Na dzisiaj już dosyć. I bardzo mi przykro, że aż tak długo... - uśmiechnęła się.

Dyrektor i naczelnny inżynier ożywili się z miejsca. Jednak kobieta z krwi i kości. Była teraz zupełnie odmieniona. Urzędowa oschłość spełzła z niej niczym szpecąca maska. Widocznie doszła do wniosku, że nie obowiązuje po godzinach urzędowania.

- Muszę teraz iść coś zjeść - wstała z krzesła. - Tak się tu u was rozpędziłam -

znowu czarujący uśmiech - że nawet o obiedzie zapomniałam.

Dyrektor Bierek zdobył się na odwagę.

- Gdyby pani... gdyby koleżanka... - jękał się jak sztubak... - pozwoliła, żeby razem... to znaczy w naszym towarzystwie...

- Ależ oczywiście. Bardzo chętnie, tylko... - zawahała się -... zastanawiam się, czy to wypada. Zaraz powstałyby plotki. Mogłyby dotrzeć do ministerstwa. Ludzie lubią we wszystkim dopatrywać się zaraz czegoś niewłaściwego.

- Hm... - odchrząknął niepewnie Drwęga - „Europejska”? Słynie z dyskrecji. A poza tym można zjeść kolacyjkę w zupełnym spokoju. Mają tam bardzo miły gabinet.

- „Europejska”? - powtórzyła udając zaskoczenie. - Co za dziwny zbieg okoliczności. Właśnie tam się zatrzymałam.

- Palec losu! - oznajmił patetycznie Drwęga.

- Skoro los... - Zoja obdarowała równie obiecującym spojrzeniem dyrektora i

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)
naczelnego inżyniera.

*

Linia telefoniczna pomiędzy Brzostkowem a Warszawą od dawna już nie miała tak ożywionego ruchu. Tyle spraw trzeba było omówić z pułkownikiem Kociubą.

Czarnego przeniesiono od razu z samochodu na stół operacyjny. Operacja się udała. Po kilku godzinach można było przystąpić do przesłuchania. Na początku próbował wszystkiemu zaprzeczać. Potem długo kołował. Dopiero gdy stwierdził, że przesłuchujący go Kostrzewa wie znacznie więcej, niż tego oczekiwał, zaczął mówić.

- Owszem, Wypiór mógł mnie widzieć, gdy wychodziłem wtedy z bramy.

Zgadza się. Byłem na schodach. Ale tylko tam. Nigdzie więcej. Do mieszkania Lebiody nawet nie zajrzałem. To nie była moja sprawa.

- A kto zamordował Lebiodę?

- Nie wiem, nie byłem przy tym.

- Kto wszedł wtedy do mieszkania? Długo trwało, zanim odpowiedział.

- Dwóch takich.

- Jakich?

- Nie znam ich nazwisk.

- Należeli do waszej bandy? Czarny przymknął oczy.

- Taki jestem zmęczony... Może jutro... Kostrzewa jednak nie miał zamiaru czekać.

W tego rodzaju sprawie nie wolno bawić się w delikatności. Nie wierzył, by ujęci w „Zielonym Domu” stanowili całość bandy.

- Więc nie powiecie? Czarny milczał.

Kostrzewa zmarszczył niecierpliwie brwi.

- W takim razie należy przypuszczać, że wy jesteście mordercą - powiedział ostro.

- Ja? - przestraszył się nie na żarty. - Przecież nawet nie przestąpiłem progu.

- Byliście na tych schodach. Skoro więc próbujecie wmawiać, że morderstwa dokonał ktoś, kogo nie możecie zidentyfikować... - urwał znacząco.

Teraz Czarny skapitulował.

- Do mieszkania weszli Grom i Doktor. Na Lebiodę był wyrok.

- Grom?

- Tak. To ten, co wlaźł pierwszy do lasu. Macie go przecież. Nie wiem, jak się

nazywa naprawdę. U nas się nie praktykowało, by świecić prawdziwymi nazwiskami.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- A Doktor?

- Też pseudo.

- Jak wygląda?

- Wysoki, siwy, już niemłody. W takich wypukłych okularach. Bardzo elegancki gość. U nas, w komórce, miał jakąś ważną funkcję.

- Jaką?

Wzruszył ramionami.

- Tego nie wiem. Nie było w zwyczaju dopytywać się o takie rzeczy. Zresztą niezbyt bezpiecznie. Ja tam nie próbowałem. To właśnie on wtedy tego tajniaka utrupił samochodem.

- Hm... Wszedł razem z wami do bramy?

- Nie. W ogóle nie wychodziliśmy razem. Ja wybiegłem pierwszy, by zobaczyć, czy wszystko w porządku. Bo na tego gnojka Dandego nie bardzo było co liczyć. I wtedy właśnie napatoczył się Wypiór. Dopiero jak stwierdziłem, że powietrze czyste, gwizdnąłem, by zszedł Grom. On przecież był najbardziej narażony. A ja, cóż... Za stanie na świecy jeszcze nie wieszają. Doktor wtedy poszedł na górę.

- Po co?

- Nie wiem. Mieszkał tam gdzieś czy miał jakichś znajomków. Może po prostu chciał przeczekać na którymś z wyższych pięter. Nie wiem - powtórzył - poszedł i już. Tak było zresztą z góry ustalone.

Kostrzewą obracał w zamyśleniu pióro. Wszystko znowu pasowało dokładnie do Białkowskiego. A przecież wyjeżdżając z Warszawy był najgłębiej przekonany, że

jego osoba została ostatecznie wyeliminowana z tej sprawy. Co za przekłety

galimatias!

- Wspomnieliście coś o wyroku na Lebiodę. Kto ten wyrok wydawał?

- Centrala.

- Co to jest centrala?

- Nno... góra, kierownictwo. Nie miałem z nią nigdy do czynienia. Nie wiem ani kto, ani gdzie. Wszystkie jej rozkazy docierały do nas przez szefa.

- Ten łysy?

- Tak... Zresztą... - Czarny był gotów w tej chwili na wszystko, aby go

wreszcie pozostawili w spokoju -... macie przecież tego w skórzanej kurtce. On będzie najlepiej wiedział. To ich delegat. Ja... już nie mogę... - głowa opadła ciężko na poduszki.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Ale i Kostrzewa nie miał zamiaru przedłużać badania.

Delegat? To było bardzo ważne. Kostrzewa postanowił go niezwłocznie przesłuchać. Nie doszło jednak do tego. Gdy przyszli do niego do celi, leżał martwy na podłodze.

Kostrzewa przybiegł natychmiast. Z ust zmarłego wydobywał się ledwo wyczuwalny zapach gorzkich migdałów. Nie mogło być żadnych wątpliwości: cyjanek potasu. Ale w jaki sposób zdołał go przemycić? Przed zamknięciem w celi poddano go drobiazgowej rewizji osobistej.

- W ustach - domyślił się porucznik Romejko. - To moja wina, że nie kazałem tego sprawdzić - był przybity. Tak ważna nić zrywała się z jego winy.

Kostrzewa badał drobne odłamki cienkiego szkła - resztki ampułki.

- W ustach? - przecierał w zamyśleniu soczewkę silnej lupy. Miał na ten temat swoje zdanie. Zatrzymał je jednak tymczasem przy sobie. Wolałby zresztą, by okazało się błędne.

Grom zaciął się w ponurej determinacji „Nie wiem, nie pamiętam” - to były jedyne słowa, które udało się z niego wydobyć.

Szef dla odmiany był dosyć rozmowny. Początkowo próbował taktyki omijań i przemilczeń. Jednak gdy mu Kostrzewa odczytał odpowiednie ustępy zeznań Czarnego i dodał garść informacji, zdobytych od Wypiorą, zrezygnował z tej taktyki.

- Tak, byłem kierownikiem tej... komórki. Trudno zaprzeczyć, że działalność jej można by nazwać bojową... no powiedzmy nawet... hm... terrorystyczną. Ale moja rola była bardzo ograniczona. Polegała jedynie na przekazywaniu poleceń centrali. No tak... do pewnego stopnia również na przypilnowaniu ich wykonania. Likwidacja redaktora Lebiody? Tak, to również zostało ułożone przez centralę. Ona też wyznaczała wykonawców. Ja nie miałem żadnego wpływu na przebieg tej akcji. Cóż, funkcje raczej wyłącznie natury, powiedzmy, administracyjnej. Wypłacanie wynagrodzeń ludziom. Premie. Za co płacono te premie? Nnoo... Mnie to nie interesowało bliżej. Centrala przysyłała wykaz, ja wypłacałem podług niego... Słowo „centrala” powtarzało się we wszystkich zeznaniach bardzo często i w najrozmaitszych odmianach. Zwłaszcza gdy pytanie trafiało w jakąś bardziej istotną kwestię.

- Wyrok na Lebiodę? Owszem, był taki. Może go wydała centrala, może wydano wyżej. Jakaś jednostka jest nadrzędna nad centralą? Nie, tego nie wiem. U nas nie znano schematu organizacyjnego. Motywy wyroku? Owszem, podano. Działalność

publicystyczna Lebiody. W czasopiśmie, w radio... Była niezgodna z linią polityczną, reprezentowaną przez centralę. Więcej nawet: przynosiła tej linii trudną do powetowania szkodę. Jaka jest linia polityczna centrali? Na to pytanie trudno odpowiedzieć w paru słowach. Wyzwolenie spod... - przełknął jakieś słowo... - No, cóż... Oczywiście, przeciwna polityce reżimu, to jest... przepraszam, chciałem powiedzieć: rządowej. To samo przez się zrozumiałe.

Jeżeli zaś chodzi o szczegóły... Na naszym szczeblu nie mieliśmy okazji wdawać się w filozofowanie na tematy polityczne. Wykonawstwo rzadko idzie w parze z teoretyzowaniem. Czy uważam popełnianie morderstw za akcję polityczną? To, jak już powiedziałem, nie zależało ode mnie. Czy centrala miała kontakty z zagranicą, tego nie wiem.

Nie byłem wtajemniczony w jej sprawy. Bardzo możliwe, że miała...

Gdy jednak padły bardziej konkretne pytania na temat centrali - umilkł.

- Bardzo przepraszam. Nie jestem na to przygotowany. Muszę sobie przemyśleć.

Ale oczywiście Kostrzewa nie dał mu do tego sposobności. Pytania sypały się jedno po drugim. Dopiero dobrze po północy, gdy zarówno Kostrzewa, jak i on byli zmęczeni, zaczął mięknąć i w końcu powiedział chropowatym głosem:

- Centrala mieści się tu i tu. Reprezentuje ją niejaki Alfred Koreywo. Tak, to prawdziwe nazwisko. Pseudonim organizacyjny: „Domrzalski”. Kto poza tym jest w centrali, tego nie wiem. Stykałem się wyłącznie z Koreywą.

Kostrzewa przerwał przesłuchanie i zamówił błyskawiczną rozmowę z Warszawą. Tu być może chodziło o minuty. Jeżeli w ogóle nie było jeszcze za późno. Rozmowa, chociaż przeprowadzona szyfrem, trwała krótko. Na zakończenie

Kostrzewa oświadczył:

- Moim zdaniem należy akcję przeprowadzić natychmiast, nie czekając na wyniki dodatkowych obserwacji. Wiadomość o Borkowskim lesie dotrze tam w najbliższym czasie, jeżeli dotychczas nie dotarła. A to może być powodem jakichś ostatecznych posunięć z tamtej strony.

- Dobrze. Zawiadomię was o wyniku. Kostrzewa powrócił do przesłuchiwania.

Szef kiwał się na krzeselku. Raz po raz popijał wodę, skwapliwie sięgał po podsuwane przez Kostrzewę papierosy i coraz częściej utykał w dotychczas tak gładkich zeznaniach.

- Tak, wykonanie wyroku... to jest polecenie centrali w sprawie zabójstwa...

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

chciałem powiedzieć: zamordowania Lebiody, zostało wydane Gromowi i Doktorowi.

Grom nazywa się Kurasiński... Ten sam, którego pierwszego zatrzymano na polanie.

Doktor zaś... - szef w tym momencie sięgnął po szklanekę i długo pił wodę. Oczy jego nabrały jakiegoś dziwnego wyrazu. Kostrzewa zdążył to zauważyć i zanotować w pamięci.

- No, i co z tym Doktorem?

Zamiast odpowiedzieć, znowu sięgnął po szklanekę.

- To człowiek centrali - oznajmił wreszcie. - Nie znam jego prawdziwego nazwiska ani adresu. Wysoki? Raczej niespecjalnie. Średniego wzrostu. Elegancki? Rzecz zapatrywania. Porządnie ubrany. Szpakowaty? O tak, mocno. Ma i nosi okulary o wypukłych szklach.

Kostrzewa zastanawiał się nad każdym słowem szefa. Jedne cechy wyraźnie próbuje zbagatelizować, inne podkreśla. To musiało chyba mieć jakieś znaczenie, ale

jakie?...

Przystąpił do dalszych pytań, nie dając mu się opamiętać.

Szef połykał raz po raz ślinę.

- Miał swój samochód. Taki niezbyt duży. Jak wyglądał? Czy ja wiem?

Samochód jak samochód. Nigdy mu się specjalnie nie przyglądałem. Chyba popielaty...

Ale może i zielonkawy? Nie wiem, jakiej marki. Nie znam się na samochodach.

Jeszcze przed wieczorem zgłosiła się Warszawa. Telefonował Kociuba. Od razu pierwsze słowa zelektryzowały Kostrzewę. Tu już właściwie nie miał nic do roboty. A tam się coś działo...

Z miejsca poszedł do porucznika Romejki.

- Możecie mi dać samochód do Warszawy?

- Zrobi się.

- Tylko, wicie, chodzi mi o jak najszybszy. Romejko przymrużył porozumiewawczo oko.

- Tam kipi?

- Jeszcze jak.

Gdy zajmował miejsce w samochodzie, poczęstował kierowcę papierosem.

- Będziecie musieli, towarzyszu, wycisnąć z motoru jak największą szybkość.

- Najwyższą dozwoloną.

- Wręcz przeciwnie...

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Rozumiem. Ale w razie rozmówki z patrolem drogowym całą odpowiedzialność bierzecie na siebie?

- Jasne.

Obyło się jednak bez protokołów.

Koreywo na widok wchodzących funkcjonariuszy bezpieczeństwa sięgnął po pistolet. Zdążył go wydobyć, nie zdążył jednak zrobić użytku. Okazali się szybsi. Broń znalazła się w rękach niespodziewanych gości. On sam został obezwładniony.

- Tylko bez sztuczek! - uprzedził groźnie Suski, który kierował akcją. - To się nie opłaci.

Z tą chwilą Koreywo zupełnie osowiał.

- Niczego się ode mnie nie dowiedziecie.

Ale oczy jego patrzyły niepewnie. Nie był widocznie całkowicie pewien odporności swej psychiki.

Odwieziono go do urzędu pod silną eskortą.

W mieszkaniu Koreywy nie zastano nikogo więcej. Jakiś mężczyzna wprawdzie przemykał się w mocno podejrzany sposób przez bramę. Wyglądało, że wyszedł właśnie z tego mieszkania. Ale pewności nie mieli. Próbowano go zatrzymać, wylegitymował się jednak paszportem dyplomatycznym. Teraz już byli przekonani co do słuszności swych podejrzeń. Brakowało jednak dowodów.

Przeprowadzono skrupulatną rewizję całego mieszkania. Pewne szczegóły świadczyły, że zamieszkiwała tu również kobieta. Sądząc z przyborów toaletowych i ze zdumiewającej wprost różnorodności zagranicznych kosmetyków, musiała niezwykle dbać o swoją powierzchowność.

Dozorca potwierdził fakt jej zamieszkania.

- Zgadza się. Przed paroma dniami przyjechała z prowincji młodsza siostra pana Koreywy.

Zapytany jednak o rysopis dawał nader niejasne wyjaśnienia: - Nno... młoda,

elegancka... Czy ja wiem, jak poza tym wyglądała?

Suski popatrzył na niego przymrużonymi oczyma.

- Nie bardzo jakoś interesuje was, kto zamieszkuje w domu?

Zmieszał się.

- Człowiek ma tyle roboty, że ledwo zipie. A to przecież dopiero od kilku dni.

Suski potrząsnął głową. Przedtem było „parę”, teraz zrobiło się nagle kilka. W

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

ogóle zachowanie dozorczy wyglądało mocno dwuznacznie. Tymczasem polecił go

wziąć pod obserwację. Potem zobaczy się, jak wypadnie postąpić dalej.

Rewizja dała niespodziewanie obfite wyniki. Odnajdywano jedną skrytkę po

drugiej. Niektóre zamaskowane w bardzo pomysłowy sposób. Ale cóż może się ostać

przed fachowcami, którzy opukują cal po calu ściany i wszystkie sprzęty?

Z bufetu wyciągnięto metalową skrytkę krótkofalówki. Tej samej marki, co i

znaleziona w domu na polanie Lasu Borkowskiego. W rozmaitych schowkach broń i

parę ładunków wybuchowych. Odkryto także sporo dokumentów. Kostrzewa trafił na

moment, gdy zaczynano je segregować. Zabrał się do wertowania. Zrezygnował

jednak po krótkim czasie. To była robota dla kilku ekspertów na całe tygodnie.

Obejrzał z uwagą maszynę do pisania. Na szpulkach była nowa taśma. Nowa?

Zdjął i popatrzył pod światło. Coś już przez nią pisano. Przyjrzał się przez lupę.

Odciski liter prześwitywały w taki sposób, jakby nie zdarzyło się ani razu, by kilka

czcionek uderzało w to samo przejście taśmy. To było możliwe, jeżeli użyto jej tylko

do jednego tekstu, tak krótkiego, by starczyło odwinąć się świeżo założonej szpulki.

Oczywiście, nawet w takim wypadku odczytanie bez specjalnych przyborów było

niemożliwe. Zachowując niezmierną ostrożność owinął szpulkę w bibułkę i schował do

kieszeni.

Suski obejrzał z zaciekawieniem:

- Macie nadzieję coś z tego wycisnąć, doktorze?

- Nie wiem. Ale gdyby się udało, wiedzielibyśmy, jakie ostatnie pismo wyszło z centrali.

- Taśma - powiedział z zastanowieniem Suski. - Wiedziecie, że mnie to w ogóle nie przyszło do głowy. Szukaliśmy w koszu do śmieci jakiejś kalki albo choćby jej szczątków. Nie znaleźliśmy jednak niczego.

Kostrzewa potrząsnął głową:

- Zachowanie kalki chociażby przez kwadrans po użyciu jej do tajnego pisma stanowiłoby niedopuszczalne naruszenie elementarnych zasad konspiracji.

- A taśma?

- Hm... jeżeli przewinęła się chociażby dwukrotnie, odczytanie z niej czegokolwiek byłoby niemożliwe.

Po kilku minutach był już w urzędzie.

- Pozwolicie mi tu trochę pogospodarować? - zapytał kierownika laboratorium grafologicznego.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Ten uśmiechnął się z rezygnacją.

- Gospodarujcie.

Kostrzewa usadowił się za pulpitem, włączył lampę oświetlającą od spodu matowy ekranik ze szkła i zaczął bardzo powoli przesuwając po jego powierzchni taśmę, na którą skierował okular silnie powiększającego przyrządu optycznego.

- Hm... - mruknął bez przekonania grafolog, obserwujący jego manipulację. -

To się udaje jeden raz na tysiąc. Albo i jeszcze rzadziej.

Kostrzewa uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że to właśnie będzie ten jeden. Zapisywał literkę po literce na kartce bloku. Pierwsze wrażenie nie myliło: tej taśmy użyto tylko jeden raz.

Notował zupełnie machinalnie, będąc pewien, że treść będzie zaszyfrowana.

Gdy wreszcie skończył i przeczytał, w pierwszej chwili nie zrozumiał jej znaczenia.

Przeczytał jeszcze raz i zerwał się porywczo z taboretu.

- Odczytaliście więc? - zapytał grafolog.

- Tak odczytałem. Żeby to jasny piorun! - wybiegł z laboratorium.

Kierownik patrzył za nim ze zdumieniem. Tego znów co ugryzło?

Kostrzewa już pukał do gabinetu Kociuby. Nikt nie odpowiadał. Zapukał

jeszcze raz, potem nacisnął klamkę. Kociuby nie było. Zajrzał do sąsiedniego pokoju.

- Pułkownik na mieście - oznajmiła sekretarka.

- A kiedy wróci? Uniosła brwi.

- Zapowiedział, że niedługo.

- Gdy wróci, proszę mu powiedzieć, żeby koniecznie na mnie zaczekał. Sprawa niezmiernie ważna i pilna.

Potem zatelefonował na wszelki wypadek do mieszkania Kociuby i dowiedział się, że pułkownik jest w urzędzie.

Spojrzał na zegarek. Właściwie nie było co się tak śpieszyć. Albo już za późno na wszystko, albo też mógł zaryzykować stracenie kilkunastu minut. Postanowił więc wyjaśnić pewną okoliczność. Na szczęście jeden ze służbowych wozów był wolny.

Przez całą drogę do hotelu ponaglał bez przerwy kierowcę.

Długo tarosił Wypiorą, odsypiającego zaległości.

- Rozczmuchajcie się wreszcie! Mrugał nieprzytomnie oczyma.

- Co się stało? - ziewnął na całe gardło.

- W lokalu tej całej centrali mieszkała z Koreywą kobieta. Czy nie widzieliście jej kiedykolwiek?

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Centrala? - gwałtowny atak ziewania znowu rozdzierał usta Wypiorą. - Nic nie wiem o żadnej centrali - powiedział po chwili rozespanym głosem.

Miał wyraźny zamiar z powrotem wtulić nos w poduszkę, na co jednak Kostrzewa nie pozwolił.

- Ocknijcie się - nie przestawał go tarmosić. - Tu chodzi o bardzo ważną sprawę. Napijcie się wody - podetknął mu pełną szklankę. - Zapalcie - wsadził mu w usta papierosa.

Wypiór posłusznie robił wszystko, co mu kazano. Wypił wodę, chociaż wcale nie miał na nią ochoty. Zapalił papierosa.

- Tak - otrzeźwiał wreszcie. - Słucham? - wpatrywał się już z bacznością w Kostrzewę, który powtórzył pytanie.

Wypiór pokręcił przecząco głową.

- Naprawdę nic nie wiem. Nie ufano mi wcale, więc wystrzegano się mówić o ważniejszych sprawach w mojej obecności.

- Ale może widzieliście tę kobietę w czasie pobytu w warszawskiej melinie?

Młoda, elegancka... - nalegał Kostrzewa. - Platynowa blondynka.

- Młoda, elegancka - powtórzył w zamyśleniu. - O! - nagle klapnął się z rozmachem w czoło. - Platynowa? To przecież chyba nikt inny tylko ta ich Zoja.

Owszem, widziałem ją raz w mieszkaniu na Lubelskiej. Luksusowy kociak. Szef

powiedział, że właśnie przeniesiono ją do centrali.

- Jak wyglądała?

Wypiór zaczął opisywać najdokładniej, jak tylko potrafił. I aż poczerwieniał.

- Taka ładna? - przymrużył porozumiewawczo oko Kostrzewa.

- O, i jak jeszcze... Taka to każdego chłopą zaprowadzi, dokąd będzie miała ochotę.

Kostrzewa uśmiechnął się.

- No, miejmy nadzieję, że jednak nie każdego. Zbiegł szybko po schodach.

Kierowca na jego widok pokiwał głową.

- Znowu będziecie mnie dusić?

- A będę - potwierdził łagodnie. - Jeszcze jak...

Po upływie równych siedmiu minut już pukał ponownie do drzwi gabinetu pułkownika.

Kociuba wyskoczył niecierpliwie zza swego biurka.

- No, wyładowujcie swój bagaż, doktorze. Nie możemy się po prostu

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

doczekać. Kawecki przez cały czas dolewał oliwy do ognia, że pewno sensacja jak sto diabłów.

- A bo nie? - zapytał Kawecki.

- Może - mruknął Kostrzewa. - Ale moim zdaniem wcale niewesoła. Zresztą sami osądzicie.

Położył na biurku napiętą na szkle taśmę i treść odczytanego z niej tekstu.

Pułkownik przebiegł oczyma kartkę i nagle gwałtownie pobladł.

- Zawsze te zakłady... - zerwał się z fotela. - Tam było już parę historii

szpiegowskich... No - tknął palcem w papier, wciągając ze świstem powietrze przez zęby - ładna historia.

- Rzeczywiście - potaknął Kawecki, który mu zaglądał przez ramię. - Data przedwczorajsza... Brak wiadomości stamtąd dowodzi, że papierek chwycił.

Kociuba połączył się z międzymiastową.

- Rozmowa urzędowa błyskawiczna - oznajmił. - Muszę uzyskać połączenie natychmiast.

Ale natychmiast połączenia nie dostał. Odwieszając słuchawkę zaklął grubo.

- Dobrze, jeżeli połączą za kwadrans. A tymczasem...

- Tymczasem nic - oznajmił z przekonaniem Kostrzewa. - Albo wyjechała stamtąd jeszcze wczoraj i wtedy telefon nic nie pomoże, albo też, jeżeli zaryzykowała zostać na dziś, z pewnością nie wyjdzie przed końcem godzin urzędowych. Nie zabraknie jej tam przecież ciekawego materiału.

Kociuba zabębnił nerwowo palcami po blacie biurka.

- Nie, do jasnej cholery! - sapnął. - Nie zabraknie. Zerkał wyczekująco na telefon. Aparat jednak milczał.

- Polećcie im, pułkowniku - zaczął z zastanowieniem Kostrzewa - żeby tylko obstawili dokładnie zakłady. Lepiej niech nie wchodzą do środka. Mogliby coś naknocić. Chciałbym, żebyśmy mieli pełny obraz sytuacji.

- Pewno, że lepiej by było. Ale w jaki sposób będą wiedzieli, kogo zatrzymać przed fabryką, skoro nie wiedzą, jak ta elegantka wygląda? Może przecież wyjść wcześniej...

- Podamy im dokładny rysopis. Kociuba wytrzeszczył oczy.

- Rysopis? A to skąd? Macie fotografię? Kostrzewa roześmiał się.

- Stanowczo zbyt wielkie wymagania. Nie - potrzęsnał głową - tylko rysopis.

Za to wyczerpujący. A podał mi go Wypiór.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Znowu Wypiór?

- Tak, znowu. Więc ta osoba wygląda jak następuje... - zaczął dokładny opis.

Kociuba notował skrótami na bloczku.

- Z tego wynika - podniósł głowę, gdy Kostrzewa wreszcie skończył - że jakaś całkiem malownicza wydra?

- Wypiór w każdym razie był olśniony, gdy ją zobaczył. Twierdzi, że każdego mężczyznę potrafi zaprowadzić, dokąd zechce.

- Hm... - odchrząknął sceptycznie Kawecki - tylko do łóżka.

Kostrzewa roześmiał się cicho.

- To jeszcze nie byłoby najgorsze. Ale obawiam się, że przez łóżko znacznie dalej. Powiedzmy, aż do celi więziennej.

Kociuba pokiwał potakująco głową. Kobiety niekiedy stanowiły bardzo niebezpieczny czynnik w walce, którą prowadzili.

Kostrzewa spojrział na zegarek:

- No, na mnie już czas.

- Kogo bierzecie ze sobą?

- Nikogo poza Wypiórem. On przecież zna tę całą Zoję osobiście.

Wypiór... - pułkownik roześmiał się. - Kiedy go wciągamy na etat?

- Trzeba się będzie nad tym serio zastanowić - Kostrzewa potraktował żartobliwe pytanie zupełnie poważnie.

- Tak, to ona - Wypiór wreszcie odlepił się od okna. - I czyż nie mówiłem, że

każdego chłopca potrafi okręcić wokół palca? Skaczą koło niej na dwóch łapkach.

To była prawda.

W chwili, gdy Kostrzewa okazał sekretarce legitymację, kładąc jednocześnie wymownym ruchem palec na ustach, Zoja pochylała się właśnie nad jakimiś planami z taką miną, jakby się orientowała w nich doskonale.

W mikroaparacie czekała nowa szpulka filmu.

Nagle drzwi gabinetu otworzyły się na oścież.

Kostrzewa stanął na progu.

Wszyscy troje spojrzeli na niego pytająco.

Bierek zrobił groźną minę.

- Kto panu pozwolił? Tu się nie wchodzi bez zameldowania.

- Szczególne okoliczności - rzucił krótko i podszedł do kobiety. - Pseudo

„Zoja”? - zapytał bez wstępów.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Pobladła gwałtownie, w oczach jej zjawił się wyraz panicznego lęku.

Rozbiegane spojrzenie szukało drogi ucieczki. Drzwi odcinał sobą Kostrzewa.

Skoczyła więc ku oknu. Chłodny głos Kostrzewy zatrzymał ją w połowie drogi:

- Szkoda fatygi, tam również czekają nasi ludzie. Stań w miejscu. Ramiona jej obwisły bezwładnie. Bierek wreszcie zdołał się otrząsnąć z oszołomienia.

- Co to ma znaczyć? - podniósł się z krzesła. - Przecież to inspektor z departamentu nadzoru...

- Hm... inspektor - mruknął Kostrzewa, przesuwając badawczym wzrokiem po ubraniu Zoi.

Nie, przy sobie na pewno nie miała broni. Torebka leżała na biurku. Otworzył

ją i zajrzał do środka. Ale nie było tam nic podejrzanego. Musiała się prawdopodobnie

liczyć z możliwością wpadki.

Ale samo oglądanie planów nie miałyby sensu. Żaden człowiek nie byłby ich w stanie odtworzyć z pamięci. Więc co?

Wzrok jego zatrzymał się na złotej róży, wpiętej w bluzkę.

Wystarczyło jedno spojrzenie na szlifowane szkło, wychylające się spośród misternie cyzelowanych płatków: soczewka mikroaparatu fotograficznego.

- To - wskazał na broszkę - jeśli się nie mylę, amerykański model galanterii?

Milczała.

- Proszę siadać. Usłuchała bezwolnie.

- Ciekawy jestem - wciąż patrzył na broszkę - ile klatek mikrofilmu mieści taki aparacik?

Drwęga siedział milczący i blady. Od dłuższej już chwili zdawał sobie sprawę ze znaczenia rozgrywającej się w gabinecie sceny.

Pomimo wszystkich osiągnięć sprawa udziału doktora Białkowskiego w morderstwie Lebiody nadal nie była ostatecznie wyjaśniona. Czarny uparcie podtrzymywał swe pierwotne zeznania.

- Doktor wszedł do mieszkania Lebiody. Doktor go zlikwidował.

Szef nie umiał powiedzieć nic bliższego na temat osoby Doktora.

- Centrala go przysłała, to był człowiek centrali - powtarzał jak automat.

Koreywo, który już zarzucił swą początkową taktykę milczenia, wzruszył ramionami.

- Doktor? Owszem, coś jakby mi się obilo o uszy. Ale to był człowiek szefa.

Nie widziałem go nigdy na oczy. Nie wchodziliśmy aż tak drobiazgowo w sprawę komórki. Zapytajcie szefa... To jest chciałem powiedzieć: Wąsowskiego.

Tak brzmiało bowiem rzeczywiste nazwisko szefa.

Skonfrontowani, podtrzymywali każdy swoje.

Koreywo, że z Doktorem miał do czynienia wyłącznie szef; Wąsowski, że to był człowiek centrali, o którym on niewiele więcej wiedział poza tym, że istniał.

Krzyżowy ogień pytań tym razem nie pomógł. Trudno przyłapać na niekonsekwencji ludzi, którzy odpowiadają monosylabami.

Zoja za to zeznawała z gotowością.

- Owszem, widziałam raz czy dwa Doktora w mieszkaniu przy Fabrycznej.

Tak, o ile wiem, on właśnie i Grom zlikwidowali Lebiodę. Potem tego agenta samochodem na ulicy - również on. Jak wygląda? Cóż... Starszy, ale nie stary jeszcze.

Szpakowaty, elegancki.

Pokazano jej fotografię Białkowskiego.

- Ten?

Długo się wpatrywała, kręcąc niezdecydowanie głową.

- Czy ja wiem?... Może ten, może nie. Wtedy gdy go widziałam, nosił wielkie przyciemnione okulary. To bardzo zmienia twarz. Może gdybym z nim mogła porozmawiać, łatwiej bym zdołała poznać.

Ale to właśnie było w najbliższym czasie niewykonalne. Lekarze opiekujący się Białkowskim oświadczyli, że prawdopodobnie dopiero za tydzień będzie można przystąpić do przesłuchania.

Tydzień? W znacznie krótszym czasie prawdziwy morderca może się znaleźć za dziesiątą górą, zacierając wszelkie ślady. Należało coś koniecznie przedsięwziąć

natychmiast.

Fijek długo drapał się w głowę.

- Nie, nie znam nikogo, kto by pasował.

Było to oczywiście kłamstwo. Nikt nie mógł bardziej pasować do rysopisu niż Białkowski.

- Pytam o mężczyznę poza doktorem - powiedział Kostrzewa.

Fijek ożywił się od razu.

Szybko i już bez najmniejszego wahania opowiedział niemal o wszystkich

mężczyznach, zamieszkałych w domu. Z każdego dałoby się wziąć jakiś szczegół. Ale

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

wszystkie naraz nie pasowały do żadnego. W końcu zatrzymał się przy literacie z pierwszego piętra.

- Nikt inny, tylko on.

Kostrzewa wynalazł odpowiedni moment i przyjrzał się dyskretnie literatowi.

Żadnej zgodności z rysopisem. Tyle tylko, że dosyć elegancki.

Ściągnięto Zdobka. Za starym Fijkim w ogóle trudno było się dogadać.

Zdobek za to starał się pomóc w miarę sił. Wciąż go gnębiła myśl, że wszystkie

nieszczęścia, które spadły na Białkowskiego, nastąpiły wskutek tego, co powiedział

wtedy Kostrzewie. Nie wierzył żadnym zapewnieniom. „Tak się to mówi...”

- Czy koniecznie musi być lokator? - zapytał, kiedy Kostrzewa wyjaśnił mu, o co chodzi.

Kostrzewa nie zrozumiał.

- Jak to?

- No, bo z lokatorów, to chyba żaden. Poza - przełknął ślinę - właśnie

doktorem. Ale jest taki jeden, który pracuje na tej samej klatce schodowej.

- U kogo?

- W zespole adwokackim. I wysoki, elegancki, i nie bardzo młody. Tylko...

- Tylko co?

- No, z twarzy to widać, że już niemłody, ale ani jednego siwego włosa...

Kostrzewa zamyślił się. Przypomniał sobie, jak Wąsowski podkreślał te szpakowate włosy.

- A czy nosi okulary? - to było druga okoliczność, wysuwana przez

Wąsowskiego na pierwszy plan.

- I tak, i nie...

- To znaczy?

- Do biura nigdy. W ogóle u nas nie widziałem go ani razu w szklach. Ale gdy go kiedyś przypadkowo spotkałem na Pradze...

- Miał wtedy okulary?

- Tak. Nawet się zdziwiłem. Bo raz tak, raz tak... Wielkie, że prawie pół twarzy zasłaniały, w takich grubych ramkach. Szklą przyciemnione. Nie takie, jakich się używa od słońca... To, wicie, obywatelu śledczy, podobne noszą ludzie o bardzo słabych oczach.

- Hm... - to stawało się coraz ciekawsze. - A samochód?

Wzruszył ramionami.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Nie wiem... Ani widziałem, ani kiedykolwiek wspomniał, żeby miał. Tylko że raz... Ale to pewno nie ma żadnego znaczenia.

- Mów, kolego. Zobaczymy...

- No... Bo on miał na rękawicze taką tłustą plamę... Taki elegant, że nigdy ani najmniejszego pyłeczka i nagle brudne rękawiczki. Chyba ze smarów. Czy ja wiem?...

- Kiedy to było?

Zdobek przypominał sobie mozolnie.

- W tym tygodniu, co to zastrzelono redaktora... Chyba w środę... Albo może i w czwartek...

Po jego odejściu Kostrzewa zabrał się do gruntownego studiowania protokołu.

Czarne włosy? Ba, czy jemu samemu rzadko zdarzało się zmieniać kolor czupryny?... I te okulary... W czwartek? Hm... To by się zgadzało.

Ustalono dokładnie godziny pracy Żmigrodzkiego. Takie bowiem nazwisko nosił wskazany przez Zdobka kierownik kancelarii zespołu. Przychodził rozmaicie.

Niekiedy na dwie, a nawet na trzy godziny przed rozpoczęciem urzędowania.

- On mówił, że na jego głowie całe biuro - oświadczył Fijek. - A bo to zresztą i prawda.

Wychodził również rozmaicie.

Nic łatwiejszego, jak zapytać o wszystkie szczegóły wprost w zespole. Ale najprostsza droga nie byłaby w tym przypadku najlepsza. Bo jeżeli założyć, że był w rzeczywistości mordercą? Wywiadu, przeprowadzonego w kancelarii, nie dałoby się utrzymać przed nim w tajemnicy. Szczególnie jeżeli ma na „głowie całe biuro”.

Kostrzewa czuł, że na wszelki wypadek należy tu zachować najdalej posuniętą ostrożność.

*

W pół godziny po opuszczeniu przez Żmigrodzkiego kancelarii do drzwi zadzwonił listonosz.

- Pilna depesza do mecenasza Żmigrodzkiego.

- Proszę zostawić.

- Nie mogę. „Pilne” musimy doręczać do rąk własnych.

Podano prywatny adres. Listonosz pojechał samochodem. To mogłoby się wydawać bardzo dziwne. Nie było jednak prawdopodobne, by ktoś zdołał zauważyć.

Wsiadł na sąsiedniej ulicy, wysiadł nie dojeżdżając do celu.

Żmigrodzkiego nie było w domu. Rozmowa z gospodynią miała niemal

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

identyczny przebieg.

- Co znowu za porządki! - obruszyła się. - Zawsze wszyscy zostawiali, a tu nagle...

- Wyszła teraz nowa instrukcja. Zdarzały się reklamacje.

- No, to co panu poradzę? - wzruszyła ramionami. - Nie ma.

- A kiedy będzie? Przyjdę jeszcze raz.

- Proszę doręczyć w takim razie w kancelarii - podała znany listonoszowi doskonale adres.

- To tu nie mieszka? Aż wzięła się pod boki:

- Jakże nie? Może pan sprawdzić na liście lokatorów albo u dozorca. Mieszka.

Tyle tylko, że chwilowo wyjechał.

- Na jak długo? - wyjął ołówek. - Muszę odnotować.

- Nie „na jak długo” - przedrzeźniała - a tylko na letniaki. Dojeżdża do pracy.

- A jaki jego adres na wsi? - ołówek wciąż wisiał wyczekująco nad zapieczętowanym telegramem. - Doręczymy na miejscu.

- Skąd mogę wiedzieć? Letnisko to letnisko. Nie tłumaczy mi się. To nie dasz

pan tej depešy?

- Nie mogę. Pani sama rozumie: przepisy... Odpowiadałbym.

- To rób pan jak uważasz! - zatrzasnęła drzwi przed nosem.

Odszedł. Sprawa stawała się coraz bardziej tajemnicza. Tutaj nie mieszka, chociaż zameldowany. Najprawdopodobniej to mieszkanie było tylko skrzynką do listów. W takim razie zupełnie zrozumiałe, że nie znano tu jego prawdziwego adresu.

Jegomość z czerwonym nosem raz po raz dzwonił do drzwi.

- To jeszcze go nie ma? W końcu się rozzłościła:

- Ile razy mam panu powtarzać, że przyjmuje się klientów dopiero od dziewiątej.

Wzruszał ramionami:

- Dziwaczne jakoweś porządki. U nas, to choćby przyjść w nocy, adwokat przyjmie. Ale kum Błażej mówił, że tylko on coś poradzi... I wtedy był u niego już o siódmej, a nie o żadnej dziewiątej.

- Hm... A skąd pan przyjechał?

- Toć z Chojnowie Małych. Nie mówiłem? - bardzo był zdziwiony. - Błażej, mój kum, Chrzęstek się nazywa, miał u niego taką sprawę. Załatwił mu, że lepiej nie

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

trzeba. To i ja...

- Więc przyjdź pan o siódmej. Może nadejdzie.

- To jeszcze nie ma siódmej?

- Nie.

Po kwadransie znowu terkotał dzwonek.

- Bardzo przepraszam, ale może zachorował? A to takie pilne. No, wprost do

zarznięcia. Błazej mówił, że on czasami przychodzi o szóstej...

- O szóstej? Także coś. Że raz się tam kiedyś zdarzyło. Nie każdego dnia

Wielki Piątek.

- No, to ja poczekam.

Kostrzewa przeczekał, aż kroki oddaliły się od drzwi. Potem cicho zszedł na dół. Zarzucony na chybił trafił haczyk jednak zaczepił. „Więc zdarzyło się, że i o szóstej”?

Po drugiej stronie ulicy spacerował jegomość ze znudzoną miną.

Kostrzewa odwołał go na bok.

- Dowiedźcie się od dozorca, o której przyszedł Żmigrodzki do pracy w dniu zamordowania Lebiody. Tylko zróbcie to w taki sposób, żeby specjalnie nie podpadło.

Tak, wiecie, między innymi - zerknął na zegarek. - Możecie się nie śpieszyć. Czasu mamy dosyć.

- Dobrze.

Wrócił po kwadransie.

- Nie widział go tego dnia. Mówi, że chyba musiał przyjść bardzo wcześnie. On sam parę minut po szóstej zamykał wtedy bramę.

Kostrzewa powrócił na schody. Więc akurat tego dnia zdarzył się ten raz. Nie tak trudno wbiec na podest któregoś z wyższych pięter, poczekać chwilę i po stwierdzeniu, że powietrze czyste, wejść jak gdyby nigdy nic do biura.

Nagle drgnął, wyrwany z rozmyślań odgłosem czyichś kroków. Wychylił się ostrożnie przez poręcz. Tak, to chyba był właśnie Żmigrodzki. Kostrzewa machinalnie pomacał się po kieszeni.

Jeszcze chwila i wchodzący po schodach mężczyzna znalazł się na podeście.

Kostrzewa uklonił się niezdarnie.. - Przepraszam bardzo, czy przypadkiem nie pan mecenas Żmigrodzki?

Czujny, kłujący wzrok zdawał się wwiercać aż pod skórę. W końcu natężenie jego osłabło. Niezbyt schludna postać przybysza z prowincji widocznie nie wzbudziła

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

żadnych podejrzeń.

- Tak, to ja. A o co chodzi?

- Bo mówili mi, że jak już nikt nie poradzi, to pan mecenas...

- Mówili? Kto taki?

- Ano różni... I Chrząstek, i Wilbik... A bo to i inni nie?

- Chrząstek? Wilbik? - zmarszczone brwi wskazywały, że bezskutecznie szpera w pamięci. W końcu machnął ręką. - Proszę ze mną.

Wyjął z kieszeni klucz, podnosząc go do zamka.

Kostrzewa obserwował go kąciakiem oka. Więc miał własny klucz. To jeszcze bardziej mogło uprościć mu zadanie.

- Ale, panie mecenasie...

- Co takiego? - ręka zawisła w powietrzu.

- Bo ja bym wolał omówić to zupełnie prywatnie. Tu akurat, naprzeciwnie, jest taka knajpka. Zupełnie pusta.

- Knajpka? - wzruszył ramionami. - Nonsens. Omówimy to w kancelarii. Tam też nikt nam nie przeszkodzi.

- Bo to taka sprawa...

- Więc cóż z tego? Słyszałem już o rozmaitych, proszę mi wierzyć.

- Chciałbym jednak koniecznie w jakimś anształcie. Wie pan mecenas, przy

kufiu zupełnie inaczej się rozmawia. Potem przyjdę do pana. Aby tylko zacząć.

- Co za dziwactwo... - był już wyraźnie zniecierpliwiony.

- Ale ja zapłacę za to, że pan pójdzie. Dobrze zapłacę.

- Wykluczone - jeszcze nie wyglądało na to, żeby już coś podejrzewał, ale ton był kategoryczny, wykluczający wszelką dyskusję.

To było dziwne. Ostatecznie pracownik kancelarii adwokackiej rzadko odrzuca sposobność dodatkowego zarobku. Szczególnie poza godzinami urzędowania.

Kostrzewa już się zdecydował. Jeżeli okaże się, że wszystko polega na omyłce, to go przeprosi i sprawa załatwiona. Reakcja na nagłe odwrócenie sprawy też mogła wiele powiedzieć.

- Jednak pójdziemy razem - wciąż cichy głos brzmiał teraz zupełnie inaczej. -

Chodzi o pewne informacje.

Tamten cofnął się odruchowo. Oczy nagle zakrzepły w bryłki lodu.

- Informacje? Co to ma znaczyć? Kim pan właściwie jest?

- Urząd Bezpieczeństwa!

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Reakcja rzeczywiście była wymowna.

Kostrzewa od dłuższej chwili nie spuszczał z niego oczu, rejestrując każdy ruch. Temu jednak nie zdołał zapobiec, tak był szybki. Przez jakiś trudny do uchwycenia ułamek sekundy otwór rewolwerowej lufy wisiał tuż naprzeciwko oczu Kostrzewy.

Targnął się gwałtownie w bok, objając o poręcz. Niemal w tym samym momencie buchnął płomień. Po skroni przesunął ostry powiew. Gdyby odskoczył o krótką chwilę później... byłby koniec.

Żmigrodzki już pędził w dół, przeskakując po kilka stopni naraz. Kostrzewa zacisnął zęby. Pomimo wszystko nie przewidział, że aż taki gracz.

Runął za nim. Tamten miał parę metrów przewagi.

Kopytko waruje na dole. Powinien go zatrzymać.

Z ulicy dobiegł jakiś niewyraźny krzyk. Kopytko? Buchnął nowy strzał. Echo załomotało wielokrotnie pod łukowatym stropem bramy.

Wpadł na ulicę. Na flizach ciemniała rozciągnięta nieruchomo postać. Zabity?

Ale właśnie w tej chwili zaczął się niezdarnie gramolić na nogi.

Kostrzewa biegł już dalej. Ulica była zupełnie pusta. Żmigrodzki odsądzał się coraz bardziej. Nagle skręcił w jakąś bramę. Nie, to nie była brama. Wejście na klatkę schodową. Mogła upłynąć najwyżej minuta, gdy Kostrzewa wpadł po nim. Wydłużona sień ziała pustką. Wkoło panowała zupełna cisza.

Przystanął zaskoczony. Nic nie rozumiał. W głębi ślepa ściana. Podest pierwszego piętra widoczny wyraźnie. Dalej nie zdołałby wbiec w żadnym wypadku.

Wpadł do któregoś mieszkania? Nacisnął pierwszą z brzegu klamkę. Zamknięte.

Wewnątrz cisza. Otworzyć, zamknąć, to przecież trwa. Więc co? Nie wierzył w rozstępującą się ziemię. Nagle trzasnęły niewidoczne drzwi. Rozległy się szybkie kroki.

Na tle ściany wyrósł nagle Wypiór. Kostrzewa zamrugał powiekami. A ten skąd się tu wziął?

- Prędeży, doktorze! - przyzywał go gwałtownymi gestami. - Tędy!

Pobiegł o nic nie pytając. To nie była ślepa ściana. Korytarz zakręcał pod prostym kątem.

Jak mógł tego nie zauważyć od pierwszej chwili? Drugie drzwi wyjściowe znajdowały się w odległości około półtora metra. Co za dziwaczny sposób

budowania...

- Znam tę sień - tłumaczył w biegu Wypiór. - Jak kto wejdzie, myśli, że nie ma

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

drugich drzwi. On pobiegł tam... - skoczył w kierunku pobliskiego narożnika. Nagle usłyszeli ostry warkot motoru.

Zza węgła śmignął samochód. Wystarczyło jedno spojrzenie na pochyloną nad kierownicą postać: on?...

Wypiór wyskoczył na środek jezdni. Rozkrzyżował ramiona. Rozpaczliwie zajęczały hamulce. Nikłowy zderzak taksówki dotykał niemal jego nóg.

Kierowca wychylił się czerwony z wściekłości:

- Co znowu za cholerne kawały? Samobójca? Rzuć się pan pod tramwaj!

Kostrzewa był już przy samochodzie. Błysnęła legitymacja.

- Urząd Bezpieczeństwa. Pędźcie za tym samochodem. Kierowca złagodniał.

- Trzeba było tak od razu gadać - zdjął nogę z hamulca. Taksówka ostro szarpnęła, nabierając szybkości z każdym obrotem kół. Przymrużył oczy.

- Ależ gna! Kto by pomyślał, że w tym pudełku od sardynek taki motor. Macie szczęście, obywatelu śledczy. Nasz wóz nowiutki jak z igły. Dogonimy.

Nie zanosilo się jednak na to. Zielony samochodzik oddalał się coraz bardziej.

Kierowca wzruszył ramionami. Był wyraźnie zły.

- Diabli wiedzą, co takiego. No, ale jak wyjedziemy na szosę, tam nie będzie mógł wyczyniać swoich cudów. O tej porze ruch jak wszyscy diabli.

Nagle tuż obok zawarczał motocykl. Kostrzewa spojrział z nadzieją. Patrol drogowy. Powinni go w każdym razie zatrzymać. Szybkość po prostu bezczelna.

Podjechali. Czerwona tarcza wytrysnęła w powietrze. Żmigrodzki obejrzał się

przez ramię. Potem wychylił się ku siedzącemu w koszu milicjantowi. Jechał dalej. Nie zatrzymali jednak. Jakoś się wykręcił.

Kostrzewa dawał rozpaczliwe znaki. Nie zauważyli albo nie zrozumieli, o co chodzi. Skręcili w przecznicę.

Odległość znowu wzrosła. Mignęły budynki starej rogatki.

Od razu sytuacja się zmieniła. Ciężarówka, wozy... Szofer miał rację.

Samochodzik przewijał się ze zdumiewającą szybkością pomiędzy przeszkodami.

- Ależ prowadzi, a niech go... - w głosie kierowcy brzmiał nieklamany podziw.

- Mógłby się produkować w cyrku.

Pomimo wszystko o rozwinięciu poprzedniej szybkości nie mogło być w tych warunkach mowy. Odległość wprawdzie wciąż nie malała, przestała jednak wzrastać.

Dobre i to. Najważniejsze, by go nie stracić oczu. Jazda musiała się przecież

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)
czy później skończyć.

- Skąd się wzięliście? - Kostrzewa pochylił się ku Wypiórowi, nie spuszczać z oczu z pędzącej przed nimi maszyny.

- Ano zwyczajnie. Coś mnie tknęło, więc poszedłem zobaczyć, czy się nie szykuje nowa heca. Portier powiedział, że inżynier Żurkowski wyszedł już skoro świt.

Kalkulacja prosta. Zacząłem od kamienicy Lebiody. Coś ostatnio mocno się pan tam kręcił... A tu ten gość z pistoletem w garści. Więc jak ta „świeca” rzucił się na niego...

- A skąd wiedzieliście, że to „świeca”? Wzruszył ramionami.

- No, bo jak ktoś stoi nie wiadomo po co i kapuje na wszystkie strony... Huk...

trzask... Gość się wali... Sprawa jasna... To ja za tamtym. Myślę sobie, zanim pan

wyskoczy... A gościa nieraz przedtem spotykałem na schodach. Gdzie by mi było w głowie, że ma coś wspólnego...

- Mnie również nie wpadło na myśl - mruknął ponuro Kostrzewa. - A szkoda.

Cholera! - zaklął z wściekłością widząc, że ścigany samochód skręca nagle w boczną, prawie pustą szosę. - Prędszej! - syknął wychylając się mimo woli do przodu.

Wypiór złapał porywczo kierowcę za ramię.

- Gazu, szefie! - niemal jęknął. - Gazu!

Szofer nachylił się nad kierownicą. Widać było, że i jemu zaczyna się udzielać gorączka łowów.

Wpadli na kręte uliczki jakiejś małej miejsciny. Przemknęli jak burza i po paru minutach znowu znaleźli się na szosie.

Kierowca ocierał ramieniem pot z czoła.

- Piekielna jazda, ale w końcu mu zabraknie benzyny, a my...

Wtem Żmigrodzki przyhamował. Ale w tej samej chwili znowu poderwał wóz.

Po paru sekundach dostrzegli przyczynę: przejazd kolejowy. Z prawej strony nadjeżdżał pociąg. Długi sznur czerwonych wagonów towarówki zdawał się ciągnąć bez końca.

Kierowca nacisnął pedał hamulca.

- Co pan robisz do wszystkich diabłów?! - wrzasnął gorączkowo Wypiór.

- Ryzyko...

Kostrzewa przechylił się ku niemu.

- Skacz pan! Ja spróbuję...

Kierowca jeszcze raz spojrział w bok. Lokomotywa była już przerażająco blisko.

- No... cóż? Może się uda - zwolnił hamulec. Przemknęli niemal tuż przed samymi talerzami ogromnych buforów. Kierowca wciągnął ze świstem powietrze:

- Niewiele brakowało...

W oddali zarysowały się jakieś zabudowania. Znowu miasteczko. Po upływie kilku minut mknęli wąską uliczką.

Spod kół leciały grudy błota. Niepokażne domki uciekały w tył z piorunującą szybkością.

I nagle zielony samochód zaczął zwalniać. W pierwszej chwili nie byli w stanie uwierzyć własnym oczom. Ale odległość malała teraz z każdym obrotem kół.

- Mamy go! - sapnął kierowca. - Bak mu wysechł. Wypiór trzymał rękę na klamce. Kostrzewa również szykował się do skoku.

Ścigany skręcił za węgiel narożnego budynku. Gdy dopadli do narożnika, ujrzeli samochód stojący na środku jezdni. Nie było w nim jednak nikogo.

Kostrzewa wyskoczył w biegu. Wokół panowała pustka. Gdzie się podział

Żmigrodzki? Różnica czasu wynosiła niespełna minutę. Ale po obu stronach ulicy ciągnęły się płoty.

Przez który z nich przełazi?

- Tam! - krzyknął Felek zeskakując z maski, na którą się wdrapał. - Tam!

Biegł już w kierunku niezbyt wysokiego płotu. Kostrzewa pędził za nim.

- Sprowadźcie milicję! - rzucił przez ramię.

Jeden ruch, drugi, znaleźli się po tamtej stronie. Ciemna sylwetka migotała pomiędzy obielonymi wapnem pniami drzew owocowych.

- Stój - wrzasnął Kostrzewa wychwytyjąc pistolet. - Stój bo strzelam!

Musiał dosłyszeć, ale się nie obejrzał. Sadził wielkimi susami. Kostrzewa obniżył lufę, pociągając za cyngiel. Słaby obłoczek kurzu wskazał miejsce uderzenia kuli. Poszła daleko w bok. Strzelił jeszcze raz. Znowu nie trafił. Ba, celować w biegu... Pościg trwał. Nogi grzęzły w spulchnionej ziemi grządek. Pod podeszwami łamały się z trzaskiem jakieś łodygi.

Kostrzewa przystanął celując uważnie.

Pociągnął za cyngiel. Pudło. Przesunął lufę. Znowu pudło. Zacisnął zęby. Co u Ucha? Za trzecim strzałem Żmigrodzki zachwiał się na nogach. Wyglądało, że runie na ziemię. Nie runął jednak. Niezdarnie dopadł grubego pnia pobliskiego drzewa.

Błysnęło kilka szybko po sobie następujących ogników. Kostrzewa stęknął.

Rozpalone żelazo smagnęło po lewym ramieniu. Rzucił się naprzód klucząc

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

zygzakami. Pnie drzew dawały jaką taką osłonę. Pomimo to kule gwizdały w całkiem nieprzyjemnej bliskości głowy. Docierał do ostatnich drzew tego rzędu. Przypadł do ziemi. Miał przed sobą kilkanaście metrów zupełnie otwartej przestrzeni. To nie wyglądało zachęcająco. Tamten będzie grzać jak z bunkra, ani tu marzyć o jakiegokolwiek osłonie. A gdzie Wypiór? - rozejrzał się. Od dłuższego już czasu nie słyszał jego kroków. Nie dostrzegł go nigdzie. No, nic dziwnego. Pchać się z gołymi pięściami pod pistoletowy ogień?

Nie było na co czekać. Skulił się i gwałtownym susem wypadł spoza pniaka.

Przychyłony do ziemi gnał co tchu. Tylko szybkość mogła go uchronić od kuli.

Oczekiwał całej serii strzałów. Tymczasem nie padł ani jeden. Pod tamtymi drzewami coś kotłowało się po ziemi. Nie mógł zrozumieć, co to takiego. Biegł już niemal wyprostowany.

- Mam go!... - buchnął nagłący krzyk. - Prędeży, bo... Jeszcze sekundy i dopadł szamocącego się kłębka. Chwycił za kark, szarpnął. Żmigrodzki jeszcze próbował stawiać opór. Po chwili jednak Kostrzewa zdołał mu wykręcić obie ręce do tyłu. Czarna peruka leżała zmiętoszona obok pistoletu. Nie miał pod nią szpakowatych włosów. Ani szpakowatych, ani żadnych. Był łysy jak kolano. Wypiór dysząc ciężko rozcierał szyję.

- W sam czas... jeszcze moment i by mnie stłamsił na amen...

Pomiędzy drzewami zamigotały nagle siwe mundury.

- Stać! Rzucić broń! Ręce do góry! Kierowca wyskoczył naprzód.

- Mają go - spojrzał z satysfakcją na łyskającego przekrwionymi oczyma jeńca.

- A ci, to obywatele z UB - wskazał ruchem głowy na Kostrzewę i Wypiorą.

Kostrzewa okazał legitymację milicjantowi z naszywkami.

- Konieczny będzie ktoś do pomocy przy eskortowaniu zatrzymanego. Gość miewa dobre pomysły. Mnie też trochę trzepnął przy sposobności.

Milicjant zaniepokoił się na widok czerwonej plamy na kurtce Kostrzewy.

- Może by doktora? Kostrzewa machnął ręką:

- Głupstwo. Zwykle draśnięcie.

Kociuba słuchał z nieukrywaniem zaciekawieniem.

- No, tym razem kolega Wypiór sprawił się, że lepiej nie można - oświadczył wreszcie. - Ale w jaki sposób znaleźliście się przy nim, że was nie zauważył?

Wypiór aż pokraśniał z zadowolenia. Sam pułkownik go chwali!

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- O, to było bardzo proste - wyjaśnił skromnie. - Ten drań... to jest, no...

Żmigrodzki - poprawił się z pośpiechem - świata nie widział poza obywatelem

Kostrzewą. Grzali, jednym słowem, w siebie jak w kacze kupry... hm... - odchrząknął i znów poczerwieniał. - No... jednym słowem, całkiem solidna była wtedy kanonada.

Myślę sobie, marny interes, gdy jeden za drzewem, a drugi jak na dłoni. I cichcem zachodzę od tyłu.

- Mógł was przecież zastrzelić.

- Ba... ani się obejrzał, gdym podskoczył. Tylko silny jak cholera. Ale akurat przyga... przybiegł obywatel Kostrzewa. Bardzo wszystko proste - powtórzył z przekonaniem.

- Hm... - Kociuba popatrzył na niego przeciągle - rzeczywiście...

Propozycja Kostrzewy co do wciągnięcia chłopaka na etat wyglądała teraz o wiele bardziej frapująco. Rzeczywiście, po odpowiednim zajęciu się nim mógłby stać się cennym nabytkiem dla służby.

- No, pogadamy jeszcze o tym wszystkim. A teraz prześpijcie się, kolego - zatrzymał wzrok na wynędzniałej twarzy. - Uczciwie zapracowaliście na solidny odpoczynek.

- Hm... więc tak - wsparł łokcie na blacie biurka po jego wyjściu. - Wreszcie dobrnęliśmy do mety. Komplet pod kluczem. A droga była ciężka - utkwiał spojrzeniem w ciemności leżącej na szybach.

Kostrzewa też milczał. Myśleli o jednym i tym samym. Kociuba zabębnił palcami przerywając wreszcie milczenie.

- A co mówi ten Żmigrodzki, czy jak mu tam naprawdę? Kostrzewa z namysłem strząsnął popiół z dopalającego się papierosa.

- Nic nie mówi. I nie sędzę, żeby tak łatwo udało się go skłonić do otwarcia ust. Właściwie - potarł z lekkim skrzywieniem swędzące pod plastrem ramię - trudno

mu się specjalnie dziwić. Jeżeli jest tym, za kogo go uważamy, cokolwiek by powiedział, w niczym to nie zmieni jego sytuacji. I musi sobie zdawać doskonale z tego sprawę. Wygląda na diabelnie sprytnego ptaszka.

Kociuba postukiwał w zamyśleniu ołówkiem o biurko.

- W tej chwili, pomimo wszystko, nie mamy dowodów jego udziału w zamordowaniu Lebiody - wzruszył ramionami. - Nie chce mówić on, powiedzą za niego inni...

- Najwięcej powinien powiedzieć jego pistolet - dodał Kostrzewa. - O ile,

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

oczywiście, jest ten sam, z którego strzelał do Lebiody.

- Oddaliście go już do zbadania?

- Jasne. Magister Arski obiecał zrobić wszystko, co w jego mocy, aby skończyć ekspertyzę jak najprędzej. Czy on wam nikogo nie przypomina? - zapytał po chwili milczenia.

- Żmigrodzki?

- Tak.

Kociuba zastanowił się, pocierając czoło.

- Czy ja wiem?... Macie na myśli Wąsowskiego?

- Właśnie.

- Może rzeczywiście trochę...

- Moim zdaniem nawet nie trochę.

- To może przez to, że obydwaj łąsi?

- Może...

Kostrzewa zresztą myślał co innego. Ta okoliczność nasuwała daleko idące

skojarzenia. Nie chciał ich jednak wysuwać przedwcześnie.

Grom w czasie konfrontacji niby to się przyglądał Żmigrodzkiemu.

- Nie wiem... tego człowieka widzę po raz pierwszy w życiu.

Zoja przyglądała się z gotowością.

- Doktor miał szpakowate włosy. A ten łysy.

W mieszkaniu, które wyśledził Kostrzewa, przebrany za listonosza, nie znaleziono niczego. „Skrzynka do listów”, jak to od razu podejrzewał Kostrzewa.

Właścicielkę mieszkania zatrzymano, nic jednak nowego z niej nie wydobyto.

- Wynajął mieszkanie, zameldował się i powiedział, że tymczasem pozostanie na wsi pod Warszawą. Nie, nie miał przydziału. Tak, na sublokatora. Ciężko nam było, więc musieliśmy... Przychodził, zabierał korespondencję i tyleśmy go widzieli. Bardzo niekrępujący człowiek. Od czasu jego ostatniej bytności nic dla niego nie przynoszono.

Tylko jeden telegram, ale go nie chciał listonosz zostawić. Przedtem, owszem, zdarzało się... I listonosz, i tacy różni... Co było w tej korespondencji? A skąd mogę wiedzieć? Nie zaglądam przecież.

Wyglądało, że rzeczywiście więcej nie wie. „Adresu na wsi” dotychczas nie ustalono. Kobieta twierdziła uparcie, że nigdy jej o tym nie wspominał. „Na wsi, to na wsi. Nie moja rzecz”.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Dochodzenie w tym kierunku prowadzono z niesłabnącą energią.

„SzeF” Wąsowski zajął zdecydowane stanowisko:

- Niepodobny. Czyżbym go nie poznał? Tego człowieka widzę po raz pierwszy w życiu... Jakaś omyłka, panowie. Cóż bym miał za cel wprowadzać was w błąd? Tyle przecież powiedziałem...

To była prawda. Na każdy inny temat gadał teraz jak najęty.

Kostrzewa ułowił jednak krótki, zgaszony natychmiast powiekami błysk oczu w momencie, gdy wprowadzano Żmigrodzkiego.

Teraz nie miał wątpliwości. Szef znał tego człowieka. Dlaczego tak uporczywie się wypiera?

Obserwował ich uważnie, gdy stali jeden obok drugiego. Popatrzył porozumiewawczo na Kociubę.

- No, pułkowniku - zapytał po zakończonym przesłuchaniu. - Czy podobieństwo nie rzuca się wprost w oczy?

- Hm? - Kociuba wciąż jeszcze nie był przekonany.

Magister Arski ziewał na całe gardło.

- No i mówią, że na carskiej katordze było źle. Ale tam przynajmniej pozwalano ludziom spać... Uważam, że o wiele lepiej traktujecie swych pupilów, pozostających za kratkami, niż współpracowników. Kiedy właściwie po raz pierwszy przespałem noc jak człowiek?

Tyradę tę wygłosił głosem niemal tragicznym. Ale wesołe ogniki w źrenicach odbierały słowom całą prawdę.

- No i co? - Kociuba niecierpliwie wyciągnął rękę.

- A to - opadł ociężałym ruchem na fotel. - Możemy postawić kropkę nad „i”.

Z pistoletu Groma czy jak mu tam, jedna kula, a z tego druga. Komplecik, że mucha nie siada. Nic dodać, nic odjąć.

Kociuba przebiegł szybko oczyma ekspertyzę, po czym podsunął ją

Kostrzewie, który zresztą nie zdradzał specjalnego zaciekawienia. Arski zawiadomił go o wynikach, zanim zostały przepisane na maszynie.

- Żadnych wątpliwości? - Kociuba przyglądał się odbitkom fotograficznym.

- Najmniejszych. Gwintowanie lufy ma tak charakterystyczne otarcia, że smugi na pancierzach pocisków są więcej niż niedwuznaczne. Z tego pistoletu oddano dużo strzałów od chwili wypuszczenia go z fabryki.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Kostrzewa kiwnął potakująco głową.

- Nie wątpię. I sędzę, że raczej od momentu, gdy znalazł się właśnie w rękach Żmigrodzkiego. Czy dowiemy się kiedykolwiek o tym, do jakiego celu każdy z nich został skierowany? - zamyślił się.

- Cóż - Kociuba gładził szklistą powierzchnię papieru fotograficznego. -

Postaramy się jednak.

Co do pistoletu, sprawa była pewna. Ale to nie rozwiązywało zagadnienia morderstwa, popełnionego na Sierakowskim.

Przystąpiono do oględzin samochodu Żmigrodzkiego. Od razu rzuciła się w oczy dysproporcja pomiędzy zewnętrznym wyglądem samochodu a motorem, ukrytym pod jego maską. Samochód z zewnątrz sprawiał wrażenie taniego półsportowego wozu, motor zaś należał do jednej z najwyższych klas.

Możliwość nagłego zrywu i rozwinięcia szybkości ponad sto czterdzieści kilometrów tłumaczyłyby pewne niejasności w przebiegu morderstwa Sierakowskiego. Tego rodzaju wóz mógł czekać gdzieś, choćby w odległości kilkudziesięciu metrów i wyskoczywszy jak pocisk najechać, zanim ofiara zdążyłaby się spostrzec.

Przystąpiono do bardziej drobiazgowych badań. Nie dały jednak żadnego rezultatu. Nie zauważono najmniejszych choćby śladów na zderzaku błotnika czy masce. Nic również nie wskazywało, by w niedawnym czasie dokonywano jakichś

napraw.

Dopiero po zastosowaniu wszystkich możliwych środków sprawa zaczęła się wyjaśniać.

Zderzak po prostu wymieniono. Na zewnętrznej zaś krawędzi lewego błotnika wykryto ślady zgniecenia blachy pod grubą warstwą lakieru. Kiedy przeprowadzono remont? Ta okoliczność wymagała bezwzględnego ustalenia. Nikt się nie łudził, by zadanie należało do łatwych. Szukano już przecież raz i nie znaleziono niczego. Tyle tylko, że teraz była fotografia wozu.

Wywiadowca Kopytko trzymał się zawsze zasady, by rozmowy z wszelkiego rodzaju kierownictwem traktować w takich wypadkach jako rzecz ostateczną. Taki, co siedzi w biurze, rzadko wie o wszystkim, co dzieje się w przedsiębiorstwie. A nawet wiedząc nie zawsze ma ochotę opowiadać. No, nie tylko prywaciarze. W spółdzielniach też bywa rozmaicie. A i w państwowych się zdarza. Z ludźmi, którzy mają z tym do czynienia bezpośrednio, można pogadać zupełnie inaczej. Aby tylko nie

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

pchać od razu pod nos legitymacji. Przy papierosie albo w ostateczności choćby przy kieliszku łatwiej rozwiązują się języki niż w atmosferze oficjalności.

Kopytko prowadził poszukiwania ze skrupulatną pedanterią. Od warsztatu do warsztatu. Ślusarni żadnej również nie pominął. Nie było blacharza, do którego by nie wetknął nosa. Może akurat tu? Gawędził z kim się dało.

- Bo, widzicie, taka historia... - potem wydobywał fotografię. - Może się wam przypadkiem przewinęło przez ręce?

Raz już był pewien, że natrafił na trop. Potem zrzędała mu mina. Okazało się, że chodzi o wóz jednego z aktorów. Ani data nie pasowała, ani charakter uszkodzeń.

Aż wreszcie na jednej z oddalonych uliczek Pragi błysnęło światło.

- Zgadza się - ślusarz długo wpatrywał się w fotografię. - To była nocna robótka za podwójną takse. Błotnik? Tak, pamiętam. I zderzak również. Tak z siódmego na ósmy. To wypadło w piątek.

W książce zleceń nie znaleziono najmniejszej wzmianki. Właściciel warsztatu długo nie mógł sobie przypomnieć. Gdy jednak zrozumiał, że i tak dosyć wiedzą, pamięć mu się rozjaśniła. Zgadzało się wszystko dokładnie.

*

Pan Koreywo uśmiechnął się dystygownie.

- No, skoro i tak sami do tego doszliście, dyskrecja przestaje obowiązywać.

Rzeczywiście, „Żmigrodzki” jest rodzonym bratem Wąsowskiego. Wiedziałem o tym, ale to, co dotychczas w tej sprawie mówiłem, jest prawdą. Nigdy nie zetknąłem się z tym Wąsowskim vel Żmigrodzkim. U nas obowiązuje... Chciałem powiedzieć...

obowiązywała zasada, by kontakty pomiędzy członkami organizacji ograniczyć do minimum. No, a już jeżeli chodziło o centralę... Panowie sami rozumieją... Oni, o ile wiem, byli bardzo przywiązani do siebie. Przynajmniej Wąsowski. Ze skóry dałby się żywcem obedrzeć, żeby osłonić braciszka. Zresztą uważaliśmy... uważałem Żmigrodzkiego za cenną dla nas jednostkę, pomijając już wszystkie inne względy.

- Aleście mnie zajechali, doktorze - Kociuba kręcił z podziwem głową po wyprowadzeniu Koreywy. - Sztych w samo centrum. Ledwo się zdołałem powstrzymać, by nie zdradzić swej niewiedzy. Zdobyliście w tym czasie jakieś nowe dane na ten temat?

- Nie. Tylko to podobieństwo.

- A niechże was!... I to z taką miną, jakbyście mieli stos dowodów. Nabrał się z

miejsca. Co mu się zresztą dziwić? Ja sam dałem się nabrać. Ale i ja mam dla was

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

niespodziankę - podsunął telef onogram.

Kostrzewa czytał z zaciekawieniem. W pierwszej chwili nie zrozumiał.

- Bielicki? A któż to znów taki? - zastanawiał się dłuższą chwilę. Z pamięci

usiłował wywołać wszystkie nazwiska, związane z tą sprawą.

Podniósł głowę.

- Ten, przez którego Sierakowski trafił na ślad Groma i całej kompanii.

- Właśnie. Nie mogliśmy zrozumieć, co może oznaczać jego wyjazd do

Krynicy. Czyżby tylko normalne wczasy? Pierwsze raporty Kurasia brzmiały

jednakowo. „Nie zaobserwowałem niczego podejrzanego”. Jednym słowem kuracja i

nic poza tym. Ale Kuraś potrafił się odpowiednio przyczaić. Z tego, co zdążył

nawypisywać, można by zestawić całą powieść, nudną wprawdzie jak flaki z olejem.

Łaził za nim jak cień. Do łazienek, to do łazienek. Na spacer, to na spacer. Sądząc z

rachunków, nie wystawał również przed wejściem do lokali.

Bielicki w końcu musiał widocznie dojść do wniosku, że powietrze czyste. I

proszę - tknął palcem w telefonogram. - Hyc niespodziewanie do Wolina. Kuraś

zawiadomił jednak, kogo należy. Przejście przez granicę się nie udało...

Kostrzewa podkreślił w powietrzu jedno ze zdań telefonogramu.

- Został postrzelony?

Kociuba skrzywił się, jakby połykał coś niesmacznego.

- Niestety. Stawiał opór, ostrzeliwał się. Chwilowo gość nie do użytku. Ale

miejscowi lekarze ręką za jego życie.

Kostrzewa położył z powrotem papier na jego biurku.

- Macie zamiar dołączyć go do naszej paczki?

- Tylko pośrednio. Jakies powiazania tam byly, to jasne. Ale bedziemy go

traktowac raczej jako punkt wyjsciowy do nowego dochodzenia. Bo chyba na nim nie urywa sie lancuszek.

Kociuba wreszcie zamknal teczke z aktami.

- Tak... To juz jakby wszystko.

- Nawet - dodal Kostrzewa - powiedzialbym, ze cokolwiek za duzo...

Kociuba podniosl glowe.

- Macie na myśli Białkowskiego?

- Owszem, właśnie jego.

Pułkownik zabrał się do wertowania dokumentów wyjmując jeden po drugim z obwoluty. Wybrane układał pedantycznie w oddzielnej teczce.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Słusznie. Jego sprawy - wypisywał na obwolucie wyraźne litery - nie można

by uznać za całkowicie zamkniętą. Bo nawet jeżeli przyjąć za pewnik, że zeznanie

Białkowskiego dotyczy wyłącznie jegomości z drabiną i tej nieszczęśliwej operacji, to pozostaje pistolet. Strzelano przecież z niego.

- Przed kilku laty - przypomniał Kostrzewa.

- Więc cóż z tego? Przed kilku czy kilkunastu, to nie ma zasadniczego

znaczenia. Naszym obowiązkiem jest ustalić, jaki był kres podróży kuli, która została z niego wystrzelona...

Kostrzewa wyciągnął się wygodnie.

- Miejmy nadzieję, że Białkowski to sam wyjaśni. Rozmawiałem z doktorem,

który ma go w swojej opiece. Zaklina się, że najdalej za trzy dni nie będzie miał już

żadnych zastrzeżeń co do przesłuchania.

- Za trzy dni - westchnął Kociuba. - Nic tylko czekać. Okazało się jednak, że rozwiązanie tej ostatniej zagadki nastąpiło o wiele wcześniej.

Kociuba obracał z zastanowieniem w palcach blankiet, na podstawie którego została wydana przepustka.

„Profesor doktor Zofia Kosińska”? To mu nic nie mówiło. Liczne skróty oznajmiały o całym szeregu dalszych godności naukowych: PAN, zagraniczne instytucje naukowe i jeszcze coś, czego nie potrafił odcyfrować. Wszystko dobrze. Ale czego mogła chcieć akurat od niego?

Sięgnął po słuchawkę.

- Zapytajcie w jakiej sprawie.

Usłyszawszy odpowiedź zrobił wielkie oczy. W sprawie profesora

Białkowskiego! Zatelefonował do Kostrzewy.

- Czy wam coś mówi nazwisko profesor Zofii Kosińskiej? - wyczelował każdą zgłoskę oddzielnie. - Przyszła w sprawie Białkowskiego.

- Owszem - głos Kostrzewy był wyraźnie rozradowany. - To kobieta w jego życiu. Już pędzę.

- Kobieta w życiu Białkowskiego? - zapytał ze zdumieniem.

Odpowiedział jednak trzask pośpiesznie odwieszanej słuchawki. Kazał prosić Kosińską, żeby trochę zaczekała.

- Tylko powiedzcie, że to potrwa bardzo niedługo - dodał w obawie, by nie zrezygnowała z zamierzonej wizyty.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

Rzeczywiście, Kostrzewa nie dał na siebie czekać. Po kilkunastu minutach

wpadł zdyszany i od razu przystąpił do rzeczy.

- Dawajcie tę Kosińską.

Gdy stanęła na progu, Kociuba z trudem powstrzymał odruch zdumienia.

Spodziewał się mocno starszawej niewiasty. Tymczasem stanęła przed nim całkiem młoda kobieta. Zgrabna, elegancka, wytworna i niemal piękna. Nie dałby jej więcej jak trzydziestkę. W istocie, sądząc po danych, musiała być dużo starsza.

W pachnącym dymem papierosowym gabinecie rozeszła się dyskretna woń perfum.

- Mam przyjemność z pułkownikiem Kociubą? Skłonił się potwierdzająco.

- Doktor Jerzy Kostrzewa - sprezentował w odpowiedzi na pytające spojrzenie, jakie rzuciła w stronę Kostrzewy. Pomiął rozmyślnie tytuł urzędowy. Nie wyjaśnił też powodu jego obecności w gabinecie. Nie pytała zresztą. Widocznie musiała się domyślić.

Swobodnym ruchem opuściła się na wskazany przez Kostrzewę fotel.

- Pani profesor... w sprawie doktora Białkowskiego?

- Tak. Przyszłam się dowiedzieć, na jakiej podstawie został przez was zatrzymany?

Brwi pułkownika powędrowały ku górze. Pytanie zostało zadane zbyt bezpośrednio.

- Hm... A właściwie w jakim charakterze pani o to pyta?

- Jestem jego narzeczoną. On zresztą... jeszcze o tym nie wie.

Kociubę zatkało.

- To znaczy... hm... - utknął bezradnie. Spojrzał na Kostrzewę, przyzywając jego pomocy. Ten jednak przyglądał się z nagłym zainteresowaniem czemuś za oknem.

- Doktor Białkowski nie był aresztowany - wreszcie odzyskał rezon. - Przyszedł do nas sam i tu akurat nastąpił ten udar mózgowy, więc przebywa w naszym szpitalu. To bardzo dobry szpital - stwierdził z podejrzanym zapałem. - A chwilowo przewiezienie byłoby połączone z niebezpieczeństwem - uważał całą tę rozmowę za szczyt dyplomacji.

To wszystko nie zadowoliło jednak Kosińskiej.

- Przebywa pod strażą?

- W szpitalu - powtórzył. - Oświadczył zresztą...

- Ze zabił człowieka? - przerwała porywczo. Kociuba nie odpowiedział

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

czekając, co powie dalej. Otworzyła torebkę, z której wyjęła plik papierów.

- On to powtarza stale od chwili tej nieszczęsnej operacji. Obawiam się, że w końcu popełni jakiś ostateczny krok. Tu są - położyła papiery na biurku - opinie szeregu specjalistów. Nie można mu nic zarzucić. Nic!

- My wiemy... Ale...

Kostrzewa wreszcie przestał wyglądać przez okno. Spojrzał na pułkownika.

Trwało to chwilę, a przecież zdążyli się porozumieć.

- Pragnąłbym przesłuchać panią profesor jako świadka - powiedział nagle

Kociuba. - To znacznie uprościłoby całą sprawę.

Teraz na nią przyszła kolej zaskoczenia. Zastanawiała się przez chwilę.

- Oczywiście. Powiem wszystko, co mi jest wiadome. Kociuba wyjął porubrykowany arkusz.

- Zaczniemy od początku - wypisywał w nagłówku personalia. Miała więc aż czterdzieści pięć lat? Patrząc na nią trudno było uwierzyć. A przecież kobiety nie

dodają sobie wieku.

- Od jak dawna zna pani profesora Białkowskiego?

- Chyba od dziesięciu lat. Może nawet dłużej. Początkowo była to znajomość towarzyska, potem przyjaźń... Właściwie - na policzki wystąpiło zarzewie lekkiego rumieńca - może coś więcej niż przyjaźń. Mieliśmy wiele wspólnych zainteresowań. Jednocześnie zaś... - utknęła.

- Rozumiem - przerwał Kociuba. - Pani wspomniała, że jest jego narzeczoną?

- Byliśmy zaręczeni. Potem... on zerwał. Właśnie po tej operacji. Powiedział, że zabójca nie ma prawa wiązać ze sobą niczych losów. Nie dał sobie tego wytłumaczyć.

Zawsze był bardzo upar... stanowczy. Analizował przebieg operacji na wszystkie możliwe sposoby. To był już pewien uraz psychiczny. Trudno to inaczej określić.

Zachodziły specjalne okoliczności. Ten człowiek, który pozostał na stole operacyjnym, był mu szczególnie bliski. Więc prawdopodobnie właśnie dlatego. Zwracał się do... Do

kogo zresztą się nie zwracał. Niektóre odpowiedzi jeszcze bardziej zachwiały jego równowagę. Nikt mu niczego wprost nie zarzucał... Ale wskazywano, że zabieg

można było przeprowadzić również inaczej. Że wtedy może by się udało uniknąć...

Bzdura! - to słowo padło z niespodziewaną ostrością. Widać było, że jest niezmiernie wzburzona. - Są ludzie, którzy nie cofną się przed niczym, aby tylko popisać się swą

uczonością. Mniejsza o to, czy prawdziwą, czy urojoną. Ale teraz - wskazała ruchem głowy na papiery - teraz już nie pozostaje miejsca na żadne wątpliwości... Korzystając

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

z pobytu za granicą odwiedziłam kilku najwybitniejszych specjalistów. Tym nie

zależało na reklamie... Operacja została przeprowadzona pod każdym względem bez

zarzutu. A uwzględniając ogólny stan pacjenta, wynik nie mógł być w żadnym

wypadku inny...

- Czy pani znała... redaktora Lebiodę?

- Oczywiście, bardzo dobrze. Jakżebym mogła go nie znać? To był jeden z najserdeczniejszych przyjaciół Paw... doktora Białkowskiego. On bardzo bolał nad tą całą historią. A szczególnie nad naszym zerwaniem. Próbował to naprawić. Kiedyś doszło nawet na tym tle pomiędzy nimi do awantury. Pisał mi o tym. Ostrzegał wtedy doktora, że takie postępowanie zabije naszą miłość...

„Zabijesz” - wargi Kostrzewy poruszyły się bezdźwięcznie. Kociuba jednak zrozumiał.

- Kiedy to miało miejsce? Myślała przez chwilę.

- Na parę dni przez śmiercią Lebiody.

- Ma pani profesor ten list?

Zdziwiła się. Widać było, że nie rozumie, jakie to może mieć znaczenie.

- Owszem.

Chwila milczenia. Kociuba obracał w palcach okulary. Więc jeszcze jedna okoliczność wyjaśniła się w sposób nieoczekiwanie prosty. Tak... „zabije”, a „zabijesz”. I nie chodziło o człowieka. Mowa była o miłości... Swoją drogą, jak łatwo jedno słowo, oderwane od kontekstu, tworzyło mylny ślad, który w rezultacie mógł zaprowadzić diabli wiedzą jak daleko.

- Aha... Czy nie zdarzyło się pani profesor widzieć kiedy u doktora

Białkowskiego pistoletu?

- Taki wielki, czarny?

Kociuba patrzył wyczekująco. Te określenia nie były dość jednoznaczne.

- Z plamami krwi? - dodała po chwili.

- Tak - ożywił się - właśnie.

- Owszem. Widywałam niejednokrotnie. To pamiątka po synu Pawła - tym razem już się nie poprawiała - z pierwszego małżeństwa. Zginął pod Lenino zmiażdżony przez hitlerowski czołg. Stąd te plamy krwi...

Kociuba wciągnął powietrze. Pistolet wypadł ostatecznie ze sprawy.

Kierownik szpitala zatelefonował do Kociuby jeszcze z samego rana:

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

„Przesłuchanie Białkowskiego w niczym nie zagraża jego zdrowiu”.

Wybrali się z Kostrzewą dopiero po południu. Sprawa przestała być nagląca.

Przesłuchanie przypominało zresztą towarzyską rozmowę.

Kostrzewę interesowało tylko jedno:

- Jakie papiery palił pan, profesorze, przed zgłoszeniem się do nas. I dlaczego?

Wyblakłe wargi drgnęły w nikłym uśmiechu.

- A po czym się pan zorientował, że je paliłem? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - Popiół w piecu?

- To także. Ale przede wszystkim kurz w szufladach, na którym odcisnęły się ramki po nie istniejących już arkuszach.

- Oto skutki kawalerskiej gospodarki - Białkowski już wiedział o jego obecności z drabiną i że Kosińska oczekuje za drzwiami. Wiedział także, co ze sobą przynosi.

Uważali za swój obowiązek zakomunikować mu o tym niemal na wstępie. Coś w rodzaju zadośćuczynienia za wszystko, co przeszedł. - Spaliłem - potwierdził

poważniejąc - i dobrze, że to wszystko obróciło się w popiół. To były analizy tej, tej operacji, przeprowadzone na moją prośbę przez różnych luminarzy chirurgii. Niektóre

zaś z nich... - otrząsnął się - nie chciałem, żeby w związku z wypadkiem

samochodowym, jak wtedy przypuszczałem, śmiertelnym, i te papiery dostały się w wasze ręce...

Rozmowa trwała jeszcze przez pewien czas. Dochodzenie zostało wszczęte i wymagało końcowego protokołu.

- Jest pan oczywiście całkowicie wolny - oświadczył Kociuba na pożegnanie.

Znowu się uśmiechnął.

- Och, w tej chwili bynajmniej mi się nie śpieszy. Muszę stwierdzić jako fachowiec, że szpital postawiliście na bardzo wysokim poziomie...

XII. Zagadka, która należy już do całkiem innej historii

Było już po wszystkich podziękowaniach i gratulacjach. Kostrzewa pożegnał się z całym zespołem, wymienił dziesiątki gorących uścisków dłoni. Pozostali tylko we dwóch w gabinecie Kociuby.

- A teraz, doktorze, urlop? Muszę przyznać, że zapracowaliście sobie na niego więcej niż solidnie. Bez was...

Przerwał mu w połowie zdania.

- Och, dalibyście sobie na pewno doskonale radę. Tak... - twarz Kostrzewy rozjaśniła się - urlop. Całe dziesięć dni zupełnego spokoju i swobody! I Le... i moja

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

żona też w tym czasie będzie wolna. „Jedność” akurat zawija do Gdyni. Co za cudowny zbieg okoliczności... Tymczasem jednak... - zasępił się nagle. Odłożył papierosa i umilkł, jakby zastanawiając się nad czymś.

Kociuba patrzył na niego zaskoczony. Ton nie zapowiadał niczego dobrego.

- Chciałbym przed odejściem porozmawiać z wami, pułkowniku, o pewnej sprawie.

- O - Kociuba próbował jeszcze nawiązać do poprzedniego tonu. - Aż tak

poważnie?

- Nie wiem - wzruszył lekko ramionami - to już wasza rzecz, jak to ocenicie. Ja tylko podam fakty i pewne nasuwające się wnioski.

Kociuba spochmurniał. Co go, u diabła, ugryzło? Czyżby miał o coś pretensje?

- Słucham.

- Otóż pierwszy fakt, to moja fotografia znaleziona w centrali.

- Ta migawkowa?

- Niestety. Ja w pierwszej chwili też myślałem, że to zdjęcie, dokonane przez jakiegoś „fotografa ulicznego” bez koncesji. Ale przy dokładniejszym badaniu stwierdziłem, że sprawa ma się zupełnie inaczej.

- A mianowicie? - jeszcze nie rozumiał, do czego tamten prowadzi.

- Jest to fotografia pewnej fotografii, która została wykonana wyłącznie do celów urzędowych. Zrobiono wówczas trzy odbitki. Jedną naklejono na mojej legitymacji, dwie poszły do akt personalnych.

- Ooo!... - chmura na czole pułkownika zagęściła się. - Tylko trzy?

- Tak.

- Nie zachodziła możliwość, że fotograf, z tych czy innych względów, dokonał bez waszej wiedzy dalszych odbitek?

- Wykluczone. Dla wszelkiej pewności fotografowaliśmy się wtedy u naszego urzędowego fotografa. W pracowni urzędu. Klisze uległy zniszczeniu.

Ołówek pułkownika jeździł po blacie stołu.

- Nie dopuszczacie stanowczo możliwości, że chodzi o jakieś inne, podobne zdjęcie?

- Nie - zaprzeczył Kostrzewa. - W tym ubraniu nie fotografowałem się ani przedtem ani potem. W parę dni po wykonaniu tej fotografii oddałem je do pralni. Nie wróciło już do mnie więcej. Zaginęło czy też zostało zniszczone. Wypłacili odszkodowanie.

Create PDF files without this message by purchasing novaPDF printer (<http://www.novapdf.com>)

- Więc... - wyglądało, jakby twarz Kociuby nagle postarzała - tak... rozumiem.

A drugi fakt? Z tej samej kategorii? - w pytaniu brzmiała nieledwie obawa.

- Nie wiem. Może... Otóż jak wam wiadomo, delegat tej centrali otruł się cyjankiem w celi Brzostowskiego więzienia. Powszechnie uważano, że przemycił ampułkę z trucizną w ustach. Dokonałem chemicznej analizy szczątków tej ampułki. Znalazłem niewątpliwe ślady kwasu chlebowego na zewnętrznej powierzchni szkła.

- Mógł przecież jeść chleb mając tę ampułkę w ustach. Kostrzewa kiwnął głową.

- Ta możliwość przysła mi również na myśl. Ale zachodzi tu jeszcze jedna okoliczność - wyjął z kieszeni owinięte w bibułę pudełeczko. - Szkło jest zaskakująco cienkie, tak cienkie, że nie wyobrażam sobie, aby można było tego rodzaju ampułkę przechowywać w ustach, choćby i przez najkrótszy okres. Wystarczy słabe dotknięcie językiem czy jakimś kęsem posiłku, by wyzwolić piorunującą śmierć. Nie - potrząsnął głową - nie sądzę, by to mogło wchodzić w ogóle w rachubę.

Kociuba masował końcami palców skronie. Długo trwało milczenie. Przerwał je wreszcie.

- Macie na myśli robactwo we własnym łóżku? Kostrzewa rozłożył ręce.

- Nic nie mam na myśli, pułkowniku - głos brzmiał głębokim smutkiem. -

Zakomunikowałem wam tylko to, co uważałem za obowiązek zakomunikować.

Wnioski... nasuwają się same. To wszystko.

Radykalnie zmienił temat rozmowy. Potem pożegnali się serdecznie. Jak ludzie, których już od dawna łączą więzy serdecznej przyjaźni. Ale jednocześnie były w tym jakieś akcenty niedomówień. Obydwaj doskonale wiedzieli, czego dotyczą. Gdy Kostrzewa wyszedł, pułkownik wlepił nieruchome spojrzenie w małe pudełeczko i matowe powiększenie fotografii. Tak... Nad tym nie wolno było przejść do porządku. Jasnota uciekł za granicę. Ale któż mógł być pewny, że nie pozostawił po sobie spadku?

„Dziesięć dni urlopu”. W porządku. Ale potem...

Westchnął. To nie będzie ani łatwe, ani przyjemne. A przecież musi zostać przeprowadzone.